



WILKINSON

ST. JAMES MUSEUM

WIEK XIX

STO LAT MYŚLI POLSKIEJ

WIEK XIX

STO LAT MYŚLI POLSKIEJ

ŻYCIORYSY, STRESZCZENIA, WYJĄTKI

POD REDAKCYĄ

BRONISŁAWA CHLEBOWSKIEGO,
IGNACEGO CHRZANOWSKIEGO, HENRYKA GALLEGO,
GABRYELA KORBUTA, STANISŁAWA KRZEMIŃSKIEGO

TOM V

WYPISY Nr 585-703

Biblioteka Publiczna
Warszawa - Wola

432



3011--000432-00

884(09)

WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1909

Publ. Publ. m. st. W-wy

1969



432

~~F. III 592~~

Czyt. Naukowa

Nr

Nr inw. C. N.

III
432/592

KRAKÓW 1909. — Druk W. L. ANCZYCA I SP

WYKAZ WYPISÓW.

LXXVIII.

GOSZCZYŃSKI SEWERYN (1801—1876).

Wypisy Nr. 585—611.

	Str.
A) Noc w Zofiówce (1824)	19
B) Płoch Wulkanu (1825)	25
C) Powstanie Geniusza (1827)	26
D) Ramek Kaniowski (1826—1827)	27
E) Oczel (1828)	42
F) Wojsko polskie wychodzące z Polski (1831)	43
G) Dziennik podróży do Tatrów (1832)	43
H) Sobótka (1833)	55
I) Ukwintowanie poety (1834)	61
J) Nowa epoka poezji polskiej (1835)	62
K) Kobił Zamczyńska (1839—1840)	72
L) Stanowisko poety w społeczności	77
M) Powstanie do Polski (1855—1857)	79
N) Noc Bielwederska (pis. w r. 1869)	83

LXXIX.

ZALESKI JÓZEF BOHDAN (1802—1886).

Wypisy Nr. 612—621.

A) Damska hetmana Koscińskiego (1823)	94
B) Ozajki (1825)	95
C) Spiew poety (1825)	96
D) Baszki, fantazya (1828)	97
E) Złota Duma (1835)	100
F) Z pieśni serbskich (1836)	102
G) U nas Inaczej (1838)	105
H) Potrzeba Zbarska (1839)	106
I) Nudo (1840)	108

LXXX.

KRASIŃSKI ZYGMUNT (1812—1859).

Wypisy Nr. 622—677.

I. Utwory z okresu rojeń młodzieńczych (1828—1831).

	Str
A) Pan trzech pagórków	181
B) Sen Elżbiety Piłcockiej	185
C) Ułamek z dawnego rękopisu słowiańskiego	189
D) Agaj Han	193

II. Utwory z okresu burz moralnych, cierpień i wyniku stąd pesymizmu (1832—1838).

E) Nieboska komedia	205
F) Irydyon	242
G) Modlitewnik	296
H) Noc letnia	301
I) Pokusa	313

III. Utwory z okresu równowagi duchowej (1839—1848).

J) Trzy myśli	321
K) Przedświt	340
L) Psalmny przyzwośel	355
Ł) Dzień dzisiejszy	368
M) Ostatni	373
N) Niedokończony poemat	385
O) Resurrecturis	399

IV. Utwory liryczne (1836—1858).

P) Serce mi pęka	400
R) Dla ciebie wszystko	402
S) Jak anioł spadły	403
T) Z nad wód	404
U) Oni mówili	406
W) Wierzę	409
X) Gdybym dziś, jutro	411
Y) Im dalej idę	412
Z) Ułamek, naśladowany z glosy św. Teresy	414
Ż) Obłędzenie Wiednia w r. 1848	417
Ź) Do Elizy	418

LXXXI.

CIESZKOWSKI AUGUST (1814—1894).

Wypisy Nr. 678—693.

A) Modlitwa wstępna (Tom III, 1903)	437
B) Ojciec nasz. Wstęp. (Tom I, 1905)	440
C) Ojciec nasz. Wezwanie (Tom II, 1899)	454
D) Ojciec nasz. Święć się imię Twoje (Tom III, 1903)	459

E) Ojciec nasz. Przyjdź królestwo Twoje. (Tom IV, 1906)	464
F) O drogach ducha (Tom I, 1905)	467

LXXXII.

GASZYŃSKI KONSTANTY (1809—1866).

Wypisy Nr. 694—703.

A) Mogiła Sułkowskiego w Egipcie (Aix, 1833)	474
B) Aix (1835)	475
C) Jutro (1848)	476
D) Do Augusta Cieszkowskiego (1848)	476
E) Sielanka młodości (1855)	479
F) Epilog (Baden, 1855)	479
G) Pan Dezjerydy Bozko i sługa jego Pafnuzy	479

LXXVIII.

GOSZCZYŃSKI SEWERYN.

(1801—1876).

Jeden z najbárdziej indywidualnych przedstawicieli romantyzmu naszego, głosiciel zbawczej idei demokratycznej (ludowej) w poezyi i w życiu, poeta czynu, który całe życie «Polskę robił» i innych do tej «roboty» nawoływał — był synem Józefa, który pochodził z rodziny szlacheckiej, na Mazowszu osiadłej. Józef Goszczyński, jako oficer artylerji, brał udział pod Kościuszką w kampanii r. 1792, w bitwach pod Zielonicami i Dubienką (na Wołyniu); pod koniec w. XVIII-go przeniósł się on na Wołyń; tu wstąpił z jednego miejsca na drugie. Sanguszkowski, przenoszony wciąż z jednego miejsca na drugie. Ożenił się niebawem z Franciszką Gurowską, córką Józefa, strzelca dworskiego, i jego żony, Maryanny z Troczewskich, zarządzającej pralnią pałacową w Sławucie (nad Horyniem), stolicy dóbr Sanguszkowskich, w której pobliżu Goszczyński wtedy przebywał. W r. 1801 był Józef Goszczyński gorzelanym w Iliścach (pow. lipowieckim) na Ukrainie. Właśnie w tym roku, dnia 23-go października st. st. (4-go listopada), urodził mu się w Iliścach pierwszy syn, Seweryn. Około r. 1806 rozdzielił się z rodzicami i przeniósł się znowu na Wołyń, do Siomak w pow. Zaslawskim, o kilkanaście wiorst od Sławuty. Sewerynek przebywał więcej w Sławucie, u dziadków Gurowskich, którzy zajęli się jego wychowaniem, niż u rodziców w Siomakach. Babka miała wielki wpływ na niego. We wspomnieniach swoich objaśnia ten wpływ słowami: «Cala tajemnica jej przemocy nade mną była w jej wielkiej dla mnie i w mojej miłości dla niej». Dlatego nie potrzebowała się udawać do rozkázów; było dla mnie potrzeba żyć wspólnem z nią życiem, zespolić się z każdą jej czynnością, brać w każdej udział, nie zdając przed moim rozumem żadnej sprawy z takiego postępowania».

Edukacja elementarna Goszczyńskiego trwała około trzech lat i prowadzona była bardzo niesystematycznie: najprzód uczył się w dwu

szkółkach w Sławucie, potem w szkółce ks. Misyonarzy w Zaslawiu nad Horyniem, należącym także do Sanguszków. Pomimo ciężkich warunków materyalnych, w jakich żyli rodzice Goszczyńskiego, przy których chowało się ośmioro dzieci, oddał go oni w r. 1810 do słynnych szkół pijarskich w Międzyrzeczu Koreckim, zawdzięczających rozwój swój Tadeuszowi Czackiemu. Nauka szła mu tu z łatwością, ale przebył w Międzyrzeczu rok jeden tylko, ojciec bowiem, utraciwszy w tym czasie miejsce w Siomalach, przeniósł się w r. 1811 z rodziną do Nowego Konstantynowa na Podolu. Przez trzy lata trzymano go w domu; przez ten czas korzystał tylko z nauki domowej, w której niewiele postąpił; oddaje się za to gorliwie czytaniu książek; największe wrażenie wywarły na niego dzieła francuskie w przekładzie polskim: «Gonzałw z Kordubę» Floriana, «Zburzenie Jerozolimy» i «Dzieje Karola XII» Woltera. Nareszcie oddano go w r. 1814 do świeżo otwartego świeckiego gimnazjum podolskiego w Winnicy. Współuczniem wtedy Goszczyńskiego był rozgłośny później poeta ukraiński Tomasz Padurra. Przebył tu Goszczyński tylko jeden rok szkolny, gdy bowiem w r. 1815 rodzice przenieśli się z Podola na Ukrainę, gdzie w dobrach hr. Branickiej, w Chłystynówce (w pow. czerkaskim) stary Goszczyński otrzymał miejsce ekonoma (zarządzającego) — Seweryn został uczniem, o mil 12 od Chłystynówki odległych, szkół bazylijskich w Humanu, których protektorką była słynna Zofia Potocka. Przyjęto go w środku roku szkolnego (na początku r. 1816) do klasy II-ej. W szkole humanistycznej inne panowały stosunki, nie tak liberalne, jak w szkołach świeckich na Wołyniu i Podolu. Prefektem był bardzo surowy dla uczniów ks. Leoncyusz Skibowski. Kolegował Goszczyński w Humanu z Józefem Mianowskim (późniejszym profesorem w Wilnie i rektorem Szkoły Głównej w Warszawie) z Bohdanem Zaleskim, z Janem Krechowickim, nieco później (od r. 1817) z Michałem Grabowskim. Najbardziej zaprzyjaźnił się z Zaleskim, który był od niego o klasę wyżej. «Przyglęliśmy do siebie wszystkimi władzami naszymi», pisze w pamiętnikach Goszczyński. «W związku tym rozbudził się we mnie organ poezyi». Młodszy od obu, współuczeń szkół humanistycznych, Aleksander Groza opowiada w swych wspomnieniach: «Dobre pamiętam Zaleskiego i Goszczyńskiego; byli oni w przyjaźni z moim bratem Augustynem. Zaleski blondyn, twarzy białej, pięknej, oczu błękitnych, wzrostu miernego, chodził w bawoje zielonej; Goszczyński wzrostu wyższego, także blondyn, twarzy ospawatej, jak on nazywał, a b. e. j. ale przyjemnej, oczu niewielkich, żywych. Przed naszą stancją leżał duży kamień; Goszczyński, wchodząc, zawsze musiał skrzesać ognia podkawkami; nosił bawoję koloru piernikowego. O nich już w szkołach mówiono, że najlepsze wiersze pisali» («Mozaika kontraktowa», str. 97—98). Z Zaleskim Goszczyński razem zamieszkał; czytali razem poezję, błądzili razem po parku w Zofiówce. «Iliada» zrobiła na Goszczyńskim «nadzwyczajne wrażenie».

W klasach wyższych szkoły zalecano uczniom pisanie wypraco-

wań wierszem; dla wprawy w rymotwórstwie zadawano przekładanie wierszem polskich poematów łacińskich, lub pisanie na temat dany poezyi oryginalnych. Udatniejsze wypracowania tego rodzaju posyłano nawet, dla zachęty uczniów, do druku w «Dzienniku Wileńskim». Goszczyński, który nie osiągnął jeszcze tego szczytu, na codziennych nabożeństwach poranych, klęcząc w kaplicy, gorąco błagał Boga, aby mu dopomógł zrównać się w tworzeniu poezyi z kolegami. Modły jego, jak widać, wysłuchane zostały, gdy bowiem w klasie IV-ej nauczyciel wymowy i poezyi zadał uczniom na wypracowanie przekład pieśni XIII-tej ks. Epedon Horacego, wierszowane tłumaczenie Goszczyńskiego uznał za najlepsze. Praca ta, jak się wyraża sam Goszczyński, zrobiła mu «wielki rozgłos poety» w szkole. Ujrzał ją wydrukowaną w «Dzienniku Wileńskim» p. t. «Do przyjaciół», już po opuszczeniu Humanu, w r. 1820 (w zesz. marcowym), obok przekładu Zaleskiego (samej pieśni Horacego i z podpisem, przez pomyłkę, swego druba. Niebawem zabiera się do poezyi oryginalnych; zaczyna pisać poemat p. t. «Kościszko», którego jednak nie dokończył i nie zachował. W wspomnieniach swoich zanotował w r. 1859: «Była to pierwsza próba epepei narodowej, kierunek najprawdziwszy; gdybym miał wówczas to wyobrażenie o poezyi, które mam dzisiaj, byłbym może lepszym poetą, niż jestem. Ale atmosfera nie była przychylna takiej poezyi prawdziwej». Podczas wakacji tłumaczył romans «Numa Pompiliusz» Floriana; następnie I-ą pieśń «Iliady» z francuskiego i «Nocy» Younga. W tym czasie oprowadania naocznych świadków o rezi humanistycznej wywierają niezatarte wrażenie na młodziecu, marzącym o epepei narodowej.

W początkach r. 1818, w klasie IV-ej, przyłączył się do dwóch druhów, Zaleskiego i Goszczyńskiego, trzeci — Michał Grabowski, który właśnie teraz wstąpił do szkoły humanistycznej. Już w klasie V-tej swięziła się między nimi spółka literacka, tryumwirat, nazwany przez nich Za-Go-Gra. Tryumwirat ten zamierzył wydawać czasopismo rękopiśmienne, na wzór «Źwieńców naukowych», wydawanych przez młodzież krzemieniecką, do czego jednak nie doszło. W tym samym roku 1818 ukazała się w «Pamiętniku Warszawskim» pamiętna rozprawa Brodzińskiego «O klasyczności i romantyczności». Wywarła ona wielkie wrażenie na trzech druhach; Goszczyński dodaje jednak, że daleko lepiej pojął zasady nowej poezyi z utworów Brodzińskiego i Antoniego Głowackiego, niż z tej rozprawy, a nadewszystko trafił mu Brodziński do przekonania tłumaczeniem «Barratton» Ossyana (ogłosz. w Pam. Warsz.). Odtąd zaczyna się kult Goszczyńskiego dla Ossyana. Jednocześnie z rozprawą Brodzińskiego ukazała się «epepeja» Dymy Bońw Tomaszewskiego «Jagiellonida». Nie przemówiła ona i nie mogła przemówić do uczucia Goszczyńskiego, ani jego przyjaciół. Recenzja «Jagiellonidy», napisana przez Mickiewicza, która się pojawiła w styczniowym zeszycie roku 1819 «Pamiętnika Warszawskiego», przypadała do przekonania trójki przyjaciół i odtąd, jak zapewnia Goszczyński,

zaczęli być surowi w zapatrywaniu się na poezję. Na przechadzki chodzono najczęściej, jak świadczą w swoich wspomnieniach Aleksander Groza, do uroczej Zofiówki. Spacery te wywarły wpływ na twórczość Goszczyńskiego w tym czasie, ale nie się z tego roku z utworów jego nie zachowało. Tryumwirat Za-Go-Gra, po rocznem, czy niespełna półtorarocznem trwaniu, rozzerwał się, z powodu nagłego, z nadejściem wakacji 1819 r., porzucenia szkoły humańskiej przez Grabowskiego — ale związek przyjacielski trzech dubrów przetrwał dłużej lata. Wspomina o nim Zaleski w „epyllu” „Trzej rówiennicy”: „Bohdan, Seweryn, Michał — Między nami trzema — Odgrywa się osobna niejako poema; — Wszyscy trzej bo równi, z jednego my gniazda — Porwali się do lotu i jedna nam gwiazda — Mrugnęła w drogę z góry ku ziemskiej zamieci...”

Okolo tego czasu ojciec Goszczyńskiego utracił miejsce w Chłystynówce, Seweryn więc wakacje letnie roku 1819 spędził jako nauczyciel u pp. Chaborskich w Hordaszówce nad Tykicem. Tu napisał „Sonety” i „Tryolety”. Po wyjeździe z Humania Grabowskiego Goszczyński z Zaleskim, wraz z Faustynem Kamińskim, Janem Krechowickim, Józefem Chrapczewskim i Wacławem Piławskim, utworzyli kółko kolegów, związanych z sobą aspiracjami literackimi, — ale niestety i to grono miało się rozprószyć. Wśród części młodzieży szkolnej powstało niezadowolenie z powodu despotycznych rządów prefekta Skibowskiego. «Było nas kilkunastu mniej więcej zwariętych», pisze Goszczyński w pamiętniku. Powstało wrzenie; przywódcami malkontentów byli Goszczyński i Zaleski. Goszczyński napisał satyrę na ks. Skibowskiego, która miała wielkie powodzenie w szkole; jednocześnie głosiła była jego «Duma na gruzach ojczyzny» («Mówcie, jak pani północy — Z królem zdradzieczkiem zwołonia i t. d.»). W końcu r. 1819, a w połowie roku szkolnego Goszczyński i Zaleski demonstracyjnie opuszczają szkołę humańską; Goszczyński klasę V-tą, Zaleski VI-tą. (Opowiadanie Kaspra Pokrzywińskiego — p. art. Rawity Gawrońskiego w Przewodniku nauk. i liter. 1901 — jakoby Goszczyński wypędzony został ze szkół humańskich przez prefekta Skibowskiego za ową dumę, nie zgadza się z relacją samego poety).

Po opuszczeniu szkół humańskich, Goszczyński tułał się przez kilka miesięcy między domem rodziców, którzy zamieszkali z początku w Swinarsce, potem w Humaniu, a domami przyjaciół szkolnych. Dnia 20 września 1820 r. Goszczyński udaje się, wraz z Zaleskim, do Warszawy. Niebawem został tu przyjęty do tajnego związku «Wolnych Braci Polaków». Ceremonię przyjęcia Goszczyński opisał później (1824) w wierszu «Rejtan». Za przyznaniem się jego przyjęty też został do związku Zaleski. Dawniej napisane trzy «Sonety» i dwa «Tryolety», oraz w r. 1820 utworzoną obszerną z 33 zwrotek sześciowierszowych złożoną dumę «Śmierć Stefana Czarnieckiego» ogłosił też (1821) w tygodniku «Wanda», redagowanym przez F. S. Dmochowskiego. Dumą tą napisaną pod wpływem «Pieśni historycznych» Niemcewicza, lecz

pomimo to, jak zauważył Grabowski (Liter. i kryt. II, 105), zabrzmiała w niej po raz pierwszy tony przeciągłe, smutne, ukraińskie. W roku 1821 Goszczyński powziął zamiar wyruszenia do Grecji, na pole walki o wolność; spaliwszy więc świeżo napisany romanś swój prozą p. t. «Gostaw», wsparty przez Zaleskiego 10-ciu złotymi, uzyskanymi ze sprzedaży kolbry, opuszcza w sierpniu Warszawy i wyrusza pieszo na Ukrainę, aby stąd na Odessę udać się do Grecji; ale zamiaru tego, z powodu braku środków materyalnych, nie udaje mu się do skutku doprowadzić.

Od roku 1821—1828, przez lat siedm, Goszczyński przebywał węgla na Ukrainie — ale przenosi się z miejsca na miejsce, ścigany ciągle przez policyę za wiersze patryotyczne, które krążyły po Ukrainie w licznych odpisach. Najczęściej bawił w Leszczynówce, blisko Humania, u Krechowickich, i w Aleksandrówce (w p. czehyńskim) u Michała Grabowskiego; przebywał nadto przez krótki czas w Kajetanówce, w Humaniu, w Kijowie i w innych miejscowościach. Od października 1822 do marca 1823, przez pół roku, mieszkał u kolegi swego Teodora Wołoszowskiego, w Stawkach (w p. olchowskim), należących do Jaroszyńskiego. Na wiosnę r. 1823 Goszczyński gościł u tegoż przyjaciela swego, w Hajsynie; wtedy napisał pierwszy swój utwór, w którym zerwał z manierą szkoły pseudo-klasycznej; jest to «Ostatnia przechadzka» (drukowana później w «Astrei» Grzymały w r. 1825); miał ją już pod wpływem pierwszego tomiku poezyi Mickiewicza, z zwiastującą jego «Romantyczność».

Rok 1824 był szczególnie dla Goszczyńskiego ciężki; mieszkał wtedy w Humaniu, u rodziców, którzy cierpieli nędzę. Przez pięć miesięcy musiał się ukrywać, wychodząc na świat tylko w ciemną noc; to ciągłe ukrywanie się dręczyło poetę «dyaibelnie», jak pisze w liście do przyjaciela (Wacława Piławskiego) w czerwcu: «Co za męka pięć miesięcy rekolety, nigdzie nie być, nikogo nie widzieć, — nie nie spać, nie nie móc. Prawda, że marzyć i trawić się mam teraz pole, ale któryż zbytek nie uprzykrzy się? Moje szalenie to rymowania tak mi zbrzydło, że ledwie patrzeć na wiersze mogę; jednak muszę je robić...». W tym roku, «w dniach przesładowania i tułaczki», jak to nazwał poeta, napisał w Humaniu dużo znamiennych, pełnych siły, poezyi: takie rozgłosne wkrótce «Modlitwa wolnego» i «Uczta zemsty», oraz «Rejtan», «Kłątwa sumienia», «Larwa niewoli», «Ojczyzna do syna przesładowanego» («Ojczyzna-matka»), «Korab wolności» i inne. Jeszcze w lutym tego roku, kiedy zmuszony był odbywać swoje wycieczki na cmentarz i do Zofiówki, powstał poemat «Noc w Żofiówce», pod względem formy i treści utwór pokrewny «Ostatniej przechadzce». Forma «rozczochrana», luźna; nastroj melancholijny jest nie po części wynikiem rozczuwiania się w takich utworach, jak «Pieśń Ossyana», «Nocy» Younga i apokryficzne «Marzenia Tassa» w przekładzie Adama Kasperowskiego (Warsz. 1820). I w «Nocy w Żofiówce», jak w «Ostatniej przechadzce», widoczne już jest to, cha-

rakteryzujące i późniejszą twórczość Goszczyńskiego, panteistyczne «wyczuwanie duszy natury», jak je nazwał Wasilewski.

Na wiosnę r. 1826 Goszczyński przybył do Leszczyńki, należącej do rodziny Jana Krecchowickiego. Ten pobyt w Leszczyńcu był dla Goszczyńskiego, jak pisze w wspomnieniach, ważny pod względem obeznania się z literaturą angielską, której dotąd nie znał prawie. «Przeczytałem całego Szekspira, Byrona, Waltera Scotta, Moora, niektóre zbiory ballad szkockich i angielskich» (zapewne w przekładach francuskich). «Czytanie to w tajemniczość mię wciągnę, niż dotąd w sztukę pisania oryginalnego. Zaczęłem pisać «Zamek Kaniowski» — myśl zrodzona przed laty trzema, ale dziś inaczej rozwijająca się. Z polskiej literatury oprócz Mickiewicza dała mi bardzo Malczewskiego swoją «Maryą». Od razu poczułem wysoką wartość tej poezji, bo miałem zawsze głębokie poczucie prawdziwej poezji». W tym roku Goszczyński odnowił dawny przyjacielski stosunek z Michałem Grabowskim, który często przyjeżdżał do Leszczyńki («Była to dla mnie wielka radość, nie widziałem go od r. 1821, kiedyśmy się rozstali w Warszawie»). Wtedy utworzyli we trzech (Goszczyński z Krecchowickim i Grabowskim) ognisko literackie i postanowili wydawać «Rocznik Ukrainki». «Z mojej strony, «Zamek Kaniowski» (pisze Goszczyński); Grabowski pisał powieść «Libeda» z czasów słowiańskich i rozprawę o romansach polskich, recenzję «Pojaty» Bernatowicza i t. p. Krecchowicki rozprawę o poezji ówczesnej, o «Maryi» Malczewskiego. Był to czas, w którym życie moje rozwijało się w pełni i wszechstronnie, jak nigdy... W kwiecie wieku, pełen życia, zapалу, nadziei i miłości... Sam się zdumiewam dzisiaj, kiedy robię przegląd tego, co przeżyłem w kilkunastu miesiącach tego roku i następnego...». W r. 1827 Grabowski zabrał Goszczyńskiego do swej Aleksandrowki; tu w przeciągu trzech tygodni poeta poprawił ostatecznie dwie pierwsze części «Zamku Kaniowskiego» (jeszcze przedtem przesłał je do Warszawy) i napisał trzecią. Grabowski zrobił przypisy i cały rękopis wyprawiono do Warszawy dla ogłoszenia drukiem. «Praca tych kilku tygodni — pisze Goszczyński — ogromnie rozruszała mego ducha; pamiętam, że w drodze do Leszczyńki, rozwijałem Grabowskiemu takie idee o poezji, że się zdumiewałem...»

Wyjątki z drugiej części «Zamku Kaniowskiego» drukował w r. 1827 Ordyńc w «Dzienniku Warszawskim». Gdy się poemat ukazał w całości w r. 1828, klasyki byli oburzeni; sztydził z rozmowy puszczeków, z wisielca, «dyndującego na haku» (Kozmian). Nawet Franciszek Morawski w liście do Kozmiana pisał takie słowa: «Cały tydzień na moją zwykłą chorobę leżałem w łóżku i wiesz, com robił? Oto drugi raz czytałem «Zamek Kaniowski!» Szczęściem, że mnie nie dobił! Przez jakież konwulsje przechodzić trzeba. Wszystkie razem budzi uczucia: śmiech, gniew, oburzenie, a najwięcej litość. Ale co mnie najbardziej zasmuca, to ta mowa polska, która już do tego stopnia upada, że podobne dzieła nie tylko głoszone drukiem, lecz

i czytane bywają. Jakże krótkiego czasu było trzeba do tak sprostego jej oskarżenia!» (Siemiński: «Obóz klasyków» 111—112).

W roku 1828 Goszczyński zwiędził z Grabowskim, w charakterze jego lokaja, Wiedeń. Z powrotem puścili się na Kraków do Warszawy, ale tutaj bawili bardzo krótko; z powodu wykrycia przez policję łacoguta Goszczyńskiego musiał Grabowski, ostrzeżony przez wiceprezenta Lubowidzkiego, zabrać przyjaciela na Ukrainę. Aż do lipca r. 1829 przebywał Goszczyński w Mrozowiczach na Wołyniu (na pograniczu galicyjskim); potem przez część r. 1829 i 1830 — to w Leszczyńcu w Krecchowickiego, to u Grabowskiego w Aleksandrowce. Tymczasem napisał kilka wierszy patryotycznych, m. i. «Święto Trzeciego Maja» (w Aleksandrowce), oraz poemat, «legenda» p. t. «Polak w Jasyrze» (który zaginął). Wcześniej jeszcze (jak twierdzi A. Giller) napisał Goszczyński «Hymn do wolności», 800 wierszy zawierający (nieznany). Około tego czasu powstał też może poemat «Werajhora», który zaginął w r. 1831.

Po długich staraniach, wyrobiwszy sobie paszport, Goszczyński udaje się wraz z Grabowskim w maju, czy czerwiec 1830 r. do Warszawy, z zamiarem osiedlenia się tu «na zawsze». Przybyli do stolicy «jeszcze w czasie sejmu». Tu wstąpił Goszczyński niebawem w stosunki z podzięciem, która się zbierała u Mochackiego, Józefa B. Ostrowskiego, i u w redakcji «Dziennika Powszechnego» i «Kuryera Polskiego». Do kółka tego należeli: Jędrzej Moraczewski, Ludwik Nabelak, Stefan Witwicki, Bohdan Zaleski i inni; z kółkiem tem był w stosunku Lelelew. «Nie spuszczając się na dochód z pism swoich», Goszczyński zarabiał na utrzymanie, tłómacząc wraz z Mochackim i innymi, dla drukarni stereotypowej Waleryana Krasieńskiego, romans Waltera Scotta «Klasztor». Przetłóczył tom I i wszystkie wiersze w innych tomach. Tłómaczył z niemieckiego, Mochacki zaś poprawiał z oryginału angielskiego. Jednocześnie oddał do cenzury zbior swoich poezji lirycznych, pisanych w latach 1823—1828, przygotowanych dawniej do druku, które obecnie uzupełnił utworami, powstałymi w l. 1829—1830. W liście do Wacława Piławskiego w r. 1830 pisał m. i. o ówczesnym ruchu piśmienniczym w Warszawie: «Życie literackie jest tu w wielkim ruchu. Szkoła (ponieważ starych tak nas nazwali) młodych pisarzy strzymała zupełną przewagę i pognębiła starych niedolegów. Nakoniec sami przyznali wyższość talentów naszym pisarzom i krytykom, niektórzy zupełnie umilkli, inni zaledwie bąkają. Nic ciekawszego, jak teraźniejsze spory literackie i nie zjadliwszego, można powiedzieć. Ależ bo dzielnych mamy zapasników. Na czele naszej strony stoją: Mochacki, jeden z redaktorów dawniej «Gazety Polskiej», a dziś «Kuryera Polskiego», i Ostrowski, piszący do «Dziennika Powszechnego» (te dwie gazety są jedynym organem naszych najnowszych opinii). Mochackiego artykuły nacechowane są polszczyzną, uznaną przez samych nieprzyjaciół za najpiękniejszą dzisiaj, okropną uszczypliwością i wielkimi wiadomościami. Właśnie dzisiaj czytałem z nim

artykuł, napisany przeciw niemu, gdzie go nazywają Robespierem literatury, bandytą i t. p. Tyle dojadła przeciwnikom. Ostrowski pisze z niezwykłą mocą i ogniem; o tym powiadają, że, jak Napoleon, wali wszystko, co mu się nawinie. Świeży tego był przykład na Brodzińskim. Miał on wydać trzy tomy swoich pism, ale Ostrowski tak napisał o pierwszym, wyszłym z druku, że Brodziński zatrzymał ogłoszenie dalszych. Z tego też powodu starzy udają się do intrygi, często bardzo podłych. Kozłianin dawał obiady dla Rady administracyjnej, ażeby zabroniła wychodzenia «Kuryera Polskiego»; na Radzie uniwersyteckiej podano projekt prośby do ministra, ażeby nie wolno było pisać przeciw profesorom. Oskarżają nawet młodą szkołę, że jej literackie zasady okazują wyraźną rewolucyjną dążność. Dotąd jednak nie jej zrobić nie mogą. Owszem, opinia coraz więcej nam sprzyja...»

Wkrótce po przybyciu do Warszawy wszedł Goszczyński do Związku wojskowego, którym kierował Piotr Wysocki. Wraz z Nabielakiem, z którym się ściśle związał (byli podobni do siebie pod względem usposobień i charakterów), pamiętnej nocy 29-go listopada należało do wyprawy tych kilkunastu śmiałości, przewzanych później «Belwederczykami», którzy dokonali napadu na Belweder. W grudniu Goszczyński wstąpił do gwardyi honorowej, a po jej rozwiązaniu, jako ochotnik przy korpusie gen. Dwernickiego, walczył w bitwach pod Stoczkiem i Nową Wsią. Był następnie adjutantem ministra wojny, gen. Franciszka Morawskiego. W ciągu powstania pisał utwory, wywołane ówczesnymi wypadkami, i pieśni bojowe, jak: «Skowronek», «Kosynier», «Piorun w Siedleach», «Kochanka żołnierza», «Piosenka», «Orzeł Biały», «Marsz za Bug» (do tej, pełnej energii bojowej, pieśni dorobił muzykę Józef Dobrzyński; była śpiewana na obchodzie publicznym 29 czerwca 1831 r.). «Chmura», «Śpiew ludu polskiego», «Antychryst wolności» (czytany na posiedzeniu patriotycznym dnia 29-go grudnia 1830 r.), «Powstanie Polaków» (kantata na półroczny obchód dnia 29-go listopada). Utwory te ogłosił w połowie roku 1831 w osobnym zbiorku p. t. «Pobudka» (Warsz. 1831). W tym samym zbiorku wydrukował cztery «Proroctwa Izajasza», napisane na rok przed powstaniem listopadowym, ponieważ, jak objaśnia, dają się odnieść do wypadków roku 1830—1831. Przedtem (w marcu) ogłosił w «Nowej Polsce» J. B. Ostrowskiego (1831) dwa swoje wiersze z roku 1824: «Modlitwa wolnego» (Nr 67) i «Uczta zemsty» (Nr 74), które wywołały oburzenie wśród duchowieństwa i sfer klerykańych. Gdy wyszła «Modlitwa wolnego», biskup płocki Prażmowski oskarżył przed Rządem Narodowym prasę rewolucyjną o bezbożność. Rząd polecił rozpatrzenie tej skargi ministrowi oświaty Lelwelowi, lecz ten w «Modlitwie wolnego» nie znalazł nic bezbożnego. Goszczyński zaś odpowiedział na skargę duchowieństwa wydrukowaniem w tejsze «Nowej Polsce» «Uczty Zemsty», a przedrukowując w lat kilka po powstaniu oba wiersze w swoich «Trzech strunach» (1839), wyjaśnił w dłuższym przypisku swoje stanowisko, zapewniając, że «tylko dobrodusze

głupstwo nie potrafi ująć istotnego ich ducha», i że nigdy się tych poezyi nie zaprze. Po wyjściu «Uczty zemsty», na rozkaz biskupa Skórkowskiego, kanonik krakowski Jan Stanisław Przybylski napisał i ogłosił bezimiennie broszurę p. t. «Ho! ho!», wyrażoną przeciwko «Nowej Polsce» i wierszom «za dyktowaniem czarta» pisanym.

Po kapitulacyi Warszawy, Goszczyński wraz z korpusem głównym gen. Rybińskiego przeszedł granicę pruską. Wtedy napisał tęskny wiersz «Wojsko Polskie, wychodzące z Polski» (inaczej «Wyjście z Polski») (podpisany: «Wrzesień 1831. Granica pruska»). Przez Pomorze udał się do Galicyi. W listopadzie 1831, już w Galicyi powstał jego wiersz «Wyprawa braci wychodźców». W przeciągu lat siedmiu pobytu swego w Galicyi Goszczyński rozwinął żywą działalność polityczno-społeczną i literacką. W początkach roku 1832 powstał w Łwowie, dzięki jego inicjatywie i zabiegom, demokratyczny, «Związek dwudziestu jeden», do którego należeli też Pol, Bielowski, Steniewski i inni. Przy współdziałaniu Bielowskiego, Pola i innych zamierzył teraz wydawać czasopismo. Komitet ziemski obiecał popierać materialnie pismo; gdy jednak Aleksander Fredro, jeden z członków komitetu, zażądał, żeby każdy artykuł przed ogłoszeniem poddawany był cenzurze komitetu, motywując swoje żądanie obawą skądinąd tendencyi w piśmie, przyczem wskazał na jeden z wierszy Goszczyńskiego z r. 1824 (zapewne «Uczta zemsty») — wydawnictwo nie doszło do skutku; odtąd datuje się niechęć Goszczyńskiego do Fredry.

W Galicyi Goszczyński zmuszony był, jak i niedługo na Ukrainie, błądzić przez polięgę, przenosić się z miejsca na miejsce. Najczęściej bawił w Mikołajowicach pod Tarnowem, u przyjaciela swego i kolegi z powstania, poety Józefa Tetmajera. Tu przełożył pieśni Ossyana (w 1832, wyd. 1838). W kwietniu r. 1832 Goszczyński przeniósł się do wsi Łopusznej, należącej do Tetmajerów, pod Nowym Targiem, skąd robił wycieczki w Tatry. W maju pożegnał się w Nowym Targu z Bohdanem Zaleskim, który wyprawił stąd na zachód (zob. «Dzien. podr. do Tatr», 68). Wędrowki te natychmiast do napisania «Dziennika podróży do Tatrów» (od 4-go kwietnia do 1-go listopada 1832). Wyjątki drukował w «Powszechnym Pamiętniku nauk i umiejętności» 1835, całość zaś dopiero w r. 1853 w Petersburgu) i poematu pod tytułem «Koscielisko», którego część tylko wykonał, bawiąc w Mostkach pod Lwowem w r. 1833, u krewnych Wincentego Pola, i ogłosił p. t. «Sobótka» w noworoczniku «Ziemiańca», wydanym w r. 1834 przez A. Bielowskiego. W tych latach pisał też wiele wierszy lirycznych, przeważnie patriotycznych i politycznych («Z więzienia», «Głębiarz», «Mara ojczyzny», «Wojsko królowej Jadwigi», «Czarne satchnienie», «Uniewinnienie poety», «Do ludu Moskiewskiego», «Do świętych», «Pólnoc Krakowska», «Muzyka wojskowa» i inne). W ciągu wędrowek swoich Goszczyński prowadził propagandę patriotyczną wśród ludu — w Tarnowskiem, w Nowotarskiem, na Spizu i w Ta-

trach. Kaczkowski, który widział Goszczyńskiego w domu rodziców swoich w r. 1853, tak go opisuje: «Był to jasny blondyn, z ogolonymi wąsami, cerą miał chropowatą, oczy siwe, bez blasku, ale z pewnym surowym połyskiem, ruchy miał twarde i sztywne, wymowę zimną, ale gwałtowną, którą chciał każdego nie rozgrzać, ale przekonać i porwać i którą często sam, się unosił».

W roku 1834 Goszczyński przeniósł swoją działalność do Epitłej Krakowskiej. W wolnym miesiącu Krakowie napisał ustawę dla nowego związku, który nazwał «Stowarzyszeniem Ludu Polskiego». Wraz z Leonem Zienkiewiczem, Lesławem Łukaszewiczem i innymi, Goszczyński był członkiem władzy naczelnej («Naczelnego Zboru») Stowarzyszenia. Do stowarzyszenia wstąpił niebawem Szymon Konarski, który dla rozszerzenia związku, jako emisariusz, wysłany został na Litwę, Wołyń, Podole i Ukrainę. Gdy w r. 1835 Zienkiewicz rozpoczął wydawać w Krakowie miesięcznik p. t. «Powszechny Pamiętnik nauk i umiejętności», Goszczyński został współredaktorem pisma i gorliwym współpracownikiem. Pomiścił tu, oprócz przedmowy, szereg artykułów i poezji (wyjątki z opisu podróży do Tatr, recenzje «Gaiura» Mickiewicza, «Wyprawy Igora» Bielowskiego, «Korsarza» Odyńca, oraz głośną rozprawę p. t. «Nowa epoka poezji polskiej», w której surowo ocenił twórczość młodych poetów i swoją własną i domagał się poezji narodowej. Po zajęciu Krakowa w lutym r. 1836 przez Austriaków wydawnictwo «Pamiętnika» zostało przerwane, a Goszczyński, aby uniknąć aresztowania, wyjechał do Lwowa, gdzie utworzył nową władzę «Stowarzyszenia»; weszli do niej, między innymi, Franciszek Smolka i Florian Ziemiakowski. Tropiony przez policję austriacką, ukrywał się czas jakiś, w końcu opuścił w r. 1838 Galicyę i udał się do Francji.

W Strasburgu Goszczyński założył, wraz z Zienkiewiczem, Łukaszewiczem i Siemienińskim, pismo satyryczne o tendencji antyarystokratycznej, p. t. «Psonka»; umieścił tu (od 1838—1842) sporo artykułów, społecznych i literackich: «Kilka słów do szlachty», «Słowo do szlachty, co szerze chce Polski», «Słowo do tych, co chcą Polski, a nie chcą jej robić i wiele innych. W r. 1838 ukazało się pierwsze zbiorowe wydanie jego «Pism» we Lwowie (Wiednia). Na cześć rozstrzelanego w Wilnie Szymona Konarskiego emigranci w Strasburgu urządzili obchód w dniu 2-im kwietnia 1839, na którym Goszczyński odczytał wiersz swój «Cześć poświętna Konarskiemu». Ze Strasburga udał się do Paryża; zaraz po przybyciu (w marcu) poznał się z Mickiewiczem i Słowackim; znalazł tu też dawnych towarzyszy swoich, Nabelaka, Tetmajera, Zaleskiego. Pierwszy pobyt Goszczyńskiego w Paryżu był krótki; jeszcze w r. 1839 zamieszkał w Neuilly nad Marną; tu 8-go lipca podpisał przedmowę do zbioru swoich poezji lirycznych, politycznych i patryotycznych, pisanych od r. 1824, który wydał w tym roku w Strasburgu p. t. «Trzy struny». W przedmowie tej wyraził się o tych utworach, że były «pisane po największej części pod bodź-

cem chwilowych wypadków, pod wpływem zewnętrznych okoliczności, w natchnieniach jak wichur burzliwych, natających jak meteor, nie są, nie mogły być utworami, rozwadnie obudzianymi, swobodnie wyłowianymi, obrabianymi starannie... Te poezye są to właściwie improwizacye, z całą niepoprawnością improwizacyt... W lipcu jeszcze był pod Orleanem w Meung nad Loarą; stamtąd poszedł się do Angoulême na robotę szluzową przy budowie kanału. Uciążliwy trochę grosz, w lecie r. 1841 osiadł w Paryżu.

W pierwszych latach po opuszczeniu Galicyi powstały następujące utwory poetyckie Goszczyńskiego: poemat «Anna z Nabrzeżania» (1840), oraz trzy powieści, poetycka proza pisane — «Król Zamysły» (pis. 1839—1840), «Straszny Strzelec» (1841), drukowany w «Noworoczniku Demokratycznym» w r. 1842, i «Oda» (1842). W latach 1840—1842 w «Piśmie Tow. Demok. Polskiego» i w «Demokracji Polskiej», organie Towarzystwa demokratycznego Goszczyński pomieścił szereg artykułów polityczno-społecznych i literackich, lub członkiem Towarzystwa nie był — m. i. następujące: «Moralna podstawa sprawy polskiej» («Katolicyzm, czy papizm»), «Główny żywioł demokracji polskiej», «O potrzebie narodowego polskiego malarstwa»; z literackich szczególnie pełne są, pod względem treści i formy, zbiory krytyczne «Pamiętek Soplicy» i poezji Zaleskiego.

Dnia 2-go sierpnia 1842 Goszczyński wszedł do Kolea Towiańskiego; przyjął ideę Towiańskiego, jak sam się wyraził, «ostatecznie i na zawsze». Od 4-go października tego roku zamieszkał ze Słowackim przy rue de Ponthieu (Nr 30); Słowacki ofiarował mu przytułek u siebie, gdyż był w smutnym położeniu materialnym. Od czerwca 1843 już zapewne razem nie mieszkali, Słowacki bowiem w tym czasie zerwał stosunki z «Kolem». Przystąpienie do «Kolea» wyznawców nauki Towiańskiego wywołało w Goszczyńskim zupełne przeobrażenie duchowe; świadczą o tem ówczesne jego pisma. W liście do pewnej Wielkopolanki pisał pod koniec r. 1842: «Do zgubnych obłąkań liczę t. zw. dzisiaj zasady depokratyczne, które, pod świętymi pozorami wolności, życia, szczęścia ludów, nie są niczem innym w istocie swojej, tylko obświeceniem siły materialnej, interesu materialnego, jednym słowem — materji, która jest śmiercią na pogrzebie ducha, który jest życiem, a przez to prędzej lub później zniszczyłyby wszystko, co jest wielkie, święte na ziemi, zabiłyby ludy w ich duchu; ośół przyczyna, że się ich wyrzekłem, a ukorzyłem się przed tem, co mi odstoniło całą przepaść moich błędów, a wprowadziło mnie na drogę prawdy, t. j. przed słowem Chrystusa». Duchem mistycyzmu nacechowane są prace Goszczyńskiego, ogłaszane w latach 1843—1845 w czasopiśmie poznańskich. Do nich należą: «Stanowisko poetów w społeczości» (w «Roku» 1843), «Z dziennika artysty: porównanie świata wewnętrznego człowieka ze światem zewnętrznym» (tamże); «Słowo o poświęceniu» (w «Oreodniku naukowym» 1844). W tym samym duchu napisał

«Rzut oka na żywot Antoniego Malczewskiego» (1844 przy lipskim wyd. «Maryi»).

W czerwcu 1848 Goszczyński, kierownik jednej z siódemek, na które «Kolo» było podzielone, odbył pielgrzymkę do Brukseli, aby zetknąć się osobiście z Towiańskim, s sąd do Waterloo, aby zspodnie się z duchem Napoleona. Gdy w połowie lipca 1848 Mickiewicz wyjechał do Brukseli, zastępca jego w «Kole» został Goszczyński, jako najgorliwszy wyznawca, ale nie umiał, jak Mickiewicz, utrzymać w karności «braci». Po zerwaniu Słowackiego z «Kolem» w pierwszych dniach listopada 1848 r., Goszczyński, z polecenia zastępcy Mistra, Mickiewicza, wypowiedział na piśmie swój sąd o postępkach Słowackiego; musiał go ze swego stanowiska potępić. W kwietniu 1846 r., wskutek odstąpienia Mickiewicza, «Kolo» rozpadło się na dwa odrębne koła: Mickiewicza i nowego zastępcy Mistra — Karola Różyckiego; Goszczyński nie opuścił Mistra, ale upadł na ducha. W dodatku bieda, jak zwykle, dokuczala mu niechętnie. W serdecznej przyjaźni żył wtedy z Nabelakiem; wzajem sobie pomagali, jak mogli. Goszczyński zmógł głód i niedostatek po stoisku — «powtarzało się to często, a wówczas mawiano sobie o nim: «Severyn znów łapie ssie». W maju r. 1847 Goszczyński zbliżył się znowu ze Słowackim. Wezwany przez Towiańskiego, wyjechał w czerwcu do Szawajaryi. W Goszczyńskim zbudził się teraz znowu gwałtowny popęd do twórczości poetyckiej; gdy zwierzył się z tem Towiańskiemu, ten pozwolił mu pisać poezje, czego dawniej nie dopuszczał, nazywając poezję namiastką ziemską; Goszczyński musiał się jednak poddać kontroli Mistra. W poezji widział teraz swoje posłannictwo i jedyny sposób zarobienia na chleb, a Towiański sądził, że przy pomocy Goszczyńskiego, poezja może się okazać skutecznym środkiem do propagandy jego nauki i pasował go na «poetę Nowej Epoki». Ale natchnienie jeszcze nie przychodziło. Z tego roku (1847) pochodzi poemacik Goszczyńskiego «Pozegnanie Maria Stein» (wydruk dopiero w r. 1874). Goszczyński odbył wycieczkę po Szawajaryi; był w Einsiedeln, w Lucernie. W początkach listopada, po czteromiesięcznym z górą pobycie, opuścił Szawajaryę, z powodu braku pieniędzy, i udał się do Strasburga. Tu zabrał się do pracy, chciał bowiem jak najprędzej ogłosić drukiem poezje swoje, nowe i dawne, aby w ten sposób zyskać jakiegokolwiek źródła dochodu. Przełożył teraz dramat E. Raupacha p. t. «Robert Dyabel», który go pociągnął swoją ideą pokuty («Jest to praca, którą z miłością robiłem» — pisał 27 stycznia 1848 r. ze Strasburga). Korespondował ze Strasburga ze Słowackim, który posyłał mu zasiłek pieniężny. W styczniu 1848 Goszczyński wysłał do Mickiewicza list z protestem przeciwko jego wyjazdowi do Rzymu. Nadzieja wydania utworów na razie zawiodła i Goszczyński wrócił do Paryża. W kwietniu tegoż roku czynił starania, aby pojednać Słowackiego z «Kolem»; zwracał się w tej sprawie do Wodza

(K. Różyckiego), ale Słowacki wybierał się wtedy w Poznańskie, a gdy wrócił do Paryża, już go Goszczyński zapewne nie ujrzał. Pod wrażeniem śmierci Słowackiego napisał te słowa: «Ochodzą jeden po drugim bracia nasi, Ojczyzna, ziemia obiecana, daleko, daleko, puszcza wędrowni naszej straszna, a lięba nasza zmniejsza się. Świeczniki, zapalone Duchem Pańskim, gaśną jedne po drugich, jakby pod dmuchem gniew Pańskiego, a droga długa, a noc gęsta, a do świta jeszcze daleko. Nie tak miasto być; nie o to Bóg się z nami umawiał, nie tego chciał, nie na to nas powołał, nie tego się po nas spodziewał. Uderzmy się w piersi: nasza wina! Wina tych, co zesłał; wina tych co pozostał. Błagajmy Boga, aby nas do szczytu nie wytracił na jego Ojczyznę oznakowanej».

W roku 1852 znalazł wreszcie nakładcę na zbiór poezji swoich, nowych i dawniejszych, we Wrocławiu (Schlettera), a w następnym roku na «Dziennik podróży do Tatrów», który wyszedł nakładem Wolffa w Petersburgu. Pomimo to żył w tych latach w wielkiej nędzy; pod dniem 22-im lipca 1854 zapisał w swoim dzienniku: «Od dni kilku żyję znowu chlebem i wodą; wczoraj wydałem ostatnie trzy grosze; dziś jestem bez grosza, bez nadziei pożywienia, dostania gdziekolwiek. Nie wiem, co dzisiaj będę jadł i czy będę jadł. U braci (towiańczyków) żadnego ratunku; jedni nie mogą, drudzy niechętni. Oto wielka część mojego życia we Francji, największa od czasu, kiedy wszedłem do sprawy Bożej, kiedym zrobił rozbrat ze światem. Nie mam siły do pracy, mogę tylko modlić się, praca w tym stanie jest mi niepodobna; już to nie troska pogonia o przyszłość pochłania wszystkie myśli inne, ale cierpienie głodu obecnego, ale osłabienie ciała obecne odejmuje wszelką władzę... Boże, zlituj się nade mną!» Nasajtrż pisał: «Jestem spokojny, swobodny, silny, chociaż wczoraj nie jadłem, jak koło wieczora kawałek chleba... po tej próbie czuję, że człowieka osłabia nie liche jedzenie, ale brak rezygnacji, ale smutek, że nie ma co by zwyczajnie mieć powinien... Cały dzień pracowałem nad «Boga rodzica» (poemat wydruk. w r. 1864). Pod dniem 3-im maja r. 1855 Goszczyński zapisał: «Cały dzień zszedł na syciu chustek ze starej koszuli; podkładałem kapelusze zużyty, naprawiałem trzewiki. Tak obchodziliśmy rocznicę Konstytucji 3-go Maja. Zresztą czulem się w duchu bardzo dobrze». Pod pierwszym wrażliwym zgonu Mickiewicza Goszczyński napisał «Pieśń pogrobną Mickiewiczowi», a w dniu 7-mym grudnia tegoż roku zapisał w notatniku: «Niepodobna wyrazić, co ja czulem, jak wszystko zaczyna rzucać się przeciwko niemu... Zdumiałem się nad tem zjawiskiem. Z tej próbki na małą skalę, jaką miałem dzisiaj, widzę jasno, jak wszystko, co było w jego siewoli, otrząsa się po poganiu ze swoich kajdani: jedni, jako siłkczenni, nim dostaną drugiego pana, drudzy, jako skrzywdzeni jego odstępstwem od Sprawy i przez to pozbawieni drogi prawdziwej, którą od niego tylko zwiać mogli...»

W dniu Nowego roku 1856, «pod wpływem ówczesnych wypad-

ków», przyszedł Goszczyńskiemu do głowy pomysł napisania «Postania do Polski». W dniu 10-ym stycznia zapisał w dzienniku, że skończył kolendę do Polski (p. D); pisał ją całą noc. Później nastąpiła przerwa w tworzeniu. W początkach roku następnego (1857), z powodu złożeń w ambasadzie rosyjskiej w Warszawie, pomiędzy nimi i Goszczyński, utracili posady swoje w szkole polskiej na Batignolles; Goszczyński właśnie niedawno przedtem otrzymał tu zajęcie jako bibliotekarz. Do zarządu szkoły należał Bohdan Zaleski. Goszczyński boleśnie odczuł, że i drugi go «potępił bez poprzedniego wysłuchania, a tymczasem chodziło tu o jego najdawniejszego przyjaciela» (pisał w pamiętniku pod d. 24 paźd. 1857). Około r. 1858, gdy go odwiedził w Paryżu Kaczkowski, Goszczyński mieszkał wtedy na rue de Seine, w hotelu Montblanc, na 6-m piętrze, w maleńkiej izdebce, wyłożonej ceglami; ubrany był w niebieską bluzę i grube trzewiki, nabijane gwóźdźkami. Siedząc na niskim żelaznym łóżku, opowiadał Kaczkowskiemu swoje wspomnienia.

W listopadzie, za pobytu w Nanterre, dokończył «Postanie do Polski», a w styczniu 1858 stycznia przesłał Towiańskiemu rękopis do aprobaty; aprobaty nie otrzymał, a przebrałbił poemat według wskazówek Mistra; nie miał ochoty. Niebawem zaczyna się otrząsać z pod teroru moralnego, praktykowanego przez Towiańskiego. Autorytet Towiańskiego, jako «Mistrza», zaczyna upadać w oczach Goszczyńskiego. W sierpniu r. 1860 postanawia zerwać z bezczynnością i «oddąć się praktycznie służeniu ojczyźnie». Ogłosił teraz niektóre części (V—VII) «Postania do Polski» w lwowskim «Dzienniku literackim» (1861); nie go już nie obchodziło, co na to powie Towiański. Gdy w r. 1863 wybuchło powstanie, Goszczyński postanowił stanąć w szeregach walczących, i tylko choroba powstrzymała go od wyprawy do kraju. Na uroczystości poświęcenia pomnika Mickiewicza na cmentarzu Montmorency d. 21-go maja 1867 Goszczyński napisał mowę, którą, z powodu nieobecności chorego autora, odczytano. Jako jeden z członków komitetu, założonego w roku 1868 «Stowarzyszenia pomocy naukowej w emigracji», ułożył odezwę, datowaną 20-go listopada 1868 r., w której wzywał do spokojnej pracy dla dobra Ojczyzny. Dnia 25-go grudnia tegoż roku podpisał przedmowę do napisanego przed 12-ta laty «Postania do Polski», które wyszło z druku w początkach r. 1869. Pol, pod wrażeniem utworu, wywosytował list do poety, wyrażając się z wielkim uznaniem dla poematu. W tym samym roku spisał wspomnienia swoje z r. 1830 p. t. «Noc Bielwederska» (druk. 1870). Dnia 8-go kwietnia 1870 r. wygłosił w «Stowarzyszenia P. N. w emigracji» odczyt p. n. «Rzecz o poezji polskiej» (druk. w r. 1876), w której, wychodząc z założenia, że «nie poeta tworzy poezję, ale poezya tworzy poeetę», charakteryzuje «poezję ziemi polskiej», «poezję dziejów Polski», wreszcie «poezję pisaną», dla której tłem są dwie pierwsze.

W l. 1870—1871 Goszczyński przetrwał obłężenie i komung w swoim mieszkaniu przy Avenue du Bel-Air; cierpiał wtedy z powodu zimna i głodu strasznie. Podczas obłężenia zanotował: «Nie boję się bomby pruskiej — dla mnie każdy dzień jest, jak bomba — może mnie zabić głodem». Gdy go pod koniec obłężenia odwiedziła Nabilekowska, zastała go w opiekanyj stanie: opuchły z głodu i zimna leżał na tapczanie w izdebce bez sprzętów i nie opalonej. Gdy przyszły dni głoda i zimno zaczęło mu dokuczać, musiał książkami i rękopisami palić na kominku i ciężko się rozchorował i byłby może zginął z głodu i wodnej puchliny, gdyby nie susiadujący z nim staruszek lekarz Polak, który pielęgnował chorego.

W roku 1872 zaopiekował się wycieńczonym starcem Agaton Giller. W kwitniu tego roku opuścił Goszczyński Paryż i udał się do kraju. Dnia 23-go kwietnia przybył do Krakowa, witany uroczystie przez grono obywateli — Pola, Siemińskiego i innych. Z Krakowa pojechał do Lwowa, gdzie osiadł. Dnia 7-go marca 1875 r. obchodzono we Lwowie półwiecze jubileusz pracy literackiej Goszczyńskiego. Wygłosił wtedy piękną mowę, składając na ręce jubilata książkę zbiorową p. t. «Solówka», na cześć jego wydana, Kornel Ujejski. Dnia 25-go lutego 1876 r. zmarł Goszczyński we Lwowie (w domu przy ul. Halickiej, pod Nrem 54). Pochowano go na cmentarzu Lwowskim d. 27-go lutego. Na pogrzebie przemówił znowu Kornel Ujejski.

Jeszcze w szczytnej «Modlitwie wieszczą», zamykającej «Postanie do Polski», wypowiedział się Goszczyński przed narodem z czynów życia swego. Pożegnał się z nim w zastanemci swoim poetycznym temi słowy: «Idę w światy, które znam od dawna, o których wam gadałem, a nie byłem zrozumiany. Zapisuję wam mojego ducha z całą moją wiarą, ze wszystkimi jego długami i grzechami. Z mojej ziemi cóż mam zapisać? Nie miałem jej, nie zostawiam nic, tylko ciało, zużyte nędzą.

Chrystus zalecił swoim apostołom otrząsać nawet proch na miasto oporne Słowa Bożemu, proch, który padł na nich z tego miasta; tak i ja, mój narodzie, otrząsam na ciebie proch mój, to ciało moje, które śmierć zdejmie wkrótce ze mnie».

Goszczyński nie był artystą-estetą słowa i formy. Sam w pismach swoich (por. np. przedmowę do «Trzech strun», «Stanowisko poetów w społeczności», przedmowę do «Dzieł» z r. 1851) wyraźnie podkreśla, że «stronę zewnętrzną, formę utworów, ma za rzecz podrzędną»; «w samem tworzeniu zajmowała mię głównie idea, istota utworu». Sam trafnie nazywał swoje poezye improwizacyami. Zasady sztuki dla sztuki nie pojmował i przeciw niej energicznie występował. W jednej z rozpraw swoich o znaczeniu poezyi («Stanowisko poetów w społeczności») napisał te zamienne słowa: Poeta «powinien być człowiekiem czynu. Poeta rodzi się nie dla pisania pięknych wierszy, ale żeby za ich pośrednictwem natchnienia swoje zamieniał w czyny, to jest popychał

ku nim społeczność i sam szedł w pierwszym szeregu, a czyja jest to samo, co poświęcenie się.

Takim poetą był sam Goszczyński.

BIBLIOGRAFIA.

A) Wydania zbiorowe: 1) «Pobudka», Warszawa 1831; zawiera poezye liryczne z lat 1830—1831—2) «Pisma», Lwów 1838 (druk w Wiedniu), 3 tomy; t. I zawiera «Zamek Kaniowski» i poezye liryczne, t. II i III. «Pieśni Osyana», 3) «Trzy stuny», Straszburg 1839—1840, 2 tomiki: «Oddział I» zawiera poezye liryczne z lat 1824—1830; «Oddział II», poezye z lat 1830—31; «Oddział III», zawierający poezye z lat 1832—38 nie wyszedł. 4) «Poezycy», Poznań 1841, 2 tomy. 5) «Dzieła», Wrocław 1852, 3 tomy; t. I zawiera następn. utw.: «Oda», «Straszny strzelec», «Król zamczyński»; t. II poezye liryczne i powieści wierszem; t. III «Sobótka», «Zamek Kaniowski» i «Anna z Nabrzeża». 6) «Dzieła», Lipsk 1870, 2 tomy; t. I zawiera to, co się znajduje w t. I i II wydania wrocławskiego, t. II co t. III. wyd. wrocł. a nadto przedruk «Trzech strun», z danym oddziałem III. — Wydania te nie obejmują następujących utworów Goszczyńskiego, osobno i w czasopiśmie ogłoszonych: «Do przyjaciół» (Dziennik Wileński 1820); «Do R. G. daje jej więzłą kwiatów», «Duma Śmierci Stefana Czarnieckiego», «Tryolety», «Sonety» i «Akrostychon» (Wanda, 1820—21); «Ostatnia przechadzka» (Astraea 1825); artykuły literackie i społeczne, ogłoszone w czasop. Powszechny Pamiętnik nauk i umiejętn. (Kraków 1835), Pzonka (Strasbourg 1838—41), Pismo Towarz. Demokr. pol. (Poiżiers 1840), Demokratsa polski (1841—42) i Rok (Poznań 1843); «Słowo o poświęceniu» (Poznań 1845); «Kilka słów o Ukrainie i rzezi humanitnej» (wstęp do «Zamku Kaniowskiego» przy wyd. lwowskim z r. 1838); «Rzut oka na żywot Ant. Malczewskiego» (przy wyd. «Maryi» lipskiem z r. 1843); «Poznanie Maria Stein» («Warta», książka zbior. ofiar k. Bażyńskiego, Poznań 1874); «Dziennik podróży do Tatrów» (Petersburg 1853); «Bogarodzica» (Bibl. Ossoliń. 1864); «Poślanie do Polski» (Paryż 1869); «Klasztor» W. Scotta, przekład (Warsz. 1830); «Robert Dyabel», dram. E. Raupacha, przekł. (Warsz. 1867); Mowa o Mickiewiczu na uroczystość poświęcenia pomnika grobowego w Montmorency (1867); Odeza od Komiteta Stowarz. Pomocy Naukowej w Emigracji (Paryż 1868); «Noc Belwederska» (Paryż 1870, «Bibl. Ind. polska», 2 tomiki; «Przemówienie... przy złożeniu do grobu ciała s. p. Izabelli Dobrowskiej» (Kraków 1872); «Rzecz o poezyi polskiej» (Album Muzeum Rapperswil 1876); «Noc w Zofjówce» (Głos 1895); urywki z poem. «Koscielisko» (Kuryer Warsz. 1900, nr. 296—298); wiersze liryczne, ogłoszone w Głosie 1893, Kłosach 1866, Kuryerze Warszawskim 1901 (nr 56), Przewodniku nauk i liter. 1901 (marzec), Słowie Polskiem 1902—4, w Albumie Mus. Rapperswil. 1876 («Poślanie Ukraince»), w «Warcie» książce zbior. (Poznań 1874), w liście «Cisza powszechna, jak

po długiej wojnie» (Tyg. ilustr. 1901. nr. 9), wiersz «O moja droga ojczyzna!» (Lwów b. r. (1861) 2 kart.). Pamiętniki i dziennik Goszczyńskiego w rękopisie; Urywek z pamiętnika, dotyczący lat 1826 i 1827 w «Księdze pamiątkowej na uczczenie... Ad. Mickiewicza» (Warsz. 1898). «O kobiecie i małżeństwie» (Z notat z r. 1846... (Bibl. Warsz. 1905, grudz.). Bibliografii utworów drukowanych (niezupełna) podaje Chmielowski w «Złotej Przędzy»; t. I (1884). Utwory w rękopisie pozostałe wymienia Wł. Belza w art. o Goszczyńskim w czasopiśmie lwowskim «Tydzień», 1870, Nr 10 i Zygm. Wasilewski w art. «Nieznane utwory Goszczyńskiego» (Głos 1898). Podobnie autografu Goszczyńskiego dwu strof wiersza «Głos więźnia» (= «Z więzienia») podał Brückner w «Dziejach języka polskiego» (Lwów 1907, str. 119). Listy: Do E. Zamojskiego i Jana Koźmiana z l. 1847—49 (Kron. Rodz. 1882); do Bielowskiego z roku 1840 (Bibl. Warsz. 1884, II i w Kłosach 1885, II); do W. Piławskiego i M. Grabowskiego z lat 1823—1830 w «Księdze Pamiątkowej... Ad. Mickiewicza» I (1898); list do pewnej Wielkopolanki z r. 1842 (Tygodnik Literacki 1843, Poznań); do B. Zaleskiego (I) (Tyg. Ilustr. 1890); do L. Nabcielaka z r. 1838 (w książce Wł. Zawadzkiego o Nabcielaku, str. 30). — Zbiorowe wydanie utworów Goszczyńskiego rozpoczął Zygmunt Wasilewski p. t. «Pisma Sew. G-go. Wydanie kompletne uzupełnione pismami pośmiertnymi», Lwów 1904. Wydawnictwo to ma objąć wszystkie utwory poetyckie i artykuły prozą Goszczyńskiego. Dotychczas wyszły 2 tomy; pierwszy obejmuje: «Zamek Kaniowski», «Sobótkę», fragmenty «Koscieliska», «Annę z Nabrzeża», «Zastony życia», «Gwiazdę pokuty», «Nodam», «Piotra Pzonkę Jasieńczyka», «Skarb ducha», «Ode» oraz pierwociny poetyckie, drukowane w Dzienniku Wileńskim i w Wandzie; drugi: «Pieśni Osyana». Wydania pojedynczych utworów z komentarzami: M. Mazanowskiego: «Król Zamczyński i Sobótka», Bibl. dla młodzieży. Lwów 1896; M. Janika: «Zamek Kaniowski», Arcydz. pol. i obcych pisarzy. Brody 1906 i «Król Zamczyński» (tamże, 1907).

B) Ważniejsze prace o Goszczyńskim i jego twórczości. Monografi wyzerpającej o życiu i twórczości Goszczyńskiego jeszcze nie mamy. Prace nad nią od lat kilkunastu Zygm. Wasilewski; dotychczas ogłosił tylko pojedyncze rozdziały biografii oraz kilka przyczynków do niej i do charakterystyki twórczości poety.

a) *Życiorys i przyczynki biograficzne*: Wł. Zawadzki: Sew. Goszcz. (Ruch Literacki, Lwów 1874—5). — Giller: S. G. (w książce zbior. «Sobótka», Lwów 1875). — W. Belza: S. G. Wspomnienie pośmiertne (Tydzień, Lwów 1876, nr. 10). — W. Stroka: Pogląd na życie i pisma S. G-go (Szkoła, 1877). — Z. Wasilewski: Narodziny poety romantyka. Lata dziecinne S. G. 1801—1819 (Ateneum, 1895, III). — Tenże: Stosunki Goszczyńskiego ze Słowackim (1839—1849), (Bibl. Warsz. 1895, I). — Tenże: O ton w poezji i w życiu (Życie, 1898). — Tenże: Kolenda polska z przed 50 lat. — Tenże: Pielgrzymka Gosz-go do Waterloo (Pamiętnik kielecki, Warszawa 1902). — Tenże: Goszczyński

o Mickiewicu (Pamiętnik Literacki, 1903). Wymienione prace Wasilewskiego znajdują się obecnie w dwu zbiorach jego studyj i szkiców literackich: Śladami Mickiewicza. Lwów, 1905, i Od romantyków do Kasprowicza. Lwów 1907. — Wasilewski: O Pederze i Goszczyńskim (Głos, 1897, II). — Tenże: Pamięci Goszczyńskiego. W 25 rocznicę śmierci (Kuryer Warszawski, 1901, nr. 56). — Tenże: Między kolegami z Humania (Księga pamiątkowa na uczczenie setnej rocznicy urodzin Ad. Mickiewicza. Warsz. 1898). — A. Groza: Mozaika kontraktowa. Wilno, 1857. — K. Ujjański: Do Sew. Goszcz-go... d. 7 marca 1875 (Przemówienia. Kora. Ujejskiego 1863 1868. Przemysł, 1893). — Tenże: Na pogrzebie śp. S. G. (tamże). — Wójcicki: Kawa literacka. Warsz. 1873 (str. 12—13). — Tenże: Ostatni klasyk. Warsz. 1872 (str. 65—66). — Tenże: Nieznane poezje S. G. (Kłosy, 1866). Siemiński: Obóz klasyków. Kraków 1866 (str. 111—112). — Wl. Zawadzki: Ludwik Nabełak. Lwów 1886. — Kaczkowski: Mój pamiętnik. Lwów 1899. — Feliński: Pamiętniki. Kraków 1897. — Wl. Mickiewicz: Współdział Ad. Mickiewicza w sprawie Towiańskiego. Paryż 1877. — Tenże: Żywot Ad. Mickiewicza. Poznań 1890—95. — Chmielowski: S. G. (Złota Przędza, I. Warsz. 1884). — Tenże: S. G. (W. Encykl. Powsz.). — Wysłouchowa: S. G. Lwów 1896. — Brzostowski: W 25-tą rocznicę zgonu Sew. Goszcz-go (Tygodnik ilustr. 1901, nr. 9). — Tenże: Ze wspomnień o Sew. G. (Gazeta Warsz. 1901, nr. 56 i nast.). — Rawita-Gawroński: Nieznane młodziutkie utwory poetki Sew. Goszcz-go (Przewodnik nauk i liter. 1901, marzec; toż w jego Studyjach i szkicach historycz. Serya I. Lwów 1903). — Zdziański: Bohdan Zaleski. Lwów 1902. — Limanowski: Historia demokracji polskiej. Zyrich 1901. — Tretiak: J. Słowacki. I.

b) *Rozprawy krytyczne nad utworami i oceną*: Mochnicki: Artykuł do którego był powodem Zamek Kaniowski Goszczyńskiego (Gaz. Polska 1829). — Tenże: O literaturze polskiej w w. XIX. Warsz. 1830. — Grabowski: Literatura i krytyka. III. Wilno 1840. — Tyszyński: Amerykanka w Polsce. Petersburg 1837. — Mickiewicz: Literatura słowiańska. Poznań 1865. — Cybulski: Geschichte der polnischen Dichtkunst. Posen 1880. (Toż w jego Odczytach o poezji polskiej, 1870). — Siemiński: Portrety literackie. I. Poznań 1865 (Dziela III). — Pol: Pamiętnik do literatury polskiej XIX w. Lwów 1866. — Kotarbiński: Ocena Roberta Dyabła (Przegl. Tygodn. 1867) — Chmielowski: «Sobótka». Zestawienie dwu wisków i dwu indywidualności. Tyg. ilustr. 1875. (Toż w jego Studyjach i szkicach, I. Kraków 1886). — Tenże: Pogląd na poezję polską w I. połowie XIX w. (tamże). — Wl. Belza: W królestwie ruin (Dla Zagrzebia. Lwów 1881. Zob. też: Iwonicz i jego okolice. Lwów 1885, str. 77—97, rozdz. «Odrzykoni»). — Bem: Obywatel polski z doby romantyzmu (Prawda 1881 i w jego Studyjach i szkicach. Warsz. 1904). — Nehring: O kierunkach nowszej literatury polskiej (Bibl. Warsz. 1883, I.). — Seb. Polak: Zamek Kaniowski Sew. Goszcz-go (Sprawozdanie gimn. realn. w Drohobyczu za r. 1881). —

Tretiak: O głównych kierunkach poezji pol. XIX w. (Świat, Kraków 1890; toż w jego Skizbach literackich. I. Kraków 1896. — M. Mazanowski: Anna z Nabrzeża S. G. (Sprawozd. gimn. św. Jacka w Krakowie za r. 1894). — Zdrichowski: Goszcz-go Król Zamczyńska (Przegl. Powsz. 1895, sierp.). — Tenże: Byron i jego wiek, II. 1897 (por. recenzję B. Szomka w Kwart. Histor. 1897). — Wasilewski: Nieznane utwory Goszcz-go (Głos, 1898, II). — Tenże: Kościelisko, niedokończony poemat G-gó (Kuryer Warsz. 1900, nr. 296—298). — Zdziański: S. G. Rozwój jego talentu poetycznego do r. 1827 (Ateneum, 1899, IV). — Tenże: S. G. Element ludowy w jego poezji (Tyg. Polski 1900; zob. też: Pierniawek ludowy w poezji pol. XIX w. Warsz. 1901). — Tenże: G-gó Król Zamczyńska. (Dla powodźian, Lwów). — Z. Kramstył: Oświetlenie w poematach Zamek Kaniowski i W Szwajcarii (Sumi sobie, Warsz. 1900). — Tenże: Lirnik i Nebaba. (Ateneum, 1901, marzec). — K. Tetmajer: Z wakacji (Słowo, 1901, nr. 261—265); toż w jego Wrażeniach. Kraków 1902, p. t. Stara ksiązka. — Plenkiewicz: S. G. (Album biograf. zasłuż. Polaków XIX w. II). — Chmielowski: Dzieje krytyki literackiej w Polsce. Warsz. 1902. — Tarnowski: Historia literatury polskiej, 1900, t. IV, str. 402—410, t. V, 212—218 i 328—330. — Kąsinowski: Sew. Goszcz. (Gaz. Lwowska, 1903, nr. 279—280 i Tyg. ilustr. 1903, nr. 44). — Świętochowski: Poeta jako człowiek pierwotny. Kraków 1896. — Janik: Wstęp do Zanku Kaniowskiego. Brody 1906 (wyd. Westa). — Tenże: Wstęp do Króla Zamczyńska. Brody 1907 (wyd. Westa). — Askenazy: Walerjan Łukasiński (Bibl. Warsz. 1906, III); osobno t. I. 1908. — M. Mazanowski: Sew. Goszcz. (Charakterystyki liter. pis. pol. t. XVIII. Bibl. Powsz. Złoczów 1908 (por. recenzję tej pracy w Pam. Liter. 1908 i Książka 1908).

A) Noc w Zofiówce (1824).

(Opublikowana po raz pierwszy w «Głosie» r. 1808, t. II, str. 675—679 i 699—704).

Podajemy początek poematu.

*„Zie mi w stych ludzi tłumie,
Płaczę — a oni śmieją,
Mówię — ałki tle rozumem,
Widzę — oni nie widzą.”*
Mickiewicz.

585) A więc ją znowu ujrzę i ujrzę za chwilę,
Tyle się nabłąkawszy i przeniósłszy tyle!
Po dżikich umiesieniach, zebrać jej wędrowce
Zdów się ponurzę w mojej Zofiówce,
Co tak rozkwita urocznie, dziewiczo
Między surową krain tych dżicza,
Jak niebiański rumieniec, kwiat świętej wieczności,
Na umarłego lica bładości;
Co straż trzyma przy mego dzieciństwa ednie

Jak cherub uwieczony w pamiętek promienie,
O powieć, maju mojego wietrze!
Przeszłość, co w twoim odetchnie oddechu,
Pierworodnego nie znająca grzechu —
Z długiego nasepienia wzrok pokatany przetrze,
Skalaną szatę duszy odnowi
I pielgrzymiemu wytchnie kosturowi
I pielgrzymowi.
Wierny mój kiju! przyspieszmy kroku,
Już czuję tchnienie jej czarodziejskie,
Już miejskie gwary, już światła miejskie
Przepadły w nocy obloku
I szum jej lasków, zdaje się, dołata,
A moje serce, słyszy, jak kołata,
A piosenka powitania
Gwałtem z niego się wyrwa
I bezładna, niecierpliwa
Sama siebie pochłania.
Tędy, mój kiju, ścieżkami dzikimi,
Jeszcze roztrzępaniec słowody
W chwilach dziecinnej swobody
Lubiłem błąkać się niemi.
Jakiegoś szczęścia szukałem...
Zgubne proroctwo! sprawdzone srodze,
Gonić za szczęściem po niezwykłej drodze.
Tu ja dzisiejsze życie zaczynałem,
Bodajbym tu mógł i skończyć.
Patrz, zadumana brozoza prostowłosa
Uroczystem okiem wroźki
Zagłębiła się w niebiosy;
Smukłe topole, jak młode druzki,
Z całą czesnością dla matron i wieku swawolą,
Kiedy niekiedy, po eichem szeptaniu,
Skłasnać w gałęzie sobie pozwolą;
A groźna sosna w ponurem ubraniu
Pomruka jednotonnym głosem pestelniczy
Czy północne modlitwy,
Czy zaklęcia czarownicy;
A tutaj płocze iskier gonitwy:
Te się po wzgórzach rozsypany zgrają,
Tamte się bawią ze śronów kołyska,
Te przebiegają przestrzeń lodu ślizką
Lub tępymi księżycą promieniami strzelają.
Duch wody w pętach lodu użala się głucho
I skała ludne echem nastawiła wcho.

Ale tam dziwniej w ustroniu zaspanem,
Za tym przejrzystym tumanem,
Gdzie lampa nieła bledziej polyska,
Tam niezmięskiego kształtu kupią się zjawiska
To pośród innych groźne widziadło,
Jak obryzmis mgli się skała:
Suknia je z wody obłala,
A co klejnotów mrozu na skronie nakładło!...
Rozgarnia kosę z brzozywych warkoczcy,
Spojrzeniem z tęczy w koło zatoczy,
Ozwie się szumem znanej wody,
I mary zwałęd stanęły widome,
Wszystkie znajome!
I śpieszą ku mnie w zawody!...
Precz, obecności żałobna!...
Chwile przeszłości skupione w tym poczcie
A wy mary, wy do mnie, bliżej mię otoczcie!
Niech każda ścisnę, popieczą z osobna!...
Ty z wiecznie świeżym, modrzewiowym wieńcem,
Ty zawsze byłaś moim pieszczeńcem!
Czy ty strzeżesz i teraz tę wielką jaskinię?
Pokaż no mi serce twoje!
W niemilych przecząc godzinie
W jego kryjówki zamknąłem
Skarb. Cały, dzięki tobie! Tak: to imię moje;
A te najdroższe obwidły je kołem.
Jak je chowałaś i nadal dochowuj.
A mech starości pięknieją cię ulepi,
Świeższy gaj w łoki się wszczępi,
Bujniejszy zarosnie powój,
Źródło uroczniej zabrzęczy,
Wnętrza twego mrok się zgęści,
Smutek zagęści w nim częściej
I pocieszenie słodsze go uwidzęci!
O lepiej, tysiąc razy lepiej mi było,
Żebym jakiego czarodziejstwa siłą
Zasklepiony w twej pieczarce,
Nie rozpuścił mej woli po świata obszarze!
Poznawszy, ulubwszy ustronia świat mały,
Chęci, jak dziatki, przy mnieby igrały:
Błaski szerokiego świata
Oblęły je, osłępiły;
Szedł ból za bólem, za stratą stratą,
Zebrał je dzisiaj nie mam już siły!
Ale można było, proszę,



Nieświadomemu, wykląć pierwotne rozkosze
 I wytrwać z widniam zwodniczem
 W szponach szatana ze szczęścia obliczem
 Skoro raz duszę opętawały czuła,
 Zbląkało żądze, czucia zatruto!
 Wszak ty sama byłaś świadkiem
 I moich marzeń rozwijania,
 Tym pierwszym związku naszego zadatkim!
 I wiele to obietnic, jakie nalegania
 Aby mi twoje zacisze obrzydził!
 Kiedy los raz mi jeszcze pozwolił was widzieć
 I rzucić się z ufnością między łabe mary,
 Niby ojcu z dróg wielkich na rodziny lono,
 Przyjmcież w połowie serca ciężary
 Nim inne wiatry dalej mną powioną.
 Nad mego serca zaplaccie powieścią!

Przekleństwo temu, kto smutny z zamiarem!
 By kilka westchnieniami lono rozkołysać,
 Z kilka ozłoceniami łzami się popisać,
 Stęka pod urojonej niedoli ciężarem.
 Oby prawdziwej doznał, kto igra z boleścią!

Pamiętam, tutaj byłem: burze się zbierały,
 Wiatry ponuro wiały po szczeliniach skały,
 Płatał się po jej czole warkocz powojowy,
 Głucho szumiwały sosny na wierzchu jej głowy;
 Olbrzymy wichru, strojne złotem liściem,
 W dzikich zakrętach pisały przed wnieściem;
 Pijane drzewa, chwijając się ku ziemi,
 Przyklaskiwały gwałtniemi nagmiem;
 Konającego reku biesiada!
 Przy samotności chwile tajemnicze.
 Nieobaczna dusza, rada,
 Mniemała cichej doli pić wtedy słodycze,
 A to była tylko zdrada!
 Wróg błędów moich i żalów spragniony
 Wdychał dawno do tej chwili,
 A pewien, że ponętą miękką óz nie znyli,
 Natarał na mnie ze słabej przez moc samą strony.
 Sława, ojczyzna, swoboda,
 Przejrzały z pod jego zasloną:
 Piorunem dusza sponęła młoda,
 I już nie jej nie wstrzyma!
 W ślad za pokusy gnałem oczyma:
 Gdzie śmierć — tam rozkosa; piękność — gdzie przyroda!
 Kiedy mię nagle dźwięki doleciały,

Dreszcz duszy znaczą powitał mowę:
 To mojej ziemi śpiewy narodowe!
 Tam się kierujmy! tam w bojach dojrzały
 Kwitnie ród mój pełen chwały.

Czy to bladego zachodu blask cichy
 Czyste błękity zalewał,
 Pod banderą swobody, pełen świętej pychy,
 Nieobejrzane morza jam przepływał!
 Czasem po przestworzu złotem
 Przemknęnie się z wiatrem chmurka wędrująca,
 Już jej osiągnięć myśli poleotem:
 Jedna to z wyspem tysiąca,
 Archipelagu rodzina!
 Zaczarowana przez nowe zdarzenia
 I dźwięki dawnego pienia.

A tam coś w głębi mglił się poczyną
 Mać się jasne lasury,
 Pną się na chmury potamane chmury:
 Ziemia, ziemia! — zawolałem — To Grecyi góry!
 I w niezliczonych rojach, zjawiska
 Przed moją duszę z burzą się wysnuły:
 Niebo pałało od błysków,
 Od gromów chmury się prały;
 Śród ognia burzy, śród wichru pisków
 Widziałem bój zacięty:
 Przez urwiste skał zakręty
 Spływały po rotach rotę;
 Ziewały działa, bronie się paliły,
 Rozbijały się grzmoty,

A rozdrażnione echa szczykały i wyły —
 Aż póki złudzeniami dusza upojona
 Nie przeleła do krwi łona
 To zaleciała w niesienie,
 To tryumfu upojenie,
 Jak na żywej walki scenie!
 Niestety, wszystko marzeniem było,
 I wszystko się przemarzyło!
 Rzeczywistości strasznydło
 Zaszło mi drogę w połowie zawodu,
 Wykrzywiło sztyderskim śmiechem twarz obrzydłą,
 Objęło serce rękami z lodu,
 Dmuchięło technieniem zatrutem —
 I świat się zapadł pod czołosci zasloną;
 A zinnem, wówczas uczutem,
 Dotąd zastęga drętwiejące lono.

I słabo nawet wierzę w nadzieję,
 Ze się kiedyś rozegrzeje!...
 A to co w górze przelata
 Szumem zwiędłego listeczka?...
 O, żądany anielej mej przeszłości świata,
 Gdzież to cię niesie wiatru ucieczka?
 A dźwięk przecucia wital cię z daleka!
 Spuść że się trochę, spocznij na tem łonie;
 Tu w rodziny twojej gronie
 Rodzimny uścisk ciebie tu czeka!
 Powiedz mi o naszej stronie:
 Jak tam pagórek mój ma się?
 Moja dąbrowa zawszeż w jednej krasie?
 Na chwilę nie zapomniał, przez wiek nie zapomnę,
 Jak mi tam cicho, jak mi tam miło
 Płonęło życia ognisko skromne,
 Zaczem się burzą losów roziskrzyło!
 Zaświeć mi tęczą, o dniu godowy,
 Gdy, długich cierpień pokutą
 Zmigęczywały dolę lută,
 Powrócę do was, moje śmiałkiście dąbrowy!
 Jakimi zapłynę łzami,
 Stanąwszy pomiędzy wami!
 Na każdy kwiatek, do każdego ziółka
 Palące usta przytęlą!
 Jak mię tam będą witały czale
 Echo — przyjacieli, woda — przyjaciółka!
 Stąd woła na mnie znajoma kukułka;
 Po wpół zarosłej drożynie
 Biegnę na zdziczały wzgórek;
 A tu, z pod mglistych poranku chmurek
 Wody przesierają sinie,
 Z poza dąbrowy słońce się wytacza,
 Ożyła wioska czuwaniami i pracą;
 Trzoda poryka, jarzma kołająca;
 Znam to wołanie oracza,
 Poznałem śród karów piania,
 To wrzaskliwe kundłów granie —
 Dzikie, dzikie ich zmieszanie,
 Leczą słodkie budzi dumania,
 Tak, jak niestrojne śpiewki niacynne
 Kołyszą snami dziecinę,
 Ot i fioleki koło mego pieńka!
 To moich marzeń dawny polubieniec:
 Już nowej wiosny na nim sukienka,

Z promieni rosy nowy na nim wieniec.
 Padam ku niemu, całunek mu niosę!
 Drogi! aż rozigral rosę,
 Z takim wita mię weselem;
 Bo my, jak dzieci, zgadując się znamy,
 Jak i wruszenia i nasze bez tany,
 Zawsze ja, zawsze byłem twoim przyjacielem,
 Odtąd już się nie rozdzielim!
 Jakże mi odtąd swobodnie i błogo!
 Wolny, jak wicher, błędzą szumu drogą,
 W mroku gęstwy, w jarów cieśni,
 Po ról zieleni, nad wód kryształem;
 Tam się kochałem przy słowika pieśni;
 Tutaj gwizdaniu kosa wtórowałem,
 Z upartą wilgą tam zwądłem zwadę,
 Z echem nieprzegadanem tu miałem biesiadę;
 Tu, jakbym oko puścił słofca kotem,
 Tyle krainy razem ogarałem.
 Pozdrowienie ci, pozdrowienie,
 Zaczarowana strono!
 I twoim ciemnym łaskom, co toną
 W ciemniejsze jeszcze przestrzenie;
 I niwom, rozestanyim zapadłą doliną,
 I pagórkom, co jej strzegą,
 I skromnym nurtom, co ich łonem płyną,
 Mieszkańcom ustronia tego,
 Powietrzu, co tak swobodne,
 Niebiosom, co tak pogodne!
 Niech skowronkowi skowronek
 Poda je w swojej piosence!
 Niechaj płynie, jak w sercu kochany całunek;
 Niechaj niem wszystko omięcną,
 Niechaj niem wszystko umięcni!...
 Otożem znowu na mojej mogile!

B) Pieśń Wulkanu (1825).

(„Dziela”. Lipsk. 1870. Tom I, str. 162—3).

586)

Nim się zawieruszy licho,
 Zaczem burza świat przewróci,
 Wulkan piosnkę sobie nuci,
 Nuci sobie, ale cicho:
 Biedaż moja, wielka bieda!
 Gniota, że się ani ruszę;

Skażga na nie się nie przyda —
 Cóż więc robić? Mileżać muszę,
 Muszę być kornym panów mych sługa,
 Bóg wie jak długo — może nie długo.

Czasem znajdą tu wędrowce
 I napomkną dzieciom ziemi,
 Że ogniami tajemnymi
 Wulkanowe tłą manowce.
 Nie słuchajcie! Caze to strachy.
 Bądźcie tu, jak w swoim domu,
 Osiadajcie, stawcie gmachy.
 Co ja mogę zrobić komu?

Ziemia mnie ciśnie wagą swą całą,
 Budujcie śmiało, żyjcie tu śmiało.

Ale oto! niespodzianie
 Bije chwila ma najświętsza,
 Aż ryknęły ziemi wnętrza,
 Świat w płomienia oceanie,
 A dym niebiosza zaciemia,
 Z pęt wulkanu rzeka lawy;
 Pod perzyną cała ziemia,
 Gdzież wy dziś? Gdzie wasze sprawy?

To nie ja tyle strachu narobię —
 Jam to tak tylko zanuł sobie.

Na postrachy nie zważajcie,
 Żadnej się nie bójcie zdrady,
 Sadźcie sobie rajske sady,
 Nowe grody zakładajcie!
 O swobodo! patrz, swobodo,
 Jacy mądrzy! jak szczęśliwi,
 Że ich plany im się wodą —
 Ha! niech świat się sobie dziwi,

A my tymczasem, nućąc nawisem,
 Wieniec zwycięstwa wijmy tymczasem.

C) Powołanie Geniusza (1827).

(«Dziela», Lipsk 1870. Tom I, str. 151. Pierwotna nazwa utworu: «Przeznaczenie geniusza»).

587)

Na toż powstają geniusze,
 W wiecznej bytu zawierusze,
 Aby błysnęły kometa
 I potem zgasyły bez śladu?
 Możnaż, aby twórca ładu
 Bezełną zamknął je metą?

Tutaj, gdzie pylek jest świata ogniem,
 Onęz się tylko marnie zatracą,
 Z całych wieków pracą,
 Z piemiń podziwem?

— Chwała światłości i cnocie;
 Hańba złemu i ciemności! —
 Zawola szkielet mądrości,
 Groźny anioł-stróż przeszłości,
 Wielki prorok z doświadczenia,
 Który nad wieków prochami
 Liczy chwile kolejami
 Bytu i zniszczenia.

— Kto obecność pojąć pragnie,
 Ku przeszłości ducha nagnie,
 Ledwo drobny świat człowieka
 Zaczął swój obrót w światów kołowrocie,
 Dumny, przy swojej licoście,
 Z dróg wytkniętych wnet ucieka
 I gaśnie w ciemności. —

Przeknęła mądrość w Twórcy osobie
 I tchnęła z boskich piersi, i geniusz w tej dobie
 Zeszedł na ziemię otwarcié,
 I śmiertelnym przyniósł wsparcie.

I już odąd wiek po wieku,
 Jak tylko bóstwo przygasa w człowieku,
 A ciało duszę ugniata,
 Wielony geniusz ułata,

I zapasnik ludzkości, ludzkości imieniem
 Walczy z nocą i spodemieniem,
 Aż wrogów duszy ohalí;

A świat tymczasem pomyka się dalej,
 Chwała wam, mężo wyższego natchnienia!
 Że dusza żyje przez wasze zjawienia,
 Jak biciem krwi ciało żyje;

Że przez was śród tego cienia
 Zegar mądrości idzie i bije!

D) Zamek Kaniowski (1826—27).

Pierwsze wydanie wyszło w r. 1828, z opisaczeniami cenzuralnymi; drugie (Lwów, 1836) — poeta poprzedził wstępem p. t. «Kilka słów o Ukrainie i rasie humańskiej». — Tekst wypisów podajemy podług wyd. Zygnt. Wasilewskiego («Pisma Goszczego», I. Lwów, 1904).

Razem dzieje się podczas Koliszczyzny, czyli buntu hajdamaków, w r. 1768. Rządca zamku w Kaniowie, pokochawszy koczownicę Orlikę, po-

stanawia ją poślubić, ale Orlika kocha stannu kozaków dworskich, Nebabę. Aby ją zmusić do uległości, rzadca ucieka się do podstępów: każe bratu Orliki stać na straży przy szubienicy, z groźbą, że jeżeli da sobie wisiela w kraki, zamie jego miejsce. Za sprawą rzadcy trup znika z szubienicy. Wtedy rzadca daje Orlice do wyboru albo małżeństwo z nim, albo śmierć brata. Orlika, chcąc ocalić brata, zgadza się zostać żoną rzadcy. Tymczasem Nebaba zjawia się w Kaniowie podczas uroczystości ślubnej i, sądząc, że Orlika go zdradziła, postanawia się zemścić. Udaje się do obozu Szawacki, jednego z wódzów hajdamaków. Tu pociąga za sobą część jego watahy, z którą wyrusza na Kaniów; po drodze jednak wciągnięty w zasadkę, słacza krwawą bitwę z wojskami polskimi. Tymczasem Szawacki zdobywa zamek kaniowski. Przed samym jego pojawieniem się Orlika zamordowała rzadcę. Podczas pożaru zamku ginie ona wraz z hajdamakami. Wkrótce zjawia się w Kaniowie wojsko koronne, które wymierza okrutną karę na hajdamaków. Nebaba zostaje wbita na pal. W chwilkę kiedy cierpi straszne męki, zjawia się obłąkana dziewczyna, Ksenia, którą niedługo uwiódł, i składa na jego ustach ostatni pocałunek.

Zamek Kaniowski to najciekawszy poemat Ł. zw. «Szkoly ukraińskiej». Na tle poezji z przed r. 1850, nie tylko klasycznej ale i romantycznej, był on zjawiskiem niezwykłym, oryginalnym, zarówno pod względem treści, jak i nastroju. Goszczyński rozłożył w nim pomur, pełne grozy malowidło ostatnich zapasów szlachty z kozaczyną. Stanowisko, jakie zajął wobec hajdamaków i Kolliszczyny, jest zadziwiająco bezstronne i wiące zbliżone do stanowiska poety malaruskiego Szewczenki w jego «Hajdamakach», ale Goszczyński jest bezstronniejszy od niego. Mysł przewodnia zawarta w ostatnich wierszach poematu. Zarówno postacie hajdamaków, odtworzone z flamandzkim realizmem, jak i żywioł fantastyczny, wprowadzony do poematu, wykazują w Goszczyńskim przedziwną znajomość ludu ukraińskiego i przejęcie się jego wierzeniami. Jako malarz obrazów przyrody, bezpośrednio odczytany, nocę księżycowych, walk oświetlonych luną pożaru okazał się Goszczyński świętym kolorystą. Proleg z rozmową puszczaków, to utwór ultra-romantyczny, w którym Goszczyński jako balladysta, pod względem fantastyczności przesięgnął Mickiewicza.

Z części pierwszej.

1.

588) Wspaniałe zamku Kaniowskiego wieże
Wnoszą się w chmury, jak olbrzyma ramię;
A dzielnej ziemi powiewa z nich znamię,
A wielkich granic twarda ich pierś strzeże.
Kaniów, po jarach, górach, rozpierschnięty,
Igra, jak dzieci, pod piastunki okiem;
Dumne, że płyną pod olbrzyma bokiem,
Poważnie kipią dniewprowch wód męty;
A lasy, świeże, jak powab nieknięty,
Po górach, dzikich, jak rozpaczę czoło,
Rozległe brzegi obsiadły wokóło.

2.

Wietrzna, jesienna zawiła noc zdała.
Warzą się wiry w zamąconem łożu;
Wre chmur kłębam i niebo, jak fala;

Złśliwy obłąd¹⁾ igra po rozdrożu.
Podróżny z cichem szepcaniem pacierza
Mija rozdoły, wsiwające trzciną;
W skrawianych sponach zgłodniałego zwierza
Dławione bydlę poryka doliną.
Pod sztarnem wiatru, co silnie dmie górą,
Słychać skrzypanie głównej szubienicy;
Trup się kołysze, pies wzyk ponuru.
Śmierd snu osiada w zamku okolicy.
Szablą czasami porbękują krzywą,
Sztyldwach wisiela, wzdłuż płaskiego wzgórza.
Zwijają wąsy, przechadza się żywo.
To ciska noey w myślach go ponura,
To szubienicy skrzyppienie ocuci,
A on wzrok błędny na trupa rzuci,
Niby się jego zatruwożył wskrzeszenia,
To, jak po śmiałości, kieruje spojrzzenia,
Gdzie, baszt zamkowych opiekuńca gwiazda,
Strażnicy ogień czuwa z wierzchu wieży.
Szelest po krzakach. Czy ptak pierzchnął z gniazda?
Coś majaczące²⁾, coś po drodze bieży.
Tfu! W imię Ojca... To tłumny dybale.
Po cieniach noey wszystko się rozsiało.
Kozak opatrzył janczarkę³⁾ i szablę,
I dawną drogą chodził dalej śmiało.

3.

W świetle księżycu, co wyrzaj czasami,
Mignął ktoś biela, i zagasł tam w krzaku,
I śpiew dziewiczy przeleciał z wiatrami;
Ten śpiew znajomy budzi dreszcz w kozaku.
Alboż to dziwno, że słowa dziewiczy
(Poznać ją można po jej młiej nucie),
W burzliwym sercu syna Ukrainy,
Ocknęły nagle burdlwie nuczie?
Oho! już niema kozaka u wzgórze.
A księżyc znowu mgłami się zachmurza

¹⁾ Podług m. lemanis ukraińskiego ludu, nawet zbladzenie w podróży nie jest dziełem przypadku. Czart, którego imię wszędzie pełno, sęga w drzewów, i rozmytymi sposobami stara się ich w bezdroża wprowadzić; a wieher nocny uważany jest za pierwsze jego narzędzie do obłąkania i najwiadoszych nawet położenia miecza.

²⁾ Wyraz miejscowy. Słowo «majaczące» nie ma może odpowiedniego w naszym polszczyźnie; migać w dalekości, emitować się, ukazywać, — tłumaczy jakkolwiek jego znaczenie. Właściwie, polskie «majaczące» co innego wyraża.

³⁾ Janczarka: rodzaj strzelby tureckiej.

I noc mokrymi tumanami bije,
 I szubienica skrzypi, i pies wyje,
 I po rozdrożu igrają balwany,
 I wichur z jękiem dmie w zamkowe ściany.

4.

Luba puszczyka siedzi napersona;
 W szczylinie wieży dawno jęczy ona,
 Że miesiąc ściemniał, wiatry na nią wyły.
 I na tak długo odleciał jej mity.
 Wszak to lot jego usłyszała w górze?
 Nie; to dziewczyna przychodzi pod wieżę,
 Błądzącą ręką za mury się bierze,
 Platane nogi pośród nocy stawia.
 — «Czyś tu, Nebabo?» zwichotka przemawia.
 — «Tu, tu, Orliko!» szepnął głos przy murze.
 — «O, jakżem rada, że wreszcie przy tobie!»
 Głośniej i śmieiej dziewczyna wyrzekła.
 «Jakże tu ciemno, jak straszno! jak w grobie.
 Chętniebym jednak, za każdą zręcznością,
 I do samego uciekała piekła
 Przed tego Lacha obrzydłą miłością.
 Jakże tu wietrzno, i straszno, i ciemno!
 Ale mnie dobrze, skoro jesteś ze mną!»
 Kozak tymczasem uchylił swej burki,
 I utuloną do boku przycisnął;
 Bo przykry wichur pośród murów świnał
 I mgliste jęły podnosić się chmurki.

5.

Resztę rozmowy utaja milczenie.
 A i na wieży mile posiedzenie.
 Gdy rozkochane zleca się puszczyki.
 Puszczyk pierwszy. Skąd ci ten pospiech i wesołe krzyki?
 Puszczyk drugi. Patrzaj-no, patrzaj, milczna,
 Oczkiem żywym, jak blask próchna;
 Patrz-no i śmiej się, bo twe śmiechy miłe,
 Jak tej matki wrzask przestרחu,
 Którą niedawno ostrzegalem z dachu,
 Że chory jej pieczoszek zalegnie mogiłę;
 Jak dyabli przy wisielcu snują się orszakiem.
 Co oni wyrabiają z tym biednym kozakiem!
 Cha, cha, cha!
 Ten, zmazanym snopem trzciny,
 Jak na wszystkie strony macha,

Jakie grube mgły rozsiewał!
 A ten obudza wiatry dębiny,
 Jak biega wkoło, gałęziami smaga!
 A ów mu pomaga,

Jak skrzypi szubienicę! aż prawie wyrwa.
 Puszczyk pierwszy. Cóż to znaczy?
 Puszczyk drugi.

Czekaj! widzisz, pod krzakiem coś białe majaczy.
 To kochanka kozaka, widzicie go przychodzi;
 I kozak wie o niej, lecz go dyabeł zwodzi.
 Co tu kobiecych snuje się postaci,
 Głosów podobnych co tu z każdej strony!
 Patrz! posyłszaj ją, utrzal, bieży rozpedzony
 I z oka traci!

Cha, cha, cha!

Puszczyk pierwszy. Cóż to znaczy?
 Puszczyk drugi.

A tam znowu, na górze, patrz! jeździec majaczy;
 Podjeżdża ku szubienicy;
 Szylwach do rasznic:
 Krzemień klasnął, proch wybuchnął,
 Dyabeł dmuchnął,
 Wszystko z wiatrem uleciało,
 A przed oczami szylwachacha
 Pożółciało, pociemniało,
 I tysiąc jezdnych dokoła majaczy!

Cha, cha, cha!

Puszczyk pierwszy. Cóż to znaczy?
 Puszczyk drugi. Aha! już kozak znalazł dziewczęc.

Jeździec pod szubienicę.

Patrz! trup się urwał; patrz, wisi drugi;
 Dyabeł skory do postugi!
 W jakiej się pysze
 Wesoły dyabeł kołysze,
 Jak zabawia towarzysze!
 Jakże skoki, jakie śmiechy!
 Cha-cha! chy-chy!

Puszczyk pierwszy. Cóż to znaczy?

Puszczyk drugi. Patrz! jeździec ukradł trupa i pędzi przez błonia,
 Aż mgła wstaje z konia;
 Już ledwie, ledwie majaczy!

Puszczyk pierwszy. Cóż to znaczy?

Puszczyk drugi. Otumanili! kozaka.

*) Otumanie: obłąkać, zaćmić zmysły.

Poziera z pod krzaka:
I szubienica stoi, i dyabeł się chwieje!
Kozak spokojny, a dyabeł się śmieje!

Puszczyk pierwszy.
Coż się stanie z wisielcem, jak kogut zapieje?
Puszczyk drugi. Parą się rozwieje.
Puszczyk pierwszy.
A jak trupa nie znajdzie, co szyldwacha spotka?
Puszczyk drugi. Zmienić dyabła raczy.
Puszczyk pierwszy. Cóż to wszystko znaczy?
Puszczyk drugi. Szatańska pustotka!
Cha, cha, cha!
Szyldwach trupa nie ustrzeżł, powiesz szyldwacha.

7.

Gwiazdo świetna, wesola, jak anioł młodości!
Gdy na złotym promieniu wiedziesz z sobą lato,
Jak jej nadzieja, wtedy spoczywasz w ciemności.
Dzisiaj, mglista jesieni osłoniła szatę,
Jakże tęsknie opuszczasz niebo Ukrainy,
Gdzie wszystko jest pięknością niewinnej dziewczyny;
Gdzie powietrze pogodne, jak blask jej oblicza,
Czaruje, w swych powiewach, urokiem jej technienia;
Gdzie wody odbijają światło jej spojżenia;
Gdzie pagórki ponętne, jak jej pierś dziewicza;
Gdzie wietrzyk harmoniją pieśni jej powiewa;
Gdzie kwiaty płec jej mają, a jej świeżość drzewa!
Czemuż, o smutna gwiazdo, w zachodzie jesieni,
Jak konające oko, twój się okrąg mieni?
Ponury jest twój zachód, i wschód twój ponury,
Kiedy się w chmurę kładziesz, kiedy wstajesz z chmury!
Pod rosą, co się dzisiaj promieni tak świetnie,
Jutro, przed ranem jeszcze, ten kwiatek zakrzepnie,
Jak śród zdrącejzej pieszczoty, piękność uwiedziona.
Ten listek, taki świeży, żalu nie wyszepnie,
Gdy z rodzinnej gałąki wiaterek go odetnie,
I na wywiedłej braci jeszcze dzisiaj skona!
Żegnajm cię więc, o gwiazdo, przed smutnym noclegiem:
Jękiem listka, co głuchnie nad ogłuchłym brzegiem;
Wielkim hymnem śróawi, co ciągną ku morzu;
Rykiem trzody, co rzuca jalone pastwiska;
Głuchym szumem, co stęka w zamartwiałych wód łożu;
Konającym promieniem, co z rosy połyska,
Gdy raz ostatni drżącą zimny wichur ścisła!

Z części drugiej.

3.

589)

Nie mylnie wieści, nie fałszywe twrogi:
Szwaczki-to obóz, nie w dobrym zamiarze,
Pluskał po Dnieprze, tłukł się po ezaharze,
Gdzie w ciśnień łoża skróconej odnogi,
Wrzący murt Rosi i błyska i pluszcze,
A wiatr pobrzeżną oszczekiwa paszczę,
A w niej gwar dziki klekoce ponoro,
A mgła kłębata, co ciemnieje górą,
Nad jej sklepieniem wkrąg się już rozwleka, —
Jakby tam anioł śmierci i zagłady
Warzył dla ziemi nad płonieniem piekła
Wszystkie domowych zaburzeń szkarady;
Niedarmo czujne palają ogniska,
I jacyż zbrojni leżą w płomieni,
Gdy wieńce borów zrywa wiatr jesieni,
A szron sędziwy na darniach połyska,
Choć leżąc oni zdają się spokojnie,
Ach, krwi to dzieci, i myślą o wojnie!
Noże u pasów, ich czoła w kółpakach,
Dłonie na nożach, choć oczy usnięte;
Do pik utkwionych rumaki przypięte,
A dniem i nocą siodła na rumakach.

4.

A jeden kozak, na ustawnej straży,
Niezgasły ogień czasa mi rozżarzy,
I na swą pikę wspiera się bezwładnie.
Słucha i patrzy. Nic w tym pasczy mroku
Nie ujdzie jego ni ucha, ni wzroku;
Niech strzypek szronu na uszły liść padnie,
Niechaj ptak kłanie gałęzią z daleka,
Niech pies w dalekim futorku¹⁾ zaszczecka, —
Już on to schwył w gwarnym borów szumie,
I pochwycone wnet rozróżnić umie.
I znowu oko zwrócił do ogniska,
I znowu piką poprawił płomienia.
Kłębią się dymy, czerwony żar pryska,
Rośnie wał ognia, noc się zarumienia,
Pośród bijącej krwawej luną fali,
Jak mgliste duchy, cienie drzew się kładą.
Dalej — noc czarna; tylko w ciemnej dali,

¹⁾ Futur: zagroda na łące, lub pośród lasu, w pewnym oddaleniu od wioski.

Jakby zaklętą rozsiany gromada,
 Bezwładny obóz groźnym snem usypia;
 Tam się blysk stosu ostrza pilki czepia;
 Tu wpot' dobyty nód czasem zabłyska, —
 Jak rozdrażnionej gadziny oczyska;
 Gdzieniegdzie znowu z pod burki kosmatej,
 Sen niespokojny wychylił pół twarzy,
 I przez sen widać co każda z nich marzy,
 To z brwiów marszczonych, to z wargi wąsatej;
 Na tej śmiech dąki, kłosec słowa na tej.
 A tam, przyjaciel, i wierny, choć panu,
 Koń, ułożony tuż pod pana bokiem,
 Strzelił niekiedy przebudzonem okiem,
 Niby kochanie śród świata tumanu.
 W samej cichości, obraz niespokojny
 Nadzieją mordów kołysanej wojny.

Z części trzeciej.

9.

590)

Kogóż ten widok, kogo nie zachwyci?
 Kiedy, nad otchłań pogrzebienia wzbici,
 Krążymy po niej spojrzaniem wół' bożem
 A bliżsi nieba, czud' wyraźniej możem,
 Żesny na samem dwóch sfer pograniczu.
 W swojej kolebki, w ojczyzny obliczu.
 Weselsza dusza żywiej tu promieni,
 Jaśniej tu czyta w literach z plomieni,
 Które mi Wieczny, w tle chaosu cieni,
 Do swej potęgi dziedzictwa ją wpisał.
 Z przed tronu Boga głośniej tu dolata
 Śpiew, co ją w łonie wieczności kołysał;
 Głuszej tu jęczy płacz niskiego świata;
 Na dół, do ziemi, smutku kwef ponury,
 Na dół westchnienie, co zawichrza duszą.
 Łzy, sercu ciężkie, na dół tu cieć muszą; —
 Jak nawałnice, i deszcza, i chmury,
 Płyną do ziemi od niebieskiej góry.

10.

Co to Nebaba tak myśli głęboko,
 Między gałkami oparty bez ruchu?
 Czem tak zasunął rozigrane oko?
 Czy dąb gaduła, szepce w jego uchu
 Smutne powieści o kłeskach tej ziemi,
 Gdy pod jej niebem sęp mordu ponury

Toczył cień trwogi skrzydłami krwawemi,
 A z nim Tatarów napływały chmury?
 O, nieraz może na tym jego szczycie
 Rozwiewały się przestrogi znamiona;
 Nie jedno może ta z liści zasłona
 Przed srogą śmiercią uchowała życie.

Nie! W zadumaniu cichem i głębokiem,
 Puścił się kozak swoich dni potokiem,
 Po jego myślach młody wiek przegania
 W kwitnących barwach świętego zarania.
 Co za świat w czysy rodzinego siola!
 Gdy dusza grała ogniami jutrzeńki,
 A walna przyszłość, jak wrólika wesola,
 W kolej nadziei uchylała widzięki.
 Jak wszystko pełne, jak tam wszędzie miło!
 Jak dzień, skąpany w jeziorze rodzinem,
 Cicho, ponętne, w marzeniach świeciło,
 Przeszłość i przyszłość, szczęście i niedole;
 Życie, — koń wrzące; świat, — kwieciste pole!
 Wzburzenia duszy, cierpkie serca bole,
 Wszystko się topi w uśmiechu dzieciannym;
 Łzę utrapienia łaż rozkoszy strąca.
 I struna, w tony rozliczne bijąca,
 Leniwiej smutne wesolemi zmienia,
 Jak jego umysł, swoje poruszenia.
 Albo ten wieczór, ten ogień Kupały!¹⁾
 Po zwierciadlanej Bielezyrya wodzie
 Mkną się rybackie z kaganami łodzie;
 Niebo ciemniało, szyki gwiazd gęstniały,
 Błękitna fala spłata kryształy,
 Szum sosen mrucał piosenkę żeglugi,
 Muzyczną miarą uderzały wiosła.
 Cyt! plomieniami rozgorzał brzeg drugi,
 I wrzawa dziewięc sewsząd się podniosła.
 We mgnieniu oka wcihli żeglarze;
 Złożyli wiosła: czołna w okrąg płyną;
 Już w oczeretach²⁾ syknęły gadzina.
 A brzegi kipią w piosenkach i gwarze;
 A tancerznie, migającym cieniem,
 Snują się ciągle przed wielkim plomieniem.
 Wtem zszacajona młodź nagle wypada,
 Nebaba huknął: Zdrada, siostry, zdrada!
 Już po balwaniei Z wianków oberwany,
 Zlamany leży. Shończyły się tany.

¹⁾ Polskie Sobótki.²⁾ Oczeret: trzcina.

Ucięto śpiewy; a mściwie dziewczęta
 Calusem karzą śmiałego nstręta. —
 A też pustoty!.. Gdy wszyscy usnęli,
 Widmo kobiety wysunło się w biele...

Dzika piosenką serce zaśpiewało,
 Blask obłąkania strzelił ze źrenicy;
 Kozak na chwilę zniżył skroni ściemniała,
 Jakby chciał przetrwać aż ucihną pieśni,
 Aż mu natrętnie widziadło się przesni,
 Czyż taka pamięć pieszczot miłośnicy?
 Darmo! nie ścieraj z czoła mgłą natrętną,
 Nie stawiaj myśli na spojrzania warcie;
 Raz jeden zbrodni wycisnione piętno,
 Jak blask fosforu, czyści się przez tarcie.
 Choć w całym duszy twe się oko wprządło,
 Zawsze nieczystych miga się w niem żądło.

11.

Inny Nebaba, bo z inną już duszą,
 Pomiędzy borów mającżeje głośną;
 Grom namiętności mgłą spojrzem rozświeca,
 Szyderski uśmiech kazi hoże lica;
 Wszystko kipiące, od serca począwszy,
 Aż do rumaka co go gdzie chce niesie;
 Jak w duszy jego, posępno w tym lesie;
 Jak żądze jego, kraj tu coraz nowszy;
 Z pięt na piętą, z gór na góry drze się;
 Za każdym krokiem rosna w nim tęsknica,
 Im lasy głuchsze, wyższe okolice.
 Aż oto nowa zajaśniała chwila,
 I cienie troski ciągle mu umiła,
 Jak noc wieczności zorza zmartwychwstania.
 Cóż to za dziwna strona się odsłania?
 Tu, pod nogami, na równi poziomej,
 Moszen spojrzaniem policzone domy,
 Irdyń drzemiący w spleśniałej głębinie,
 Wiecznie z wiatrami sporne ozerczy;
 Jak rozsypane zielone bukiety,
 Drzewa, i sady, i gaje, w dolinie.
 Tam błyskający jasnymi zwierciadły,
 Tu w gardła jaru, jak w otchłań, zapadły,
 Dniepr tutaj całkiem skrył się w bór ponury,
 A tu się znów wyłal z bioder gócy.
 Dalej, piaszczyste, poszłocne morze;
 Dalej, bór spływa po spiczastym szczycie,
 Podobny strzępnej narodowca kiccie.

A jeszcze dalej, i dalej, i bliżej,
 Góra po górze, bór idzie po borze;
 Tysiącem węzłów, tysiącami krzyży,
 Płaczą się, macą, rozchodzą, zbiegają,
 Niepoliczoną, nieobjętą zgrają,
 Wioski i grody, pustynie i laski,
 Jary i góry, i łąki, i piaski.
 A coraz dalej stępy piasku bledsze,
 A coraz dalej lasy błękitnawsze,
 A coraz dalej dymniejsze powietrze,
 I nieba niższe, — a mgły, a mgły zawsze.
 Ileż swobody, uniesień rozwinię
 Jeden tu widok, w jednej tu godzinie!
 Gdzie ten wiatr wieje, gdzie ten oblok dąży,
 Co tam za strony! gdzie w tunany sinie,
 Wiecznie drzemiące, fala Dniepru płynie?

Orzeł niech powie, co pod niebem krąży;
 On wyżej buja, i jego źrenice
 Wyraźniej widzą tamtą okolicę;
 O Zaporozu niechaj on opowie;
 Jak tam rozległe panują koszozi;
 Jakże tam wiecznie hulanki i wola;
 To samo słońce jak tam rozpromienia
 Poroziszewane gwarne ich kurzenia¹⁾,
 A taban pędzi ze rżeniem na kuzla,
 A Zaporozec, na swobodnym koniu,
 Jak jego myśli, ugania po błoniu.
 Jak wicher stepu, jego pieszak tak dzika.
 A tam, po Dnieprze, łódka się przemyka,
 Lekka, i chybka, i szybka jak fala,
 Leci za nurtem, po szklanej równinie;
 Wpadła na poroh; ze skał się przewała;
 Zapadła w głębie... przepada... aż zdala
 Pęka wód kryształ, lód jak łabędź płynie,
 «Przeszło co było! i co będzie minie!»
 Ockniony z myśli ataman zawoła;
 «A co być musi, niechaj się już staje!
 «Kozacy tęsknią, i ogień gorzej!»
 Spuścił się z dębu na skrzydłach sokola,
 Na szumie wichru przemknął się przez knieje;
 Już pod bajrakiem, i już hasło daje.

¹⁾ Tak nazywają poziome chłupy kozackie, i strażnicze szalasy, z których dym, nie mając oddzielnego dla siebie otworu, wychodzi całą powierzoną słomą krytego dachu.

26.

591) Nastala cisza po halasie wojny;
 Spokojne pola, zamek już spokojny:
 A niedotłalym ogniem oświecony,
 Prosi przechodniów z każdej świata strony.
 Uprzejme kraki, gęstemi gromady
 Krążąc wokół, wabią do biesiady;
 Pobojowiska radzi godowinicy,
 Wilej tłumami ciągną z okolicy.
 Zniszczenie nawet, co już w zupełności
 Swe panowanie nad zamkiem rozszerza.
 Tyle przestrzega bezpieczeństwa gości,
 Z takimże te gody sprawia wsteczeniem,
 Że można słyszeć przelot nietoperza;
 Chyba, że zechce przyswiecić płomieniem,
 To buchnie w żary przetłalym kamieniem.

27.

Przecie Nebaba żywo wyszedł z boju
 I łakomego brzydkiej śmierci gardła;
 A choć mu rana do dna pierś rozdarła,
 I w niej krew czarna kipi jak we zdroju,
 I choć posoką umalował skronie,
 I wzrok w strumieniu dymiącym się tonie, —
 Widać po jego spokojnej postawie,
 Że odpoczywa po wojennej wrzawie.
 Albo też, jeszcze i dotąd mocony
 Zuchwałstwem rżędzy i Orliki zdradą,
 Zboczył, wędrując pomimo tej strony,
 By się nacieszyć obmierzyłych zagładą.
 W tymże kółpaku, w odzieży tej samej,
 Zezerniałe trochę pod krwawymi plamą,
 Siedział na złomkach wód zgorzałej bramy,
 I swoją piękę trzymał na szyć w rękę,
 Jakby miał bliższe odeprzeć natarcie.
 A w okrag niego doborni młodzieńcze:
 Jedni, jak gdyby stanęli na warcie,
 Podnieśli piki nad zgorzałą wieżą;
 Tylko cierpliwi, że się ani rusza,
 Choć płomień zewsząd dogryza im srogo!
 A drudzy, w kole gardłem flasze mierzą;
 Tylko, że nigdy dopić ich nie mogą,
 Inni znów, bardziej snem zmorzeni, leżą;
 Tylko, że wiecznie tym snem leżeć muszą!
 Musi on całą nasycać się duszą,
 Że tak bezwładny, wpatrzył się przed siebie:

Pewnie on w cieniach pamiętek się grzebie,
 Tu każde miejsce tyle przypomina!
 Gdzie w stosach żaru kurzy się perzyna,
 Ten plac, bywało, ucieczwały spisy,
 Kiedy swą młodzież zebrał na popisy.
 Miejsce, gdzie trap ten, morden oszepeony,
 Ostatkiem czucia, życia drga ostatkiem,
 Gdy mu natrętnie zacierała wrony, —
 Miejsce, to uciech nieraz było świadkiem:
 Tu szkło dawno, tu grzaniaty okrzyki;
 Za czyjeż zdrowie? Nebaby! Orliki!
 Mściwego samo udręca wspomnienie.
 Aż z pod wnętrzości wydobyl jękniemie:
 Zemsty, czy śmierci? w tem odgadnąć trudno.
 Gdzie zwrócił ucho, by dotyszeć wtóru,
 Co może przypaść do jego czuść chóru, —
 Tu raz ostatni pieścił się z obłudą;
 A dziś, o trupią skłóciwszy się głowę,
 Dwa wilki wycia zawiodły grobowe
 Czegóż te ptaki, uderzając w skrzydło,
 I gniewnie kracząc, grzebią wśród popiołu?
 Strawa zapewne warta ich mzołu,
 Bo wygrzebali: człowiek czy strasznydło?
 Zezerniali w ogniu, wespół spieczone ciała:
 Ale Nebabie rozpoznać się dało!
 Nagle ku ziemi czoło mu opadło,
 I jeszcze nagłej wzniosło się do góry.
 «Ho-hop, Nebabo!» zawył głos ponury,
 I z posród ognia wypelza widziadło.
 A choć nie wrzeszczy szalonym chrchotem:
 Chociaż ją taniec nie zakręca chyży,
 Bo jej wnętrzości ciągną wód wysnute:
 I teraz jednak, gdzie się tylko zbliży,
 Płasają iskry wichru kołowrotem.
 Wilki przy trupach wyją na jej nutę,
 I samo trupów oblicze się zmienia.
 «Wody! ach, wody!» Popatrzyła Ksenia;
 Głos jej znajomy — i kochanka oko
 Na jej się wdzięki rozwarło szeroko:
 Jakby w głab Kseni pragnęło utonąć,
 Albo ją w piekło i siebie pochłonać.
 Ksenia się zbliża, z mniejszą coraz trwożą.
 Oko Nebaby patrzy już mniej srogo;
 Już łono z tonem, już z licami licia,
 Już się i wargą z wargą napotyka...
 Pocałowała Nebabę dyablica...

Teraz do reszty rozporze ją pika!
Nie — cicho siedzi: tylko mu dreszcz mały
Wyprężył członki, a śrenice zawsze,
Zawsze patrzyły, patrzeć nie przestały,
Dla Kseni nawet coraz już laskawsza.

28.

Na rozbarzonym Kaniowa zameczysku,
Długo podróżnym broniący przystępu,
Długo pomętą drapieżnemu sępa,
Szkielec Nebaby lśnił w grobowym blasku:
Jak straż zakłętą w pomieszkanu mary,
Jak mowny pomnik barbarzyńskiej kary.
Ogień, co wszystko dokola potrawił,
Z młodców jego śladu nie zostawił;
Poznana tylko z rany i odzienia,
Szalona Ksenia leżała na trawie;
Jeszcze w modlącej przed lubym postawie;
A w strasznej nocy zamku podpalenia
I topielicy skończyły się pienia.

29.

Gdy duch mój zwiędzał Dnieprowe pobrzeże,
I na Kaniowa odpoczął ruderze,
Jeszcze tam wkoło wyszukał on ślady
Dnia okropnego ostatniej zagłady:
Jeszcze po ścianach krew się czerwieniła,
Gdzie żona, gnaana morderców pogonią,
Mytą w krwi męża chwytala się dłonią;
Żadna wywabić nie mogła jej siła,
Na miejscu startej imna wystąpiła;
Ale nieszczęsnę zabójczyni ciała,
W popiół przetłale, z wiatrem się rozwiąło.
W poroślej miękką murawą uboczy,
Trafił na kołtan Kseninych warkoczy,
Ale w nim drobny gniewdził się już ptaszek.
Obok leżała z Nebaby ratyszka,
Stał, od płomienia w ciemny żużel złana.
A błądząc długo wśród skostniałych czaszek,
Odgrzebał torban między gruzem zgłiszca,
I jedną strunę z całego torbana.
Ani lat, ani pogody koleje
Nie mogły prz,ćmić złotego jej blasku;
A wiatr, kochanek, z pobliskiego lnsku,
Co noc z nią dawne odśpiewywał dzieje.
I jam polubił chrypliwe jej tony,

I z jej dźwiękami z czasem oswojony,
Gdym nieraz badał pilnie i ciekawie
O całej zamku Kaniowskiego sprawie,
Wkońcu rozwikłać mogłem tajemnicę
Co dało powód do zbrodni Orlice?

Gdy w ciemnej nocy, przez widma czy czarty,

Czy, jak wieść była, za rządcy namowa,
Zdjęto wisielca, (odpowiadał głową
Z pod czyjej trupa uwieszono warty). —
Brat tej dziewczyny był wtedy na straży;
A serce rządcy do Orliki bilo;
Życie jej brata w ręku rządcy było:
Laeh, nie puszczając pory, co się darzy,
Hardej dziewczynie daje do wyboru:
Tytuł swej żony, lub srogą śmierć brata;
Żadnej przewoki, żadnego oporu!
Biedne małżeństwo, gdzie dyabeł za swata!
I tak dla brata miłość poświęciła.
Rządcy małżeńską zaprzysięgła wiare;
A dla miłości imną ma ofiarę:
Zabiła męża i siebie zgubiła!

30.

Mijają lata, z latami zdarzenia.
W ostatnim dymie zgasłego płomienia,
Wrócili w piekło szatany zniszczenia.
Światnie przeżywały nieba Ukrainy,
Zabrzniiała śmiało cicha pieśń dziewczyny,
Czas lasem okrył ostatki ruiny,
Gdzie bojowiska czaszkami białe,
Ulewna burza brzoźdy tam zorywa,
W skwarny dzień lata złocą się tam żniwa,
Kwiat się tam z wiosną wykłhuwa nieśmiały.
Złomki szubienic świecą próchnem z ziemi.
Nad zwycięzcami, nad zwyciężonemi,
Trawą uśnana, mogiła zapada;
Tam błędny żebrak do snu pacierz gada.
Piekła za wojną zatrasnięto bramę.
Znów tenże pokój i zbrodnie te same!

E) Orzeł.

(«Dziela». Lipsk. 1870. Tom I. Str. 170—171).

592)

Wrzały burzą niebios głębie:
 Na strażakam od burz dębie
 Król ptaków się dąsał.
 Patrzałem —
 Wokolo niego chmury, kłęb przy kłębie,
 Wrony i kruk, nawal za nawalem.
 Widziałem
 On tylko skrzydła zjeżone potrzasał
 Naraz ujrzałem
 Przez wrony i chmury
 Pada promień z góry
 Na ptaków kroie:
 Niebieskiem światłem oczy mu olsnęły,
 Niebieskim wiatrem skrzydła się rozdziły —
 Wrony się zbiły, chmura się stula,
 A on na krzyżu skrzydeł rozpięty,
 Przez wron chmury i chmur męty,
 Po jasnym niebios promieniu,
 Dąży ku nieba sklepieniu.
 Wrzawa i grzmoty wrą wokolo niego,
 On się nie puszcza szlaku swojego.
 A ziemia coraz niżej,
 A niebo coraz bliżej,
 I ot! pod orłem już chmury,
 Pod orłem wrzasliwé chóry.
 Patrzałem, słuchałem —
 A na podniebiu całym
 Cisza i jasność — orzeł w słońcu zginął —
 Jeden śpiew tylko na ziemię spłynął —
 Śpiew to zwycięski w orlej dziedzinie:
 Tylko w mojego ducha głębinie
 Jak echem śpiewu zadrzałem,
 To echo ducha na orla śpiewanie,
 I jak zabrzmiało, tak brni nieprzerwanie,
 Gdy mię chór troski zagłuszy,
 Ono budzi letarg duszy,
 I w ślad orli w orle kraje
 Nieśię mię nie przestaje.

1828.

F) Wojsko polskie wychodzące z Polski (1831).

(«Trzy strony», Oddział II. Strassburg. 1840. Str. 128—129).

593)

Wysoko, pod niebem zórawie leciały,
 Wysoko leciały, a lecąc śpiewały.
 Polami, lasami, wojacy szli w tłumach;
 Bez pieśni, bez grania, w milczących szli dumach.
 Ich dumy żalobne, ich lica w kurzawie.
 «A dokąd wojać? pytają zórawie.
 Wasz pochód, jak pogrzeb, choć bronią błyskacie:
 Choć broń wam przygrywa, wy w oczach łzy macie».
 «Choć broń nam przygrywa, nam śpiewać niesporo,
 Bo Niemyś dais jeszcze, dais ją nam zabiorą,
 My z łożniami gołymi pojedziemy w świat, dalej,
 I chleba u obcych będziemy zebrałi;
 Gorzkiego, drogiego i droższej ojczyzny
 Będziemy zebrałi za sławę i bliżny.
 Zórawie, co w nasze leciecie krainy,
 Zalećcie po drodze do naszej rodzinny,
 Na skrzydła, na szybkie, żołnierskie łzy weźcie,
 I matkom i żonom i siostrom je nieście,
 Niech matki wymodlą, wypłaczą niech żony,
 By Bóg nam dał prędzej powrócić w te strony.
 Napoi was Wisła, krwią naszą opita,
 Nakarmi was rola, trupami okryta.
 Bo my tu nieprędko pić i jeść będziemy,
 Nie prędko, nie wszyscy my tutaj wrócimy.
 Hej, ptaki do Polski, a my w świat daleki,
 Ażeby ją zrobić szczęśliwą na wieki».

Wrześień 1831. Granica pruska.

G) Dziennik podróży do Tatrów (1832).

(«Dziennik podróży do Tatrów». Petersburg. 1853).

a) Z Wielkiej Góry. — Góry Tatr. — Dzieci Góralskie.

12 maja 1832.

594)

Str. 69—71. Całe Tatry białe od śniegu, który tej nocy spadł w górach. Nawet wyższe przedgórze po tej stronie doliny, od północy, pokryte są śniegiem w górnej swojej połowie. Niema go całkiem w strofie niższej, koło mnie; przeci-

wnie dzień dziwnie piękny i jasny. Dziś widzę najwyraźniej góry zwane tu Tatrami. Leżą one na drugim brzegu Wągu i stanowią jakby odrębne grono od Tatrów.

Z rana obiegłem płaszczyznę ku Węgom, byłem aż na Cisowej skale. Dochodząc do niej miałem widok, który mię mocno zajął. Dokola pasły się trzody, a na spiczastym szczyście Cisowej skały, kilkunastu pastuszków, dzieci jeszcze, śpiewali i tańczyli. Coś dziwnego było w tym widoku. Ich strój góralski obcisły, krótki, ich guńki spuszczone z rękawów, związane tylko pod szyją, ulatujące śród tańca; ich ruchy szybkie, zwinne, polotne, a wszystko to w blasku podnoszącego się słońca, przedstawiało mi jakąś fantastyczną grupę nadpowietrznych tancerzy.

W istocie dzieci góralskie nie są to nasze zwyczajne chłopskie dzieci. Natura ziemi rodzinnej, rodzaj życia i zatrudnień, rozbudzający silnie wszelkie władze, konieczność fizyczna ciągłego pasowania się z trudami, z niebezpieczeństwami, samo powietrze ostre, ale czyste i lekkie, zresztą pewna swoboda, nieznana wieśniakom innych okolic, sprawiają to, że dzieci góralskie szybciej się rozwijają, jak inne. W tem drobnem ciałku widzisz już dotykalnie pełny zaród przyszłego górala, jego dobre i złe własności. Widzisz już w tem chłopieciu taką zręczność, przytomność, śmiałość, taki dowcip, a razem taki upór, taką zaciętość, że nie znajdziesz tego w równym topniu u dzieci innych okolic.

Słyszałem wiele o tem. Ażebym dać próbkę ich naprzykład zręczności, opowiem tylko jak polują na węże. Sposób wprawdzie prosty, ale wymaga i zręczności i odwagi. Skoro ujrzy węża, rzuca się na niego skokiem rysia i w temże mgnieniu oka chwytą go dwoma palcami jednej ręki za szyjkę przy samej głowie, a drugą ręką za ogon, i już go ma w swojej mocy. Następnie, żeby go zrobić zupełnie nieszkodliwym, wkłada mu w pyszczek brzeg swojego kapelusza: jak tylko wąż schwycił go i ścisnął zębami, chłopak jednym szarpnięciem kapelusza wyrwa wężowi zęby i wtedy jest już z nim bezpieczny.

Oto inna powiastka, malująca już w dzieciach twardość charakteru góralskiego.

Dwóch kilkoletnich chłopaków zajrzało w jednej skale gniazdo jakiegoś ptaszka. Skala wysoka i tak przykra, że z dołu niepodobna dostać się do gniazda, ale można się wdrapać na szczyt, a gniazdo leżało blisko szczytu. Biorąc się więc na taki sposób. Wylażną na wierzchoł, jeden kładzie się na glazie, który wystawał nad gniazdem, bierze drugiego za nogi i spuszcza go ku gniazdu, głową w dół. Pomyśl udal się; gniazdo zdobyte z piskletami, które się w niem znajdowały. Ale rozpoczyna się spór, w tem samym położeniu obu, jeden leży na skale, a drugi wisi w powietrzu na łasce leżącego. Leżący wymawia sobie naprzód taki udział w zdobyczy, że wiszący nie chce na to przystać, pierwszy zagraża, że go puści, drugi nie zważa na to. Ciągnie się ten spór dosyć długo, a kiedy zdobywca gniazda nie dał się pokonać groźbą, pierwszy uskutecznia ją i puszcza drugiego. Wysokość była znaczna, — zacięty chłopak nie zabił się wprawdzie, ale się bardzo pokaleczył, a podobno nawet ślamał sobie rękę czy nogę. Ale postawił na swoim.

Oto są górale; jak jedno tak drugie z tych dwojga dzieci, w związku swojego charakteru, który z latami tylko się rozwija i wzmacnia.

b) Na skale Turniska. — Góry jako pole dla poezyi.

29 czerwca 1882.

595) Str. 156—159. Lubię bardzo te skały. Odróżniają one tę górę od wszystkich okolicznych, nadają jej pewną dzikość. Drzewa rozsypane po nich, tworzą cień i ustron przychylny głębszym myślom.

Niedaleko mam grotę, której, według wiary miejscowej, duch strzeże. Głęboka w tem prawda. Coż jest, czego-by duch nie strzegł? gdzieby na dnie ducha nie mieszkał? gdziebyśmy się mogli przedrzeć, cobymy mogli pojąć, nie porozumiawszy się wprzód z opiekuńczym, panującym tam duchem? W duchu jest źródło i zagadka wszelkiego życia, wszelkiego istnienia. Całe stworzenie widome i niewidome jest, czem jest przez Boga, przez Ducha Bożego. Człowiek jest człowiekiem przez ducha ludzkiego, przez część Ducha Bożego. Oż nas upoważnia twierdzić, że skala także, że kamień także nie ma swojego ducha? Jest duch stworzenia, jest duch ludzkości, jest duch narodu, jest duch pojedynczego człowieka, jest duch wogóle, musi być i w ka-

źdej częstocę ogółu. «Bóg jest w niebie, na ziemi i na każdym miejscu — wraza nam Kościół tę prawdę od dzieciństwa naszego. Dzieci wierne w dojrzałości swojej niewinności religijnej, kierują podług tej prawdy całe swoje życie; lud prosty, część najdziesiętniejsza narodu, trzyma się jej jak najmocniej. Nie żartujemy z tej wiary, bo on zawsze na końcu wygra i zawstydzi naszą mądrość zmysłową, całkiem pelzającą po wierzchu rzeczy. Nie zabijajmy w nim tego uczucia. Biada nam, gdybyśmy potrafili je zabić. Chrystus powiedział o gorszyicielach dzieci: koby zgorszył jednego z tych, byłoby mu lepiej, żeby sobie uwiązał kamień młyński u szyi i rzucił się z nim w morze. Słowa te mogą się stosować do gorszyieli ludu, który przez prostotę, przez niewinność swoich wierzeń, jest dzieckiem w obliczu Boga.

Oto jest, co mię tak przywiązuje do niego, co mię pobudza stać się podobnym do tych, których «aniółowie są zawsze przed obliczem Bożem», patrzą zawsze na prawdę; oto jest, co mną kieruje i w tej pracy. Jeżeli zbieram i podaję innym pieśni, powieści, podania, wyobrażenia, nawet przesydy i zabobony ludu, nie zbieram ich i nie podaję jako kamyczki mniej więcej przydatne do utworzenia jakiejś martwej mozaiki poetycznej — nie! wzięłem je z łona życia, jako żyjące czucie ludu i za rzecz żyjącą podaję. Chcę je zachować w życiu dla życia ludu. Chcę je zachować także dla życia naszej satuki.

Kiedy rzucę okiem na cały obszar tego kraju przedmną; kiedy się cofnę w jego wieki przeszłe, kiedy nade wszystko zapuszczę myśl w głębie jego życia, nie mogę wstrzymać się od żalu, że dotąd poczyna nasza nie dotknęła tych okolic, nie położyła na nich tego uroku widomego, jak np. w nowszych czasach rozlał Walter-Skott na góry swojej ojczyzny. Wiem, że to nielatowo, ale nie przez brak poetyczności tej ziemi. Jest ona, a może nawet większa, jak w ludzkie Szkoockim. Tylko trzeba odedrzeć nieco zwierzną jej powłokę, dostać się do głębi, zgodzić swojego ducha z jej duchem, objąć swoim czuciem najwyższem całe jej życie. A wtedy znajdziesz je wszędzie.

Szyller w jednej ze swoich poezyi żali się na zamarcie, na bezdusność świata obecnego, tęskni za życiem duchowem Greków, oplakuje Nimfy, Dryady, wywołuje bóstwa Greków. Żal

jego słuszny, kiedy go zastosujemy do świata księżkowego; — nie ubolewałby za przeszłością, gdyby zeszedł był do naszego ludu: byłby tam znalazł ów świat ducha, którego świat grecki był tylko zamgloną, mętmem przecuciem; byłby znalazł między naszym ludem w świecie, który go otacza, życie i Nimf i Najad i Dryad, ale prawdziwsze, wyraźniejsze, bo objawione przez ducha chrześcijańskiego, nie domysły, nie odgadwania, nie wymysły ludzkie, ale pewność wewnętrzna, silna, i oczywista jak wiara, nieomylna, jak światło wiary prawdziwej.

4) Kościelisko. — Źródło Czarnego Dunajca. — Smerczyn Staw. — Góra Ormak.

22 sierpnia 1832 r.

596) Str. 215—219. Jeszcze w maju puszczałem się był na zwiedzenie doliny Kościeliskiej. Zdawało się, że w tem przynajmniej miejscu, jako leżącym wśród gór niższych i dostępniejszych, będę mógł złagodzić niecierpliwość dostania się do wnętrza Tatrów; ale mój zamiar nie miał powodzenia — śnieg, deszcz i mgła witały mię naprzemian w Kościelisku; zaledwo wyniosłem z owego czasu pamiątkę niższej części doliny i kilku szczytów, błyskających naprzemian między chmurami. A tymczasem to miejsce uchodzi za jedno z najuroczniejszych w Tatrach, na co i ja się zgodziłem, o ile z pierwszego i krótkiego rzutu oka osądzić mogłem; postanowiłem przeto zrobić powtórna wyprawę.

Droga z Nowego Targu do Kościeliska idzie przez wieś: Szaflary, Biały Dunajec, Poronin, Zakopane, zawsze ponad wodą Białego Dunajca; później rzuca się pod same góry w bujne świerkowe lasy, i styka się z rzeką Czarnym Dunajcem przy samym jej wypływie z Kościeliskiej doliny. Droga ta trzechmiłowa z górą, ubarwiona jest miłą rozmałością, szczególnie od Poronina. Dunajec szumiał nam wciąż po ogromnych płytach, co mu dno uścielały; góry po obu stronach i łąki rozdoła, którym droga idzie, jaśniały świeżą zielenością, jakby śród wiosny; po lasach gwizdała wilga i drożdż uczył się pieśni słowika, jednym słowem, przebyliśmy tę drogę bez najmniejszej nudy. Naraz gościnniec zbiegł na odkrytą dolinę i skrzył się ku południowi, — porzwałem przed siebie, na tę i na tę stronę pasma wysokich gór świerkami odkrytych, tylko w jednym miejscu

przerwa aż do dna doliny na kilka sążni szeroka, po jednej i po drugiej stronie dwie ogromne skały, jak dwie kolumny w bramie, a z pomiędzy nich Czarny Dunajec wypadał — to wjazd na Kościelińską dolinę! Minąwszy wspomnianą bramę, uzieliliśmy się na rozkosznej płaskiej dolinie owalnego kształtu; pokrywał ją kobierzec najświeższej darni, ocieniały dokoła góry i lasy, ozdobne takim wdziękiem, że się zdawały być ulubieńszem nad inne dziełem przyrody: po prawej ręce szumiał pod górami Dunajec; gdzieś niedaleko z pomiędzy gór lesistych wytykały nagie szczyty, jak wieże nad okazywał gromem; droga wyprostowana, wysadzona drzewami, szła środkiem płaszczyzny i knęła w wąwozie, który się zamykał dalekimi górami — ta mała dolina, to przysiółek Kościeliński! Gdzie ona zwęża się, tam się zaczyna właściwa dolina Kościelińska...

W południowej ścianie Uplazu znajduje się pieczara zbójców. Aby dostać się do niej, potrzeba okrążyć tę górę od północy, przebyć jej grzbiet i dopiero spuścić się cokolwiek na dół; cała ta droga idzie gęstym lasem, i tylko drzewa oznaczone siekierą są przewodnikiem. Pieczara wykuta jest ręką ludzką, w kształcie długiego korytarza, w ścianach ma otwory, zastępujące okna, wewnątrz kamienne tamy, a w samym końcu źródło. Przed laty kilka znaleziono przy tem źródle kości ludzkie, do podziwiania wielkie; według powieści góralskich miały to być szczątki sławnego przed laty zbójcy z Węgier, Janoszyka. Przystęp do pieczary bardzo przykry i zasłonięty gęstwiną drzew, ale widok z niej ogarnia całą dolinę i wszystkie góry południowe.

Wchodząc w głąb doliny, nad potokiem Pyszną, napotyka się ogromną skałę, którą lud zowie Sową, dla jej podobieństwa z tym ptakiem.

Jeszcze dalej masz nad szczytami lasu wyraźny ze skal zamek, opatrzony wszystkimi prawie częściami murowanej warowni.

Odtąd dolina zmienia postawę, rozszerza się i podnosi; góry stoją rozłożyciej; parowy łagodniej są wyłobione i pokrewne gałęzie rozpuszczają po bokach. W tem już położeniu, na wysokim przedstopniu Pysznej leży Smerczyn Staw. Obszerne to dosyć jezioro, ustronne wdzięku. Otacza je przyroda żyjąca,

ale je szpeci przystęp, najeżony pniami zrąbanego lasu; sama też woda nie ma czystości wód górskich, a brzegi bagniste utrudniają zbliżenie się do niej.

Całą tę drogę urozmaicają górnicze banie, czyli miejsca skąd się ruda żelazna bierze, dzisiaj zaniedbane od czasu kiedy się odkryły obfity. Trafililiśmy także na dawne kopalnie srebra, które przed kilkunastu laty, czy więcej, woda zalała. Piękne bardzo maszyny mają się dotąd znajdować w głębiach wody...

...Weszliśmy na Ornak w tem właśnie miejscu, gdzie się stykały podstawami swojemi dwa jego szczyty: zachodni i wschodni, a na które, mówiąc nawiasem, nie mieliśmy ani chęci ani nadziei dostać się dzisiaj, lubo z pozoru nie zdawały się być bardzo wysokie. Ale my wiedzieliśmy z doświadczenia, jak w górach ten pozór myli i co kosztuje czasu i trudu podobna omyłka; zaniechaliśmy tego tem chętniej, że wspomniany grzbiet góry albo siodło, jak go tu zowią, pokazywały nam ze swojej wysokości wszystko prawie, co z większej moglibyśmy widzieć.

Było to tylko co po południu. Powietrze było jasne, spokojne, skwarne; pragnienie dokuczało, ale przedewszystkiem mieliśmy pokrzepić ciało wycieczką, korzystaliśmy z tej konieczności i przez ten czas obejrzeliliśmy ogół okolicy.

Niepospolity to punkt, gdzieś się znajdowali. W tem właśnie miejscu przechodzi graniczna linia między Galicyą a Węgrami. Kilka kroków, bo tak jest wążka płaszczyzna tego grzbietu, rozdzielają dwa narody, dwa klimaty. Od północy dolina Kościelińska, uroczą rozmaitością i całym wdziękiem wiosennej prawie świeżości; od południa także dolina do Węgier już należąca, tej samej prawie długości, tegoż samego kształtu prawie, ale bez tych rozmaitości, któremi pierwsza odznacza się; ani tych skal dziwnych, ani wód obfitych, ani dolin pobocznych, raczej jeden wąwóz długi, głęboki, jednotonnym lasem zarosły. Dolinę Kościelińską ubarwia młoda wiosna, na węgierskiej ślady dogorywającego lata; po pierwszej błękitniejszej, żółcieją, rumienią się najdorodniejsze, najwonnejsze kwiaty, na drugiej zaledwie gdzieś niedaleko żółty jaskier; tam porywa, oświeża oczy zieloność, jak po ciepłych wiosennych deszczach, tu zwiedza już trawa i mech płowieją. Cały widok na Galicyę rozmaitszy i ma więcej życia, na Węgry może rozleglejszy, ale bardziej pusty; tyle la-

sów, tyle płaszczyzny bezładnej, przedgórza tak oddalone, że tylko rozległością swoją zastępuje inne powaby. Mimo to wszystko rozpatrywaliśmy się w nim nie bez interesa, ochłodziliśmy się wodą z węgierskiego potoku, podjedliśmy i zesłaliśmy napowrót z góry.

Pod samym Ormakiem leży piękna polana z porządną bawółką. Owce właśnie zesły z gór na południowy spoczynek do koszar. Ujrzelśmy kilku pasterzy, krzątających się około bawółki, wesłaliśmy do niej, aby napić się rzętycy i kupić serów. Rzętyca tu daleko lepsza i zdrowsza, niż w przedgórzach, leżących z tamtej strony Nowotarskiej doliny, a przyczyna tego w balsamiczniejszej paszy. Z pół godziny przepędziliśmy na rozmowie z pasterzami. Z wielu względów trzeba kochać i podziwiać tych ludzi. Co to za uroda w budowie! co za życie i zręczność w każdym ruchu! jaki rozum otwarty, jaki dowcip przytomny w rozmowie! Ogólny strój tamtejszych pasterzy jest następujący: koszula krótka, po pas tylko, usmażona w maśle, jedna na całe lato, to jest na cały czas, przez który trzody w górach się pasą, spodnie sukienne białe, obcisłe, z czerwonym szwem w nogawicach i wyszywaniem na brzuchu z węgierską; ciżmy krótkie, przysnurowane rzemieniami do wysokości połowy łydek; szeroki pas skórzany, za pasem z lewego boku dość duży w pochwie skórzanej, przez plecy torba ze szpagatu, ładnie zrobiona, w kolorowe zygzaaki, z ogromnymi u wierzchniej części frenzlami; koszula pod szyją spięta wielką, mosiężną spinką, czasem w kształcie medalu, czasem obrazka z licznymi łańcuszkami dosyć długimi; rękawy koszuli sfaldowane na ramionach, a faldy te zbiera w kształcie guzika jakaś robotka z różnobarwnych paciorek; na głowie kapelusik z wązkiemi brzegami, okrągłym wierzchem, obwiązany amarantową wstążką i ozdobiony zieloną gałązką jakiegokolwiek drzewa; w ręku siekierka na długiej łasce, zwana wataszką lub ciupagą, a w ustach mosiężna fajeczka na kilkociałowym cybuszku. Wszystkie te mosiężne ozdoby, jako spinki i także mosiężne fajki, wyrabiają się we wsi Zab-suchy, niedaleko Kościeliska.

Między innymi rzeczami gadali nam Juhasy o zbójcach. Zwykle gnieżdżą się oni na Węgrzech, a na tę stronę gór czasami tylko dochodzą. Właśnie przed kilku dniami Juhasy, któ-

rzy nam to opowiadali, mieli u siebie w odwiedzinach czterech takich zbójców. Opisywali nam ich dosyć szczegółowo. Są oni uzbrojeni od stóp aż do głowy. Każdy z nich, oprócz siekierki, noża i pistoletów, ma jeszcze ze trzy rusznice. Juhasom nie robią wiele złego; wybierają tylko z trzody kilka baranów, rzną je natychmiast, pieką, najadają się, resztę zabierają z sobą i w końcu przymówiwszy się o sery, odchodzą spokojnie. — A górali spokojnie ich puszczają. Z tego pokazuje się, że nie z góralami wojnę prowadzą.

Około piątej z południa stanęliśmy z powrotem przy źródle Czarnego Dunajca, o którym już wyżej napomknąłem. W tej chwili niem głównie się zajmalem. Wybuchła ono wielkimi balwanami, z wielkim szumem z otworu pieczary, znajdującej się u podnóża Uplazu. Naga, skalista ściana, dosyć wysoka, podnosi się dokoła otworu. Jest ona gościnną księgą dla zwiedzających dolinę Kościeliską. Miękki jej kamień okryty jest napisami rozmaitego kształtu, rozmaitej mowy, rozmaitej treści; imionami i nazwiskami osób wszelkiej płci, wieku, stanu i narodu. Jakiegokolwiek są one wagi, mnie zajmowało głównie źródło i pieczara, z której było. Zaostrzały moją ciekawość rozliczne o nich wieści. Jedni powiadali, że zwiedzano ją z pochodniami, że po długiej, trudnej i chłodnej podziemnej wędrówce, dotarto nareszcie do ogromnej sali, ozdobnej kolumnami i sztukateriami z kamienia tak jasnego, że przy blasku pochodni sala świeciła niby dyamentowa; że pośrodku sali leży małe jeziorko, właściwe źródło Dunajca; odrącający przydatki o podziemnych mostkach na podziemnym Dunaju, wierzyłem w salę i zbójców jak stukatury. Inni utrzymywali, że tę salę wykuli górnicy, dobywający niegdyś w tem miejscu srebro; w tem podaniu nie mogłem dostrzedz poetycznej strony. Niektórzy twierdzili, że tem podziemiem trzy dni i trzy noce iść potrzeba, aby dojść do źródła, że nawet w końcu tej wędrówki można się było obaczyć na szczytce jakiejś góry; na to bym się nie odważył. Inni nakoniec zapewniali, że szperanie po pieczarze burzało Ducha, mającego tam swoje siedlisko, który w gniewie spuszczał na dolinę chmury i ulewę. Tem się nie trwożyłem i postanowiłem w ciemnym siedlisku Ducha rozniecić ziemskie światło. Dziś jeszcze zamierzylem tego dopełnić. Opatrzony więc w potrzebne zapasy, jako to:

świeczki woskowe, zapalki chemiczne, pulares i t. p. wziąłem się natychmiast do dzieła. Zapaliłem świeczkę i wszedłem w groźny, bez przesady mówiąc, otwór. Kszalt jego z początku foremny, sklepienie okrągło-wklęsłe, wysokość dorodnego człowieka; pod tym więc względem było mi wygodnie, ale niższa część ciała miała wiele do zniesienia. Woda nadzwyczajnie chłodna i gwałtowna, lubo z początku sięgała mało co wyżej nad kolana, parla mnie wciąż napowrót ku żyjącemu światu; przytem dno tak jest nierówne i śliskie, że co chwila byłem w obawie upadku i całkowitego skapania się; w takiej walce z pędem wody nieraz już pochyliłem się i zamoczyłem po szyję prawie. Trzymałem się jednak jak mogłem, chodziło mi najwięcej o światło, bez którego czułem, że byłoby mi źle w miejscu ciemnym, nieświadomem i zalanem wodą rwącą. Mimo to, chociaż z trudem, postąpiwałem naprzód; szum wody coraz głośniejszej rozlegał się w podziemiu; ale dotąd szedłem w prostej linii i miałem jeszcze za towarzysza trochę blasku dziennego, zazięrającego w otwór; naraz pośliznąłem się, upadłem i świeca mi zgasała. Chciałem korzystać z zapalek, na nie się nie przydały: powietrze w podziemiu nasiąkłe wilgocią, a przytem wietrzyk mały, skutek zapewne nadzwyczajnego pędu wody, zgasiły mi każdy siarniczek, że wkońcu nie pozostawało mi jak wycofać się. Zapaliwszy na nowo świecę przed otworem, puściliśmy się wci powtórnie, ostrożniejszy już i pewniejszy drogi, bom ją dwa razy przeszedł i poznał. Prędko dosięgnęłem kresu poprzedniej wyprawy; świecę zasnaniałem jak mogłem, wszakże jej światło coraz bardziej mdało. W zakręcie podziemia straciłem z oczu jego otwór; grube ciemności otoczyły mnie dokoła; bałwany wody za każdym krokiem silniej uderzały i huczały głośniejsz; stanąłem na chwilę; huk podziemny, daleki, mocniejszy od szumu tłukącej mię po nogach fali, mieszanina tysięcy najsprzecznějších tonów, muzyka dzika, przeraźliwa, jakiej nie podobnego w życiu mojem nie słyszałem, niby echo oddalonego piekła, ogłuszyły mnie naprawdę. Mimowolnie uległem groźnemu wrażeniu, zdało mi się w tej chwili, że się otwierają tajniki ciemnego duchowego świata, że postacie jego nieżywe, zaczynają przesuwać się przed okiem, jak począły już przelatywać po myślach; spodziewałem się co chwila, że trup jakiś przepłynie

koło mnie na falach, że jakiś potwór, nieznajomy dotąd światu, objawi mi się przy konającym blasku mojej świeczki; uwierzyłem na chwilę w nietykalność miejsc podobnych i tajemnicz poddań ludowych, szedłem jednak — wkrótce pęd wody wolnieje — trafiam nogą na tram kilkołokciowy, przyglądam się mu, obroniony widocznie ręką ludzką; co on tu robił? tego nie potrafię wytlómaczyć. Opierając się ręką o ścianę, trafiam na wyłożenie i znalazłem w niem kawałki szkła potluczonego — musiał tu więc być człowiek — i oto ujrzałem się w próżnej przestrzeni, mającej obwód kilkanaście kroków, ale ze sklepieniem tak niskim, że ledwie wyprostowaś kroków, wtem dmuch szedł bokiem tego ustępu, woda zaś pokrywająca jego dno była spokojna i płytka; zбочyliłem kilka kroków, wylazłem na kamień, aby zdrętwiałe od chłodu nogi przyszyły cokolwiek do siebie. Ale świeca moja coraz widoczniejsz groziła zgaśnięciem. Nie aważając na to, powracam znowu na dawną drogę, pomykam się do korytarza, skąd bije nurt najmocniejszy, wtem dmuch niespodziewanego wiatru gasi mi powtórnie światło. Jedna była droga dla mnie, ta, którą przyszedłem; łatwo więc, chociaż omackiem, trafiam na nią, trzymając się przytem fali najgwałtowniejszej, i wróciłem na świat z przedsięwzięciem ponownia wyprawy.

Tą razą puściliśmy się z latarnią. Wrażenie podziemnej zgrozy słabiej już na mnie działało. Większa świeca, dobrze szklęm osłonięna, pomogła mi jaśniej widzieć podziemie. Rozpatrywałem dłużej jaskinię, w której wczoraj odpoczywałem; było to proste dzieło przyrody, ozdobione tylko kropkami zgęstniałej wilgoci. Posunąłem się dalej. Z początku zdawało mi się, że jaskinia rozgałęzia się w kilka uliczek; obejrzałem każdą, niektóre nie miały długości jak kilka łokci, inne obiegały tylko jako gład i łączyły się z głównym przechodem; po tym jednym obiecywałem sobie piękne odkrycia, cieszyłem się napród radością, której doznam, stanąwszy w owej sali, która w podobnym miejscu musiałaby przedstawiać coś osobliwego; ale sklepienie, wycięte pod kątem, coraz się bardziej zniżało i zwężało; chyliłem się dopóki tylko mogłem, przysiadalem, mimo to poznałem wkrótce, że dalej nikty posunąć się nie potrafił. Woda wybuchła wprawdzie z równą obfitością, jak gwałtownością, ale już tylko ze szczeliny

i to tak ciasnej, żeby się przez nią żaden człowiek nie przecisnął, choćby miał odwagę pod wodą nurkować.

Tu zakończyłem podziemną moją podróż i zaspokoilem ciekawość. Jakkolwiek nie trafilem w niej na przedmioty nadzwyczajne, choć jednak wierzyć, że śmielszy, czy wytrwalszy, czy szczęśliwszy odnennie potrafi głębiej się zapuścić i odkryć te dziwa, o których podanie zapewnia. Co do mnie, z tego com dokonał i z chwili przepędzonej w podziemiu źródła, pozostały tak żywe, tak mile wspomnienia, że jeszcze chętniebym powtórzył tę wyprawę, i mam nadzieję, że wkrótce wróci nie bez zdobywcy, jeżeli nie dla oka, to dla uszu i myśli. W niezwykłych tylko położeniach budzi się wnętrza życie człowieka.

d) Mgła poranna w górach.

I październik 1832 r.

597) *Str. 254—256.* Minęło lato. Góry śniegiem się odziewają; przedgórza występują w dzikszych coraz barwach. Polany spustoszały; ogłuchły echa pieśni pasterskich; słońce z każdym dniem widoczniej się nudzi, z każdym dniem wcześniej na spoczynek odchodzi. Pogoda walczy jeszcze ze mgłami, rozdrażnia sny moje krótkie, jak sny rozkochanego. Budzę się w ciemnościach, gwiazdy iskrzą, lśni się obfita rosa; korzystam z ostatnich lata zabytków, choć sobie przypomnieć letni poranek, puszczam się w góry. Zatrzymałem się na szczytcie Wielkiej góry nad Łopuszną.

Cała dolina leżała cichym snem pod memi nogami. Księżyc spuszczał się bezchmurnym niebem do zachodu. Pogoda była mi tem uroczajsza, że się zdawała być usmiechem piękne sny marzącego; księżyc tem milej, tem tęskniej świecił, że tylko mnie samemu świecić się zdawał. Tatry stały uroczyste, jak były milczącą modlitwą dumaly.

I oto ze szczytu Babiej góry wybuchnął kłęb lekkiego tumanu i stoczył się do jej podnóża. Wschód mocniej płonąć się począł. Jutrzenka ucieka w głąbie nieba. Na kilku białych szczytach pokazały się placki różowego blasku, a od zachodu mgły się podnoszą: z początku bieleją w postaci kilku chmurków błędnych, powoli idą ku sobie, spotykają się, łączą się, gęstnieją, toczą się białym walem cicho, uroczyste, coraz szerzej osłaniają

dolinę, już dosięgły mojego stanowiska, już je oblały dokoła, rozlewają się dalej, już dosięgły Pienin, i oto cała dolina zniknęła. Lasy i wody, wieś i pola, wzgórza i błonia, wszystko co księżyc tak pięknie przed chwilą oświecał, w tej chwili zagasało pod mgły morzem. Prawdziwie to morze. Kłęby tumanu burzą się jak poruszone fale, przelewają się przez siebie nawzajem; cała masa jednym ruchem zdaje się kołysać — cichnie — a jednostajna, siwa barwa rozlewa się po powierzchni całego tego ogromu. Tatry, Pieniny, Babia góra, zostały teraz brzegami morza, z którego lona podnoszą się gdzienigdzie, jak ciemne wyspy, wyższe wzgórza, lasami porosłe.

Wzmagający się blask świtu rozjaśnia coraz mocniej część wschodnią mglistego morza i zaczyna rozścielać po niej pajęczynę z barw płomiennych, igrających. Nakoniec pokazało się słońce. Tu muszę złożyć w pokorze mój penzel malarski; nie czuję się zdolnym wyobrazić jak ślup jego palający, niezmierny w swej długości, rzucił się wzdłuż mgłom aż ku mojemu oku, jakimi barwami no ruchomem tle ich igrał, jakiego urloku był ten most tęczyowy między mną a słońcem, jakim blaskiem zajaśniało wszystko między ziemią a niebem!..

W miarę jak słońce podnosiło się, odblask jego na powierzchni tumanów zmniejszał się i ciemniał. Powiał wreszcie wiatr, zawichrzył mgłami, podniósł niektóre do wysokości mojego stanowiska... Widowisko skończyło! — szedłem na dół ale w zachwyceniu i poczuciu, że mi się objawiło owe Morze Karpackie, które, podług podań, zalewało niegdyś dzisiejszą Nowotarską dolinę.

H) Sobótka (1833).

(Pierwsze wydanie poematu ukazało się w noworoczniku «Ziewonia»,
Lwów, 1834).

«Sobótka» miała być ezezią większego poematu p. t. «Kościeliśko», którego Goszczyński nie napisał; pozostały tylko plan całości i fragmenty, które ogłosił Zygm. Wasilewski w «Kuryerze Warszawskim» w r. 1900 i w t. I. «Pism» Goszczyńskiego (Lwów, 1904). Tekst wypisów dajemy podług wyd. Wasilewskiego. — Rzecz rozgrywa się w Tatrach, za panowania Bolesława Wstydliwego. Górale obchodzą sobótkę i oddają się zabawom i śpiewom przy rozpalonym stosie. Zjawia się pleśniarz Łudek, który przynosi wieść o najściu Tatarów, ale górale oddają się w dalszym ciągu zabawie. Z daleka, w gronie swych towarzyszy, przygląda się zabawie zbójnik Janosz, który został opryskiem z rozpacy po zniknięciu ukochanej. Nagle

ukazuje mu się widroło Mołcha, zwiastująca nieszczęściem, a wkrótce potem spadają niespodzianie na góralów Tatarzy. Na tem urywa się poemat. «Sobótka», to, jak «Zamek Kaniowski», poemat odzwierciedlający przyrodę, życie i charakter ludu jednej z dzielnic polskich. Jak w «Zamku Kaniowskim» Goszczyński wprowadził pierwszy do poezyi Ukrainę rzezywista i hajdamaków, tak w «Sobótce» pierwszy apoteozował przyrodę Tatrz i życie górali tatrzańskich. Stosunek poety do przyrody i do wierzeń ludowych jest tak samo bezpośredni, jak w «Zamku Kaniowskim» i innych jego utworach. Nudpryrodzony świat ducha górala tatrzańskiego odzusił znakomicie, ale charakteru jego, zdaniem skrony, Kazimierza Tetmajera, nie uchwycił, a pieśnią góraliskim w poemacie brak głównej cechy poezyi ludu tatrzańskiego — naiwności. I z tego jeszcze względu nie jest «Sobótka» utworem sensu etnograficznego, że obchodu sobótki Goszczyński nie opisał z natury, iudacó łowim tatrzańską, fra co zycosci uwagi Wasilewskii, nie zna go zupełnie i sam Goszczyński w «Dzienniku podróży do Tatrów», gdzie przytocza niektóre podania i wierzenia, na których osnuł swoje opowiadanie, nie wspomina, żeby widział w Tatrach sobótkę.

598)

Pół słodka pała na nieba sklepieniu,
A pół zagrasło w polskich puszcz błękitnie.
Czerwcowy wiecór, na smereków ciemiu,
Po wzniołej Wyżni osnuwa się czysteie.
Z niebios podhalskich uchodzi ulewa,
Jak nieprzyjazne wojsko z pół pogromu —
Sztandarem tęczy od Pienin powiewa,
I coraz biedziej wypuści strzał gromu.
Podhalska ziemia, zdyszana po barzy,
Kiedy niekiedy grzmotem z głębi runie,
Kiedy niekiedy z lasów mgłą zakurzy
I jak westchnienie po górach ją sunie.
Na wszystkie strony uciekają chmurki
Łódkami wiatru, przez lasy i wzgórkii;
Milekciem wypelzną, przemykają rązo,
I z wodzem burzą na wschodzie się łączą.
Wolnieje potok, co przed chwilą szalał,
Las rżesno płacze kroplami dżdżowemi,
A cały przestwór, od nieba do ziemi,
Jasny, jak żębyś kryształem go nalał.
Luby góralom ten wiecór czerwcowy!
Na piersiach Wyżni splonie stos Sobótkii.
Brzmią długie trąby, przygrywiają dudki,
Krociami dzwoneków igrają parowy.
Pod biciem siekier jęcą ciemne lasy;
Pod trupem jodeł wzgórze się wdrygają;
Nuca juhaski, hukają juhasy;
Wszystko wre gwarem i góralów zgrają.
Drugi góralom ten wiecór czerwcowy!
Na piersiach Wyżni, nad przejrzystą wodą,
Wzniosą stos wielki, dwunastojodowy,
I roczną ucztę do ranka zawiodą.

Święty góralom ten wiecór czerwcowy!
I Wyżnia święta góraliską ponęcią:
Góra nad góry, na Sobótkii święto.
Wyżnia postawą Kluczek nie dosięga,
Wyżnia w obłokach głową nie ustrzęga;
Ale na Wyżni podokrętym lonie
Wabięca woda lustrem nieba plonie,
A z jasnych skrony las płynię sta-wzory;
Tu brzozy puszcza, jak włosy dziewicze,
I jak włos, Wyżni ocienia oblicze —
Tam na piersi kłębiu zarzaca ubioru,
Łub z niskich krzewin, łub drzew jasnolistych,
A z piersi spada puszcza grąstą, czarną,
Jak pełne łady strojów uroczystych.
Do Wyżni zewsząd potoki się garną,
I wiecznym szumem grają u podnóża!
Do Wyżni zewsząd zbiegają się wzgórze,
I wisną wkoło, zasłony łańcuchem,
By wiatr zimowym nie wiał na nią dmuchem,
By wschód zawczesny nie drażnił jej oczu.
Wyżnia, jak pani patrzy za stolicy
Na gród olbrzyma, olbrzymki-Lonnicy,
Co błękitnieje w południa przedroczu.
Pomiędzy Wyżnią a nawalnic miastem,
Pod wałem z głazów, gdzie puszcze są chwastem,
Pod wieżycami, gdzie z granitu dachy,
Osada z gromów, a z orłów sztyldwachy —
Łani nowotarskiej doliny opona,
W srebrnych potoków węże zapleciona,
Tatrzańskich borów ciemien narzuciona.
Wysłana lasem głęboka dolina,
Po której stopniach murt Łopusznej schodzi,
Cały ten widok w jeden promień spina —
I do nóg Wyżni w holdzie go przywodzi.

Jeszcze ot! jedna chmurka przeleciała:
Las ciemny przjrzał, wystrzeliła skała;
Na skałe jodła — i picieo leżało.
Leniwy tuman oblał im podnóże,
Oni leżeli widzianiami w chmurze,
Jakby w powietrzu, z jodłą i ze skałą.
Brodąie twarze, odzież ich jednaka:
Czerwono sztya guńka na opaszki;
Rżesno jarzące szkiełka u kółpaka;
Koleczan na plecach, sznówiowe wataszki,
Szerokie pasy, za pasem topory.

Włos pokręcony w obfite kędziory:
 Tu wisiał, w krasne watażeczki ujęty,
 Tam w skrzydła wiatru płatał swoje skrzyta.
 Jak orle skrzydła, gdy za łupem świsząca,
 Jak orle oczy, gdy nad łupem błyszcza,
 Tak groźna, bystre i twarze i oczy
 Gości, co Wyżnią spiegięją z ubożcy.
 Rozbójnik Janosz spoczywał za nim,
 Głazem, co z wieków wjada się w pierś ziemi.
 Najgłębiej skryty w jodłowym zaciemiu.
 Znać go po wzroście, znać go po wejrzeniu.
 Żaden mu góral w niczem nie zrównywa;
 Słynię jak Krywań! O nim Ludek śpiewa:

Janosz! dzielny góralu!
 Skąd ty wziął się na Podhalu!
 Taki rosły, taki wdzięczny,
 Taki silny, taki zręczny?

Ty wysoki jak Łomnica,
 Jak lawina twa prawica,
 Jako Tatry twoje barki,
 Jak lot gwiazdy bieg twój szparki.

Zatrzymasz orła w obłoku,
 Gdy mu utkwisz oko w oku;
 Ty obejmiesz ten buk w borze,
 Co go objąć trzech nie może.

Janosz! dzielny góralu!
 Skąd ty wziął się na Podhalu?
 Nie kobieta, ale skała
 Zrodziła nam ciebie musiała.

A dziś dnie jego życiem zbójców płyną;
 Łód i przepaści jego dziś dziedają;
 Po ciemnych jamach z puchaczami miesza,
 Trop dzikiej kopy zwykła mu dziś ścieżka.
 Co o nim prawią, w głowie się nie mieści,
 Jak o straszyle krąży o nim wieści.
 Tutaj ze mgłami spada na doliny,
 Tu duchem zbiega nietknięte wyżyny;
 Tutaj, od strzelców odważnych naparty,
 Znika w szczelnie, tak wąsko rozdartej,
 Że się zaledwo gadzina przesłiznie.
 Z wierzchów, gdzie kamień na proch się rozbrzyźnie.
 On żywo zleci, jakby skrzydłem ptaka,
 Albo jak kozioł huśta się u krzaka!
 Głos ludu twierdzi, że kechanka jego,
 Którą jak stracił, nikt wiedzieć nie może,
 Przeobrażona w ducha niedobrego,
 Tajemnie nad nim ezuwa w każdej porze.
 Bo trudno wierzyć, ażeby tak młody
 Przeżył bez duchów tak wielkiej przegrody,
 I jedno imię wdział, jak nawałnięć
 Grzmiącą a ciemną, na całą ziemięć.
 Ten sam dziś przyległ lodem do kamienia,

I wbił przed siebie żrenięć zmartwiałą,
 Pojrzyj mu w oczy, a w głębi spojrzemia,
 Masz jego sławę, jego duszę całą.

599) Dziewki z kolei zawiadyły tę śpiewkę:

Strzećcie się, o matki!
 Tulcie wasze dziatki.
 Pod okienkiem mara,
 O zdołbecz się stara:
 Czapeczka czerwona,
 Kosa rozpuszczona —

Jako śmierć złośliwa,
 A jak wiatr pierzchliwa,
 Podsunie się skrycie,
 Ukradnie wam dziecko,
 I zniknie zdradziecko.
 O matko! strzeż dziecko —
 Czyha Dziwo-żona.

Gócalko nadobna!
 Nie biegaj z osobna,
 W zarosłej ustroni,
 Strach stracha tam goni.
 Czapeczka czerwona,
 Kosa rozpuszczona —
 Ach! to Dziwo-żona!

Jako śmierć, złośliwa,
 A jak wiatr pierzchliwa;
 Pochwyć cię w lesie,
 Pod ziemię zaniesie;
 Bez Tatrów, bez słodca,
 Zostaniesz do końca,
 Jako Dziwo-żona.

Niebog! sieroto!
 Włoso ci rozplota,
 Czapeczkę nasadzą,
 Szpedykę jeść dadzą;
 Dla twego serduszka,
 Za družkę za družka,
 Będą Dziwo-żony.

Dziewczę, biada tobie!
 Ty przed śmiercią w grobie,
 Tańczą z tobą mary,
 Twe hale, pieczary;
 Jak Krywań wysoki,
 Jak twój świat głęboki,
 Skoroż Dziwo-żona.

Uciechły kobzy, uciechły i dudki,
 A ledwo skonał dźwięk ostatnej zwrotki,
 Gęś zadzwoniła, i śpiewanie dzikie
 Złato się w cichszą i miłą muzykę.

Szczęśliwe oczy, szczęśliwe kroki,
 Co świat Dziwo-żon nawiedzić mogą,
 Alabastrów wszystkie opoki.

Najdroższy kamień leży pod nogą,
 Wszystkie tam wody płyną kryształem;
 Każda kropelka spada perełką;
 Mosty ze złota w państwie ich całem
 A z dyamentu każde światelko.
 Wielkie, pod niebo, są nasze skały;
 Perłami rosy toczą się nasze,
 Nasze potoki, jako kryształy —
 A jak noc świeże bory i pasze.

Bo u Dziwo-zou nasz się kraj kluje;
Bo u nich każdy zdrój się czyni,
Bo je wypieszcza, bo im wartuje,
Dzika, podziemna, lecz khal rodzina.

— Słyszycie? — Janosz rzekł do towarzyszy:
— Jaką tam gędbę wyprawują dzisiaj?
Słyszycie bracia? — powtarzył strwożony.
I miał przyczynę, bo we udziężnej ciszy,
Która śpiew pisał, podniosły się wrony,
I rozpuściły nagłe krzyk chrapliwy —
Gacki pisnęły, w gwałt huknęły sowy —
Ponurych wilków rozległo się wycie —
Ciężkich gałęzi kołatnęło bicie,
Jak żeby wichur przeleciał zimowy
I echem śpiące szczeniły parowy.
Janosz rozgląda, słucha, duchem trwoży.
A nie zniarkuje co ma trzymać o tem,
Słuch to do drzewa, to na głaz położy;
Drzewo brzmi w głębi, skłała drża łoskotem,
Jakby gdzieś końskie kowalo kopyto.
Nie rad ze słuchu, oka w pomoc wyzwa;
Chce powstać z miejsca, ale nagłe sinda,
I już nie słucha, nie słucha, nie bada,
Tylko zdumiały wpatruje się w dziwa,
Które nie zawsze, nie wszystkim odkryto.
W cieniach zarosli, na granicach blasku,
Jakby na ramach jasnego obrazku,
Żyjących twarzy, głosów mile brzmiących,
Skał zrzuconionych jezior palających
I ugwieżdżonej ogniami polany,
Powstaje wkoło widok pół podziemny;
Duch tam, lub człowiek mignie na przemiany,
To duch pół jasny, to człowiek pół cierany,
Między pnie świerków, między cienia smagi,
Snują się gęsto postacie kobiece;
Czapki na głowach, w nieładzie włos długi,
Rozwiana odzież, okopciałe lice —
U czapek sterczą bezkwiętne paprocie;
A oczy świecą, jak w ciemnościach kocie.
Czasem się skłupia, czasem się rozbiega;
I tu, i owdzie badają ciekawie,
Niby nierade i rade zabawie;
W ich niepokoju coś dziwnie strasznego.
Wilki pod krzami czają się gromadą —
A w gęstwie wyższej nocnych ptaków stado.

I wszyscy w płomieni wpatrują się święty,
Jakby go w oczy na cały rok brali;
Opodał węzów różnobarwne skręty,
Świeci odbłaskiem zwierciadlanej stali,
Większy nad inne, i cudnej piękności,
Waż co ma grzebięd złocistej jasności —
Królem on węzów zwany u górali,
A w większym mroku, widziało człowiecze,
Na widmach kościach, nikną się lasem chyżo;
Strzały na plecach, u bioder ich miecze,
Czasem nad brzegi lasu się przybliży —
I groźnym wzrokiem strzelą przez drzew szpilki.
Oko ich wązkie, jako ślad iskierki;
I pierś i głowa, jak w owcy kołtunach —
Gdzie się przybliży, odezwą się wilki,
Sowa ciekawie zaszera przez świerki
I wrony krążą w śmiertelnych całunach.
Tu się położy, ta nikną w mrok głuchy;
A zawsze szybko i cicho, jak duchy,
Nieżywa głowa skacze w ślad za niemi:
Z okiem rozwartem, z ustami świętemi,
Zdaje się ciągle szpiegować ich ruchy.
To długie włosy, jak skrzydła rozstoczy,
I bystrym ptakiem zagwizdże w gęstwinie,
To znowu w skrzele długie włosy zwinie,
I rybą idzie w podziemne głębinie,
Aż zaów z podziemi jak z wody wyskoczy.
Ależ bo wówczas, ziemi starszowieca!
Dzisiejsze dziwy, dziwami nie były:
Grały widomie niewidome sily,
I pilnowały człowieka, jak dziecka.
W powietrzu, w drzewach, w kamieniu, pod wodą
Krewne spółczucie ludzie znajdowali;
Bo nie gardzili naówczas przyrodą,
Bo ją jak matkę znali i kochali.

l) Uniewinnienie poety (1834).

(«Trzy strony», Oddział I. Strassburg. 1839. Str. 68—69).

600)

O! moi bracia, wam się nie podoba,
Żem wybudował poezji bożyszcza
Świątynię, w której kapłanem Żaloba,
A płomień Śmierci na ofiarnem zgłiszczu;
Że samą uczną krwicych się szkaradę,
Jako obiatę na jej ołtarz kładę.

Wam to niemile, że po jej sklepieniach
 Ustawna burza mroczy się bliska;
 Że dźwięki tylko wiatry brzmią w jej pniach;
 Że w niej okropność i nieład zwałiska;
 Że się w niej roją same grobów larwy,
 Że w jej obrazach same czarne barwy.

Bracia, usiądźcie w stułetiach drzew mroku,
 Gdy ziemia zamknie dzieńne swoje życie,
 W podwójnym nocy i burzy obłoku;
 Posiedźcie chwilę, — cóż tam zobaczycie?
 Choć ziemia Giennusz, Giennusz w całej sile,
 Co umie tworzyć rozliczne i mile.

Za całą światłość — z gęstwiny powicia
 Błysną ci czasem sowy oczy kocie,
 A ruch jedyny — jedyny znak życia —
 Nietoperz w cichym przewlewie się łocie;
 Albo ciężkiego podskoku ropacha.
 Głuchym teutentem przerwie nadę ucha.

Rozpalisz słońce — a w tej samej stronie
 Co barw, co kształtów, co dźwięków, co tonów
 We mgieniu oka owzie się, zapomiel!
 O! póki ciemne słońce milionów,
 Póty, o bracia, niech nie nikt nie wini,
 Że tak ponuro w mych uczad świętyni.

Tarnowskie. 1834.

J) Nowa Epoka poezji polskiej (1835).

(«Powszechny Pamiętnik nauk i umiejętności». Kraków 1835).

Po wstępie, w którym wyjaśnia stosunek swej rozprawy do książki Mochnickiego «O literaturze polskiej w. XIX» (1830), Goszczyński w rozdz. I uzasadnia swój pogląd na poezję i jej znaczenie; poczem, po surowej krytyce naszej poezji pseudoklasycznej, przechodzi w następnych rozdziałach do niemiłej surowej oceny poezji romantycznej; widzi w niej tylko nasłodownictwo wzorów obcych — anglistanie, germanomanie, galomanie i orientalizm. Ostry sąd wydaje o twórcy Mielkiewicza, Słowackiego, Fredry; nie oszczędza nawet siebie, jako autora «Zamku Kaniowskiego». Wyróżnia natomiast, jako dodatnią, twórczość Brodzkiego, Zaleskiego, Malczewskiego. W końcu rozprawy nawołuje poetów polskich, jak przed nim, Brodzki, do stworzenia poezji prawdziwie narodowej, poezji polskiej, zasłonej poezją słowiańską.

Podajemy zamienne teksty z rozdz. I-go, oraz ustęp z charakterystyki poezji pseudoklasycznej (z rozdz. II).

1. Poezja w ogólności i poezja narodowa.

601) *Str. 13—20.* Między licznymi podziałami moralnej całości, zwanej literaturą, między władzami, przez które obja-

wia się i rozwija życie moralne narodu strony, poezya nie poślednie zabiera miejsce. I nie dziś dopiero postrzegliśmy to zjawisko. Własne jej pomniki świadczą o przedwiecznym jej życiu w życiu narodów; cały byt człowieka dowodzi jej obecności w życiu ludzi pojedynczych. Czemże jest Poezja? To pytanie rozstrzygnąć nam dzieje ludzkiego plemienia i ludzkiego życia. Najpierwsza piastunka i nauczycielka narodów, mądrość z natchnienia, filozofia filozofii, towarzysząca prostemu, jak przyroda, pieśniami bytowi człowieka, od rozwinięcia mu życia w kolebce, aż do ukolysania śmiercią w grobie; przecucie zaziemskiego bytu; piętno duchowe na doczesnych przedmiotach dla upięknienia i razem dla okazania znikomej ich wartości; miłość najczystsza, język wiary, duch niewidomy, prorokujący o bóstwie; najwznioślejsza, najrzeczywistsza prawda, odziana tajemniczością i urokiem niebieskiego początku, dotykalna prawie, a przytem niepojęta, oto jest drobna cząstka z szeregu tych postaci, pod którymi Poezja objawia się światu, w których przeznaczono myśli ludzkiej wiecznie ją zgadywać i nigdy nie pojąć. Jedynie, zważywszy ją w tej wszechobecności, której ślady jaśnieją na całej przyrodzie, w tym uroku, który rozlewa na wszystkie stworzenia przedmioty, czy to podnieśliśmy się do wysokości ducha, zanurzonego w bóstwie, czy zniżymy się ku najdrobniejszemu ogniwu, łączącemu ciało ludzkie z ziemią, w tym nakoniec wewnętrznym pociągu i pojmovaniu się człowieka z otaczającym go stworzeniem, możnaby powiedzieć, że Poezja, jest to strefa niewidzialna pomiędzy materją a duchem, w której spływa się i łączy ze sobą wszystko, co tylko w duszy ludzkiej może być zmysłowego, a w zmysłowych przedmiotach ułotnego i czystego jak dusza; że Poezja jest żywioł istoty anielskiej, rozlany we wszystkim, cokolwiek wyszło z rąk twórcy, na znak przymiara między nim a stworzeniem. Ale, jeżeli wszyscy czują Poezję, nie każdy jest usposobiony postrzedz jej żywioł tak wyraźnie, ująć tak silnie, aby go innym mógł objawić; twórcza więc mądrość obmyśliła przewodników moralnemu plynowi Poezyi, również jak plynom ognia, elektryczności i magnetyzmu; stworzyła Poetów. W Poetę przeto spływają się niejako myśli wszelkich istot, tak organicznych, jak nieorganicznych, jednym słowem: myśli całego stworzenia; albo inaczej: dusza Poety po-

rozumiewa się bezpośrednio z ich duszami, o których reszta ludzi domyśla się tylko przez pewną, niepojętą sympatyę, póki ich pośrednictwo Poety wyraźniej uczuć nie da...

Byt człowieka składa się z dwóch połów, różnych od siebie co do istoty, to jest: fizycznej i moralnej, jest więc i chęć zachowania podwójnego bytu, są i środków dwa rodzaje. Z porządku mówić będę o stronie człowieka fizycznej, czyli materialnej. Sen, pokarm i tym podobne potrzeby ludzkie są jej piastunami doczesnymi, do chwili skonania; ta chwila przenosi człowieka w świat moralny, na takiej chwili, na takim punkcie zniszczenia jednego bytu, a poczęcia się drugiego, człowiek grób stawia. Grób możnaby uważać za szczyt ziemskiej poezyi, za najdobitniejsze jej objawienie się w postaci materialnej. Nie znam pieśni rzewniejszej, wznioślejszej i uroczystszej nad pogrzebowy obrzęd, choć tak prosty i powszedni. Te grudki ziemi, leżące na trumnę z rąk stojących nad nią, to pożegnanie z lez rodziny, miłości lub przyjaźni, ta nakoniec mogiła usypana śród oznak boleści, są to dotykalne dźwięki, zlewające się w pieśń niezgłębionych myśli, nadziejskich uczuć, nierozjaśnionego nigdy znaczenia, w pieśń nazwaną grobem. Grób ma służyć odtąd za pomnik zniszczonego jednego bytu, na przekór czasowi, który go zniszczył; za upominek pozostałym na ziemi, dany przenoszącemu się od nich w krainę niezemską; za umówione niby miejsce spólnego kiedyś połączenia się. Tak jak mniemam, tak mniema owa wiara milionów gminu, utrzymując, że się na grobach zmarli pokazują. Przejdźmy teraz do świata istnącego wewnątrz człowieka, wewnątrz Poety. Mieszkańcami jego duszy są myśli i uczucia. Przedewszystkiem musimy przyznać, że co używamy, to tracimy. Przekonamy się o tem z lekkiego zastanowienia się nad użyciem darów materialnych, życia naprzykład, które przez używanie, w śmierć się zamienia. Ta prawda da się zastosować do darów moralnych, z tą tylko różnicą, jaka zachodzi między materją a duchem. Używamy uczuć, zwracając je ku zewnętrznym względem duszy przedmiotom, i raz tak wysłanych, już nie jesteśmy w stanie odzyskać; czujemy to, bolejemy nad doczesnością swoją, pragniemy ją w nieśmiertelność przedłużyć, wiecznie wiadome, jak ludzie drogich sobie

ludzi, chwytamy ulatujące duchowego życia płomyki i obwijamy je w kamienie, barwy, dźwięki i wyrazy. Tym sposobem powstają snycerze, malarze, muzycy i poeci, a ich utwory, rzeźby, malowidła, muzyka, rymy, nie są niczem innym, tylko pommnikami, grobowcami ich myśli i ich uczuć. A przeto w pieśniach Poetów widzę nie chęć nasładowania dźwięków lub obrazów zmysłowej przyrody, nie potrzebę chwilowego wynurzenia, chwilowych wrażeń i uczuć, ale konieczność daleko nieprzepartszą, dążność daleko szlachetniejszą, a obie wypływające z istoty człowieka, uważanego jako dziecię boskie i cząstka nieśmiertelności, obie zgodniejsze z jego całym życiem, z jego chęciami, nadzieją i wiarą; w krótszych słowach: konieczność i dążność przetworzenia w nieśmiertelność wszystkiego, co go napelnia i otacza; inaczej, popęd zachowania bytu w najszlachetniejszej częstotliwości człowieka, na drodze najszlachetniejszej, w myślach na drodze myśli, tworzy objawienie poezyi, czyli Poetów.

Ale skąd powstaje ów interes, z jakim ludzkość przyjmuje podobnych dusz utwory? Niekiedy utrzymują, że to jest prosta rozrywka powszedniej ciekawości, drudzy, że zbytkowa potrzeba, inni inne tym podobne naznaczają przyczyny; moje zdanie, oparte na powyższych nad Poezyą uwagach, przechyla się do tych, którzy twierdzą, że to jest potrzeba życia, szlachetniejsza o tyle od innych potrzeb zmysłowych, o ile dusza szlachetniejsza jest od ciała. Najlżejszy to będzie ciężar, który na szalę tego mniemania nawiasem rzucę. Zastanówmy się tylko nad wiekową arcydziel sztuk trwałością, i odpowiedźmy sami sobie na zapytania: czy bawidelka zmysłów potrafiłyby utrzymać się tak długo na tronie takiej cześci człowieczej? czy potrafiłyby wyjść nienaruszone z tego umysłowego tyłu wieków zamętu? czy nie zginęłyby całkiem w tym trącym kołowrocie oświaty, gdzie zgaso tyle religii, gdzie samo wyobrażenie bóstwa uległo tylu przemianom? Ale nie bawiąc się podsuwaniem widocznej odpowiedzi, spróbujmy raczej wejść w głęb rzeczy i stamtąd prawdę wydobyć.

Wyobraźmy sobie życie duszy, jak życie ciała; (co nie jest żadnem przypuszczeniem, bardziej pewnością, opartą na całej przeszłości ludzkiego plemienia). Jedno i drugie potrzebuje do swojego utrzymania i postępu, pożywku, czyli karmu, a każde

odpowiedniego swojej przyrodzie: cielesnego, życie ciała; duchowego, życie ducha. Źródłem pierwszego jest ziemia, źródłem drugiego owa kraina, której myślami tylko osiągamy, którą wiara niebem nazywa. Ziemia zasila cielesność płodami swojami bezpośrednio, jak naprzykład zwierzętami, i pośrednio, jak naprzykład kruszcami; szczyt świata duchowego, czyli niebo, zlewa ten posiłek dla duszy w myślach, uczuciach, i tam dalej, równie bezpośrednio i pośrednio. Uczucia i myśli pośrednie są te, które się rodzą w każdym człowieku, wszystkim zarówno są dostępne i pojętne, pośrednie zaś spływają na ludzkość przez pewne tylko wybrane z jej łona indywiduala, przez ludzi, którym przyznajemy wyższą, niż jest zwyczajna, moralną potęgę, a nie nabytą, powszechnie natchnieniem zwaną, jednym słowem przez geniusze. Zastosujmy teraz to wszystko do poezji, a będziemy mieli wynikłość: że poezya objawiona, czyli udzielona światu w dziełach geniuszów, jest to kopalnia kruszców. Jednej i drugiej przeznaczono zgromadzać do swojego łona stosowne materiały, przysposabiać je do użycia i na koniec opatrywać niemi potrzeby swoich światów. Uszlachetniając wyrażeniem, com dopiero powiedział, do zwyczajnego pojęcia, twierdząc: że utwory Poetów nie są indywidualnem uściwieniem indywidualnych uczuć, ale wcielaniem boskich prawd, których mąż natchniony jest składem i częstokroć ślepem narzędziem; że są najgodniejszymi ludzkiego umysłu pomnikami, ołbrzymiami runami najwyższej mądrości, posuwającej ludzkość nieznanie, zwolna, ale wciąż do celów jej bytu, do najwyższego udoskonalenia, dotykalnemi ogniwami łańcucha oświaty, przedłużającego się z postępem czasu, skazówką drogi ubieżanej po przeszłości i jej kierunku w przyszłość; że poezya zatem konieczna jest w życiu ludzkości, a interes dla niej, nie chwilowe spółczucie indywidualnych wrażeń, ale widzenie w zachwyceniu owego światła, które ku bóstwu prowadzi; że na koniec krzywe jej pojęcie wypływa z tych samych przyczyn, które w religiach tworzą bałwochwalstwo, kiedy się bowiem ukaże odziana tak uroczą postacią, mniej gruntowne umysły, olsnawszy od zewnętrznej piękności, nie mają dosyć czasu, czy chęci, wnikać wewnątrz i z duszą się zapoznać, tylko z materialnej powłoki robią bożyszcze i stosowną wielbia

je cześcią, a tak, co z przeznaczenia swojego ma być rozkoszą, utrzymującą życie duszy, nie zostaje niczem więcej, jak przedmiotem zmysłowych zabiegów...

Nie pewniejszego nad to: że istota poezji, będącej żywiołem duchowym, musi być jedna, taż sama na całym świecie, po wszystkie czasy, że ma własność duszy ludzkiej; czemże usprawiedliwić owo nazwanie *Poezja narodowa*, z którego wynika konieczne wyobrażenie jej podzielnosci na pewne części, różniące się między sobą? Usuniemy tę pozorną niedorzeczność biorąc poezję pod dwoma względami, jako przyczynę i skutek, a mówiąc wyraźniej, jako objawiającą i objawioną. Poezja uważana w pierwszym przypadku, to jest: jako żywioł duchowy i siła tworząca Poetów, jest to samo, co dusza niewcielona jeszcze w rodzaj ludzki, jest calością, w której, równie jak w duszy, nie potrafimy wyobrazić żadnych podziałów, żadnych odmiennych względem siebie części; uważana zaś jako wypływ Poetów, czyli objawienie pod zmysłowemi postaciami, jest znowu w położeniu duszy, ciałami ludzkiemi odzianej. Naówczas, równie jak dusza, robi w pewnej części poświęcenie z niebieskich swoich przymiotów, przemienia się niejako na własność materji, poddaje się jej ustawom i płynie potokiem ludzkości, którego falami jest nieskończona kształtów przemienność. Dotąd jest pierwsze wcielenie poezji, pierwsze jej poddanie się ustawie widomego świata, chcącej wszystko przeprowadzać przez nieobliczone odmiany.

Mnożą się kształty, odziewające duszę, rozdrabiają niejako jej istotę, przez miliony różnic zdają się coraz bardziej rozrywać, oddalać od siebie jej cząstki, ale dusza przemaga; pamiętna pierwotnej swojej całości, obudza w ciałach wzajemny ku sobie pociąg, który właściwie jest usiłowaniem duchowych cząstek zlania się w jedno; przybiera w pomoc zewnętrzne, fizyczne okoliczności, zbliża za ich pośrednictwem ciała ludzkie, skupia je w coraz większe masy i nareszcie układa się w narody. Krok w krok postępuje za nią poezya, towarzysząca, powiernica, sługa duszy, nagina się do każdego jej ruchu, dla porozumienia jej z ciałem przydaje urodzie swojej ozdoby, najlepiej przypadające do smaku masie, na którą ma działać; wchodzi z nią w bliższy coraz stosunek; ściera się niejako we-

wnątrz jej, umyka się od zewnętrznych jej kresów, i coraz dobitniej powstaje w wielką oddzielną część poezyjnej całości — w poezję narodową. Śmiało więc można twierdzić, że gdzie narodu, tam jest początek i poezyi narodowej, i że nazwisko poezyi narodowej, tak się da pogodzić z wyobrażeniem jej całości, jak całość duszy nie traci na nazwisku człowiek lub naród, bo się odnosi jedynie do zewnętrznego kształtu.

602) *II. Str. 24—26.* Zjawiska sztuki jeszcze trafniej mówią do przekonania. Z przykładów, nasuwających się tu mem, weźmy dwa tylko: skutek czasu i skutek miejsca. Co do pierwszego: postawmy dawną klasyczną poezję obok poezyi chrześcijańskiej. Piękność starożytnych Greków jestże dziś dla nas ta sama, jaka była za kwitnących czasów mitologii? Może być co przeciwniejszego, jak owe ideały wysiłone w powab powierzchownych kształtów, jedynie z obłąkania, że tak powiem, zmysłów wyklute, a pomniki nowoczesne, utworzone pod wpływem religii chrześcijańskiej, ubarwione odcieniami najgłębszych uczuć, odziane całą tajemniczością objawionej wiary? — Co się drugiego tyczy, to jest skutku miejsca, czyli wpływu okolicy na wyobrażenie piękności, ten poznamy, porównawszy poezję ludów wschodnich z europejsko-zachodnią. Jak dla mieszkańca stref gorących, lodem będą nasze uniesienia, okiełznane przepisami zdrowego rozsądku, dobrego smaku i tym podobnymi, tak równie wychowanie umiarkowanych niebios, w owych przenosiach, przesadnich, w owem nastąpieniu, przeladowaniu poezyi wschodniej, będzie widział same tylko zdroźności, same niedorzeczności, i gdzie się Europejczyk zachwyci, tam Arab usnie; a zapali się najświętszem uczuciem, gdzie nam, zimnym, będzie się zdawało widzieć wybuch maligny. Te są przewidzenia duszy ludzkiej, wówczas nawet, kiedy najmniej od zewnętrznych pobudek zawisła. Zmysły, z samej swojej przyrody, skłonniejsze są do nich. Piękność kobiety najdobitniej odmaluje nam je z tej strony. Dosty jest zażądać ideału pięknej kobiety od Chińczyka, Murzyna lub Kameczadała i postawić go obok europejskiej piękności. Jednym słowem: niema uniwersalnego ideału piękności: a ona jednak jest silną sprężyną poruszenia umysłów, potężnym do ukształcenia ich narzędziem. Jeśli zaś przy tem wszystkim musi zmieniać oblicze swoje, dla dogodzenia przywidzeniom lu-

dzkim, dla pochlebiaenia ich nałogom, wypływającym z przyczyn, czy to moralnych, czy fizycznych, oóż w świecie może sobie pochlebiać, że nieruchomością swoją podbije ową nieskończoną przemienność upodobań?

Wzgląd na usposobienie i stopień pojęcia narodu, który przez poezję kształdził chcemy, jest także jednym z wymownych rzeczników za koniecznością poezyi narodowej. Wystawmy sobie człowieka, dręczącego się jakimś przypomnieniem. Każdy z nas zapewne bywa w tym przypadku i łatwo taki stan pojmie. Zgubiona myśl miga nam z daleka, to wątpliwszym, to wyraźniejszym światłem: zatrzymuje się, gdy ustajemy, pierzcha, gdy się zbliżamy, niby ów błędny płomyczek grobów; idziemy za nią, błakamy się, nie możemy jednak schwycić, a czasem zupełnie z oczu tracimy; niespodziewanie znajdujemy się w położeniu, stajemy w miejscu, gdzieśmy ją zgubili, i oto ją mamy. Owym człowiekiem jest naród w drodze oświaty, a poezya powinna być dla niego tym tajemniczym popędem do miejsca zgubionej myśli. Oprzyjmy się na powyżej wyłożonem zdaniu, że poezya jest jakoby treść, wyciągnięta z przyrody; któraż właściwiej zostanie tym przewodnikiem dla pewnej masy, jeżeli nie treść przedmiotów, związanych z nią odwiecznymi stosunkami, rozumiejących się przez odwieczną sympatyę, jakkolwiek tajemniczą i nieokreśloną? któraż inna trafi lepiej w pojęcie rodzinnego narodu? I naród, czyż nie tę najlepiej zrozumie, która została usobionem życiem jego najdawniejszych nałogów, najpowszedniejszych zatrudnień, znajomością najdrobniejszych znajomości, pomiędzy którą a nim biegną wspólne drogi, wiekami ścisłego spółzycia utarte, im tylko samym wiadome? Skąd na przykład pochodzi, że lud, który tak czuje, pojmuje i kocha swoje pieśni i powiastki, gminnemi zwane, patrzy z taką obojętnością na owe zastępy rymów, rozbiegające się codziennie z drukarni? A przecie jest w nich talent, jest harmonia leżąca uszy, jest poezya iskrząca swymi kwiatami, jest wszystko, co się podobać powinno, a czego pierwszym w największej części brakuje. Skądże to pochodzi? Oto stąd, że literatura gminna wypływa z duszy Poetów, którzy się wychowali na łonie ludu i przyrody znajomej, pokrewniej ludowi; przesiąkli nimi przez spółzycie; wyciągnęli z nich treść swoich uczuć, i oddali je

z taką prostotą, wiernością i prawdą, że lud poznał swoje i dla siebie zrobione malowidło; a przeciwnie nasza dotychczasowa, drukowana poezya wypływa z natchnień pożytecznych, krąży wciąż około pewnej stałej liczby uczuć, wypolerowanych wprawdzie krociami tyrańd, przechodzącami niekiedy z wieku w wiek, ale jak martwe mumie, ale tak się mającemi do uczuć ludu, jak okazały kwiat sztuczny, do woniącego w samem rozwiciu pączka; kładzie na prostotę wykwintność, na prawdę przesadę, na piękność przepych, aż wkońcu nie poznasz ich, jak człowieka, który na scenę wychodzi aktorem; poczyna się w gronie indywidualuów, odstrychnionych całkiem od reszty narodu, i do tego jedynie grona dąży, jednym słowem: jest tylko poezją koteryjną.

Temi słowy niech mi wolno będzie zamknąć, za długie może, roztrząsanie pytania: czy naród może i powinien mieć właściwą sobie Poezję? oraz zostać w przekonaniu, żem je dostatecznie roztrząsał.

Z powyższego rozwiązanie wypływa sam przez się wniosek, rozstrzygający ostatnie założenie: czy poezya narodowa przynosi korzyść ogólnej oświacie. Da się on zawrzeć w kilku wyrazach. Oświata jest całość, literatury narodowe są części, środki zatem, sprzyjające doskonaleniu się części, doskonałą całość.

603) *Str. 205—207.* Niejednemu z nas i nieraz bez wątpienia, wpadał w oczy młokos, wychowaniec szkół zakonnych, a mianowicie szkół takich, jakimi dawniej były, gdzie zamknięcie klasztornej celi odbierało wszelką sposobność obeznania się z rzeczywistym światem; gdzie jednostronne, przeciwprzyrodne wychowanie, przytłumiło zdrowy rozsądek; gdzie długi post moralny zaostrzał popęd do pierwszych lepszych rozrywek światowych. Takich tedy szkół wychowaniec wpadł nam zapewne nieraz w oczy, kiedy się na świat wyrwał i wstępował na *salon* towarzystwa, *wyjęciem* zwanego. Coż mu się tu przedewszystkiem podoba? Co najprędzej do jego skrzywionego umysłu przylegnie? Świećcy pozór, wymuskana powierzchowność, łatwa, pochlebiająca zmysłom filozofia, ozdobna gadatliwość, udane czucie, a wszystko do pewnego stopnia, podług pewnych przyjętych prawideł, a wszystko pomieszane z nalogiem szkolnej pedanteryi. W młodzieńcu tym macie obraz naszego narodu, kiedy, wyrwawszy się ze szkół Jezuickich, stanął przed

obliczem ówczesnej francuskiej literatury; jego umysł jest to nasza oświata francusko-lacińsko-pseudoklasyczna. Kilkadziesiąt lat małpował Polak, przynęciony do samodzielnosci narodowego umysłu poprzednim wychowaniem; trzpiotał się i rozumował z Wolterem, deklamował z Kornelem i Krebillonem, płakał łzami Rasyna, pendzlem Delila podnosił ziemiaki do ideału, wzbijał się jędczym natchnieniem z Chrzcicielem Russem i Lebrunem; nucił na słoniach Marona dudkach rozkosze pasterskiego życia, wśród niepogód polskiej strzyki, wśród boleśnej nędzy polskich włościan i, niższy od każdego z tych wzorów, tworzył w nieskończoność naśladowce naśladowców, a coraz gorszych. Bóg wie, co by się dalej było stało, gdyby nie potężny geniusz narodu. Przerażający stan! W całym tym ogromie tylko «Krakowiaki i Górale» Bogusławskiego — «Krakowiaki i Górale!» Nie przywiązujemy do nich małego znaczenia. Była to daleka wprawdzie, ale pierwsza zapowiednia polskiej literatury, pierwsze zdrządzenie plodu, ożywiającego się w matki wnętrzościach, pierwszy znak życia istoty, mającej przyjść na świat po kilkudziesięciu latach. Nie ważny lekke tego niepozornego utworu. Spotkał go wprawdzie los skrowronka, który przed wszystkimi ptakami letniej doby, wita pierwszą brylęk roli, wyglądającą z pod tających śniegów, i prorokuje odrodzenie ziemi; a chociaż potem, zagłuszony niejedną jeszcze półzimową burzą, musi ustąpić pierwszeństwa świetniejszemu z głosu lub pierza braciom, mimo to jednak zostanie zawsze pierwszym prorokiem lata. Lubo nieprzyjazne okoliczności zacierały przez czas długi pamięć zjawienia się tej sztuki, lubo obecnie zgasła ona przy świetniejszych płodach nowych poetów — z tem wszystkim bezstronny sędzia od niej musi zaczynać łańcuch prawdziwej polskiej poezyi; w niej dostrzega, że naród uznał się w samodzielne wewnętrzne życie i kształcił się nie pod samym tylko zagranicznym wpływem. I znowu trzydzieści lat zbroczenia; trzydzieści lat między pierwszym, a drugim objawieniem się polskiej narodowej poezyi, między operą Bogusławskiego, a «Wiesławem» Brodzińskiego; powiedzialsby, że to zamarcie naszego umysłu, tak nic nie widzimy w tej epoce napiętnowanego wybitnym rodzinnym duchem; a to był jednak stan przejścia z gąsienicy do motyla, był to, w wysłowieniu malowniczym,

stan poczwarny, gdzie pod bekształtną powłoką pracowały rozliczne żywioły na to przeobrażenie, w którym dziś naszą poezję widzimy.

K) Król Zamczyska (1839—1840).

(Wydanie pierwsze wyszło w Poznaniu w r. 1842; drugie także w r. 1847. Tekst podług wyd. z r. 1847.)

«Król Zamczyska» to najdoskonalsze dzieło Goszczyńskiego; poemat allegoryczny prozą, jedno z arcydzieł poezji romantycznej polskiej po r. 1831. Autor zwiedza ruiny zamczyska. Odrykosińskiego (około Krosna) i jego podziemia, oprowadzany przez Machnickiego, «króla zamczyska», który mu opowiada smutne dzieje swego żywota. — Bohater powieści, «król zamczyska» kocha gorąco, aż do szaleń, nieszczęśliwa ojczyznę, ale pozorne otoczenie nie rozumie jego egzaltacji i poczytuje go za wariata. Żyje on w podziemiach zamczyska, które runęło. Dla niego gruzy tego zamczyska są symbolem Polski; filary podtrzymujące gmach (szlachta) zwaliły się, ale podwaliny (lud) pozostały nietknięte, są zdrowe i na nich w przyszłości można będzie odbudować nowy zamek. Myślą przewodnią utworu jest odrodzenie Polski przez lud. «Król zamczyska» to przedstawiciel poezji polskiej emigracyjnej, mesyjanicznej, przeciwstawiony społeczeństwu, myślącemu tylko o zadowoleniu potrzeb powszednich. Machnicki (Jan) był postacią rzeczywistą; urzędnik w Dukli, po wypadkach r. 1831 dostał obłąkania; żył w okolicach Odrykonia; zmarł w r. 1841.

604) Str. 100—105. Byłem — rzekł — zupełnie szczęśliwy. Wprowadzony przez Stańczyka na królestwo, postawiony przez niego u steru spraw państwa, puściłem je w ruch dalszy. Ale sprawy te potrzebowały mojej wszechobecności; osiadłem więc na zamczysku, a stolicę założyłem w dwóch, nietkniętych jeszcze od zniszczenia komnatach. Urządziłem je po królewsku. Zawiesiłem całe ściany ozdobami moich marzeń, obrazami dziejów, proroczymi zasłonami. Powietrze ich dyszało tylko życiem mojego świata. Kilkanaście lat, które w nich spędziłem, były jedną królewską uctwą. Myślałem, że tam skończę, pragnąłem skończyć. Stamtąd tak blisko było mi do raju: jeden krok tylko, a byłbym w raju.

— Inaczej się stało. Ostrzegło mnie o tem jakieś przeczucie. Dziwne sny, niepojęte widzenia, znaki na ziemi i na niebie prześladowały mnie od jakiegoś czasu bez ustanku, zapowiadały jakąś nadzwyczajną, stanowczą zmianę w mojem życiu. Często wśród burzy olbrzymia głowa jak chmura kładła się nad zam-

kiem i lizala gruzy ognistym językiem, jak błyskawicą; niekiedy wichur wrzucił we środek poczwarną sowę i płatał jej skrzydła w mury; trzeba było widzieć, jak się po nich łukła, aż cały zamek się wstrząsało, dopóki się nie wydobyła; trzeba było słyszeć jej wycie. W czasie piorunów dziwne jakieś przeczutki, dłuższe od połówów, snuły się wzdłuż murów, a przez ich skórę przezroczyście ogień przelierał, jak żeby całe ogniem były napelnione. Codzieln zjawiały się nowe jakieś gady, potwory. Słyszałem zapewne, że w pewnych śmiertelnych chorobach ciało ludzkie już na kilka dni przed śmiercią zaczyna się rozkładać w obrzydliwe robactwo. Powiedziałbym, że zamek był w podobnej chorobie. Przeczawałem, bolełem, nie opuszczałem go jednak. W tym stanie doczekałem się września. Niedawno to było, kilka lat temu. Mijały już pierwsze dni jego. Dusza była coraz niespokojniejsza, zjawiska coraz groźniejsze. Ze świętem dnia jednego powstała niewidziana, niesłychana burza. Dwa dni trwała. Nie wychodziłem z zamku na chwilę. Żyłem w nim jak zwyczajnie; jak zwyczajnie układałem się do snu za nadejściem drugiej nocy. Ledwo usnąłem, posłyszałem dziwne, przeraźliwe głosy i wołanie: uciekaj! uciekaj! Obudziłem się i postarłem Stańczyka. Szarpał mnie za rękę i wołał: chodź, chodź ze mną! Nie możesz tu dłużej zostać! — Dlaczego? — zapytałem. — Za chwilę gruzy spaść tu będą.

Ścisnęło mi się serce, ale zawolałem:

— Nie! nie pójdę. To moje królestwo, ja jego król! zgine z niem razem.

Na to Stańczyk odparł:

— Ocal się, a ocalisz królestwo. Twoje państwo większe jak myślisz. Chodź tylko za mną.

I wyciągnął mnie pół gwałtem. Zaledwośmy wyszli, a moja stolica runęła. W moich oczach spuścił się na jej dach ptak olbrzymi, ognistym jak piorun wężkiem, widziałem to wyraźnie; słyszałem szum, z jakim usiadł; przysięgnął ją swoim ciężarem, okrył się obłokiem kurzawy ze starych gruzów i razem z nią zniknął.

Zalałameł ręce, a Stańczyk zaśmiał się. Miałem już wybuchnąć najwścieklejszym gniewem.

— No, no, uspokój się — rzekł do mnie z najzimniejszą

krwią. — Aby dusza była, znajdź się ciało. I czegoż tu rozpaczać? Widok wprawdzie bolesny, ale nie powód do rozpacy. Wicher złamał tylko spróchniałą gałąź; pień drzewa nietknięty i żyje. Wszystkich gałązek nie ocalisz, samego nawet drzewa, o ile jest nad ziemią, nie zabezpieczysz przeciw zepsuciu; ale pilnuj korzenia: tam życie. Dlatego wprowadzę cię w inne mieszkanie; zamknę myśl twoją w nowe formy, bezpieczniejsze i właściwsze. Więcej zyskasz jak straciłeś. Chodź za mną.

I wskazał mi to podziemie. Z czasem przekonałem się, że słusznie mówił. Jestem znowu królem, ale większym, potężniejszym, jak kiedykolwiek byłem. Prawdziwe to ziarno mojego państwa. Gdziekolwiek znajduję jego okrążyne, podnoszę ją troskliwie i składam tutaj; tym sposobem powoli zebrałem i skupilem całe jego życie.

Wkońcu przyzwyczaiłem wszystkich poddanych do nowej stolicy. Żyję pod ziemią takim królem, jak żyłem na ziemi. Sam prawie własną pracą ubrałem to miejsce, jak widzisz. Zyskałem i to jeszcze, że bezpieczny od ciekawych ludzi. Ten odsłoniony bok jaskini tak wysoko wznosi się nad dolinę i tak jest niedostępną, że z tej strony ptaszemi tylko skrzydłami można dotrzeć do mnie. Te okna wyglądają na zewnątrz, jak nora sowy; nikomu na myśl nie przyjdzie, żeby mogło przez nie wyglądać ludzkie oko. Mam źródło niewyczerpane, mam zapas jedzenia dostateczny, podziemnymi przechodami mogę dojść w różne strony, Bóg wie, jak daleko. Nimi to rozpuszczam powoli życie powierzono mi ziarnka, piszę kronikę i czekam spokojnie kresu moich rządów.

Tak, spokojnie umrę! Robię swoje i zrobię. Mniejsza o to, że dla świata jestem waryatem. Wolę to, niż być niepotrzebnym, niż być kamieniem. Ale i kamienie same nie są martwe. Przyjdź tylko z pełnym sercem do niego, to i on da ci swoje uczucie. I on ma przeszłość, życie; nie schodzi ze swojej drogi, wypełnia co mu przeznaczono; a między ludźmi są zinniejsi, nieczulsii, niepożyteczniejsi jak kamień. Pochłonęli, strawili przeszłość, a przyszłości nie dadzą jednego tchnienia. Wszystko dla nich, nie drugim od nich. Rozbiorą ci starożytną budowę na progi do swoich nędznych lepierek, a nie przyłożą się do nowej spłanej, choćby jedną cegielką.

— Co nas to obchodzi? alboż nie mamy gdzie mieszkać? Wolaj do nich: ratujcie stary zamek, to pień, z którego wyrosły dzisiejsze wasze domy; bez niego nie byłoby tych waszych mieszkań; — oni ci na to odpowiedzą:

— Albo my głupi leżę pod gruzami, żeby nas pogniotyli.

— Nikczemny! nie byłoby gruzów, żebyście wcześniej byli pomyśleli o naprawie. Oni zawsze swoje: niech się wali, kiedy czas jego przyszedł. Niech się wali!...

— Czy wy myślicie, że będziecie na to patrzeć tak bezpiecznie, jak bezpiecznie patrzycie, kiedy pajak muchę dusi? Czy wy myślicie, że przeszłość, co go stawiała, nie myślała o przyszłości nie a nie? Wiecie wy o tej tajemnicy pewnych budowniczych, którzy zakładają swoje budowy nie na martwym tylko kamieniu, ale poświęcają duchowi opiekunemu najdroższe czasem głowy. Otóż przeszłość budując, daje w zakład głowę przyszłości. Ten zamek na wasze głowy założony. Wy to będziecie kiedyś odpowiadać za byt jego. Nowemu czasowi potrzeba będzie tego miejsca na nowy budynek. Przyjdą robotnicy, zaczną uprzątać gruzami, będą je ciskać naokoło. Nie ufajcie w odległość. Jak widzisz górę zamkową, tak będą kiedyś lecieć i toczyć się z niej kamienie na wszystkie strony. Dostanie się od nich zarówno dalszym, jak i bliższym. Zrozumieją mię wtedy. Przyznają waryatowi rozum. Słowa waryata będą krążyły, jak pieśń prorocza. Ale biada temu, kto lekceważy niemile sobie prorocstwa i czeka niewierny z założeniami rękoma, aż je przyszłość rozwiąże.

— Przyszłość rozwiąże, tylko że drogo trzeba jej za to płacić. A jednak żał mi tych ludzi, wielki żał.

605) Z „Zakończenia”, str. 117—119. Sam tedy byłem wśród gruzów. Nie byłem sam. Cały czas, przepędzony w podziemiu, zaległ pamięć, stał przed duszą, jak sen wprawdzie, ale jak sen bardzo wyraźny. Gdzie się zwróciłem, widmo Machnickiego zastępowało mi drogę; głos jego ciągle brzmiał w uszach; cała mowa jego, wcielona w postaci żyjące, fantastyczne, krążyła po duszy rojem marzeń dziwnych, gorzkich, coraz posępniejszych. Usiadłem na gruzach, pojrzałem po okolicy, a cała okolica wydała mi się, jak żebym patrzył na nią okiem Machnickiego, puścisz ją, bardziej martwą, jak gruzami, wśród któ-

rych spoczywałem. Scisnęło się serce, lzy mimowolne stały w oczach, bolesne sztyderstwo lechtało we wszystkie uczucia, myśli urągania chwiały głową.

O! nędzo czasów! mówilem do siebie; i taki człowiek jest dla reszty świata niczem więcej, tylko waryatem? Świat go wyszydza, wytrąca z pośrodka siebie, piałby na niego, gdyby go nie sądził godniejszym litości, jak pogardy; już to najmniej, kiedy go ma za nic. A tymczasem ten obłąkaniec czuje i myśli, jak nie czuje żaden z litujących się nad nim, jak nie myśli żaden z tych, co się mają za rozumniejszych od niego.

Oni rozumni, a on waryat! A on jednak pojął myśli, której oni pojąć nie mogą, i całe swoje życie stosuje do niej, i każdy krok jego jest jej koniecznością nieodpartą. Na chwilę nie zoczy z tej drogi; logiczność jego aż w okropność wpada, mimo to idzie wciąż dalej. Obrwał sobie zawód, przyjął powołanie i nie wykroczy przeciw niemu, aż cały puhar do dna wychyli.

Taki obłąkaniec nie powinien być wzorem dla tłumu owych bardzo rozumnych? nie więcejże on wart od nich? I dlaczego goż to wszystko robi? Poco to życie samotności, męczarni, poniżenia? Czy dla widoków osobistych? czy marzy o jakiej nagrodzie osobistej?

Nie! pełni swoją powinność, jak drzewo rośnie, jak kwiat kwitnie, jak słońce świeci, dla drugich, nie dla siebie. Ale w oczach powszedniego świata to właśnie jest wrodem obłąkania.

O! gdybyście wy wszyscy takiego pomieszania dostali, ludzkość byłaby mędrsza, szczęśliwsza, niż jest dzisiaj. Na korzyść pojedynczych rozumów rozzerwaliście mądrość ludzkości, rozbiliście na miliony bryzgów jej słońce, rozgrabiliście jego okruchy, zniszczyliście wzajemnie ich powinowactwo, a przez to odebraliście każdej cząstce jej blask i ciepło, które wzajemnem tylko zasilaniem się mogą trwać i działać; odebraliście im cały przymiot ich nadziemskości.

Wy się o to nie troszczycie; wy chcecie, aby te światła były tylko narzędziami waszych osobistych celów, aby tylko służyły waszym potrzebom, aby im tylko wystarczały, a wasze cele, wasze potrzeby są tak drobne, tak ciasne, tak poziome, że się obejmą bez niebieskiego światła i życia; ale jak długo się obejmą? Zobaczymy.

Chciałem wyjść nakoniec z tak niemilego stanu i rozpodzić umysł wycieczką w okolicę; zerwałem się, popędziłem bez celu między góry i lasy; ale świeża nawałnica tak popsuła drogi, rozmoczyła ziemię, że każdy krok po ślizkiem i grzązkim błocie drażnił jeszcze bardziej wewnętrzne rozjątrzenie; wpadłem do reszty w zły humor i wróciłem do domu w nielepszym. Nie wspomniałem nikomu o mojem widzeniu się z Machnickim, ale zdradzałem się w każdej chwili. Przymawiałem mężczyznom, gadalem niegrzeczności kobietom; tak dalece nie byłem panem siebie, że jedna z mających prawo przemawiać do mnie poufalej, zmuszona była zawołać: czy pan oszalał?

Nazajutrz zabierałem się do powtórných odwiedzin zamczyska. Dzień był piękny, obiecywałem sobie, że dla mnie będzie rozkoszny. Inaczej się stało. Odjechałem w stronę całkiem przeciwną na zawsze. Po Machnickim wspomnienie mi tylko jednego dnia pozostało.

Gdyby los od mojego życielszwy dał komu w ręce kronikę Machnickiego, niech ją nam ogłosi, przynajmniej w wyjątkach. Sądząc z tego, co czytałem, z tego, co wiem o jej twórcy, mogą naprzód zareczyć, że będzie to dzieło rzadkiej poezyi, a przytem pełne wielkich, nowych i pożytecznych pomysłów, chociaż ubarwionych fantazją obłąkańca; bądź co bądź jedyne w swoim rodzaju.

L) Stanowisko poetów w społeczności.

(Rok 1843, tom I. Poznań, str. 95—111).

Pod określeniu istoty poezyi i jej znaczenia, Goszczyński przechodzi do wskazania, jakim stosunek poetów do społeczeństwa być powinien. Podajemy dwa ustępy z końca rozprawy.

606) *Str. 107.* ...Poeta powinien być człowiekiem duchowym, to jest szczerze, głęboko i wysoko religijnym, w duchu religii objawionej, poza którą niema ani prawdy, ani prawdziwej piękności.

Powinien być człowiekiem przyszłości, to jest widzieć ideal przyszłości, wskazanej przez ducha religii, i objawiać go we wszystkich utworach.

Powinien być człowiekiem całej społeczności nie pewnej tylko jej części. Jak pomysły jego powinny być natchnione przez mi-

łość równą ku wszystkim i mieć na celu szczęście wszystkich, tak też wszystkim zarówno powinny być pojęte w ich formie czyli objawieniu się. Niech zawsze pomni, że w tym jedynie celu dano mu za narzędzie nie to, co się z trudem nabywa, co służy do chwilowego i cząstkowego użytku, to jest rozum, ale właśnie to, co wszyscy mają, a przynajmniej przy dobrej woli i prawem sumienia mieć mogą, co jest nieoddzielną własnością wszelkiego ducha, to jest uczucie. Świątkradstwo popelnia, kto zapomina o tem i dar swój puszcza w najem — za jaką zapłatę, mniejsza o to — dla wyłącznej korzyści niektórych, ze szkoda ogółu.

Nakoniec, powinien być człowiekiem czynu. Poeta rodzi się nie dla pisania pięknych wierszy, ale żeby za ich pośrednictwem natchnienia swoje zamieniał w czyny, to jest popychał ku nim społeczność i sam szedł w pierwszym szeregu, a czyn jest to samo, co poświęcenie się. Poeta, nie mający tego przekonania, jest obłudnik, niegodzien łaski natchnień.

W końcu zwraca się do poetów. Str. 109—111. ... Stanowisko wasze jest wielkie, olbrzymie, święte. Zasłużcie tylko na nie: zechciejcie tylko, a siły przyjdą. Oto przed wami przykłady tyłu wielkich poetów. Przed wszystkim utkwijcie oczy na poetach Izraelskich, zwanych prorokami. To byli poeci swojej społeczności. Ich przedewszystkiem naśladowujcie; nie słowami, ale czynem. Żyćcie, jak oni; przejmijcie się taką miłością Boga i ludu, jak oni byli przejęci; poświęćcie się tak sprawie Boga i ludu, jak oni się poświęcali; zróbcie taki rozbrat z nieprawościami, z marnościąmi poziomymi, osobistych uciech, interesów, z krzywymi żądzami, jak oni robili, a będziecie mieli to natchnienie, co oni, a pieśni wasze będą tem dla waszych braci, czem są dla Żydów pieśni ich proroków i wejdą w dziedzictwo całej ludności, jak weszły prorocтва poetów żydowskich.

Tak, bracie poeto! nie w salonach zepsutych bogaczy, nie w tłumie rozpustników bez serc i bez myśli, nie w halasie bezrządnego życia, nie wśród zbytków jedła i napoju, nie w troskach krzątania się około spraw prywatnych, nie pod jarzmem zmysłów i namiętności, nie w zamęcie uczuć sprzecznych, nie

nawistnych, przechodzących bez śladu, albo rapelniających serce osadem kału, znajdziecie prawdziwe natchnienie, ale z duchem, podniesionym przez pokorę aż do bóstwa, zejźdź w głąb społeczeństwa, do źródła jego życia, gdzie najdotkliwsze nędze, gdzie najskrytsze światu cierpienia, gdzie lzy najrzewniejsze, gdzie świat najniewdzięczniejszy, gdzie przemoc najsilniejsza, gdzie człowiek najslabszy, najwięcej na świat narzeka, najszczerzej tęskni za przysłem życiem, najmocniej w nie wierzy, gdzie dlatego Bóg najbliższy; tam się spuść, rzuć, jak w bezdenne morza, w ten ogrom swój żywot cały, zlej swoją duszę z jego duszą, przytul swoje serce do jego serca olbrzymiego, a znajdziecie tam dźwięki wieczny, nieprzerwany, który obudzi muzykę twojego ducha; znajdziecie tam płomień wieczny, od którego zapali się serce twoje; są tam skrzydła dla twojej wyobraźni, tam jest natchnienie prawdziwe. Spoczniej w ubogiej stajence, nie zrużaj się sąsiedzstwem bydłat, pastuszkom objaw naprzód skarby swojej miłości, swoje poświęcenie się dla wszystkich ludzi, a Bóg zapali na całe stworzenie gwiazdę twoją, mocarze świata będą cię szukać z pokłonami, niebo i ziemia przemina, a twoje pieśni nie przemina; natchnienie Boże będzie z tobą. Inaczej na nie się nie przydasz. Możesz grać słowami, jak muzyk strunami, malować niemi, jak malarz; możesz być dowcipnym, jak trefniś najdowcipniejszy; możesz kłasać, jak gad najgadawitszy; możesz budzić pychę, żądzę marnej sławy, nienawiść, wszystkie chuci, wszystkie namiętności cielesne; możesz lechać zmysły lubieżnością wszelkiego rodzaju, zapalać krew i w łód ją zamieniać według upodobania; możesz jak zaraza, nienawidź, spustoszenie dobrego; możesz być szatanem, ale nie prawdziwym poetą; nie będziesz miał potęgi ducha Bożego, tego ducha, co sam tylko tworzy, ożywia i podnosi do coraz wyższego życia pojedynczych ludzi i narody całe.

M) Postanie do Polski (1856—7).

(«Postanie do Polski». Paryż. 1869.)

Składa się z siedmiu ustępów: I. Niedola Polski; II. Duch Polski i wierni jemu; III. Tajemniczość sprawy polskiej; IV. Polska bez ducha Polski; V. Posłannictwo Polski; VI. Polska wskrzeszona; VII. Modlitwa wieszczu. — Podajemy niektóre strofy z pierwszego ustępu, oraz «Modlitwę wieszczu» w całości.

607)

a) I. Niedola Polski

- 11. Tylko ty, Polsko, ty jedna, 19.
- O moja ojczyzno droga!
- Stoisz samotna i biedna,
- Jak odrzucona od Boga.
- 12. Pozdrowienia tobie niema 28. Serce narodu obzrymie
- Ni duszy w dłoni podanej;
- Kto przejdzie, zmierzy oczyma
- Twoje królewskie lachmany
- 13. I nagle w ziemię wzrok chowa, 29. Poszła w niebo dawna wiara,
- Jak winien złego uczynku;
- Z niskąd ci dobrego słowa,
- Serdecznego upominku.
- 14. Każdy obchodzi cię wkoło, 30. I uylała ze zgłębieny,
- Stroniac jak od trądowatej,
- I wstrząsa swej szaty polą,
- Gdy dotknęła twojej szaty.
- 15. Takeś straszna w nędzy twojej, 51. Nie dziw, że to widowisko
- Że ten nawet, co ci sprzyja,
- Dzisiaj wydać się z tem boi,
- Jak nieznaną ciebie mija;
- 18. I gdy cały świat wesoly, 55. Nie dziw, że i ty o matko!
- Gdy mu wszystkie grają dzwony,
- Gdy mu otwarte kościoły,
- Gdy go święte krzepią tony,
- 56. I nie śmieś przestąpić progą,
- Dzielić ucztę ludów świętą,
- Ach! jesteś wdową po Bogu,
- Masz-że być wdową bezdzietną?

b) VII. Modlitwa Wieszczka.

608)

Daj to, o Panie! dawco dobra wszelkiego,
 Sąd przedewszystkiem sobie, o tronu swojego,
 To moje narodowe czucie dozwól złożyć,
 I racz je w swej dobroci poświęcić, rozmożyc.
 Ja proch z najlichszych prochów, i mój hold jest niczem
 Przed Twojem nieobjętym niebami obliczem,
 A choćbym jako naród oddawał ci chwałę,

Co przed Tobą narody? co są głoby całe?
 Nie skalą objętości mierzysz Twoje twory,
 Lecz ogniem ich miłości, szczerością pokory.
 I na tę miarę jam proch, tak duchem jak ciałem,
 Alem chciał kochać, ale jak mogłem kochałem.
 Czując Ciebie najsilniej pod duszą oczyszta,
 Jej miłością zarzyłem moją miłość czystą;
 Wpijałem się w mą Polskę i ciałem i duchem,
 Żyłem jej życiem, drgałem każdym prawym ruchem;
 Dzielilem mej Ojczyzny wszelkie przeznaczenia,
 Przejmowałem jej wszystkie czucia, krom zwątpienia —
 Ale nie odepchnąłem żadnego cierpienia;
 Podstawałem mą duszę pod wszelką jej karę;
 Jej łzy, jej krew zlewalem w me serce, jak w czare;

 Gromadziłem do ducha iskry Twojej wiary,
 Które z niego krzesuły Twe łaski lub kary...
 Jam proch, Panie, — lecz z duchem, który ciebie kocha,
 Jam proch, lecz z sercem, w którym płacz narodu szłocha,
 Jam proch, lecz krwią polutną przesiąknięty, zmiekkzony,
 Z lutnią w piersiach, na której jęcza miliony,
 A jasny nieśmiertelną iskrą Twęj miłości,
 Jak to wiesz, Ty, co widzisz tworów Twych wnętrzości:
 To też, Panie, na nicność moją nie uważaj,
 Ani się tą ofiarą lichą nie obrażaj,
 Lecz jej w swojej wielkości pobłogosław, Panie,
 I racz przyjąć to moje a polskie wołanie:
 Staw się w tych czasach łaski, staw się miłosierny
 Ludowi, co Ci przetrwał sród prób tyłu wierny.
 Rozprosz te chmury fałszów, co go jak straż strzegą,
 Niech prawda nowych wieków przedrze się do niego,
 Z tem życiem i z tem światłem, w któreś ją uzbroił,
 By się do niej duch ludu co rychej dostroił,
 By zobaczył, by dotknął, że jesteś z nim, Boże!
 Bliżej i pewniej, niżli kiedykolwiek może,

 Zlituj się już nad tymi, co litości godni
 I nie chłostaj ich więcej dla tych, co wyrodni,
 A i takim bądź raczej laskawym, niż srogi,
 Bo nie wiedzą, co czynią, gdzie wiodą ich drogi.
 Wszakże, o Panie, gdyby przez ich złość uparta
 Twa prawda na mej ziemi miała być zatarta,
 Twoje światło zgaszone, zdmuchnione Twe technienie,
 I lud cały na wieczne miał pojsć zaginiene

Wtedy, o Panie, prosim — gromu prawa użyj!
 Niechaj życie pod śmiercią nie miota się dłużej.
 Niech pełnią na tym ludem duszągo wo warstwa
 Ze skutów samolubstwa, z mózgow niedowiarstwa,
 Z umysłów najeżonych żądzą gwałtowną,
 Z sumień zeszarganych, z piersi bez kohebania,
 Ze sidel przewrotności, ze śmierci służalstwa,
 Z czoł dumnych swym bezwstydem, z bógwiesz balwochwalcwta.
 Wybaw ducha polskiego, ziemię polską od niej,
 Strzaskaj tę warstwę, przecorz choćby Twoim gromem,
 Rozmiękc Twoją miłością, Twem słowem zapłodnij,
 I Sam już odtąd władaj Twoim polskim domem.
 Niech przez Twojem obliczem padną w proch balwany
 Tych władz, co walczą w Polsce o stołkę Twoją;
 Niech plomien gniewu Twego spali te lichmany,
 Co pozorem sztandarów polskich Polskę dwoją —
 Twój tylko sztandar wszystkie przeciwne nam zmoże —
 Ten sztandar już nam pobnieś nad Polską, o Boże!
 Jedna nam władza — Twoja łaska ją stanowi.
 Tę władzę postaw, postaż Twojomi ludowi;
 Otwórz oczy ludowi, ażeby zobaczył
 Dobro, któreś od wieków obmyślił mi raczył.

O Boże Izraela! coś przez lat czterdzieści
 Prowadził go koleją zwycięstw i boleści
 Po pustyniach bezdrożnych w obiecanej ziemię,
 Coś potem niósł przez wieki krnąbrne jego plemie,
 I o świecie dni nowych w poziomej stajence,
 Zwierzył go na chód dalszy w Chrystusowe ręce,
 Oto dzisiaj Izrael nowego przymierza.
 Lud Polski do swej ziemi obiecanej zmierza;
 Nie opuszczaj go, Panie, wzmocnij Twoją łaską,
 Wiedź go jeszcze, jak dotąd wiodłeś, Twą opaską,
 Aż pożywszy dane mu słowo życia, błogie,
 Zdoła w sile młodzieńczej odtywać swą drogę.
 Krzep go, ażeby Twoje gwałcone wyroki
 Nie zwaliły nań kryzys czarnego Epoki,
 Jaki spadł na starszego Twego Izraela,
 Co się zgorzysł miłością swego Zbawiciela:
 A oto rok ten może być rokiem wesela.
 A ja, co dziś te modły ku Tobie podnozę,
 Choćby o chwilę w uczenie mego ludu proszę!..

N) Noc Belwederska (pis. w r. 1869).

(Noc Belwederska. — Paryż. B. r. (1870), 2 tomiki. Biblioteka Ludowa Polska, Nr. 58—59).

609) Część I. Str. 24—27. Dwa dzienniki w samej Warszawie były głównymi organami tej młodzieży: Dziennik powszechny urzędowy, pod naczelną redakcją Adama Chładowskiego, referendarza Rady stanu, — i Kurjer Polski, którego właścicielem był Adolf Cichowski. Przy pierwszym pracowali stale: Jędrzej Moraczewski i Ludwik Nabelak, do drugiego pisali: Maurycy Mochnacki, Ludwik Żukowski i Ksawery Bronikowski. Artykuły Józefata Ostrowskiego ogłaszał najczęściej Dziennik powszechny. Franciszek Grzymała, naczelny wydawca Gazety bankowej, chociaż w swoim piśmie nie miał swobodnego pola dla swoich przekonań, swojem życiem należał do ogniska rewolucyjnego. Poza tem ogniskiem, ale z wielkim wpływem na młodzież, stał Lelewel i wyobrażał niejako historję, tak jak Bohdan Zaleski, złączony ze wszystkimi wyżej wymienionymi ścisłą przyjaźnią, wyobrażał poezję.

Wszyscy byli mi znani, oprócz Nabelaka, świeżo przybyłego z Galicji. Z niektórymi wiązała mię przyjaźń od lat dziecięcych, z czasów pierwszego mego pobytu w Warszawie. Poczulem się więc wśród tej gromadki w swoim żywiole, odetchnąłem nakoniec właściciem mi życiem, przybywszy do Warszawy z Michałem Grabowskim przy końcu czerwca lub w początkach lipca; Grabowski z zamiarem załączenia pisma czasowego na wzór francuskiego *Revue de Paris*, ja na stały już pobyt w Warszawie. Przywiozłem nadto z sobą do ogłoszenia dwa tomy poezyi, z których pierwszy mogłem zaraz złożyć w Cenzurze, a nad drugim miałem jeszcze pracować. Zamieszkałiśmy w domu Sakramentek. Był to apartament zacnego pana Smolikowskiego, ex rektora Szkół Lubelskich; ale że on z rodziną przebywał lato na wsi, mieszkanie jego zajmował pod ten czas Józefat Ostrowski i z niego dwa pokoje nam odstąpił. Dotykam tego szczegóło nie tylko dla wielu, wiążących się z nim miłych i ważnych dla mnie pamiątek, ale i z przyczyny, że mieszkanie to było przez pewien czas rodzajem naszego klubu. Tutaj zbieraliśmy się wszyscy wieczorami pewnych dni i rozprawialiśmy. Nie były to już schadзки i znowy konspiratorów; wojskowi w owej porze nie

zawiazali jeszcze tych ścisłych stosunków z cywilnymi, jakie nas później połączyły; i oprócz Ostrowskiego i Mochnackiego, który od brata swojego Kamila przypuszczony był do tajemnicy związku, żaden z nas podobno nie stykał się z nim czynnie; ale były to jakby posiedzenia przygotowawcze, poświęcone rozprawom, tak politycznym jak literackim. Wszak chodziło o wspólne wydawanie pisma czasowego, trzeba było porozumieć się, zgodzić się. Byli między nami lubiący i umiejący dobrze i wiele mówić; mieli do tego pole i korzystali z niego. Zdarzyło się kilka razy, że dopiero świt zamykał posiedzenia, a niektórzy byli tak burzliwe i gwarne, że można było spodziewać się denuncjacyi jakiegoś szpiega i jej skutków. Dziś już nie pamiętam głównej treści tych rozpraw, jak i wówczas nie byłbym w stanie zdać z nich sprawy, bo choć mię w pewnej części zajmowały, ale kończyło się na tem, że już nie wiedziałem o co rzecz idzie, i kładłem się w łóżko i spałem w najlepsze, mimo różnych tonów hałasu. Ale zawsze było to życie, i piękne życie, które wybuchało w ten sposób, zaczem trafiło na właściwszy.

Jedna szczególnie chwila zasługuje na wzmiankę, przynajmniej w dziejach naszego podówczas życia literackiego. W sierpniu, jeżeli się nie mylę, przybył do Warszawy Jan Nepomucen Kamiński, dyrektor teatru lwowskiego, znany nam jako autor komedyi: *Wesele Krakowskie*, i rozprawy: o filozoficzności języka polskiego; w jednym i drugim dziele mający wiele oryginalności i barwy polskiej. Przybycie jego podało nam myśl uczty, którą była zarazem objawieniem uczucia braterskiego, wiążącego wszystkie odłamy Polski, a szczególnie na polu życia publicznego Galicyi, poczynającej wówczas budzić się przez swoich pisarzy, jak w kilka miesięcy później powstała całkiem ze snu lat kilkudziesięciu przez żołnierzy, których dostarczała naszej walce z Rosją.

Ta uczta miała miejsce za Pragę, w tak zwanej kolonii Winena; był to dom z ogrodem, należący do jednego z muzyków orkiestry teatru warszawskiego. Grono nasze było liczne, składało się z reprezentantów wszystkich prowincyi polskich. Polityka i literatura podały tam także sobie dłoń bratnią. Z posłów, o ile pamiętam, byli: Lelwiel, Kantorbery Tymowski i Trzeciński; z wyższych urzędników: referendarz Chłędowski;

od teatru Warszawskiego: Ludwik Dmuszewski; z poetów: Bohdan Zaleski i Witwicki; a że lista wszystkich byłaby za długa, przestaną na wymienieniu: Franciszka Grzymały, Michała Grabowskiego, Mochnackiego, Nabelaka, Żukowskiego i Ostrowskiego.

Była to biesiada z początku uroczysta, przy końcu gwarna, przepłatana toastami patryotycznymi, nawet improwizacyami Tymowskiego i Witwickiego, a zawsze stąd piękna, że ją opromieniały już te polskiy dusz polskich rwących się ku swobodzie, które we trzy miesiące objawiły się pożarem, ogarniającym cały naród.

610) *Capit. II. Str. 3—6.* Od kilkunastu już dni wiedzieliśmy, że lada dzień będziemy wezwani do działania i że ten dzień bardzo bliski. Mieliliśmy, każdy z nas, wiadomą sobie czynność do spełnienia. Dzisiaj, 28-go listopada, miało już zapasé stanowcze postanowienie i o tem zawiadomienie nas miano. W tym celu, wieczorem, zebraliśmy się, kilku nas cywilnych, w jednej cukierni na Krakowskim Przedmieściu. Był Nabelak, Żukowski, ja; innych nie przypominam sobie w tej chwili. Wkrótce przybył Bronikowski Ksawery i oznajmił nam, że powstaniami jutro wieczorem o godzinie szóstej, że zatem o tej godzinie każdy na wiadomem sobie stanowisku znajdować się powinien. Było przytem porozumienie się w rzeczach podrzędnych. Szło teraz o zawiadomienie innych, tych zwłaszcza, którzy się podjęli działania w Belwedezie i poruszenia ludu. Co do mnie, wzięłem na siebie zawiadomienie między innymi: Mochnackiego, który od pewnego czasu nie stykał się z związkowymi, a ze mną był w ciągłym, bardzo bliskim stosunku; Józefa Kozłowskiego, męcenasu, mającego wielką wziętość, szczególnie w dzielnicy Starego miasta, i jeszcze kilku innych. Nie było potrzeby dopełnić tego dzisiaj; do Kozłowskiego tylko wpadłem, a chociaż pora nie była zbyt późniona, znalazłem go już w łóżku, ale jak tylko mu oznajmiłem o co idzie, zerwał się natychmiast, ubrał się i wybiegł porozumieć się ze znanymi sobie mieszczanami. Zostawiając resztę do jutra, wróciłem do Nabelaka, u którego miałem tę noc przepędzić, bo w mojem mieszkaniu mogłem być aresztowany, do czego było wielkie podobieństwo, szczególnie po uwięzieniu Józefa Mejznera, który był jednym z najbliższych mnie ogniw w tym łańcuchu sprzyświeżenia, a byłoby mi boleśnie

przebyć w więzieniu i bezczynności chwilę, do której unosiłem się od lat wielu. Wieczory listopadowe długie, nie mieliśmy dziś co robić w naszym mieszkaniu, byłem przystem cokolwiek głodny, poszliśmy więc z Nabelakiem na piwo, już to dla posilenia się, a jeszcze więcej dla badania usposobień publiczności. W powrocie naszym do domu, drobny wypadek na pozór zrobił na mnie wrażenie, które podniosło jeszcze wyżej dobrą moją otuchę o dniu jutrzejszym — trąciłem nogą o jakiś kawałek sukna, leżący na bruku, podniosłem go, był to pasek, jaki mają na swojej kurtce ulani moskiewscy. «Dobry znak!» odezwałem się do Nabelaka, pokazując mu znalezionej pasek. «Mamy już łupy z nieprzyjaciela». I wróżba nie zawiodła. Nabelak mieszkał w izbie, która była także biurem redakcyjnym Dziennika powszechnego. Łóżko było jedno i na jedną osobę, ale za to stół ogromny i stopy dzienników. Zasłaliśmy stół dziennikami; musiałem znaleźć tę pościel bardzo wygodną, bo przespałem jak zabity noc z 28-go na 29-ty i zbudziłem się z całą czerstwością i swobodą umysłu, chociaż stanęła mi natychmiast przed myślą nadzwyczajna ważność tego dnia — dla mnie i dla Polski całej. A teraz do roboty, może ostatnie w tem życiu! powiedziałem sobie. Ale przedewszystkiem musiałem jeszcze wpaść do mojego mieszkania i załatwić sprawę niższego rzędu. Potrzeba było odnieść do drukarni rękopis czwartego tomu romansu Walter-Skotta: *Klasztor*. Tom ten przełożył Ksawery Bronikowski, ale wszystko co było wierszem w tym romansie, to mnie było powierzone do przełożenia na wiersz polski i w tym tonie miałem jeszcze kilkanaście wierszy do zrobienia. W parę godzin ułatwiłem się z tą pracą, zaniosłem rękopis do drukarni, zabiegłem do p. Franciszka Grzymały, dla uiszczenia się z małego dłuzku pieniężnego i pospieszyłem do Mochnackiego. Zastalem go nad pracą. Drukował właśnie swoje dziełko o literaturze polskiej, a w tej chwili pisał rozdział o muzyce polskiej, który miał zamknąć dzieło, ale kiedy mu zapowiedziałem, że «dzisiaj wieczór zaczynamy nieodmiennie», przyjął tę wieść z oznaką radości, przekreślił natychmiast wielkimi pociągami pióra na krzyż kilka stronnic już zapisanych, «zostawmy to na później» — zawołał — «a teraz natychmiast biegnę do szaserów».

611) Część II. Str. 49—51. Z przybyciem naszym pod arsenał, zadanie moje główne, jak na tę chwilę, było dopełnione; główny obowiązek prowadzenia dalszej walki spoczął na wojskowych, cywilnym nie pozostawało jak złąć się z ludem i nastrajać moralną jego stronę do tonu wypadków, zaszyłych i mających nastąpić. Złożyłem w arsenał mój karabin, zachowałem sobie na pamięć jednego z ładunków, danych mi w Łazienkach, zaopatrzyłem się w parę pistoletów i szablę, zawiesiłem szablę na ręczniku, którym byłem opasany po paszcuze, zatknąłem pistolety za pas, zawiązałem w papier garść prochu i kilka kulek, któremi opatrzył mnie jeden podoficer i tak rzuciłem się w tłum ludu. Nie czulem najmniejszego znużenia, najmniejszej potrzeby snu, tylko głód, skutek konieczny takiego ruchu ciała przez godzin kilka, cokolwiek mi dokuczał. Ale w podobnej porze i w podobnem wzburzeniu miasta, kiedy wszystko prawie było zamknięte, a co otwarte, zapchane było tłumem, przez który niepodobna się przedrzeć, mogłem znaleźć wódkę, nie miałem nadziei posilić się choćby kawalkiem chleba. Wtem spotkałem się z Robertem Chmielowskim i Tomaszem Malinowskim, których znałem od kilku tygodni, jako należących do naszej roboty, a tej nocy czynnych w środku miasta. We trzech trafiliśmy na dobrą radę, wpadliśmy do Neimanowej przy Długiej ulicy, gdzie byłem bliżej znany; było już około północy, ale gospodyni, dobra Polka, nie zamknęła swej gospody, i pożywiła nas, czem mogła. Pozem znowu sam zostałem, bo miałem potrzebę dowiedzieć się na chwilę do mego mieszkania, ale że, jak powiadam, nie czulem znużenia, wróciłem znowu na scenę publiczną.

Noc ta miała oblicze zaszepione. Niebo powleczone mgłą, jakby jedną chmurą. Ale w tych ramach ponurych — obraz pełen ruchu, wrzawy, życia, zapachu, który ogrzewał, oświecał, ożywiał. Cała okolica arsenału i pobliskie place — oświecone ogniskami; żołnierze — jedni przy ogniskach i broń w kozłach, inni uszykowani pod broń; patrolo w różnych kierunkach, jedne wracają, drugie wychodzą. Twarze poważne, surowe, wyraz uroczysty, jak przystało w chwilach podobnej ofiary, a opromienione blaskiem swobody, tłumionej przez lata
Dokoła tego obrazu, ulice jak promienie

jego, rojące się tłumami zbrojnego ludu, w ruchu nieustannym wrące gwarem głuchym i groźnym, jak huczenie nadechodzącej burzy; kiedy niekiedy, to tu, to tam strzał pojedynczy, lub grzmot ognia plutonowego, ile razy strzelcy konni bliżej się podsunęli; a w tem wszystkim ład, zgodne działanie, karności wojska wyćwiczonego, jak żeby jedna wola kierująca uosbiona była w jednym naczelniku, chociaż w rzeczywistości na każdym punkcie, każdy dowódca oddziału w sobie samym szukał rady, dowodził i rozkazywał niezawisłe.

LXXXIX.

ZALESKI JÓZEF BOHDAN

(1802—1886).

Urodził się w d. 2 lutego (st. st.) 1802 roku, w uroczystość Matki Boskiej Gromnicznej, we wsi Bohaterce, w gubernii kijowskiej, z ojca Wawrzyńca, cześnika smoleńskiego, i matki Maryi Anny Burkatówny. Pochowawszy żonę w pół roku po przyjściu na świat Bohdana, ojciec jego wywedrował na Litwę, a dzieci rozdał między krewnych. Przyszły autor «Złotej Dumy» dostał się ciocie po ojcu, Apolonii Kundziczowej, zamieszkałej we wsi Medwedówce, w powiecie kamieńskim; mając lat cztery, przebywał czas jakiś w parafialnej szkole w Kamiowie, poczem kształcił się w domu. W siódmym roku życia zaraził się od psieków domowych jakąś chorobą skórą, i oddano go na leczenie do znachora wiejskiego Zuję; w jego chacie, we wsi Czuczynce, nad Dnieprem, u stóp Iwanhory, Bohdan przeżył osiemnaście miesięcy, przystuchując się na wieczorynkach pieśniom i skazkom ukraińskim. Około roku 1811 zabrala go do siebie druga siostra ojca, Anna Jasiońska, do wsi Małych Jerczyk, nad rzeką Rosią, gdzie przeżył dwa lata. W r. 1812, z drewnianym karabinkiem i rublem miedziankami w kieszeni, wybrał się «na wojnę», dopiero go o trzy mile od domu spotkał i nawrócił znajomy oficer Iskrzycki. Jesienią tegoż roku zaczęła się edukacja Bohdana w szkole Bazyljanów w Humaniu, dokąd oddał go najstarszy brat Elias. W ciągu 7-letniego pobytu w tym zakładzie Zaleski (zwany przez kolegów *uno-enu*) zbliżył się z kilku kolegami, którzy potem mieli zaznaczyć się na różnych polach życia narodowego; między nimi byli: Józef Mianowski, później rektor Szkoły Głównej w Warszawie, Seweryn Goszczyński (którego w klasie zwano Nerone), Michał Grabowski, Jan Krechowicki, Józef Chrzyszczewski i inni; najbliższa przyjaźń złączyła go z Goszczyńskim i Grabowskim, z którymi zawiązał trzymwirat dla wspólnej lektury i pisania wierszy, zwany od pierwszych zgłosek nazwisk

Opracował: G. KORBUT.

uczestników *Za-go-gra*. Pierwszymi twórcami poetyckimi były tłómaczenia szkolne dwu ód Horacego: «Do Wenery» i «Do Pirry», oraz tegoż poety «Przepowiedni» i «O życiu wiejskim» (z r. 1818). Dwie odd powyższe oraz pierwszy jego utwór oryginalny: «Dane o Wacławie», wydrukował «Dziennik Wileński» w zeszytach listopadowym z r. 1819. Tegoż jeszcze roku, po zajęciu z prefektem, ks. Skibowskim, Goszczyński i Zaleski porzucili szkołę na zawsze; Bohdan nie miał wówczas jeszcze lat 18-tu. We wrześniu 1820 r. znalazł się wraz z Sewerynem Goszczyńskim w Warszawie, zaczął wchodzić w stosunki z literatami tujejszymi (Brodziński, Mochnacki, Witwicki, Malczewski, L. Nabełek, Magnuszewski, Fr. Grzymała i inni, a także z Fryderykiem Chopinem). Najwięcej zaznaczył się wpływ Brodzińskiego, jako autora utworów, odtwarzających byt ludu («Wiesław», «Pieśni rolników») i na wzór piosenek ludowych pisanych, a także słómacza pieśni ludowych różnych narodów. Tu też zaczyna się właściwa twórczość Zaleskiego; w roku 1822 «Pamiętnik Warszawski» drukuje jego «Nieszczęśliwą rodzinę», «Ludmiłę», «Labora», oraz «Araba u mogiły konia», w roku 1823 tenże «Pamiętnik» i «Astrea» — «Wyjatek z rycerskiego rapsodu», «Janusza Bieniawskiego», «Wzgórek polegnania», «Dumkę hetmana Kosińskiego», oraz kilka przekładów; rok 1825 dał «Dumkę Mazepę», «Czajki», «Fantazję do Rydzewskiego» i «Śpiew poety»; r. 1826 — «Śpiew Taty», «Dumę z pieśni ludu ukraińskiego», nieco przekładów pieśni nowogreckich, a także obszerniejszy poemat: «Damian książę Wiśniowiecki»; rok 1828 dał fantazję «Rusalki», z krótszych utworów «Trzeci szurm do Stawiszcz», «Co mi tam», «Tryolety», «Zołotarenkę w Warszawie», «Śpiewające jezioro», oraz «Pielgrzyma w obym kraju» (znanego powszechnie p. t. «Śpiewak tęskniący»). Większe pomysły epickie, jak poemat o hetmanie Kosińskim, o Siryku, czyli wyprawie na czajkach przeciw Stambulowi (1825), nie udawały mu się, porzucił je i niszczył. W życiu społeczno-politycznym Zaleski nie brał większego udziału; o uczestnictwie jego w tajnym stowarzyszeniu «Wolnych Braci Polaków» dość mętne posiadamy wiadomości. Zresztą — zajmował się guwernerką w domach prywatnych, to pod Kutnem, w Leszczynku, u pułkownika Górskiego, to u generała Szezebka, w którego domu, z niewielkimi przerwami, w czasie których zjeżdżał do Warszawy, przebywał aż do r. 1830. Około r. 1825 poznał przedmiot pierwszej miłości w osobie Róży Żukowskiej, którą opiewał w «Rusalkach» pod imieniem Zoryny. W czasie powstania zaangażował się do pierwszego pułku strzelców pieszych, gdzie służył Mochnacki i Bielowski, walczył pod Dobrem, Stanisławowem i Grochowem, otrzymał krzyż *oirtuti militari*, przytem został postem z powiatu taraszańskiego, sekretarzem przy prezydencie Warszawy Węgrczelam, a także wszedł w skład redakcyi «Nowej Polski», na której czole stali Lelelew, Mochnacki, Brodziński i inni. Granicę przeszedł Zaleski wraz z korpusem Ramorina d. 8 września, udając się do Lwowa, gdzie go wszakże wytro-

piła policya austryacka i aresztowała. Dzięki usilnym staraniom przyjaciół, a zwłaszcza Wacława Zaleskiego (z Oleska), otrzymał nazw poeta wolność, pod warunkiem natychmiastowego opuszczenia Austryi, co jednakże nie zaraz wykonał: cały tydzień zabawił we wsi Lopusznej, położonej między Czorsztynem a Nowym Targiem, skąd zrobił piękną wycieczkę wraz z Sewerynem Goszczyńskim i Józefem Tetmajerem, właścicielem Lopusznej, w Tatry, do doliny Zakopanego i doliny Kościeliskiej, poczem na Kraków, Niemcy i Szwajcaryę udał się do Paryża. Tu wszedł do organizacyi emigracyjnych i został członkiem «Towarzystwa Litwy i ziemi ruskiej», wziął udział w adresie tulańców polskich do sejmu węgierskiego (2 grudnia 1832 r.), w organizacyi Komisyi funduszy emigracyi polskiej (kwiecień 1833 r.), ale naogół rzadko i przygrybiał «potępienie swary» emigracyi, również jak i jego wielkiego przyjaciela, Mickiewicza, do którego zbliżył go rozwijający się jednocześnie u obu poetów nastroj religijny. Lato 1833 roku przepędził w Sévres, a we wrześniu pojechał na południe Francyi, by zaopiekować się śmiertelnie chorym autorem «Wacława», Stefanem Garczyńskim. Po śmierci przyjaciela powrócił razem z Mickiewiczem, z którym zjechał się w Lugdunio, do Paryża — i nastąpiła owa piękna zima 1833—4 r., kiedy to w dlagie wieczory czytał Adam przyjacielom, a między nimi i Zaleskiemu, urywki «Pana Tadeusza». Tegoż roku, w listopadzie, przybył do Paryża serdeczny druh i imiennik Bohdana, Józef Zaleski, który odtąd stał się nieodstępnym niemal towarzyszem jego życia. Obaj też Zalescy, a także Mickiewicz, Piater, Witwicki i Gorecki, w grudniu 1834 r. założyli pobożny «Związek Braci Zjednoczonych», do którego przyłączyli się potem jeszcze Domeyko i Janicki; w życiu politycznym wszakże nie bierze udziału, jeżeli pominiemy uczestnictwo w «Towarzystwie słoiańskim», oraz w sekcji battigaolskiej «Towarzystwa Demokratycznego», tem więcej, że w grudniu 1835 r. opuszcza Paryż na dłuższą i osiedla się wraz z Józefem Zaleskim naprzód w Strassburgu, a potem, wiosną następnego roku, w małej miejscinie w Wogezach, Molsheimie. Tutaj też, w spokojnym ustroju, zaczyna się druga epoka jego twórczości: w Strassburgu powstaje «Złota Duma» (1835—6 r.), poemat obszerniejszych rozmiarów, nie ukodzony, jak i wszystkie większe pomysły Zaleskiego, w Molsheimie — poemat mistyczno-historyczofizyczny p. t. «Duch od stepu», napisany w ciągu kilkunastu dni listopada 1836 r., oraz przekład pieśni serbskich (jesień t. r.). W samym końcu 1836 r. udał się obaj Zalescy na południe Francyi, obrawszy sobie na miejsce dłuższego pobytu miasteczko Endoume, w okolicy Marsylii; trzy miesiące, od połowy marca 1837 r. do połowy czerwca, zajęła im wycieczka do Włoch (Genua, Florencyja, Rzym), poczem powrócili na dłuższy pobyt do Endoume. Epoka ta, również jak i pobyt w Strassburgu i Molsheimie z przed dwa lat, była w twórczość bardzo obfita: tu powstały pierwsze pomysły «Przenajświętszej Rodziny», piękne «Hymny», a także cały szereg mniejszych utworów, jak: «Zakochana»

«Wyjazd bez powrotu», «Pochód», «Co mi tam», «Spotkanie się gdzieś daleko» i «Sam z pieśnią» — z r. 1837, i «U nas inaczej», «Skalna czajka», «Gonicie», «Nasze Endonnie», «Dowiarowski na jasyrze», «Do grębli» i «Mara» — z r. 1838. W sierpniu roku 1838 zjeżdżają obaj Zalescy do Paryża, a potem do Sèvres, gdzie odwiedza Bohdana przyjaciel z lat dziecięcych, nie widziany od lat sześciu, Goszczyński. Paryż, z kłótniami emigrantów, nie był mu miły, natomiast, prócz Sèvres, chętnie przebywał w Fontainebleau, a w maju 1840 r., wraz z nieodstępnym Józefem, zamieszkał w Plombières, wśród Wogezów; latem t. r. odbył wycieczkę do Szwajcaryi, wspólnie z Józefem i Adamem Mickiewiczem. W grudniu Bohdan był znowu w stolicy Francji, by wziąć udział w słynnej urocz. d. 25 grudnia 1840 r., na której Mickiewicz wypowiedział swą świętą improwizację. Twórczość z tych dwu lat jest również bardzo obfita: prócz «Potrzeby Zbaraskiej», prócz «Kalinowa mosta», powstało w tym czasie mnóstwo dum, dumek, wiośnierek, szumek i pieśni, m. in. «Step», «Lach serdeczny na marach», «Okolica alpejska», «Ladaco» i t. p. Do bawiącego w Beaune Zaleskiego pisze w d. 15 sierpnia 1841 r. Mickiewicz przedcudne wezwanie: «Słowiczku mój, a leć, a piej...», zawiadamiając go jednocześnie o zjawieniu się opatrnościowego meża, Towiańskiego. Bohdan odpisał wierszem o takimże rytmie: «Kto? z jakich stron? w przeczysty ton, jak zwierciadły zdroj; niewoli słuch? och, bliźni duch, do chwał, głosie mój», ale w postanowienie mistrza Andrzeja nigdy nie uwierzył. Rok 1843 przepędził w podróży wraz z Józefem Zaleskim: na Rzym, Neapol, Maltę, Smyrnę, Bajrut i Jaffę udali się do Jerozolimy, potem zadowol. powrócili do Paryża. Dnia 26 listopada 1846 roku Bohdan wstąpił w związek małżeński z panną Zofią Rosengardtówną i wtedy oddał się przeważnie życiu rodzinnemu. Twórczość już się wyczerpała, chociaż nie przestał pisać, ale poezye jego z tych czasów (już od r. 1840) nie stoją na poziomie dawniejszych; tak z r. 1849 znamy tylko przekłady dwa psalmów. Dopiero wypadki polityczne r. 1860—64 odżyły na nowo jego lutnię: rok 1860 dał «Tereyny», «Do moich dzieci» i «Chwała Bogu»; rok 1861 — «Paralotyka» i «Cedr»; 1862 — «Głos ku Deotymie»; rok 1863 — «Do Seweryna Goszczyńskiego», «Do wtrąca na święto horodelskie», «Ku młodziankom polskim», «Abarim i Tabor», «Sen nocy przed świętym Michałem» i urwyki «Wigilii godów tysiącolecia»; w r. 1864, po śmierci ukochanego Józefa Zaleskiego, który do końca życia pozostał przy młodej parze, powstała «Dum i dumek księcia trzecia». W ciągu dwudziestolecia, od 1866—1886 r., napisał jeszcze kilkadziesiąt utworów, w znacznej części okolicznościowych. Szybko zbliżał się upadek sił i talentu, tem więcej, że groby ukochanych wstawały wokół niego: w 1867 r. zmarła mu siostra, Antonina Liłowska, w następnym — żona, a w r. 1873 — ukochana córka, do którejwa Okliczykowa, przy której od trzech lat, to w Heyères, to w Villepreux, zamieszkiwał. Ostatnią piękną chwilą w życiu Bohdana

była 80-letnia rocznica urodzin, d. 2 lutego 1882 r., obchodzona arcyrocznie: Towarzystwo historyczno-literackie wręczyło mu adres, Lenartowicz napisał wiersz okolicznościowy, a z kraju nadeszło około 1000 telegramów i listów. Ostatnie lata życia było to już powolne kłókanie: zmysły odmawiały posłuszeństwa, zwłaszcza wzrok, a chociaż w grudnia 1885 r. dr. Ksawery Gałęzowski zajął z oczu kataraktę, niewiele to już pomogło: 84-letni starzec zgał d. 31 marca 1886 r.

BIBLIOGRAFIA.

- A) Wydania zbiorowe: 1) Poezycy (Lwów 1838). — 2) Poezycy (Poznań 1841—2, 2 tomy). — 3) Poezycy (Paryż 1841). — 4) Poezycy (Petersburg 1851—52, 4 tomy). — 5) Wiersze Oratorium (Poznań 1866). — 6) Pisma (Lwów 1877, 4 tomy). — 7) Dzieła pośmiertne (Kraków 1891, 2 tomy). — 8) Korespondencya (wyd. D. Zaleski, Lwów 1900—1904, 5 tomów).
- B) O Zaleskim pisali: 1) Mochnacki: O liter. pol. XIX w. Warszawa 1880. — 2) Goszczyński: Nowa epoka poezyi pol. (Powsz. Pam. nauk. i umiej. 1885). — 3) Goszczyński: Art. «Poezycy K. Zal.» w Demokracji Polsk. 1842. — 4) Grabowski: Liter. i kryt. II. (1837). 5) Tyszyński: Rozbiory i krytyki. III. — 6) Mickiewicz: Liter. słow. I, III. — 7) Słowacki: O poezycy Bohd. Zal. (Kraj, 1892, nr. 5). — 8) Siemieński: Portrety liter., I i Dzieła, III. — 9) Cybulski: Geschichte der polnischen Dichtkunst. Posen, 1880 (toż w «Odczytach»). — 10) Wisniewski: B. Z. i jego poezycy. Kron. Rodz. 1890. — 11) Bem: J. B. Z. Przegl. Tyg. 1878 (toż w «Studiach i szkicach». Warsz. 1904). — 12) Tarnowski: B. Z., w Przegl. Pol. 1877 i 1886; oraz w przedm. do «Dzieł pośm.» i w Hist. liter. — 13) Chmielowski: B. Z. w Stud. i szkic. 1886, II. — 14) Zathy: Młodość B. Zal. Kraków 1886. — 15) Duchinińska: B. Z. Bibl. Warsz. 1886, II. — 16) N. (K. Morawska): B. Z., Przegl. Pol. 1887. — 17) Nehring: Z młodych lat B. Z. Bibl. Warsz. 1887, III. — 18) Plug: Spuścizna literacka po B. Zal. Krak. 1887. — 19) Blumenstock: Die Ukraine und ihre Dichter. Bohdan Zaleski. Wien 1877. — 20) C. A. Bohdan Zal. w poezyi. Poznań 1887. — 21) Lenartowicz: Słowo o Bohd. Zal. Lwów, 1889. — 22) Gawełewicz: Bohd. Zaleski. Kraków, 1890. — 23) Kolessa: Ukraiński narodni piśni w poezjach Bohd. Zaleskiego (po malorusku). Lwów, 1892. — 24) Kolessa: Ślidy wpływu W. Zukołskoho w poezjach B. Z. (po malor.) 1894. — 25) M. Mazanowski: B. Z. w stosunku z Adamem Mickiewiczem. Bibl. Warsz., 1898, IV. — 26) M. Mazanowski: Z. B. Zaleski. Życie i dzieła. Zarz. bibliograficzny. Petersburg, 1900 («Żyćciorys sławn. Pol.»). — 27) Kolessa: Ukraińska rytmika ludowa w poezjach B. Z. («Księga pamiątkowa Univ. Lwowskiego». Lwów, 1900). — 28) Tretiak: Do ganezy młodzieńczych utworów B. Z. (Sprawozd. z posiedzeń Akad. Um. w Krak., 1895). — 29) Krechowicki: B. Z. o sobie i współczesnych. Lwów, 1901. —

30) Zdziarski: Chronologia młodzieńczych utworów B. Żal. Bibl. Warsz., 1901, IV (toż w jego «Szkic. liter.», 1902). — 31) Zdziarski: Bohd. Żal. Studium biograficzno-literackie. Lwów, 1902. — 32) Zdziarski: B. Żal. (Charakterystyki liter. pis. pol. XII Złoczów 1904). 33) Kopnicka: O B. Ż. Bibl. Warsz. 1902 i 1903 (i w jej «Skitkach». Lwów, 1905). — 34) Listy Dymizy Poniatowskiej do Bohdana i Józefa Zaleskich. Kraków, 1900.

612) A) Dumka hetmana Kosińskiego (1823).

(Pisma, Lwów, tom I. str. 126—130).

Hop, hop, ewale, koniu wrony, Leć do pułków, do mej żony, Dłużej chwilką Jeszcze tylko Do Stawiszcz mi służ.	Widść, widść już Stawiszczez, Wiatr w chorągiew miasta świsz- Duszą szyki [cze, Brzmia okrzyki, Biją dżwony z wież.
Od Piatyhor, Pawołoczy Bieży tłumnie lud ohooczy, Nalewajki Lotne czajki Płyną Dnieprem już.	Dniowa gwiazda, chmurna, blade, Za Krzywicki las zapada. Wróy koniu, Po tem błoniu Przędzej, prędzej bieć.
Wnet pośpieszą rejestrowi Ku odsieczy Czehrynowi, Przy rozgłosie Dum po rosie Przypuścimy szturm.	Miga w dali dwór mój biały, Grają trąbki, grzmiały wystrzały, Widna moja Złota zbroja, Sokół, chart i koń.
Zagra ziemia pod kopyty, Proch pomiecie słupem wzbity, Ura! głosy Pod niebiosy Waleczą z brząkiem surm.	I ot stoi tam u drzewa Moja młoda czarobrewa, Piękne oczy Lzami mroczy, Zalutuje dłoń.
Ho, ho, darmo — nigdy w stepie Zdrad tatarskich nie prześlępie, Jak się biją? Gdzie się kryją? Znam, jak murza mord.	Oczu-ż pięknych żal się, Boże! Co płacz marny dziś pomoże? Kiedy wola Sejmu, Króla Każe w pole nam.
Umiem z nagła wpaść na karki, Rąbąc szablą, grzmieć z janczarki: W lewo, prawo, Szybko, żwawo, Niesię ogień i mord.	Wolniej, wolniej, koniu chyży! Niech się luba moja zbliży, Stój, stój chwilę, Niech się schyle Poculunek dam.

Nie płacz, nie bluźń, moja droga! Śmierć i życie w mocy Boga, Proś go lepiej Niech pokrzepi, Natchnie męstwem nas.	A gdy śpiąc cię zastaniem, Zbudzę głośnem całowaniem, Klasnę, świsnę, Zbroją błysną, Z czoła otrzesz znój.
--	--

Nie płacz, nie bluźń, moja droga! Wróć zdrowy w lasce Boga, Przez las dołem Z psem, sokołem,* Wróć w ranny czas.	Nie płacz, nie bluźń, czas upływa, Bądź mi zdrowa i szczęśliwa! Próżne słowa, Bądź, bądź zdrowa! Dalej, koniu mój!
--	--

613)

B) Czajki (1825).

(Tamże, tom I. str. 130—135).

Ura ho! ура ho! ура! Limany! nasze limany! W ognich goreją kurhany, I Czartomelik i Dura! Okrzyk, bracia! a wesolo, Aż rozgłosie naokoło Od Chortycey do Tamani, Zagrzmia progi i ostrowy! Niech nam żyje, niech hetmani Kosaszewicz nasz Koszowy!	Choć się rozwieją się dymy; Jak wyprawa w Krym Bohdanka ¹⁾ , Gracka nasza pohulanka Rozbrzmi pieśnią w Ukrainie; I dopokąd bratniej mowy, W całej Polscej nam zastynie; Kosaszewicz nasz Koszowy!
Pełnia odbija miesiąc? Nie — to Synopa płonąca, Natolskie dymią to gody! Przy wojennej tej pochodni, Kiedy lekko wiatr zachodni Pędzi z dymem i popiołem Czajki nasze w kraj niżowy. Bracia! rażny okrzyk społem, Niech nam żyje nasz Koszowy!	Pięknąz bo wieziem podarek Dla braci naszej na Niżu; Działą błyszczące ze spiżu, Krocie złotych janczarek; Będą ludzki wzrok osłniały, Promieniące od kamieni, — A gdy błysną w dzień godowy, Hukniem razem w sto kurzeni: ²⁾ Niech nam żyje nasz Koszowy!
Cheszmy się, pokąd widzimy Z dymu chmur lunę tam jasną, Lecz choć i ludy pogasną,	Poszem [tak!] na ładan i święce ³⁾ Do świętej Ławry pieczarskiej ⁴⁾ Lupy ziemiцы агарskiej, Złote z męczetów księżyce; Niech poległej braci w boju Pieśń wiecznego brzmi pokoju!

¹⁾ Bohdan książę Rożyński, szósty hetman Ukrainy (*Przyp. Aut.*).

²⁾ Kurzeniemi zwaly się u kozaków obozowiska na kilkaset aż do tysiąca ludzi t. j. patkowie (*Przyp. Aut.*).

³⁾ Myrra po słowiańsku i po rusku *zowio* się ładan; zapewne od Lado, dawnego bożyszczca (*Przyp. Aut.*).

⁴⁾ Święta Ławra, cerkiew metropolitalna w Kijowie, przy której są sławne pieczary, przechowujące dotąd ciała świętych męczenników i wyznawców Kościoła greckiego (*Przyp. Aut.*).

A śród wypraw naszej młodzi,
W łasce Boga, żyw i zdrowy,
Niech w najdłuższy czas przewo-
Konaszewicz nasz Koszowy! [dzi]

Pod Ostrowami na przodzie,
Widzicie czajkę hetmana,
Jak, chorągiewami owiana,

Lekko się ślizga po wodzie?
Toż od naszych dum ucieka,
Że samotny, że z daleka
Wódz, nasz ojciec szuka ciszy?
Bracia! rażno krzyk nowy!
Aż nogajska dźwięk usłyszysz;
Niech nam żyje nasz Koszowy!

Lecz hetman w myślach, jak nie-
I wciąż na niebie żrenica, [my,
I wciąż na sercu prawica,

Nie wie, skąd, dokąd płyniemy.
Jakiś zamach knowa w głowie...
Nowe! boje nam zapowie?
Ur! bracia! niechaj skinie,
Wnet ochoczo w tańce nowy!
Z czajek na koni! — i w pustynie...
Śród okrzyków: żyj, Koszowy!

Ura ho! ojciec hetmanie!
Oto na Siczci drużyna,
Z podarkiem chleba i wina,
Szerzy okolne wolanie!
I my okrzyk! a radośny,
Aż jak gromu huk rozgłośny,
Od Chortycy do Tamani,
Wstrząśnie progi i ostrowy!...
Niech nam żyje! niech hetmanami!
Konaszewicz nasz Koszowy!

614)

C) Śpiew poety (1825).

(Tamże, tom I, str. 177 — 180).

Gdy na górach świta dzionek,
A w dolinie srebrzy rosa,
I ja śpiewam, jak skowronek,
I ja lecę pod niebiosa.

Lecę — gonię wspomnień mare,
Z kwiatów życia wieniec płotę;
Piękność, miłość, uczucie, wiarę
Na ognia spajam złote.

Świat odbija moja dusza,
Jak zielony brzeg krynica;
Wszystko piękne tkliwie wzrusza,
Wszystko tkliwie ja zachwyca.

Łza na krótko oko ciemi,
Częściej płyną w niem rozkosze;
Bo, co ziemskie, rzucam ziemi,
Co niebieskie, w niebo wznoszę.

Z niewcielonych gdzieś tam świa-
Garnę myśli — uczuć skarby; [tów
Z nowych dolin, z nowych kwiatów
Do obrazów zbieram farby.

Oto w błódcu płyną łany,
Tchacz wiosnianym pieśni ranek;
Czemuż tęsknie zadumany,
Czegóż szukam, jak kochałek?

Wszystko kwitnie, wszystko woni,
Sympatyczne czucia wzniesca;
Kwili słowik u jabłoni
Zaplomonej, jak dziewczica.

Brami śpiewacy polni, teśni,
Pierś podnosi rzewność błoga;
Przyrodzenie wielbię w pieśni,
W przyrodzeniu wielkość Boga!

Brami śpiewawcy... i naprzemian,
To na dole, to na górze,
To dla niebian, to dla ziemian,
Wtórzą dla mnie, dla nich wtórzą.

Tak przebiegam różne tony,
Pierwej z sercem dźwięk pogodzę;
I czysiejczy, upiększony,
Po samotnej przepuszczam drodze.

¹⁾ Czytelnicy kronik polskich znają stare znaczenie wyrazu tańiec: tańce tatarskie, tańce kozackie, i stąd *bon moi* sławnego Chodkiewicza do synów, odjeżdżających zagranicę (*Przyp. Aut.*).

Myśl mej pieśni nie przekwitła,
Jako niebo, serce, wiosna,
Wiecznie świeża, rozmarita,
I dziewczica i miłosna.
Naraz w gaju śpiew ucicha,
Wolnie bujam kilka chwilek,
I z wonnego róż kielicha
Piję balsam, jak motylek.
Znowu lecę między ziółka,
Między gaje, łąki, wody,
Biorę miody i, jak pszczołka,
Nie dla siebie biorę miody.
Gdy w polocie mym zienacka
Coś mię draśnie lub ukole:

Widzę wkoło piękne cacka
I, jak dziecię, koję bole.
Nie wyrzekam nigdy zbytnie,
Błogo w lubym żyję błędzie;
Wiosna kwitła, więc odkwitnie,
Lecz gdzieindziej kwitnąć będzie.
Czara życia nie wciąż miódna:
Gdy cyknie spełnić trzeba,
Chrześcijańin — spełnią do dna
I — wesoło pojrzę w nieba.
Dach nie zgasię przez skonanie...
A dla ziemi — u mogiły
Kilka piórek pozostanie,
Co ku niebu mnie wznosiły.

D) Rusałki, fantazyja (1828).

(Druk, po raz pierwszy w noworoczniku «Melitele», 1829).

Pierwszą część tego przepięknego poematu fantastycznego, którego bohaterem jest sam poeta, ukryty pod imieniem Cislawa Zorzy, przytoczamy tu w całości.

615)

I. Przesilenie.
(Tamże, tom I, str. 85 — 89).

Święć się, święć się, święcie młody,
«Bój się» — nieraz mi mówiła,
Śnie na kwiatkach, śnie mój złoty,
Idealne wiary, enoty,
I miłości i swobody.

Świat omamień wczesnie ginie!
Już wysmiewam czary, dziwy,
Bo nie jestem prosty, kłiwly,
Bo nie jestem przy Zorynie.

Przy Zorynie inny byłem,
Byłem prosty, byłem tkliwy;
Wszędzie widział czary, dziwy,
Ach! kochałem i wierzyłem!

Bo też czysta czarownica,
Pełne zaklęć miała usta,
Jak Rusałka żywa, pasta,
Jakie oczy! jakie lica!

Jakie oczy! jakie lica!
Oczy jasne, czarne, duże,
To nie lica, ale róże,
Czysta, czysta czarownica.

«Błynie siedem gwiazd na niebie,
W Dnieprze błyszczą trzy miesiące,
Zalśniły gwiazdy spadające,
I co zechcę, zrobię z ciebie».

«Dość niech mrugnę, ręką skinę,
Będziesz ptaszkiem, rybką w rzecze».
Mnie się zdało, że już lecę,
Że już lecę, że już płynę.

I, całując rączki obie,
Zaklinałem: «Bój się Boga!
Daj mi półkoj, moja droga!»
— «Nie, co zechcę, z tobą zrobię».

Uwikłany sam w powaby
Tajemniczych słów dziewczyny,
Długie chwile i godzinny
Przemyslałem płochy, słaby.

Nuż w latawca mię przemiennie? Darmoż nosę na ramaku,
 I jak orzeł, albo sokoł,
 Będę musiał krążyć wokół,
 Po niezmierniej gdzieś przestrzegni? Aż do wietrznych pól Budziaku?

Jeszcze lecieć; lecz gdy zdadnie,
 Albo las na wierzchu góry,
 Albo nisko będą chmury,
 Albo skrzydło mi opadnie?

Lub też kto wie, co wietrznica
 Nie wymyśli: każę może
 Koralowе zwiędzić łożę,
 Srebrny promyk znieść księżycę? —

I zadrżałem ponieważ,
 Lecz jest w życiu ludzkim chwila,
 Kiedy słabość się przesila,
 Za natchnieniem męskiej woli.

Wychowańcaż to pustyni
 Jedno dziewczę upokorzy? —
 Dziej się, woła! zrobię gożę,
 Ni sumienie mię obwini.

Nic, — usłucham serca rady.
 Pójdę z dumką i odwagą.
 Wspowiadam prawdę nagą
 I nie zważam na zawady.

W części II, p. t. «Skarga», Cisarw Zorza idzie w kraj uroczy, nie smutku pełen i udręczeń serca. Przychodzi na niego chwila przesilenia; postanawia wyrwać się z ciarów miłości, uwolnić od Zoryni. Wchodzi więc w tajemniczy parów i w jaskini, zwanej Uchem Żalów, mimo wszelkich przeszkód, jakie miłość stawiała mu na drodze, wypowiada głośno namiętą skarżę na płochą dziewczynę. Niewiele to w murawie zostało namiętą skarżę z grotty, ujrzał Zorynę, bawiącą się na murawie przed siebie. Zaledwo wyszedł z grotty, ujrzał Zorynę, bawiącą się na murawie przed siebie. Choć przed chwilą był «wesoty, żywy i pusty», wnet pierzchnął wszelkie postanowienia, a cała męskość pryska, jak bańka mydlana. Zoryna każe mu usiąść na trawie i zakreśla dookoła niego krąg małą nożką, zakazując mu poruszyć się, aż nie powróci. Część III, p. t. «Przepióreczka», przytaczamy w całości.

616)

III. Przepióreczka³⁾.
(Tamże, tom I, str. 94—99).

I pobiegły płoche, rado, A patrzyłem wciąż za niemi,
 Ja patrzyłem, acz od ziemi, A knowałem wielką źlradę.

¹⁾ Tak się nazywa istotnie (*Przyp. Aut.*).

²⁾ Nazwisko tańca ukraińskiego — wykonywa się w polu najzwyczajnie w sposobie, jaki opisany poniżej (*Przyp. Aut.*).

Coraz prędzej, jak błysk fali,
 Jak obłoczek biały, cienki,
 Wieją jeszcze ich sukienki,
 Jeszcze wieją... zmizły w dali.

A więc milczkiem, w dwoje zgięty,
 Pędem strzały, ptaka lotem,
 Dołem, rowem, popod płotem,
 Trop w trop, śladem za dziecęcęty.

Padłem, wstałem raz i drugi,
 Gdy szły, szedłem, biegł, gdy bie-
 że też cienia nie postrzegł, [gły];
 Choć był czarny, choć był długi.

Jaka była wtedy pora,
 Jaki kwiat gdzie, jakiej woni,
 Widzę wszystko, jak na dłoni,
 Wszystko pomnę, jakby wczora.

Był na przedzie bór ponury,
 Bliżej rzeka: ponad rzeką
 Kwitła łąka wzdłuż, daleko
 W prawo skały, w lewo góry.

Nazad ścieżka między zbożą;
 Widać wioskę małą — wiele;
 I trzy wieże na kościele,
 I trzy krzyże w rozdrożu.

A na niebie żadnej chmurki,
 Słońce sieje blask wspaniale,
 Po dneprowych wód kryształę,
 Między skały i pagórki.

Cień się czerni, wiatr przez błonie,
 Jako fala, się rozlewa;
 Raz utonie, znów wypływa,
 Znowu płynie, znowu tonie.

Był na łące, już na drzewie,
 Po tle wody marszczy kółka;
 Zdmuchnął listki, wyssał ziółka,
 Leci, pędzi, sam gdzie nie wie.

Wrzą dziewczęta się zwróciły,
 A ja w strachu, jak z kopyta,
 Jeszcze prędzej między żyta;
 I przyglętnęł w mogiły.

I pedzałem niwą żytną,
 Rwał, badając różne kwiatki,
 To tymianki, to blawatki,
 I jak wonią i jak kwitną.

Alem nie to miał w pamięci,
 Lisiem uchem, orłiem okiem,
 Wszystkiem słuchał, śledził bokiem,
 Co o chodzi, co się święci.

Jako krązą, brzmiały żórawie,
 Gdy wracają tu na wiosnę,
 Tak wesoło i radosne,
 Brzmiały i krązą po murawie.

I jak rybka tuż za rybka,
 Jak jaskółka za jaskółką,
 Dłonie w dłoniach, razno w kółko,
 W płasach, skokach, krązą szybko.

A Zoryna w środku koła,
 W tę i ową bieżę stronę;
 Wszędy wyjście zagrodzone,
 Wszędy piosnka brzmi wesoła.

«Fit, fit, fit, fit, przepióreczko,
 Przepióreczko piękna, hoża,
 Nie ucieczesz nam do zboża,
 Nie ucieczesz, Kochanceczko!»⁴⁾

I wietrznie krąją, nęcą,
 Taniec, piosnka, jedna, druga,
 Jak leżąca z dźwiękiem struga,
 Nieustannie echa kłóca.

Miałem siedzieć jak na grzędzie?
 Mysł wyborna! napaść na nie!
 Napaść z nagła, niespodzianie!
 Choć wiedziałem, co to będzie;

Jak Zoryna się zachmurzy,
 I jak z góry na mnie padnie:
 «A niegrzecznie, a nieładnie!»
 Lecz nie bałem się tej burzy.

Gdy gotowy w przedsięwzięciu,
 Oglądałem się po niwie...
 Aż wtem widzę: dziw, o dziwie!
 Pięć, sześć, siedem do dziesiąciu.

³⁾ Dosłowne tłumaczenie pieśni gminnej (*Przyp. Aut.*).

Za górami przy zagięciu, Już są, już są za sitowiem,
Skał do rzeki, między lasem, Poza rzekę, poza krzaki,
Czasem pierzchnie, mignie czasem, Coś i skąd? i gdzie? kto taki?
Pięć, sześć, siedem do dalszyciu. Bij i zabij! — nie opowiem.

W części IV, p. t. «Cudowność», Cielaw Zorza przechodzi ponownie wszystkie utrudnienia, wszystkie niepokoje zakochanego, który co chwila obawia się o utracenie miłowanego przedmiotu. A kiedy czar prysł i rajskie widziadła znikły, bohater znova widzi się w objęciach ukochanej Zorzy. W epilogu, luźno z poprzednimi częściami związanym, młodzieńcze przeżycie z sobą łączy i idzie w świat daleki na nowe boje, pomimo smutnych przepowiedni Zorzy, że «czego pragnie, nie pozyska, to utraci, co dziś ścisła». Wkrótce słowa Zorzy okazały się proroczymi: młodzieńcze rozczarował się i pożalował tych rajskich objęć młodoci, które urosły go w świat fantazyj i ideału. Poemat ten, obraz marzeń i rzeź dzieciecych i młodzieńczych, mimo swej niejasności, ceduje urokiem fantastyczności, wernie w duchu ludowym pojętej.

E) Złota Duma (1835).

Jest to jedna z licznych, „a jak wszystkie, niedanych prób Zaleskiego stworzenia wielkiego rapesu dycersko-ukraińskiego. Ualentowny piosenkarz-tryk nie mógł zdobyć się na większy pomysł epiki. Poeta wrzuci kilkakrotnie do pracy nad „Złotą Dumą“, ślad nad tem, że go ukończyć nie może, ale ostatecznie z zamierzonych trzech części została wykonana tylko jedna, składająca się z trzech pieśni. W pierwszej, p. t. «Księżna», poeta opowiada dzieje księżny Hunki Bóżyńskiej, która po śmierci ojca pozostała sierotą i wychowywała się u wujka Szczenowskiego. Wyrasta cudnie, wszystkich zachwycała urodą, wujka traciła zmysły z miłości ku niej, ale w pięknej Hance nie odczuwał się jeszcze serce. Najbliższą sceną tej pieśni jest akt ślubu trzech młodych dżurów Hunki. Na zabawę weselną przybywa młody inżynier miłoty «piewca» ukraiński, Maryan Bukat, ukochany przez wszystkich za swój dar śpiewawczy. Księżna prosi go o piosenkę. Bukat zrazu wymawia się, lecz wreszcie improving się pisać na cześć urodziny dziewczki. Dwa młode serca rozpala ją ku sobie wzajemną miłością.

W pieśni II, p. t. «Książka» — inny obraz. Młody kozak Orlik śpieszy konno do Rzysszcowa. Spotyka go po drodze zuchy książek Jacek Dominikanin, brat hospodara wołoskiego Iwona, wielbiony i niemal za świętego uważany przez lud ukraiński. Ten opowiada Orlikowi, że na dwór Szczenowskiego napadł Tatarszy. Ten opowiada Orlikowi, że na dwór Szczenowskiego napadł Tatarszy, pod wiatr zbuntowanego kozaka Mamajna, i uwięził Szczenowskiego i jego siostrzenicę w jasyr. Jacek sam udaje się na miejsce wypadku, pociesza lud strapiiony i niebezpiecznego Bukata, który wyznaje mu swą miłość do Hunki, obietnicą udania się do Krymu i wykupienia bratńców. Ks. Jacek w samej rzeczy wyjeżdża w podróż, a po drodze wstępuje do klasztoru Trechtywowskiego, gdzie przebywa, jako czerniec, Piotr Komaszewicz Sahajdaczyn, dawny hetman Zaporozki. Przyjęty i ugośczone serdecznie, udaje się wreszcie ks. Jacek w dalszą drogę. Pieśń III «Piewca» maluje nam domowe i rodzinne otoczenie Bukata, pod którego postacią poeta sam siebie wyobraził. Po stracie ukochanej smutny on jest i zrozpaczony; daremnie w księgach i pieśniach szuka ukojenia. Jedyną pociechą dla niego jest otoczenie domowe: siostry, trzy siostrzeniczki i siostrzeniec, żywy, jak iskra, Franek. Całą tę prawie pieśń wypełniają wspomnienia Bukata-Zaleskiego i jego siostra, w których zawierają się szczegóły autobiograficzne. Oto np. urywek charakterystyczny.

617)

(Dzieła pośmiertne, tom I, str. 521—524).

«I wy, siostry! — i ty, bracie!
Wyście matki nie zasnali,
Boście byli bardzo mali!
O! po wielkiej naszej stracie,
Uplynęło wody wiele...»

Jednak zda się, że to wezora,
Jam już panna była spora,
Widzę matkę żywą, w ciele,
Oczy, uśmiech, jak Maryana,
A bez żółci, a kochana.
Jak on, gdy się rozdoobrał!
W domu wieczna zwierzucha,
Pełno dzieci, gwarno, luźno,
Niby wszystkie kąty górą:
Było bowiem nas osmioro,
Choć policzyć się dziś trudno!»

Pomnę, bracie, dzień ów miły,
Dzień Gromniczek Maryi Panny,
Mroźno, wietrzno — śnieg, jak
[szkłanny,

Do ślizgawki i do sanny:
Matka nasza, tracąc siły —
«Przedaj zaprząd konie — woła,
Zawieź dzieci do kościółta,
By się za mnie pomodliły!»
Było to na parę godzin,
Już w boleściach twych porodził».

«Dawno wszystko to minęło;
Tyle w domu zdarzeń potem,
A jak zawsze, śni się o tem:
Niby tu się światłem ścięło —
Jak ów psalterz, pyszne dzieło,
Wypisany cały złotem.»

«Wielka Msza śpiewana — tłumy
Zapelniały już kościółek,
Mnóstwo mnogich przyjaciółek,
Ale przez czas cały sumy
Nie spojrzalam ani razu;
Przy ołtarzu, u obrazu,
Starsza — a więc, jak macierza,
Pędzę młodsze do pacierza!..»

«Po mszy z wiosek grzeczne
Rozebrały nas na samie, [panie
Wiozły śpiesznie ku domowi!».

«W domu goście coraz nowi,
Krewini, słudzy, wciąż zajęci,
Nie wiedziałam, co się święci,
Zabawiałam miłe druchny...
Aż po chwili — gość maluchny,
Ty, mój bracie! w twych pluszku»

[kach
Waisenku. Ludzi było tyle —
Ty sen pierwszy śniłeś miłe,
Jam się skradła na paluszkach,
Całowałam cię cichaczem:
Aż powitał mnie swym płaczem.»

«Goście byli do wieczora,
Dom ucichnął dobrze w nocy;
Matka wciąż obłożnie chora,
Mimo bólów i niemocy,
Skoro wszyscy już posnęli,
Gwałtem kłękła na pościeli,
Mnie kazala nieść do siebie,
Swójce nowo-narodzone
Poleciła Panu w Niebie,
Potem w głos «Pod Twą obronę!»
Odznawiała nad twą głową,
Tą serdeczną, lubą mową,
Co w obłoki prosto bije!
Aż omłada mi na szyć...»

«Słaba była bardzo mama,
Nie wiedziałam biedna sama,
Co powodziła: szczęściem rano,
Bóg dał pomoc niespodzianą.»
Ty i mamka twa koczarka
Śpicie. Mama nieboraczka
Dmuchała lekko mi na świecę;
Co w przymknęte okiennice,
Że w krag ciemność gra, jak w uchu,
Drżąc — mówię pacierz w duchu;
Kiedy szu — szu we drzwi słyszę,
Ktoś stąpieniem wkracza bosem:
I książek Jacek przewal ciszę
Swoim głuchym, rzewnym głosem:

«Pokołj, pokółj poloznicy —
Pokołj pańskiej służebnicy!»
Mama «Amen!» odpowiada,
Aż tu światła zamigocą,

Wehodzi ojciec. Mama rada,
Siadała w łóżku własną mocą
Witać — a po licu bladem

Potoczyły się łzy gładem,
Niewymownej łzy radości:
Że, jak uciął, ból i młodości.

Pieśń ta kończy się tem, że po Bukaczu przyjeżdżają dwaj jego przyjaciele: Orlik (może Seweryn Goszczyński?) i Jan Kreczowiecki (kolega szkolny Bohdana), stają na czele Kozaków i formują wyprawę na Krym dla odbicia braciów.

F) Z pieśni serbskiej (1836).

(Pisma, Lwów 1871, tom III, str. 98—99).

V. Kosowska dziewczyna.

618)

Ranne płaszc, kosowska dziewczyna,
Wstała z jutrznią — po rosie — w niedzielę,
Zanim z nieba przygrzało słoneczko;
Zawinęła bieluchne rękawy,
Zawinęła do łokci bieluchnych;
Na ramionach kołacz w kobiałce, —
W ślicznych rączkach dwa złote pułhary,
W jednym woda świeżutka, zdrojowa,
W drugim wino przejryste, rumiane,
I tak sobie wędruje równiną.

Chodzi — brodzi — wciąż dalej a dalej,
Bojowiskiem, krwią serbską ociekłom,
Bojowiskiem sławnego Lazara;
Gdzie żywego wojaka nadybie,
Zaraz wodą zdrojową umywa,
Usta winem rumianem odwila
I posila kołacza okrómką.

Los przygodny tam zagnał liścioną,
Kędy leżał Orłowicz Pawłuta,
Carski, młody, urodny chorąży,
Żywy jeszcze, lecz ciężko zrabany,
Odsieczony — po łokieć prawica,
Lewa noga po same kolano, —
Sterczą strasznie wśród żebra złamane,
Białe łono pracuje w oddechach.
W lot się zwija przy biednym dziewczyna,
Z krwi odciąga na mięką murawę,
Zaraz wodą umywa zdrojową,
Usta winem rumianem odwila
I posila kołacza okrómką.

Kiedy serce zagrało junackie,
Począł mówić Orłowicz Pawłuta:

«Droga siostrze! kosowska dziewczyno!
Jakaż ciebie zniewala żaloba
Brodzić we krwi tak słabej niewieście?
Kogo szukasz na polu bojowem?
Swego brata — lub swego bratanaka —
Albo ojca, twych latek piastuna?»

Wnet odrzekła kosowska dziewczyna:
«Drogi bracie, wojaku nieznanym!
O! nie szukam z pokrewnych nikogo,
Nie mam brata tu, ani bratanaka,
Ani ojca, mych latek piastuna.
Czy pamiętasz, nieznanym wojaku!
Gdy car wojsko polecił spowiadać
Przez trzy niedzieli trzydziestu duchownym,
W samodreskim wspaniałym kościele?
Całe wojsko przyjęło Chleb Pański:
Trzech wojówdów przyjęli ostatni;
Jeden sławny nasz Miłosz Obylicz,
Drugi sławny nasz Iwo Kosaneczyc,
Trzeci sławny och! Milan Toplica.
Stałam wtedy przed domem we wrotach;
Aż tu idzie nasz Miłosz wojwoda,
Piękny wojak, jak niema na świecie;
Brzęka, szczęką szabelką po bruku,
Kraśny kołpak pierzasty na głowie,
Na ramieniu bogata opończa,
Koło szyi jedwabna przewiązka.

Wtem obejrzał się ku mnie i mruka:
Zrzuca z siebie bogatą opończę,
Zrzuca z siebie i mnie ją podaje:
«Weź tę, dziewczę, bogatą opończę,
Abyś po czem spominać mi miała!
Po opończy o mojem imieniu!
Oto, duszo, pośpieszam za carem
Do tabora — i na śmierć do boju.
Módl się, dziewczę kochane, do Boga,
Abym zdrowo do domu powrócił,
Spotka bowiem niemale cię szczęście!
Pójdiesz za mąż za mego Milana,
Za Milana, po Bogu mi brata,
Z którym wieczne zawarłem braterstwo,
W Imię Boga — a Jana świętego!
Ja wam będę starostą weselnym».

«Idzie za nim zwów Iwo Kosaneczyc,
Piękny wojak, jak niema na świecie!
Brzęka, szczęką szabelką w kamieniu,

Kraśny kółpak pierzasty na głowie,
 Na ramieniu bogata opoiteza,
 Koło szyi jedwabna przewiązka,
 A na palec przedrogi pierścionek;
 I on ku mnie spogląda i mruga;
 Zrzuca z palca przedrogi pierścionek;
 Zrzuca z palca i mnie go podaje:
 «Weź ten, dziewczę, przedrogi pierścionek,
 Abyś po czem wspominać mię miała!
 Po pierścionku o mojem imieniu!
 Oto, duszko, pośpieszam za carem
 Do taboru — i na śmierć do boju!
 Módl się, dziewczę kochane, do Boga,
 Abym zdrowo do domu powrócił,
 Spotka bowiem niemałe cię szczęście!
 Pójdiesz za małż za mego Milana,
 Za Milana, po Bogu mi brata,
 Z którym wieczne zawarłem braterstwo,
 W Imię Boga — a Jana świętego!
 Ja twym będę dziewierzem do ślubu!»
 «Idzie za nim znów Milan Toplica,
 Piękny — młody — jak niema na świecie!
 Brzęka, szczęka szabellką w kamienie,
 Kraśny kółpak pierzasty na głowie,
 Na ramieniu bogata opoiteza,
 Koło szyi jedwabna przewiązka,
 Koło ręki przecudna zapinka.
 I on także spogląda i mruga;
 Zrzuca z ręki przecudną zapinkę,
 Zrzuca z ręki i mnie ją podaje:
 «Weź tę, dziewczę, przecudną zapinkę,
 Abyś po czem wspominać mię miała!
 Po zapince o mojem imieniu!
 Oto, duszko, pośpieszam za carem
 Do taboru — i na śmierć do boju!
 Módl się, dziewczę kochane, do Boga,
 Abym zdrowo do domu powrócił,
 O, będziemy szczęśliwi oboje!
 Pójmę ciebie za wierną małżonkę».
 «I odeszli w ślad jeden za drugim...
 Owoż tych to kochanych wojowódów
 Szukam dzisiaj na polu bojowem!»
 «Aż przemówił Orłowicz Pawluta:
 «Droga siostró, kosowska dziewczyno!
 Widzisz, duszko, na prawo las włóczęj,
 Taki gesty i taki wysoki;

Tam to, tam to krwi było junackiej —
 Koniom naszym po same strzemiona,
 Po strzemiona — i po uździeńce,
 A wojakom aż po pas jedwabny!
 Och, tam także polegli trzej twój!
 Wróć się tedy do domu, dziewczyno!
 Na co krwawie rękawy i poly?»
 Gdy dziewczyna słuchała tej mowy,
 Lży jej biegly na śliczych jagodach;
 Idzie — idzie — żałostna do domu,
 Kuła — grucha — z białego gardziolka:
 «Biaदा — biada! Nic mi się nie wiedzie!
 Niech się dotknę tej sosny zielonej,
 Uschnie pewnie i sosna zielona».

619)

G) U nas inaczej (1838).

(Tamże, tom IV, str. 188—191).

Smutnoż tu — smutno, bracia, za Dunajem,
 I w oczach mokro, bo sercami tajem;
 Ludzie nas nudzą — i świat cały nudzi;
 Cudzo — och, pusto — śród świata i ludzi!
 Niema bo rady dla duszy kozackej,
 U nas inaczej — inaczej — inaczej!

U nas inaczej! Och! Ojczyzna Lasza
 To wszechsłowińska królowa — i nasza!
 Bracia, zginiemy za nią, kiedy skinie,
 Ale śnić będziem o swej Ukrainie:
 Niema bo rady dla duszy kozackej,
 U nas — inaczej — inaczej — inaczej!

U nas inaczej! I bujnie i miło:
 Hej, nie zastępuj na drodze, mogiło!
 Nie ścieł się cieniem! niech skokie oko
 Kąpię w burzanach lubo a szeroko!
 Niema bo rady dla duszy kozackej,
 U nas inaczej — inaczej — inaczej!

U nas inaczej! Ponad Ukraina,
 Wskróś okolicą jarzącą się, siną,
 Boże śpiewaki ciągną w różne strony,
 Aż w uszach klaszcze, taki gwar zmocony:
 Niema bo rady dla duszy kozackej,
 U nas inaczej — inaczej — inaczej!

U nas inaczej. Co zaśpiewam w dumie,
 Co w głowie knowam — brat koń mój rozumie;

Rzy po swojemu: — czy tabun pamięta?
 Och! za wolnością tęskniwy, bliżajęta!
 Niema bo rady dla duszy kozackej,
 U nas inaczej — inaczej — inaczej!

U nas inaczej! Wejż nuta żalowy,
 Bo namogilna, bo pomiędzy groby,
 Ku duchom ojców przygrywa wspaniale
 O ich minionych i bojach i chwale,
 Niema bo rady dla duszy kozackej,
 U nas inaczej — inaczej — inaczej!

U nas inaczej! Dziewczyna już marzy,
 Coś ze swej dumki zwieriedli na twarzy;
 Pusta Rusalka — powiewna postawa,
 Piękna, kochana — a tęskna a łzawa:
 Niema bo rady dla duszy kozackej,
 U nas inaczej — inaczej — inaczej!

U nas inaczej! Nasze krasawice,
 I czarnobrewy, i czarnoksiędnice,
 Jeden całusek miłośny po ruska,
 To, jak wosk w ogniu, choć stopnij *[tak]* w całusku:
 Niema bo rady dla duszy kozackej,
 U nas inaczej — inaczej — inaczej!

U nas inaczej! Jakos łzej, weselej,
 Krew gra burzliwiej; — o! wina mi nie lej!
 Samem powietrzem po pianemu żyję;
 A kiedy hulam — to na łeb, na szyję.
 Niema bo rady dla duszy kozackej,
 U nas inaczej — inaczej — inaczej!

U nas inaczej! Miłość i tęsknota,
 To, jak dwie prądky naszego żywota,
 Boże-ż mój, Boże, łzami modłę Ciebie
 Jak umrę, daj mi Ukrainę — w niebie!
 Niema bo rady dla duszy kozackej,
 U nas inaczej — inaczej — inaczej!

620)

H) Potrzeba Zbaraska (1839).

(Dziela poświęcone, Kraków 1901).

Jedna z najlepszych prób epickich Zaleskiego, osnuta jest «Potrzeba Zbaraska» na przedhistorycznych, legendarnych dziejach Zaporozia. Opowiada tu poeta o ustanowieniu przywilejem Zygmunta I organizacyi Siozy z hetmanem na czele i o urządzeniu Kozactwa rejestrowego przy pierwszym hetmanie kozackim, Ostafim Daszkiewiczu. Zaczyna się poemat od serdecznego przyjęcia, jakiego doznał Daszkiewicz, zwany przez Kozaków

Bieliusińskim, od Zygmunta I, poczem Bieliusiński jawia się wśród Kozaków, przygnębionych ciągłymi napadami Tatarów, i wespół z Przelawem Lanczkronskim, zwanym Lachem Serdecznym i Bohdanem Różyńskim, swanym pieszczotliwie Bohdanem, organizuje wielką wyprawę na Tatarów, pierwszą, jaką Polacy wzięli z Kozakami przedsięwzięli. Następuje pochód przez stepy i bitwa z Tatarami pod Zbarazem, uwieczniona zwycięstwem.

(Tom II, str. 39—42).

Jasny dzień — a parno — duszno na burzę. O! burza
 Gdzieś daleko po niebiesiach kończyły zachmura;
 Jedna, druga, trzecia, czwarta, z chmur chmura wystaje:
 Chmury Turków i ordyńców, Budziactwo, Nohaje,
 Różnych mian — a a bisurmadcy po ojca swym bisie:
 Syny w oje! ślepe kryty! beznosi, jak brysie.

Tu i owdzie wicher polem już wierci i śwista;
 Chmura mknie powoli — z gradem, o ciężka, ziarnista;
 Powstrzymuje się — pogrzeńwiewa stronami pomału,
 Stąd to zowąd — mragnie drobne oczko samopału;
 Cześciej mruga, jaśnieją łyps, wciąż luna po łunie:
 Powstrzymuje się znów chmura i chyżej wnet sunie.

Pędził chmura czterma wiatry, ej! końcem się sparla,
 Jak się owzie stąd harmata z miedzianego gardla!
 Owoż huk! muzyka huczna, na taniec zbaraski!
 Jak to razem tysiąc rusznice posypie oklaski.
 Zakreśliły się precz kółka i z bliżka i w dali,
 To już hasać musi człowiek — aż z nóg się powali.

Chmura prosto w Lachów mierzy, oj! na wiatr pochwyci.
 Całym pędem w nich runęła — i stoją, jak wryci.
 Twardzie pierś Lachów! chmura, hej nazad się czerni:
 A na chmurze świecą w tęczy husarze pancerni;
 Ustawiczna łyskawica — o! szami ulewa;
 Gorącemi kropelkami aż tutaj zawiewa.

Insa-ż chmura — rwie się ku nam. Hej, bracia Kozaki!
 Czarta różnie bo malują — nie taki? czy taki?
 Obaczmy oko w oko! Trzodami snąć wałą,
 Ślepe bisy — to poświęcim do białków im stałą.
 Pędzi chmura — i wichruje po przedzie Chan basza;
 A!a! Balla! paszczę dużą — wokół rozgłasza.

A!a, ba!a, tuż, tuż wyją — klaskają w kły, z bliżka,
 Zjedzą, polną żywych z koźmi, bo na szczu wilczyjska;
 Patrzmy w Lacha atamana, za Lachem szu-szu-szu,
 Po kozacku grzmotem hura! jak szepnem do uszu;
 Jak się złożym, jak przemy rogami w rozpedzie;
 Snopy-ż w kopy! i kopami. Stogami wnet wszędzie.

Wielka ćma! aż strach — i ciemno, jak bielmo na oku;
 Alła, balla — opadają i z przodu i z boku.
 Padać gęsto bracia z koni — a krocie ich, krocie!
 To z pod serca sił dostawaj, bo szyja w robocie!
 Złotobrody Lach zamiata, sam wazy za setnie,
 Lecząć główki, jak maskówki, gdzie machnie, to zetnie.

W krwawym pocie pracujemy — i sami, o! sami.
 Hura, skądś! Hej, Bohdanko! Mcojcie tu z nami!
 Jakby my się urodzili tu na świat na nowo.
 Hura, hura! w żar zagrało po żyłach nam słowo:
 Jak powalim się ze złością i rykiem niedźwiedzia;
 To usiedliśmy na kartki pohnaćcom — i siedzim.

Słońce w oczy; przewracamy swą ścianę na stronę;
 Słońce bisom nie zawadz, bo ślepią spluszczone.
 Hura, hura! ku molojcom podajem w podzięce;
 Hura, hura! rażno kosim od siebie w dwie ręce;
 Walim w puch, o! w puch, aż kości w sutawach się męczą;
 I po lacku na swaj chmurze świecimy już tęczą.

Powróciliśmy z pogoni na miejska nieryehlo,
 I na polu, jak szerokie i długie, ucihło.
 Toż się liże bisurmanin po świeżym harapie!
 To i Kozak nieco wytchnie i koni się wysapie,
 Gdzie tam wytchnąć dadzą bisy nam, braci kozaczey?
 Nowy taniec znów zawodzą — to skakaj inaczej.

Po zwycięstwie szyki dzieła się na trzy oddziały, pod wodzą trzech
 wojaków, i puszczają się w pogon za niewiernymi. Bohdanko dołącza do
 miasta Bender i zdobywa je. Lach Serdeczny bije Tatarów nad Dniestrem,
 wrzecie wojska polsko-kozackie docierają do Danaju i pola wnrneńskiego,
 co budzi w nich wspomnienie Władysława Jagiełły i jego bohaterską
 śmierć. Powrót na czajkach kończy śmiały wyprawę. Ostatnia scena przed-
 stawia ustanowienie Kozaczyzny. Po dziękczynnym nabożeństwie za świetne
 zwycięstwo następuje uczta wesela, na której Daszkiewicz proponuje Ko-
 zakom ustanowienie ładu i porządku i wpisanie się w registr, co oni chętnie
 spełniają, przysięgając na wierność Rzplitej. Cały ten poemat włożony jest
 w usta znanego już nam Bukata.

621)

1) Nuże (1840).

(Pisma, 1877, tom II, str. 166—168).

Do lotu ku wiosnie	Och! dusza bogata,
Unosi się łono,	Bo tęcza motyli.
I w sercu radośnie,	Nie traćcież i chwilki,
I w duszy zielono,	Hej piosnko, na pole!
Och! serce podłata,	Hej myśli — motylki,
Bo piosnka tam kwili;	Pocznijcie swawole!

Od łączki, do łączki,
 Powieście na fale;
 Od pączków na pączki,
 I dalej — a dalej!
 O! dalej — leciuchnie
 Powieście po świecie;
 Aż miłsza, wó! bachnie,
 Wy wiecie skąd — wiecie
 Cyt — cyt — pocichatku...
 Pstotnica stepowa,
 Stania się w ogródku.
 Och! — nasza królowa.
 Nie traćcież i chwilki:
 Hej piosnko, na pole!
 Hej myśli — motylki,
 Pocznijcie swawole.
 Niech nuta zabrzęczy,
 Poskocznie, wesole;
 Motylki niech w tęczy,
 Zaiskrzą wokolo!

O piosnko, dzwoń w uszko
 Pieściwie po nucie!
 Rozruchaj serduszko,
 Aż rozbrzmi współczucie;
 Aż głosik miłutki
 Nastroi uprzejmie
 I moje tu smutki
 Czarami odejmie!
 Nie traćcież i chwilki:
 Hej piosnko, na pole!
 Hej myśli — motylki,
 Pocznijcie swawole!
 Motylki nuż do niej!
 Do oczu! do brewek!
 Aż usta uroni
 Pałący powiewek.
 Ostrożnie od ciała,
 Ostrożnie — z daleka:
 Bo — bo — bo rusalka,
 I bieda nas czeka!

LXXX.

KRASIŃSKI ZYGMUNT.

(1812 — 1859).

Ostatni, najmłodszy z trzech wielkich wieszczów, przedstawicieli i kierowników odrodzenia się narodu polskiego, poeta-myśliciel, piewca idei, urodził się w Paryżu 19 lutego 1812 r. Ojciec jego Wincenty, syn Jana, starosta opinogórskiego, żonatego z siostrą Tadeusza Czackiego, posła na sejm czteroletni, zaślubił (1808) w młodym wieku Maryę, córkę ks. Dominika Radziwiła. W trzy lata potem wszedł w stopniu pułkownika do legionów, organizowanych w końcu r. 1806 przez Dąbrowskiego. Pułk jego, wcielony przez Napoleona do wojska francuskiego pod nazwą «chevaux-legers» (lekkokonna), wstąpił się wkrótce (10 listopada 1808) heroicznym atakiem wąwozów Somosierra w Hiszpanii. Krasinśki, choć nieobecny w tej walce, odznaczył się męstwem w innych bitwach. Wyróżniany i opsywany nagrodami przez Napoleona, został komendantem legii honorowej, generałem brygady, hrabią państwa francuskiego i otrzymał starostwo opinogórskie. Wkrótce po przyjeździe na świat syna, z wiosną r. 1812 wyruszył wraz z armią Napoleona ku granicom Rosji, zostawiając we Francji żonę z maleńkim dzieckiem intenia i spadających na ojca zaszczytów. W r. 1814 mianowany przez Napoleona, po zgonie ks. Józefa Poniatowskiego, naczelnym wodzem (General en chef) oddziałów polskich, służących w wojsku francuskim, przyprował ich do Warszawy (wrzesień 1814). Pozyskawszy sobie zaufanie i żyyczliwość zarówno cesarza Aleksandra I-go, jak i W. ks. Konstantego, wszedł do służby w wojsku utworzonego wtedy Królestwa Polskiego, jako generał, dowódca dywizji gwardyi, a w r. 1819 otrzymał godność senatora-wojewody. W sejmie r. 1818 był obrany marszałkiem Izby poselskiej. Zostawszy członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk (od r. 1820), żywo interesował się życiem umysłowym i literaturą i gromadził na czwartkowych obiadach cały

świat naukowy i literacki Warszawy ówczesnej. Przy tylu rozlicznych obowiązkach sam zajmował się bardzo troskliwie wychowaniem syna jedynaka, który, przebywając w dzieciństwie ciągle w otoczeniu dorosłych, w ruchliwym życiu, przy częstej zmianie miejsc pobytu, mnóstwie różnorodnych wrażeń, kształcony przez starannie doboranych nauczycieli (od 8-go roku życia Korzeniowski Józef), rozwijał się z nadmierną szybkością. Władając od dzieciństwa językiem francuskim, pochłaniał bogate zasoby dobrego dla niego przez ojca księgozbioru, złożonego z dzieł w języku francuskim, i polskim (r. 1820 było tu 39 książek polskich i 133 francuskich), a jednocześnie zapoznawał się z nowościami w zakresie beletrystyki polskiej (poezye i powieści). Zamilowanie do lektury odziedziczył w spadku po rodzicach. Ojciec wolne chwile od służby wojskowej w Paryżu, Madrycie, a nawet Smoleńsku spędzał na rozszytywaniu się w dawnych autorach, rozpatrywaniu rzadkich ksiąg i rękopisów, które skupuje i gromadzi następnie w odziedziczonym po Opaskich pałacu warszawskim. O bogatej lekturze matki świadczą pozostawione przez nią albumy z wypisami z dzieł polskich, francuskich, angielskich. Odumarlasyż syna w 10-ym roku życia (12 kwietnia 1822), nie mogła wpływać na jego dalsze wychowanie. Powierzywszy wykształcenie umysłu nauczycielom (po Korzeniowskim od r. 1820 Piotr Chlebowski), ojciec starał się oddziaływać na uczucia i charakter jedynaka, rozbudzając w nim miłość ojczyzny, ambicję i poczucie solidarności rodowej. Godziny całe spędzał z synem na rozmowach, mających umacniać w jego duszy te uczucia. Swoim zapalem, swą rycerską przeszłością, zdobytą w bojach sławą, budził podziw i uwielbienie w duszy wrażliwego jedynaka, który wcześniej zaczęteroid o podobnej przyszłości dła siebie i pozostanie wierny ojcu, niezachwiany w miłości i uległości dła niego, nawet i wtedy, kiedy dalsze koleje życia wytworzą kolizye i kontrasty między pojęciami i dążeniami, drogami życia ojca i syna. Letnie miesiące spędza młodzieniec, pod opieką nauczyciela, najjeźdźcy w Opinogórze, której stary dwór z wielką salą zdobyły wizerunki królów i portrety członków rodziny z wieków dawniejszych. Sąsiednie kościoły w Krasnem i Ciecchanowie, odbudowane kosztem generała, zawierały (pierwszy mianowicie) długi poczet nagrobków członków rodu Krasinśkich, piastujących od wieku XVI go różne dostojenstwa duchowne i świeckie, występujących w dziejach politycznych, historyi Kościoła i piśmiennictwie. Młody chłopiec odczytywał ciekawie te nagrobki i słuchał opowiadań ojca, troszczącego się o przechowanie tradycyi rodowych i pomnożenie znaczenia rodu, do którego dziejów sam dołożył nową kartę swymi czynami wojennymi. Osobny salon dworu opinogórskiego, zwany «napoleońskim», siedzielił pamiątki i obrazy z tej epoki. W domu babki znowu, w Duszejowcach na Podolu, utrwalał w swej duszy młody chłopiec czesć dła przeszłości, której przedstawicielką była pani starościana, dumna, rozsłana arystokratka, przywiązana do staropolskich pojęć, wroga dła Napoleona i Francyi rewolucyjnej. Tam poznaje поблиkie «Okopy

św. Trójcy», pochodzące z w. XVII-go, a rozczytując się jednocześnie w zachwycającej go liadzie (w oryginalu), cieszy się z powodzeń Greków, zrzucających wtedy z siebie jarzmo tureckie. List do ojca, pisany 26-go września 1825, przez trzynastoletniego chłopca, zdumiewa artystycznym opisem «Okopów», wynurzających się z porannej mgły jesiennej. Opis ten to nie kopia, nie echo tylko spotykanych po ksiądkach obrazów przyrody, ale wyraz odczucia krajozraucy, odbicia się jego piękna w duszy dziecięcej jeszcze, a już tak wrażliwej, umiejającej patrzeć i zdolnej odtwarzać swe widzenia. W rok później, we wrześniu r. 1826, po złożeniu egzaminów, zaczął uczęszczać, jako uczeń klasy VI-cj, do liceum warszawskiego (począł kierunkiem Lindęgo), a w lipcu następnego roku ukoczył ten zakład i wstąpił do uniwersytetu warszawskiego na wydział prawny.

Poczucie wyższości w stosunku do kolegów ze strony młodszego wiekiem, ale górującego rozwinięciem umysłowym, polemtem marzeń ambitnych, poczuciem budzących się ułobnień poetyckich odbiło się w burzliwym dość zachowywaniu się poniacza-studenta, co spowodowało na niego pewnego razu areszt 24-godzinny. Jednocześnie ojciec ściągnął na siebie oburzenie opinii publicznej przez postępek swój w sądzie sejmowym, wyznaczonym dla wyrokowania w sprawie oskarżonych o udział w związku patriotycznym. Rozpatrując czyn generała, który, wbrew zdaniu kolegów, oświadczył się za uczaniem winy i ukaraniem członków związku, można domyślać się, w zestawieniu z całym jego poprzednim życiem, iż pobudką główną była ambicja, ukazująca mu w perspektywie zależnie od względów monarchy wyższe godności publiczne, a przytem rozwinięte w służbie pod Napoleonem wysokie poczucie honoru wojskowego, nakazujące zachować wierność, przysiężoną monarche-wodzowi. Spotykamy się z podobnym pojmowaniem obowiązków względem wodza najwyższego i u Chłopińskiego w r. 1831. Prawdopodobnie w przekonaniu własnym Krasieński tak pojmował swój obowiązek — Polaka i żołnierza zarazem. Zarówno poprzednia służba wojskowa, jak gorliwe, egzaltowane nawet rozbuźdanie i podniecanie uczuć narodowych w duszy syna, niedawne zajęcie z Lindem stwierdzają żywość i szczerotę uczuć narodowych u generała.

Postąpienie w sądzie sejmowym (w końcu maja r. 1828) pociągnęło za sobą cały szereg następstw, które pogłębiły rozdział między popularnym tak niedawno w Warszawie i kraju człowiekiem a społeczeństwem i sprowadziły dla syna ciężkie położenie przez wytworzenie trudnych do pogodzenia sprzeczności, wywołujące kolizyj jego uczuć synowskich i narodowych, jego obowiązków i pragnień. Jeszcze w kwietniu r. 1828, a więc na kilka tygodni przed zapadnięciem wyroku sądu sejmowego — syn, składając ojcu, w dniu imienia, pierwszy swój utwór («Pan trzech pagórków»), dołożył wierszowane powinowanie, utrzymane w formie i stylu ówczesnej poezji, lecz tchnące w niektórych zwrotkach siłą i świeżości uczucia. Obok wymownego scharakteryzowania tkwiącego już w duszy młodzieńca pragnienia sławy («Oż

bowiem czyni pierś niezłomną? Co sprawia, że serce świętazym ogniem plonie? Ah, ta myśl tylko, że nas nie zapomną, że w sercach ziomek odłżyjem po zgonie!) z całą siłą uczucia składa w pięknym obrazie hold rycerskim czynom ojca:

«Oparty mieczem na grobie ojezyny,
Całum jej w sztandar zmieniles zwycięski».

Jeżeli nie tylko po sądzie sejmowym, ale po trudnym do usprawiedliwienia postąpieniu generała w r. 1830, syn zachowuje dla ojca miłość i ufność, zwierza się ze swymi planami i myślami, poddaje jego ocenie pomysły «Irydyona», świadczy to, że miał widać słuszne, nieznanne ogłowi powody, ufał i wierzył w jego uczucia patriotyczne. Choć w roku 1831 przepadł na wypadki z imiego, niż ojciec stanowiska i cierpiął z powodu sprzeczności pojęć, zachowania się generała i potępiających go sądów ówczesnej opinii, to po roku 1831 stopniowo przyznawał słuszność jego przewidywaniom i przekonaniom. Obok przywiązania syna, jednaka, do ojca tak czulego, tak troszczącego się o rozwój ducha, o wychowanie i świętną jego przyszłość, odgrywa tu rolę znaczną poczucie solidarności rodowej, świadomość, że jest on powołany do reprezentowania, na kartach dziejów narodowych, rodziny która w każdym pokoleniu wydawała męgów wybitnych i zasłużonych, ostających w podtrymujących sztandar narodowy. Stąd ta cześć dla rycerskich postaci i czynów, ten zapal, z jakim odczytuje a następnie naśladowuje utwory Waltera Scotta. Jednocześnie zaś w tej młodzieńczej duszy, przedwcześnie rozwiniętej, podniecanej przez różnorodną lekturę, opartą głównie na młodzieńczych utworach współczesnych poetów polskich, Mickiewicza zwłaszcza (1828 r. zna już Ballady, Dziady, Grażynę, Wallenrodę) a z obcych: Kornela (Cyd), Lamartine'a, Byrona, budzi się burzliwy indywidualizm, rwący się do urzeczywistnienia rojeń podnieconej wyobraźni, popędów organizmu nerwowego, pobudzanego przez zbytkowną kuchnię, kawę, tytoń. Wcześniej już bardzo zaczęła zarysowywać się w życiu młodzieńca te kolizyje sprzecznych popędów, dążeń, pragnień, pojęć, których oddziaływanie zakłóciło zarówno równowagę fizyczną, (proces przemiany materji, mówiące językiem dzisiejszym) i wywołało ten ciąg nieustający różnorodnych cierpień cielesnych, — z których najdokuczliwszem jest ciągle ponawiające się cierpienie osm, uderzenia krwi do głowy, — jak i sprowadzi cały szereg potężnych wstrząśnień, walk i wyzwoleń duchowych, — które znalazły swe nieśmiertelne odbicie w utworach poety.

Już w liście francuskim do pani Żalskiej, z grudnia 1828, pisze 16-letni, starający się zapewne zaimponować nieco nieobojętnej sereu jego, starszej nieco wiekiem cioci: «Nauczylem się hamować śmiech, gdy jest mowa o świętych, nie spluwać, gdy rozprawiam o legitymizmie, nie wybułcać gniewem, gdy wygadują na Bryona, milczeć, gdy chwałę nadzująci księży i nie odpowiadać na niedorzeczności jak tylko ukrytą wzgardą, z trudnymi do przeniknięcia pozorami przyzw-

lenia — oto mój postęp. Czy z moją korzyścią — proszę osądzić! Prawdopodobnie odnosi się to do sprzecznosci z opiniami znanej z surowości charakteru i stanowczosci przekonania babki, wobec której wnuk czuł się podnieconym i skłonym do przekroczenia solidaryzowania się z potępieniem pojęciami, jednakże jest tu niewątpliwie wyznaczenie własnych, młodzieńczych, wolnomyślnych pojęć i poglądów, entuzjazmu dla Byrona i niechęci dla księży, wywołanej, jak to się ciągle dotąd powtarza, przez nieaktowne postępowanie prefektów, którzy częściej daleko tłumia i gaszą w młodych duszach uczucia religijne, niż rozwijają. Obok poży byronińskiej, właściwej ówczesnej młodzieży, jest w tych wyznaniach pewna część szczerości, odbicie naturalnych barzd, w tak silnie podniecanej duszy, popępow emancyipacyjnych, nieokreślonych, nieumotywowanych, wynikających przeważnie z podnieć temperamentu i wyobraźni. Jedyną przeciwwagą jest, u burzliwego młodzieńca, cześć i miłość dla ojca i wesołe zaszczeplone w duszy poczucie solidarności rodowej, obowiązków, wkładanych przez ciężące na nim dziedzictwo imienia i tradycyi Krasidskich. Temperament i wyobraźnia będą pobudzać do romantycznych wybujałości, do wyzwolenia się w czynach i utworach z ustalonych, tradycyjnych norm, ale wesołiej rozwijająca się refleksja, wpływ czujnego ojca i tradycyi rodowej będą hamować, paraliżować te porwy, znajdujące ujście jedynie w młodzieńczych utworach, w takich postaciach jak Agaj-Han, Adam-Szalencie (utwór niedokończony i zatracony). Myśl i uczucie jego zwracają się ciągle do szeregu przodków w hełmach i pancerzach, śpiących w trumnach, do czynów i zasług ojca, którego bliżny (23 ran) i czynny rycerski rozpamiętywa z dumą. Jeżeli wbrew postanowieniu młodzieży uniwersyteckiej, co do uczestnictwa w pogrzebie Bielińskiego przesa sądu sejmowego (13 marca 1829), idzie on, na życzenie ojca, by, jako jedyny słuchacz, zasięgać w auli uniwersyteckiej na lekcyi Bandkiego, czyni to, niewątpliwie z pewną dumą i przeświadczeniem, że spełnia czyn heroiczny, stwierdzający zarówno solidarność rodową, jak i wyższość społeczną w stosunku do ogółu nieskrępowanych takimi, względami kolegow. Opowiadając w 10 lat potem, w «Niedokończonym poemacie», o doznanej od kolegow w dniu następnym pbełdze, otwiera poeta wnieś swoie ówczesne uczucia: «Przechodziłem śród nich wszystkich z dumą na czołe, świadom, że mnie nienawidzą — lecz czemu, nieświadom. Ścisnęli się kołem... krzyczą: panicz, panicz! jakby hańbą było miało, że wskazać mogę gdzie za ojczyznę gardło dał niejeden z przodków moich i w jakim leży pochowany kościele». Obelga wyrządzona ambitnemu młodzieńcowi tem więcej go zespoliła i solidaryzowała z ojcem a odsunęła od pojęć i dążeń ówczesnej młodzieży w zakresie społeczno-politycznym. Ze uczucia te wnieś tu zostały odtworzone, stwierdza wczesniejszy znacznie ustęp francuskiego utworu z r. 1830 «Le Journal d'un mourant», w którym odmalował swą nienawiść dla Lubińskiego (przywódcy manifestacyi kolegow uniwersyteckich), pragnienie zemsty i marzenia o sposobie

jej wykonania. «Nienawidziłem człowieka, który nastawał na mój honor z taką siłą, z jaką równać się tylko mogła moja miłość dla mej kochanki (Henryki Willan). Donosząc Gaszyńskiemu w r. 1830 o ukończeniu dramatu p. t. «Mają» (Nieboska), dodaje: «Jest to obrona tego, na co się targa wielu hołotyzów: religii i chwały przeszłości». Nie spotykamy nigdzie za to zmianki, świadczącej, iż spełnienie życzenia ojca, co do wstrzymania się od udziału w pogrzebie Bielińskiego i wyłamania się z solidarności koleżeńskiej, przez obecność na wykładach, spowodowało cierpienia moralne w duszy młodzieńca.

Następstwa tego zajęcia nadadzą nowy kierunek życiu duchowemu Krasidskiego. Dotąd on swe rycersko-romantyczne rojenia, swe marzenia o przyszłej działalności i zdobytej przez nią sławie, podsycał przez lekturę upodobania do gwałtownych wybuchów nieokreślonej namiętności, — stał ulubiony motyw «zemsty», do demonizacji i czynów okrutnych, wcielił w swe próby młodzieńcze w postaci i sytuacje takich utworów jak: «Pan trzech pagórków», «Grób rodziny Reichstalów», «Władysław Herman i dwór jego». Czuł było w tem jednak sztuczność, naśladownictwo, podniecenie młodej wyobraźni, przez postaci i sytuacje czytanych utworów. Teraz znacznie sam czuć, kochać i nienawidzić. Wyłączony ze społeczeństwa przez moralną banieję wyroku koleżeńskiego i relegację urzędową władzy uniwersyteckiej za wyzwanie na pojedynkę Leona Lubińskiego, który go znieważył, widział przed sobą zamknięte pole działalności społecznej, służby publicznej. Jedyną areną, na której mógł walczyć z przeciwnikami, uwydatnić całe bogactwo zasobów duchowych i całą potęgę swego ducha, pozyskać sławę i służyć ojczyźnie, była literatura, twórczość artystyczna. W ostatnich rozdziałach «Władysława Hermana», pisanych już po katastrofie uniwersyteckiej, wkłada on w usta Zbigniewa takie wyznanie własnego serca: «Ja płacę za sławą... Mnie odbiegły złudzenia i pocięchy. Nadzieja dawniej wzywająca na górne sławy skłепienia, błyszcząca dawniej dla mnie, jak słońce na czystym niebie, nagle zniknęła, wszystko odpadło, radość pożegnała się z rozdatem sercem. Każdzy wzrok mnie ściga grozą, każde usta przekleśtawiami... Dla mnie świat zniknął... jedna została się zemsta... Wszystkie marzenia wielkości, któremi karmiło się serce w tęsknotach, upadły... i musi żyć i musi żadnego celu w życiu nie upatrywać, bo sam własną winą najzłaczetniejsze, najpiękniejsze dwa cele: chwałę i miłość, na wieki utracił». Nad ostatnim rozdziałem powieści spotykamy dewizę: «Umiera. Lecz nikt dla niego nie czuje litości — Świat szeroki, a żadne w nim serce dla niego nie bije». Świat ziemski, arena działania na ziemi ojczystej, zostały przed ambitnym, marzącym o sławie i wielkości młodzieńcem zamknięte, zwrócił więc całą energię marzącą o czynach wyobraźni do stworzenia sobie nowego świata, nowego pola działania, na którym mógł stwierdzić swą wyższość nad tymi co go zeldyli i potępił, co mu zamknęli drogę do ziszczenia rzeji młodzieńczych. Napisany wkrótce po tej katastrofie i ogłoszony

w «Rozmaitościach warszawskich» z 18 maja 1829 r. «Sen Elżbiety Piłkiewicz» świadczy, iż młody poeta choć odczuł na razie przebyte wstrząśnienia, które pogłębiło jego duszę, to jednakże prędko pogodził się z nowym położeniem i w twórczości artystycznej szukał pociechy i zapomnienia.

Treść utworu, zawarte w nim obrazy i postaci, nie mają związku ze świeżo doznaniem wrażeń. Myśl i wyobraźnia zwracają się, jak dawniej, ku przeszłości, by snuć na jej tle własne, młodzieńcze marzenia rycersko-romantyczne. Tylko w odtworzeniu tych obrazów znać wpływ lepiej rozumianych i odczuwanych teraz utworów Mickiewicza i Byrona. «Sen Piłkiewicz» jest w porządku i układzie naśladownictwem «Snu» Byrona, przełożonego przez Mickiewicza, lecz znanego Krasickiemu też w oryginale, jak o tem świadczy wzięty za dawisz czterowiersz początkowy. Powtórne obrobienie tegoż pomysłu spotykamy w pochodzącym z czasu pobytu w Genewie, utworze: «On, Ułamek z pamiętników życia młodzieńca». Stopniowo wpływ Byrona owdładnie coraz silniej duszę Krasickiego. Podobnie jak starszy od niego, nieznamy mu wtedy Słowacki, przejdzie on fazę poży byrońskiej, która zostawi liczne ślady w jego twórczości. Po wakacjach r. 1829, spędzonych w Opinogórze, młodzian wedle obmyślanego przez ojca planu dalszej edukacji, opuszcza w październiku Warszawę, by pod opieką przydanego mu wychowawcy (Jakubowskiego) wyruszyć w połowie października do Genewy. Po trzydniowym wypoczynku w Pradze czeskiej, stanęła u celu podróży 5-go listopada. Zamieszkałszy w pensjonacie, który dla sposobności nawiazania znajomości z bawiącymi tu cudzoziemcami — Anglikami zwłaszcza — poczynił Zygraunt wkrótce liczne znajomości w wyższych kołach towarzysztwa genewskiego. Nie przeciągając się wykładami uniwersyteckimi, na które uczęszcza jako wolny słuchacz (filozofia, ekonomia polityczna, historia rzymska, prawo), pobiera lekkie prywatne języka angielskiego, francuskiego i muzyki. Dużo czyta, pisuje mnóstwo listów do rodziny i kolegów w kraju (80 listów przez 7 tygodni), tworzy od czasu do czasu drobne powieści i obrazki, przepielając te zajęcia wycieczkami w góry i częstymi wizytami. Jednocześnie nawijając liczne stosunki towarzyskie, zarówno w kołach bawiących tu dla studyów cz. przyjemności cudzoziemców (Anglików zwłaszcza) jak i wśród inteligencji genewskiej. Obok zalet osobistych, bogatych zasobów umysłowych, tytuł hrabiowski toruje drogę młodzieńcowi, zapraszającemu skwapliwie na różne zebrańia i zabawy. «Zaprosiny na wieczory — donosi w liście do ojca — nieskończonem snują się pasmem i zewsząd odbieram bileciki ręką dam pisane... prowadzą salonową konwersację, trzymam kapelus w rękę, trę rękawiczki w drugiej i gadam o zimie i śniegu, o memoirach Boarienna i romansach Walter-Scotta, o Wilhelmie Tellu i o lososjach Lemanu». Mimo lekceważącego tonu tej relacji, życie towarzyskie genewskie wywierało na młodzieńca większy znaczenie wpływ, niż studia uniwersyteckie. Stosunki z młodymi Anglikami nie tylko zaznajamiają go z je-

zykiem i kulturą umysłową tego wielkiego narodu, ale pobudzają do studyowania pisarzy (Szekspir, Moore, Shelley, Listy Juniusa) i podają pod wpływ dusz angielskich w osobach młodej, uczciwej, marycielsko nastrojonej Henryki Willan i poważnego, dojrzalszego umysłu i charakterem, bawiącego na studyach Henryka Reeve'a z którym zetknął się w listopadzie 1829, a od lutego r. 1830 zostaje na stopie przyjaźnielskiej. Bywa przytem na zebraniach u głośniego wtedy w Genewie prof. Bonstetena, a od prof. Rogeta pobiera, na życzenie ojca, lekkie styła dyplomatycznego. W liście do ojca (z 2-go lutego 1830 r.) donosi: «Teraz właśnie siedzę przy dogorywającym ognisku, z dwoma świecami na stole, z Moorem i Byronem z jednej strony, kursem dyplomacyi z drugiej, «Zawisza» (utwór zatracony) z trzeciej». Ogłoszony w genewskiej «Bibliothèque universelle» list o literaturze rosyjskiej, napisany przez dobrą znajomą Mickiewicza, pannę Anastazję Chlustin, pobudził Krasickiego do skreślenia, w formie listu do Bonstetena, zarysu stanu współczesnej literatury polskiej, zamieszczonego bezimiennie w temże czasopiśmie. W tym udatnym i roważnym, jak na 18-letniego krytyka, zarysie, najciekawszym jest sąd o Mickiewiczu, którego porównywa do Ikara wznoszącego się ku słońcu, lecz nie tracącego skrzydeł pod jego promieniami a przeciwnie wznagającego się i rozmaeh swego lotu. Zdobyte tym listem (lutu r. 1830) w kołach genewskich stanowisko przedstawiciela życia duchowego Polski, podniecało ambicję patryotyczną młodzieńca, poczuwającego się do obowiązku podtrzymania własnymi tworem poehlebnej opinii o artyzmie i umysłowości ojczystej. Zarówno rozwijająca się w duszy młodzieńca miłość dla Henryki Willan jak i umysłowa rywalizacja z Henrykiem Reeve'm, którego wyższość odczuwał i opinię wielce cenił, stają się bodźcami, wywołującymi rosnącą gorącą twórczą. Przez cały rok 1830 młodzian zaspjuje jednocześnie Warszawę polskimi a Genewę francuskimi utworami. Przechowało się w autografach z r. 1830-go drobnych, kilkukartkowych przeważnie, utworów francuskich 33, podczas gdy z lat następnych (1831—32) tylko 10. Polskich było mniej co do liczby, lecz między nimi większe rozmiarami, w części zaginione (Zawisza, Adam Szaleniec) i drobniejsze, ogłaszane przeważnie w warszawskim «Pamiętniku dla pici piąknej» (1830), redagowanym przez kolegę i przyjaciela poety, Konstantego Gaszyńskiego. Jeżeli do tego dodamy nieprzeliczoną mnogość listów — w małej części tylko znanych — rozliczne studia naukowe i lekturę poetów polskich i obcych, wreszcie rozmyślenia i marzenia, wypełniające wolne chwile — życie duchowe młodzieńca przedstawia się nam jako gorączkowe, ciągle zmieniająca swój przedmiot działalność wszystkich włók duszy, utrzymaną, zakłócającego bieg funkcji fizycznych i prowadzącą — przy odziedziczonych po matce skłonnościach — do tego chronicznego niedomagania, które rodzicznymi objawami dręczyć będzie przez całe życie, w ciągłej kuracyi i opiece lekarskiej zostającego poetę. Przed-

wczesność i nadmierną szybkość rozwoju ducha okupować będzie ciężkimi cierpieniami.

Różnorodność idei i uczuć, opanowujących na przemiany młodą, wrażliwą, gonącą za nowem duszę, sprawi, iż żadne z nich nie zawiadnie całą istotą na dłuższą, że zmienność ta pozwoli rosnącej w siłę samowiedzy, myśli sądzącej, wyzwalać się coraz częściej z pod władzy porwających ją uczuć, wrażeń, i dostrzeżać tę grę zmieniających się stanów duchowych, fal miotających i porwających za sobą poddającego się im młodzieńca. Stąd to wczesne tak rozdwójenie duchowe, ta zdolność obserwowania i krytykowania samego siebie, świadomości zmienności i słabości własnych porwów uczuciowych, bohaterkich, miłosnych, ideałowych. W tem źródło niedoskonałości artystycznej jego utworów, przewagi idei, myśli filozoficznej, krytycznej, wprowadzającej nauczanie, ocenę, polemikę, do obrazów odtwarzających niezwykle chwile życia zbiorowego i lirycznych odtworzeń pragnień i marzeń indywidualnych. Artysta staje się często historyzofem, moralistą, polemistą, poświęcającym piękno i związane z niem wymagania formalne dla wypowiedzenia całego zasobu swoich argumentów na poparcie pewnej tezy. Jako człowiek marzący od najmłodszych lat o zdobyciu sławy wielkimi czynami, widzi on w swej działalności pisarskiej tylko «marną polowę» nieurzęczywistaności «arcydziel życia»; jako myśliciel, historyzof, moralista pojmuje, że o wielkości człowieka świadczą tylko czyny wielkie, że najwyższymi arcytworami ludzkimi są realizacje w aktach naszej woli, naszych podniosłych pragnień, że wcielanie tych pragnień w szybko wędrujące kwiaty pozrył jest roztrwonieniem skarbów duchowych na marną, przelotną rozkosz. W tych ścierających się ciągle w jego duszy sprzecznych dążeniach, porwach, pojęciach, jest źródło główne jego wtrętości, jej zalet i słabości, na tem polegał ten smutny dramat jego życia, robiący niekiedy wrażenie sztafeczności, udawania, pozowania, gdy w rzeczywistości był on wynikiem niemoralności rozwoju duchowego i fizycznego, dysharmonii między potrzebami tej rwącej się do czynu duszy a niezwykleymi, wyjątkowymi warunkami jej bytu. «Mnie smutek zabił, mnie gorzkie koleje, mnie gwałt namiętych, nieskończonych marzeń. Mnie krok leniwy ogrusniałych zdarzeń, Mnie te dni naszych wciąż tak podle dzieje» powiada o sobie poeta w «Dniu dzisiejszym», charakteryzując ten przeżywany niejednokrotnie w ciągu życia i wielokrotnie wypowiadany w utworach stan moralnego koczania, wynik wrażliwości chorobliwej człowieka odczuwającego ciągle, boleśnie warunki krapujące i paraliżujące jego pragnienia i porwy. «Darmo z natłumieniem czyn pogodzić chciałem, ciałem w Myśl natoczyć i Myśl stworzyć Ciałem», skarży się, dostrzegając w sobie samym, w przewadze i zmienności uczuciowych porwów, źródło główne swej słabości, tej trapiącej go ciągle niemocy czynu. Od wczesnej młodości widzimy w nim ścieranie się jakby dwu wprost przeciwnych istot, dwu odrębnych organizacyi duchowych: romantyka rozwichrzonego, rewolucjonisty niemal, nie rachującego się z za-

dajmy względami i przeszkodami, Farysa w ciągłej pogoni szalonej za zaspokojeniem nieokielzanych pragnień i porwów swej romantyczno-rycerskiej, tragiczno-gorzczkowej wyobraźni — i myśliciela aristokraty, czciociela i obrońcy tradycyi przeszłości, świadomego swych obowiązków, i surowego sędziego swych szalów, porwów. Niezależnie od tego dualizmu, a w części pod jego wpływem, rozwinęta wczesnie zdolność samokrytyki, praca myśli, rozwijanej przez studia prawne, społeczne, historyczne, filozoficzne, wytworzy sprężyność bolesną między uczuciami a wynikami myśli, burzącą zarówno chemię, ku którym dążył romantyk-zapaleniec, jak zasady i ideały, na których wspierał się zachowawca-chrześcijańin. W tej rozterce wewnętrznej szukać będzie oparcia na przyznanych mu, dojrzałszych, zharmonizowanych duszach jak Henryk Reeve, Mickiewicz, Danielewicz, Cieszkowski.

W długim szeregu francuskich i polskich utworów z pierwszego pobytu w Genewie (r. 1830) spotykamy ciekawe odbicie tych zmieniających stanów uczuciowych, kierunków myśli i dążeń młodzieńcy, w urwkach p. t. «Fragment dziennika», «Fragment marzenia» (z marca 1830) i późniejszy z czerwca «Fragment». Pisane pod wpływem miłości dla Henryki Willan, przypominają układem — przesuwaniem się sennych obrazów, marzonych obrazów — «Sen Pileckiej» i pierwowzór tych utworów «Sen» Byrona. Ta forma snu, wizji, stanie się stałą cechą jego artysty. Forma taka umożliwiła poecie wyzolenie wyobraźni romantycznej, stwarzającej sobie, z całą swobodą, w tym świecie fantazyjnym, zarówno najefektowniejsze, ciągle zmieniające się dekoracje, oświetlenia, jak i ciąg najniezwyklejszych położeń i wydarzeń. Wszystkie żywioły, wszystkie katalizmy przyrody, wszystkie niezwykle wstrząśnienia i wybuchy świata ludzkiego, zespolone chętnie, służą jako odbicie porwów poety, rozkoszującego się tem snuciem nadzwyczajnych kombinacyi. «Śród burz żywiołom, tonięcia okrętów, rozbiętych w proch o skały, bitwie, śród których śmierć mię okrążyła, pożarów, zataczających kręgi płomiennę, niby korony męczeńskie, miast ludnych i hałaśliwych, wybrzeży, opuszczonych przez ludzi, oddanych tygrysom i hyenom — byłem spokojny, bo miałem ujrzyć ją znowu, bo czułem w sobie siłę, nieprzepartą, piękną, wielką wolę urzęcia jej raz jeszcze... Szedłem więc śród błyskawic burzy i piorunów wojny, śród więzień i pałaców, inkwizytorów i dozorców wierzniomów, ciemiężców i tyranów, bereli i koron. Wszystko to zmieszano się w uszach moich». Z takich obrazów składa się utwór młodzieńczy. «Fragment dziennika» pisany w Genewie, w marcu r. 1830. Tę samą cechą spotykamy w całym szeregu Fragmentów z tegoż roku i późniejszych. Choroba oczu i uderzenia krwi do głowy wywołują u poety chronicznie niemal stan podniecenia i nadczułości centrów mózgowych, usposabiającej do oczekiwania i przewidywania katastrof tragicznych w dziejach ludzkości, we własnym życiu i w losach najbliższych. Stąd wizja tragiczna staje się ulubioną formą, cechą stałą artysty poety. Świat bosny, podziemia, obszary nieskończoności, — ulubioną widownią; prze-

wroty kosmiczne, katastrofy społeczne, tragedie rodów, tortury i dramaty duchowe jednostek, rozpaczliwe nagnęcia i najwyższe stopnie mąk i rozpacz — oto zwykła osnowa utworów. Z tem wiąże się, jako cecha, szybkość przesuwających się i rozpiływających zaraz obrazów, ich epizodyczność, gorączkowa zwieżłość i siła w dodawanych objaśnieniach i syntezach, chaotyczność, zamęt, zgłębłość w ucieśnieniu. Śród tego zamętu poeta bądź ukazuje się nam niewzruszonym, nieustraszonym widzem, jakby pogromcą tych rozszalałych żywiołów i czynników, bądź znów umierającym, konającym śród piekła ziemskiego, z nadzieją i wiarą w tryumf dobra i sprawiedliwości. Jako poeta-artysta jest on najzupełniej romantykiem, wywołującym się z wszelkich względów na prawdopodobieństwo i wymagań formalnych, lecz wobec rewolucyjnych prawd epoki, ten romantyk-rewolucjonista pojmował swoje posłannictwo i swą wielkość jako tragiczną rolę woda zagrożonego zagładą świata, obrońcy tych wszystkich instytucji, któremi wiekowa praca przeszłych pokoleń okiełznać usiłowała dzikość instynktów i popędów ludzkich. Obrońca ten jednak miał świadomość swej nieudolności, przeklął myślą krytyczną słabość i nicotę moralną zarówno tych, z którymi miał walczyć, jak i tych, na których cele musiał stanąć. Stąd ten sceptyczny-pogardliwy stosunek jego do obu obozów, stąd to ukołochanie swoich jedynie myśli i wizji, swego wewnętrznego świata i pragnienie odzwierciedlenia artystycznego tego świata jako jedyna forma działalności, odpowiadająca uzdolnieniom Męga-poety, który jednocześnie znajdował najwyższą rozkosz nie tylko w odzwierciedlaniu romantyczno-rycerskich szaleństw i porywów Agaj-Hana, hr. Henryka, lecz i we własnych szaleństwach miłosnych, targających te etyczne zasady, których obroną uważał za swoje zadanie, odwodzących go od spełnienia tak ważnego obowiązku rodowego jak wybór żony i założenie rodziny, którzy przechowała i podtrzymała godnie tradycje, przekazane przez początek tak drogiej poecie przodków. Romantyk-rewolucjonista, skłonny tak do wcielania w życie realnem porywów wyobraźni i uczucia wależy, w poecie, z obrońcą tradycji i opartych na niej zasad. Już w szeregu młodzieńczych utworów powstałych w Genewie w ciągu r. 1830-go, możemy dostrzedz odbicie się tej dwoistości stanów duchowych, tej kolizji ścierających się w duszy prawdy.

Wypowiedziane w liście do ojca (z 16-go lipca 1830 r.) uwagi o protestantyzmie genewskim, z powodu objawów rozkładu i rozbitcia w łonie tego wyznania, tudzież we francuskim memoriale o duchowieństwie («Sur la Clergé») przesłanym ojcu, zapewne jako dowód postępów w studiach politycznych i stylu dyplomatycznym, świadczą o niepospolitej trzeźwości i bystrości umysłu u 18-letniego młodzieńca, o ryczącym się tak dobrze w tych kwestych. Wycieczka po Szwajcaryi, odbyta wkrótce potem (w sierpniu) w towarzystwie Mickiewicza i Odyńca, zbliżając młodzieńca z dojrzałą tak, genialną duszą wielkiego poety, przyczyniła się do umocnienia tego poważnego i podnio-

stego realizmu w pojęciach. Krasnisiż ze zdumieniem przysłuchiwał się jak Mickiewicz «wysmiewał albo gromił to właśnie, o co jego samego klasycy warszawscy posiadali i oskarżali najbardziej». (List do ojca z sierpnia r. 1830). Zdając ojcu sprawę z całej sumy wrażeń wyniesionych z tej podróży, zakończony w pierwszych dniach września, przynajmniej, iż od Mickiewicza nauczył się «zimnie, pięknie i bezstronnie» rzeczy tego świata uważać, wielu przesądów, uprzedzeń i fałszywych pojęć się pozbył — i niezawodnie to wpływ będzie miało na dalsze jego życie, wpływ dobry i szlachetny». Wyrazem tego uznania będzie pomieszczenie w październikowym zeszycie genewskiej «Bibliotèque universelle» charakterystyki twórczości Mickiewicza z okazji wydanego wtedy w Paryżu przekładu francuskiego Wallenroda i Sonetów. Trafnie bardzo dostrzega i zaznacza młody krytyk wszechstronność artysty wielkiego poety i jako główną, znamionną («sailante») cechę jego utworów wskazuje: prawdę, «której inni jeszcze nie odnaleźli, nie podejrzewali nawet». «Ognista wyobraźnia poety rozwija swe olśniewające skrzydła (w Sonetach); ale nigdzie nie poświęca myśli wyrazowi. Posiada nadzwyczajny talent łączenia zawsze wzmożonej prostoty prawdy z ordobami stylu najbogatszego». Sąd ten, trafnością swoją wyprzedzający czasy współczesne, nie wyłączając nawet Mochnackiego, zapowiada już te świetne uzdolnienia krytyczne, które nie będą miały pola do rozwinięcia się należytego i odbiją się jedynie w wynerzeniach listowych i znanej charakterystyce Słowackiego. Przewodzony przez młodzieńca francuski dziennik podróży, odbija także wpływ pojęć Mickiewicza, w charakteryzowaniu przyrody alpejskiej i jej stosunku do stana duszy młodego wędrowca, szukającego w niej, jak wielki wieciez w krajobrazach Krymu, odbić stanów uczuciowych własnej duszy. Myśl młodzieńca zwraca się teraz coraz częściej i poważniej ku zagadnieniom bytu zagrobowego i nieskończoności. Odbiciem tego kierunku myśli — nasuniętych zapewne przez wynerzenia Mickiewicza, znającego się tak dobrze z temi krajinami — jest piękny i ciekawy fragment «W noc» («Ecrit la Nuit») z napisem polskim: «Z uczuciem i bojaźnią pisane 16, 17, 18 Octobre 1830». Poeta spowiada tu się z bezowności wysiłków swych w celu nawiązania bezpośredniego stosunku z duchem, o którym wspomina nieśmiało (zdaje się, że Chrystusa miał na myśli). Łatwo zrozumieć ogłębność i bojaźń, z jaką wypowiada tu swe myśli, zaciemniając umysłnie przed czytelnikiem, postać, do której się zwraca, używając z początku formy zaimkowej «ty», a następnie «wy». Nieśmiało wymyja tu przekształcenie się w jego duszy postaci Chrystusa, wywołonej z wzglądów i całunów skrawionych, form cielesnych, odradzających wyniszczeniem fizycznym (hidense et decharné), ponurych przybytków (donjons) i wież gotyckich, by dać jej nieskończoność za siedzibę. «A jednak mimo to czuję taką samą trwogę, jakiej doznawali nasi przodkowie w swych tożach republikańskich i pancernach stalowych. Wyciągam me ręce ku tobie (vous) i opuszczam je, przybliżam się i cofam znów. Moja dusza przecie

nie ustępuje twej w swej nieśmiertelności. Po niewielu dniach będzie ona cząstką twego świata. Czyż to ciao, dzielące mnie od ciebie, jest przegrodą tak nieprzebytą, by nas miało zawsze oddalać. Czyż trzeba koniecznie skruszyć ją pierwej, by się z tobą spotkać». W całym urwku tym nieśmiały prometeizm spłata się z częścią dla postaci Chrystusa i panteistycznymi marzeniami. «We wszechświecie istnieje tylko życie i ciągła jego przemiana... Ogniwem będąc w nieskończoności, zmienić miejsca nie mogę; przyjdzie czas, w którym się rozkruszę a wtedy szczytki moje stopią się w pierścionk wyższy i świetniejszy... Wy, duchy, ku którym serce moje wyrusza się z piersi, wy co zdajecie się muskać moje czelo niewdzielnymi skrzydłami, gdy się modłę, placząc lub kocham, czyi odpowiedzie mi jeśli kiedy zawołam was już bez trwogi, bez słabości a pełen woli?». Bezpośrednio po tym urwku skreślony «Dziennik umierającego» (Le journal d'un mourant), datowany 24 i 25 października odwarza ulubione i wielokrotnie ponawiane w późniejszych utworach dramatyzowanego przewidywanego w bliższej przyszłości zgonu, wyniknąć mającego bądź z upatrywanej w sobie choroby (suchoty w dzieciństwie po matce) jak i z zerwania wszelkich węzłów ze światem ludzkim (zawód uczuć narodowych, miłosnych, pesymizm i sceptycyzm społeczny i filozoficzny). W spokojnem oczekiwaniu zwolna nadchodzącej śmierci, w przypatrywaniu się swemu zgonowi młodzieńcze dostęga bohaterstwo i wielkość o wiele potężniejszą, niż w rycerskim zgonie na polu walki. «Kula albo ostrze szpady zabija zarówno podłego jak i szlachetnego i każdy z nich pierwej zamknął oczy, niż zdolał wypowiedzieć czy konał z odwagi i rezygnacją, czy też ze strachem. Ta zaś (w łóżku) dość jest czasu, aby doświadczyć siebie i wykażać czem się jest w istocie, nawet gdyby to było przed samym sobą... można będzie powiedzieć: «W chwili śmierci on żył». W dalszym ciągu, po wybuchu sceptycznych skarg na brak pewności co do przyszłego życia, woła: «Co zrobitem?... Imię moje zaginie. Powiedziecie mi wy wszystkie, którzy mi żalujecie... jak zdobyć nieśmiertelność, a będę zszedłszy. Pocięście mnie, ukazując mi sławę». Następnym fragment «Wiosna i wieśno» odwarza ten później w «Ostatnim» rozwinięty kontrast cierpienia, zamkniętego w zakratowanym podziemiu więźnia z rozkwitającą poza więzieniem wiosną, z dolatującymi przez kraty głosami radości. To uczucie i świadomość odosobnienia, osamotnienia stród ludzi, nie rozumiających go i nie kochających, właściwe wszystkim wrażliwym i bogatszym duszom, uczucie wypowiedziane tak prosto i silnie przez Mickiewicza w «Żeglarczy», stanie się u Krasieńskiego bodźcem do pogrążenia się i zamykania w świecie marzeń, dramatyzowania i poetyzowania własnych położeń, słabości, konieczności życiowych. Podane powyżej wyznania, skreślone przed wybuchem 29 listopada, pozwalają nam szukać przyczyny wstrzymania się młodzieńca od udziału w powstaniu, od wstąpienia w szeregi, nie w samym zakazie ojca, ale przede wszystkim w stanie duchowym syna, który, podobnie jak Słowacki, w zetknięciu z rzeczywistością

obowiązków życiowych, czuł swą bezsilność, nieudolność, doznawał wprost wstrętu do czynów, a prztem w marzeniach swych nie wyobrażał dla siebie innej roli, jak woda, kierownika głównego: Męza lub Frydyona. Zostać żołnierzem, a choćby nawet oficerem, nie był zdolny. Ta niemoc czynu, którą poeta chciał usprawiedliwiać zwalaniem winy na zewnętrzne przyczyny, na wolę ojca, miała swe źródło w dezorganizacji fizycznej i duchowej młodzieńca, wywołanej przez szybkie, przedwczesne i podnieconą nadmierem bodców intensywność jego rozwoju. Seierające się w wulkanie młodej duszy różnorodne czynniki umysłowe, uczuciowe, zmysłowe, paraliżowały i podniecały się wzajemnie, uniemożliwiając celową działalność, abezwładniając wolę. Jak u Słowackiego wyobraźnia goniona za nieszyknością, za coraz to nowymi przedmiotami, podawanymi przez lekturę i rojenia młodzieńcze o sławie poetyckiej, unosiła myśl i uczucie w światy fantazyjne, nadsziemskie, przeddziejowe, tak u Krasieńskiego tażsama władza, podniecana przez rojenia o sławie rycerskiej, działalnością niezwyklej w życiu realnem, wywoływała ciągłą egzaltację uczuć, rwących się do realizacji tych rojeń a krepowanych zarówno zewnętrznymi przeszkodami jak i słabością charakteru, niemocą woli wynikającą ze sprzeczności różnorodnych pragnień, zamiarów, pojęć. Słowacki cierpił z powodu braku uznania, objętości ludzi, których dusze daremnie silił się owdłamać czarem artystycznym, Krasieński cierpił zaś przed nieemożnością odegrania roli, jaką sobie przeznaczył w rojeniach młodzieńczych, roli rycerza, bohatera, męża, władającego choćby na chwilę losami społeczeństwa, walczącego, ale na stanowisku wodza nie żołnierza, jeżeli nie wyższego, to nie niższego godnością i zasługą od całego szeregu swych przodków. Ta sprzeczność między gwałtownością pożądań ambitnych, egzaltacją uczuć, a hamującą je i studzącą niemocą czynu — oto stała cechą życia duchowego poety. Cechą zasadniczą organizacji duchowej poety jest dysharmonia, anarchia poniekąd władz duchowych. Gdy u Słowackiego wyobraźnia jest władzą kierowniczą, podporządkującą sobie inne władze, gdy u Mickiewicza potężne uczucie już od młodości harmonijnie współdziała z myślą i wyobraźnią, kierującą niemi, lecz nie tyranizując ich, u Krasieńskiego każda władza duszy rozwija się i działa odrębnie, samopas, każda z kolei opanowuje i wypelnia sobą całą duszę, poddając niemilosiernej krytyce chwilowej rządy innych — wszystkie zaś gnębą swą niezgodą najslabiej rozwiniętą w duszy pańca, jedynaka, neruśnika — wolę. W związku z tym dysonansem władz duchowych zostaje anarchia w procesach fizjologicznych, organizmu, silnie podsyconego pokarmami i podnieciami a nieuczującego przez odpowiednią pracę mięśni i muskułów dostarczanych mu zasobów energii. Stąd ten ciągły, od 18-go roku życia, z małemi przerwami, stan chorobliwy, nieustanne pasmo cierpien fizycznych, spowodowanych wadliwościami procesu przemiany materii.

Opuściwszy na polecenie ojca Genewę (3 list. 1830 r.), udaje się do Włoch i przybywa dnia 30 listopada do Rzymu, w którym

został znanego mu już Mickiewicza. Nim dojdzie tu wiadomość o wybuchu warszawskim, spędza czas w towarzystwie wielkiego poety, który oddziaływa na niego swym nastrojem religijnym, siłą wierzeń i przekonań katolickich. Niejednemu wiecież spędzają na rozmowach i dumaniach u stóp krzyża na arenie Kolosseum. Młodzian wdłania te nowe wpływy, nowe pojęcia i obrazy, zwiększając nimi bogactwo i różnorodność pierwiastków, podsycających wulkaniczny proces odbywający się w jego duszy a zarazem uniemożliwiających celową, praktyczną działalność życiową w jakimkolwiek kierunku. Przekonanie i postępowanie ojca, manifestującego wyjazdem do Petersburga swe stanowisko wobec rewolucji i walki narodowej, nie znajdowały wprawdzie aprobaty i sympatycznego echa w duszy syna, wywoływały nawet tajone przed ludźmi uderzenia, ale stopniowo z rozwojem wypadków, potwierdzających sądy generała o niedojrzałości i bezowocności ruchu, syn zaczął się godzić z pojęciami ojca i usprawiedliwiać przed sobą własną bezczynność. Marzenia i ideały rycerskie zresztą, jak to już wyżej zaznaczono, straciły swój urok dla młodzieńca jeszcze przed wybuchem rewolucji. To też mając poczucie swej niemocy, skłonny był do pesymistycznego oceniania wypadków. «Zadna siła ludzka, ni pomoc, wesprzeć nas nie może w tej rozpaczliwej sprawie (pisał do Reeve'a) ale ten sam Bóg, który rzekł: «Stań się światło — i stało się światło» — ten sam może zdnow rzeć: «Stań się Polska i Polska powstanie olbrzymia i swobodna».

Zmuszony opuścić Rzym wraz z innymi rodakami z Królestwa, wskutek polecenia ambasadora rosyjskiego, wraca w końcu marca, w towarzystwie swego mentora Jakubowskiego, do Genewy. Więci o powodzeniach oręża polskiego w kampanii wiosennej podnieć nie tyle zapał rycerski, ile poczucie obowiązku narodowego w duszy młodzieńca i wywołały wymowny, stanowco brzmiący list do ojca (z 14-go maja) zapowiadający powrót do kraju i wstąpienie w szeregi, kończący się jednak dopiskiem z dnia następnego, zaznaczającym cofnięcie wymownie tak umotywowanej decyzji, wobec opozycji Jakubowskiego, który zapewne nie wiele zużył energii dla powstrzymania chwilowo podnieczonego wychowawca. Co najwięcej dręczyło młodzieńca, to obawa o opinię blizkich mu przyjaciół angielskich: Henryki Willan i Reeve'a. Wobec nich czuł się przedstawicielem Polski, jej sławnej przeszłości i rodu Krasniskich, który w różnych chwiałach dziejowych wydał tylu wydatnych dostojników. Świeże bohaterskie czyny przypominały znowu Europie dzielność i patriotyzm Polaków, krzywyd i nieszczęścia tego narodu. Jak usprawiedliwić przed panną Henryką, której imponował swymi rycersko-poetycznymi marzeniami, porывami, tradycjami rodowemi, lub przed Reeve'm, wobec którego chciał przedstawić się podniośle pojmującym swe obowiązki synem ojczyzny, obywatelom wielkiego a nieszczęśliwego ludu, wreszcie człowiekiem wyższym, arystokratą z krwi i ducha, poetą, ale dla samego siebie, nie dla marnej rozkoszy ludziom, zazdrośnym o swe uczucia, wstydzającym się do nich

przyznać. Pobudzona przez różnorodną bodźce dusza szukała wyjścia z tych wewnętrznych kolkizy, wątpliwości, przez rozjaśnianie zagadnień dotyczących bytu dziejowego społeczeństw, zjawisk jakie przedstawiało życie ludów europejskich i położenie Polski. Stara się niejako znaleźć dla siebie drogą i stanowisko, na którym mógłby służyć ojezyźnie w harmonii ze swymi uzdolnieniami duchowemi i z tym poglądem na świeże wypadki, który pozwalał mu zbliżyć się do punktu widzenia ojca i usprawiedliwiać jego własną bezczynność. Stąd rozczytuje się w dziełach historycznych i filozoficzno-moralnych Cousina, Guizota, Ballanche'a, De Gérando. W niepowodzeniach ruchu powstańczego, w spadających na kraj kłękach widzi on palec Opatrzności, która swym wybrnięciem zsyła cierpienia... «Nie pięknego i zbawieniemu stać się nie może bez cierpień i boleści» — pisze w liście do ojca (z maja 1831). Wbrew ojcu twierdzi, że sprawa Polski jest sprawą narodową, przez całą Europę uznaną, nie zaś sprawą jednego stronnictwa, jak twierdził generał, widzący w ruchu objaw ogólnych dążeń wyrotowych, socyalnych, osłaniających się płaszczkiem patriotyzmu.

Podłanie się Warszawy i upadek ruchu wywołały w duszy młodzieńca, dręczonej zapewne wyrzutami sumienia, postanowienie służenia aieszcześniejszej ojczyźnie, dla której czuje tem większą teraz miłość: «Wszystko dla niej, dla tej ziemi: i życie moje i trudy moje, dni me i noc, smutki i radości. Wszystko dla niej: i szabla moja i lutnia — wszystko, aż do ostatniego technienia». «Letarg i gorączka — oto dwa stawy, które nawzajem mną władają — dwa dni letargu, dwa dni gorączki — oto całe moje życie» — pisze w liście do ojca (w lecie r. 1831). Cała obfita tak korespondencya poety świadczy, iż do śmierci prawie ciągle ta kolejność: egzaltacyi i depresyi («gorączki i letargu») powtarza się w niezłomnym do osiągnięcia równowagi ciele i duszy. «Uczucie obowiązku i bojaźń wstyd», wyznaje w liście powyżej wspomnianym, «tak mię nekają, iż czasem od zmysłów odchodzę kiedy o tem pomyślę. Nieszczęśliwy jestem! dawniej to mówiłem przed romantyzm, dziś, niestety, rzeczywistością to się stało». Głównem zadaniem poety będzie usprawiedliwianie przed bliższymi i potomnością swego postępowania, swej niemocy czynu, przez odwołanie w całym szeregu coraz donioślejszych utworów, tak dobrze własnych duchowych komplikacyi i walk paralizujących akty woli, jak i stosunków zewnętrznych, komplikacyi czynników politycznych, społecznych, oplatających uwikłanie w nie Męka-poetę i ubezwładniających jego najszlachetniejsze zamiary i usiłowania. Mąż, działacz, bohater przekształcił się w poetę, zmuszonego swe najdroższe zamiary i marzenia realizować nie w czynach, lecz w twornach literackich, powtarzając do końca życia, jako pobożne, nieziszczalne pragnienie, wykrzyk: «Zgłicić me pieśni, wstańcie czynny moje!»

Pierwszym takim utworem usprawiedliwiający, jest przechowywany w urękach, przesyłanych w przekładzie francuskim Reeve'owi, astracony w oryginale polskim: «Adam Szaleniec», pisany w lecie

r. 1831 a zawierając w sobie zarodek niejako «Irydyona», a po części «Nieboskiej». Przechowane uryki («Wspomnienia Ryma, Bolesł. W klasztorze, Męczarnia, Rozpacz» odtwarzają nam czynniki i przebieg procesu duchowego, który znajdzie później swe ujście w dwu powyższych arcydziełach.

Ruina marzeń o sławie, zdobytej przez czyny bohaterskie, nadzwyczajne, i związaniem z nią szczęściu z miłości płynącym; wstyd wobec ukochanej i rówieśników, wobec pradków i współziomków, pogarda i upokorzenie bez nadziei wywołania się z tego stanu inaczej jak przez zgon lub szaleństwo — oto stan duszy młodzieńca, który w spowiedzi tej («Adamie Szaleńcu»), mającej go usprawiedliwiać przed ludźmi w ogóle a przyjacieleni (Anglikiem) w szczególności, dopuszczał się niewątpliwie pewnej przesady, potęgowania cierpienia w celu wywołania większego wrażeń i współczucia dla okupującego tak ciężko swą winę. Stąd obok rysów szybkiego dojrzewania duchowego takie młodzieńcze, sztuczne, teatralne deklamacyjnością tchnące frazesy, jak wykrzyk: «Ah, gdyby jeszcze można wstawić się jakąś zbrodnią, kazać zamknąć wgardzieli! Gdzie świątynia Biezu? Zniszczę ją! Czare truznicy, sztylet zabójcy, dajcie mi je. Dajcie, aby ciós przeze mnie zadany zadźwięczał w jej uszach». Przypuszczenie p. Antoniewicza, iż najlepsze cząstki «Adama Szaleńca» weszły w skład «Ostatniego» i «Dnia dzisiejszego» i tam stanowią najpiękniejsze ustępy, nie znalazło potwierdzenia w wydanych fragmentach francuskiego przekładu «Szaleńca» (dla Reeve'a). W miarę tego jak roztawał się stopniowo, z bólem serca, z marzeniem o swych czynach heroicznych, sławie i wielkości przez nie zdobytych, spozstrzegał rosnące szybko uzdolnienie do twórczości artystycznej, zdolność odtwarzania własnych wrażeń, stanów duchowych, marzeń, pożądań. Cieszyło i dręczyło to zarazem, spragnionego innej wielkości młodzieńca. Mógł teraz poetyzować i dramatyzować swe położenie, swe zawody, walki, cierpienia, rojenia. Z istotnymi cierpieniami fizycznymi i moralnymi zespolą się nierozłącznie sztuczne, odgrywane, wynikające z roli i pozy przybranej, z chęci usprawiedliwienia się a zarazem i pokazania się ludziom wielkim a nieszczęśliwym, nieugiętym a beznadziejnym obrońcą świętej sprawy, ostatnią ofiarą, wodzem, który utworze jak Mojżesz drogę do ziemi obiecanej, lecz sam do niej nie wejdzie i scone, zapomniane.

Nim nowe wstrząśnienia i cierpienia, nowe doświadczenia i prace myśli pozwolą pocieie późniejemu usprawiedliwionemu nadać kształty doniosłych poglębięciem myślowym i potężnych artystycznym odzworzeniem syntez historyzoficznych, spróbuje on odpowiedzieć z gorączkowym liryzmem natchnionej opowieści swe młodzieńcze bohatersko-milosne rojenia.

«Agaj-Han», pisany pod świeżem wrażeńiem upadku powstania, w jesieni r. 1831, nie odbija wcale cierpień, jakich oczekiwalibyśmy w duszy młodzieńca, który świeżo, w «Adamie Szaleńcu», odcodził od zmysłów, pod wpływem «wstydu», jakim się okrył w oczach ludz-

kich swą bezczynnością. Cierpienia ambicyjny odczuwał więc wielokroć silniej, niż upadek sprawy narodowej. Przypomnienie zwycięstw, które doprowadziły, w epoce Dymitra, Polaków do Wolgi, nie może być uważane za motyw zasadniczy w utworze, poświęconym opowieści szalu milosnego ognistego Tatars i spełnionych pod jego wpływem nadzwyczajnych czynów, mających doprowadzić do owładnięcia sercem obojętnej i wymykającej mu się zawsze Maryny. Odtworzył Krasiański niektóre chwile i położenia z dziejów swych uczuć dla Amelii Żaluskiej, krewnej, przeżywającej czas dłuższy w domu generała. Wprawdzie we współczesnym liście swoim młody poeta upaja się chwałą przodków, którzy «byli wielcy i wierzyli w Najświętszą Pannę. Wzywając jej imienia bili szablami w lica wrogów... Stara Polska miała dni chwały olbrzymiej i świetnej... Dla nas przeszłość jest niebem czystym, ogromnem, ślnięcem... Nasza przyszłość z niej tylko wytryśnie... Głupstwa i błażelstwa, Dantony i Lamarki, tam gdzie się miało Zamojskich, Sobieskich. Cały tłum ludzi dzisiejszych zblednie przed jednym jedynym grobowcem ludzi przeszłości». Ta część dla przeszłości, której rozwiędnie szersze spotykamy w «Nieboskiej», a nade wszystko w «Przedświcie», nie przeszkodzi jednak młodzieńcowi odtwarzać w «Agaj-Hanie» dawniejsze, wracające znowu i to nie ostatni raz, romantyczne, awanturkowe, ambitne i tchnące rycerskością średniowieczną, jaskrawością orientalną, upodobania i rojenia wyobraźni, wzbudzone i omdlenia uczuciowe. Poeta upaja się zespoleniem żalów erotycznych z ogniistością rycerską, pogonią niezmordowaną za niebezpieczeństwami, bojami i upojeniami milosnymi, sławą i tryumfem pozwalającym zwycięzcy bawić się «rekojęścią miecza dla nauki, jak berło trzymać przystoi», lub «dech wyznaną w postawie króla zasiadającego na tronie». Marzenie to snuje się wśród odpowiadających romantyzmem upodobaniem dekoraey: tajemniczych komnat, krużganików, korytarzy, więzień, basz, podziemi, to znowu przepychi czarodziejskich pałaców, fontan, kobierców, kwiatów, woni, dźwięków muzyki ukrytej. O ile u Słowackiego, który w «Maryi Stuart», «Bieleckim» i «Kordyianie» jeszcze lubował się podobną dekoracyjnością, wyobraźnia w dalszym rozwoju wyzwołała się, uszlachetniła, spoteńbiła i usubtelniła się, to u Krasiańskiego pozostanie ona na jednym niemal stopniu aż do chwili gdy myśl, doszedłszy do najwyższego szczebla w rozwoju, odrzuci te płótna i kulisy teatralne a za tło dla marzeń i wywodów «Przedświtu» weźmie zwierciadlaną toń jezior włoskich i błękitne otchłanie nieskończoności przestworów gwiaździstych.

Zimę z r. 1831 na 1832 spędza młody poeta w Genewie, w stanie nieustannego podniecenia, pod wpływem wypadków zachodzących w kraju i w zachodniej Europie, wypadków wstrząsających wyobraźnią i myśl śledzącego za nimi młodzieńca, a z drugiej strony pod wpływem ciągłej wymiany myśli w korespondency z ojcem i bawiącym w Anglii przyjacieleni. Jeżeli do tego dodamy niespodziane odwiedziny wroga, Leona Łubieńskiego (który zdarł mu w zajęciu uniwersyteckiem oznaki

studenckie) pragnęło się z nim pojednać, dogorywanie miłości dla Henryki Willan, która powróciła do Anglii, wpływły różnorodnej lektury, rozmyślenia nad własną przyszłością wobec konieczności powrotu do kraju — to w połączeniu ze znanymi nam już rojeniami, pragnieniami i słabościami poety, otrzymamy obraz różnorodnych czynników przyspieszonego procesu duchowego, tej tak młodzieńczej, a pod niektórymi względami tak dojrzałej, lecz nie zharmonizowanej duszy. Ten proces gorączkowy wywołuje niestanną potrzebę dzielenia się z ludźmi w listach i utworach — produktami fermentacji i pracy duchowej, myślami, marzeniami, wizjami, zmieniajnymi nastrojami uczuciowymi. Twórczość literacka, działalność za pomocą słowa pisanego, staje się potrzebą, nalogiem duchowym. Wbrew własnym zamiarom i pragnieniom przechodzi z roli rycerza, działacza, męża, na poetę, literata. Czując potrzebę opanowania lepszego językiem ojczystym, któremu ciągle używanie francuzszczyzny w mowie i piśmie od lat dwu przyniosło wiele szkody, pisze do swej «Babuli» w listopadzie r. 1831 z prośbą o przysłanie mu dzieł Górnickiego, Skargi i «Jerozolimy» w przekładzie Piotra Kochanowskiego, na które! składcili swą polszczyznę wszystkie poeci tej epoki od Mickiewicza do Pola. Gdy z wiosną r. 1832 na żądanie generała musiał wracać do kraju, nekany rozwijającą się chorobą oczu, tak odpowiada listownie ojcu na pytanie co do zawodu, jakby chciał w kraju obrać. «Co teraz jest do zrobienia? — nie, tylko cierpieć i ból ofiarować Bogu... Czuję się na sile bycia czem innym, niż jestem dziś. To od Boga zależy czy tym będę lub nie». Jednocześnie w liście do Gaszyskiego — już emigranta — pisze: «Proszę codzień Boga, by mi pozwolił za nią (Polskę) zginąć, czy w boju, czy na ruszowaniu, byłoby za nią; to będzie daniem najpiękniejszym mego życia... Bądź co bądź świętej dokonam powiomości». Ze w chwili pisania tych słów czuł także pragnienie, że wieć był szczerym, o tem nie mamy prawa wątpić. Jednakże w kilka godzin później inny nastroj i inne myśli stłumiły z pewnością te chwilowe rojenia, pragnienia nie mające oparcia w energii fizycznej i moralnej młodzieńca. Opuszczył 4-go maja r. 1832 Genewę, wraz z Reeve'm który mu towarzyszył do Innsbrucku, stanął w połowie czerwca w Wiedniu, gdzie poddał się długiej kuracji chorych oczu. Przez dwa miesiące spędzał dni w ciemnym pokoju, w bezczynności. Stan taki podjął czynności duszy, oddającą się marzeniom i rozmyślaniom. Wyjechałszy 6-go sierpnia z Wiednia, stanął 15-go w Warszawie, skąd zaraz udał się do Opinogóry.

Pod wpływem powietrza ojczystego, drogiej mu miejsc i wspomnień młodzieńczych odżył i omdlałmił poniekąd. Zetknięcie się z miłą mu tak krewną, panią Żalską, polowanie na kaczki, hojny dar ojca (4000 złp.), wreszcie stanowisko przyszłego dziedzica tych dóbr, nadające mu wobec całego otoczenia, powagę i władzę — podziały podniecająco i orzeźwiająco na zgnębioną, wzburzoną, pesymistycznie nastrojoną duszę. W pani Żalskiej tał dobrej, pięknej, rozumnej,

muzykalnej, napotyka odbłaski ideału kobiecego, za którym goni i tęskni spragniona oparcia, uspokojenia i oddźwięku uczuciowego dusza. We wpisanych do albumu jej trzech fragmentach spotykamy «Sen», odwra-żający sytytacy w jakiej, w lat dziesięć potem, oprawi marzenie »Przed-świata». On płynie barką, po jeziorze genewskim, a ona stoi śród żagli, oparta o maszt jako «Zjawisko, cud w życiu moim». W tej krótko-trwałej idylli miłosnej, starsza wiekiem, taktowna i dobra p. Żalska umiała utrzymać rolę siostry pobłażliwej i współczującej. Stosunki te przerwał wyjazd do Petersburga (10 września), w towarzystwie ojca, który dla utrzymania pozyskanych u cesarza względów, uważał za konieczne — zgodnie z zwyczajami szlachty rosyjskiej — umieścić syna w służbie rządowej czy też dworskiej. Z podobnych względów Aleksander Wielopolski odda później syna swego Zygmunta do służby wojskowej w kawalerii. Pobyt w stolicy Rosji trwał od połowy października r. 1832 do początku marca r. 1833. Po przedstawieniu się cesarzowi (w początkach r. 1833) który oślnł młodzieńca swą energią, urodą i łaskawością w objęciu, uzyskał od pozwolenie na wyjazd za granicę, ze względu na wznowienie się ciężkiej choroby oczu, niepozwalającej obejmować obowiązków służbowych. W gorączkowo odbywającej się pod naciskiem różnorodnych bodźców i wstrząszeń, ewolucji duchowej poety, niepioniczniey okres petersburski poddał tę duszę najsilniejszemu niewątpliwie naporowi, sięgającemu do jej głębin i zauszającemu do wydobycia z niej i spotogowania, dla przeciwwagi, ukrytych w tych głębinach uczuć, wierzeń, dążeń. Rzeczywistość dostarczała tu dramatycznych, niezwykłych położeń, wymagających, dla chętego dorównać swemu ideałowi bohatera, siły charakteru niepospolitej. Choroba oczu pokryła przed światem brak tej siły i smutne następstwa, jakiegoś stąd nieuchronnie wynikły. Młodzień-kiem pracą myśli, zastępującej mu, przy konieczności bezczynnego życia w ciemnym pokoju, działalność życia normalnego, doszedł do wczesnej bardzo samowiedzy i samokrytyki, poznał siebie, swe słabości i swe udołnienia. W liście do Reeve'a (w styczniu r. 1833) wyznaje: «Trzeba być zrzęgowanym na życie i cierpienia, nawet bez balsamu iluzji na rany nasze... trzeba być w każdej chwili gotowym do walki, która nas przypieka na wolnym ogniu, walki między myślami naszymi a czynami... Jest i w tem ogromna poezya... W tej abnegacyi, w tej dumie pełnej miłości... widzę ogrom poezyi i ku niej wyciągnę moje ramiona, bo co do mnie, będę poetą przez całe życie: czy jako rolnik, czy mnich, żołnierz, bogaty czy ubogi... będę zawsze poeta, nie dbam o to, czy mnie będą podziwiać lub rozumieć». Warunki jednak, w jakich pędził musi życie, zostawał będą w sprze-żności zarówno z pragnieniem czynów, władzy i sławy, jak i z osią-gnięciem przez twórczość poetycką uznania i panowania nad duszami. Bojaźń o ojca, majątek i interesy rodu, którego się widział głównym przedstawicielem, zmusi do bezimienności, do ukrywania swego autor-stwa i wypierania się go wobec ludzi, nie należących do szczyplego

grona najbliższych. Względnie te, w połączeniu z chorobą oczu, rozwijającą skłonność mazyckielską, upodobaniem do formy widzeń czy rojeń sennych, słumią uzdolnienia i skłonności do obserwacji i odtwarzania życia realnego, tak świetnie uwytuczniczone w «Nieboskiej» i znajdujące swój wyraz w trzeźwości, bystrości i dosadności sądów o ludziach, stosunkach, utworach, rozróżnionych po korespondencji poety. Ta trzeźwość, krytyczność ciągle pracującej myśli, nie hamuje jednak egzaltacji i wrażliwości uczuciowej, a osłabia siłę i połot jednostronności skierowanej wyobraźni, niedopuszcza tej harmonii i równowagi duchowej, której Mickiewicz zawdzięczał skoczność artystyczną swych dzieł. W liście do Reeve'a z początku r. 1839 spotykamy pełną prawdy, samoo obserwacji opartą charakterystykę duszy poety: «On wszystko tworzy: świat, statkę, wiersz, kochańkę. On kocha swego arcydzieła, ale nie imago nie kocha. I dlatego rzeczywistość jest dla niego truciźną. Wszystko co nie jest nim, zniechęca go i do rozpaczki przywodzi... A mimo to on kocha szalenie, pragnie dobra. On żechce szczęścia dla świata, choć go ten świat na każdym kroku odepchnie. Ale, tylko skoro jest samotny, czuje się szczęśliwy. Jest silny, jak półbóg.— Oto dlaczego wielki artysta nie jest nigdy ani dobrym małżonkiem, ani dobrym ojcem. Drogo się płaci za to, że się zajrzało pod rąbek tajemnicy bogów. Jedna, jedyna kropla, co z niebios na czoło twe spada, czyni cię niezdołnym do życia na ziemi, a przecież nie jesteś aniołem. Jesteś po dawna człowiekiem, ale już braci nie masz... Każde zetknięcie z istotą ludzką ziębi mnie i pozbawia mnie całkiem natchnienia. Jestem silnym tylko wtedy, kiedy sam jestem». Mamy tu odtworzoną prawie ze pełną charakterystyką hr. Henryka. Potrzeba oparcia się na znacznych, silnych charakterem, wyższych umysłem duszach, przy wczesnie rozwiniętej zdolności poznawania i oceniania ludzi, sprawi iż poeta otoczy się gronem kochających i ceniących przyjaciół i utrzyma całą lat wiele te stosunki, przy pomocy zarówno korespondencji, odśladującej im głębie tak bogatej duszy, jak i usług, do których zawsze był skorym. Rozłączony z Reeve'm, z którym jeszcze przez czas pewien będzie prowadził korespondencję, pozyska w wybranym przez ojca Konstantyn Danielewicz, koleźce uniwersyteckim z Warszawy, poważnego, szlachetnego, bogatego w uzdolnienia wyższe, towarzysza i przyjaciela, który będzie swoim spokojem, podniosłością duchową hamował burliwość i wrażliwość niemogącego pogodzić się ze swem położeniem młodzieńca, a duszę jego czarować uzdolnieniem muzycznym.

W połowie kwietnia r. 1833 wyjechał Krasinski z Danielewiczem z Warszawy do Wiednia. Po drodze zatrzymali się w Krakowie i zachwycali kosiolami i pamiątkami przeszłości. Z trzech naszych wielkich poetów jeden tylko Krasinski znał Kraków. W liście do Reeve'a, malując żywo wrażenia, wywołane przez pamiątki, świadczyła przeszłości, stercząca je w słowach: «Dawna Polska cała powstała na mój głos; oto ona!» Obok kuracji chorych oczu i rozstrojonych nerwów, młody poeta przemysłwiła nad nowym dziełem, do którego materiału

ma dostarczyć mu zarówno własne życie, jak rozważania i obserwacje nad współczesnym stanem społeczeństw europejskich, w związku z losami upadającej arystokracji i klas uprzywilejowanych. «Na tej ziemi nigdzie ideałów niema, pisze w liście do Gaszyskiego (7 lipca 1833 r.), są tylko one w sercu naszym, jako przecucia, i w niebie, jako rzeczywistość, ludzkie zaś życie oddane analizie potu i krwi...; mnie los nie obdarzył swymi dary: w głębi mej duszy osadził wiele myśli i uczuć wiele, które żrą i palą... Wiek, który nas otacza, ciąży na mnie jak olów... gdzieś się człowiekowi spodziewać, że zepchnie z ponad siebie nawal tych myśli, cisnących go na dół, ogrom pełny życia i przekleństwa. Mimo to spróbuj pozbawiony «dawnych wiar swoich», przedwcześnie dojrzały «poeta-myśliciel» zepchnąć to przytłaczające go brzemień myśli i przeczeń, opowiadać je z tytaniczną energią i wyzwolić się przez odtworzenie artystyczno-historyczofilozoficzne dążeń, chorób i niebezpieczeństw chwili obecnej. W cztery miesiące później (21-go listopada 1833) donosi z Rzymu Gaszyskiemu, w największym sekrecie, iż ma «dramat, dotyczący się rzeczy wieku naszego; walka w nim dwóch pryncypiów: arystokracji i demokracji; tytuł: *Mąż*... Jest to obrona teza, na co się targa wielu hołdysów: religii i chwały przeszłości».

To wyzwole nie miało być i usprawiedliwieniem się, wytłomaczeniem własnej beczynności, a raczej zwrócenia się z zamkniętej, przez warunki życia, areny działalności publicznej na pole twórczości literackiej, ukrytej najstaramiej przed światem. To też poeta, czując się panem przedmiotu, przeżytego przez własną duszę, stanowiącego treść jej rozmyślań, spostrzedł, odczuwał, porywów, przeszedł i przewidział, jej zmiennych stanów, ścierających się w niej poglądów, wiersze, dążeń, weźmie się z gorączkowym zapalem do pracy, odpowiadającej tak jego istotnym uzdolnieniom, choć sprzecznaj z ambitnymi rojeniami, rycerskimi ideałami niedawnych lat. «Zygmunt pisze bez ustanku, musi być w nim *ferbunda vena poetyczna*», donosi w przypisku do wspomnianego powyżej listu Danielewicz. «Jego *Mąż*... jest to dzieło, które się żadnej partyi nie spodoba, na którym mało kto się pozna». W grudniu tego roku, w czasie pobytu w Rzymie, poznaje trzecią część «*Dziadów*» i «*Księgi pielgrzymstwa*». Zapewne pod wpływem tych utworów powstrzymuje ogłoszenie swego «*Męża*», by przez ponowne przerobienie, zakończenia zwłaszcza, dostroił swe dzieło do podniosłości i głębokości arcydzieł Mickiewicza. Można by przypuszczać, iż realizm «*Dziadów*» wpłynął na realistyczne sceny «*Nieboskiej*», a myśl chrześcijańska, przenikająca dzieła Mickiewicza, odbiła się w zakończeniu. Teraz dopiero spostrzegł analogię między odtworzoną w dramacie «*pielędnem dni naszych*» a Boską Komedją, i przylonił zmianą tytułu pierwotnie przemagającą dążność usprawiedliwienia swej beczynności, bezsilności i pesymizmu, nicością moralną obozu arystokratycznego i przewaga dążeń, zwierzęcych popędów w obozie ludowym. Jednym oparciem dla «*Męża*» była pierwotnie przeszłość, prajcojowie; rycerze z siłą i duchem... «Co w nich było i przeszło,

dzisiaj we mnie żyje». Poeta uważał się przez życie całe za «Ostatniego», czy to jako rycerz, mąż, przedstawiciel ginącej przeszłości, obrońca jej chwały, czy też jako ostatnia ofiara dla odkupienia ojczyzny. Stąd w nim ten wstępną do małżeństwa, do założenia rodziny. Kobieta potrzebna mu jest i pożądana, jako siostra-współdziałająca, współmarząca pomocnica w niedających się osiągnąć celach, pocieszycielka w częstych chwilkach rozpacz i zwątpienia. Stanowisko małżonka, ojca rodziny, wydawało mu się wprost poniżającym, sprzecznym z ciężkami na «męża» zadaniami, obowiązkami. Jeżeli konieczność interesu rodu narzuci mu to rolę, to unieszczęśliwi zarówno siebie, jak i towarzyszkę życia. Dramatyzowanie nie tylko chwil obcowania życia, ale przyszłości, a nade wszystko chwili śmierci, przedstawianie sobie i dręczenie się zarówno cierpieniami rzeczywistymi, czy urojonymi danej chwili, jak i wymarzeniami, oczekiwaniem, niezwykłymi torturami ciała i duszy w przyszłości, meczaniem niezwykłego w wyjątkowych warunkach zgonu: oto stała, chorobliwa cecha poety. Jak w organizmie fizycznym nie normalny zabieg procesu przemiany materii wywolywał, obok stałego cierpienia oczu, uderzeń do głowy, rozliczne zaburzenia w różnych organach i nie normalną wrażliwość nerwów¹⁾, tak w życiu duchowym spreczność ścierających się wierzeń, dążeń, popędów z kontrolującą je myślą, z nagromadzonymi przez rozległe odczytanie, podróże, obserwację, refleksje, zasobami pojęć i wiadomości — spowodzi to jakby rozdwojenie osobowości, tę odrębność niemal sfer uczuć i popędów od sfery myśli, refleksji, przy ciągłym przetrucaniu się z jednej do drugiej i daremnych najczęstiej wysiłkach harmonijnego współdziałania, stopienia się dydaktyczmu i krytycznemu z liryzmem. Wrażliwość i pobudliwość wielka, spotęgowana przez chorobę oczu, oddalenie od kraju, ciągłe podniecenia nerwów i władz duchowych, sprzyja wytworzeniu olbrzymich zasobów przeżyć i przemyślań, które wypełnią taką bogatą treścią wewnętrznego życia poety, jego młodzieńcze arcydzieła: «Nieboską» i «Rydyona».

Tę bogatą treść duchową zużyje on na odтворzenie, w formie napół lirycznej, a napół dramatycznej, dwu idei przewodnich swojej młodości, a raczej dwu usprawiedliwień z nieuczestwistnienia tych idei: przywództwa społecznego dla podniesienia chwały rodu, praechowania i obrony całej spuścizny po przeszłości, i zemsty na krzywdzieliach ojczyzny. Stać się mężem — kierownikiem społeczeństwa we wstrząśnięciu, groźnym zagładą jego wierzeniem, instytucyom, trady-

¹⁾ W liście z 22 sierpnia 1836 r., pisze do ojca: «Stan zdrowia mego zawsze jednaki — podwojone cierpienia, zwiększony smutek i wstępną do wszystkiego, spazmy w piersiach, w oczach obelżne widzenia, w nerwach bóle hemoroidalne, w nogach artystyczne, osłabienie ciągłe i ospałość». W dniu 3 lipca r. 1837, donosi: «Nerwy w wysokim stopniu rozdrażnienia, ręce drżą, jak u Papu. Chodzić nie mogę, bo mi zaraz tysiąc much czarnych igra przed oczyma... Boku ból wrociły. Dzić cały jak liść. Ni spać, ni wyleżeć, ni chłodzić nie mogę».

cyom — wodzem i mścicielem, niosącym pogrom jego gnębieliom — oto dwa rojenia, umiłowane przez duszę młodzieńca, czującego się niezadowolony do ich wcielenia w czyn, a jednocześnie wstydzącego się poniekać skierowania realizacji tych zamiarów, w jedynie dostępną mu i odpowiednią uzdolnieniom sferę twórczości poetyckiej.

Stąd w charakterystycznym wstępie do «Nieboskiej», myśl sądząca, krytyczna, polemizująca, tę «marną rozkosz ludzką, ten «strumień piękności», przepływający przez duszę twórcy, bezwiednie poniekać, i nie upiększający, nie oczyszczający jednak jej ze słabości i przywar; jednocześnie przecie uczucia, któremu ten wstęp zawdzięcza swe niepopolite piękno, upaja się rozkoszą i potęgą twórczości, widzi w poezy «matkę Piękności i Zbawienia», gwiazdę, wyróżniającą czoło tych, co ją przechowują w głębinach dusz i uzewnetrzniają w wielkich czynach, jako «mężowie» kierownicy ludu. Wyobraźnia znowu podsuwa cierpiącemu fizycznie i moralnie ten ciągły dręczący go we śnie i na jawie obraz przelotu, katalizmu, którym zakończyć się ma świat dotychczasowy, a w którym poeta bezsilny nie może ani ocalić tego, co pozostało mu drogiego — z przeszłości, ani przewidzieć zakrytej mgłą tajemniczą przyszłości. Cierpi on, ale daremnie, bo rozpaczę jego i westchnienia szatan zbiera tylko, zwiększając niemi sumę swych kłamstw i złudzeń. A jednak, mimo to, poeta tworzy, i to tworzy z zapalem, i przywiązuje tak wielką wagę do swego dzieła, iż przez dwa lata przerabia je i poprawia, a następnie interesuje się żywo wrażeniem, jakie wywołało na czytelników. Zwiększył i podniosła muzyka wysłownia, nie tylko dają wstępowi do «Nieboskiej» świadectwo szczerości, ale zakrywają przed okiem czytelników, a nawet i krytyków, rażące sprzeczności w wypowiedzianych tu myślach, sprzeczności, odbijające tę charakterystyczną niezgodę władz duchowych, której częściowa świadomość wywołuje to krytyczne, ironiczne, satyryczne niemal stanowisko, z jakiego niejednokrotnie spogląda na swego bohatera. Bezpośrednio potem odzywający się sarkazm drwin z młodzieńczych ulud i uniesień, w Chórze złych duchów, brami fałszywie, nieszczerze; uczuć naśladownictwo dość ciężkie modnego wówczas bajronizmu. W prostej, luźnej bardzo budowie tego utworu, potężnego bogactwem i doniosłością treści, ujętej w rany czterech części, złożonych z odwranych scen, przesuwających się przed nami z szybkością obrazów kinematografu i objaśnionych przez zwizgłe, charakterystyczne monologi, czy dyalogi, — zawarł poeta rozgrywający się od lat idku w jego duszy dramat ścierających się wierzeń, uczuć, dążeń, przekonań i urojeń, dramatu, do którego wprowadził zarówno swe obserwacje, nad otaczającymi go ludźmi, swą krytykę stosunków, jak samokrytykę, jak przewidywania przyszłości co do siebie i społeczeństwa, a wreszcie odbicie wrażeń, wywarłych przez odczytywane wtedy utwory Danta, Goethego (Faust), Szyllera (Wallenstein), Wiktora Hugo (Ernani, scena z portretami).

Jest to rezultat kilkoletniej pracy ducha młodego, kilkoletniego procesu rozwoju gorączkowego, nie normalnego, władz duchowych. Sta-

nowisko swoje względem przedmiotu poeta najdobitniej i najwierniej określił w słowach «Męza»: «Ogarniam wzrokiem, raz ostatni podchwytuję myślą ten chaos, dobywający się z toni czasu, z lona ciemności, na zgubę moją i wszystkich braci moich — gnane szaleem, porwane rozpaczą myśli moje, w całej sile swej kółują. — Boże, daj mi potęgę, której nie odmawiałeś mi nigdyś — a w jedno słowo zamknę świat ten nowy, ogromny, — on siebie sam nie pojmuje. — Lecz to słowo moje będzie poezyą całej przyszłości». Czujna myśl krytyczna obserwującego się Hamleta-poety, szepce: «Dramat uciążdaz». A więc w tworzeniu «Nieboskiej», widzi poeta-mąż, jedyny odpowiedni dla siebie czyn, jedyną przeciwnie wrogię mu obozu i jego nienawistnych dażeń. On wyższym, silniejszym się czuje nad mające się ścierać obozy, zdolnością ujęcia chaosu dażeń reakcyjnych i rewolucyjnych w jedno wielkie, uświadamiające je słowo, siłą twórczą zobrazowania, charakteryzującego i pognajującego moralnie te dwa światy. Za przykładem Danta, pragnie zwyciężyć siłą duchową tych, z którymi nie może walczyć środkami materialnymi, przemieść pole walki na arenę, odpowiednią swym uzdolnieniom. Zadanie męża-wodza ma spełnić tu myśliciel-artysta. Pracą umysłu, rozwiniętego przez studia i obfitą lekturę z okresu genewsko-rzymskiego, wzniósł się na stanowisko, z którego zdolnym jest zrozumieć przyczynę i przebieg wielkiego katalizmu dziejowego, mającego położić koniec przetrzonym klasom społecznym i stosunkom, a dać przewagę nowym, chcącym się wydobyć ze swego poniżenia. Chorobliwa wyobraźnia, zostająca w związku z niemożliwościami organizmu, nasuwa mu formę katalizmu, jako nieunikioną, jedyną postać koniecznego przekształcenia społecznego, i każe mu spodziewać się niestannie, pod wpływem występujących we Francji i Anglii pojawów ruchu robotniczego, ogólnego wybuchu, w którym zespolą się pragnienia mas ludowych, plennie dążenia żydów, antychrześcijańskie i antyspołeczne fanatyzmy i orojenia wolnościowców, utopistów, awanturników, wykołajonych. Jako artysta, lubuje się on we wszystkich gwałtownych przewrotach i nadzwyczajnościach. Forma snów gorączkowych, wizji, częstych w życiu ciągle cierpiącego poety, powtarza się niestannie w jego utworach, od najmłodszych lat.

Wizje te mają znamiona, właściwe takim snom, w słusznych ich za tło przestrzeniach, czy budowlach, nie mających granic (podziemia, labirynty, krążanki, szeregi sal, przestwoy rewolucji, obszary wszechświatowe) i w kończących je katalizmami, rewolucjach, wstrząśnieniach, niszczeniach, druzgoczących świat ludzki i jego fizyczne podłoże.

Samobserwacja, rozwinięta w przynusowej samotności i ciemności, na jaką go skazywała tak często długa choroba oczu, doprowadza poetę do samowiedzy i sceptyczno-pessimistycznego przesądzenia o zmienności i słabości ludzkich uczuć, dążeń, wierzeń, przekonań. Mąż-myśliciel wyznaje: «Pracowałem lat wiele na odkrycie ostatniego końca wszelkich wiadomości, rozkoszy i myśli, i odkryłem — próżnię grobową w sercu mojem — znam wszystkie uczucia po imieniu, a za-

dnej żądz, żadnej wiary, miłości niema we mnie, — jedno kilka przeczucie kraży w tej pustyni — o synu moim, że oślepie, o towarzystwie, w którym wzrosłem, że rozprzgnie się — i cierpię tak, jak Bóg jest szczęśliwy, sam w sobie, sam dla siebie». Jednocześnie jednak świadom jest nietrwałości, chwilości tego pesymizmu, który jest także tylko przemijającym momentem, meczącego snu życia. Ażeby żyć życiem rzeczywistym, aby stać się człowiekiem, trzeba otrząsnąć się z tego snu, sdtumieć głos pracującej ciągłej myśli badawczej, odpowiedź widziadła chorej wyobraźni, wziąć udział w realnych dążeniach ludzkości, rwącej się ku swoim celom. Wskrzesać przeszłość, ryć — i piękno średnich wieków — marzenie lat młodzieńczych — na nie się nie zda. «Tego już nigdy nie będzie». Znaleźć w świecie społecznym dusze wierzące, wyższe, na którychby «Mąż» mógł się oprzeć daremny trud». «Ktokolwiek jesteś, powiedz mi, w co wierzysz — łatwiej byś życia się pozbył, niż wiarę jaką wynalazł, wzbudził wiarę w sobie. Wstydziłeś się, wstydziłeś wszyscy, mali i wielcy — a mimo was, mimo żeście mierni i nędzni, bez serca i mózgu, świat dąży ku swoim celom, rwie za sobą, pędzi przed się...» I gdy zrozpaczony ślepotą, groźną jednemu synowi, klęka odruchowo Mąż, by wezwać pomocy wyższej, spostrzega, że wiara utonęła się z jego sercem, że modlić się już nie może, gdyż «Bóg z modlitw a szatan z przekleństw się śmieje»¹⁾. Ta niemoc duchowa, ta utrata wszelkich podpr moralnych w życiu, to kara za błędy przodków, zwiększone własnymi, nowymi. «Do błędów nagromadzonych przez przodków, dodali to, czego nie znali ich przodkowie: wahanie się i bojaźń — i stało się zatem, że zniknęli z powierzchni ziemi i wielkie pomniczenie jest po nich». Chór głosów, tajemniczego sądu duchów w podziemiach św. Trójcy, powtarza dwukrotnie: «Za to, żeś nie nie kochał, nie nie czcił, prócz siebie, prócz siebie i myśli twych, potępiom jesteś — potępiom na wieki». Początek monologu Hamleta (być albo nie być), położony na czele «Nieboskiej», po przytoczonej powyżej myśli «Bezmiennego» (naturalnie samego Krasieńskiego) stanowił, wedle wymąd poety²⁾, przez pewien czas myśli, ciągle powtarzanej przez niego, bo wiernie odwzorowującej stan duszy, której samobójstwo ukazywało się (w latach 1831 do 1833), jako jedyne rozwiązanie i pogodzenie nurtających ją wątpliwości, sprzeczności, tudzież przeciwności, paraliżujących porwy uczucia i woli. Sąd głosów podziemnych i toczący duszę rak zwątpień

¹⁾ W liście do Reeve'a (z 25 sierpnia 1834), pisze: «Od pięciu miesięcy nie zmówiłem ani jednej modlitwy i jednak nie odczuwam żyzgot».

²⁾ W liście francuskim do p. Bohrovvej z 9 grudnia 1834, pisze: «Czy pamięta Pani ten wspaniały monolog Hamleta, który Pani tłumaczyłem... nie, aby dla mnie dorównywało się nieodpartej, mocy magicznej tego wiersza». Dziesięć razy na dzień jest on na mych ustach lub w mojej myśli; jest to jakby pięćdziesiąt magicy, który opasał serce moje... Zdarza mi się, że wygłaszam go przez sen, że choć coś powiedziałem po przebudzeniu się i zamiast tego zaczynam mówić: To be or not be» (Kallenbach, t. II, 277 i 437).

i sprzeczności — nie zaś przewaga nieprzyjaciół, z którymi nie próbuje walczyć — popychają Męża do samobójczego rzuca się w przepaść. W ostatniej chwili widzi on «swą wieczność bez brzegów, bez wysep, bez końca... całą czarną — a pośrodku jej Bóg, jak słońce, co się wiecznie pali — wiecznie jaśnieje, a nie nie odwieca». Ostatni wykrzyk rzucającego się: «Jezu, Maryjo! Pozwó, bądź mi przelęta, jako ja sam będę na wielki, świadczy, iż poeta był świadom zabójczego oddziaływania chorobliwej wyobraźni i wrażliwości na czyny i losy własne. To też Mąż szuka wyzwolenia się z pod tej przewagi, przez oddanie się upotyższonemu, jako ocea rycerskości, uczucia i pragnieniu zemsty, tego ulubionego motywu tylu utworów, ale wie o tem, że uczucie to musi być oparte o wiary jakąś, o miłość jaką silną. Chciałby więc, by w serce jego wstąpiła «wiara w Chrystusa i Kościół jego ślepa, nieublagana, wrzająca», wiara, która była natchnieniem ojców, która ich czyniła «panami świata». Taka wiara dopiero i miłość dla przeszłości, wzbudzić w nim może nienawiść dla wrogów i burzycieli tej przeszłości, wtedy będzie on «palił i mordował wrogów», jako «syn stu pokoleń, ostatni dziedziec ich myśli, dzielności, cnót i błędów». Gdy jednak, bezpośrednio po wypowiedzeniu tych krwiożerczych pragnień, zerknie się z przedstawicielem wrogiego obozu, Pankracym, przyjmie go spokojnie i w rozmowie, a raczej dysypcie, jaka się między nimi wywiąże, słucha chłodno argumentów przeciwnika, nie przeczy im, boć to są jego własne myśli, wyniki rozmyślań nad stonkami społecznymi, lecz zaznacza tylko ich jednostronność i brak syntezy, rozwielającej jutro nową ery i uwalniającej obrane przez Pankracego drogi. Są to daremne marzenia Pankracego, podobnie jak pięknymi utłumami były rojenia Męża o «postępie i szczęściu rodu ludzkiego».

Ten «sznudzony życiem pedant, rycerz, poeta, sługa jednej myśli», jak Męża określa, za zgodą autora, Pankracy, szuka teraz w walce ożywienia, podniecenia w swoim hamletowskim znuczeniu, to też, gdy został wybrany wodzem nacelnym, upaja się rozkoszą chwilowej potęgi i ze szczytu murów zamkowych woła: «Jakże tu dobrze być panem, być władcą — choćby z łóża śmierci spoglądać na cudze wole skłupione naokoło siebie i na was przeciwników moich, zanurzonych w przepaści, krzyczących z jej głębi ku mnie, jak potpieni wołają ku niebu... Dni kilka jeszcze pozostało — użyj ich rozkoszy mej k'woli — panować będę, walczyć będę — żyć będę. To moja pieśń ostatnia!.. Znaki wieszce zgromi mojego, pozdrawiam was szczersem, otwartsem sercem, niż kiedykolwiek wpróżd witałem obietnice wesela, utłudy, miłości. — Bo nie podją pracą, nie podstępem, przemysłem, doszedłem końca życia moją, ale nagle, znielacka, tak, jak kom marzył zawždy». To ostatnie wyznanie rzuca światło na jedną z ukrytych pobudek wstrzymania się w r. 1831 od udziału w walce. Był szeregowiec, nie oficerem nie czuł się zdolnym. Myśl sama o czekającej go w życiu roli pospolitego ziemianina, czy też, pustej tytuł dźwię-

gającego jedynie, dostojnika społecznego, przenikała poetę zawsze wstrętem i oburzeniem. W kilka lat po ukończeniu «Nieboskiej», pisał on, podrażniony zapewne zarzutami ojca: «Co zrobisz? Czy świnie pasę będę? czy strzyż owoce? czy się wytkierzy na doboza? Czy założę fabrykę garnek? — Nie, odzież z brodawką, kołtun spłodzi i za to zrobią mnie powiatowym marszałkiem» (Tarnowski, 263). Ten na tle neurostenicznym rozwinięty hamletyzm objawiał się w życiu wybuchami ironii, sarkazmu lub żartu rubasznego, gdy z apatyi zupełnej przechodził, pod wpływem osób czy wypadków, w stan podniecenia. W tych wyskokach sarkazmu, jak i w całej «Nieboskiej», tkwi, jako ukryta pobudka, chęć usprawiedliwienia bezczynności Męża i wypowiedzenia żalu z zawodu marzeń ambitnych, zarówno przez odwołanie się do bogactwa, lecz w ciągłej rozsterce zostającego ducha, jak też scharakteryzowanie nieszczyśliwych warunków społeczno-politycznych, w których postawili go losy. Samobójstwo jednym było wyjściem dla Męża-Hamleta. Zapewne na tem się kończyło pierwotne opracowanie utworu w Wiedniu. Przyjazd do Rzymu dopiero, odświeżenie niedawnych rozmyślań pod krzyżem w Koleiseum, orzeźwienie duchowe poetę. Zapoznanie się z trzecią częścią «Dziadów» i silny wpływ «Fausta» Goethego (rozwiązanie) nie pozostało zapewne bez wpływu. Krzyż mógł wejść znowu do duszy wznępaliej, i poeta, poczuwając się obroncą «tego, na co się targu wielu hołdów: religii i chwały przeszłości», wizją Chrystusa triumfującego powalił zwycięskiego Pankracego, opramielit pogrom Okopów św. Trójcy i samobójczy czyn bohatera. Wszystkie inne wprowadzone tu postacie i epizody, wraz z charakterystyką obozu ludowego, służą do rozwświetlenia głównej postaci, wydatnienia jej wyśmienoty, odrębności, niemożności zżycia się z otoczeniem, cierpienia i bezowocności porывów i wysiłków, wrzecie odwarzają myśli, spostrzeżenia, wizje kryjącego się za tą postacią twórcy. Całość utworu jest to pesymistyczna wizja własnej przyszłości i oczekiwano przez poetę kataklizmu społecznego. W oszalatej od wysiłku duchowego żonie, w przeczulonym ociemniałym Orciu, odtworzył poeta swoje gorączkowe wizje, porывy uczucia i wyobraźni. Sam już układ utworu nosi piętno płynnej zmienności szybko przesuwających się sennych czy gorączkowych marzeń. W pierwszej części utworu jest 14 zmian miejsca akcji, a w całości przeszło 30. Z tą senną zmiennością scen harmonizuje, jako objaw ze wspólnego źródła — chorobliwego podniecenia — płynący, stała gorączkowa nastrojów i stanów duchowych bohatera, odbijająca się w jego słowach i czynach w jego skargach, zachwytach, wybuchach. Spokojnym względnie jest on jedynie wtedy, gdy w objawach, obserwowanych podczas zwiedzania obozu ludowego, znajduje pokarm dla swej myśli i wyobraźni, gdy jest widzem tylko, a nie potrzebnym działać. Każdy czyn, który musi spełnić, wywołuje w nim rozdrażnienie i przycgnięcie, o ile nie odpowiada on wymaganiom fantazy i pragnieniu władzy i wielkości.

Z pogardą patrzy Mąż-Hamlet na mrówki ludzkie, bawiące się swoim «zdźbielem» i umierające z żalu po jego stracie. To też i wizje jego gorączkowe noszą piętno wielkości, obejmują ludzkość całą i mają wszechświat za tło, dekorację. W tych «padstwach» swoich, zaludnionych, żyjących, garncujących się pod myśl Męża-poety, na «hasło dżwunu nocnego» czuł on się panem, władcą, upaństwowił i rozkoszował się swą potęgą. «Nieskończoność mnie obleje, I, jak ptak w nieskończoności, Błękot skrzydłami rozwieje, I, lecąc się rozemdleję w czarnej nicości». Jedną z tych wizji nocnych, które mi napiełniał już swe genowskie uryki, posługując się dla scharakteryzowania obłędu żony, obłędu, wynikłego z wysiłku duchowego, dla poypsania darta poezji i zdobycia tem serca mego. «Ja ci ogłasza, choć było, gdyby Bóg oszalał... Wszystkie światy lecą to na dół, to w górę. — człowiek każdy, robak każdy krzyczy «Ja Bogiem» — i co chwila jeden po drugim konają — gasną komety i słońca — Chrystus nas już nie zbawi — krzyż swój wziął w ręce obie i rzucił w otchłód. — Czy słyszysz, jak Krzyż ten, nadzieja milionów, rozbija się o gwiazdy, hamie się, pęka, rozlatuje w kawałki, a coraz niżej i niżej — aż tuman wielki powstał z jego odłamków».

Przy tragicznej zwięzłości, niepospolita potęga, wstrząsająca ekspresja nie tonów już, lecz loskotów i gramotów kosmicznych, cechuje ten świetny obraz. Odbiciem znowu nieopuszczającego poety przewidywania tragicznych losów osób, związanych z jego życiem, jest choroba i zgon Orcia, tudzież choroba i zgon Orcia. W objawach cierpienia i halucynacji Orcia odtworzył własne obserwacje, odczucia i widzenia, zapewne. Stąd ta prawda w charakterystyce, stąd świeżość i nowość tej postaci. Lektura, w części i obserwacja, dostarczyły pocie rysów jedynie do obrazu obca ludowego. Rysy te, zalane w wyobraźni tragiczno-hamletycznej, wytworzyły całość, przesuwającą się przed naszymi oczyma z szybkością wizji, utrzymanej w granicach możliwości realnej, oświetlonej krwawo-płomienistymi błyskami i przepłatanej głosami i zjawiskami nadziemskimi. Refleksje Męża zwalniają bieg gorączkowych obrazów i wprowadzają do tej wizji światło dzienne, realne, myśl rozsądną, sądzącą. Siła, jasność pożądaną i namienność, wywołanych w masach ludowych, zostaje zresztą w harmonii z podobianiami uczuciowoci, labującej się w najwyższych stopniach, tonach, krańcowych położeniach.

Nie tylko same warunki rozwoju duchowego, odbywającego się w centrach kulturalnych Europy (Genewa — Rzym) pod wpływem otoczenia cudzoziemskiego, prądów umysłowych, religijnych, społecznych, wstrząsających środkową i zachodnią Europą, ale sama natura artysty poety, właściwości jego duszy, pociągają go zawsze ku ideom ogólnoludzkim i ich odbiciu w wielkich przewrotach dziejowych, ku wszechświatowej widowni, przestworom nieskończoności. W tej dziedzinie szukać będzie rozwiązania zagadek bytu indywidualnego i losów własnej ojczyzny. Sztuka jest dla niego nie celem, lecz środkiem jedynie,

jest on «wcielaczem idei» przedewszystkiem, gdy Słowacki goni za piękniem, jest czarodziejem, wywoływaczem coraz to nowych postaci, położań, krajobrazów.

Doniosłość «Nieboskiej», jakojawu twórczości duchowej w literaturze polskiej i powszechnej, polega na tem, iż jest ona szeregami świetnych odtworzeń, przeżytych przez duszę poety, najboleśniejszych kolizji życia indywidualnego, rodzinnego i społecznego, kolizji, polegających na sprzecznościach między siłą niskich popędów i słabością woli, cechującą ogół ludzi, a podniosłością ideałów, pociągających jednostki meżące się daremnie nad ich wieczeniem. Bogactwo skoncentrowanej ta treści, tudzież, związana ze stanem duchowym poety forma wizji, nie pozwoliły przyoblec pomysłowi w jedną z ustalonych form poezji, a zmusiło do kombinacji wstępów lirycznych, monologów, wyrażających nastroje uczuciowe i związane z nimi myśli poety, z realnymi odbiciami rzeczywistości i wizjami kataklizmów rodzinnych i społecznych. Po raz pierwszy tu dusza polska ogarnęła i odtworzyła z ogólnoludzkiego stanowiska doniesie zagadnienia bytu.

Po ukończeniu «Nieboskiej», w której poeta po raz pierwszy wypowiedział, w całej pełni i z niepospolitem mistrzostwem, nagromadzone pracą i cierpieniami ducha i ciała, własne przeżycia, odczucia i przemyslenia, doniosłością swą i głębokością mogące interesować każdą głębszą duszę, popadł on w naturalny po tym wysiłku stan wyczerpania i depresji. W liście do Reeve'a (luty 1834) tak mówi o sobie: «Jestno najogromniejsza nuda (Kampania rzymska) jaką znam, nuda najlepiej wyrażona. Jest tam milczenie, zesterzenie się, ogrom — wszystko razem. Ruiny przechodzą zwolna w proch... Wszystko jest oswiale, bez nadziei, postępu, wszystko stoi w miejscu... albo raczej wszystko zwolna idzie ku nicości; ja i Kampania rzymska tworzymy jedność». Danielewicz w liście do generała, z tego czasu, widzi w Żygmuncie: «wyrafinowany, rozumowy egoizm, którego najlepsze serce, najpoczciwsze dyspozycje przezwygody nie mogą, który nigdy z siebie oka nie spuszcza i w każdym momencie próbuje się i pasuje się sam z sobą». W innym znowu liście powiada o swym towarzyszku i pupilu poniekąd: «Ta mieszanina rozmaitych elementów: świętego czasami rozumu, na subtelne sofizmaty marnotrawionego, obok niepojętego, w małych rzeczach, nierozsądku, nadnaturalnej odwagi, niepotrzebnej, obok moralnego tęczarstwa, dobroci serca nieograniczonej, obok lekomyślności... jest dla mnie niepojęta. Albo to jest niezmiernie słaby charakter, który się okupuje najmocniejszą walką z samym sobą, albo też jest to jakieś wielkie przeznaczenie, które jeszcze swego zawodu nie znalazło, a w dotychczasowym mu ciasno... Bóg sam to wie i sądzić go będzie. To tylko jest realne, że jest bardzo nieszczęśliwy i wciąż się męczy... o bagatele, któreby każdy drugi pominął». Mężąc się sam, zamęczał i najbliższych, którzy mimo to nie przestawali go kochać dla niepospolitych zalet tej bogatej a chorej duszy, potrzebującej ciąglej zmiany miejsc, nowych wrażeń, przeciwdziałają-

cych, bądź jednostronnym krańcowościom myśli i kierunków wyobraźni, bądź też również gwałtownie występującej nudzie i apatii. «Jaskółczy niepokój» bezcelowego życia u Słowackiego przybierał u Krasńskiego charakter rozpaczy i depresji. W takich momentach spotyka on kobiety, które stają się deską calenia dla pogrążonego w apatii, czarnych przewidywaniach i rojeniach o bliskiej śmierci. W sam dzień Wielkiejnocy, w Rzymie, 30-go marca 1834, został Krasński wprowadzony przez Edwarda Jaroszyńskiego do domu Bobrów-Piotrowickich, zamężnych obywateli z Wołynia. Pani domu, Joanna z Morzkowskich, niezwyklej urody i wdzięku kobieta, łącząca z ogładą światową wielką dobroć, pociągnęła od razu poetę, młodszego od niej o pięć lat. Wyszedłszy młodo za mąż, była już w 27 roku życia, a 10 małżeństwa, matką dwu córek. Mąż, marszałek szlachty, hulacczymi upodobaniami swemi nie mógł zdobyć serca i szacunku kobiety, której dusza, rozwijawszy się pod wpływem podróży, książek, odczuwać zaczęła podniesiejsze aspiracje. Zarówno cierpienia fizyczne, jak moralny stan pani Bobrowej, skłaniały ją do ciągłych podróży i stałego niemal pobytu zagranicą. Zetknięcie się z poetą-Hamletem musiało obudzić wzajemne sympatyje dwu tych potrzebujących siebie dusz. Ona znalazła w nim człowieka, ku któremu mogła zwrócić swe wyższe pragnienia i rojenia, rozciągnąć na niego wpływ, z pod którego wymykał się poziomych upodobań matę; poeta znowu znalazł w niej bodźcie, wyzwalający go z męczącej apatii, nudy, współczującą i współcierpiącą, dobrą i egzaltowaną duszą, przed którą mógł śmiało i swobodnie, niż przed męskimi przyjaciółmi, dramatyzować swe losy, wyrzucać swe rojenia, wizje, pragnienia. Upojeni swoim szczęściem, przekroczyli łatwo granicę, dzielącą duchowe pożądania od fizycznych popędów. Obrócić tradycję przeszłości przeciw «holyszm» rewolucyjnym, sam zburzył podstawy moralne rodziny cudzej, wnosząc w nią rozkład, ona znowu, jak Metella w «Frydonicie», pragnąc zbawić jego duszę, oddała mu na czas jakiś w swojej miejscce, jakie zajmował w niej Chrystus. Zwyklej prawem reakcji, po upojeniach i egzaltacji pierwszych momentów, dni majowych, spędzonych w Wenecji, nastąpiło ochłodzenie i znudzenie.

Zarówno ciało, jak i dusza po nadmiarze pobudeń — smutnicze i słabnie. «Przyznaje, jużem zmęczony, pisał do ojca w lipcu tegoż roku, choć ja szczerze kocham i winienem wdzięczność za tysiączne jej dobroci...; w tej kobiecie jest jakieś miłosierdzie anielskie... Dosyć głupią rzeczą jest mieć stosunki z istotą niewolną, otoczoną przeszkodami; więcej przykrejśi, niż przyjemności. Trza cały dzień być na służbie». Danielewicz jednocześnie skarzy się przed generałem, że mu «sił brakuje» do pełnienia obowiązków przy Zygmuncie, który «nigdy z siebie nie wychodzi». Dnia 8 sierpnia 1834, po wyjeździe pani Bobrowej z Frankfurtu, pisze poeta-kołochanek do ojca: «Pani sama była wciąż fatalnego humoru, ... spazmy, łzy i długie milczenie. To wszystko bardzo mi serce rwało, bo ja szczerze kocham, bez zła

wyobraźni. Nawet odetchnąłem, kiedy odjechała. Tęskno mi za nią, ale jakoś wolniej się jestem». Danielewicz w swym liście z tego czasu robi uwagę, że Zygmunt, «zmarłszy z nudów wyrwał panią B. jeszcze jej nudów przydaje». Słowem, zamęczał się oboje nawzajem, a nawiązanych węzłów nie chcieli i nie mieli siły zerwać. W liście do Reere'a poeta z pewną chłutą rozpisyje się o tym stosunku, rad jest, że prowadził «życie, upiększone poezją chwil dorywczych, wnoszący się na przemiany do tragizmu, a potem spadający w buffo, żywot, utkany z zachwyty i uragań, ze słabości i egzaltacji, z blaźnawości tego rodzaju, jako moda, wstążka, plotka, i z rzeczy powońnych, urozyczeń, jak uwiędzenie, upojenie miłosne, zgryzoty cnotliwej kobiety, która się poświęciła... tysiąc oczekiwań na szczęście... raz spełnionych, wreszcie rozpacz, zwykle zakończenie podobnego dramatu, gdzie, jak mówi Balzac: «Dwie piękne dasze rozłączone są przez wszystko, co się nazywa prawem, a złazone wszystkimi pokusami przyrody... Od pięciu miesięcy nie zmówiłem ani jednej modlitwy, jednak nie odczuwam zgryzoć... Zdrowie moje poprawiło się, a śród tysięcznych obaw i oczekiwań nerwy moje wzmocniły się. Chciałem żyć i żyłem... Ponieważ to, co się stało, nie było nigdy towarzyszką zabawą, ale owszem dramatem smutnym, rzeczywistym, namiętnym, fatalnym, silnym, muszę się teraz spodziewać kary surowej i długiej. Niech i tak będzie». Ciężawe te wyznania świadczą, jaką dumą i zadowoleniem napełniała duszę tego, rojącego o wielkich czynach, lecz słabą wolą i chorymi nerwami obdarzonego Meża-poeta stwierdzenie swej energii i wpływu, przez opowanie kobiety chorej, wrażliwej, nieszczęśliwej w pożyciu małżeńskim. Jednocześnie w liście do ojca, wobec którego nie pozuje na Don-Juana, z rzadką szczerością i świadomością tak objaśnia swój impulsywny charakter: «Z ludźmi, których znam od dawna, choćbym najserdeczniej ich kochał, staję się martwym głazem, milczącą istotą. Tak przy końcu i z panią B. było... Niechże się trafi nowy człowiek; wtedy nie rozumiem, jaka się siła budzi we mnie bez wiedzy mojej. Miłość własna staje na straży, jak anioł, wszystkich słów moich, myśl moja pomimowolnie się wyteży, prawie bez rozkazu, staje się mocną. Ja czuję wtedy nieraz, że stwarzam, że wynajduję nowe widoki, stosunki, uwagi. Im mój słuchacz bardziej się dziwi, tem więcej rosną w moc, w wymowę... jakby inspiracja jaka spadła na mnie — a kiedy go przekonam, żem silny, leniwieję... Sam nigdy tak dzielnie nie myślę, nie zdołam nigdy w samotności tak myśleć; trza mi bodźca... Co to się znaczy, że niby ja wszystkich rozumiem, a nikt mnie? Czy to czasem nie znaczy, że ja nie jestem indywidualum, że nie mam własnego charakteru, ale że mam wielką drażliwość nerwową i moralną, jak kobieta; co robi, że mogę wleźć w każdego uczucia na chwilę. I kobiety dla tych samych przyczyn, nikt nie rozumie». (Listy z 12 paźd., i 11 listop. 1834 r.).

Męska trzeźwość i siła umysłu w chwilach równowagi, przy uczuciowości kobiecej, chorobliwie jednostronnej, w sferze wizji zamkniętej wyobraźni i słabej woli — oto właściwości duchowe, których

świadom był sam poeta, nie mogący doprowadzić ich do harmonii, zarówno w swoich utworach, jak i w swoim życiu. «Smutne to dzieństwo (chorobliwość) zapisała mi matka moja wraz z imaginacją jeszcze smutniejszą... Zanim zniknę z sceny, chciałbym tu zostawić coś, coby mnie przypomniało tym, co mnie znał...; na kilku stronach chciałbym zawrzeć wszystkie me idee, marzenia, wszystkie pragnienia dalekie, które, czuję to, nie ziszczą się nigdy. Co było myśli moich celem, radbym w słowo silne i majestatyczne wcielił». (List francuski do p. Bobrowej z 9 grudnia 1834 r.).

Oczekując niestannie przewidywanego bliźkiego zgonu, poeta-Hamlet chce swą najdroższą ideą lat młodzieńczych, ideą zemsty za krzywdy ojczyzny, zemsty wywołanej, przez obalenie potęg krzywdzicieli, urzeczywistnić w jedynę, dostępną mu sferze, tworzenia poetycznego, idealnej realizacji na tle dalekiej przeszłości dziejowej, jak w «Wallenrodzie», ale w miejscu, czasie i warunkach, które nadadzą postaci i czynom właściwe znaczenie ogólnodziejowe, piękność i blask koncentrujących się w jego akty najdonioślejszych czynników dziejowych, jak hellenizm, rzymska potęga i chrześcijaństwo. Przedmiot taki odpowiadał najlepiej zarówno upodobaniem lubującej się w kataklizmach wyobraźni, jak skłonnościom umysłu, zwracającego się do historyzoficznych dociekań, wreszcie ambitnym bohaterstkiem rojeniom młodzieńczym o roli i czynach wodza w wielkich wypadkach. Myśl, zrodzona niewątpliwie pod wpływem wypadków r. 1831, znalazła wcielenie w postać Irydyona, już w początkach r. 1832, podczas pobytu w Petersburgu. Pierwotne opracowanie zniszczone zostało po napisaniu. O ile pozwala wnosił współczesny fragment, skreślony w Petersburgu p. t. «Synteza», idea rezygnacji, pozostawienie wymiaru kary biegowi dziejów, przeważała nad ideą niewykonalnej zemsty. Postępowanie okrutne zwyciężców w latach następnych (po r. 1831), podniecające działanie «Dziadów» (część III) i «Kordyana», przytem oddziaływanie rozgłosu «Nieboskiej», wszystko to złożyło się, przy hamletowskim nastroju duszy i osłabieniu uczuć religijnych, na przechylenie szali, na stronę idei zemsty, w opracowaniu ponownem z roku 1834 i 1835. Dopiero pod wpływem wzmocnienia się uczuć religijnych, do czego się zapewne przyczyniła p. Bobrowa, (co stwierdza prócz stosunku Kornelii do «Irydyona» i «Modlitewnik», pochodzący zapewne z r. 1836), poeta ugiał czoło przed ideą chrześcijańską i modlitwą Kornelii wybrał bohatera z pod władzy Masynisy, by posłać go na «próbę powtórna», do «ziemi mogił i krzyżów». Zakonczenie to dodał poeta w ostatniej chwili, przed oddaniem utworu do druku w r. 1836.

W porównaniu z «Nieboską», której osnowę wypełniają przeżycia, odczucia, rozmyślenia i wizje poety, «Irydyon» zbudowany jest z materiału, dostarczonego głównie przez bogatą lekturę, obrazy i wspomnienia tak dobrze znanego poecie Rzymu, a w mniejszej części przez osobiste przeżycia, głównie z dziejów stosunku z p. Bobrową zaczerpnięte.

Ścisłe określenie miejsca i czasu, miejsca, dobrze znanego poecie z dłuższego, dwukrotnego pobytu, i epoki, znanej mu z rozległej lektury, prac historycznych, z oglądanych również zabytków sztuki i kultury, nie pozwalało, jak w «Nieboskiej», postąpić w formie wizji, szybko przesuujących się obrazów, szkieletowo zarysowanych, nie związanych z warunkami chwili i widowni. Poeta pragnie tu ideą swą wcielić w silne i majestatyczne słowo, nadać temu wcieleniu możliwą pełność życia realnego i piękno wykończenia artystycznego; ma to być, w przekonaniu poety, jego ostatnie słowo, pożegnanie ze światem, przed znięciem na wieki. Podniecony tą myślą Hamlet, gardzący mruwczą ludzkością, przekształca się w bohatera, pracującego i poświęcającego się dla szczęścia tych mroczek. Irydyon nie czeka, jak hrabia Henryk, aż władza spadnie na niego albowiem, bez zabiegów i starań, jako należąca się mu, z prawa urodzenia i wyższości duchowej, on do tej władzy dąży wszelickimi drogami. Któreśniewi postęgiwali ambitni działacze polityczni, wodzowie wielkich rewolucji. Przejęty przybraną rolą, wcielił się z całą siłą zapachu i uczucia w tę nową postać, lecz od czasu do czasu, odsłania się z pod maski Irydyona cierpiące oblicze zwątpiałego Hamleta. Ponad podziwianiem zemsty, ciążącemu zresztą, jako przekazana mu ostatnia wola ojca¹⁾, podniecanem przez Masynisę, góruje w sercu Irydyona-Hamleta inne, odpowiadające więcej potrzebom znudzonej, cierpiącej, rozstrojonej duszy — pragnienie uwolnienia się od mąk i ciężarów życia przez sen letargiczny, czy też «lekkie bezbolesne rozczucie wiążących go z życiem nici». Przespać czarne, ciężkie lata i wieki i obudzić się wteży, gdy życzenia naszego serca ziszczą się w przekształconych, trudem licnych pokoleń, stosunkach ziemskich, oto marzenie i pragnienie, odczuwane i podzielane przez tysiące szlachetnych, lecz słabych, niezdolnych do czynnego życia dusz. Irydyon działa wprawdzie wobec ludzi, których chce pociągnąć lub zwalczyć, zapala się i wymownie popiera swe zamiary, lecz, w chwilach samotności, odsłania nam swą przegryzoną zwątpieniem, znudzoną, cierpiącą duszę, spragnioną spoczynku, letargu czy zgonu.

«Trzykroć darty i dziesiętkroć przerywany», wedle własnego, nieodko może ścisłego, wyreczenia poety, nie przedstawia «Irydyon» tej jednolitości od razu dokonanego aktu twórczego, jakim była «Nieboska», bo nie był wiernym odlewem kształtów ducha poety, ale przybraną, ciągnącą mu formą, rolą, narzuconą przez spadek po przodkach, podjętą dla zadowolenia rosnącego w Krasńskim zapachu dla twórczości artystycznej, mającej zastąpić inne zamknięte lub niedostępne mu drogi

¹⁾ Można by domyślać się echa zaklęć i napomnień, dawanych w latach dziecinnych jeszcze poecie przez ojca, w słowach Amfilocha, powtarzanych przez Irydyona, w rozmowie z Kornelią: «Nie uchylił czoła, nie stracił wiary w złej godzinie — w dobrej nie przebacysz, nie zaprzestaniesz, ale przejdiesz po zwłokach rzuczonego, aby stojących obalać. — Nie miej smutku ani słabości, bo jako księżyc na niebie, tak dzieje narodów na ziemi wzrastają, by maleć.

i pola. Kiedy w «Nieboskiej» przemawia do nas człowiek czujący, myślący, cierpiący, to w «Irydyonie» przemawia artysta, poeta, starający się uniesmiertelnilić pięknem formy drogą, mu ideą i świętą swę przeżycia, swą miłość dla pani Bobrowej. W postaci Elsinoe, siostry, współpracownicy, pomocnicy Irydyona w jego działalności, można by dopatrywać może rysów pani Żalaskiej, niedawnego przedmiotu uczuć poety, o ile postać ta została stworzoną przed poznananiem pani Bobrowej, która mu dostarczyła modelu do wizerunku Kornelii i materiału do pięknej, muzyką uczucia i tem krótkobrazu rzymskiego (ogrody cesarza — pod posiegiem Dyany), rozmowy Irydyona z Elsinoe, uskarżającej się na swe ciężkie losy i złośliwie i nienawistnie sądy ludzkie o niej. Dotychczasowe miłości poety nie wzbudziły w duszy jego pełnego szczęścia i radosnego upojenia, któreby podnieśli go do uniesmiertelnienia tych chwil w odtworzeniu artystycznym. Hamletyzm nie dozwalał na to. «Mąż» nie znajdując szczęścia ni w pogoni za marą idealnej miłości, ni w pożyciu z wybraną, odpowiednio do wymagań rodowych, małżonką: Irydyonowi towarzyszy Elsinoe, siostra, związana z nim duchowo wspólnością celu, węzłem wspólnych uczuć dla ojczyzny. Kornelia znowu pragnie zbawić jego zwatpiął, cierpiącą duszę («uwiośnić ją») i przez miłość dla Irydyona gotowa jest walczyć za jego sprawę, popierać jego dążenia. Irydyon prosił tego poparcia, lecz nie odwzajemnia się równem uczuciem, nie chce poddać się temu «uwiośnieniu» swej duszy, nie chce, czy też nie może rozstać się ze swym tragiczno-hamletycznym nastrojem. «Ja dzieckiem tylko być zdołam przy Tobie na chwilę, znikam, jak fala, co nie wróci nigdy. — Za okręgiem twoich spojrzeń we krwi ja broczęj będe — trawa nie porośnie, gdzie mój kół przeleci... Ani ty, ani nikt na ziemi nie wydrze z piersi moich pragnienia, które je podziiera». Ułożony dla p. Bobrowej Modlitewnik, którego próbką jest włożona w usta Kornelii modlitwa («Serce biedne, nie moje, nieznane serce», i t. d.) świadczy, że wpływ jej na Irydyona-poetę, pod względem religijnym, nie został bez skutków. W monologu Symeona, pragnącego opanować świat dusz, by rządził nim w imieniu Boga, by podbił dla Chrystusa wszystko, co się zowie ciałem i uczynił swego ducha odbiciem ducha Chrystusowego, jest niewątpliwie wyraz budzących się w duszy poety porywów chrześcijańskich. Jak Słowacki, tak i Krasiński swe stany duchowe, myśli, uczucia, rozdziela między różne postacie swoich utworów, nie ograniczając się na samym bohaterze. To też nawet i przez usta Masyńskiego wypowiada nieraz własne myśli i porywy. Postać ta, przypominająca modne w ówczesnych romansach i poematach demoniczne figury czarnych rycerzy, czarnych myśliwych, tajemniczych Nieznajomych, wprowadzona na widownię wszechświatowych wydarzeń, epokowych przetworów dziejowych, musiała urosnąć na przedstawiciela nie tyle zła, ile nienawiści i zemsty, jako czynnika życia dziejowego ludzkości, czynnika, którego przezwyciężyć dotąd nie zdołało chrześcijaństwo w swem dwutyścioleciu istnienia. Walkę tę i siłę nienawiści obser-

wował poeta w swoim sercu, przyznając się do większej sympatii dla pognańskiej części Irydyona, niż dla chrześcijańskiej «filozoficznego» rozwiązania. W utworze samym poeta waha się między ideą zemsty a rolą ofiary ekspiacyjnej. Irydyon w chwili oddania siostry Hellogabalowi woła: «Niech ona będzie przedostatnią ofiarą, wydaną na pastwę Rzymowi, a ja z tyłu nieszczęśliwych, wybranych po wszystkich stronach ziemi, wydartych groźbą i mękami, zapomnianych po mękach i zgonie, niechaj będę ostatnią». Myśl ta, rozwinięta później w osobnym poemacie («Ostatni»), jest wprost sprzeczna z zamiarami i dążeniami Irydyona, mściciela, pracującego nad obaleniem potęgi Rzymu. Jeszcze ostrzejszym dysonansem razi nas monolog Irydyona, kończący część pierwszą. Taki wybuch rozpaczy u człowieka, rozpoczynającego z całą energią i zapalem realizowanie wielkiego dzieła, w chwili kiedy osiąga środki, zbliżające go do celu, nie da się usprawiedliwić, o ile nie przypuścimy, że pod maską i tuniką bohatera Greka, ukrywa się Mąż-Hamlet, przerywający na chwilę odgrywaną rolę, by dać upust tłumionym cierpieniom. Takż samą rolę jest posłannictwo, dane Irydyonowi w epilogu. Najwerniejszym wyrazem pragnień poety, dręczonego chorobą, rozterką wewnętrzną, bezczynnością wędrowniczego życia na obczyźnie, — jest wielokrotnie wypowiediane pragnienie smu wiecznego, letargu czy też bezbolesnego rozpalnięcia się, «zanurzenia tam, gdzie miliony». Poeta wie, rozumie, że obowiązkiem jego jest żyć i działać «na ziemi mogił i krzyżów», ale świadom jest też swej niezdolności do tego posłannictwa i z tej rozterki wewnętrznej chciałby się wyzwolić najprędzej, przez zniknięcie z widowni ziemskiej. Wyjaśnienia, rozwinięte w liście do Gaszyńskiego (z 6 czerwca 1837), w rok po ogłoszeniu drukiem «Irydyona» i w odpowiedzi na zarzuty Ulrycha, odbijają zmienione już pojęcia, stojącego na stanowisku, zajętem w epilogu, doczepionym w ostatniej chwili. Dwa lata wcześniej, przy tworzeniu, nie pojmował on z pewnością Masyńskiego, «jako pierwsiawka wszczęłego, które ciągle przemienia się koniecznością samego stworzenia na dobre, ... który wiecznie walczy, wiecznie pobity, w mgłę się rozehodzący, ma chwile swoje piekielne, zbrodnicze, złośliwe». Przeciwnie, ten tajemniczy władca Numidii jest osobieniem majestatycznym zemsty, jest ojcem duchowym Irydyona, «syna zemsty», jest wyrazem protestu przeciw chrześcijańskiej zasadzie rezygnacji, przebaczenia, stojącej na zawadzie młodzieńczym, rycersko-patryotycznym, rojeniom i porywom młodej duszy. W późniejszym hamletowskim nastroju, idea chrześcijańska wydaje mu się bolesną ironią wobec rzeczywistości stosunków ludzkich; upojenie się szaleem zemsty nęci chorą duszę, jako jedyny środek wyrwania jej z odrętwienia letargicznego. To też Irydyon pragnie stać się «nadczłowiekiem», mówiąc językiem dzisiejszym, chlubi się z tego, że niema w nim «ni skazy litości, ni plany żalu», że wszystko, co świętem i lubem było dla drugich, było zawsze dla niego «świętokradztwem». Masyńska zaś daje mu modną dais i nieustannie powtarzaną receptę przetworzenia się na półboga: «Idź

naprzód, panuj zwierzęciu w sobie, naczaj się być samotnym na ziemi, jako on jest na szczytach świata: naczaj się cierpieć, jak cierpią Duchy potężniejsze od ciebie». Masynissa na pytanie Irydyona: «Czemże jesteś», odpowiada «Bogiem». Charakter szatana, walczącego z Chrystusem, daje poeta Masynissie dopiero w ostatniej scenie części czwartej, może dopiero w ostatecznej przeróbce dla zharmonizowania z zakończeniem. I w epilogu jeszcze budzi Irydyona głos Masynissy, wołający: «O synu!». Niejest to więc Mefisto, kusiciel, jakina okazuje się w ostatniej scenie, w układzie o duszę, lecz ojciec, opiekun przyjazny, opora słabego duchową rozterką Irydyona. Zapewno, po skonczeniu utworu, w poprzedniej redakcji, nasunął się musiała pocię myśl, iż rozkosz, jakiej szuka bohater w zadowoleniu pragnienia zemsty, ma swe źródło w miłości dla Grecji, która potęguje i uszlachetnia to dzikie uczucie, że więc Hamlet-Irydyon ulegał złudzeniu, mniemając, że wyrwał ze swego serca wszystkie, co było lubem dla drugich, że siłę swą i wielkość zawdzięcza potędze nienawiści, że więc, jak w jego duszy, tak w dziejach świata miłość ostatecznie zwyciężyła rasi. I tłumione sztucznie może nieco uczucia religijne znowu znalazły swe ujście w «filozoficzmem», jak go poeta nazwał, rozwiązaniu dramatu. Gdy w «Nieboskiej» rozwiązanie chrześcijańskie wynikało z poczucia solidarności z wierzeniami przodków, z chęci przeciwstawienia sztucznie podnieconej wiary w duszy wziępiałego, niewierze «hołszów», to w «Irydyonie» podziałal zapewne wpływ pan Joanny — Kornelii, której modlitwa wywabia bohatera z mocy Masynissy.

Pod względem artystycznym «Irydyon» przedstawia szereg przeżyć i odczuć własnych poety, odwróconych z nieporównaną prawdą, siłą i muzyką słowa, wplecionych między szersze rozmiary ustępy roboty literackiej, obfitujące w starannie zestawione i skombinowane dane archeologiczne i historyczno-polityczne — obrazy świata rzymskiego i chrześcijańskiego z epoki Heliogabala. Obfitość szczegółów, zebranych przez rozległą lekturę i zaznajomienie się z zabytkami, przechowanymi w muzeach, ruinach i katakumbach, pobada poetę do zbyt szerokiego i drobiazgowego odzwierciedlenia dla dekoracyjnego i obrazów życia, odwracających uwagę od niłkającej śród zamętu osób i faktów postaci i działalności bohatera. Jak w «Świecznikach» Sieniradzkiego pałac Nerona i przepych dworu jego prynciessawia blaskiem marmurów, płam barwnych, efektów światła — mało wydatne postacie męczyńskich chrześcijan, tak i w utworze Krasńskiego dramat Irydyona, utkany przeważnie z przeżyć, odczuć i pragnień poety, przygwieziony bywa wielokrotnie przez szeroko rozwinięte obrazy kulturalno-historyczne, rozprawy, objaśniające stosunki wewnętrzne i pojęcia ówczesne. Najważniejszym momentem akcyi Irydyona, najbliższym wyrazem jego nienawiści dla Rzymu, realizacją jego zemsty, tak starannie, z takim zapalem przygotowywanej, jest nie czyn, drugoczoję Romę zienawidzoną, lecz dysputa z Ulpianem, wygłoszenie akta oskarżenia i zroku potępienia na Rzym i symboliczne zniszczenie tego państwa, przez zu-

cenie w ogień pierścienia-talizmana Cezarów. Jest to powtórzenie, spogiewane przez udział chóru i akt symboliczny, walki-dysputy między Męgłem a Pankracym. Muzykalność poety, rozwijająca się w związku z jego uczuciowością, pod wpływem wysoko muzycznego Danielewicza i zaznajomienia się w Wiedniu i we Włoszech z arcydzielniami tej sztuki, staje się jednym z głównych czynników jego artysty, nadaje jego wyrażeniom uczuciowym i wizjom brzmieniostkę, falowanie, pęd, stopniowanie symfoniczne. Stąd tak często i chętnie posługuje się poeta chórami, które swymi silnymi akordami okrzyków, czy też zwielżymi frazesami, podpierają i urozmaicają recitativa monologów i dyalogów. Wstęp, stony katakumbowe drugiej części, epilog, swą niepospolitą piękność zawdzięcza tej muzyce słowa, tej symfonii, wzruszającej dyalogom i wyrażeniom. Muzyka ta znika tam, gdzie poeta-historyk rozacza nam obrazy życia rzymskiego, nie budzące oddźwięku w jego wrażliwej duszy, obrazy, interesujące myśliciela jedynie.

Ogólno-ludzka doniosłość idei, wielonoje w «Irydyonie», potęguje siłę i piękność zespalających się z nią myśli narodowej, przebijającej się w różnych chwilach dramatu!) i wysuwającej się na pierwszy plan w zakończeniu, odsłaniającym w sercu poety-Hamleta, obejmującego rozpaczonym uściskiem krzyż w sercu poety-Hamleta, obejmującego rozpaczonym uściskiem krzyż w sercu poety-Hamleta, obejmującego rozpaczonym uściskiem krzyż w sercu poety-Hamleta, wobec cierpięń ojczyzny, tej «ziemi mogił i krzyżów», wraz z pragnieniem ofiarnego trudu dla agotowania jej lepszej przyszłości.

Stan rozpacz, beznadziejności, letargicznej apatii, trwał długo nie może w duszy ludzkiej. Albo doprowadza do samobójstwa, choroby umysłowej, albo wywołuje reakcję, chwytanie się jakiejś deski ocalenia, pozwalającej rozbitkowi stawiać opór miotającym go falom. Uczucie religijne, wracające ciągle i z coraz większą siłą do duszy Krasńskiego, pomimo niszczącej jego treść pojęciową myśli krytycznej, mimo wpływu Herdera i filozofii niemieckiej, wstrętu do książki, wyzwala go z piekła rozpacz, odpedza samobójcze pragnienia. Uczucie to znalazło swój najwymowniejszy, najszerszy i najgłębszy wyraz w «Modlitewniku», skreślonym dla p. Bobrowej, dla której otwierał najgłębsze i najtajniejsze zakątki duszy. W ciekawym liście do ojca (z 16 sierpnia 1835 r.) pisze: «Jedyna to kobieta, która mnie kochała właśnie za to, że co kobiety nienawidzą, która przywiązała się do mnie przez litość nad moją konstytucją fizyczną i moralną. — Ona wpróż nędzę poznała, niż się... i właśnie do tych nędz się przywiązała raczej, jako matka, niż jak kochanka... Elle m'a aimé parce que j'étais faible et malheureux. Za to jej wdzięcznością najwzniejszą winienem». To też w modlitwach, dla niej układanych, choć starał się niekiedy przystosować do potrzeb jej duszy (Modlitwa za dzieci),

⁵⁾ W charakterystyce Hellady, która «szabłą swoją» odpedzała barbarzyńców, w wykrzyku Irydyona, w chwili, gdy, polecając zatknąć nad ziemi, «czuć», wywołując w duszy czytelnika polskiego rytm i słowa znaną pieśń: «Cześć polskiej ziemi, cześć!».

przeważnie wypowiada treść własnego serca, jęki, skargi i błagania cierpiącego, zrozpaczonego ducha. i to ze szczerością, prostotą, jakiej nie spotykamy w wyneurzeniach, rozproszonych po listach i utworach. Niektóre ustupy dorównują pięknością porywom uczuciowym «Nasładowania Chrystusa». Takim jest naprzykład rozmyślanie o Krzyżu w modlitwie «podczas Mszy». «Krzyż Twój to dzieje nasze. W każdym sercu ludzkim ta tajemnica powtarza się codziennie. W każdej rodzinie, w każdym narodzie. W Ludzkości całej tylko nie, boś Ty ją zawił i wiedziesz ku szczęściu wiecznemu. Ale dla rodzin męczą się syny i córki i ojcowie i matki. Dla narodów męczą się obywatele i wodzowie i sędziowie i kapłani ludu. Dla Ludzkości całej codziennie męczą się narody i umierają w bólach, rozpaczając. Krew Twoja leje się co chwila. Ciało Twoje przebite co chwila. Każda myśl, co bląka się i zmaga ze światem, cierpi w Tobie. Każde serce, co pęka, rozdziera się w Tobie. Na milionach krzyżów, od bieguna do bieguna, miliony męczenników konają w Imieniu Twojem na podobieństwo Twoje. Nim Ty umarłeś, śmierć i ból hańbą były. Od dnia Twego skonu stały się chwałą i nadzieją... I ja krzyż mój noszę, i ja gwoździe czuję w dłoniach moich, boku moim. I modlą się do Ciebie męką moją ludzka». Z innych modlitw, wybornymi, ujmującymi prawdę uczucia wyznaniaimi poety, odbiciami jego stanów duchowych są: Modlitwa za siebie, Modlitwa w chwili zwątpienia i Modlitwa w nocy bezsennej.

Ten stan nieustannego podniecenia, przepłatanego chwilami depresji, «letargu», jak się wyrażał cierpiący poeta, nie dopuszczał równowagi duchowej, przeczerał myśl i uczucie na krańcowe stanowiska i stopnie, zmieniał nieustannie nastroje uczuciowe, od nich zależne poglądy i przekonania. Niezdolny owładnąć miotającymi się myślami, uczuciami, wizjami, czuje się nieszczyśliwy poeta niewolnikiem, igraszką swych chorych nerwów, swą rozkładową duszą. Należy o tem pamiętać zarówno w ocenie postępowania, jak i sądząc o przekonaniach i uczuciach, odbitych w utworach i listach. Ten zwątpiały Hamlet, rozpaczający pesymista, ten nieublagany sędzia, wydający tak pogardliwy wyrok o całej przeszłości Polski szlacheckiej (w liście do ojca z 26 stycznia 1836 r.), jest jednocześnie zdolny wypowiadać swe gorące uczucia religijne w «Modlitewniku», nazywanym «holysami», co śmiało urażać postaciami i tradycjami przeszłości, i uwielbiać te wielkie postacie. Jednocześnie znowu z rosnącym przeświadczeniem o geniuszu poetycznym, z myślą, szukającą ciągle osnowy do nowych utworów, wracająca od czasu do czasu rozpacz, iż nie wstępuje na drogę czynów, «Co mnie zabija to nierealność. Co mnie zabija, to to, że, mając pewne warunki mego czynu, pewne siły realne, spędzam dni moje w nicości. Jestem tylko duszą, a przeciw żyję na ziemi». (Do Reeve'a, II, 104). Naprzemian, to cieszy się uznaniem, jakie pozyskały ogłoszone utwory, i troszczy się wiele o swą sławę literacką, to znowu rozpacz nad nędzą i bezowocnością swego życia. W maju r. 1836, bawiąc w Rzymie, poznał podróżującego wtedy po Włoszech Juliusza

Słowackiego i nawiązał z nim ściślejszy, przyjazny stosunek. Być może, iż teraz dopiero zwrócił Krasiński uwagę na mało sobie znane utwory poety, nie cieszącego się uznaniem wśród emigracji i u krytyków. Obok ogłoszonych drukami, z których «Kordyan» i «Marya Stuart» wydały się młodszemu, ale dojrzałszemu współzawodnikowi, najlepszymi, poznał zapewne wykonane, ale w rękopisie zostające, lepsze jeszcze twory: «Ballady», a może «Horsztyński» i «Wacława». To zapoznanie się z wielkim artystą, mistrzem słowa, pobudziło niewątpliwie Krasińskiego do wypróbowania swych udołnień w formie wierszowej w liście. Liczne wierszowane urwki z r. 1836, jakkolwiek najczęściej odnoszą się do pani Browowej (którą poznał w marcu 1834 r.), są wynikiem naturalnego zresztą współzawodnictwa, próbnymi, nie przeznaczonemi dla ogółu, własnych udołnień w tym kierunku.

Wypowiedziawszy i osądziwszy w dwu wielkich swych utworach nieziszczane marzenia i ambicje Meza działacza i mściciela, godzi się wreszcie na rolę poety, gdyż czuje, iż poezja jest jedyną, drogą mu i niezmienną pociechą, podporą i lekarzką na zawody, bóle i letargi ducha. «Dzięki Ci, Boże — wola w liście swym poeta — żeś zrównoważył podłość na tej ziemi poezją» (Do Soltana z 17-go lutego 1837). Boleje jednak nad tem (w wierszu z 27 lipca 1836 r., a więc świeżo po zbliżeniu się do Słowackiego), że «Bóg mi odmówił tej anielskiej miary, Bez której ludziami nie zda się poeta, Gdybym ją posiadał — świat ubrałbym w czary, A że jej nie mam — jestem wierszokłeta». Czuje on w sercu «niebiańskie dźwięki, lecz, nim ust dojdą, łamią się na dwoje». Świętym, choć bolesnym komentarzem, wytłumaczeniem przyczyn tego braku «miary» w artyzmie zrównego się do doskonałości mistrza jest wiersz, malujący nieustannie zwątpienie się duszy, przeczuczającej się ze stanu do stanu, jak chory, szukający daremnie, w swej bezsenności gorączkowej, wygodnej pozycyi na łożku. Wiersz ten z r. 1837 pochodzi (Serce mi pęka), jest wurusząca, siłą i prawdą uczucia, rozpadliwą skargą poety-Hamleta, odslaniającą nam jego duchowe tortury. Zrozumieć stany duszy poety i współczuć z nim nie łatwo czytelnikowi, bo stany te tak są różne i dalekie od zwykłe spotykanych, że wyrzucenia też i skargi wydają się przesadzone, cierpienia udawanymi. Najbliżej, od ojca i Danielewicza zaczynamy, nie rozumieli tych skomplikowanych, rzadkich, lecz istotnych, powikłań i tortur duchowych. Niezwykła piękność skargi poety, w wierszu powyższym wypowiedzianej, jest ręką miłą szczerości i prawdy jego treści. Dla charakterystyki duszy poety ważnym jest głównie ustęp, w którym tak uplastycznia wewnętrzną rozterkę:

Duch na dwie tonie ciągle się rozkłada,
Z szczytów odcłani sam wola na siebie
I sam jej z głębi smutno odpowiada;
Rozdarty wiecznie, myślą siedzi w niebie,
A sercem w piekło coraz niżej spada,

Z pochodnią w rąku na własnym pogrzebie!
 Rozlać się w jedno i zgodzić nie zdola.
 Ani też całkiem rozpaść się na dwoje,
 Do wskazanego raz wepchnięty koła,
 Sam z sobą toczy nieśmiertelne boje,
 Nie mogąc skonać; a co chwila kona
 Podwójnym bólem

Rozum, co w górze, choć sądząc, przeklina
 Równie samotny, jak przeklęte serce;
 Wszędzie nieznośnie, bo wyrok i wina
 W każdej się życia zmieszają iskierce.
 Ah, życie wtedy szczytstwem się zdaje!
 Ręce wznosimy ku widmu nicości.

Świat, jako wielki, jest przegranej polem,
 Świat, jako wielki, jest rozbita skała,
 Trudem bez końca, wiekniącym bólem!
 Wszystko się dzieje i wszystko się stało.

Ciekawem jest też wyznanie poety, że najpotężniejszą iskrę danego mu z niebios geniuszu, spalił daremnie w płomieniu uczucia dla «śmiertelnej piekności», zamiast rozniecić nią «pożar na ziemskim padole» i «duszę zaludnić tłumem żyjących myśli». ... «Byłbym się wyłożył nad głowy współbraci». W liście do Gaszyńskiego wyznaje: «Ty nie będziesz nigdy czuł rozdzierających mężczyzn damy, która celu nie dopięła».

Fragm. z r. 1839, zaczynający się od słów:

Z nad wód, gdzie nigdy nie zaszamla burze,
 Z dolin, gdzie nigdy nie wędnieją róże,
 Tę, którą kocham, wywołłem za rękę —

jest w całości echem, kopią niedłwie, budzącej zachwy w Krasinśkim «Szwajcaryi». W innych lirykach Krasinśki, który pierwszy odezwał i ocenił geniusz artystyczny Słowackiego, nie stając się naśladowcą, otwarcie mimowolnie w wielu miejscach ton, tok, obrazowanie, nastroj uczuciowy swego świeżego przyjaciela i współzawodnika. «Ballady» stała się bodźcem, nie wzorem bynajmniej, do podjęcia pracy nad niedokończoną przez Krasinśkiego «Wandą» (z r. 1837), naodwrot znowu znane Słowackiemu zapewne urywki «Wandy», wywarły pewien wpływ na otwarcie początków Polski w «Lili Wenedzie», zawdzięczającą pomysłem twórcy «Irydyona», niektóre charakterystyczne rysy (chóry, harfy z płaczącymi strunami, apostołstwo chrześcijaństwa, oparte o zbrojne zastępy, pomysły układu scenicznego i tła krajobrazowego). Bogactwa wyobraźni Słowackiego wywołały u Krasinśkiego dążność do uwolnienia własnej wyobraźni z zależności od gorączki uczuć, od

jednostronności przemagających w niej wizji, opartych na zamęciu, katalizmach, ciągłej pogoni chaotycznych, mglistych obrazów. Rezultatem tych usiłowań była utworzona w r. 1837 «Noc letnia», w której poeta bierze za osnowę dramatu życiowy, wiążący się wprawdzie ze słabo i mglisto zaznaczonymi interesami społecznymi, ale i bez nich mający swą doniosłość i interes. Pobudką była niewątpliwie walka, jaką toczył wtedy z ojcem, starającym się zerwać jego stosunek z p. Bobrową i skłonić syna do ośmienia wedle widoków swoich. Zmierzał on wtedy do podniesienia i utrwalenia stanowiska rodu Krasinśkich, przez utworzenie ordynacyi. Zezwolenie cesarstwa, uzyskane niezadługo, było nagrodą za lojalizm generała. Przyszył ordynał miał obowiązek odbywać zwiększony ten blask — przez odpowiednie małżeństwo. Poeta przypomniał sobie dawniejszy, a w kole rodzinnym często zapewne omawiany i potępiany fakt, wydania, z woli cesarza Mikołaja, (w r. 1828) ks. Stefania Radziwiłłówny, jedynaczki, sieroty po ks. Dominiku, za ks. Ludwika Sayn Wittgensteina, syna feldmarszałka rosyjskiego. Olbrzymie dobro, obejmujące kilka milionów morgów, przeszły wtedy w ręce obce. Te dwa motywy: despotyzmu ojcowiskiego i dumy rodowej, tudzież poświęcenia szczęścia dziecka i interesu narodowego dla widoków osobistych, starał się poeta powiązać i nieokreślonością tą czasowego i miejscowego, zasłonił wprowadzone tu realne szczegóły, własne przeżycia, uczucia i myśli. Przypuszczenie, iż poeta z obawy przed policyją i cenzurą rosyjską zataił cechy realne, jest mylne. Nieokreśloność ta wpływała przedewszystkiem z wizyjnego charakteru artyzmu poety, przymtem samą względ na ojca, był już dostatecznie usprawiedliwieniem tych osłon i przekształcał rzeczywiste rysy. Swoją stosunek do ojca przedstawiał tu w biernym opozycję córki, ulegającej wprawdzie żądaniu starca, w którego duszy «złudzenia, jak posągi ryte z glazu... stoją», ale zachowującej wiernie uczucia swe dla tego, któremu oddała serce. Rozpaczliwość położenia swego względem p. Bobrowej odtworzył w stosunku młodego woźdza powstańców, synowca starego magnata, do jego jedynaczki, świeżo poślubionej możnemu, wrogo dla jej narodu usposobionemu cudzoziemcowi. Wskazuje ona zjawiającemu się w czasie uczy weselnej ukochanemu, jako jedyną możliwą i upragnioną dla nich przyszłość — śmierć dobrowolną. Zgon tragiczny zakochanej pary pociąga za sobą śmierć obłąkanego z boleści, dumnego starca. Słabą stroną utworu jest dysharmonia, między treścią, której żywotności, świeżości, realności, domyślamy się tylko, a zatarciem wszelkich rysów, przemawiających żywiej do naszego uczucia i wyobraźni i wywołujących oddźwięki ludzkich i narodowych strun w sercu czytelnika. Zarówno tytuł w błąd wprowadzający, jak wystylizowane architektonicznie i krajobrazowo tło włosko-ostrolukowe, niezgodny z tem język, przeplatany archaizmami — odbicie pracy nad «Wandą», ultra-romantyczne pomysły, jak scena w kościele między kochankiem, ostrzącym sztylet, a wypędzającymi go mnichami. — zniechęcają czytelnika, zaslaniają piękności wylowienia i ciekawe odbicia myśli poety, rojącego

w cierpiącej duszy tragiczną kolizję, do którejby doprowadzić go mogło spełnienie obowiązków względem ojczyzny. «Czem mogłem, woła młodzieńczy wódz powstańców do ukochanej — polki mogłem, służyłem memu ludowi. Sztandar jego zatknąłem na granicach zamków. — Teraz on przekroczy te granice... Gdybym dniem jedynym dłużej przeżył, wiesz, czyjbym włosy białe miał rozwiać wichrem barwy? Na czyich podwórcach zasiąść, jako sędzia i niszczyciel? O, idźmy stąd razem, siostró — tam, kędy idziemy, przeciw starcom nie waleją młodzieńcy, tam nie masz zdrady i ułisku — tam i zemsty nie masz». Ta idea zemsty, jako obowiązku, zadania życia, zaszczepiona przez ojca w sercu poety za lat dzieciństwa, nie opuszcza jego duszy i wywołuje tragiczne kolizje, w wizjach nocy bezsennych. Napisana w r. 1837, a ogłoszona drukiem r. 1841 (Paryż) wraz z «Pokusą», dzięki nieokreślonej tła i postaci przedostała się mogła «Nocy letniej» do kraju, i wyszła (wraz z «Pokusą») r. 1850 w Wilnie. «Pokusa» powstała w Wiedniu w zimie, z r. 1837 na 38, wywołana wyjazdem młodego Adama Potockiego do Petersburga. Przejęty troskliwością przyjacielską chciał poeta ubrodzić młodzieńca w odporność na opalające młodych paniczków polskich wpyły i siła, czytające na nich w stolicy północnej. Jakkolwiek opowieść poety ma formę i cechy wizji, («I ujrzałem, jakoby w cudownym widzeniu, obraz zmieniający się... a znikomy» brmi początek sam), to jednak, dzięki realnym wrażliwości, wyrażonym przez Krasńskiego, obrazy i sceny utworu przemawiają silniej do nas, interesują nas żywiej, niż akcja «Nocy letniej». Wstępny i końcowy zwrot do «matki, sześćkród zabitej», nastroja i uświadomienia czytelnika polskiego. Wiza skarba władcy północy na swe realne podłoże w okropnościach tych czasów i nastrojem swoimi przypomina współczesnie tworzony, ale nieznanego jeszcze wtedy zapewne Krasńskiemu «Anhellego», w którym następnie znalazł twórca «Pokusy» tak wielkie pokrewieństwo z własnym artystycznym, z własnym światem duchowym. «Pokusa», gdyby nie zgryzł końcowego zaszytostawia młodzieńca przez ratującego go z upadku przyjaciela, mogłaby stanowić rozdział «Anhellego», z którym ją łączy też przewodnia myśl («ciechaj ofiary»). Przyjaciel, opiekun młodzieńca uspokaja jego rwanie się do walki orężnej, słowami: «Czas głośniejsi wałki nie nadszedł — Długo jeszcze dni milczących poświęceń trwać muszą».

Tworzenie, przyoblekanie własnych przeżyć, wizji, marzeń i pragnień w formy artystyczne podtrzymywało, pokrepiło i pocieszało nieszczęśliwego młodzieńca, cierpiącego nieustannie fizycznie i moralnie, wolającego w każdym niemal swym wyznaniu, jak w epigracie «Pokusy»: «Przekleństwo nadamę». Walka z ojcem, toczona do połowy r. 1838 o panią Bobrową, miała swoją podstawę nie w miłości dla niej, bo ta szybko ostygła. W maju r. 1838 pisze poeta do Sołtana: «Nieszczęsny ten, kto z naiwnością dziecka, z marzeniem o szlachetności, targnął się na cudze prawa, żonę od męża odwarł, matkę od dzieci... Ja tom czynił, myśląc, szalony, że na tej drodze poezya i wiosna; teraz głę-

bokom poniżony sam przed sobą, a ona przed światem». Powodem oporu naleganiom ojca było poczucie obowiązku, zaciągniętego względem uwiedzionej, a zapewne, w skrytości ducha, chęć postępowania się tym obowiązkiem jako środkiem do paraliżowania zamiarów ojca, chcącego koniecznie ożenić przyszłego erudyta.

Sprawdziwszy syna do Opinogóry, jednocześnie naciskiem, wywartym na p. B., zdołał generalnie usunąć przeszkodę do wykonania swojego zamiaru, przez nakłonienie chorej, kapryśnej kobiety do zerwania stosunków, zaniechania dalszych spotkań i korespondencji. Jednocześnie z tem rozzerwaniem osłabionych mocno węzłów, wiersze dla pani Bobrowej: «Dla ciebie wszystko straciła na ziemi», i drugi: «Jak kawał lodu, skrzepło serce moje», oddzwonujące z wielką prawdą i siłą stan jej chorej, egzaltowanej duszy, możnaby uważać nietylko za wyraz uczuć poety — bo te już wtedy były bliższe zaniku, ale jako świetną charakterystykę tej kobiety, pozwalającą, w zestawieniu z wyznaniem w liściech do ojca, zrozumieć, jak dręczącą, przynębiającą, ciężką stała się ta miłość dla nieszczęśliwego kochanka, który przez rycerskość, wdzięczność i poczucie własnej winy, znosił to położenie, widząc w niem zasłużoną karę za uwiedzenie cudzej żony. Streszczone w tych wierszach skargi, rozpacz, wyrzuty, podejrzenia, przewidywania śmierci bliższej, wysłuchiwał poeta nieustannie za każdym spotkaniem się i, jako dar poezjalny, w ostatnich chwilach rwącego się stosunku, przesał jej unieśmiertelnione artystycznym, może z podkładem ironii i intencji i usprawiedliwienia swego kroku, odbicia stanów duchowych, zamęczającej go, chorej fizycznie i moralnie kobiety.

Wznagające się u poety cierpienia, choroba oczu zwłaszcza, skłoniły generała do wyjazdu wraz z synem do Włoch, gdzie nowa miłość, silniejsza daleko i trwalsza, pokrzyżuje znów plany małżeńskie i wywoła nową walkę między ojcem a jedynakiem. W podróży tej, we Florencji, widział się poeta ze Słowackim, który osiadł tam po poroście z Wachodu. Oczarował on Krasńskiego świeżo wydanym «Anhellem» i nawzajem uległ urokowi bogactw duchowych, którymi twórca «Nocy letniej» olśniewał w pierwszych chwilach zetknięcia się nowo poznanych, czy dawno niewidzianych, przyjaciół. To spotkanie umocniło nawiązany między nimi stosunek, którego odbiciem jest wiersz «o Zygmunt» (z 4-go grudnia 1838 r.), dedykacje «Balladyny» i «Lilli Wenedy» autorowi «Irydyona», pomysł dwu braci Wenedów (Lelum i Polelum), zespolonych nierozdzielnie do walki za sprawę narodu, i pierwsza mistrzowska ocena Słowackiego, skreślona przez Krasńskiego («Kilka słów o Juliuszu Słowackim» — Tyg. liter., Poznań 1841).

W końcu r. 1838, w Neapolu, zaznajomił się poeta z przebywającą tam wtedy rodzina Komarów, z Podola. Składała ją matka z dwiema córkami niezamężnymi (późniejsze: pani Spada i ks. Beauvau) i trzecią męzatką Delfiną Potocką, żoną Mieczysława, syna Szczęsnego. Urodzona w r. 1807 (a więc podobnie jak p. Bobrowa, starsza o 5 lat od Krasńskiego), wyszła za mąż w r. 1825-ym i po nieszczęśliwym

pożyciu i zgromie kilkorga dzieci rozłączony się z mężem, lichym człowiekiem, przebywała w Paryżu lub Włoszech, zapelniając próżnię życia wrazeniami artystycznymi, powodem, jakie uroda, talenty muzyczne, głos czarujący, upodobania artystyczne, majątek, pozwalający jej blyszczeć w wielkim świecie, jednady kobiecie, umiejacej się tem posługiwać dla osiągnięcia możliwie największej sumy rozkoszy życiowych. Daleka od egzaltacyi, echujacej chorą na nerwy panią Bobrową (skończyła chorobą umysłową), umiała uszczęśliwiać swych wybranych bez udręczania ich kaprysami i urojeniami. Ospa, na którą Krasinski zapadł wkrótce po poznanii się z panią Delfina, dała jej sposobność do zajęcia przy chorym poecie stanowiska siostry miłosierdzia. Tem do reszty podbiła spragnione cichej dobroci, wradliwa, a tak drażnione przez najbliższych serce Krasinskiego. W liście do Solтана (z 16 marca) wyznaje poeta swe uczucia dla nowej władczyni duszy, a we wrześniu, usprawiedliwiając się przed Gaszyńskim z przerwy w korespondencyi, powiada: «Ci tylko pisza, co żyją na ziemi. — Ja nie na ziemi żyłem ale w niebie». Miłość ta przyniosła Krasinskiemu najszczęśliwsze chwile w jego z samych cierpień utkanym żywocie, pobudziła w nim chęć do życia, wprowadziła pogodę i równowagę do duszy, która przestanie teraz skarg hamletycznych. Razem z pogodą duszy nastąpi poprawa zdrowia, zbudzi się energia umysłowa i twórczość. Cały szereg utworów lirycznych odbije zachwyty, upojenia, tęsknoty zakochanego. Jego ideał kobiecy wcieliła teraz Delfina — Elsinoe i Beatrycze w jednej osobie, siostra i kochanka, współpracowniczka i przewodniczka Męta-poety śród burz i cierpień piekła ziemskiego. Oczyszczając się z tego wielkoświatowego błota niedawnych stosunków paryskich, w jakie wciągnęła ją próżność i cześć życia bezcelowego, szlachetniejąc i podnosząc się duchowo pod wpływem, rozwierającego jej skarby własnej duszy, kochanka, leczyla i odradzała ona pogrążonego w pesymizmie Hamleta wdziękiem swej dobroci, pogodą nastroju, artystem muzycznym, a wreszcie podziwem, z jakim słuchala rozwijanych przed nią marzeń, wizyi i wywodów filozoficznych. Kiedy pani Bobrowa swą miłością dręczyła, upokarzała, unieszczęśliwiała raczej, niż pokrzepiała zniekanego poetę, przybierając rolę ofiary, poświęcającej się dla chorego fizycznie i upadłego na ducha uwodziciela, przypominającej mu ciągłe swą ofiarę i swe cierpienia, to miłość Delfiny rozprasza chmury, przysyłając od lat dziesięciu horyzont duchowy Krasinskiego, wprowadza do duszy nieznanym przedtem nastroj radości, ufności, wiary, opromieniającej mu zarówno przyrodę jak świat ludzki, zarówno przeszłość, jak przyszłość własnego społeczeństwa i ludzkości. Jednocześnie jednak, na pogodnym horyzoncie życia poety, wysuwad się będzie, jako groźna chmura, postać ojca, niezłomnego w swym zamiarze ożenienia przyszłego ordynata, dla którego upatrzył już bardzo szczęśliwie wybraną towarzyszkę życia w osobie panny Elizy Branickiej. Wiekiem (o 8 lat młodszą od poety), urodą, charakterem i umysłem nadawała się nadzwyczaj do

trudnej, męczeńskiej roli towarzyski życia, dla człowieka, widzącego w małżeństwie i obowiązkach życia rodzinnego, zaprzeczenie tych wysokich celów, ku którym powinien był i pragnął dążyć.

Najślimniejszy wyrazem nowego nastroju poety, dosiegającego, jak zwykle, krańcowych stopni skali uczuć ludzkich, jest wiersz: «Do Duchów».

Ja was wzywam, duchy i anieli,
Co na błękitu gwiazdach królujecie,
Coście na wieki z czoła smutek zdjęli:
- Bom dziś szczęśliwy — na tym smutnym świecie,
Niż wy w niebiesiech

Jak wy, dziś płynę wśród światła potoków,
Jak wy, wzniesie mogę nieśmiertelne pienia!

To odrodzenie duchowe, za sprawą miłości nowej, wpłynęło na kierunek myśli i poglądn na świat, wytwarzający się w duszy poety pod wpływem zapoznawania się ze współczesną filozofią. Panteizm, odbierający człowiekowi Boga osobistego i indywidualną nieśmiertelność dręczył zniekanego, w latach poprzednich, potęgując rozpaczliwy nastroj jego duszy. «A jeżeli to prawda, żeśmy bliźniami dni kilku, a jeśli prawdą, że świat tylko nieśmiertelny, . . . jeżeli Bóg to otchłań tylko przemian bez końca». Nie mogąc pogodzić pragnień swego serca z tym poglądem, szukał innej syntezy, przypuszcza, że pod cłaosem zjawisk kryje się nieznaną ludziom harmonia, że dusza człowieka jest nieśmiertelną i osobistą, a zarazem duch jego jest powszechnym. Spotkawszy się w Medyolanie, jesienią r. 1839, z Cieszkowskim Augustem i poznawszy jego pojęcia, wyłożone w świeżo ogłoszonej wtedy pracy: «Prolegomena zar Historiosophie» (1838 r.), tudzież w późniejszej rozprawie: «Gott und Palingenesie» (1842), znalazł w pojęciach tego niespolitego myśliciela upragnioną syntezę. Pod wpływem idei Cieszkowskiego, który wtedy już miał podobno opracowany cały swój system, wyłożony w formie rozwinięcia myśli modlitwy Chrystusowej «Ojciec nasz», zabrał się do wytworzenia własnego poglądn na rozwój ducha jednostkowego i ludzkości. Owocem podjętej pracy była obszerna, niedokończona rozprawa, niedawno dopiero ogłoszona z rękopisa p. t. «O Trójcy w Boga i o trójcy w człowieku», urywająca się na myślach, odnoszących się do roli Słowiańszczyzny i Polski w rozwoju ludzkości. Powstała ta praca około r. 1841 i zawiera całą filozofię i historiozofię, rozwinętą później w «Przedświacie i w «Palmach».

Bóg w trójkajtce postaci ukazuje się w stosunku do człowieka. Jako Ojciec-Jehowa, wszechbyt i wszechmoc, tworzący świat z Łaski; jako Syn, myśl, słowo (logos) wcielone w ludzką postać, Chrystusa Odkupiciela, wreszcie, jako Duch Święty, Miłość, kojarząca Wszechbyt

z Wszchmysłą. Człowiek zaś składa się z ciała (byt), duszy (myśli) i spajającego je ducha.

Prawem powszechnem, zarówno w stosunkach między osobami Trójcy Bożej, jak w świecie całym, jest wzajemne udzielanie się, którego wynikiem jest ciągły rozwój w przyrodzie i świecie ludzkim. W niższych okęgach udzielanie się bywa często cierpieniem, a najwyższe udzielanie się, poświęcenie, ofiara, a nawet śmierć. Zbawieniem dla człowieka jest żywot wieczny, stan nieśmielki w wyższym świecie, dla ludzkości zaś Królestwo Boże na ziemi, czyli stan Chrystusowego społeczeństwa. Przez ten stan każdy przejść musi, ażeby osiągnąć zbawienie; kto nie dokonał tego na ziemi, musi w dalszym żywocie gdzieindziej dokonać, musi wrócić zapewne kilkakrotnie do żywota ziemskiego. Kościół nazywa czoysiem ten stan pośmiertny dusz, które nie osiągnęły jeszcze swej Chrystusowości. Umarłym trudno jest nawiązać stosunki z żyjącymi, w smach tylko im się pokazują, bo stan snu zbliża nas do nich. Najwyższym stopniem snu jest magnetyczny stan jasnowidzenia. Rozwinięcie tego stanu pozwoli nam kiedyś poznać świat umarłych.

Ludzkość jest wspólną pracą wszystkich pojedynczych duchów, by wzajemnym wyrobem samych siebie mogli dojść do tego szczebla, z którego ulecą w Żywot wieczny. Chcąc nie chcąc, muszą do tego dążyć, bezwiednie często, bo są Duchami, których najwyższym prawem jest miłość, polegająca na nieustannem udzielaniu się wzajemnem. Chrystus to prawo objawił ludziom. Pośrednimi okęgami tej pracy są narody, przygotowujące swą działalnością przyszłą ludzkość. Narodem jest zbiór duchów żywych, stowarzyszonych, który pojął już ludzkość i współdziała przyspieszeniu jej zjawienia. Hordy, plemiona, miasta i republiki starożytne to nie narody jeszcze. Narodowość jest wysokim stopniem stowarzyszenia Duchów, zdobytym długimi trudami. Naród jest całością duchową, świętą, nietykalną, piastunem idei, którą ma przeprowadzić przez świat i urzeczywistnić w stosunku do ludzkości. Rozwój dziejowy ludzkości, odpowiednio do ogólnego prawa, składać się musi z trzech okresów bytu (świat starożytny, rozwój ciała), myśli (w walce z ciałem (wieki średnie i nowożytne czasy) i ostatni okres panowania Ducha, po złączeniu bytu z myślą (ciała z duszą). Jak właściwością drugiego okresu są wielkie zespolenia państwowe, tak wywołanie się narodowości będzie początkiem trzeciego, ostatniego okresu, opartego na miłości, harmonii ludów, pracujących nad wytworzeniem Ludzkości i osiągnięciem Żywota wiecznego. Po Rzymianach i Germanach, którzy działalnością swą w przeszłości posuwali stopniowo sprawę zjednoczenia ludów w jedną Ludzkość, przychodzi kolej na Słowian, mających dokonać tego wielkiego dzieła. Do tego posłannictwa przygotowywa ich ucisk, w jakim pozostają, znosząc od wieków obce czy własne jarzmo i wiara w bezpośredni ciągły związek Wszchmucha z Wszchmiałem. Twórczość ich znajduje swój wyraz nie w sztuce, filozofii, przemysle, wynalazkach, lecz w najrozmaitszych kształtach

społeczeństwa towarzystw ludzkich, w połączeniu najwyższej wolności indywidualnej z najniższym slupieniem się w dążeniu do jednego celu. Polska jest najbardziejniejszą wyobraźnielką losów i właściwością ludów słowiańskich, najwyższym wykitem duchowym ich dążeń...

Ta filozofia, owoc nie tyle długich rozmyślań, ile oddziałania idei neobeglizma, zmodyfikowanych przez Cieszkowskiego, na wyobraźnię, lubującą się w odległych perspektywach i wiazech historyzofii, pozwalającą ująć przeszłość i przyszłość ludzkości w ramy trzech aktów wielkiego dramatu, — przychylił się, wraz z ożywczym wpływem miłości dla Delfiny Potockiej, do wywołania duszy poety z przynajniatniejszego ją hamletyzmu, ukazała mu wysokie cele życia, nowe pole działalności, odpowiednie siłom i położeniu skrupowanego warunkami bytu, a mianowicie zaszczytne stanowisko wieszczka-woda i kierownika ludu, mającego prowadzić Ludzkość ku jej najwyższemu celom. Pierwszym wyrazem, odbiciem tego przekształcenia się duchowego poety są: «Trzy myśli Henryka Ligienzy», poprzedzone pełną humora i staropolskiej, słacheckiej werwy przedmową, datowaną z Szafury 1 lipca 1840 roku.

Niepospolita piękność rozpoczynającego tę trylogię: «Syna Cieniów» ma swe źródło w radości duchowej poety, wywołującego się z mgieł i ciemności zwątpienia i pesymizmu, wspinającego się ku szczytom, z których obejmaje pogodnie i jasne przestwory wszchbytu.

Choć z ziemi rodem, już ziemią pomiata,
Nektar gwiazd mlecznych ust jego potrzeba

Ten, co dziś wąpił, co od wieków jęczy,
Gwiazd swych się dorwie i zamieszka z niemi,
Bo w gwiazdę nieba przetworzy krąg ziemi,
Wiążąc go z niebem innej wstęga tęczy.

Coś myślą pojął, osiągniesz ramieniem —
Ujrysz na oczy, coś przeuczł natchnieniem —
Z strun twojej lutni rozperchnięte dźwięki
Wesmiesz, jak perły, widome do ręki,
Gdy wróca kiedyś świeże i stwardniałe,
W życie wcielone

Bądź znów, jak Tytan, wielki, silny, dumny! —
Wszędzie kolebki — niema nigdzie trumny —
I wszędzie niebo — niema nigdzie ziemi...

W żadnym z utworów nie udało się pocie siłą i ciepłem uczucia przetopić tak zszczęśliwie, na płynny metal poezji, twardej rudy wywodów filozoficznych. «Sen Cezary», druga z kolei myśl «Ligienzy» jest wizją senną, mającą za tło napródz rolegij krajobraz nocny, widziany z wieży kościelnej, a następnie wntęże katedry ostrołukowej

(fryburskiej zapewne). W mrokach nocy przesuwa się pochód narodu w żalobie, z cierniami na skroniach, sunącyśród obojętnych lub wrogich mu ludów. Jedynie łuki i filary kościoła w ponurych akordach brzmia marszem pogrzebowym współzniecia pochodowi nieszczęśliwych i pokonanych. Po zwyciężonych został, jako ślad, grobowiec w katedrze z napisem: «Naród». Z grobowca tego wysuwa się następnie nowy pochód duchów, pogrzebionych tam bojowników. Jednocześnie, wśród mgieł, ukazuje się postać niewieścia, doskonale piękna, z wyrazem smutku na czole... «Ona jedna ocalała, by piękność rodu tego nie zginęła całkiem na ziemi». Chrystus, bielejący blaskiem marmuru dróg mroków katedry, wstępuje do grobu, prowadząc za sobą orszak duchów, którym oznajmia: «Odpocznijcie, ... zapamiętajcie ... Ten sen będzie siłą wam; bo Pan czuwa nad waszemi trumny i czeka, aż chwile przeznaczone miną». Poeta zaś, za przewodnictwem owej niewieściej piękności, płynie w nieskończoność. «Uczem, że będę nieśmiertelny, bom nieśmiertelna ukochał. — Koło mnie z prochu dźwigali się meje i widmo Chrystusa białeło nad nimi w powietrzu. Zamknąłem oczy i padłem twarzą na ziemię, wśród zmartwychwstających».

W różnych szczegółach tej wizji, będącej zapowiedzią, pierwsza próba wcielenia myśli, które znajdują w «Przedświcie» swój najdobitniejszy wyraz, czudny wpływ «Anhellego» i «Boskiej komedyi». Wprowadzając tu przyszłą «Beatrycę» poeta zaznaczył, stwierdził wpływ jej na swe przekształcenie i odrodzenie duchowe, zespolił ten nowy swój ideał kobiecy z nowym ideałem odrodzonej, przemienionej, przez próbę grobu, ojczyzny. Trzeci utwór zamykający zbiór: «Legenda» przedstawia, w zwykłej u poety formie wizji sennej, rozwinięcie myśli o zbliżającym się przekształceniu kościoła św. Piotra, t. j. przeżytej już formy i organizacyj w nowy kościół św. Jana. Polska szlachta, kupująca się koło ostatniego papieża i ginąca z nim razem, pod gruzami walczącej się świątyni, odrodzi się w nowym kościele. «Odtąd Chrystus ani się rodzi, ani umiera na ziemi, bo odtąd już na wieki wieków jest i będzie na ziemi... Za to, że wyrządził mu w osobie papieża ostatnią przysługę, Pan odwdzięczy im... owszem, im lepiej będzie i synom synów ich».

Upojenie miłosne poety doszło do swego zenitu w jesieni r. 1841, gdy spędzał z Delfiną kilka tygodni w małej osadzie Varenna, nad jeziorem Como, odgródniony od świata śnieżnymi olbrzymami Alp, tworzącymi wspaniałe ramy zwierciadlanej tafl wód, odbijających stoki wyniosłych wybrzeży. Po błękitach idylli podalpejskiej, horyzont duchowy Krasiańskiego przyćmiły nowe chmury. Rodzina Komarów usiłowała zerwać stosunki wiążące Delfinę z poetą, by doprowadzić do pojednania z mężem, z drugiej strony generał, przynaglał syna coraz natarczywiej do posłubienia Elizy Branickiej. Ostatni, najdroższy poecie, z przydawanych przez ojca kierowników-towarzyszy — Danielewicz, mający właśnie poślubić utalentowaną pianistkę niemiecką — zmarł, po kilkumiesięcznej chorobie, w marcu r. 1842. W uczuciowym porwywie,

wypowiadając w wierszu «Fryburg» swój żal po tej stracie, woła pozbawiony przyjaciela poeta:

Życia mego chwala

Śpi w jego grobie; bez niego ja niezem.
On mi był siłą, co mi rozum dała,
Bo mię gwał naprzód wiecznym prawdy biczem,
On serce moje amiał wyżej meki
Stroić, jak lutnię, w mąk zwycięskie dźwięki.
On jednym słowem tłumaczył mi wiele,
Milczeniem nawet mówił życia ceła!

Przyjaciel i kierownik lat młodzieńczych poety, opuścił go w chwili, gdy, wydobytwszy się z otchłani wątpienia i rozpacz, przebywszy okres burz duchowych, osiągnął powoli harmonię i równowagę wewnętrzną, która nada nową charakter jego twórczości. Tem droższą teraz stała mu się Delfina-Beatrycze, krzepiąca go swą miłością w ciężkich przejściach życiowych, wynikłych z kolizyj między marzeniami i pragnieniami poety a zadaniami, jakie wkładały na niego nowe położenie i oczekujące go obowiązki. Na trzy miesiące przed swoim ślubem wykończył Krasiański, w Nizy, w towarzystwie Delfiny, przy współdziałaniu pośredniczącego w ogłoszeniu drukiem Gaszyńskiego, «Przedświt», wykwit szczęścia uzdrowionej i upojonej duszy, wywołanie i odbicie ostatnich uszczęśliwiających i wstrząsających do głębi poetę przeżyć i przemyślań, synteza, zamykająca kilkoletni, najszcześniejszy i najpogodniejszy okres życia. Krasiański chcąc zbliżyć duchowo do siebie kochankę, daleką zapewne w swych zasobach i upodobaniach umysłowych od idei historyzoficznych, zajmujących tak żywo poetę, rozwiłajł nieraz, z właściwym mu w takich chwilach zapalem i poletem, swe pomysły i wizje. Znajdował w Delfinie słuchaczkę, poddającą się urokowi nowych dla niej, owianych czarem poezyi i miłości porywów, wzlotów myślowych w obszary przyszłości i przez wory nieskończoności, jak o tem świadczy wiersz (z jej albumu), upamiętniający te chwile:

Ty, patrząc w górę, pytasz się żalnością:
«Duch nasz na miarę bezmiaru czy wzrośnie?
Czy będziemy kiedy, my smutni, wiedzieli,
Jacy mieszkają po gwiazdach anieli?»

A ja cię pieśnią kołyszę nadziei,
Ja ci zwiastuję lot Ducha przepływny,
Przez ciąg postępnych wszechświata kolei,
I świat nareszcie wieczny, boży, inny.

Cały szereg liryk przygotowuje i zapowiada, od r. 1839, ten ostatni, najsilniejszy wylew uczuć, w poemacie, opiewającym upojenie radosne, jakim szczęśliwy kochanek, poeta-myśliciel, chce się podzielić z całym światem, a przynajmniej z całą Polską. Nadmiar szczęścia

osobistego, wywołanego przez budzącą do nowego życia miłość, przez wyzwolenie ducha z piekła rozpaczki, ukazuje pocie, w optymistycznej syntezie, przeszłość i przyszłość ojczyzny, w związku z wyzwoleniem i odrodzeniem całej ludzkości i zaszczytną rolę wieszaka głosiciela tej nowej ery dziejowej. Z tą samą egzaltacją, z jaką poprzednio wylewał rozpaczliwe skargi na piekło dni naszych, na beznadziejność życia, przedstawiającego się mu jako niustanne konanie, wybuchnie teraz poeta potężnym Alleluja szczęścia osobistego i powszechnego, wylewem miłości dla ludzi, przyrody, wszechświata.

Chciałbym objąć te błękity,
Tych wód brzegi, tych Alp szczyty,
Ten widnokrąg objąć świata
I przycisnąć świat, jak brata,
Do mych piersi, bom szczęśliwy!

.....
Dzięki wszystkim i wszystkiemu
W wieki wieków, dzięki wszędzie!
Bogu, Duchom, ludziom, tobie —
I umarłym dzięki w grobie,
I każdemu, kto jest żywy,
Temu światu wszechświata,
Wieczne, wieczne dziękowanie!

Przed sześciu laty, zrozpaczonemu Hamletowi, świat ten przedstawiał się «przegrana polem», «rozbiecia skałą» «wiekuistym bolem». Dla czytelników współczesnych pojawieniu się «Przedświtu» i większości dzisiejszych, szczęście i upojenie poety wydaje się przedewszystkiem szczęściem i upojeniem patriotycznym, radością z przewidywanego, blizkiego odrodzenia, smartwychstania ojczyzny. Na tem polegał i polega dotąd urok tego poematu dla dusz polskich, stąd płynął balsam pociechy dla dusz znających, wygnanońców i więźniów, tem badził otuchę i wiarę w lepszą przyszłość. Pod tym względem oddziaływał silniej i skuteczniej na cierpiące, spragnione pociechy dusze, niż wszystkie inne arcydzieła naszej poezji, nie wyłączając «Pana Tadeusza». A jednakże, w duszy poety, wylew uczuć narodowych, apoteoza przeszłej i przyszłej Polski pojawiły się dopiero w ostatniej fazie tego odrodzenia duchowego przez szczęśliwą miłość, po całym szeregu liryk, opiewających w tonie i nastroju «Przedświtu», na tle tego samego krajobrazu, tym samym rytmem i melodyą, jedynie upojenia miłose, idylli przeżytej w Varennie przy boku Delfiny. Że poeta wtedy poprzestawał na szczęściu, jakie mu dawała miłość, harmonizująca swą pogodą, spokojem, muzyką uczuć, z pogodną pięknością barw, linii, ruchów, włoskiej przyrody, dolin i jezior podalpejskich — jest rzeczą bardzo naturalną. Przed tą idyllą, choć czuł się szczęśliwy, choć rozpoczynał jedną z swych liryk («Poeta») wyznaniem:

Wierzę w nadzieję, miłość nieskończoną,
W dobroć i piękność, straż duchów nademną —
W światło niebieskie i w wiosnę zieloną —

łączył z tem jednak, jako przeżytek okresu pesymizmu, to ograniczające, a w części sprzeczne z poprzednią afirmacją, uzupełnienie:

Lecz wierzę razem w potęgę podziemną,
Co morzem trucizn na świat ten wylała —
W żart losów wierzę i śmiechy szatana,
W nędzę, ubóstwo i w ból i w chorobę,
W męczelstwo ciała i ducha żalobę,
W rozdział na wieki i samotne zgony.
— Świat złego także bywa nieskończony!

Mimo to poeta pragnął walczyć swą pieśnią ze złem, zanieść skargę na krzywdy i cierpienia męczonych braci przed tron Boga, zginąć z ręki mściwego wroga, by zmartwychwstać «w ducha ludzkiego ponadziemskim Rzymie» i zasłużyć sobie na «posag ducha, nie marmurowym wykuty kamieniem». Ta wiara w zło i jego moc nieskończoną znika w wierszu, skrośnym o rok później (1841), zapewne pod świeżem wrażeniem dni, spędzonych nad brzegami Como, i wpływem historyzofii Cieszkowskiego. Wiersz ten, zatytułowany «Na skale», stanowi poniekąd pierwszy szkic «Przedświtu». Wpisując go do albumu Delfiny, chciał utrwalić Krasieński minione bezpowrotnie chwile szczęścia, «nieśmiertelnie tonami poezji, melodyą i akordy tego duetu miłosego, jakim brzmiały tam ich serca. Wiersz ten daje nam już zarysy obrazów «Przedświtu», zwłaszcza tego pochodu duchów, sunących po falach jeziora «Christusowym chodem». Poeta ze swą towarzyszką zachwycali się ruchem białych, wielkich żagli statków rybackich, rozpostartych «w labędzich skrzydłach pęch», a które, «jak sen, ciche, po wierzchołkach fal stały» Christusowych stapał wzorem, ... niby dusze, wracające tych, co niegdyś nas kochali.

Ot nas porwą w gwiazd beziarny,
W inną przestrzeń, w inne dole,
W byz przejrzyste, w lżejsze bole,
W szersze myśli, świętsze wiary.

.....
Na pół w grobie, na pół w raju,
My jaż byli w martwych kraju,
Magnetycznych widzeń siła
Dusze nasze pochwyliła.

Tak edtwarzał i upamiętniał te chwile Krasieński w wierszu, znacznym dla samej Delfiny, napisanym zapewne pod świeżem jeszcze wspomnieniem chwil rozkosznych, a więc przy końcu roku 1841, a na rok bliźko przed utworzeniem «Przedświtu». Jednocześnie rozwinął

swe historyzoficzne pomysły w ciekawym i pięknym liście (do Gazyńskiego prawdopodobnie, ogłoszonym w początkach r. 1842 bezimiennie w „Dzienniku narodowym” (Paryż) i przedrukowanym przy rozprawie Sternala («Przedświt» — Kraków 1889). List ten jest za wzięciem późniejszego wstępu do «Przedświtu». Żmudni podzielenia się z ogółem upojeniem błogich dni, radosnymi przeżyciami własnej duszy, był naturalnym wynikiem doniosłego znaczenia tych przeżyć i wiążących się z nimi owoców pracy myśli, wytwarzającej nowy pogląd na losy ojczyzny i ludzkości. Poeta zaprzagnął w sercach współziomków wzbudzić oddźwięk dla hymnu szczęścia, jakim brzmiała jego wywołona dusza. Na lazrowemu wybrzeżu Nizy, w towarzystwie przebywającej tam Delfiny, wykończył w pierwszych miesiącach r. 1843 gotowy już we wrześniu r. 1842 poemat, jeden radosny, pogodny, krzepiący ducha utwór poety, mający do ciemnie zrozpaczonych, znękanych dusz wpućić promienie przedświtu lepszych dni.

Przywykliśmy uważać «Przedświt» za poemat, poprzedzony przedmową, pomijaną często przez czytelników, spieszących poić się melodią i wizjami części poetyckiej. W rzeczywistości jednak ten wstęp prozaiczny, napisany wcześniej, oddzielnie, stanowi główną część całości, jako pełne, wymowne rozwinięcie idei zasadniczej utworu. Poemat zaś, będący właściwie szeregim wyłówów uczuciowych i wizji, ilustrujących myśli, we wstępie rozwinięte, najwięcej nas pociąga i zachwyca odzwiercieniem upojenia miłosego poety, wobec którego obrazu i wywody historyzoficzne wydają się w wielu miejscach wierszowaną rozprawą. Momenty największego blasku i siły artyzmu nie schodzą się w utworze z chwilami występowania najdonioślejszych myśli. Uważany jako całość, «Przedświt» przedstawia, obok wstępnej rozprawy, ciąg luźno powiązanych wynurzeń, wizji, wywodów wierszowanych, odbijających różne stany uczuciowego podniecenia, myślowego pogłębienia i zwykle właściwości artyzmu myśliciela-poety.

Stała cecha twórczości Krasiańskiego, forma wizji, i tu służy do odzwierciedlenia przeżyć, marzeń i przekonań. Pogoda duszy odbija się w spokoju i harmonii przesuwających się scen i obrazów, wpiękności i naturalności ram, umiających te widzenia i tło, na którym się rozwijają. Wstępne wynurzenia stanowią charakterystykę zamkniętego już okresu życia poety, «piekła» zwątpienia i rozpacz, a zarazem akt holdu wdzięczności i miłości dla tej, która go wywiodła z «otchłani», siostry, Beatrycze, dzielącej z nim cierpienia korony ciemnowej i pijącej z jednych truzcin piekielnego zdroju. Ona to uleczyła chorą i cierpiącą duszę, wróciła «szczęście wiary i nadziei siłą» i wydobyla z niej pieśń radości. To też ukazuje nam poeta w tej siostrze-yhawawicielez współtwórczyni swej pieśni, połączoną z nim na wielki «jednych pamiętek i uczuć pierścieniem» i oddzwania nam w duszy z jego odrodzeniem wewnętrznym wizji i apoteozy przeszłości i przyszłości odrodzonej ojczyzny, nieraz już wyspiewaną, dla Delfiny wyłącznie, pieśń upoje-

radosnych, przeżytych przez kochające się dusze w uroczym zakątku podpalajskim. Choć pieśnią swą chce pocieszyć i pokrzepić naród cały, zwraca się w niej cingle do tej, której zawdzięczał zdolność wspaniania tej nowej pierwszej i ostatniej w życiu swem pieśni szczęścia. Przez wprowadzenie do utworu wizji i zarazem syntez historyzoficznej przeszłości i przyszłości ojczyzny uświetniał, oproniał, uniemożliwiał on swą miłość, swe najszcześliwsze w życiu chwile i tę, której te chwile zawdzięczał. Najpiękniejszym, jako wyraz upojenia uczuciowego i jako obraz, jest pierwszy wstęp (Czy pamiętasz nad Alp śniegiem rozwiezione Włoch błękity?), odtwarzający chwilę niedawnej, niepowrotnej przeszłości, w blaskach oświetlenia księżycowego i z muzyką rozmarzonego, tęskniącego za nimi serca. Doszedłszy w crescendo uczuciowo do stopnia, na którym upojonemu szczęściem osobistem zdaje się, że «w tej chwili ze smu trumny nasza Święta gdzieś już wstaje» przechodzi stopniowo do rozplynięcia się w marzyelijskim pianissimo:

Płyni, płyni tak bez końca
W ciszę, — w jasność — w błękit w dal!
Rzeczywistość się pomalu
W świat przemienia ideału,
W sen ze srebra i kryształu,
Daj mi teraz marzyć, daj!

Cudowne zespolenie symfoniczne rytmu i melodyi sere, wspomniających szczęśliwe chwile, z harmonią blasków wieczornego oświetlenia krajobrazu, ruchem łagodnie kołyszących się fal jeziora i cichem sunięciem się łodzi, nadaje temu ustępowi czarujące piękno, wytworzone przez zespolenie form i środków ekspresji: malarskich, muzycznych i poetyckich, którego nie osiągnie żaden z dalszych obrazów i wynurzeń uczuciowych. To, co zachwycało, chwyciło za serce współczesnych czytelników i późniejsze pokolenia, do r. 1864, ta optymistyczna historyzofia, ten apoteozujący nieszczęśliwą, jęczącą w ucisku ojczynę meşyanizm, ukazujący w Polsce niewinną ofiarę, cierpiącą za błędy całej ludzkości, Chrystusa narodów, mającego poprowadzić ludy świata ku lepszej przyszłości — dziś nie przemawia tak silnie do dusz, patrzących na tę przeszłość ze stanowiska współczesnej historyografii. To też zawarty w dalszych ustępach, wymowny, miejscami z wielką siłą przekonania i słowa akreślony wykład wierszowany meşyanistycznej historyzofii nie znajduje w naszych krytycznych umysłach pełnej i ufnej aprobacji, nie przyjmujemy do naszych rozczarowanych tytu zawodami dusz upewnień i obietnic poety, jako wieszczych zapowiedzi. W jednym tylko zgodni z nim być możemy i czuć się w harmonii z jego sercem, w przekonaniu, w wierze niezachwianej, żeśmy «próbę grobu już odbyli, prawem naszym Żmardtwychwstanie». Przekonania o słuszności, świętości naszej sprawy żądne zawody i argumenty zachwiałe nie po-

teryaly w cieniu, wzrasta przekonanie, że cały lud i włościan uczo-
wiczyc, zobywatelić trzeba; nieporządek, hulactwa, pijaństwo ustają...
Mnóstwo książek kraży po dworach szlacheckich, ruch umysłowy po-
snetiony od 1830 r., księgaranie przepelznie drukami po polsku...
To miasto zewnętrzna liem nie wydaje zarodka śmierci toczącego
mu serce, owszem pełno żywotnych rumieńców aosi, jako to: sklepów,
fabryk, teatrów, widowisk i t. d. W końcu końców i to znak siły...
Ale co oplakanem jest, co doszło do najniebezpieczniejszego poolenia, to
historyczne imiona: młodzież, która niemi obarczona, zupełnie pozbaw-
iona potrzebnej siły do ich udźwignienia; nawet wyobrażenia nie
mają, co godność jakabudź, a dopiero co szlachetność najlepszych
i najdzielniejszych (*szlachetność*!) Szyk z jednej strony, a kamer-
junkturstwo z drugiej i ślepa bezwiedza z trzeciej, ignorancja nieskon-
czona, oto ich piekna! Wszyscy ożyli, da Pan, co w niebie, ale oni,
i to mi lzy wydziera, oni nie...» Dalej, wspomniawszy o «Przed-
świacie», wyznaje: «Ta idea moją wiarą, moją nadzieją, moją miłością.
Bez niej zdechlibym, a z nią żyję! Aai myśl, by żywot nasz przeminał,
a my nie oglądali Bożej Sprawiedliwości, choćby jej zaczątek ujrzymy.
Wszystko, nad czem tu płacze, to ostatnie lzy». Z tym piękny i cieka-
wym listem przesłał poeta Sołtanowi napisany wtedy w Warszawie
Psaln Nadziei, tchnący tą samą otuchą, tem pojeniem się błękitami
sfer zaświatowych jakim była przepelzona wtedy dusza twórcy pragną-
cego podzielić się błogocią swego stanu, swą wiarą i nadzieją z ca-
łym narodem.

O, ten błękit pijicie duszą
A wam wszystko zbłękitnieje,
Choć was męczą, choć was kuszą,
Uwierzyście w mą nadzieję!

Nastroj ten ulegnie wkrótce zmianie. Wprawdzie odwiedzenie
Cieszkowskiego, w jego siedzibie wielkopolskiej (Wierzenicy) na wiosnę
r. 1845, mogło umocnić poetę w przedświatowej historyzofii, ale tam
już zapewne dowiedział się o działalności agitacyjnej Towarzystwa
demokratycznego emigracyjnego (tak zw. Wersalczyków), zyskującego
w Wielkopolsce i Królestwie coraz więcej zwolenników wśród młodzieży,
upajającej się wtedy filozofią niemiecką i nowymi ideami społecznymi.
Gdy z Heidelberga, gdzie bawił dla kuracji, w tajemnicy wielkiej (bo
paszport miał tylko do Niemiec) zrobił wycieczkę do Nizy, da odwied-
zenia bawiący tam Delfiny, a następnie drugą — do nieznanego mu
dotąd Paryża, trafił na chwilę spotęgowanej działalności wersalskich
demokratów, którzy, znalazłszy poparcie swych zamiarów w kołach
młodzieży, w kraju przebywającej, sformułowali i ogłosili swój program
w głośnych i dotąd cieszących się uznaniem młodych umysłów «Praw-
dach żywotnych» i «Katechizmie». Im silniej umocnił w sobie wiarę
w ogłoszone w «Przedświacie» idee, wytwór pracy duchowej kilko-
letniej, im goręcej ukochał wytworzony na tej podstawie ideał przyszłej

Polski, tem wstrętniejszemi, zgubniejszemi dla ojczyzny wydały się mu
nowe idee i nowy ideał Polski ludowej, zrywającej z tradycjami przed-
świata, przyczący najgłębszym przekonaniem i umiłowaniem poety. Wizye
«Przedświata» sam twórcą, w zakończeniu, nazwał «smem rozwiąnym».
W «Psalmach» dopiero, po raz pierwszy, zabierze teraz głos wieszcz-
nauceyciel i karciciel, działacz, biorący udział w życiu współczesnem,
w sprawie, rozogniającej młode umysły. Ma on świadomość, iż jest
jedynym uprawnionym do zabrania głosu, w imieniu narodu, potę-
kiewiczem, wobec przyćmienia geniusza Mickiewicza i jego zamilknię-
cia, Słowackiego, z którym oziębione stosunki od r. 1841, po zajęciu
w Paryżu i niedoszłym pojedynku uległy zerwaniu, uważał za wiel-
kiego artystę jedynie, nie domyślając się, że w tym czasie właśnie
wnosi się on duchowo na wyżyny, pozwalające mu przemawiać do
narodu, w charakterze wieszczka-wodza duchowego, spoglądającego z po-
litowaniem na wizje i wywody twórcy «Przedświata».

Sile podniecenia duchowego odpowiedziała siła wybuchu, nada-
jąca «Psalnowi Miłości» taki pęd uczuciowy, taką energię i dobitność
słowa grzmiącego rozkazem, oburzeniem, wzruszeniem i bólem patry-
otycznym. Wybuchy te przepłata poeta rozwijaniem swego ideału, swych
pójć o przeszłości i przyszłości ojczyzny. Czując się w swoim sumentu
uprawnionym, obowiązany nawet, do zajęcia stanowiska wieszczka-
przewodnika wobec społeczeństwa, a głównie wobec kół młodych, rwa-
jących się do działalności i oddających się pod kierownictwo ludzi,
którzy w jego przekonaniu prowadzili je nie do wyzwolenia, ale za-
tracenia, przybiera poeta ton dyktatorski; nie tylko poucza, przekonywa,
wzrusza, ale rozkazuje, gromi, piętnuje. «Jeden tylko, jeden cud, z sła-
chłą polską polski lud, jak dwa chóry, jedno gienie!» Oto hasło, jakie
z siłą i zwielżnością dyktatorską przeciwstawia poeta Wersalczykom.
Jedynym jednak, w danej chwili, rezultatem tego wysiłku, słabego
w zasoby woli wieszczka, będzie święta, przywająca polemtem uczucia
i błyskawicami wyobraźni odpowiedź Słowackiego, jednego zapewne
czytelnika, który odczuł w całej pełni intencje autora. O ile Mickie-
wicz uznał on w «Beniowskim» za równe sobie mocarza, a teraz bliżki
jest bardzo uczczenia w nim potężnego wcielenia «Króla Duch»,
o tyle dawnego brata Weneda, swego mistrza przewodnika, archanioła,
obniża on stopniowo w swej opinii, od wcielenia w postaci Fantazego
począwszy. Z ironią przyjmując wizje i wyznania «Przedświata», nie
mającego dla niego wartości, w zastawieniu z tajemnicami genezyjskimi,
odsloniętemi mu z góry («Genesis z Duch»), i w wieszczu «Psalnów»
widzi tylko dyletanta-arystokratę, spięcego ludziom suche, lśniące
perły wywodów historyzoficznych, wstępnika, kładącego się w poprzek
michodowi postępowemu, sternika «łodzi pełnej trupów». Heroizm mi-
styczny wznosił teraz Słowackiego na takie wyżyny artystym, taką
siłę, potot i piękno dał wytworom jego wyobraźni, nastrojowi uczuć,
że istotnie górnie on zarówno na milczącym, po zejściu z katedry
paryskiej, Mickiewiczem, jak i w miłości dla Delfiny i historyzofii

wielkiej epoki, zstąpił z obłoków na ziemię, którą ma wskazać już w «Księgach piełgrzymstwa» Mickiewicz, prawdą nieśmiertelną najdonioślejszej z wygłoszonych tam nauk: «O ile powiększycie i polepszyście dusze wasze...» Psalm «Dobry woli» jest w istocie swej rozwinięciem wspaniałem tej złotej myśli Mickiewicza.

Dopełnieniem tego «Psalmu», szerszym rozwinięciem głównej jego idei: odrodzenia narodu przez moralne odrodzenie jednostek, jest ta pełna siły powagi i uczucia, odzewa do mających zmartwychwstać («Resurrecturis») ogłoszona dopiero w r. 1851 w «Przeglądzie Poznańskim» (też osobno r. 1852 w Paryżu), lecz napisana r. 1846 w Nizy. Wzburzony przez świętą rzęs galicyjską i smutne następstwa niefortunnnych usiłowań rewolucyjnych w trzech częściach rozdzielonej odczyni, widzi w świecie jeden olbrzym «czemtarz z łez, ze krwi i błota», «wieczną Golgotę» dla każdego szlachetnego serca. Nie podaje się jednak zwątpieniu i rozpacz, bo wierzy «w ciążą moc ofiary», w siłę miłości, która, «silniejsza nad śmierć», zwyciężył nas w walce «z tem piekłem świata». Droga, prowadząca do tego zwycięstwa jest urzeczywistnianie ideału moralnego w duszy polskiej, uzdolnienie jej do czynów ofiarnych, mających okupić przysziłe wyzwolenie. Poeta z głębi swego dojrzewającego moralnie ducha wysnuwa proste a podniosłe rady: «Bądź arcydziełem nieugiętym woli — W ciągłej przykłądu i słowa postaci — Rozdawaj siebie samego tobie braci! — Mnóž się ty jeden przez czyny żyjące — Co świat przetrwał smętem i marą — Uczyń jawnem, uczynj Wiarą, uczynj Prawem» a «na mękę twój grobie, ze zdarzeń powodzi, niezrodzone się narodzi! Sprawiedliwość wstanie».

W r. 1847 ogłosił poeta dwa utwory: «Dzień dzisiejszy» i «Ostatni», które wraz z fragmentami «Niedokończzonego poematu», przekraczającymi w ostatnich ustępach datą utworzenia r. 1848, mają tę wspólną cechę, iż są złożone z uryków, pochodzących z różnych chwil życia Krasńskiego, użytych jako cegiełki do później obmyślanej całości. Ponieważ zaś te całości odtwarzały idee, odgrywały ważną rolę w życiu duchowym poety, przeto dawniejsze uryki liryczne, odbijające wybitne chwile przeżyć, z całą prawdą i siłą uczucia, znalazły tu dość właściwe dla siebie pomieszczenie. Pięknością swą odbijają one silnie od późniejszych części, poświęconych wykładowi przekonań, odwarzaniu idei i ideałów z epoki «Przedświutu» i «Psalmów». Już przed laty dwudziestu prof. Antoniewicz, pierwszy krytyczny badacz tekstu utworów Krasńskiego, spostrzegł te dawniejsze pochodzenia wkładki w «Dniu Dziejiszym» i «Ostatnim» i odniósł powstanie ich do epoki genewskiej (r. 1832), widząc w tych urywkach szczytki zatraczonego «Adama Szaleńca». Odnalezienie francuskiego przekładu tego utworu, przesyłanego częściowo w listach do Reeve'a, nie potwierdziło tego domysłu. Istnieje wprawdzie pewna łączność, między tymi urywkami a późniejszymi utworami, łączność, wynikająca stąd, iż wstrząsające dusze przeżycia, których «Szaleńiec» był bezpośrednim wyrazem, weszły

w skład prawie wszystkich późniejszych utworów poety. Znajdziemy je w «Nieboskiej», «Irydyonii», «Przedświacie», «Psalmach». Już we fragmentach «Szaleńca» spotykamy: ojczyznę powstającą... piękniejszą, niż niegdys..., z grobu, przemienionego w drugą kolebkę... w chwale zmartwychwstania, jak Syn człowieczy powstał z niego przyodzianym w ciało z promieni». Obraz ten, niezależny z pewnością od nieznanych poecie współcześnie stworzonych «Ksiąg Narodu» i wizji ks. Piotra, wróci w szerszym rozwinięciu w «Przedświacie» i «Psalmach» gdzie poeta temi samymi prawie słowy wypisują swą myśl («Polako, Polsko grób twój tylko był kółką nowej zorny»). Gdy zetknięcie się ze Słowackim, podniecenie uczuć przez miłość nieszczęsną, a więcej jeszcze rozwijająca się muzykalność, pobudzą poetę do posługiwania się formą wierszową, wtedy, pomimo trudności, jakie spotykał w mowie wianej i nieufności w swe siły («jestem wierszokłeta»), choć w przeznaczonych do druku utworach posługując się będzie prozą poetycką, to jednocześnie swe uczuciowe wyznania, odbicia swych stanów duchowych, utwalać będzie, dla siebie i najbliższych jedynie, w urywkach wierszowanych. Muzyka szczęścia, przepelniająca jego duszę w epoce «Przedświutowej», pociągając za sobą konieczność wypisywania bogatej duchowej treści, wymagającej rytmiki i muzyki wiersza.

Z dwu powyższych jednocześnie wydanych utworów «Ostatni» jest niewątpliwie wcześniejszym, a zarazem piękniejszym. Dla dzisiejszych czytelników jest on z pewnością najwięcej pociągającym, wzruszającym z utworów poety, najpiękniejszym z wierszem pisanych, przewyższającym «Przedświut» harmonią i jednolitością. Poeta, dzięki swej nadmiernej wrażliwości, oddziaływaniu, nieopaszczejaczej duszy przez lat wiele, wizji przewidywanego zesłania, losu ostatniej ofiary dla okupienia przyszłości ojczyzny, zdolny był odtworzyć swe marzenia z siłą i prawdą realnych przeżyć. Powtarzając się w duszy konającego więźnia wizja Przedświutowa, zmartwychwstającej ojczyzny, ma tu swe uprawdopodobnienie w stanie duszy cierpiącego więźnia wielokroć silniejszej, niż w nieco sztucznie połączenu z piękną miłosną zachwyta w «Przedświacie». Fragment genewki: «Wiosna i Wiozjęci» przedstawia już pierwszy zarys «Ostatniego», zaś modlitwa «Irydyona» po oddaniu siostry ceszarowi, wskazuje, iż odtworzył tu poeta swe pragnienie, wizję swych przyszłych losów. Drugi z utworów, «Dzień dzisiejszy», obok wstawionego tu klejnotu liryki, dawniejszego pochodzenia («O pójdzicie, pójdzicie») pieśni tęsknoty i miłości, wizji pól ojczystych i cierpień ojczyzny — przedstawia przeważnie cechy artyzmu «Psalmów», a zwłaszcza «Psalmu ślału», jest wierszowaną polemiką, charakterystyką i krytyką programów i dążeń różnych kół, na które rozpadła się emigracja polska w latach od 1840 do 1850 r. Pełne siły i uczucia momenty przeplastają wierszowane wyrody. I tu, jak w «Ostatnim» i wielu dawniejszych utworach, występuje umiærający, tylko, zamiast piekła Sybiru, ciemności i milczenia lochu więziennego, otacza go «piekło dni naszych», kłótnia i walka żrących się i pływających na siebie stronnictw.

Z piekła tego, podobnie jak z kazamaty sybirskiej, wyzwała cierpiącego wizja powstającej z grobu ojczyzny, sprowadzająca zgodę kłócących się doktrynerów i pozwalająca konającemu «lekko bez boleści, rozsmuć do życia wiążące go nici».

Przez spełnienie najgorętszego pragnienia ojca, poślubienie Elżbiety Branickiej, uzyskał poeta teraz znacznie większą swobodę swych czynności. Niezależny materialnie, głowa pomańszącej się rodziny, poczuwał się obowiązany przejść od pieśni do czynów, od szczytnych wizji do ich częściowej choć realizacji. «Psalmy» są już nie tylko utworem, pieśnią, ale czynem społecznym, wywieśnieniem standardu i programu, przy którym chciałby wieszeć-mać skupić współziomków. Podobny charakter widzimy w «Resurrectoris» i «Dniu dzisiejszym». Rzecz galicyjska i zajęcie Krakowa, pobudka Krasiańskiego do gorączkowej działalności. Stara się zebrać drogą korespondencyjną świadectwa o przebiegu wypadków galicyjskich, układa i posyła Guizotowi, ówczesnemu ministrowi spraw zagranicznych, memoriał w sprawie zajęcia Krakowa, ogłasza broszurę francuską w formie listu do Montalemberta, będącą właściwie wykładem historycznocyflicznym, przystosowanej do ówczesnego położenia Europy, następnie protestuje, listem francuskim do Lamartine'a, przeciw pomieszczeniu w jego «Historji Żyrodystów» zdaniu, iż Polska była narodem azjatykiem. Zawdzięczając filozofii, a Cieszkowskiemu w szczególności, wyzwolenie duszy z dręczących ją niepokojów i wątpliwości, a uzdolnienie do nowych natchnień i roli wodza duchowego narodu, spieszy z poparciem materialnym dla Trentowskiego, który, rzekłszy się katedry niemieckiej, by poświęcić się pracy dla nauki polskiej, został bez środków do życia. Krasiański (od r. 1847) wypłaca mu ze swych funduszy stałą roczną zapomogę i nawiązuje korespondencje, poświęconą roztrząsaniu pytań, nie filozoficznych, ale politycznych i historycznocyflicznych. Objęcie siero Kościółka przez Piusa IX wydało się Krasiańskiemu zapowiedzią zbliżania się oczekiwanej przez niego i zapowiadanej w «Przedświcie» i «Palmach» nowej ery w dziejach ludzkości i Kościoła. Nawiązane jednocześnie stosunki i korespondencja z Koźmianem, gorącym i surowym katolikiem, odbijają się na coraz silniejszym zespoleniu uczuciowym i pojęciowym poety z Kościółkiem. Stąd to żywe i gorliwe interesowanie się losami papieża, któremu na uzyskanych posłuchaniach rozwija swe pomysły i dążenia. Zetknąwszy się po długim niewiedzeniu z Mickiewiczem w Rzymie (r. 1845), pośredniczy w uzyskaniu mu przyjęcia w Watykanie i w stosunku do swego mistrza z r. 1830, przybiera stanowisko przewodnika i nauczyciela chcącego, daremnie naturalnie, silniejszego duchowo wieszca, pozyskać dla swoich ideałów i przekonać. Rozstali się mimo to przyjaźnie. Mickiewicz opuścił Rzym, by prowadzić związany tam legion polski i wcielad w życie skreślony dla walczących i ludów Europy «Skład zasad», wyraz podniosłych pragnień i rojeń. Pius IX zaś, mimo błagań kłęczącego u stóp jego Krasiańskiego, zaklinającego papieża, by uznał i poparł ideę zjednoczenia Włoch i tym czystem ubezładnił wrogie

Kościółowi żywiły radykalne, obral wprost przeciwną drogę i zmuszony był przed ruchem rewolucyjnym opuścić Watykan. Krasiański, nosząc w duszy swej Przedświtowy ideał Ludzkości i Polski, nienawidził zarówno czarnych, jak czerwonych, realicy, jak rewolucy. Łącząc ze swym idealizmem trzeźwość sądu o położeniu politycznym, potępiał, jako zgubny dla ojczyzny, udział Polaków w rewolucji węgierskiej. Obawiał się stąd rozbiicia Austrii, a tryumfu i przewagi Rosji. Polska, jego zdaniem, powinna była popierać nie Węgrów, lecz Słowian austriackich i na ich zjednoczeniu opierać swoją przyszłość. Ciekawem odbiciem ówczesnych wypadków w umyśle i sercu poety jest wiersz: «Obłężenie Wiednia», w którym potęgując, wyolbrzymiając niemal na katalizm dziejowy epizod — walki między rewolucją a rządem austriackim w Wiedniu się toczącą, upatruje w kłękach, spadkach na różnoplemienną ludność stolicy, słuszną karę za rozbiór Polski, za wykreślenie z karty Europy narodu, którego idea, wcielona niedgdy w czyn Sobieskiego, mogłaby jedynie wyzwolić i zbratać spragnione wolności, a nienawidzące się i walczące ze sobą ludy.

Wypadki lat od 1846 do 1849, śledzone przez Krasiańskiego z gorączkowym zainteresowaniem się Polaka, odczuwającego ich odbicie się na losach ojczyzny, myśliciela, szukającego w nich stwierdzenia własnej historycznocyfliczności, wyprowadzającego z tych ciężkich doświadczeń wnioski o środkach i kierunkach polityki narodowej — wywarły doniosły wpływ na życie duchowe poety i wstrząśnieniami swymi nadwydrężyły z trudem utrzymywaną równowagę fizyczną organizmu. Artyzm i twórczość zanikają, poeta, wieszce, staje się politykiem, moralistą. Stan zdrowia i warunki, wytworzone przez wzmagającą się reakcję, nie dają pola i środków działania. Życie rodzinne, przy rosnącym przywiązaniu do podbijającej go zaletami serca i umysłu małżonki, i koło przyjaciół, podtrzymywane przez korespondencje, udzielającą wyników ciągłej pracy myśli Krasiańskiego, zwróconej do najważniejszych zadań politycznych i narodowych — oto sfera, w której spędził poeta ostatnie dziesięciolecie swego życia.

W pierwszych latach tego okresu pracuje on nad dokonaniem rozpoczętego jeszcze r. 1837 i w różnych odstępach czasu częściowo pisanego utworu, mającego stanowić wstęp do «Nieboskiej», a raczej przygotowanie do niej, przez odtworzenie dziejów młodości Męża i przebiegu ruchu rewolucyjnego, którego ostatnią fazę poznajemy w obozie pod okopami św. Trójcy. Utwór ten, ogłoszony w całości dopiero po śmierci poety (Paryż 1860), a tylko częściowo za życia («Sen» 1852 Leszno), nosi naturalnie w różnych częściach odbicie odmiennych nastrojów uczuciowych i pojęć właściwych różnym chwilom życia poety. Obok tego znać tu i ówdzie dodatki i poprawki późniejszego pochodzenia, podobnie jak w «Ostatnim» i «Dniu dzisiejszym». Już w liście z 19 stycznia 1839, pisze do Gaszyńskiego: «Szelma Dant mnie wwiercił się do duszy, choć z nim... od lat kilku» ale urzeczywistnianie po myśli «dyable leniwo się dopełnia». Można by stąd

wnosić, iż zaraz po skończeniu «Niebokiej», powziął myśl odtworzenia pełniejszego, w szeregu obrazów i wizji, tego dręczącego «piękną dni naszych», które miało wyłumaczyć nam konieczność katekizmu, zarysowanego w powyższym utworze, jak i bezsilność wychowanego i działającego w takich warunkach bohatera. W liście z grudnia 1840 roku donosi, że na życzenie «pewnej w ducha i piękność późnej istoty» opowiadał swe zajęcia uniwersyteckie z r. 1829 i odmawiał tak żywo wystąpienie przyjacielskie Gaszyskiego, że wywołał z ust tej osoby (Delfiny naturalnie) wykrzyk: «Jaki dobry i szlachetny...» «Wpływ Anhellego» i «Wędrowki Dantyszka» świeżo ogłoszonych, był zapewne jednym z bodźców do zwałowych prac poety w chwilach, kiedy świeża miłość dla Delfiny działała podniecająco na jego twórczość. Pierwsza połowa «Niedokończoność poematu» ze «Snem» powstała prawdopodobnie w r. 1840 i góruje wartości artystyczną, mimo wprowadzenia do nieskończoności powtarzającej się formy sna, nad drugą połową. Obrazy «Snu» rozwijają, ilustrują myśli, wypowiediane przez poetę zarówno w listach do najbliższych, jak w «Przedświcie», «Ostatnim», «Dniu dzisiaj». Spotykamy tu mianowicie obrazowe rozszerzenie i dopełnienie pełnego siły wstępu «Przedświtu», zaczynającego się od słów: «O wy nizio, o wy śmiesz, protestu przeciw zamaterializowaniu świata w «Ostatnim» («I świat ten cały był giełdą bez Boga»), wreszcie ciekawą charakterystyką Delfiny-Beatrycze i wymowne poparcie sprawy kobiecej. W drugiej połowie («Podziemia weńskie»), stanowić mającej główną część zamierzonej całości (pierwsza połowa nazwana jest «wstępem») poeta pod wpływem fantastycznego romansu George Sand'a «Comtesse Rudolstadt», odwarza w szeregu występujących kolejno, w porządku chronologicznym, chórów najważniejszych ludów świata (od Chaldejczyków począwszy), swą historyczną syntezę rozwoju duchowego ludzkości, a następnie w scenie wielkiego wieceu ludów i przemówień kierujących tymi ludami przywódców, rewolucjonistów, swe idee polityczne i krytykę dawnych i hasel rewolucyjnych. Poemat ten przedstawia, w rozwoju twórczości Krasńskiego, pojąk analogiczny, w drugiej połowie mianowicie, z syntezą rozwoju świata w «Genezis z Ducha» i historyzofią «Zborowskiego» i «Króla Ducha». Bodźcem, nie jedynym może, ale najbliższym, bo najrealniejszym, były tu zapewne myśli, rozwijane przez Mickiewicza w prelekcjach paryskich, i fakt władzy duchowej, rządu dusz, osiągniętego przez wielkiego wieszca, usiłującego słowem i czynem własnym prowadzić naród ku wytkniętym mu wysokim zadaniom. Dwa współwzrosty, zjednoczeni z nim teraz wspólną miłością i zapalem dla zadań życia narodowego, przy całym uwielbieniu dla mistrza, pragną, każdy odpowiednio do swych udołności i zasobów, rozwinąć i przyobiec w szaty artystyczne, własne idee i ideały przyszłości, wytworzone pracą ducha, oproniomione potęgą artyzmu. Słowacki, męcząc się nadaremnie nad syntezą, gubiących się w nieskończoność, idei-obrazów, zająsał, jako artysta, najwyższym blaskiem swych potężnych kreacyi; Krasniński

przeciwnie, oddawszy się, z pomocą studiów filozoficznych, ujmowaniu w wiązane się z sobą syntez (tryady), zagadnień bytu jednostkowego, narodowego i całej ludzkości, osłabi, wyziębi źródła swej twórczości artystycznej. «Poemat niedokończony», jak i poprzedzające go utwory, od «Przedświtu» począwszy, przedstawia, przy powtarzaniu się ciąglem formy wizji, coraz większą przewagę dydaktyzmu i retoryki nad artyzmem. Nawet siła przekonania, zapadła dla idei wygłaszanych słabnie stopniowo; wywody i rozumowania przybierają odcień gderliwości mentora, powtarzającego się w swych wykładach, przestrogach, krytykach. Takie wrażenie odbieramy z przemów Prezesa i Pankracego w ostatniej części «Poematu niedokończoność». Charakterystyka Julii-za (Słowackiego) jednostronna, płytką, niechęcią nacechowana, świadczy wymownie, jak autor świetnej oceny twórcy Anhellego (Kilka słów o Juliuszu Słowackim r. 1841) przestał teraz rozumieć śpiewaka «Króla Ducha» w najwyższej fazie rozwoju jego udołności.

Jeżeli przyjmiemy za datę utworzenia drugiej połowy «Poematu niedokończoność» r. 1848, na co wskazuje zarówno treść ostatniej sceny, jak i charakterystyka Słowackiego, techną jeszcze świeżem rozdrażnieniem, odbitem w «Psalmie Żala», a niemożliwą, przy podniosłości duszy Krasńskiego po śmierci Juliusza, przypadłej w r. 1849, to ostatnie dziesięciolecie przedstawia nam zanik twórczości, która, mimo względnej poprawy zdrowia i przyjaźniejszych warunków dla życia narodowego po r. 1856, nie znajduje w duszy poety świeżych bodźców i materiałów. Proces życia duchowego poety, doprowadził do ustalenia i zharmonizowania całego systemu pojęć i wierzeń historyzoficznych i religijnych, do równowagi we wnętrzu, osiągniętej przez długi (kres wstrząśnień, kolizji i cierpień. Odtworzywszy w całym szeregu utworów swe przeżycia i wyniki ostateczne pracy myśli, osiągnąwszy pożądaną, uspokajającą i pokrzepiającą syntezę pojęć, objaśniających najwyższe zadania życia jednostkowego i zbiorowego, czeka on teraz spokojnie i ufnie na bliższe ziszczenie swych przewidywań. Wita, również jak i Mickiewicz, radośnie zamach 2 grudnia 1851 r., widząc w księciu prezydencie, później Napoleonie III, upragnionego pomocem burzyliści i krzykaczów rewolucyjnych, mającego poprowadzić Francję i Europę innymi, lepszymi tory, ku wyższym zadaniom ludzkości. Wojna wschodnia r. 1854 budzi w patriotyczno-historyzofie dreszcze radozne, jako znak ziszczenia się wizji przedświtowych. To też w początkach tej wojny pisze i przesyła cesarzowi Francji, za pośrednictwem W. ks. Badenkiej, memoriał w sprawie polskiej, a następnie, mimo rozczarowania, sprowadzonego wynikami wojny, w epoce kongresu paryskiego otrzymuje posłuchanie w Tuilleries, na którym przedstawił Napoleonowi stan Polski i położenie Polaków w każdym z trzech państw władających ziemiami Rzeczypospolitej. W dwa lata później (1855), leżąc się u wód w Plombières, na wezwanie Napoleona, ponownie udzielił mu objaśnień. Przed nim jednak miał posłuchanie Cavour, który pozyskał stanowczo

cesarza dla swego planu oswobodzenia Włoch. Sprawa polska odłożona została, jako niedojrzała jeszcze, na później.

W życiu rodzinnem, mimo harmonii, sprowadzonej przez takt i dobroć małżonki, ocenianio coraz więcej opieki przy wzmagających się cierpieniach, zachodzą od czasu do czasu mącące ten spokój wypadki. Śmierć najmłodszego córeczki, Elizy, odczuta silnie przez ojca, znaczna strata majątkowa przez upadek domu bankowego niemieckiego (1857), w którym kapitał swój złożył poeta, wreszcie choroba i śmierć ojca (1858 r.), spotęgowały postępy chronicznej choroby (gruźdicy) ogarniającej stopniowo cały organizm. Mimo cierpiń, zabrał się do napisania żywota ojca, zapewne z myślą odsłonięcia dla ogółu znanych synowi lepszych stron charakteru generała, który, spełniając chwilowo obowiązki namiestnika Królestwa, po śmierci Paskiewicza, starał się, w ostatnich latach życia, zatrzeć w pamięci ogółu dawniejsze błędy i odstępstwa. Doprowadzona do r. 1827 praca ta została niedokończoną. Po kilkumiesięcznych ciężkich cierpieniach zgasł, opatrzony Sakramentami, wieszcz «Przedświtu» i «Psalmów», w dniu 23 lutego r. 1859 w Paryżu, w cztery dni po 47 rocznicy swych urodzin. Ciało jego, przewiezione do kraju, złożone zostało w rodzinnym grobie kaplicy Opinogórskiej.

W swych młodzieńczych marzeniach ryercz-mściciel krzywd narodu, w późniejszych rojeniach ambitnych dążąc do sławy i tradycji rodu wielkiego, maż-wódz w oczekiwanych rewolucjach i kataklizmach społecznych, wreszcie w epoce dojrzałości poeta-myśliciel, aczący, pocieszający, chwilowo wieszcz, prowadzący naród ku świetnej przyszłości, kierujący i gromiący innych przewodników i ich ideały: kapłan, podnoszący ducha i wznoszący w imieniu ludu uroczystą, dziękczynną i błagalną modlitwę, wreszcie słabnący duchowo polityk i powtarzający się w przestrożach i potępieniach mentor. Chroniczne, odziedziczone po rodzicach i działach dolegliwości fizyczne, nekające Krasidskiego od 18 roku życia, wywołujące chorobliwą drażliwość i krapliwość, zmuszające do ciągłych kuracji, odosobnienia się w ciemny pokój, przymusowej bezczynności, — utrudniały, uniemożliwiały normalny rozwój i normalną pracę, sprzyjały za to rozwianiam się marzycielstwa, skłonności do snucia wizji, do rozmyślań i przewidywań historyzoficznych. Względ na stanowisko urzędowe i czynny ojca, na interesy rodowe, których, jako jedynak, przysłał ordynat, miał obowiązek strzedz — położenie kraju utrudniające, tamujące prawie, wszelką ku celom narodowym i społecznym zmierzającą działalność — oto nieprzezwyciężone zapory, z którymi całe życie prawie — najsilniej w latach młodzieńczych — musi mocować się i męczyć rwący się do działalności pod wpływem ambicji, patriotyzmu, artysty, słaby fizycznie i skrepowany moralnie, «bezimienny» z konieczności, poeta. Rewolucjonista-romantyk, lubujący się w wyższych kataklizmach, obalających dotychczasowe stosunki i instytucje, skłonny do targnięcia się w podnieceniu gorączkowym

na wszystko, co kępuje swobodę uczucia, marzenia i czynu, — walczy w nim z arystokratą, zachowawcą, myślicielem, który od wczesnej młodości jest świadom swych popędów i słabości, zdolnym je osadzić i potępić, lecz nie dość silnym, by je opanować.

Jako poeta, marzyciel, chętnie przenosi się w odległą przeszłość lub przyszłość, lubuje się w gwałtownych przewrotach dziejowych, przekształcaniach społecznych, politycznych, religijnych; jako myśliciel zaś, polityk, dziedzie tradycji, zasług i sławy licznych przodków, posiadacz rodowej fortuny, jest zachowawcą, pragnie zapobiegać przewrotom, walczy z rewolucją, głosi idee miłości i harmonii społecznej, postęp i przeistaczenie chce osiągnąć drogą rozwoju, doskonalenia moralnego jednostek. Na takim stanowisku nie może podzielać politycznych utopii Mickiewicza ni rozumieć rojeń Słowackiego w okresie «Zborowskiego» i «Króla Duch», a za to zbliża się pojęciowo z Koźnianem, znajduje piękno w jego «Stefanie Czarnieckim» i zachwyca się improwizacjami Deotymy.

Górując nad Mickiewiczem i Słowackim bogactwem swych zasobów duchowych, zdobytych przez rozległą lekturę, przyswojenie wyników filozofii niemieckiej, ciągłe podróże, dające poznać cały dorobek kulturalny Europy, szerokie stosunki towarzyskie, przeżycia żywota tak obfitego we wrażenia, wstrząśnienia moralne, niezwykle cierpienia — nie może osiągnąć ni harmonii ni równowagi władz duchowych, dającej Mickiewiczowi w życiu i utworach taką spójność, siłę i piękno skończone, ni tego spotęgowania, skoncentrowania czynników duchowych pod władzą unoszonej pędem heroizmu mistycznego wyobraźni, pozwalającej Słowackiemu, w ostatnich latach życia, osiągnąć najwyższych stopni twórczości. Jako artysta, muzykalność swej zawzięcia melodją wylewów, wynurzeń i zwłotów uczuciowych i energiczną, bogatą w kombinacje, rytmikę wybuchów namiętnych. Przewaga formy wizji, wynik chorobliwej wrażliwości i marzycielstwa, zacięcia sferę jego artysty i wytworza monotonię powtarzających się ciągle i stale wcieleń idei w senne widzenia przeszłości i przyszłości.

Mickiewicz, zamknięwszy skończonem arcydziełem okres swej twórczości, utzymał się, jako człowiek, siłą i pięknością charakteru, na stanowisku wodza duchowego narodu; Słowacki rozstał się ze światem w chwili, gdy, jako twórca nieskończonego «Króla Duch», wznosił się blaskiem artysty, potęgą wyobraźni i uczucia do sfery genialności. Krasidski jeden, w ostatnim dziesięcioleciu swego splecionego z cierpieniem żywota, zstępuje, przez wyczerpanie duchowe i fizyczne, z piedestału wieszca do roli widza biernego, współczującego tylko żywo sprawom życia narodowego i ludzkości.

Promienny ideał przysłał ojczyzn i jej posłannictwa w ludzkości, jaki wypięgnował w szlachetnej i bogatej duszy i wcielił w czarne wyże, stanowił przecie, swą moralną pięknością i podniosłością, doniosły skarb, nieśmiertelny zstendar, mogący przewodniczyć narodowi w sto-

pniewem urzeczywistniania, pracą duchową licznych pokoleń, najwyższych pragnień i celów zbiorowego życia społeczeństw i ludzkości.

WSKAZÓWKA BIBLIOGRAFICZNA.

Wydania zbiorowe i pierwsze piśmiernie utworów pojedynczych. Utwory, wydawane za życia, wychodziły bądź bezimiennie, jak: «Nieboska» i «Irydyon», bądź pod przybranymi nazwiskami: «Trzy myśli Ligęzy» wydane jakoby przez Mielińskiego herbu Gozdawa, «Psalmy» przez Spirzydona Prawdzickiego – lub też pod nazwiskami przyjaciół poety, których przyjmowali przed światem na siebie autorstwo, jak np. «Przedświt» Gaszyńskiego, «Dnia dzisiejszego» Stan. Koźmian; «Sen», wydany r. 1852, jako pozostałość z rękopisów po ś. p. J. S. (Stowackim). Po śmierci poety szerzący się w kraju zapal dla utworów i myśli Krasieńskiego wywołał liczne przedruki pojedynczych utworów w Paryżu (Nieboska, Irydyon, Psalmy, Przedświt, Dzień dzisiejszy i Ostatni, w latach od 1859 do 1862). Pierwsze zbiorowa, niestaranne i niezupełne wydanie, ukazało się r. 1863 w Lipsku, w 3 tomach, w «Bibliotece pisarzy polskich» Brockhausa. To samo wydanie, ze zmianą okładki i nową przedmową, puszczono r. 1872, nowe trzecie wydanie wyszło r. 1888. W kraju pierwsze wydanie ukazało się r. 1875 we Lwowie, staraniem Amborskiego, ze wstępem Stanisława Tarnowskiego, nakładem Gubrynowicza w 2 tomach; ponownie r. 1886, rozszerzone przez włączenie powieści młodzieńczych do 4 tomów, po raz trzeci r. 1890, i czwarty w r. 1902. Ostatnie najlepsze, mieszczące polskie i francuskie młodzieńcze utwory, wydobycze ze zbiorów Biblioteki Krasieńskich w Warszawie, wyszło w 6 tomach r. 1904 we Lwowie, pod redakcją prof. Piniego, ze wstępem prof. Kallenbacha. Utwory młodzieńcze i francuskie wypełniają trzy ostatnie tomy¹⁾. Na podstawie tego wydania wyszło z opuszczeniem francuskich utworów warszawskie (Gebethnera i Wolfa, r. 1907, w 4 tomach). Obok nich istnieje kilka tanich, niepelných, spekulacyjnego charakteru wydań jak Zupańskiego i Heumanna w «Nowej bibliotece uniwersalnej» (Kraków 4 tomy 1891 i Lwów 1898), redakcyi «Kuryera Codziennego» (Warszawa 1900 w 4 tomach) i współczesne, pełniejsze, Miarki (Mikulow=1900, 4 tomy); Gebethnera (Warszawa 4 tomy 1901). Wybór pism w wydaniu miniaturowym ukazał się u Gebethnera w r. 1898, tom jeden. Pierwszy zbiór listów Krasieńskiego wydał w jednym tomie r. 1859 w Paryżu Konstanty Gaszyński. Dał tu jednak tylko wyjątki, wybór myśli i poglądów, rozwiniętych przez poetę, opuszczając to, co odno-

¹⁾ Pomiedzy utworami wtpliwjej autentycznosci pomieszczono tu «Krucyaty» Deotymy. Krasieński, jako wielbiciel poetki, przepisał kilka jej utworów i wiodocnie ten odpis wprowadził w blad prof. Piniego. «Swiat» (z pazdz. 1908) dal podobizne odpisu wlasnoręczego innego wiersza Deotymy.

silo się do jego życia i stosunków. Lepsze, choć też z opuszczeniami, wyszło we Lwowie pod redakcją Kraszewskiego. Cztery tomy wydane obejmują listy do Gaszyńskiego (t. I, 1882 r.), do Soltana (t. II, 1888), do St. Małachowskiego (t. III, r. 1885), do Jul. Stowackiego, R. Załuskiego, E. Jaroszyńskiego, Koźmianów i Br. Trentowskiego (t. IV, 1887). Bardzo ważna i ciekawa korespondencja z przyjaciółmi lat młodych, z epoki genezewskiej, Henrykiem Reeve'm, wyszła osobno p. t. «Correspondance de Sigismund Krasinski et de Henry Reeve. Préface de M. J. Kallenbach. Paris 1902». Dwa tomy. Prócz tego pojawiły się osobno «Listy od r. 1835 do 1844, do Edwarda Jaroszyńskiego», wydane przez M. Gorzkowskiego (Kraków 1871), lecz zostały wydane z obiegu przez rodzinną. Część tych listów wyszła do czwartego tomu ogólnego zbioru listów.

Listy francuskie do Montalamberta i Lamartine'a w przekładzie Teofilu Radońskiej wyszły w Poznaniu (r. 1861 str. 46). Listy o poemacie Koźmiana «Stefan Czarnecki», pomieszczone zostały przy wspomnieniu piśmiernym o Krasieńskim przez A. E. Koźmiana (Poznań 1859), zaś 10 listów do Stowackiego w zbiorze listów Słowackiego (Lwów 1883, w tomie II). Szerog piśmiernych wydań pojedynczych utworów rozpoczął «Niedokończony poemat» (Paryż, 1860). W r. 1868 wydał M. Dzikowski «Poezye piśmiernie» (Poznań), r. 1878 ogłosił L. Siemiński p. t. «Moja Beatrice» (Kraków) zbiór 14 utworów lirycznych dla Deliny Potockiej pisanych. Wydany r. 1829 w Warszawie, lecz wykupiony przez rodzinę i zniszczony «Grób rodziny Reichstałdów» ogłosił r. 1879 w Poznaniu Bol. Twardowski, który następnie wydał r. 1880 nieobjęte lwowskimi wydaniem młodzieńcze utwory (6 uryków) i poprzędził je życiorysem poety. W r. 1899 Adam Krasieński, wnuk poety ogłosił p. t. «Myśli pobożne», Modlitewnik napisany dla Maryi Bobrowej; r. 1901 w Bibl. Warsz. i osobno (Warszawa 1901), fragmenty «Wandy» p. t. «Nieznany dramat» wreszcie traktat «O Trójcy w Bogu i o trójcy w człowieku» (Bibl. Warsz. 1904 r.). W wydanych przez Trentowskiego w r. 1847 i 1848 pismach: «Przyszłość i teraźniejszość», «Wizerunki i przedruza polityczne», znajdują się ustępy pióra Krasieńskiego, nie wyróżnione, ale wyróżniające się stylem i pojęciami, znanymi ze współczesnego «Dnia dzisiejszego».

Biografie i charakterystyki. Nie mamy dotąd wyczerpującej biografii Krasieńskiego, gdyż najważniejsze dla poznania jego życia świadectwo, obfitym, kilka tysięcy listów obejmująca, korespondencja, ogłoszona została w małej części jedynie, i to z opuszczeniami. Tak ważna korespondencja z ojcem dotąd pozostaje w ukryciu. Blizkim związanym z poetą stosunkami, Konstanty Gaszyński zostawił podobno niedokończony pamiętnik o Krasieńskim, którego losy są obecnie niezane. Zaraz po śmierci Krasieńskiego pojawiły się: Koźmiana A. E.: «Życiorys Zygmunta Krasieńskiego», Poznań 1859 str. 93.; L. Siemińskiego: «Wspomnienie piśmiernie» (Dodatek do «Czasu» t. XIII i osobno Kraków 1859, później włączony do zbioru «Portretów literackich» t. I, Po-

znał 1865), tudzież francuski zarys twórczości poety, przez Paul de Saint Vincent (Budziński Michał) p. t.: «Le poète anonyme de la Pologne» (Revue Contemporaine i osobno, Paryż 1859). W r. 1861 ogłosił Laurent Pichat Leon: «Le poète anonyme de la Pologne» (Paryż), a w r. 1862 pojawiło się świetne wydanie: «La poésie polon. au XIX siècle et le poète anonyme.» («Rev. d. deux mondes» 1862 r. styczni). Polski przekład współcześnie w «Dzienniku literackim» lwowskim (r. 1862) i w zbiorach pism Klaczki: «Pisma polskie» (Warszawa 1902) tudzież «Szkice i rozprawy» (Warsz. i Krak. 1904). Matachowski Stan. jeden z najbliższych poswie, ogłosił r. 1876 w Krakowie «Krótki rys życia i pism Z. Krasińskiego». W r. 1875, jako wstęp do wydania zbiorowego pisma Krasińskiego we Lwowie, pomieścił St. Tarnowski zarys biograficzno-krytyczny, powtarzany w następnych przedrukach tego wydania. Zarys ten, rozszerzony znacznie przez włączenie bogatego materiału, czarpanego z ogłoszonych później listów poety i oddzielnie studyów nad utworami z ogłoszonych później wykładow uniwersyteckich, ukazał się r. 1892 w Krakowie p. t. «Studia do historyi literatury polskiej». Wiek XIX, Zygmunt Krasiński, str. VIII i 695 z trzema portretami poety i wizerunkiem jego małżonki. Hoessick Ferd. wydał: «O Słowackim, Krasińskim i Mickiewiczu» (Kraków 1895), «Miłość w życiu Z. Krasińskiego» (Bibl. dzieł wybor. t. 72 i 73, Warszawa 1899 i nowe rozszerzone opracowanie: Kraków 1909) Rolle Antoni Dr.: «Z życia Z. Krasińskiego». Beatrice, Babka poety («Sylwetki i szkice» t. VII i IX, Kraków 1891 i 1893). Pisze też o Krasińskim Bron. Trentowski w swym «Panteonie» (t. IV). Wiele przyczynił się do lepszego wyznaczenia życia poety, wnuk jego Adam Krasiński, zmarły r. 1909, zarówno własnymi pracami («Poeta myśli» w Bibl. Warsz. 1901), jak udzieleniem przechowywanych w zbiorach rodzinnych rękopisów, listów poety, prof. Pińsiemu do wydania pełnego pism i prof. Kallenbachowi do opracowania życiorysu. Pracy tej ukazała się dotąd część pierwsza p. t. «Zygmunt Krasiński. Życie i twórczość lat młodych» (1812—1838) 2 t. Lwów 1904 z portr. poety, pani Załuskiej i Bobrowej. Przynosi ona wiele ciekawych a nieznanych szczegółów z szerepionych z korespondencji poety z ojcem i z listów Danielewicz. Prócz tego prof. Kallenbach ogłosił: «Lata szkolne Z. Krasińskiego» («Muzeum», Lwów 1907 i osobno).

Studia krytyczne. Z ocen i rozbiórów utworów Krasińskiego, jakie pojawiły się za życia poety, najwazniejsze są: Mickiewicza: oceny «Nieboskiej», «Snu Cezary» i «Legendy» w Kurście literatur słowiańskich (wyd. Wrotnowskiego, t. IV) i Jul. Słowackiego: «Rzecz o nocy letniej» (w czasop. «Trzeci Maj» z 29-go kwietnia 1841). Antoni Matecki pomieścił rozbiór «Irydyona» w «Przegl. poznańskim» (1847 r., tom I, przedruk w zbiorze «Z dzieł i literatury», Lwów 1896, mieszczącym też i drugą rozprawę pomieszczoną w piśmie «Rok» (1846) p. t. «O stanowisku i dziełach autora Irydyona»). Z ogłoszonych po śmierci ocen, z biografiami połączonych (wymienionych pod biografiami), wy-

różniła się świetna ocena Klaczki w jego rozprawie francuskiej. Dopiero po r. 1880 zyczącą się pojawiać coraz liczniej rozbiory krytyczne i studia nad całym, utworami i postaciami poematów Krasińskiego. W r. 1881 ogłasza Chmielowski w nowem, przerobionem wydaniu ogłoszone już r. 1873 zarysy: «Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego» (4-te wyd. r. 1896) a w r. 1882 «Zygmunt Krasiński pomiędzy r. 1829 a 1848» («Ateneum» r. 1882, t. IV), następnie «Korespondencya Zygm. Krasińskiego». («Studia» t. II, Kraków i tamże «Tragiczność w życiu Krasińskiego»). W r. 1878 ukazała się rozprawa W. Stroki: «Nieboska i Niedokończony poemat» (Lwów). W r. 1880 ogłosił J. Gratowski: «Moja Beatrice» (Warszawa). Współcześnie rozpoczyna ogłaszać swe studia Stan. Tarnowski: «Nieboska» (Niwa, t. XXI, r. 1882), «Miłość w poezyi Krasińskiego» (Przegląd polski 1888 i 89), wreszcie wspomniane już dzieło, łączące biografię z rozbiorem krytycznym utworów. Praca ta wywołała uwagi i dopelnienia Sternala: «Z powodu dzieła Tarnowskiego o Krasińskim» (Przewodnik nauk i liter. 1890, i osobno, Lwów 1894). Tenże sam autor ogłosił smienne studjum o «Przedświcie» (Przegląd powst. 1891 i osobno, Kraków). Nekring Wład pomieścił w swych «Studjach» (Poznań 1884) rozprawy o «Nieboskiej» i «Irydyonie». Chlebowski Bron.: «Nieboska i Irydyon» (Ateneum i osobno, Warszawa 1884), «Przedświt, geneza i charakterystyka» (Sfinks, luty 1909); «Zbliżenie się Słowackiego z Krasińskim» (Kuryer Warsz. z 1 stycznia r. 1909). Tretiak J.: «Tragiczność w życiu Krasińskiego» (Przew. nauk i liter. 1884). A. Belkowskij: «Irydyon» («Ze studyów nad literaturą polską» Warszawa 1886). J. Bołoz Antoniewicz: «Ostatni» Zygm. Krasińskiego (Kwart. histor. 1889) i «O nieznanym utworach francuskich Krasińskiego» (Pamiętnik drugiego zjazdu histor. polsk., Lwów 1890), «Młodość Krasińskiego, próba syntezy» (Kraków 1891), «Zygm. Krasiński i dzieło St. Tarnowskiego» (Przegląd polski 1885 i 96), «Do genezy Psalmów» przez N. (Przegląd polski 1893, I). Hahn W.: «To historyczne w «Irydyonie» (Przew. nauk i liter. 1897 i osobno, Kraków 1898). Pini Tad.: «Niedokończony poemat, próba genezy» (Przew. nauk i liter. 1895 i osobno, Lwów 1896), «Źródła histor. Irydyona» (Kwart. hist. 1899), «Studia nad genezą Irydyona» (Bibl. Warsz. 1899 i osobno Lwów 1889), Miodoński Ad.: «Chrześcijaństwo w Irydyonie» (Przegl. pol. 1897 i osobno, Kraków). Biegeleisen M.: «Komedia nieboska w świetle współczesnej krytyki» (Bibl. Warsz. 1896). Dziama: «Sądy współczesne o Nieboskiej i Irydyonie» (Kuryer Pozn. 1893 i osobno, Poznań), Drogosław (Drogoszewski) «Massyssa, Irydyon, Kornelia» (Ateneum 1895). Zdzichowski M. w dziełach «Messyanici i Słowianofile» Kraków 1888), «Byron i wielki jego» (Kraków 1897). Jellenta C.: «Wszczętoemnat» (Kraków 1894, o wpływie Byrona), W. Spasowicz: «Z tematów wigilijnych (Psalm dobrej woli)», Pisma t. VII. Dr. O. Hewelke «Kornelia Metella» (Krytyka lekarska 1902). W. M. Kozłowski: «Manfred, hr. Henryk, Płoszowski» (Ateneum 1894). Lambro: «Proectwo rzezi galicyjskiej wobec

historji» (Kraków 1902). Z. Tretiak: «Najśw. Panna w poezji polskiej» Kraków 1904. A. Niemojewski: «Sybilla i Przedświt» («Myśl» Książka zbior. Warszawa 1904). A. Krasieński: «Z. Krasieńskiego nieznanym pomysłem trylogii» (Pamiętnikowa księga, 1866—1890, prace byłych uczniów St. Tarnowskiego, tom I, Kraków 1904), E. Forębowicz: «Tryady Z. Krasieńskiego» (Księga wydana przez uniwersytet lwowski dla uczczenia 500-lecia urodzin Krakowa, Lwów 1900, i osobno). S. Dobrzycki: «Nieboska komejla» (Rozprawy Akad. Um. wydz. filolog. ser. 2, tom 27, Kraków 1907). K. Kwieciński: «Ostatni» Z. Krasieńskiego (Przew. nauk. lit. Lwów 1908, z września i października). Kilka rozpraw o utworach i twórczości Krasieńskiego pomieścił w «Pamiętniku literackim» (Lwów) wspomniany tu już pracownicy: Dobrzycki, Drogoszewski, Kallentach, Pini, Zdziechowski. Tamże mieści się bibliografia szczegółowa wydań zbiorowych i utworów pojedynczych, opracowań wszelkiego rodzaju z lat początkowych obecnego stulecia. Bardzo dokładną bibliografię prac dotyczących Krasieńskiego i wydań jego dzieł opracował Stan. Krzeminski («Encykl. wielka ilustr.» przy życiu Krasieńskiego napisanym przez A. Drogoszewskiego).

I. Utwory z okresu rojeń młodzieńczych

(1828—1831).

A) Pan trzech pagórków.

(Ułamki ze starego rękopisu).

Pierwszy młodzieńczy utwór Krasieńskiego datowany 6-go kwietnia 1828 r. z Opinogóry. Jest to opowiadanie na tle czasów przedhistorycznych; widownię stanowią tu znane dobrze młodzieńcowi okolice Ciochanowa i Opinogóry. Utwór zaczyna się wierszem, zwróconym do ojca i stanowiącym powinszowanie imienia, przypadających w dniu 5 kwietnia. Podajemy tu 6 pierwszych zwrotek wiersza (całość 10 zwrotek) i pierwsze dwa ustępy opowieści.

1.

622) Szczere ci, ojczu, przynoszę życzenia;
Szczęście i zdrowie nieboska ci dały,
Nie bądź moje wspominać ich pienia,
Życzę więc tobie nieśmiertelnej chwały.

2.

Chwała! Cóż bowiem czyni pierś niezłomną?
Co sprawia, że serce świętszym ogniem płonie?
Ach! ta myśl tylko, że nas nie zapomna,
Że w sercach ziomków odzjemy po zgonie!

3.

Oparty mieczem na grobie ojczyzny,
Ciągnij jej w sztaadur zmieniłeś zwycięski,
Świadczą oświec z krwi niedawnej blizny,
Wytrwane wojny, poniesione klęski. —

4.

Ty dzięki Maurów widziałeś kraje,
Zwycięskich Gallów oglądałeś miasta,
Boskiej Prowancyi odwiedziłeś gaje,
Gdzie laury kwitają i gdzie róża wzrasta.

5.

Ale napróżno! — losy nam zawzięte
Wstrzymały orły, wzlatujące w chmury,
Spelzły walki i boje zwycięże,
Upadły grody i warowne mury! —

6.

Omdlałym głosem jeszcze wiodłeś szyki,
Z sercem odważnym rzuciłeś się w boje,
Ni cię szcęk broni, ni cię szpizu ryki
Wstrzymać zdołały. — Leczą daremnie znoje!

I.

W Mazowszu jest miejsce, zwane Opinogóra. — Trzy pagórki wznoszą się wśród rozległej równiny — lasy z dala czarnym ję okrążają wieńcem — gaje zielone, po niej rozsypane, przylmują w swoje zacisza różnoplóre ptaki lub trwożliwe zające — krzaki gdziegdzie z błot i trzęsawisk wnoszą gałęzie, wiatrem na wszystkie nachylane strony. Ież razy tam się uganiałem za szybko lecącym bekasem, ileż razy broń morderczą podnosiłem na szarą kuropatwę — ileż razy na tych bloniach hasałem i, uniesiony namiętnością, pedziłem za uciekającym zwierzem! Poznałem ciąglem zwiedzaniem najmniejszy krzaczek na rozległej równinie. Ledwie że każde go kwiatka nie pamiętam. Tu strąciłem z górnych niebios okrutnego jastrzębia, tu przepiórka, umierając, rozciągnęła swe skrzydła pod moimi nogi. Tam znowu wystrzał mej broni nie trafił celu. Tam dziką kaczkę aś pod chmurami ranilem. — Każde drzewo poznałoby mnie — siema kamienia na tych polach, którego by moja nie trąciła stopa — niema strugu, przez który bym nie przeskakiwał. Wody

Sony unoszą na sobie liczne ptaki i niema fali, której by krew nie zarumieniła — krew, płynąca z razu, zadanego moją ręką.

II.

Różne wsie, cztery miasta, towarzyszą na tych równinach Opinogórze. Ale ona się wznosi z powagą, jak olbrzym zwycięski, i wszystkim zagraża płaszczyznom. Czernice, Pomorze, Płońsk, blizkie miejsca urodzenia nieśmiertelnego wieszcza ¹⁾, naokoło jej rozrzucone. Lidyńia ²⁾, błękitnawemi wody spokojnie płynąc, cichą falą podmywa ciechanowskiego zamku ostatki. Tam kiedyś dzielni rycerze na dziarskich ramakach walczyli za piękność. Tu hoże dziewice obdarzaly miłym wzrokiem mężnych wojowników. Nieraz odpadły mosty wzodzone, nieraz polyskujący świetnymi pancerzami męże wychodzili z tych wież, obwianych teraz kręcącym się bluszczem. Trawa gdzienigdzie się zieleni na murach, deptanych żelaznemi nogi. Gdzie chorągiew z herbem tęczowe rozwijała farby, tam dzisiaj krzak porasta, a na jego gałązkach kolysze się wróbel lub samotna pliszka. Gdzie huczne odbywały się biesiady, gdzie wino bursztynowym lało się strumieniem, gdzie wieńce z róż zdobiły niewinności skronie, gdzie blyszczące szyszaki świeciły na głowach walczących, tam dzisiaj — samotność i głuche milczenie. — Okrzyki wolności nie odbijają się już teraz o szerniałe sklepienia, nie tętnią kopyta, nie dzwiczą puhary, nie krzyżują się już żelazne pałasze. — Ręka, która je ujmowała, spoczywa w grobie — zimny głaz wstrzymuje jej zwycięskie zapędy — mech wiję się nad niezwalczonym bohaterem — sławy tylko pamięć została — a te mury, te baszty, skropione rannemi jutrenki łzami, zdają się płakać nad zbiegliemi laty, nad dzielnyimi pany. — Codzieln kamień odpada, codzieln część wieży runie na ziemię; — nieprzebite razami nieprzyjaciół warownie w proch się rozsypują, a ten proch się miesza z popiołami dawnych panów, z ostatkami zerdzewiałej broni. Dumalem ja w tym zamku, zmęczony biegiem kładłem broń na ziemię, a wlepiając oczy w naddziadów siedliska, przypomniałem sobie dzieje ojczyzny. — Wiatr czasem przerwał

¹⁾ Mowa tu o pobliskim Sarbiewie, gnieździe rodowem Sarbiewskiego.

²⁾ Rzeczka ta jest dopływem Wkry, wspomina ją, jako Lide, Słowacki w wierszu «Do autora trzech psalmów».

milczenie — czasem kruk złowieszczym głosem przypomniał obecne nieszczęścia. Księżyc, wschodzący z za chmury, zastał mię nieraz opartym o głaz nieczuły, zgłębiającym dawne czasy. Promienie pochodni niebios zlewały się na mnie i, żalobnym światłem oblewając ostatki dawnej chwały, traçały o leżące kamienie, o wijące się rośliny, a kiedy natrafiały na ulamki miecza lub zbroi, w promienistych rozlewając się strumieniach, zdawały się radować, że na niewolniczej ziemi spotkały ślady dawnej wolności.

B) Sen Elżbiety Pileckiej).

(Urywek).

Utwór ten, napisany w pierwszych miesiącach r. 1829 i ogłoszony drukiem w piśmie: «Rozmaitości warszawskie» (z 13 maja 1829 r.), formą i układem (szereg widzeń sennych) odbija na sobie wpływ «Snu» Byrona, przełożonego świeżo przez Mickiewicza, lecz znanego też młodemu poecie i z oryginału. Forma ta sennych wizji stanie się ulubioną i przemagającą w dziełach poety szatą i ranną jego pomyślow. Podajemy tu wybrany za motto utworu, czterowiersz Byrona w przekładzie poety, a następnie kilka charakterystycznych ustępów niewielkiej rozmiarami całości.

Dwójście życie nasze; sen ma świat udzielił
Wróbel otebrał, anazwanych bytem i niecstwem,
Nazwanych, lecz słoszanych. Sen ma świat udzielił,
Z zniechęcą władzą rządząc nad marzów królestwem.
Byron.

623) Marzenia i uludy młodości, gromadźcie się naokoło mnie!
Często niespokojnemu sercu przyszłość w promienistym okazujecie świetle. Innej teraz po was wymagam przysługi. Wróćcie mi przeszłość! Unieście mnie w odległe czasy, pomiędzy innych ludzi, ale zawsze na tej samej ziemi, na ziemi ojczystej, której zeschła garstka milszą jest duszy i oku, niż polyskujące wszystkiemi tęczy farbami kamienie na skroniach możnych! Waszemi wsparty skrzydłami, niech, porzuciwszy dzisiejsze uciechy, pogrąże się w upłynionych czasu falach, na których odbije się promień niezgasłej chwały! Niech moje pienia wyrwą ze snu

¹⁾ Elżbieta Pilecka, córka możnego Toporezyka, wojewody sandom Ottona z Pilecy, wzbudziła miłość obcego rycerza z Morawii, który ją porwał. Ojciec odebrał porwaną i wydał za Granowskiego, kasztela niakielskiego. Jako wdowa po Granowskim, została żoną Władysława Jagiełły.

śmierci śpiących w stalowych zbrojach rycerzy! Niech, piemem sławy obudzeni, powstaną nagle z pod ciężących głazów i dawno zapomniane przedstawią obrazy! — Niech wrócą zwołane brzmieniem lutni dziewice Lechii i piękność zatartą z ziemskich wydobędą prochów! Zakwitnijcie na nowo, różo, mieszające się dawniej do ich splotów! Odziedleńcie się gaje, poświęcone miłości, a choć głuche milczenie nieszczęścia od dawna was zaległo, odżyjcie jeszcze na chwilę w śpiewach poety!

Słońce wiosenne wzbilo się na błękit, niedawno z pod jarzma ciężkich chmur uwolnione, a promienie jego lały się w niezmierną przestrzeń, oświecając pełną życia i wdzięku okolicę. Nad nią panował zamek, wzniesiony na górze, zieleniącą pokrytą murawą. Ciemne baszty, dumne wieże, grube mury, most zwodzony, żelazne po wszystkich bokach kraty i strzelnice czyniły go panem rozciągającej się przed nim równiny, a pływający w powietrzu sztandar nosił znaki i godła Ottona z Pilecy, wojewody sandomierskiego.

Już powiew wieczoru, wznoszący na skrzydłach wonne kwiatów westchnienia, zaczął igrać z różami gaju. Słońce znikło z nieba i ciszej płynęły fale Pilecy. Pomiedzy ścieżkami, prowadzącymi do «Gaju czarów», jak go nazywano, ukazała się postać niewieścia, ale tak cudna, tak piękna, jak gdyby była mieszkanką gwiazd, ku którym wzniesione trzymała oczy. Biała szata w lekkich faldach obwijała wysmukłą kibić. Lica świeżością podobne były do różanego światła jutrenki, mieszającego się do fal srebrnego strumienia. Rozwiane włosy bursztynowymi pierścieniami pieściły się wietrzykiem, a ich barwa tak świetną była, jak gdyby igrający promień zaszłego słońca, wnieśawszy się do nich i nie mogąc już z jedwabnych wydostać się splotów, w złocie po nich roztopił się świetle.

Na czole godność i spokojność niebiańska się odbiła. W oczach tylko znać było ogień, wyrażający zmienne dziewczyczych piersi uczucia, bo raz błyszczał, jak gwiazda wieczorna, to znów, cichą lżą przyćmiony, jak księżyc mgłą obwiany, napół tylko świecił, a wtenczas najmiliej, najczulej tłumaczył budzącą się namiętność w sercu piękności. Westchnęła lekko dziewczica i weszła pod różane gaju sklepienia. Tam, patrząc z siedzenia z murawy

na kryształową rzeki powierzchnię, strojną odbitemi z nieba gwiazdami, myślała o nadziejach i o przyszłości. Myślała Elżbieta, córka Ottona z Pilecy, o młodym kochanku, o Archeldzie z Haldy, rycerzu, niedawno przybyłym z Morawii na dwór potężnego jej ojca. Pierwszą palającą miłością, wszędzie szczęście upatrywała; błogie dni sobie obiecując, w rajskiej marzyła uludzie. Wtem wietrzyk doleciał do rajy i miękkim tochem ją obwiał. Duchy otaczające wyciągnęły przezroczyste dłonie i usypały z nich drobne, barwą tęczy umajone kwiaty, w nadziemskich blonach uszczknione. Pod ciężarem woni uległy śnieżne Elżbiety powieki i sen wieczny przeniosł ją w krainę urojeń. Urojeń teraz, ale prawda później! I to piękne, to ponure, to miłe, to smętne obrazy, snuć się zaczęły przerywanem pasmem przed jej wyobraźnią.

A tu zaszła zmiana w obrazach jej widzenia. Zdało się marzącej dziewczicy, jak gdyby kochanek na rączym koniu zawiózł ją w odludną i dziką okolicę, najeżoną zewsząd skałami i lasami pokrytą. Niebo, przed chwilą tak czyste, przybrało mglistą i szarą pomrokę, oddzielającą ziemię od ożywnego słońca. Rośliny, drzewa, posępna miały postać, liście wyschłe dziwniej były zieloności, wpadającej w czarną barwę, przez zimę nadaną, wody, naokoło rozlane, wlokły się mętnymi falami, odbijając ciężkie chmury, w górze zamieścane. Złowieszcze ptaki krążyły nad głową i przerażliwe ich krzyki męszczały się do dźwięku trąb i rogów, z daleka się odzywających. Przez taką krajinę unosił Archeld dziewicę i, zatapiając ostrogi w boku zadyszanego konia, mijal z kilkoma towarzyszymi góry i skały, lasy i jeziora. Pomimo tej szybkości grzmiał ciągle goniący za nimi w powietrzu odgłos trąb i rogów, i czasem zdawało się Elżbiecie, że dalekie słyszysz tętnienia. W biegu tak rączym nie mogli sprostać rycerzowi jego towarzysze; jedni zostali z tyłu, drudzy padali znużeni wraz z końmi na ziemię, a choć lotem błyskawicy oddalała się od nich dziewczica, zawsze zdawało się jej, że widzi rozciągnięte nieszczęśliwych ciała. Nareszcie sam jeden Archeld z Haldy został na koniu — ostatni z jego orszaku legł przy spadzistej skale; za chwilę potem jego własny rumak rozciągnął się na piasku, a kochanek porwał obłubienicę i, przyciskając do serca, wydobyl ją z pod zabitego konia. Wtenczas głos rogów zdał się powiększać i, coraz bardziej rosnąc, całą przestrzeń napelnił.

Mignęły wśród drzew otaczających zbroje i proporce i pancerna jazda wystąpiła z ciemnego bora. Na jej czele poznała Ottona z Pilcy, ojca swojego, a przy nim niecierpiącego człowieka. Zdało się wtemczas Elżbiecie, że ją Archeld, silnem dźwignawszy ramieniem, wniósł na wysoką skałę i tam stanął z dumą orla, króla ptaków, wyzywając na równinie pozostałych wrogów; a wrogowie poszli na skałę i Otto zagrzewał ich z nizin, stojąc obok tego, który był dla serca nieszczęśliwej, jak wąż jadowity dla lekliwej ptaszyny. Zbrojne szeregi wdzierały się po przepaściach i sterczących urwiskach; Archeld z Haldy, trzymając w prawicy jaśniejący oręż, jak miecz anioła śmierci, podpierając lewą oblubienicę, czekał na nie z odwagą bohatera, poświęconego śmierci. Cała skała, okryta zbrojnymi, w każdym miejscu błyszczała to szyszakiem, to pancernem, i zdało się Elżbiecie, że kamienna opoka w stalową przemieniła się górę. Doszli narzeczcie szczytu mordercy i szcęk broni się rozległ i wielu ich poległo. Archeld bronil najdroższego skarbu w wsiekleńską rozpacz. Ale córka wojewody uczuła, jak coraz bardziej drżało podpierające ją ramię, postrzegła strumienie krwi, wylające się z pod zbroi, i cała góra zda się jej zalaną purpurowym potokiem; porwane nim ciało Archelda runęło ze szczytu opoki i, rozdarte przez ciernie i glazy, padło u stóp pana z Pilcy. A surowy ojciec wziął rękę córki i połączył ją z sędziwą ręką swojego towarzysza — i natychmiast rozległy się okrzyki: «Niech żyje Otton, niech żyje Granowski! I jego małżonka, córka wojewody, Elżbieta z Pilcy, niech żyje!»

A tu po raz trzeci zaszła zmiana w obrazach jej widzenia. Zdało się marzącej dziewczycy, że przebywa wśród pospępných murów. Ogromne wieże, żelazne kraty, głębokie rowy i mosty zwodzone dzieliły ją od świata; ale nad wzniosłe wieże i czarne kraty pospępniejszym był pan tych miejsc, ubielony już swym starości włosom. Zapadłe oczy ciskały ponure błyskawice, i kiedy patrzała nań nieszczęśliwa żona, zawsze obok widziała pokrwawionego Archelda, który, wróciwszy z świata duchów, uśmiechał się jeszcze smętnie do obublennicy, ale sztylet zemsty wzniesiony trzymał nad jej ciemiężką. I zdało się Elżbiecie, że dni, miesiące i lata powoli upływały dla niej w tym zamku, w tem więzieniu; jedyną pociechą miało jej serce strapione w dziecięciu, igrającem

na matki kolanach, a to dziecię rosło co dzień i ono wiązało córkę Ottona do ziemi.

A tu zaszła zmiana w obrazach jej widzenia. Zdało się marzącej dziewczycy, że spadły z niej żalobne szaty, a natomiast błyszczące przyodziwały ją suknie. W obszernym pałacu przegłądała się w srebrnych zwierciadłach i ujrzała różę, na nowo na liściach zakwitającą. Otaczały ją okazałe przybrane niewiasty, pnie na jej widok kornie czołem bili o marmurowe posadzki, i dzielni rycerze przed nią zginali kolana. Spojrzała przez okno, a naród cały powitał ją okrzykami; odwróciła oczy, a bogate kobierce, jedwabne obicia, złote stropy, alabastrowe filary, porfirowe naczynia, jaspisowe ściany, kryształowe sklepienia uderzyły wzrok zdziwiony.

Wszędzie głowy, lśniące złotem i drogiemi kamieniami, schylały się przed nią. A wtem rozstąpiły się rzędy naokoło stojących dworzani i wszedł poważnym krokiem mąż wysokiego postawy, z koroną na skroniach i berłem w ręku. Na czołe błyszczała odwaga, pomniższona z ostatkiem nie startej przez wiele zmian dzikości, a jednak Elżbieta uczuła bijące serce z radości za jego zbliżeniem, a mąż, uwieczniony wieńcem królów, wziął jej śnieżną rękę i zaprowadził do drzwi komnaty

C) Ułomek z dawnego rękopisu słowiańskiego.

Utwór ten, napisany w Genewie, ogłoszony był drukiem w Warszawie r. 1830, w oddzielnym wydaniu (str. 14, autor oznaczony Z. K.). Zespoleniem uczuć miłosnych (dla Henryki Willan) z pobudzeniem przez nie rojeńmi o życiu przyszłym, zwracaniem smutnych marzeń i wywodów do słuchającej ich ukochanej, jest ten urywek pierwsem odbiciem powtarzającego się później wielokrotnie nastroja i wstępu duchowego, którego najświetniejszym wyrazem stał się «Przedświt». Podajemy tu kilka charakterystycznych ustępów.

624) Czy pamiętasz jeszcze ten wieczór tak cichy i uroczysty, zdobny złotem gwiazd tyłu, wioną kwiatów miły, nad jeziorem, oblewającym brzegi dalekie od mojej ojczyzny? Pamiętasz dotąd, jakieś mi się pytała, wiedząc dobrze, że nas los rozłączy na ziemi, czy kiedy spotkamy się w niebie? Jam wtemczas drżącym głosem i z niepewnem sercem odpowie-

dział: «Nie wąp o tem! Zobaczymy się znou w piękniejszym świecie». Lecz pewność i wiara dalekimi były od mojej duszy. Trwogi twej zaspokojenie i pociechę twego umysłu jedynie miałem na celu. Spojrzałaś wtędy na mnie promiennym wzrokiem, z uśmiechem na ustach i dziękowałaś mi czule za słodką obietnicę. Od dnia tego moje myśli nieraz błąkały się po krainie marzenia, szukając prawdy w każdym jej zakątku. Głos twój: «Czy spotkamy się w niebie?» ciągle brzmiał w moich uszach i, ścigając mnie wszędzie, nigdy nie dał pokoju. Wśród nocy słyszałem dźwięk jego tkliwy, unoszący się nad mojem łóżem, wśród zatrudnień i spraw świata nawiedzała mnie twoja postać i zdawało mi się, żeś czytał wyraz wyrzutu na jej licach za to, żeś niewinnie pytającej zwodniczą dał odpowiedź, lub przynajmniej kłamanem odparł uczuciem; i wszczęła się we mnie chęć poznania bliżej tajemnic wieczności i dojścia, jeśli podobnym było, dostatecznymi na ziemi sposobami, do pojęcia przyszłego stanu duszy w niebie. Zapraǳiałem silnie i nieodbitcie przejrzeć aż do boskiej chwały i lot mojej myśli postać między nieznanne, święte i błędne przestrzenie, bo w nich dowiedzieć się mogłem, co nas, mnie i ciebie, czeka po zgonie — w niej¹⁾ tylko upatrywać cel wielki, piękny i niematerialny, nieodzownie mojej i twojej duszy potrzebny, gdyż bliższego nie mieliśmy, do któregośmy ramiona nasze wyciągnęli i wspólne obrócili działania — a wreszcie mojemu sumieniu ciążyło, żeś na chwilę udawał przed tobą i chciałem błąd popełniony nagrodzić długim dumaniem, przeczuwając, że odpowiedź, na los dana, sprawdzi się i ustali nasze nadzieje; a tak te nadzieje, z początku mdłe i niepewne, wód fale i skrzydło wiatrów za podstawę mające, nabrały później rzeczywistej posady i, niewzruszone już teraz w mojem przekonaniem sercu, zleją się do twojego, kiedy przeczytasz te słowa.

Jest w duszy pamięć niezgasła uczuć i namiętności. Można zapomnieć o zdarzeniu, o sobie, o miejscu, zaciera się w naszym umyśle po czasie skała stercząca nad równiną, łąka umajona kwieciami, liście drzew jedne po drugich padają, uniesione wiatrem niepamięci, szum fal jeziora słabiej i ucisza się wkońcu, śpiew ginie rozproszony po szerokich blonach wyobraźni, rysy

¹⁾ W przyszłości pozagrobowej.

omdlewają po długim niewidzeniu, oko żywe blask swój traci stopniowo, uśmiech ust: coraz mniej wyraźnym się staje. Wszystko co uderzyło naszą żrenicę, przeznaczone jest mniej więcej zapomnieniu. Wszystkie obrazy, zdobne w początkach tęczy farbami, podobnie jak tęcza rozpylają się wśród przestrzemi i giną. Lecz uczucia, które duszy nieśmiertelnej wzrok ściągnęły, namiętności, które przymieszały się do jej bytu i ściśle z nią się połączyły, nigdy już zamarzec nie mogą, bo się stały częścią istoty, mającej przetrwać czasu koleje i samego czasu koniec obaczyć, kiedy zniknie na wieki w łonie wieczności. Pamięć tych uczuć stanie się naszą karą lub nagrodą i złote gwiazdki promienie, które przyświecały ich urodzeniu w naszym sercu, nie urzją już ich zgonu, bo same zagasną w chwili, kiedy tamtych wieczna chwala lub sromota zaczynają się będzie.

Jest w duszy człowieka wola, wybujała nad kajdany, którymi dłonie mu kępują, i nad przysionki więzienia, pod którym jego czoło wędnieje na ziemi. Ta wola niczem nie wstrzymana, ze skrzydłem zwyciężkiem po przestrzeniach nieśmiertelności, nie odpadnie od nas, jak łza od powieki, kiedy odrzuciwszy świata tego postać, świetniejszą przybierzem. W niej czuję zapewnienie, że spotkamy się po śmierci, bo cóż będzie mogło stanąć nam na zawadzie? Czyż lot myśli nie może przebyć obszarów i zbliżyć pamięć serc, oddalonych od siebie? — a kiedy już na ziemi błyskawicy się równa, cóż mu przeszkodzi tam, gdzie nierównie prędszym być powinien?

.....

A potem jest związek ogólny, pewny, niczem nie naruszony, między wszystkimi częściami świata materialnego i moralnego. Jedynie i toż samo prawo rządzi wszystkim i rozliczne wie skutki podobnie wywiera na ciałach i duszach. Puszczone w nieskończoność, istoty muszą się zejść kiedyś, jak dwa ułomy, które na ziemi, wprzód odległe, z następstwem wieków przylegają do siebie tem bardziej, że w pierwszych jest chęć namiętna i wola, a w drugich samo tylko dążenie materialne. W odmianach ziemi muszła z odległych oceanów przplywa do skał helweckich i z niemi się spaja. Dlaczegoż, w nieskończonych duszy nieśmiertelnej biegach, nie miałyby rozdzielane skupić się myśli i oddarte od siebie znów zjednoczyć się uczucia? Wszystkie

stworzenia składają łańcuch, w którym ogniwa, nieustannie miejsce swe odmieńając, to się oddalają, to się zbliżają, a więc kiedyś te, które na obu końcach przeciwnych świetniały, obok siebie blyszcząc i blaski swe mieszać będą i może, doszedłszy wtenczas ostatecznego kresu i stanu, już nie odbiegną od siebie.

Zdarza się nieraz, że wpadamy w stan błędnej niespokojności, że marzymy niezmiernym sposobem. Przeczujemy przyszłe zdarzenia — zdaje nam się, żeśmy niewidomem otoczeni pasmem z żywych, niepojętych istot; wśród jasności i milczenia, zlewają się w nasze serce dziwne uczucia, podobne do wywarłego wpływu nieznanego przyczyny. Wtenczas najmniejszy zeszleścią naszą uwagę. Liść, wiatrem kołyszany, kamyczek zsuwający się z brzegu, natęży nasze ucho, dlatego, że się co chwila spodziewamy jakiegoś głosu, bo w łonie czujemy myśli nie nasze, przeczuć, cudzą siłą w okrąg działań naszego umysłu popchnięte, a, zwyczajem świata nauczeni, łączymy wyobrażenie dźwięku z wyobrażeniem myśli. Lecz istoty, wywierające wtenczas wpływ niepojęty na nas, nie mają już głosu. Samemu już tylko stały się myślami. Działanie ich jest dla wielu serc oczywiste. Podnieść się tylko trzeba aż do nich, a odpowiedzą. Jeżeli zatem dusze osób, które zostawiły nas daleko za sobą i wzbily się nad materyę, zachowują związki z nami, związki trudne do rozerwania, lecz nieraz dotkliwe naszemu sercu, jakże wątpić, by się te związki silniej nie ścisnęły, kiedy zrównamy się z niemi? Może ulatują te duchy wokół naszych skroni i z radością patrzą, jak się posuwamy po drodze życia, by, wkrótce doszedłszy trumny, zmartwychwstać z pod jej pokrycia, a wtenczas bratnie ku nam wyciągną ramiona i porwą z sobą w świetne krainy. Tak, jak przyjaciele czekają niemożliwego u wejścia do kolebki, tak one może czekają na duszę u przejścia z grobu do nieśmiertelności.

W różnych czasach nieba używały świętego natchnienia niektórym ludziom na ziemi, lecz to natchnienie, zachowane pamięcią wieków, pod głęboką nieraz zasłoną, zawiera obietnicę połączenia się dusz po śmierci. Wiara w to połączenie jest wiarą wszystkich ludów i czasów, potrzebą serca i najmilszym ostatecznym celem. Mędrcy, dumający nad brzegami Eufratu

przy dźwięku harf, przelotnym wiatrem trąconych, uznawali tę prawdę.

Męczennicy, którzy z nieustraszonem sercem biegli na rzeź i zagubę, czuli w głębi serca zapewnienie połączenia się z tymi, których widokiem nie mieli czasu nacieszyć się na ziemi, i chrześcijańska dziewica, z cierniowym wieńcem wstępująca na stos płomienisty, wdychając do Boga, nieraz umiała ostatnie chwile nadzieją, że na wieki zjednoczy się z kochankiem, ginącym w tej samej sprawie.

Tak zawsze i wszędzie ludzie, którzy wylatywali nad granice materialnego życia, doszedłszy dozwolonej wysokości, na długość krepujących ich kajdan, przeczuli, że w obiecanych przez własne serce i Boga przestrzeniach, ujrzą na nowo miłość swojej młodości lub przywiązanie lat dojrzałych.

D) Agaj Han.

Powieść historyczna, napisana w jesieni r. 1831, ogłoszona drukiem s. 1833 we Wrocławiu (z datą r. 1834 i oznaczeniem autora A. K.), odzwierciedla rycersko-romantyczne rojenia młodzieńcze, którym nie położył końca wstrząsający duszę młodziana wpływ współczesnych wypadków i kołzącej je księki. Widziane przez mgłę oddali postacie rycerskie skrzydlatych husarzy, nieustraszonych w boju i miłości, na rozległej widowni półazyatyckich obszarów nadwołżańskich, na tle przez wyobraźnię poety przeniesionego tam z Bagdadu czy Alhambry przepychu kulturalnego, odpowiadały lepiej popędowi i marzeniom poety, niż bliżkie, realne, szarpące duszę sprzecznymi uczuciami i sądami, boje Grochowa, Ostrołęki, okopów Wolf. Podajemy tu charakterystyczne ustępy z drugiej, wyższej artystycznie, połowy utworu.

VI.

625) Już niemalo czasu ubiegło od tej nocy miesięcznej, w której wojewodzianka sandomierska ¹⁾, uszedłszy z więzienia, odpłynęła na kozackim czólnie.

Wielkie państwo moskiewskie pali się wciąż i dymi pożogami Polaków. Rozbiegli się husarze i, potrząsając skrzydły,

¹⁾ Maryna Mnischówna, w tym momencie wdowa po zamordowanym w Moskwie Dymitrze.

jako drapieżne orły, ulatują ponad gruzem i gęstym trupem. Wycieczki straceńców, nie wstrzymane u Kaukazu, w głębie azyatyckie się zapuściły, każdy rabunkami pnie się do bogactw, rycerskim czynem do chwały; miasto zburzyć, wieś spalić jest ich chlebem powszednim. Z niewolnicami płasają nad stosami popiołów, grzeją się pośród mrozu na zgłiszczach pałaców, winem i miodem sączą się wąsy — tem lepiej im potem usta kleić z ustami Azyanek.

Jak wiekiem wprzód, na drugim końcu ziemi, Hiszpanie hasali po odkrytym świecie, tak dziś Polacy wysypują się na Moskwy obszary. Patrz: Korteż Montezumę ściga z tronu, Żółkiewski Szujskich prowadzi; Meksyk płonie kagańcami wśród czarnych jezior i wzywa pomsty za skrzywdzonych bogów; Moskwa o tysiącu kopał burzy się o świętych swoich i zniważone cerkwie.

Nowy to świat był Polakom, wschodni, szeroki, otwarty na stratowanie końskimi podkowy. Co tylko spało w Lechii hartownych dusz i dzikich serc, to przyszło obudzić się i żyć zażarcie na niwach od Moskwy do Astrachanu. Żyją więc bez spoczynku, walczą dniami i nocą, z hełmem, wbitym na czoło, z becheterem¹⁾, przykutym do piersi, wolni, śmiejąc się z prób i rozkazów, nie dbając o dom, rozmiłowani w gonitwach i żeglugach, swobodni przez wszystkie dni swoje, póki śmierć nie zaskoczy. Jej, jako pani, czołem z siódła biją o ziemię. Towarzysze przesadzają trupa i lecą dalej.

Ciągnącym z ciepła nieraz zima zajrzy w oczy; z szalów, przewieszonych na plecach, z winogron, u siódła wiszących, z kamieni wschodu sztydzi sobie mścicielka północy; mroz im członki ćwiertuje i powieki spuszcza nad oczyma. Tak wśród wózów i koni całe padają hufce, a Moskwićin, który jeszcze wczoraj o południu lekał się ich wąsów, kiedy przejeżdżał obok chaty, dziś śmiało, klaszcząc w ręce, depta po nich i błogosławi niebu.

Ginęli prędko w onych czasach książęta i hetmani z rozkoszy i z bojów. Ale nad świeżą ich mogiła powstawali drudzy, równie dzielni, równie zapaleni, by z życiem wcześniej się rozstać, a w kilku latach zawrzeć wiek cały chwały i rozpusty.

¹⁾ Bechter (tatar.), zbroja, pancerz.

Nie szło im o to, dziś jatro-li padną, ale pragną umrzeć królami, dalekim niwom polskie dać w znaki imię, zapuścić się w kraje bujące między góry i morza, innych widzieć ludzi, za niebezpieczeństwem ścigać, ichu mu nie dając, i, zapachnawszy w ostatnie schronienie, tam ostatnią, ogromną zwieść walkę, jak z tygrysem w jaskini.

Przed wieki takimi bywali bohaterowie, zwycięzcy Rzymu, którym wolność wrzala w piersiach tak, że od niej pędzeni naprzód, kochali się w błędach¹⁾, zjawiskach i wiecznej walce ze wszystkim, co ich otaczało, z ludźmi i żywiołami, zmagając się z burzą po oceanie, tratując po gruzach na lądzie, a kiedy i ludzi i burz nie stało, klnący w rozpacz, że odechnąć im trzeba.

Patrz na Aleksandra z Lisowa! Nie ujrysz go nigdy całkiem, bo zawsze ci go stos ciał lub kłęb dymu z przed oczów wyrwie w polowie. To mignie szabla wśród ogniów, to pola burki zakręci się na rozwalinach, to głowa czasem wyrzuci, broda, wąs, zroszone iskrami, czoło zwęglone, oczy pełne żaru, a reszty ciała nie widać, bo gdzieś zanurzone w gruzach i popiołach.

Tam na łożu w namiocie umiera księżę Rożyński. I jemu też piękne dni świtały kiedyś, ale teraz przyszło do ostatniej chwili, w kwiecie młodości, wśród niesfornych hufców. Ich krzyki i odkazywania dochodzą uszów wodza, jak muzyka pogrzebowa, w trapiącym śnie słyszana, na twarz jego coś miękkiego przymieszało się do wyrazu odwagi i twardości. To nie gladiator starożytny, konający z energią rzezi na licach, z groźbą i natrząsaniem się z ludu, który piętrzy mu się nad głową i oczami krew z ran jego żłopie, ale bohater, żegnający życie bez żalu, z żalem żegnający złudzenia żywota, dziarski i nieugięty, póki chwala mu kochanką wierną była, a w westchnieniach rozplywający się za nią, którą tyle czcił i lubił pieścić na łonie, a która go wśród uścisków niemilosernie zdradziła. Rozpamiętywa on teraz marność ludzkich zamiarów — na nowych powzięcie już nie staje czasu a wieczność mało znana

¹⁾ Błędy, znaczy tu błakanie się w pogoni za przygodami, stąd wyrażenie: błędny rycerz. Przez «zjawiska» zapewne poeta rozumiał niespodziane pojawienie się napadającego rycerza.

jego duszy. Ziemi już prawie się nie trzyma, a do nieba ramion wyciągnąć nie umie. Łoże śmierci jest własnym jesseze, ostatnim jego światem, w tych kilku belkach, lamparcią skórą zarzuconych, ściągnęły się królestwa, o których marzeniem upijał się długo. Jeszcze hełm i buława stoją niedaleko, ale już może sięgnąć ręką nie potrafi! Ich polyski w promieniach słońca szdzą z umierającego. Wgęc smętno tej żołnierskiej duszy na progu nieznaney krajiny, gdzie myśleć i modlić się trzeba, a wlaść ludźmi i gonić po bitwach, tam, gdzie wiedzie serce, nie sposób — pierś jego coraz bardziej, coraz bardziej mdleje!

Ale postrach Azyi, ale rycerz dawnych wieków, Chrobrych i Śmiałych dziedzic w spuściźnie sławy, na arabskim dżanecie, w słonecznej zbroi, jeszcze panując swoim rotom, z chyżością Tataru przelatuje pustynie, z głęboką sztuką zachodnich wodzów bitwy wygrywa, nigdy zwycięstwu nie dając się wymknąć z rękoiści szabli, gdzie go więzieniem trzyma od pierwszego dnia, w którym wystąpił na boje; nie spodziewaj się śladu słabości na licach uswiackiego Sapięhy — smutek go nie zwątlil! Do ostatniej chwili będzie tłukł mieczem o bechtery wrógów, do ostatniej chwili będzie się pasował z ludźmi i przeznaczeniem, z swojemi i cudzemi, a kiedy zgon przed nim stanie, powita go ze zgrozą na twarzy, z zmarszczonemi brwiami, jako przystało na męża, który nie wie, co trwoga i co ukłon komu, ale wie, że go się lekają i że po bojaźniach ludzkich wdrzeć się można do tronu. Pełny myśli swoich, objętnie poczuje, że śmierć już w nim, i, dumając o zamiarach, dzierząc hardo głowę, bawiąc się rękoiścią miecza dla nauki, jak berło trzymać przystoi, dech wzięzionie w postawie króla, zasiadającego na tronie w pierwszym dniu panowania swego. Ta ogromna burza, co z Lechii ciągnęła na Moskwę za gwiazdą swoją, nadobną Mniszchówną, teraz już na osobne rozsypane się chmury, a każda chmura szamota się w kącie widnokregu. Gdzieś między niemi gwiazda ich zniknęła.

Od dawna nie słychać już o Carowej — inne imiona pną się na stolicę carów.

To Zygmunt wskazuje na syna, a myśli o sobie. To Władysław słyszy zewsząd przysięgi narodu i drży, niecierpliwym dostać się do berła. To w kostromskim monasterze przy szło-

chach matki, synowi Filaretowemu czołem próg zmiatają bojary, prosząc, by objął jarzmo nad ich karkami, by ocalił wiarę błahoczną i państwo Ruryków.

Zamieszanie, jakby w dzień sądu ostatniego, powstaje wśród tyłu wojsk i pokoleń. Nie ustają pożary i mordy, ale nie wiedzieć już, kto daje do nich hasło po nocach. Każdy szlachcic, każdy młodzieniec wodzem się mianuje. W ostatnich chwilach chce się każdy nacieszyć choćby jedną godziną władzy, nie już, jako prosty żołdak, w dzikiej postawie płaśąc we krwi i zataczając się w perzynie, ale jako pan, siedząc na dżanecie, patrząc z ubocza, jako gród się pali, użyć spokojnie rozkoszy pożogów.

Języki, oręż, obyczaj, powiklawszy się, zgielkują z sobą. Ciur obozowy wschodnie śpiewa powieści; na hełmie husarza półkiszyc złoty polyska; mową polską Tatar się odzywa; Moskal nie wie, komu służy: hufce Władysława i hufce Pożarskiego pełne jego.

Na błoniu otworzystem biegnie rota zbrojnych i wrzeszczy o dwa razy zabitym Dymitrze, że on zmartwychwstanie jeszcze. Tam naprzeciwko sunie błąkany tłum, jak gromada leśnego zwierza, i o Szujskim wspomina. Aż tu rycerz, stałą odkryty, nadbieży i, kopią wysuwając, w pędzie zawoła: «Niech żyje Laszka Maryna!» Z boru wystąpi pułk straceńców i śpiewa śale o umarłym wodzu, Aleksandrze z Lissowa. Ze wzgórza spuści się chmara perekopskich, na plon zajadła, sobie żołdująca, nie komu. Aż tu nadzieje hufiec sędziwych panów, zbrojny jak inni, poważniejszy od innych, z pacholejami z tyłu, z sztandarem koronnym, i surowymi głosi wzywają przed stopnie Władysławowego tronu.

Na rzecę, co płynie w pobliżu, na czajkach błysną młodźcy, lecący ku Czarnemu morzu. Nurty ich podchwycają i fale przerzucają sobie. Oni pędzą, gdyby na stepie, radośni nadzieją lupięży, śmiejąc się ze skał, co czasem ku nim wyskoczą z pod wody, z dłonią przykutą do steru, z dumką na ustach, z czołem wypogodzonem na burze, przeciw którym śpięszą. Na grobli, wykręcającej się wzdłuż tego jaru, ciężkim pochodem zbliża się szwedzka piechota, w milczeniu idąca do boju, pilnująca swoich szeregów jak swojej placzy, z zapalonymi lonty, berdyszami najeżona. Między temi kępmi i krzewy czolągają się szkockie strzelce z lukami, które jedno wyspiarskie ich

dłonie naciągnąć potrafią, z szarżą, co gałąź leszczyny rozczynkie w gęstwinach boru i pióro z każdego hełmu straci w dół niemylnie.

Tymczasem, po drodze, środkiem równiny, odezwą się hymny; w mitrach i ornatach postępują czerńcy z krzyżem, co jaśniej rześzystymi połyski z obrazami świętych, od których woń cedrów się roznosi, z gromnicami w dłoniach, a dym gromnic baldachimem wije się nad niemi; na siwe brody, nagie czoła, na drogie kamienie i szaty, na lamowane chorągwie promienie słońca padają i mgłę jasności z nich słońce ciągnie ku sobie, tak, iż wydają się boskiem zjawieniem, co, zstąpiwszy na ziemię, przesuwa się zwolna przed oczyma ludzi, śpiewając o wielkim patronie moskiewskim i o zbawieniu Moskwy przez kapłańskiego syna.

Nagle trąby i bębny zagłuszą pieśni kościelne, tu chmura strzał wyniosła się, tam las dzid wyrósł nad głowami, owdzie szable, jatagany¹⁾, kindżały kręcą się w powietrzu. Owi taborem się opasują, tanci wołą zdać się na chyżość stóp swoich, inni głaszczą koniom grzywy i śmieją się z pieszych. Każdy do walki się gotuje podług wrodzonego obyczaju. Polak nuci o Bogarodicy, pokręca wąsami i długą szablę pierze w dłoni, by mu dobrze służyła. Przybyłcy z azyatyckich puszcz tracąją huków swoich struny i ich brzękiem dodają sobie wściekłości. Niemcy na cel biorą wrogów i mierzą w nich długo, spokojnie, wpartyszy kolbę w obojczyk. Kozacy zeskakują z siodeł i za nimi gotują rusznice. Owdzie Tatarzyn kładzie w usta kryształki opium, by mu bitwa przeszła jak sen, a śmierć, jeśli ją spotka, wydała się wstępem do bram Edenu. Aż tu huk i wrzaski dadzą się słyszeć. Dym pelźnie nad głową walczących i poległych. Z huców, dotąd spokojnych, porobiły się wiry ze stali, które się kręcą po równinie — zgrzytają kordy o pancerze i hełmy.

Wszyscy, jedni po drugich, to zwyciężą, to przegrają, to się cofną, to znów pomkną się naprzód, a każdy walczy za kogo innego. Sto hasel buja w powietrzu i głuszy się nawzajem; sto imion, sto zamiarów wcielonych w głos, ulatuje ponad walczącymi, miesza się w nieładzie, żadne wygórwać nad resztą

¹⁾ Jatagan (turec.) nóż długi, nieszony w pochwie, uczepiany u pasa.

nie zdola i wreszcie wszystkie opadną w dół na martwe głowy tych, z których ust wyszły. Głucho, samotno — chyba, że słychać jeszcze pluskanie krwi z żył trupów.

Takie codzien po całej Rusi odbywają się boje. Rozsypała się już wieża babilońska Dymitra, a jeszcze ci, którzy ją dźwigali, nie mogąc dać sobie pokoju, rozbiegli się na jej gruzach miotani szałem to sławy, to plonu. Ten, który dziś naspętał więźniów gromadę, jutro ręce poczuje krzepnące w kajdanach nieprzyjacielskich. Ten, co dziś tratuje po ciele wroga, jutro sam dostanie się pod czyjeś podkowy i strатовan będzie. Cieszą się całą noc marami państwa — o brzasku już odleciały, a samym głód dokuca lub miecz wisi nad głową.

Tak wyginał cały ród bohaterów.

W ich ślady mało kto już ważył się wstępować, bo w tych śladach krew czarna krzepnęła i prochy z starych buław księżycych leżały. Zdawało się, że już usypiają bałwany tej powodzi, która z polskich równin wylała się na moskiewskie błonia, bo jedne wyschły, drugie cofnęły się w zad od tłuczonych nadbrzeży, kiedy krzyk usłyszano, podobny do tych, które syciły niedawno, gromiący burzą krzyk męża, wyciągającego szablę w własnej sprawie: «Z tej szabli mojej, tak płytkiej i cienkiej, musi wylecieć dla mnie królestwo». I wnet urzrano, jak młodźców hufiec pędził ku wschodowi za wędzem i niewiastą przedcudnej urody, trzymającą dziecko w ręku, nad siodełką rączego rumaka.

Właśnie w tym samym dniu dzwony cerkiew Moskwy rozrywały chmury swoimi brzękami, bo syn Filareta tron Kremlinu zasiadał wśród bojarów, krzyżem leżących.

Ten krzyk nagły, z dziarskich piersi wypuszczony, wpadł im na głowy leżącym, a w uszy młodemu carowi.

— Kto — zapyta — miesza naszych państw spokój?

Ej, carze, to Igor Sahajdaczny Zarucki, to wódz dużej ręki, rozkochanego serca. On czekał długo, póki padną wszyscy rówieśnicy koło niego, póki nie zostanie na stepach i w miastach ruskich nikogo, coby śmiał zajrzeć mu w oczy; bo takich było kilku przed laty, ale dziś, kiedy sam się zobaczył panem nad mogiłą tylu zamiarów i chwały, panem nad trumnami Rożyńskiego, Sapiehy, Strusia, Aleksandra z Lissowa, po odwołaniu

Chodkiewicza i Żółkiewskiego, ostatnim człowiekiem z pokolenia, co, rodem z Polski, żyjąc wśród pożarów i bojów, przeszło przedej od pokoleń ludzkich, ale też głębsze ślady za sobą zostawiło, niż zwykły ludzkie pokolenia — puścił cugle na grzywę koniowi i popędził w zawód, na którym groby poprzedników służy mu za słupy drogowe. Nic go nie wstrzyma, póki wróg stałą nie osadzi mu serca, bo dumny, że sam jeden został na starem pobojowisku, świeżą krwią odmłodzić go pragnie, wierząc głęboko, że gorączka, która nim rzuca, jest przeznaczeniem nieba; a zresztą przestąpił i na tem, że to chęcią Maryny, tej Łaszki cudzoziemki, nie znużonej trudem i klęskami, która dotąd z pychą rozpamiętywa dzień, kiedy jej i Dymitrowi mężowi cała Moskwa przysięgała na wiare. Ku stepom, ku góróm, ku Azyi leci więc z dobytą szablą, a pochwa gdzieś się osunęła, i w biegu zgruchotały ją końskie podkowy.

VII.

Kto i razu nie oglądał miasta, panującego nadbrzeżem Kaspił, ten chyba sny miał okazałe, ale przepychu nie widział na jawie; niechaj więc porwie za kij pielgrzymi i pójdzie oczy nacieszyć przed śmiercią!

Wolga, jak matka, ramionami otacza Astrachanu mury i u piaszczystych piersi go trzyma. Z pomiędzy jej nurtów podnoszą się dachy, nad nimi królują wieże, minarety, półksiężycy pogan i greckie krzyże, a kiedy słońce o południu jaśnieje, owe blachy srebrne i złote żywym ogniem płoną — rzekłbyś, iż nad każdym gmachem zawisł meteor nieba!

A po ulicach, korytach, rynkach, dzieci stref rozmaitych biegają, w łódkach płyną, gwarzą, krzyżują się tłumnie; owdzie Tatar z Ajdaru przesuwa się w czołnie, z rozwartym kaftanem, z warkitem wiosem, któremu żaden z innego plemienia nie podola. Tam Gweber, z pasem narodowym na piersiach, gibko przemyka pomiędzy cizbą i wchodzi do świątyni, kędy weczne płomienie goreją. Perskie kupcy w deliach stąpają poważnie, zamysłeni, głaszcząc sobie broje, odwracając się głoźnie, kiedy Turka spotkają o białym zawoju, o kindzale przy boku, szemrzą cego modlitwę do proroka; owdzie na krążanku stoi Hindus z Lahoru, słodycz żarzące oczy mu cukruje, rysy twarzy prze-

ślicznej łagodności zaciągnięte miedzianą barwą, w jednym ręku trzyma jaśminu gałązkę, w drugim złote medale — na kwiat i na złoto spoziera uprzejmie, aż zda się, że omdleje z rozkoszy. Wszystkich hord Tatarzy spotkali się tutaj. I owi, co w rozypkę po wnuku Tamerlanowym się rozbiegli, i ci, którzy osiedli w Krymie, by holdować sultanom, i ci, którzy, dotąd wolni, paszą konie piólnem stepów. Greckiej wiary ludzie, wielkiego państwa moskiewskiego syny, przechadzają się dumnie, jako chrześcijanom i panom godzi się, wobec pogan i poddanych. Ich kościół brzmi dzwonami i jaśnieje przepychem, a zatknięty krzyż na nim wyżej od wszystkich minaretów sięga w powietrze. Rzadziej zdarzy się spotkać człowieka, przybyłego od krain zachodu. Czasem jednak przejdzie po rynku wyspiarz z owej ogromnej wyspy zamorskiej, w czapce z piórami, z wstążkami u trzewików, z szpadą u boku, krokiem sążnistym, nie śpiesznym jednak, patrzący przed się, a niekiedy wokoło, lecz już wtedy z nieużytą dumą. Włoch też uwija się po ulicach, wymokłej twarzy, z ognistemi oczyma, z koturnem na nodze, z sztyletem zatkniętym u brudnej koszuli — a na odnogach Wolgi, które wciskają się do miasta, poznasz Wenecyanina po kształcie łódki, która sobie przypomnieć chce adrytyckie mielizny, po czarnym płaszczu, po złotym łańcuszku na szyi, a najbardziej po zmarszczkach, które eheć zysku i bojaźń oczystych sądów na czole wyryla. Niekiedy na zakręcie kanału owzie się dźwięk gitary i wschodnich grechotek, czasem też zabrzmiały cymbały i naczyina z spiżu, o które biją wonne różżkami Iranu dziewczwie. Śpiew rozlega się czasem w portykach domów, ciągnących się nieprzejrzanie, przepychem azjatyckim wystrojonych. Pomiedzy nimi tu i owdzie stoją chaty Tatarów, okute szynami żelaza, panów koczujących drewniane namioty wśród stolicy bogactw i handlu. Zewsząd powiewają spuszczone kobierce. Zda się, jakby od krążanków, od okien leciały burmem kwiaty i, zatrzymane, kołysały się w powietrzu; nad galeryami, nad płaskimi dachy rozciągnięte opony z jedwabiu, pomiędzy ich rysunki i hafty promienie słońca biegają, gdyby wśród ogrodu, pełnego róż i motyli, a ogrody i winnice zielonym wieńcem okrążają miasto.

VIII.

Przez całe lato gody w Astrachanie odprawiali młodźcy. Czasem na wycieczki wylatają, lecz niedługo bawią, z plonem i z moskiewskimi głowami wracając, plon dzielą między siebie, głowy pokażą Sahajdacznemu, potem w Wołgę rzucą, zawieszyszy kamień u szyi miasto kijowskiej relikwii, która gdzieś na pobojowisku została. W pałacu, na wzgórz zielonem, nad rzeką, przesiaduje pan i pani. Tak bowiem ich zowią od zlobycia Astrachanu.

Po salach, po galeryach nieraz widziano, jako się przechadzała Maryna, oparta na ramieniu Zaruckiego, jako on do niej przemawiał, już nie klaniając się, jak dawniej, jak ona odpowiadała bez zwykłej dumy. A jednak w owym żołnierzu, który więcej nocy przespał pod niebem, niż pod dachem, który w obozach ssal pierś matki, nauczył się imienia Boga i mordowania ludzi, pozostało uszanowanie dla piękności, która w nieszczęśliwej godzinie powierzyła się jemu.

On, choć dzisiaj wszechwładnym jest panem w Astrachanie i rozkazów żadnych już nie słucha z ust, które niegdyś krótkim witały go i żegnały słowem a później do jego własnych się zbliżyły, choć wie dobrze, iż imię «carowej» jest marą bez znaczenia, choć mógłby koczujących wojowników obyczajem, znudzić się jej wdziękami i wypowiedzieć jej wierność, a niktyb się za nią nie ujął — dotąd jednak słucha jej słów, jako dawniej bywałoby w pokorze zbliżał się do tronu Dymitrow, dotąd namiętnem spojrzaniem rozkoszuje w jej lieu i gotów zapomnieć o chwale i łupieży, byleby zyskać uśmiech dziękczynienia i słowo miłości.

Przephych wschodu ich otacza. Sultańskie sofy i wezgłowie, kobierce Seraju, najrzadsze kwiaty, kamienie, konchy, perły nakoło błyszczą. Światła się palą w wazonach z przejrzystego alabastru i barwę rozkoszy po ścianach rozwodzą; makaty, tkane w kwiaty ze złota i srebra, kształtnie się fałdują u okien i u drzwi; z piór ptasich u sufitu rozwieszona tęcza; na stole kalkie krzewy róż i jaśminu, a w ich cieniu napoje azjatyckie, owoce, śniegiem zaprawione cukry, archipelagu wina; po kątach palą się w misach pustyni balsamy; u stóp Maryny walają się porozrzucane po jedwabiu i atlasach korałe, wachlarze, naramienniki i muszle.

Gdzieś w dalekich salach odzywa się muzyka, której tony

wpływają do komnaty i, jak ostatnie fale u brzegu, zwolna pluskając dźwiękami, umierają w jej i Zaruckiego uszach. Owym system nie nie zrówna w słodyczy, a jednak jest w nich siła ukryta, co powoli, jak krople wieczornej rosy, których się nie czuje, wsiąka w mózg i pierś, pierwszy zavraca, drugie mdłą roskoszą rozlewa; przy nich dziecko płakać przestanie i usnie, a wojownik szablę upuści na ziemię; przy nich pamiętki przebabają się w poezję, chwila teraźniejsza staje się wszystkim, a o przyszłość się nie dba, bo gdzież już szukać miłszej nadziei nad to, czem teraz napawa się serce? Aż wreszcie człowiekowi szcześnie się marzyć o harfach aniołów i zechce się konać.

Przy takowych dźwiękach wódz młodźców opowiada swoje wyprawy, zwycięstwa i klęski, jako na lipowej czajce przesuwiał się między Dniepru wiry i, śmiejąc się, przepływał nad bezdennym grobem, skalom się umykał i z fali przeskakiwał na fale, przy grzmotach gromów, lejących się z wysoka — jako na szerzej łodzi morze Czarne nawiedzał i żagle, rozdarte od burzy, w odlamkach padające widział wokoło siebie, gdyby zlatujące przybitki po wystrzał, a jednak płynął dalej z jańczarką w prawej, z lontem w lewej ręce, a przybyszy do brzegu, wsie palił niewiernym i zdartymi z turbanów szalami pierś gola obkręcał — jako do boju sprawiał rotę swoje, kiedy wodzem został, i na czele ich, z bulatem nad głową, pędził w sam środek nieprzyjaciół — pożary miast ludnych, odwroty o głódzie i zimnie, kiedy co krok w słupy przemarzali towarzysze, a on chuchał w palce i śpiewał dumkę stepów — gonitwy po stepach na rączym koniu, przy świcie wichru i targającej się burce u szyi, w nocy, kiedy gwiazdy jednej nie było w górze ni robaczka jednego świętojańskiego na ziemi, tylko piasku tumany, a czasami trzepotanie się wrony nad głową, w oddali skowyczenie wściekłych wilków — pochodny w bagnach, kędy murawa nad topielą zwodzi żołnierza, grunt trzęsie się za każdym stąpieniem, jakby zapaść się miał, woda zielona i żółta dyszy pomiędzy kępami, na których leżą gadziny, serdecznie splecione z sobą, z oczkami, podobnemi do iskierek, z żądłem migającym, gdyby płomyk śniady — rozpaczne szermierstwa z napotkanymi wrogami, z potu i krwi niemalym przelewem, ran odniesionych boleści — nudy leż długich podczas niemocy, młodości w konaniu,

bo on już kilka razy konał, tó w lepiankach na słomie, to na polu bitwy między trupami — trudny powrót do życia, nim siły znów się zjawią i konia się dosiedzie — a wtedy na nowo gody i uroczystości przy buchających płomieniach, wśród szcęków i loskotów, krzyku i tętentu, za sztandarem, powiewającym w powietrzu — dniami i nocą szturmny, harce, błędy; owdzie chwały, owdzie złota dla siebie a obroku dla rumaka się nabędzie. Tu zginie przyjaciel, tam kochanka się zdarzy, a niebezpieczeństwo w każdej chwili, a rozkosz idzie za niebezpieczeństwem, bo wtedy dreszcz lubo gra po sercu, drażni piersi, poddaje mocy i pędzi wśród zgłiszczów, wplaw przez rzeki i piaski, na zabój środkiem huców — zawsze naprzód. Takim życiem bodąby żyć wieki całe i nie umrzeć nigdy, mogąc umrzeć codzień!

Podczas tych słów twarz jego pałała uniesieniem, a jednak nic nie było dzikiego ni w mowie, ni w tem uniesieniu; ani razu nie spojrział wzrokiem, w którym patrzal na bitwie lub wśród pożaru, ani też głos się nie wznosił do owych ryków, którymi oznajmiał wolę swoją na pobojowisku, ale patrzal i mówił, jak bohater, który skromnie opisuje swe czyny, jednak ciągle wie, że mało ludzi tyle razy życie ze wzgardą na łup śmierci rzucilo.

Maryna słucha ciekawie i podoba sobie w bezdrożach lasu, po których błąkał się Zarucki — w niej samej zarazem tysiąc pamiętek się budzi. Dumanie rozwiódło łagodną barwę po jej licu i czoło krasi wdziękiem niewieściej słabości. W oczach zjawiają się spojżenia, świętością nieszczęścia zamglone i tem ponętniejsze, iż w nich ciągle błyszczą ognie żywej duszy, która tyle cierpień przeżyła, nie żaląc się nigdy, nie spuszczaając nigdy z swojej hardości, aż dopóki wśród kwiatów, kadzidel i harmonijnych dźwięków upamiętała się w swoim statku i rozczuliła się dała.

Ku wodzowi, który ją uniósł z więzienia, który dotąd jej broni i służy, wzrok i serce zwróciła. Niestety, i pierwszy Dymitr podobnie kwitł przy jej boku młodą, odwagą i szczęściem, podobnie i w jego objęciach marzyła, że całe życie będzie dla niej okazałą uroczystością, a nie podróżą z gruzów na gruzy. A gdzież się podział ów potężny mocarz? gdzie się podział ów drugi, który chciał stapać jego śladami? Proch z nich obu dzi-

śiał, a z Igiorem może to samo będzie, bo jemu ta sama przyświeca gwiazda, co wiodła tamtych: gwiazda nieszczęścia i dumy!

II. Utwory z okresu burz moralnych, cierpień i wynikłego stąd pesymizmu (1832—1838).

E) Nieboska komedia.

Napisana r. 1833 w Wiedniu, ukończona w Rzymie r. 1834, ogłoszona bezimiennie, r. 1835 w Paryżu (poświęcona Maryi), jest właściwie dramatem fantastycznym w 4 częściach, z lirycznymi wstępnymi (przygrywki, preludya) przed każdą. Podajemy tu ustępy charakteryzujące przeżycia, przewidywania, odczucia i rozmyślenia, nagromadzone przez nawal wpływów i wstrząśnień różnorodnych, nadających gorączkowy pęd rozwojowi ducha poety w latach od 1829 do 1833.

Z części pierwszej.

626) Gwiazdy wokoło twojej głowy — pod twojemi nogi fale morza — na falach morza tęcza przed tobą pędzi i rozdziela mgły — co ujrzyś jest twojem — brzegi, miasta i ludzie tobie się przynależą — niebo jest twojem. — Chwale twojej ni by nie nie zrówna.

Ty grasz cudzym uszom niepojęte rozkosze — Splatasz serca i rozwiązuješ gdyby wianek, igraszką palców twoich — lży wyciskasz — suszysz je uśmiechem, i na nowo uśmiech strącasz z ust na chwilę — na chwil kilka — czasem na wieki. — Ale sam co czujesz? — ale sam co tworzysz? — co myślisz? — Przez ciebie płynie strumień piękności, ale ty nie jesteś pięknością — Biada ci — biada. — Dziecie, co płacze na łonie mamki — kwiat polny, co nie wie o woniach swoich, więcej ma zasługi przed Panem od ciebie.

Skądżeś powstał, marny cieniu, który znać o świetle dajesz, a światła nie znasz, nie widziałeś, nie obaczysz! Kto cię stworzył w gniewie lub w ironii? — kto ci dał życie nikczemne, tak zwodnicze, że potrafisz udać Anioła chwila, nim zagrążniesz w błoto, nim, jak płaz, pójdziesz czołgać i zadusić się mułem? — Tobie i niewieście jeden jest początek.

Ale i ty cierpisz, choć twoja boleść nic nie utworzy, na nic się nie zda. — Ostatniego nędzarcza jęk policzon między tony harf niebieskich. — Twoje rozpacz i westchnienia opadają na dół i Szatan je zbiera, dodaje w radości do swych kłamstw i złudzeń — a Pan je kiedyś zaprzeczy, jako one zaprzeczyły Pana.

Nie przeto wyrzekam na ciebie, Poezyo, matko piękności i Zbawienia. — Ten tylko nieszczęśliwy, kto na światach początych, na światach mających zginąć, musi wspominać lub przeczuwać ciebie — bo jedno tych gubisz, którzy się poświęcili tobie, którzy się stali żywymi głosami twej chwały.

Błogosławiony ten, w którym zamieszkałaś, jako Bóg zamieszkał w świecie, niewidziany, niesłyszany, w każdej części jego okazały, wielki, Pan, przed którym się uniażają stworzenia i mówią: »On jest tutaj« — Taki cię będzie nosił, gdyby gwiazdę, na czole swoim, a nie oddzielił się od twej miłości przepaścią słowa. — On będzie kochał ludzi i wystąpi mężem pośród braci swoich. — A kto cię nie dochowa, kto zdradzi zawczasie, i wyda na marną rozkosz ludziom, temu sypniesz kilka kwiatów na głowę i odwrócisz się, a on zwiędłymi się bawi, i grobowy wieńiec spleta sobie przez całe życie — Temu i niewieście jeden jest początek.

627) Anioł Stróż. Pokój ludziom dobrej woli — błogosławiony pośród stworzeń kto ma serce — on jeszcze zbawion być może — żono dobra i skromna, zjaw się dla niego — i dziecko niechaj się urodzi w domu waszym. — *(przelatuje).*

Wies — Kościół — nad kościołem Anioł Stróż się kołysze
Jeśli dotrzymasz przysięgi na wieki, będziesz bratem moim w obliczu Ojca niebieskiego. *(znika).*

Wnętrz kościoła — świadki — gronnica na ołtarzu —

Książdz *(ślub daje).* Pamiętajcie na to. —

Wstaje para — Mąż ściska rękę żony i oddaje ją krewnemu — wszyscy wychodzą — on sam zostaje w kościele —

Zstąpiłem do ziemskich ślubów, bom znalazł tę, o której marzyłem — przeklestwo mojej głowie, jeśli ją kiedy kochać przestanę. —

Ogród przy świetle księżycy — za parkanem kościoła.

Mąż. Od dnia ślubu mojego spałem snem odretwiąłych, snem żarłoków, snem fabrykanta Niemca przy żonie Niemce — świat cały jakos zasnął wokół mnie na podobieństwo moje — jeździłem po Krewnych, po doktorach, po sklepach, a że dziecko ma się mi narodzić, myślałem o mamce. —

(Bije druga na wieży kościoła)

Do mnie, państwo moje dawne, zaludnione, żyjące, garnące się pod myśl moją — słuchające natchnień moich — niegdyś odgłos nocnego dzwonu był hasłem waszem — *(chodzi i zalamuje ręce).* Boże, czyś Ty sam uświęcił związek dwóch ciał? czyś ty sam wyrzekł, że nie ich rozzerwać nie zdoła, choć dusze się odepchną od siebie, pójdą każda w swoją stronę, i ciała, gdyby dwa trupy, zostawia przy sobie? —

Salon — dwie święce na fortepianie — kolebka z uspięniem dzieckiem w kacie — Mąż, rozciągnięty na krześle, z twarzą ukrytą w dłoniach — Żona przy fortepianie

Żona. Byłam u Ojca Beniamina, obiecał mi się na pojutrze. — Mąż. Dziękuję ci.

Żona. Posłałam do cukiernika, żeby kilka tort przysposobil, boś podobno dużo gości sprosił na chrzciny — wiesz — takie czekoladowe, z cyfra Jerzego Stanisława. —

Mąż. Dziękuję ci.

Żona. Bogu dzięki, że już raz się odbedzie ten obrządek — że Orcio nasz zupełnie chrześcijaninem się stanie — bo choć już chrzczony z wody, zdawało mi się zawsze, że mu nie dostaje czegoś. — *(idzie do kolebki).* Spij, moje dziecko — czy już się tobie co śni, że zrzuciłeś kolderkę? — ot, tak — teraz leż tak — Orcio mi dzisiaj niespokojny — mój małeńki — mój słiczny, spij. —

Mąż (*na stronie*). Parno — duszno — burza się gotuje — rychłoż tam owzie się piorun, a tu pęknie serce moje. —

Żona (*wraca, siada do fortepianu, gra i przegrywa, znoiciu grać zaczyna i przesłaje znoiciu*). Dzisiaj, wczoraj — ach! mój ty Boże, i przez cały tydzień, i już od trzech tygodni, od miesiąca, słowa nie rzekłeś do mnie — i wszyscy, których widzę, mówią mi, że źle wyglądam —

Mąż (*na stronie*). Nadeszła godzina — nie jej nie odwleczę — (*głośno*). Zdaje mi się owszem, że dobrze wyglądasz. —

Żona. Tobie wszystko jedno, bo już nie patrzysz na mnie, odwracasz się, kiedy wchodzę, i zakrywasz oczy, kiedy siedzę blisko — wczoraj byłam u spowiedzi i przypominałam sobie wszystkie grzechy — a nie mogłam nic znaleźć takiego, coby cię obraziło mogło.

Mąż. Nie obraziłaś mnie. —

Żona. Mój Boże — mój Boże! —

Mąż. Czuję, że powinienem cię kochać. —

Żona. Dobileś mnie tem jednym: powinienem — ach! lepiej wstań i powiedz — «nie kocham» — przynajmniej już będę wiedziała wszystko — wszystko. — (*zrywa się i bierze dziecko z kolebki*) Jego nie opuszczaj, a ja się na gniew twój poświęcę — dziecko moje kochaj — dziecko moje, Henryku. — (*przykleka*).

Mąż (*podnosząc*). Nie zważaj na to, com powiedział — napa-dają mnie często złe chwile — nudy. —

Żona. O jedno słowo cię proszę — o jedną obietnicę tylko — powiedz, że go zawsze kochać będziesz. —

Mąż. I ciebie i jego — wierzą mi.

(*Całuje ją w czoło — a ona go obejmuje ramionami — wtem grzmot słychać — zaraz potem muzykę — akkord po akkordzie i coraz dłuższe*).

Żona. Cóż to znaczy? — (*dziecię cisnie do pierś*).

.....

Chrzest — Goście — Ojciec Benjamin — Ojciec chrzestny —

Matka chrzestna — Mamka z dzieckiem — na sofie na boku siedzi Żona — w głębi służący —

Pierwszy gość (*po cichu*). Dziwna rzecz, gdzie Hrabia się podział. —

Drugi gość. Zabalamucili się gdzieś, lub pisze. —

Pierwszy gość. A Pani bładą, nie wyspana, słowa do nikogo nie przemówiła. —

Trzeci gość. Chrzest dzisiejszy przypomina mi bale, na które zaprosiwszy gospodarz, zgra się wilią w karty, a potem gości przyjmuje z grzecznością rozpaczy. —

Czwarty gość. Opuściłem śliczną księżniczkę — przyszedłem — sądziłem, że będzie sute śniadanie, a zamiast tego, jako Pismo mówi, płacz i zgrzytanie zębów. —

Ojciec Benjamin. Jerzy Stanisławie, przyjmujesz olej święty? Ojciec i Matka chrzestna. Przyjmuję. —

Jeden z gości. Patrzenie, wstała i stąpa, jak gdyby we śnie. —

Drugi gość. Roztoczyła ręce przed się i, chwycąc się, idzie ku synowi. —

Trzeci gość. Co mówicie — podajmy jej ramię, bo zemdleje. —

Ojciec Benjamin. Jerzy Stanisławie, wyrzekasz się szatana i pychy jego?

Ojciec i Matka chrzestna. Wyrzekam się. —

Jeden z gości. Cyt — słuchajcie. —

Żona (*kładąc dłoń na głowie dziecięcia*). Gdzie ojciec twój, Orcio. —

Ojciec Benjamin. Proszę nie przerywać —

Żona. Błogosławię cię, Orciu, błogosławię, dziecię moje. — Bądź poetą, aby cię ojciec kochał, nie odrzucił kiedyś. —

Matka chrzestna. Ale pozwólże, moja Marysiu. —

Żona. Ty ojcu zasłużył się i przypodobasz — A wtedy on twojej matce przebaczy. —

Ojciec Benjamin. Bój się Pani Hrabina Boga. —

Żona. Przeklinam cię, jeśli nie będziesz poetą — (*maleje — wynoszą ją sługi*).

Goście (*razem*). Coś nadzwyczajnego zaszło w tym domu — wychodźmy, wychodźmy —

(*Tymczasem obrząd się kończy — dziecię płaczące odnosi do kolebki*).

Ojciec chrzestny (*przed kolebką*). Jerzy Stanisławie, dopiero coś został chrześcijaninem i wszedł do towarzystwa ludzkiego, a później zostaniesz obywatelem, a za staraniem rodziców i łaską Bożą znakomitym urzędnikiem — pamiętaj,

że Ojczyznę kochać trzeba, i że nawet za Ojczyznę zginąć jest pięknie... (*Wychodzą wszyscy*).

Piękna okolica — wzgórze i lasy — góry w oddali.

Mąż. Tegom żądał, o to przez długie modliłem się lata i narzecziem już blizki mojego celu — świat, ludzi zostawiłem z tyłu — niechaj sobie tam każda mrówka bieży i bawi się żdźbłem swoim, a kiedy go opuści, niech skacze ze złości lub umiera z żalu. —

Głos dziewicy. Tędy — tędy — (*Przechodzi*).

Mąż. Naprózno walczyć — rozkosz otchłami mnie porywa — zawrót w duszy mojej — Boże — wróg Twój zwycięża! — Aniol Stróż (*ponad morzem*). Pokój wam, bałwany, uciszcie się. —

W tej chwili na głowę dziecięcia twego zlewa się woda święta —

Wracaj do domu i nie grzesz więcej. —

Wracaj do domu i kochaj dziecię twoje. —

Pokój — kratowane okno — kilka krzeseł — łóżko — żona na kanapie —

Mąż (*wchodzi*). Chcę być z nią sam na sam. —

Głos z za drzwi. Mój mążby się gniewał, gdyby...

Mąż. Dajże mi W. Pani pokój. — (*drzwi za sobą zamyka i idzie ku żonie*).

Głos z nad sufitu. W łańcuchy spętaliście Boga. — Jeden już umarł na krzyżu — Ja drugi Bóg i równie wśród katów. —

Głos z pod podłogi. Na rusztowanie głowy królów i panów — ode mnie poczyna się wolność ludu. —

Głos z prawej ściany. Klękajcie przed królem, panem waszym. —

Głos z za lewej ściany. Kometa na niebie już błyska — dzień strasznego sądu się zbliża —

Mąż. Czy mnie poznajesz, Maryo? —

Żona. Przysięgam ci na wierność do grobu. —

Mąż. Chodź — daj mi ramię, wyjdziemy. —

Żona. Nie mogę się podnieść — dusza opuściła ciało moje, wstąpiła do głowy. —

Mąż. Pozwól, wyniosę cię. —

Żona. Dozwól chwil kilka jeszcze, a stanę się godną cię. —

Mąż. Jakto?

Żona. Modliłam się trzy nocy, i Bóg mnie wysłuchał. —

Mąż. Nie rozumiem cię. —

Żona. Odkiedym cię straciła, zaszła odmiana we mnie — «Panie Boże» mówiłam, i biłam się w piersi, i gromnicę przystawiałam do piersi, i pokutowałam, «spuść na mnie ducha poezyi» i trzeciego dnia zrana stałam się poetką. —

Mąż. Maryo —

Żona. Henryku, mną teraz już nie pogardzisz — jestem pełna natchnienia — wieczorami już mnie nie będziesz porzucał —

Mąż. Nigdy, nigdy. —

Żona. Patrz na mnie. — Czy nie zrównałam się z tobą? — wszystko pojmę, zrozumiem, wydam, wygram, wyśpię-wam. — Morze, gwiazdy, burza, bitwa. — Tak, gwiazdy, burza, morze — ach! wymknęło mi się jeszcze coś — bitwa. — Musisz mnie zaprowadzić na bitwę — ujrzę i opiszę — trup, całun, krew, fala, rosa, trumna —

Nieskończoność mnie obleje,

I jak ptak, w nieskończoności

Błękiet skrzydłami rozwiję

I lećć się rozemdleję

W czarnej nicości. —

Mąż. Przekleństwo — przekleństwo! —

Żona (*obejmuje go ramionami i całuje w usta*). Henryku mój,

Henryku, jakim szczęśliwa. —

Głos z pod posadzki. Trzech królów własną ręką zabiłem — dziesięciu jest jeszcze — i księży stu, śpiewających mszę. —

Głos z lewej strony. Słońce trzecią część blasku straciło — gwiazdy zaczynają się potykać po drogach swoich — niestety — niestety.

Mąż. Dla mnie już nadszedł dzień sądu.

Żona. Rozjasnij czoło, bo smuczysz mnie na nowo — czegoż ci nie dostaje? — wiesz, powiem ci coś jeszcze.

Mąż. Mów, a wszystkiego dopelnię.

Żona. Twój syn będzie poetą.

Mąż. Co?

Żona. Na chrzcie ksiądz mu dał pierwsze imię — poeta — a następne znasz, Jerzy Stanisław — jam to sprawiła — błogosławiłam, dodałam przekleństwo — on będzie poeta. — Ach, jakże cię kocham, Henryku.

Głos z sufitu. Daruj im, Ojczy, bo nie wiedzą, co czynią.

Żona. Tamten dziwne cierpi obłąkanie — nieprawdą?

Mąż. Najdziwniejsze.

Żona. On nie wie, co gada, ale ja ci ogłoszę, coby było, gdyby Bóg oszalał (*bierze go za rękę*). Wszystkie światy lecą to na dół, to w górę — człowiek każdy, robak każdy krzyczy — «Ja Bogiem» — i co chwila jeden po drugim kohnają — gasną komety i słońca — Chrystus nas już nie zbawi — krzyż swój wziął w ręce obie i rzucił w otchłań. — Czy słyszysz, jak ten krzyż, nadzieja milionów, rozbija się o gwiazdy, łamie się, pęka, rozlatuje w kawałki, a coraz niżej i niżej — aż tumana wielki powstał z jego odlamków? — Najświętsza Bogarodzica jedna się jeszcze modli, i gwiazdy, jej służebnice, nie odbiegły Jej dotąd — ale i Ona pójdzie, kędy idzie świat cały. —

Mąż. Maryo, może chcesz widzieć syna? —

Żona. Jam mu skrzydła przypięła, posłała między światy, by się napałił wszystkim, co piękne i straszne i wyniosłe. — On wróci kiedyś i uraduje ciebie. — Ah!

Mąż. Żle tobie?

Żona. W głowie mi ktoś lampę zawiesił, i lampa się kołysze — nieznośnie. —

Mąż. Maryo moja najdroższa, bądźże mi spokojna, jako dawniej byłaś!

Żona. Kto jest poetą, ten nie żyje długo.

Mąż. Hej! ratunku — pomocy! — (*Wpadają kobiety i żona doktora*).

Żona doktora. Pigulek — proszków — nie — nic zsiadłego — owszem, płynne jakie lekarstwo. — Małgosiu, bieź do apteczki. — Pan sam temu przyczyną — mój mąż mnie wyłaje. —

Żona. Żegnaj cię, Henryku. —

Żona doktora. To J. W. Hrabia sam w osobie swojej! — Mąż. Maryo, Maryo. — (*ścisła ją*).

Żona. Dobrze mi, bo umieram przy tobie — (*spuszcza głowę*). Żona doktora. Jaka czerwona — krew rzuciła się do mózgu — Mąż. Ale jej nic nie będzie! (*Wchodzi doktor i zbliża się do kanapy*).

Doktor. Już jej nic nie jest — umarła. —

Z części drugiej.

628) Czemu, o dziecię, nie hasasz na kijku, nie bawisz się lalką, much nie mordujesz, nie wbijas na pal motyli, nie tarzasz się po trawnikach, nie kradniesz lakoci, nie oblewasz łzami wszystkich liter od A do Z? — Królu much i motyli, przyjacielu poliszynela, czaracie maleńki, czemuś tak podobny do aniolka? — Co znaczą twoje błękitne oczy, pochyłone, choć żywe, pełne wspomnień, choć ledwo kilka wiosen przeszło ci nad głową? — Skąd czoło opierasz na rączkach białych i zdajesz się marzyć, a jako kwiat obarczony rosą, tak skronia twoje obarczone myślami?

A kiedy się zarumienisz, płoniesz, jak stulistna róża, i, pukle odwijając w tył, wzroczkiem sięgasz do nieba — powiedz, co słyszysz, co widzisz, z kim rozmawiasz wtędy? Bo na twe czoło występują zmarszczki, gdyby cieniutkie nici, płynące z niewidzialnego kłębka — bo w oczach twoich jaśnieje iskra, której nikt nie rozumie — a mamka twoja płacze i woła na ciebie i myśli, że jej nie kochasz — a znajomi i krewni wołają na ciebie i myślą, że ich nie poznajesz — twój ojciec jeden milczy i spogląda ponuro, aż łza mu się zakręci i znowu gdzieś przepadnie. —

Tymczasem wzarastasz i piękniejsz — nie ową świeżością dzieciństwa mleczną i poziomkową, ale pięknością dziwnych, niepojętych myśli, które chyba z innego świata płyną ku tobie — bo, choć często oczy masz gasnące, śniade lica, zgięte piersi, każdy, co spojrzy na ciebie, zatrzyma się i powie: «Jakie śliczne dziecię». — Gdyby kwiat, co więdnie, miał duszę z ognia i natchnienie z nieba, gdyby na każdym listku, chyłącym się ku ziemi, anielska myśl leżała miasto kropli rosy, ten kwiat byłby

do ciebie podobnym, o dziecię moje — może takie bywały przed upadkiem Adama. —

Cmentarz — Mąż i Orcio przy grobie w gołyckiej filary i wieżyczki.

629) Mąż. Zdejm kapelusik i módl się za duszę matki. —
Orcio. Zdrowaś Panno Maryo, laskiś Bożej pełna, Królowa niebios, Pani wszystkich, co kwitnie na ziemi, po polach, nad strumieniami...

Mąż. Czego odmieniasz słowa modlitwy — módl się, jak cię nauczono, za matkę, która temu dziesięć lat właśnie o tej samej godzinie skołała. —

Orcio. Zdrowaś Panno Maryo, laskiś Bożej pełna, Pan z tobą, błogosławionaś między Aniołami, i każdy z nich, kiedy przechodzisz, tęczę jedną z skrzydeł swych wydziera i rzuca pod stopy Twoje. — Ty na nich, jak gdyby na falach...

Mąż. Orcio. —

Orcio. Kiedy mi te słowa się nawijają i bolą w głowie tak że, proszę Papy, muszę je powiedzieć. —

Mąż. Wstań, taka modlitwa nie idzie do Boga. — Matki nie pamiętasz — nie możesz jej kochać. —

Orcio. Widuję bardzo często mamę. —

Mąż. Gdzie, mój maleńki? —

Orcio. We śnie, to jest niezupełnie we śnie, ale tak, kiedy zasypiam, naprzykład zawczoraj. —

Mąż. Dziecko moje, co ty gadasz?

Orcio. Była bardzo biała i wychuda. —

Mąż. A mówiła co do ciebie?

Orcio. Zdawało mi się, że się przechadza po wielkiej i szerokiej ciemności, sama bardzo biała, i mówiła:

Ja błąkam się wszędzie,	I od duchów wyższych
Ja wszędzie się wdzieram.	I od duchów niższych
Gdzie światów krawędzie,	Farby i odcienie,
Gdzie aniołów pienie,	Dźwięki i promienie
I dla ciebie zbieram	Zbieram dla ciebie,
Kształtów roje,	Byś ty, o synku mój!
O dziecię moje!	Był, jako są w niebie,
Myśli i natchnienie.	I ojciec twój
	Kochał ciebie —

Widzi ojciec, że pamiętam słowo — proszę kochanego papy, ja nie kłamię. —

Mąż (*opierając się o filar grobu*). Maryo, czyż dziecię własne chcesz zgubić, mnie dwoma zgonami obarczyć... co ja mówię? ona gdzieś w niebie cicha i spokojna, jak za życia na ziemi — marzy się tylko temu biednemu chłopięciu. —

Orcio. I teraz słyszę głos jej, lecz nic nie widzę. —

Mąż. Skąd — w której stronie? —

Orcio. Jak gdyby od tych dwóch modrzewi, na które pada światło zachodzącego słońca. —

Ja napeję
Usta twoje

Dźwiękiem i potęgą,
Czoło przyozdobię
Jasności wstęgą
I matki miłością
Obudzę w tobie

Wszystko, co ludzie na ziemi, anieli w niebie

Nazwali pięknością —

By ojciec twój,

O synku mój!

Kochał ciebie —

Mąż. Czyż myśli ostatnie przy zgonie towarzyszą duszy, choć dostanie się do nieba — może być duch szczęśliwym, świętym i obłąkanym zarazem? —

Orcio. Głos many słabiej, ginie już prawie za murem kostnicy, ot tam — tam — jeszcze powtarza —

O synku mój!

By ojciec twój

Kochał ciebie —

Wązów pomiędzy górami.

Mąż. Pracowałem lat wiele na odkrycie ostatniego końca wszelkich wiadomości, rozkoszy i myśli i odkryłem — próżnię grobową w sercu mojem — Znam wszystkie uczucia po imieniu, a żadnej żądzy, żadnej wiary, miłości niema we mnie — jedno kilka przeczuć krąży w tej pustyni — o synu moim, że oślepnie — o towarzystwie, w którym wzrosłem, że rozprzęgnie się — i cierpię tak, jak Bóg jest szczęśliwy, sam w sobie, sam dla siebie. —

Głos Anioła Stróża. Schorzałych, zgłodniałych, rozpaczających pokochaj, bliźnich twoich, biednych bliźnich twoich, a zbawion będziesz.

Pokój — Mąż — Lekarz — Orcio.

Lekarz. Powieki prześliczne, białka preczyste, żyły wszystkie w porządku, muskuly w sile. — (*do Orcia*) Śmieję się Pan z tego — Pan będziesz zdrow, jak ja. — (*do Meża*) Niema nadziei — sam Pan Hrabia przypatrz się żrzenicy — nieczuła na światło — osłabienie zupełne nerwu optycznego. —

Mąż (*przyciskając syna do piersi*). Ale ty widzisz jeszcze cokolwiek? —

Orcio. Słyszę głos twój, ojcie. —

Mąż. Spójrzj w okno, tam słońce, pogoda. —

Orcio. Pełno postaci mi się wije między żrzenicą a powieką — widzę twarze widziane, znajome miejsca — karty książek czytanych. —

Mąż. To widzisz jeszcze?

Orcio. Tak, oczyma duszy, lecz tamte pogasły. —

Mąż (*padając na kolana*).

(Chwila milczenia).

Przed kim ukląknę — gdzie mam się upomnieć o krzywdę mojego dziecka? — (*wstając*) Milczmy raczej — Bóg się z modlitw, szatan z przekleństw śmieje. —

Głos skądś. Twój syn poeta — czegoż żądas więcej?

Z części trzeciej.

630) Do pieśni — do pieśni.

Kto ją zacznie, kto jej dokonczy? — Dajcie mi przelotność zbrojną w stal, powiewną rycerskimi pióry. — Gotyckie wieże wywołam przed oczy wasze — rzucę cień katedr świętych na głowy wam. — Ale to nie to — tego już nigdy nie będzie. —

Ktokolwiek jesteś, powiedz mi, w co wierzysz — łatwiej-bys życia się pozbył, niż wiarę jaką wynalazł, wzbudził wiarę w sobie. Wstydźcie się, wstydźcie wszyscy, mali i wielcy — a mimo was, mimo, żeście mierni i nędzni, bez serca i mózgu, świat dąży ku swoim celom, rwie za sobą, pędzi przed się, bawi

się z wami, przerzuca, odrzuca — walcem świat się toczy, pary znikają i powstają, wnet zapadają, bo ślizko — bo krwi dużo — krew wszędzie — krwi dużo, powiadam wam. —

Czy widzisz owe tłupy, stojące u bram miasta wśród wzgórzów i sadzonych topoli — namioty rozbite — zastawione deski, długie, okryte mięsivem i napojami, podparte pniami, drągami? — Kubek lata z rąk do rąk — a gdzie się ust dotknie, tam głos się wydobędzie, groźba, przysięga, lub przekleństwo. — On lata, zawraca, krąży, tańcuje, zawsze pełny, brzęcząc, błyszcząc, wśród tysięcy. — Niechaj żyje kielich pijaństwa i pociechy!

Czy widzicie, jak oni czekają niecierpliwie — szemrzą między sobą, do wrzasków się gotują — (wszyscy nędzni, ze znojem na czole, z rozczuchranymi włosy, w lachmanach, z spleklemi twarzami, z dloniami pomarszczonemi od trudu — ci trzymają kosy, owi potrząsają młotami, heblami — patrz — ten wysoki trzyma topór spuszczonej — a tamten stępem żelaznym nad głową powija; dalej, w bok pod wierzbą, chłopię małe wisznę do ust kładzie, a długie sztydo w prawej ręce ściska. — Kobiety przybyły także, ich matki, ich żony, głodne i biedne, jak oni, zwiedle przed czasem, bez śladów piękności — na ich włosach kurzawa bitaj drogi — na ich lonach poszarpane odzieże — w ich oczach coś gasnącego, ponurego, gdyby przedrzeźnianie wzroku — ale wnet się ożywia — kubek lata wszędzie, obiega wszędzie. — Niech żyje kielich pijaństwa i pociechy. —

Namiot — porozrzucane butelki, kielichy.

631) Pan k r a c y. Pięćdziesięciu hulało tu przed chwilą i za każdym słowem moim krzyczało — «Vivat» — czy choć jeden zrozumiał myśli moje? — pojął koniec drogi, u początku której hałasuje? — ach! serwile imitatorum pecus¹⁾. —

Bór — porozwieszane pióła na drzewach — w środku tuka, na której stoi szubienica — szalasy — namioty — ogniska — beczki — tłumy ludzi. —

¹⁾ Szulazca trzoda następujących.

Mąż (*przebrany, w czarnym płaszczu, z czapką czerwoną Wołności na głowie, wchodzi, trzymając Przechrztę za ramię*).
Pamiętaj. —

Przechrzta (*pocichu*). JW. Panie, odprowadzę cię — nie wydam cię, na honor. —

Mąż. Mrugnij okiem, palec podnieś, a w łeb ci strzelę — możesz się domyślić, że nie dbam o życie twoje... kiedyś własne na to odważył. —

Przechrzta. Aj waj — żelaznemi kleszczami dłoń mi ściszasz — cóż mam robić?

Mąż. Mów ze mną, jak ze znajomym, z przyjacielem nowo przybyłym — cóż to za taniec? —

Przechrzta. Taniec wolnych ludzi.

(*Tańczą mężczyźni i kobiety wokół szubienicy i śpiewają*)

Chór. Chleba, zarobku, drzewa na opał w zimie, odpoczynku w lecie — Hura — Hura!

Bóg nad nami nie miał litości — Hura — Hura. —

Królowie nad nami nie mieli litości — Hura — Hura. —

Panowie nad nami nie mieli litości — Hura — Hura. —

My dziś Bogu, królom i panom za służbę podziękujem — Hura — Hura. —

Mąż (*do dziewczyny*). Cieszy mnie, żeś taka rumiana i wesola.

Dziewczyna. A dyć tośmy długo na taki dzień czekały — juści ja myłam talerze, widelce szurowała ścierką, dobrego słowa nie słyszała nigdy — a dyć czas, czas, bym jadła sama — tańcowała sama — Hura. —

Mąż. Tańczuj, obywatelko. —

Przechrzta (*cicho*). Zmiłuj się, JW. Panie — ktoś może cię poznać — wychodźmy. —

Mąż. Jeśli kto mnie pozna, toś zginął — idźmy dalej. —

Przechrzta. Pod tym dębem siedzi klub lokajów. —

Mąż. Przybliżmy się.

Pierwszy lokaj. Jużem ubił mego dawnego pana. —

Drugi lokaj. Ja szukam dotąd mego barona — zdrowie twoje. —

Kamerdyner. Obywatelo, schylił nad prawidłem w pocie i poniżeniu, glancując buty, strzyżąc włosy, poczulimy prawa nasze, — zdrowie klubu całego. —

Chór lokaj. Zdrowie prezesa — on nas powiedzie drogą honoru. —

Kamerdyner. Dziękuję, obywatele. —

Chór lokaj. Z przedpokojów, więzień naszych, razem, zgodnie, jednym wypadliśmy rzutem — Vivat — Salonów znamy śmieszności i wszeteczności — Vivat — Vivat. —

Mąż. Cóż to za głosy, twardsze i dziksze, wychodzące z tej gęstwy na lewo? —

Przechrzta. To chór rzeźników, JW. Panie. —

Chór rzeźników. Obuch i nóż to broń nasza — szlachtuz to życie nasze. — Nam jedno, czy bydło, czy panów rznąć. —

Dzieci siły i krwi, obojętnie patrzym na drugich słabszych i bielszych — kto nas powoła, ten nas ma — dla panów woły, dla ludu panów bić będziemy.

Obuch i nóż broń nasza — szlachtuz życie nasze — szlachtuz — szlachtuz — szlachtuz. —

Mąż. Tych lubię — przynajmniej nie wspominają ani o honorze, ani o filozofii — Dobry wieczór Pani. —

Przechrzta (*cicho*). JW. Panie, mów »Obywatelko« — lub »Wolna Kobieto«.

Kobieta. Cóż znaczy ten tytuł, skąd się wyrwał? — fe — fe — cuchmiesz starzyzna. —

Mąż. Język mi się zaplątał. —

Kobieta. Jestem swobodną, jako ty, niewiastą wolną, a towarzystwu za to, że mi prawa przyznało, rozdaje miłość moją. —

Mąż. Towarzystwo znów za to ci dało te pierścienie i ten łańcuch ametystowy — Oho! podwójnie dobroczynne towarzystwo! —

Kobieta. Nie, te drobnostki zdarłam przed wyzwoleniem mojem — z męża mego, wroga mego, wroga wolności, który mnie trzymał na uwiezi. —

Mąż. Życzę obywatelce milej przechadzki — (*przechodzi*)

Któż jest ten dziwny żołnierz — oparty na szabli obosiecznej, z główką trupa na czapce, z drugą na felcechu, z trzecią na piersiach? — Czy to nie sławny Bianchetti, taki dziś kondotier ludów, jako dawniej bywali kondotierzy książąt i rządów? —

Przechrzta. On sam, JW. Panie — dopiero od tygodnia do nas przybyły. —

Mąż. Nad czym tak zamyslał się general?

Bianchetti. Widzicie, obywatelu, ową lukę między jaworami? — patrzcie dobrze — dojrzyście tam na górze zamek — doskonale widzę przez moją lunetę mury, okopy i cztery bastiony. —

Mąż. Trudno go opanować.

Bianchetti. Tysiąc tysięcy królów! — można obejść jarem, podkopać się, i...

Przechrzta (*mrugając*). Obywatelu generale —

Mąż (*pociągnięty*). Czujesz ten kurek odwiedziony pod moim płaszczem? —

Przechrzta (*na stronie*). Aj waj. — (*głośno*) Jakżeś więc to ułożył, obywatelu generale? —

Bianchetti (*zadumany*). Chociażeście moi bracia w wolności, nie jesteście moimi braćmi w geniusiu — po zwycięstwie dowie się każdy o moich planach. — (*odchodzi*).

Mąż (*do Przechrzty*). Radzę wam go zabić, bo tak się zaczyna każda arystokracja. —

Rzemieślnik. Przekłństwo — przekłństwo. —

Mąż. Co robisz pod tem drzewem, biedny człowiecze — czemu patrzysz tak dziko i mgławo?

Rzemieślnik. Przekłństwo kupcom, dyrektorom fabryki — najlepsze lata, w których inni ludzie kochają dziewczyny, biją się na otwartem polu, żeglują po otwartych morzach, ja przesłęczałem w ciasnej komorze, nad warsztatem jedwabiu. —

Mąż. Wychyliżę czarę, którą trzymasz w dłoni. —

Rzemieślnik. Sił nie mam — podnieś do ust nie mogę — ledwo się tutaj przyczolgałem, ale dla mnie już nie zaświta dzień wolności — przekłństwo kupcom, co jedwab sprzedają, i panom, co noszą jedwabie — przekłństwo — przekłństwo. — (*umiera*)

Przechrzta. Jaki brzydki trup. —

Mąż. Tchórzowi wolności, obywatelu przechrzto, patrz na tę głowę bez życia, pływającą w pokrzwawie zachodzącego słońca. —

Gdzie się podzieją teraz wasze wyrazy, wasze obietnice — równość — doskonałość i szczęście rodu ludzkiego? —

Przechrzta (*na stronie*). Bodałbyś także zawcześnie zdechl i ciało twoje psy rozerwały na sztuki. — (*głośno*) Puszczaj mnie — muszę zdać sprawę z mojego poselstwa. —

Mąż. Powiedz, żem cię miał za szpiega i dlatego zatrzymał. — (*obiera się nokoło*) Odgłosy biesiady głuchną z tyłu — przed nami już same tylko sosny i świrki, oblane promieniami wieczoru. —

Przechrzta. Nad drzewami skupiają się chmury — lepiej, byś wrócił do swoich ludzi, którzy i tak już od dawna czekają na ciebie w jarze Sw. Ignacego. —

Mąż. Dzięki ci za troskliwość, Mości Żydzie — nazad — choć obywateli raz jeszcze w zmierzchu obejrzyć. —

Głos pomiędzy drzewami. Syn Chamów dobranoć zasyla staremu słońku.

Głos z prawej. Zdrowie twoje, dawny wrogu nasz, coś nas pędził do pracy i znoju — jutro wschodząc zastaniesz twoich niewolników przy mięsiwie i konwiach — a teraz, szklanko, idź do czarta! —

Przechrzta. Orszak chłopów tu ciągnie. —

Mąż. Nie wyrwiesz się — stój za tym pnem i milcz.

Chór chłopów. Naprzód, naprzód, pod namioty, do braci naszych — naprzód, naprzód, pod cień jaworów, na sen, na miłą wieczorną gawędkę — tam dziewczki nas czekają — tam woły pobite, dawne plugów zaprzęgi, czekają nas. —
Głos jeden. Ciągnę go i włokę, zżyma się i opiera — idź w rekruty — idź. —

Głos pana. Dzieci moje, litości, litości. —

Głos drugi. Wróć mi wszystkie dni pauszczyzny. —

Głos trzeci. Wskrześ mi syna, panie, z pod batogów kozackich. —

Głos czwarty. Chamy piją zdrowie twoje, panie — przepraszają cię, panie. —

Chór chłopów (*przechodząc*). Upiór ssal krew i poty nasze — mamy upiora — nie puścim upiora — przez biesa, przez biesa, ty zginięsz wysoko, jako pan, jako wielki pan, wznieścion nad nami wszystkimi. — Panom tyranom śmierć — nam biednym, nam głodnym, nam strudzonym jeść, spać i pić. — Jako snopy na polu, tak ich trupy będą — jako

plewy w młockarniach, tak perzyny ich zamków — przez kosy nasze, siekiery i cepy, bracia, naprzód. —

Mąż. Nie mogłem twarzy dojrzeć wśród zastępów. —

Przechrzta. Może jaki przyjaciel lub krewny JWgo.

Mąż. Nim pogardzam, a was nienawidzę — poezya to wszystko ozłoci kiedyś — dalej, Żydzcie — dalej. — (*zapuszcza się w krzaki*).

Inna część boru — wzgórze z rozpalonymi ogniami — zgromadzenie ludzi przy pochodniach.

Mąż. Któż jest ten młody człowiek, na gruzach przybytku stojący? — trzy ogniska palą się pod nim, wśród dymu i łuny, twarz jego płonie, głos jego brzmi szaleństwem. —

Przechrzta. To Leonard, prorok natchnięty Wolności — około stoją nasze kapłany, filozofy, poeci, artyści, córki ich i kochanki. —

Mąż. Ha! wasza arystokracja — pokaż mi tego, który cię przysłał. —

Przechrzta. Nie widzę go tutaj. —

Leonard. Dajcie mi ją do ust, do piersi, w objęcia, dajcie piękną moją, niepodległą, wyzwoloną, obnażoną z zasłon i przesądów, wybraną z pośród córek Wolności, oblubienicę moją. —

Głos dziewicy. Wyrwam się do ciebie, moj kochanku. —

Drugi głos. Patrz, ramiona wyciągam do ciebie — upadłam z niemocy — tarzam się po zgłiszczach, kochanku mój. —

Trzeci głos. Wyrzuciłam je — przez popiół i żar, ogień i dym, stąkam ku tobie, kochanku mój. —

Mąż. Z rozpuszczonym włosom, z dyszącą piersią wdziera się na grzyby namiętymi podrutymi.

Przechrzta. Tak co noc bywa. —

Leonard. Do mnie, do mnie, o rozkoszo moja — córo Wolności. — Ty drżysz w boskim szale; natchnienie, ogarnij mą duszę — słuchajcie wszyscy — teraz wam prorokować będę. —

Mąż. Głowę pochyliła, mdleje. —

Leonard. My oboje obrazem rodu ludzkiego, wyzwolonego, zmartwychwstającego — patrzcie — stoim na rozwalinach starych kształtów, starego Boga. — Chwała nam, bośmy

członki Jego rozerwali, teraz proch i pył z nich — a duch Jego zwyciężyli naszymi duchami — duch Jego zstąpił do nicości. —

Chór niewiast. Szczęśliwa, szczęśliwa oblubienica Proroka — my tu na dole stoimy i zazdrościmy jej chwały. —

Leonard. Świat nowy ogłaszam — Bogu nowemu oddaję niebios, Panie swobody i rozkoszy, Boże ludu, każda ofiara zemsty, trup każdego ciemięzcy, twóim niech będzie ołtarzem — w oceanie krwi utoną stare ły i cierpienia rodu ludzkiego — życiem jego oddaję szczęście — prawem jego równość — a kto inne tworzy, temu stryczek i przekleństwo. —

Chór mężów. Rozpadła się budowa ucisku i dumy — kto z niej choć kamyczek podniesie, temu śmierć i przekleństwo.

Przechrzta (*na stronie*). Błuznierce Jehowy, po trzykroć pluje na zgubę wam. —

Mąż. Orle, dotrzyмай obietnicy, a ja tu na ich karkach nowy kościół Chrystusowi postawię. —

Pomieszane głosy. Wolność — szczęście — hura — hejże — rykacha — hurracha — hurracha. —

Chór kapłanów. Gdzie pany, gdzie króle, co niedawno przechadzali się po ziemi, w berlach i koronach, w dumie i gniewie? —

Zabójca. Ja zabiłem króla Aleksandra. —

Drugi. Ja króla Henryka. —

Trzeci. Ja króla Emanuela. —

Leonard. Idźcie bez trwogi i mordujcie bez wyrzutów — boście wybrani z wybranych, święci wśród najświętszych, — boście męczennikami — bohaterami Wolności. —

Chór zabójców. Pójdziemy nocą ciemną, sztylety ściskając w dłoniach, pójdziemy, pójdziemy. — (*grzmot słychać*).

Leonard. Obudź się, urodziwa moja. —

Nuż, odpowiedźcie żyjącemu Bogu — wnieście pieśni wasze — chodźcie za mną wszyscy, wszyscy, jeszcze raz obejdziem i zdepcem świątynię umarłego Boga. —

A ty podnieś głowę — powstań i obudź się. —

Dziewica. Pałam miłością ku tobie i Bogu twemu, światu całemu miłość rozdaję moją — płonę — płonę. —

Mąż. Ktoś mu zabiegł — padł na kolana — mociuje się sam z sobą, coś belkoce, coś jęczy. —

Przechrzta. Widzę, widzę, to syn sławnego filozofa. —

Leonard. Czego żądasz, Hermanie? —

Herman. Arcykapłanie, daj mi święcenie zbójckie. —

Leonard (*do kapłanów*). Podajcie mi olej, sztylet i truciznę. — (*do Hermana*). Olejem, którym dawniej namaszczano królów, na zgubę królom namaszczam cię dzisiaj — broń dawnych rycerzy i panów na zatrąte panów kładę w ręce twoje — na twoich piersiach zawieszam medalion pełny trucizny — tam, gdzie twoje żelazo nie dojdzie, niech ona żre i pali wnętrzności tyranów. — Idź i niszczone pokolenia po wszech stronach świata. —

Mąż. Ruszył z miejsca i na czele orszaku ciągnie po wzgórzu. —

Przechrzta. Usuśmy się z drogi.

Mąż. Nie — chcę tego snu dokończyć. —

Przechrzta. Po trzykroć pluje na ciebie. — (*do Męża*) Leonard może mnie poznać, JW. Panie — patrz, jaki nóż wisi na jego piersiach. —

Mąż. Zakryj się płaszczem moim. — Co to za niewiasty przed nim tańczą? —

Przechrzta. Hrabiny i księżniczki, które, porzuciwszy mężów, przeszły na wiarę naszą. —

Mąż. Niedgdy anioły moje. — Pospółstwo go zewsząd oblało — zginął mi w natłoku — jedno po muzyce poznaje, że się od nas oddala — chodź za mną — stamtąd lepiej nam patrzeć będzie — (*wdziera się na odłamek muru*). —

Przechrzta. Aj waj, aj waj, każdy nas tu spostrzeże. —

Mąż. Widzę go znowu — drugie niewiasty cisną się za nim, blade, obłąkane, w konwulsjach. — Syn filozofa pieni się i potrząsa sztyletem. — Dochodzą teraz do ruin wieży północnej. —

Stanęli — pływają na gruzach — rozrywają nieobalone arkady — syją iskrami na leżące ołtarze i krzyże — płomień się zajmuje i gna słupy dymu przed sobą — biada wam — biada. —

Leonard. Biada ludziom, którzy się dotąd kłaniają umarlemu Bogu. —

Mąż. Czarne bałwany nawracają się i ku nam pędzą. —

Przechrzta. O, Abrahamie! —

Mąż. Orlę, wszak moja godzina nie tak bliska jeszcze? —

Przechrzta. Już po nas. —

Leonard (*przechodząc zatrzymuje się*). Coś ty za jeden, bracie, z taką dumną twarzą — czemu nie łączysz się z nami? —

Mąż. Spieszę z daleka na odgłos waszego powstania. — Jestem morderca klubu Hiszpańskiego i dopiero dziś przybyłem. —

Leonard. A ten drugi po co się w zwojach płaszcza twego kryje? —

Mąż. To mój brat młodszy — ślubował, że twarzą ludziom nie ukaże, nim zabije przynajmniej Barona. —

Leonard. Ty sam czyją śmiercią się chlubisz? —

Mąż. Na dwa dni tylko przed wybraniem się w drogę starsi bracia dali mi święcenie. —

Leonard. Kogóż masz na myśli?

Mąż. Ciebie pierwszego, jeśli się nam sprzeniewierzysz. —

Leonard. Bracie, na ten użytek weź sztylet mój. — (*wyciąga sztylet z pasa*). —

Mąż (*dobycia swojego sztyletu*). Bracie, na ten użytek i mojego wystarczy. —

Głosy ludzi. Niech żyje Leonard — niech żyje morderca Hiszpański. —

Leonard. Jutro staw się u namiotu Obywatela wodza. —

Chór kapłanów. Pozdrawiamy cię, gościu, imieniem ducha Wolności — w rękę twoim część naszego zbawienia. — Kto walczy bez ustanku, mordercy bez słabości, kto dniem i nocą wierzy zwycięstwu, ten zwycięży wreszcie. — (*przechodzą*). —

Chór filozofów. My ród ludzki dźwignęli z dzieciństwa. — My prawdę z łona ciemności wyrwali na jaśnią. — Ty za nią walczy, mordercy i gin. — (*przechodzą*). —

Syn filozofa. Towarzyszu bracie, czaszką starożytnego piję zdrowie twoje — do widzenia. — (*rzuca czaszkę*). —

Dziewczyna (*tańczęc*). Zabij dla mnie Księcia Jana. —

Druga. Dla mnie Hrabiego Henryka. —

Dzieci. Prosimy cię szczerze o głowę arystokraty. —

inni. Szczęść się twojemu sztyletowi. —

Chór artystów. Na ruinach gotyckich świątynię zbudujem

tu nową — obrazów w niej ni posągów niema — sklepienie w długie pugiwały, filary w osiem głów ludzkich, a szczyt każdego filara jako włosy, z których się krew sączy — ołtarz jeden biały — znak jeden na nim — czapka Wolności — Hurracha! —

Inni. Dalej, dalej, już brzask świta. —

Przechrzta. Rychło nas powieszą — gdzie szubienica. —

Mąż. Cicho, Żydzie — Lecą za Leonardem, nie patrzaj już na nas. — Ogarniamy wzrokiem, raz ostatni podchwytując myślą ten chaos, dobywając się z toni czasu, z łona ciemności, na zgubę moją i wszystkich braci moich — Gnane szaleem, porwane rozpaczają myśli moje w całej sile swej kołują. —

Boże, daj mi potęgę, której nie odmawiałeś mi niegdys — a w jedno słowo zamknę świat ten nowy, ogromny — on siebie sam nie pojmuje. — Lecz to słowo moje będzie poezją całej przyszłości. —

Głos w powietrzu. Dramat układasz. —

Mąż. Dzięki za radę. — Zemsta za zhańbione popioły ojców moich — przekleństwo nowym pokoleniom — ich wir mnie otacza — ale nie porwie za sobą — Orle, Orle, dotrzyмай obietnicy. — A teraz na dół ze mną i do juru Św. Ignacego.

Przechrzta. Już dzień bliski — nie pójdę dalej. —

Mąż. Droge mi znajdź, puszcze cię potem. —

Przechrzta. Wśród mgły i zwałisk, cierni i popiołów, gdzie mnie wleciesz? — daruj mi, daruj. —

Mąż. Naprzód, naprzód i na dół ze mną — ostatnie pieśni ludu konają za nami — ledwo gdzie jeszcze tli się pochodnia — pośród tych wyzewów błędnych, tych zroszonych drzew, czy widziałś cienie przeszłości — czy słyszysz te żalobne głosy? —

Przechrzta. Mgła wszystko zalewa — coraz bardziej zlatujemy w dół. —

Chór duchów z lasu. Placemy za Chrystusem, za Chrystusem wygnanym, umęczonym — gdzie Bóg nasz, gdzie kościół Jego? —

Mąż. Prędzej, prędzej do miecza, do boju. — Ja Go wam oddam — na tysiącach krzyżów rozkrzyżuje nieprzyjaciół Jego. —

Chór duchów. Strześliśmy ołtarzy i pomników świętych — odgłos dzwonów na skrzydłach nosiliśmy wiernym — w dźwiękach organów były głosy nasze — w polyskach szyb katedry, w cieniach jej filarów, w blaskach puharu świętego, w błogosławieństwie Ciała Pańskiego, było życie nasze. Teraz, gdzie się podziejemy? —

Mąż. Rozwidnia się coraz bardziej — ich postacie mdleją w promieniach zorzy. —

Przechrzta. Tędy droga twoja, tam jaru początek. —

Mąż. Hej! — Jezus i szabla moja. — (Zrzucając czapkę i zawijając w niej pieniądze). Weź na pamiątkę rzecz i godło zarazem. —

Komnata podłużna — obrazy dam i rycerzy porozwieszane po ścianach — w głębi filar z tarczą herbowną — Mąż siedzi przy stoliku marmurowym — na którym lampa, para pistoletów, pałasz i zegar — naprzeciwko drugi stolik, srebrne konwie i puhary.

Mąż. Niegdys o tej samej porze, wśród groźących niebezpieczeństw i podobnych myśli, Brutusowi ukazał się Geniusz Cezara. —

I ja dziś czekam na podobne widzenie. — Za chwilę stanie przede mną człowiek bez imienia, bez przodków, bez anioła stróża — co wydobyl się z nicości i znacznie może nową Epokę, jeśli go w tył nie odrzucę nazad, nie strącę do nicości. —

Ojcowie moi, natchnijcie mnie tem, co was panami świata uczynilo — wszystkie łwie serca wasze dajcie mi do piersi — powaga skroni waszych niechaj się zleje na czoło moje. — Wiera w Chrystusa i Kościół Jego, ślepa, nieublagana, wrząca, natchnienie dzieł waszych na ziemi, nadzieja chwały nieśmiertelnej w niebie, niechaj zstąpi na mnie, a wrogów będę mordował i palił, ja, syn stu pokoleń, ostatni dziedzic waszych myśli i dzielności, waszych cnót i błędów.

Pankracy (wchodząc). Witam Hrabiego Henryka. — To słowo Hrabia dzwienne brzmi w gardle mojem. — (Stada — rzuca

plaszcz i czapkę Wolności i wlepią oczy w kolumnę, na której herb wisł —).

Mąż. Dzięki ci, żeś zaufał domowi memu — starym zwyczajem piję zdrowie twoje. — *(bierze puhar, pije i podaje Pankracemu)*

Gościu, w ręce twoje. —

Pankracy. Jeśli się nie mylę, te godła błękitne i czerwone zowią się herbem w języku umarłych. — Coraz mniej takich znaczków na powierzchni ziemi. *(pije)*

Mąż. Za pomocą Bożą, wkrótce tysiące ich ujrysz. —

Pankracy *(puhar od ust odejmując)* Otóż mi stara szlachta — zawsze pewna swego — dumna, upoczywa, kwitnąca nadzieją, a bez grosza, oręża, bez żołnierzy. — Odgrążająca się, jak umarli w bajce powoźnikowi u furtki cmentarza — wierząca lub udająca, że wierzy w Boga — bo w siebie trudno wierzyć. — Ale pokażcie mi pioruny na waszą obronę zesłane i pułki aniołów spuszczone z niebios. — *(pije)*

Mąż. Śmieję się z własnych słów. — Ateizm to stara formula — a spodziewałem się czegoś nowego po tobie. —

Pankracy. Śmieję się z własnych słów. — Ja mam wiarę silniejszą, ogromniejszą od twojej. — Jęk przez rozpacz i boleść wydarty tysiącom tysięcy — głód rzemieślników — nędza włóścian — hańba ich żon i córek — poniżenie ludzkości ujarzmionej przysądem, wahaniem się i bydlęcym przyzwyczajeniem — oto wiara moja — Bóg mój na dzisiaj — to myśl moja — to potęga moja, która chleb i cześć im rozda na wieki. — *(pije i rzuca kubek)*

Mąż. Ja położyłem siłę moją w Bogu, który Ojcom moim panowanie nadał. —

Pankracy. A całe życie byłeś dyabła igrzyskiem. —

Zresztą, zostawiam tę rozprawę teologom, jeśli jaki pedant tego rzemiosła żyje dotąd w całej okolicy — do rzeczy — do rzeczy. —

Mąż. Czegoś więc żądasz ode mnie, zbawco narodów, obywatelu Boże?

Pankracy. Przyszedłem tu, bo chciałem cię poznać — po wtóre ocalić. —

Mąż. Wdzięcznym za pierwsze — drugie zdaj na szablę moją. —

Pankracy. Szabla twoja — Bóg twój, mara. — Potępionych głosem tysięcy — opasanych ramionami tysięcy — kilka morgów ziemi wam zostało, co ledwo na wasze groby wystarczy — dwudziestu dni bronić się nie możecie. — Gdzie wasze działa, rynsztunki, żywność, — a wreszcie, gdzie mięstwo?... —

Gdybym był tobą, wiem, co bym uczynił. —

Mąż. Słucham — patrz, jakim cierpliwym. —

Pankracy. Ja więc, Hr. Henryk, rzekłbym do Pankracego: *(Zgoda — rozpuszczam mój hufiec, mój hufiec jedyny — nie idę na odsiecz Świętej Trójcy — a za to zostaję przy mojem imieniu i dobrach, których całość warujesz mi słowem).* —

Wiele masz lat, Hrabio? —

Mąż. Trzydzieści sześć obywateli. —

Pankracy. Jeszcze piętnaście lat najwięcej — bo tacy ludzie niedługo żyją — twój syn bliższy grobu niż młodości — jeden wyjątek ogromowi nie szkodzi. — Bądź więc sobie ostatnim Hrabią na tych równinach — panuj do śmierci w domu naddziadów — każ malować ich obrazy i rżnąć herby. — A o tych nędzarzach nie myśl więcej. — Niech się wyrok ludu spełni nad nikczemnikami. — *(nalewa sobie drugi puhar)*

Zdrowie twoje, ostatni Hrabio. —

Mąż. Obrażasz mnie każdym słowem, zda się, próbujesz, czy zdołasz w niewolnika obrócić na dzień tryumfu swego. — Przystań, bo ja ci się odwzajemnić nie mogę. — Opatrzność mego słowa cię strzeże. —

Pankracy. Honor święty, honor rycerski wystąpił na scenę — zwiędły to lachman w sztandarze ludzkości. — O! znam ciebie, przrenikam ciebie — pełnyś życia, a łączysz się z umierającymi, bo chcesz wierzyć jeszcze w kasty, w kości prababek, w słowo *Ojczyzna* i tam dalej — ale w głębi ducha sam wiesz, że braci twojej należy się kara, a po karze niepamięć. —

Mąż. Tobie zaś i twoim cóż inszego?

Pankracy. Zwycięstwo i życie — jedno tylko prawo uznaję i przed niem kark schylam — tem prawem świat bieży

w coraz wyższe kręgi — ono jest zgubą waszą i wola
teraz przez moje usta:

«Zgrzybiali, robaczywi, pełni napoju i jadła, ustąpię
młodym, zgłodniałym i silnym» —

Ale — Ja pragnę cię wyratować — ciebie jednego. —

Mąż. Bodałbyś zginął marnie za tę łatwość twoją. — Ja także
znam świat twój i ciebie — patrzałem wśród cieniów nocy
na płasy motłochu, po karkach którego wspinasz się do
góry — widziałem wszystkie stare zbrodnie świata ubrane
w szaty świeże, nowym kołującą tańcem — ale ich koniec
ten sam, co przed tysiącami lat — rozpusta, zło i krew. —
A ciebie tam nie było — nie racyleś zstąpić pomiędzy
dzieci twoje — bo w głębi ducha ty pogardzasz nimi —
kilka chwil jeszcze, a jeśli rozum cię nie odbieży, ty bę-
dziesz pogardzał sam sobą. —

Nie dręcz mnie więcej — (*siedzi pod herbem swoim*)

Pankracy. Świat mój jeszcze nie rozparł się w polu — zgoda —
nie wyrósł na olbrzymia — lankie dotąd chleba i wygód —
ale przyjdą czasy — (*wstaje, idzie ku Mężowi i opiera się
na herbowym filarze*)

Ale przyjdą czasy, w których on zrozumie siebie
i powie o sobie: «Jestem» — a nie będzie drugiego głosu
na świecie, co by mógł także odpowiedzieć: «Jestem». —

Mąż. Cóż dalej?

Pankracy. Z pokolenia, które piastuje w sile woli mojej,
narodzi się plemię, ostatnie, najwyższe, najdzielniejsze. —
Ziemia jeszcze takich nie widziała mężów. — Oni są ludźmi
wolnymi, panami jej od bieguna. — Ona cała jednym mia-
stem kwitnącem, jednym domem szczęśliwym, jednym
warsztatem bogactw i przemysłu. —

Mąż. Słowa twoje kłamią — ale twarz twoja niewzruszona,
blada, udać nie umie natchnienia. —

Pankracy. Nie przerywaj, bo są ludzie, którzy na klęczkach
mnie o takie słowa prosili, a ja im tych słów skąpiłem. —

Tam spoczywa Bóg, któremu już śmierci nie będzie —
Bóg pracą i męką czasów odarty z zasłon — zdobyty na
niebie przez własne dzieci, które niegdyś porozrzucił na

ziemi, a one teraz przejrzały i dostały prawdy — Bóg
ludzkości objawił się im. —

Mąż. A nam, przed wiekami — ludzkość przezeń już zba-
wiona. —

Pankracy. Niechże się cieszy takim zbawieniem — nędzą
dwóch tysięcy lat, upływających od Jego śmierci na
krzyżu. —

Mąż. Widziałem ten krzyż, bluźnierco, w starym, starym
Rzymie — u stóp Jego leżały gruzы potężniejszych sił, niż
twoje — sto Bogów, twemu podobnych, walało się w pyłe,
głowy skaleczonyj podnieść nie śmiało ku Niemu — a On
stał na wysokościach, święte ramiona wyciągał na wschód
i na zachód, czło święte maczał w promieniach słońca —
znać było, że jest Panem świata. —

Pankracy. Stara powiastka — pusta, jak chrzest twego
herbu. — (*uderza o tarczę*)

Ale ja dawniej czytałem twe myśli. — Jeśli więc
umiesz sięgać w nieskończoność, jeśli kochasz prawdę
i szukales jej szczerze, jeśliś człowiekiem, walało się w pyłe,
kości, nie na podobieństwo mamczynych piosneczek, słu-
chaj, nie odrzucaj tej chwili zbawienia. Krwi, którą oba
wylejem dzisiaj, jutro śladu nie będzie — Ostatni raz ci
mówię — jeżeliś tem, czem wydawałeś się niegdyś, wstań,
porzuć dom i chodź za mną. —

Mąż. Tyś młodszym bratem szatana. — (*wstaje i przechadza
się wzdłuż*) Daremne marzenia — kto ich dopełni? — Adam
skonął na pustyni — my nie wrócim do raj. —

Pankracy (*na stronie*). Zagiąłem palec popod serce jego —
trafilem do nerwu poezyi. —

Mąż. Postęp, szczęście rodu ludzkiego — i ja kiedyś wierzy-
łem — ot! macie, weźcie głowę moją, byleby.. Stalo się. —
Przed stoma laty, przed dwoma wiekami, polubowna ugoda
mogła jeszcze... ale teraz, wiem — teraz trzeba mordować
się nawzajem — bo teraz im tylko chodzi o zmianę ple-
mienia. —

Pankracy. Błada zwyciężonym — nie wahaj się — powtórz
raz tylko «biada» i zwyciężaj z nami. —

Mąż. Czyś zbadal wszystkie manowce Przeznaczenia — czy

pod kształtem widomym stańło Ono u wejścia namiotu twojego w nocy i obrzymią dionią błogosławiło tobie — lub w dzień czyś słyszał głos Jego o południu, kiedy wszyscy spali w skwarze, a tyś jeden rozmyślał — że mi tak pewno grozisz zwycięstwem, całowicze z gliny, jako ja, niewolniku pierwszej lepszej kuli, pierwszego lepszego cięcia?

Pankracy. Nie ludź się marną nadzieją — bo nie draśnie mnie olów, nie tknie się żelazo, dopóki jeden z was opiera się mojemu dziełu, a co później nastąpi, to już wam nic z tego *(zegar bije)*.

Czas szydzi z nas obu. — Jesteś zdruzony życiem, przynajmniej ocal syna swego. —

Mąż. Dusza jego czysta, już ocalona w niebie — a na ziemi los ojca go czeka. — *(spuszcza głowę między dłonie i staje)*.

Pankracy. Odrzuciłeś więc? — *(Chcila milczenia)*.

Milczysz — dumasz — dobrze — niechaj ten duma, co stoi nad grobem. —

Mąż. Zdala od tajemnic, które za kraciami twoich myśli odbywają się teraz w głębi ducha mego. — Świat cielska do ciebie należy — tucz go jadłem, oblewaj posoką i winem — ale dalej nie zachodź i precz, precz ode mnie! —

Pankracy. Sługo jednej myśli i kształtów jej, pedancie rycerzu, poeto, hańba tobie — patrz na mnie — Myśli i kształty są woskiem palców moich. —

Mąż. Darmo, ty mnie nie zrozumiesz nigdy — bo każdy z ojców twoich pogrzeban z motłochem pospołu, jako rzecz martwa, nie jako człowiek z siłą i duchem. — *(wyciąga rękę ku obrazom)*.

Spojrzyj na te postacie — myśl ojczyzny, domu, rodziny, myśl, nieprzyjaciółka twoja, na ich czołach wypisana zmarszczkami — a co w nich było i przeszło, dzisiaj we mnie żyje. — Ale ty, człowiecze, powiedz mi, gdzie jest ziemia twoja? — wieczorem namiot twój rozbijasz na gruzach cudzego domu, o wschodzie go zwijasz i kocujesz dalej — dotąd nie znalazłeś ogniska swego i nie znajdziesz, dopóki stu ludzi zechce powtórzyć za mną: «Chwała ojcom naszym». —

Pankracy. Tak, chwała dziadom twoim na ziemi i niebie — w rzeczy samej jest na co patrzyć. —

Ow, starosta, baby strzelał po drzewach i Żydów piekił żywcem. — Ten z pieczęcią w dłoni i podpisem «kanclerz» — sfalszował akta, spalił archiwa, przekupił sędziów, trucizną przyspieszył spadki — stąd wie twoje, dochody, potęga. — Tamten, czarniawy, z ognistym okiem, cudzołodził po domach przyjaciół — ów z runem złotem, w kolezduze włoskiej, znać służył u cudzoziemców — a ta pani błada, z ciemnymi puklami, kaziła się z giermkim swoim — tamta czyta list kochanka i śmieje się, bo noc bliżka — tamta, z pieskiem na robronie, królów była nałożnicą. — Stąd wasze genealogie bez przerwy, bez plamy. — Lubię tego w zielonym kaftanie — pił i polował z bracią szlachtą, a chłopów wysyłał, by z psami gonili jelenie. — Głupstwo i niedola kraju całego — oto rozum i moc wasza. — Ale dzień sądu bliżki, i w tym dniu obiecuje wam, że nie zapomnę o żadnym z was, o żadnym z ojców waszych, o żadnej chwale waszej. —

Mąż. Mylisz się, mieszczański synu. Ani ty, ani żaden z twoichby nie żył, gdyby ich nie wykarmiła łaska, nie obroniła potęga ojców moich. — Oni wam wśród głodu rozdawali zboże, wśród zarazy stawiali szpitale, — a kiedyście z trzody zwierząt wyrosli na niemowlęta, oni wam postawili świątynie i szkoły — podczas wojny tylko zostawiali doma, bo wiedzieli, żeście nie do pola bitwy. —

Słowa twoje łamią się na ich chwale, jak dawniej strzały pohańców na ich świętych pancierzach — one ich popiołowi nie wruszą nawet — one zagina, jak skowyczenie psa wściekłego, co bieży i pieni się, aż skona gdzie na drodze — a teraz, czas już tobie wyniść z domu mego. — Gościu, wolno puszczam ciebie. —

Pankracy. Do widzenia na okopach Świętej Trójcy. — A kiedy wam kul zabraknie i prochu...

Mąż. To się zbliżym na długość szabel naszych. — Do widzenia. —

Pankracy. Dwa orły z nas — ale gniazdo twoje strzaskane piorunem. — *(bierze płaszcz i czapkę wolności)*

Przechodząc próg ten rzucam nań przekleństwo na-
leżne starości. — I ciebie, i syna twego poświęcam zni-
szczeniu. —

Mąż. Hej, Jakóbie! — (*Jakób wchodzi*)

Odprowadź tego człowieka aż do ostatnich czat
moich na wzgórzu. —

Jakób. Tak mi Panie Boże dopomóż. — (*wychodzi*)

Z części czwartej.

Katedra w zamku Św. Trójcy —

*Panowie, Senatory, Dymitarze siedzą po obu stronach, każdy
pod posagiem jakiego króla lub rycerza — za posagami tłumy
szlachty — przed wielkim ołtarzem w głębi Arcybiskup, w krześle
złocem, z mieczem na kolanach — za ołtarzem chór kapła-
nów. — Mąż stoi w progu przez chwilę, potem zaczyna iść po-
woli ku Arcybiskupowi, ze sztandarem w ręku —*

632) Chór kapłanów. Ostatnie sługi Twoje, w ostatnim
kościelnie Syna Twego, błagamy Cię za czią oj-
ców naszych. — Od nieprzyjaciół wyratuj nas,
Panie. —

Pierwszy hrabia. Patrz, z jaką dumą spogląda na wszyst-
kich. —

Drugi hrabia. Myśli, że świat podbił. —

Trzeci hrabia. A on się tylko nocą przedarł przez obóz
chłopów. —

Pierwszy hrabia. Sto trupów położył, a dwieście swoich
stracił. —

Drugi hrabia. Nie dajmy, by go Wodzem obrali. —

Mąż (*kłęk przed Arcybiskupem*). U stóp twoich składam zdo-
bycz moją. —

Arcybiskup. Przypasz miecz ten, błogosławiony niegdyś
ręką Św. Floryana. —

Głosy. Niech żyje Hr. Henryk — niech żyje!

Arcybiskup. I przyjmę za znak Krzyża Św. dowództwo
w tym zamku, ostatniemu państwu naszemu — wołą wszyst-
kich mianuję cię Wodzem. —

Głosy. Niech żyje — niech żyje! —

Głos jeden. Nie pozwalam. —

Inne głosy. Precz — precz — za drzwi — Niech żyje
Henryk! —

Mąż. Jeśli kto ma co do zarzucenia mnie, niechaj wystąpi,
wśród tłumy się nie kryje (*Chwila milczenia*).

Ojczu, szablę tę biorę i niech mi Bóg zrządzi zgon
prędko, zawczesny, jeśli nią ocalić was nie zdołam. —

Chór kapłanów. Daj mu siłę — daj mu Ducha Świętego,
Panie! Od nieprzyjaciół wyratuj nas, Panie!

Mąż. Teraz przysięgnijcie wszyscy, że chcecie bronić wiary
i czci przodków waszych — że głos i pragnienie umorzy
was do śmierci, ale nie do hańby — nie do poddania się —
nie do ustąpienia, choćby jednego z praw Boga waszego
lub waszych. —

Głosy. Przysięgamy. —

(*Arcybiskup kłęk a Krzyż wznosi. Wszyscy klękają*)

Chór. Krzywoprzysięzca gniewem Twoim niech obarcon bę-
dzie. — Bojaźliwy gniewem Twoim niech obarcon będzie. —
Zdrójca gniewem Twoim niech obarcon będzie. —

Głosy. Przysięgamy. —

Mąż (*dobywa miecza*). Teraz obiecuję wam sławę — u Boga wy-
proście zwycięstwo — (*otoczony tłumem wychodzi*)

*Jeden z dziedziców Świętej Trójcy — Mąż — Hrabowie —
Barony — Księżęta — Księża — Szlachta —*

Hrabia (*na stronę odprawdza Męża*). Jakże — wszystko stracone? —

Mąż. Nie wszystko — chyba, że wam serca zabraknie przed
czasem. —

Hrabia. Przed jakim czasem? —

Mąż. Przed śmiercią. —

Baron (*odprawdza go w inną stronę*). Hrabio, podobno wi-
działeś się z tym okropnym człowiekiem. — Będzież on
miał litości choć trochę nad nami, kiedy się dostaniemy
w ręce jego? —

Mąż. Zaprawdę ci mówię, że o takiej litości żaden z ojców
twoich nie słyszał — zowie się szubienica. —

Baron. Trzeba się bronić, jak można. —

Mąż. Co Książę mówi? —
 Książę. Parę słów na boku. — (*odchodzi z nim*) To wszystko dobre dla gruntu, ale między nami, oczywiście jest, że się oprzeć nie zdołamy. —
 Mąż. Cóż więc pozostaje? —
 Książę. Obrano cię Wodzem, a zatem do ciebie należy rozpocząć układy. —
 Mąż. Ciszej — ciszej. —
 Książę. Dlaczego? —
 Mąż. Boś, Mości Książę, już na śmierć zasłużył. — (*odwraca się do tłumy*) Kto wspomni o poddaniu się, ten śmiercią karany będzie. —
 Baron, Hrabia, Książę (*razem*). Kto wspomni o poddaniu się, ten śmiercią karany będzie. —
 Wszyscy. Śmiercią — Śmiercią — Vivat! — (*wychodzą*).

Lochy podziemne — kraty żelazne, kajdany, narzędzia do tortur potamane, leżące na ziemi — Mąż z pochodnią u stóp głazu, na którym Orcio stoi —
 Mąż. Zejdź, błagam cię, zejdź do mnie. —
 Orcio. Czy nie słyszysz ich głosów, czy nie widzisz ich kształtów? —
 Mąż. Milczenie grobów — a światło pochodni na kilka stóp tylko rozświeca przed nami.
 Orcio. Coraz już bliżej — coraz już widniej — idą z pod ciasných sklepień jeden po drugim i tam zasiadają w głębi.
 Mąż. W szaleństwie twojem potępienie moje — szalejesz, dziecie, i siły moje niszczysz, kiedy mi ich tyle potrzeba. —
 Orcio. Widzę duchem blade ich postacie, poważne, kupiące się na sąd straszny — Oskarżony już nadchodzi i jako mgła płynie. —
 Chór głosów. Siłą nam daną — za męki nasze, my niegdyś przykuci, smagani, dręczeni, żelazem rwni, trucizną pojeni, przywaleni ceglami i żwirem, dręczmy i sędzmy, sędzmy i potępiamy — a kary Szatan się podejmie. —
 Mąż. Co widzisz? —
 Orcio. Oskarżony — oskarżony — ot załamał dłoń. —
 Mąż. Kto on jest? —

Orcio. Ojce — Ojce —
 Głos jeden. Na tobie się kończy ród przeklęty — w tobie ostatnim zebrał wszystkie siły swoje i wszystkie namiętności swe i całą dumę swoją, by skonać. —
 Chór głosów. Za to, żeś nic nie kochał, nic nie czcił, prócz siebie, prócz siebie i myśli twych, potępion jesteś — potępion na wieki. —
 Mąż. Nic dojrzeć nie mogę, a słyszę z pod ziemi, nad ziemią, po bokach westchnienia i żale, wyroki i groźby. —
 Orcio. On teraz podniósł głowę jako ty, Ojce, kiedy się gniewasz — i odparł dumnym słowem jako ty, Ojce, kiedy był pogardzasz. —
 Chór głosów. Daremno — daremno — ratunku niema dla niego, ni na ziemi, ni w niebie. —
 Głos jeden. Dni kilka jeszcze chwaly ziemskiej, znikomej, której mnie i braci moich pozbawili naddziady twoje — a potem zaginiesz ty i bracia twoi — i pogrzeb wasz jest bez dzwonów żaloby — bez łkania przyjaciół i krewnych — jako nasz był kiedyś na tej samej skale boleści. —
 Mąż. Znam ja was, podle duchy, marne ogniki latające wśród ogromów anielskich. — (*idzie kilka kroków naprzód*)
 Orcio. Ojce, nie zapuszczaj się w głąb — na Chrystusa Imię Święte — zaklinam cię, Ojce. —
 Mąż (*wraca*). Powiedz, powiedz, kogo widzisz?
 Orcio. Ta postać —
 Mąż. Czyja?
 Orcio. To drugi ty jesteś — cały błądy — spętany — oni teraz męczą ciebie — słyszę jęki twoje — (*pada na kolana*) Przebacz mi, Ojce — Matka pośród nocy przyszła i kazala.. (*mdleje*)
 Mąż (*chwyta go w objęcia*). Tego nie dostawało. — Ha! dziecko własne przywidło mnie do progu piekła! — Maryo! nieublagany duchu — Boże! i Ty, druga Maryo, do której modliłem się tyle! —
 Tam poczyna się nieskończoność mąk i ciemności — nazad — muszę jeszcze walczyć z ludźmi — potem wieczna walka — (*ucieka z synem*)
 Chór głosów (*uc oddali*). Za to, żeś nic nie kochał, nic nie

czcił prócz siebie, prócz siebie i myśli twych, potępion
jesteś — potępion na wieki —

*Sala w zamku Świętej Trójcy — Mąż — kobiety, dzieci, kilku
starców i hrabiów klęczących u stóp jego — Ojciec Chrzestny
stoi w środku sali — Tłum w głębi — zbraje zawieszono, go-
tyckie filary, ozdoby, okna —*

Mąż. Nie — przez syna mego — przez żonę nieboszczkę moją,
nie — jeszcze raz mówię — nie. —

Głosy kobiece. Zlituj się — głód pali wnętrzości nasze i dzieci
naszych — dniami i nocą strach nas pożera. —

Głosy męzczyzn. Jeszcze pora — słuchaj posła — nie od-
syłaj posła. —

Ojciec chrzestny. Całe życie moje obywatelskiem było i nie
zważam na twoje wyrzuty, Henryku. — Jeśli się podjął
urzędu poselskiego, który w tej chwili sprawuję, to że znam
wiek mój i cenię umiem całą wartość jego. — Pankracy
jest reprezentantem obywatelem, że tak rzekę...

Mąż. Precz z oczu moich, stary. — *(na stronie do Jakóba)*
Przyprawdź tu oddział naszych. —

*(Jakób wychodzi — Kobiety powstają i płaczą — mężczyźni się
oddalają o kilka kroków).*

Baron. Zgubiłeś nas, Hrabio. —

Drugi. Wypowiadamy ci posłuszeństwo. —

Książę. Sami ułożymy z tym zacnym obywatelem warunki
poddania zamku. —

Ojciec chrzestny. Wielki mąż, który mnie przysłał, obie-
cuje wam życie, bylebyście przyłączyli się do niego i uznali
dążenie wieku. —

Kilka głosów. Uznajemy — uznajemy. —

Mąż. Kiedyście mnie wezwali, przysięgłem zginąć na tych mur-
rach — dotrzymam, i wy wszyscy zginiecie wraz ze mną. —

Ha! chce się wam żyć jeszcze. —

Ha! zapytajcie ojców waszych, po co gnębili i pano-
wali. —

(do Hrabiego)

A ty czemu uciskałeś poddanych? —

(do drugiego)

A ty czemu przepędziłeś wiek młody na kartach i po-
dróżach daleko od Ojczyzny? —

(do innego)

Ty się podliłeś wyższym, gardziłeś niższymi. —

(do jednej z kobiet)

Dlaczegoż dzieci nie wychowała sobie na obroń-
ców — na rycerzy — terazby ci się zdały na coś — aleś
kochała Żydów, adwokatów — proś ich o życie teraz. —

(słaje i wyciąga ramiona)

Czego się tak śpieszycie do hańby — co was tak nęci,
by upodlić wasze ostatnie chwile? — naprzd raczej za mną,
naprzd. Mości Panowie, tam gdzie kule i bagnety — nie
tam, gdzie szubienica i kat młęczący, z powrozem w dłoni
na szyje wasze. —

Kilka głosów. Dobrze mówi — na bagnety! —

Inne głosy. Kawalka chleba już niema. —

Kobiece głosy. Dzieci nasze, dzieci nasze! —

Wiele głosów. Poddać się trzeba — układy — układy! —

Ojciec chrzestny. Obiecuję wam całość, że tak rzekę, nie-
tykalność osób i ciał waszych. —

Mąż *(przybliża się do Ojca Chrzestnego i chwyci go za piersi)*.
Święta osoba Posła, idź skryć siwą głowę, pod namioty
przechrztów i szewców, bym jej krwią twoją własną nie
zmazał. —

(wchodzi oddział zbrojnych z Jakóblem)

Na cel mi wzięcie to czoło, zorane zmarszczkami mar-
nej nauki — na cel tę czapkę wolności, drżącą od tchnienia
słów moich, na tej głowie bez mózgu. —

(Ojciec Chrzestny się wyrymka)

*Inna strona okopów — słychać odgłosy walki — Jakób roz-
ciągnięty na murze — Mąż nadbiega, krwawo obłany —*

Mąż. Cóż ci jest, mój wierny, mój stary? —

Jakób. Niech ci szart odplaci w piekle upór twój i męki moje. —

Tak mi Panie Boże dopomóż. — *(umiera)*

Mąż *(rzucając palasz)*. Nie potrzebnyś mi dłużej — wyginęli
moi, a tamci klęcząc wyciągają ramiona ku zwycięzcom
i belkoczą o miłosierdzie! — *(spoziera naokoło)*

Nie nadchodzą jeszcze w tę stronę — jeszcze czas — odpocznijmy chwilę. — Ha! już się wdarli na wieżę północną — ludzie nowi się wdarli na wieżę północną — i patrz, czy gdzie nie odkryją Hrabiego Henryka. — Jestem tu — jestem — ale wy mnie sądzić nie będziecie. — Ja się już wybrałem w drogę — ja stąkam ku sądowi Boga. —

(Staje na odlamku baszty, wiszącym nad samą przepaścią.)

Widzę ją całą czarną, obszarami ciemności płynącą do mnie, wieczność moją, bez brzegów, bez wysep, bez końca, a pośrodku jej Bóg, jak słońce, co się wечно pali — wечно jasnieje — a nic nie oświeca. — *(krokiem dalej się posuwa)*

Biegną, zobaczyli mnie — Jezus, Marya. — Poezyo, bądź mi przeklęta, jako ja sam będę na wieki. — Ramiona, idźcie i przerzynajcie te wały. — *(skacze w przepaść)*

Dzielnicy zamkowej — Pankracy — Leonard — Bianchetti na czele tłumów — przed nimi przechodzą hrabiowie, księżęta, z żonami i dziećmi, w łańcuchach —

Pankracy. Twoje imię?

Hrabia. Krzysztof na Volsaganie. —

Pankracy. Ostatni raz go wymówiłeś — a twoje?

Księżę. Władysław, Pan Czarnolasu. —

Pankracy. Ostatni raz go wymówiłeś — a twoje?

Baron. Aleksander z Godalberg. —

Pankracy. Wymazane z pośród żyjących — idź. —

Bianchetti *(do Leonarda)*. Dwa miesiące nas trzymali, a nędzny rządził armat i ladajakie parapety. —

Leonard. Czy dużo ich tam jeszcze? —

Pankracy. Oddają ci wszystkich — niech ich krew płynie dla przykładu świata — a kto z was mi powie, gdzie Henryk, temu daruję życie. —

Różne głosy. Zniknął przy samym końcu. —

Ojciec chrzestny. Staje teraz jako pośrednik między tobą a niewolnikami twojemi — temi przeznaczego rodu obywatelami, którzy, wielki człowiecze, klucze zamku Św. Trójcy złożyli w ręce twoje. —

Pankracy. Pośredników nie znam tam, gdzie zwyciężyłem siłą własną. — Sam dopilnujesz ich śmierci. —

Ojciec chrzestny. Całe życie moje obywatelskiem było, czego są dowody niemale, a jeśli się połączyłem z wami, to nie na to, bym własnych braci szlachę...

Pankracy. Wziąść starego Doktrynera — precz, w jedną drogę z niemi. —

(Żołnierze otaczają Ojca Chrzestnego i niewolników)

Gdzie Henryk? czy kto z was nie widział go żywym lub umarłym? — Wór pełny złota za Henryka — choćby za trupa jego. —

(oddział zbrojnych schodzi z murów)

Leonard. Po tylu nocach bezsennych powinienbyś odpocząć, Mistrzu — znać strudzenie na rysach twoich. —

Pankracy. Nie czas mi jeszcze zasnąć, dziecię, bo dopiero połowa pracy dojdzie końca swojego z ich ostatnim westchnieniem. — Patrz na te obszary — na te ogromy, które stoją w poprzek między mną a myślą moją — trzeba załudnić te puszcze — przedrzyć te skały — połączyć te jeziora — wydzielić grunt każdemu, by we dwojnásób tyle życia się urodziło na tych równinach, ile śmierci teraz na nich leży. — Inaczej, dzieło zniszczenia odkupionem nie jest. —

Leonard. Bóg Wolności sił nam podda. —

Pankracy. Co mówisz o Bogu — ślisko ta od krwi ludzkiej. — Czyjaż to krew? — za nami dziedzińce zamkowe — sami jesteśmy, a zda mi się, jakoby tu był ktoś trzeci. —

Leonard. Chyba to ciało przebite. —

Pankracy. Ciało jego powiornika — ciało martwe — ale tu duch czyjaż panuje — A ta czapka? — ten sam herb na niej — dalej, patrz, kamień wystający nad przepaścią — na tem miejscu serce jego pękło. —

Leonard. Bledniesz, Mistrzu. —

Pankracy. Czy widziałś tam wysoko — wysoko? —

Leonard. Nad ostrym szczytem widzę chmurę pochylą, na której dogasają promienie słońca. —

Pankracy. Znak straszny pali się na niej. —

Leonard. Chyba cię myli wrok. —

Pankracy. Milion ludu słuchało mnie przed chwilą — Gdzie jest lud mój? —

Leonard. Słyszysz ich okrzyki — wołają ciębie — czekają na ciębie. —

Pankracy. Plotły kobiety i dzieci, że się tak zjawił ma, lecz dopiero w ostatni dzień. —

Leonard. Kto? —

Pankracy. Jak słup śnieżnej jasności, stoi ponad przepaściami — oburącz wspart na krzyżu, jak na szabli Mściciel. — Ze splecionych piornurów korona cierniowa. —

Leonard. Co się z Tobą dzieje? co Tobie jest? —

Pankracy. Od błyskawicy tego wzroku chyba mrze, kto żyw. —

Leonard. Coraz to bardziej rumieniec zbiega ci z twarzy — Chodźmy stąd — chodźmy — czy słyszysz mnie? —

Pankracy. Połóż mi dłonie na oczach — zadław mi pięściami źrenice — oddziel mnie od tego spojżenia, co mnie rozkłada w proch. —

Leonard. Czy dobrze tak? —

Pankracy. Nędzne ręce twe — jak u Ducha, bez kości i mięsa — przejrzyście, jak woda — przejrzyście, jak szkło — przejrzyście, jak powietrze. — Widzę wiaź! —

Leonard. Oprzyj się na mnie. —

Pankracy. Daj mi choć odrobinę ciemności! —

Leonard. O mistrzu mój! —

Pankracy. Ciemności — ciemności! —

Leonard. Hej! obywatele — hej! bracia — Demokraci, na pomoc! — Hej! ratunku — pomocy — ratunku! —

Pankracy. Galliaee, vicisti! (*Stacza się w objęcia Leonarda i kona*).

F) Irydyon.

Dramat fantastyczny, osnuty na rozwinętej w młodych latach poety, wraz z ideałem rycerskim, ideal zemsty na krzywdziciela ojczyzny. Wpływ Konrada Wallenroda i następnych wypadków dziejowych podsycał wiążące się z tą ideą uczucie i pobudził do szukania formy, mogącej najpełniej i z największym blaskiem artystycznym i siłą wymowy otworzyć ją i zasześcić w sercach współbraci. Z dążeń tą walczą utrwalająca się w duszy

poety, od pierwszej bytności w Rzymie (r. 1880), idea chrześcijańska. Po zniszczeniu pierwszego opracowania z r. 1833, w Petersburgu dokonanego, przeszedł poeta kilkakrotnie ponownie odtworzenie i w końcu, z dodaniem w r. 1836 zakończeniem, osłabiającem, a poniekąd potępiającym tak drogą swą i tak gorąco popieraną we wstępie ideę, ogłosił drukiem w Paryżu r. 1836, poświęcając Maryi. Podajemy tu, w całości lub urywkach, dla charakterystyzowania skupionego w utworze bogactwa, nagromadzonych kolo głównych idei, przeżyć, nastrojów, przemysłów, wrażeń podróży, szczegółów dziejowych, pomysłów artystycznych. — wydane miejsca wstępu, sceny: pierwszej, drugiej i czwartej części, tudzież cały epilog.

Wstęp.

633) Już się ma pod koniec starożytnemu światu — wszystko, co w nim żyło, psuje się, rozprzega i szaleje — Bogi i ludzie szaleją.

A jako Jowisz, pan na niebie, tak Rzym, pan na ziemi, kona i szaleje. — Fatum jedno spokojne, niewzruszone, rozu m nieublagany świata, patrzy z wysoka na wiry ziemi i nieba.

Wśród zamętu wznoszę pieśń, która m gwałtem z piersi się dobywa. — Niechaj duch zniszczenia ku pomocy mi będzie — niech moje ratchnienie kręci się i toczy się, rozlega na wsze strony jako piorn burzy, która grzmi teraz nad wiekami przeszłości i wszelkie życie strąca od otchłani — a potem niech umiera, jako ów po dokonaniu dzieła. — Tam nowy świt na wschodzie! Ale mnie już nic do niego.

Gdzie postacie, które tak dumnie i wzniosłe kroczyły dawniej po twoich siedmiu wzgórzach, o Rzymie? — Gdzie patrycyusze twoi z nożem ofiarnym i włócznią w rękę, z sercem pełnem tajemnic, z chmurą grozy na czole, ojcowie rodzin, ciemiężcy plebejanów, okrońciciele Włoch i Kartagi? Gdzie Westalka, wstępująca w milczeniu z ogniem świętym na schody Kapitolu?

.....
Moloch i Cezar — oto jest Rzym cały! —

Naprzód, Bogi i ludzie! — Drogi wasze się pokrzyżują od wschodu na zachód, od północy na południe. — Miejsca dla was nie będzie. — Idźcie więc i kołujcie, błądźcie i wracajcie potem.

Tak zwykle przed śmiercią bywa.

Naprzód, Bogi i ludzie! — szalejcie do woli — ostatni to szal, ostatnia to gonitwa wasza — a Fatum z was się uraga,

krzyż godłem swoim wzięło i wy wszyscy wcześniej czy później padniecie przed krzyżem.

Z tego świata, co się zżyma i kona, wycisnę myśl jedną jeszcze — w niej będzie miłość moja, choć ona jest córą szaleństwa i zwiastunką zguby!

Naprzód w szaf, naprzód w tan, Bogi i ludzie, wokóło myśli mojej — bądźcie muzyką, co przyspiewuje jej marzeniom — burzą, spośród której ona się przedziera, jak błyskawica — bo imię Jej nadam, postać nadam, i choć poczęta w Rzymie, dzieł, w którym Rzym zginie, nie będzie Jej ostatnim. — Ona trwa, dopóki ziemia i ziemskie narody — ale za to w niebie dla niej miejsca nie masz! —

Gdzież jesteś, synu zemsty? — w jakiej ziemi leżą zwłoki twoje? — Duch twój pomiędzy jakimi duchami? —

Ze świata gruzów wywołałem cienie umarłych — w nocy na forum stanął senat przede mną — schyłone widma, obarczone pamięcią podłości — i między nimi nie było ciebie!

Gładyator powstał z lochów cyrku i szedł na czele swoich przy świetle księżycy — przebici wszyscy — usta sine powtarzały w śnie śmierci: *Morituri te salutant, Caesar!* — ale pomiędzy nimi nie odkryłem ciebie. —

Na Palatynie, na wzgórzu ruin i kwiatów, panów świata dla mnie wzruszyły się prochy — płynęły przede mną — dydema krwią złutowane trzymało się ich czoła — każdy na czole niżej miał znak potępienia — purpura na ich barkach powiewała, a z za niej świeciły gwiazdy przez otwory, wydarte sztyletami zabójców — ale i tam nie ujrzałem ciebie.

Męczenników Chrystusa słyszałem śpiewy i modły. — Dźwięki te wlatywały z katakumb i szły prosto ku niebu — był tam głos jeden niewieści, smutniejszy, piękniejszy nad inne — znany tobie kiedyś, ale teraz sam jeden nie związany z twoim.

Gdzież jesteś, synu zemsty, synu pieśni mojej! Już czas zamartwychwać, by deptać po zwłokach olbrzyma... pamiętasz? — przysięgłeś. — Wyrzekłeś się nadziei, wiary, miłości, by raz tylko, raz jeden spojrzeć, a potem zanurzyć się tam, gdzie miliony...

W Chersonezie Cymbrów, w ziemi srebrnej potoków, ojciec twój niedgdyś stapał brat za brat z królami morza, choć przybył z odległych stron, choć cudzą miał grecką mowę i twarz greckiego pół-Boga.

Ale polubiły go niewiasty i męże, bo powieściami długie słodził noce, a we dnie pierwszy był do walki i biesiady. — Manowce szarego oceanu bitą drogą mu były — w polysku gwiazd niebieskich wyczytywał pogody i burze — najcięższą włócznią przerzucał najwyższe maszty i, za wichrami goniąc, spokojne miał czoło.

Na lądzie róg jego dzwonił po dolinach i skalach — Niedzwiedź nigdy mu się nie potrafił odjąć — A kiedy wrócił z łowów lub rozbicia¹⁾, kładł się na mech, na paprocie i, spełniając gości puhary opowiadał gonitwy, zapasy, rozboje — Na dalekich wodach dom jego nabijany kością słońcowa i złotem — sługi, niewolniki, stojąc na progu pod lasem filarów, patrzą na morze, zasiane wyspami błyszczącymi, jak gwiazdy, i wyzierają jego powrotu — Ale on się nie śpieszy, bo polubił dźwięk trąb konchowych²⁾ i śpiew kapłanek Odyna — bo młodość swoją puścił na błędy³⁾ i zmienne losy, by później dokonać wielkiego zamiaru — i puhar podnosi do ust, i pije zdrowie Króla mężów, starego Sigurda. —

-Grimhildo, córko Sigurda, lud mój od wieków nosi kajdany i jęczy — wraz z ludem moim sto innych ludów po wszystkich brzegach mórz południowych usiadło na zwirze i płaszcze.

-Żeby ich wyzwolić, trzeba mi twojej piersi natchnionej! Ja sam rodem jestem niewolnik, ale duchem mściciel — wrogi moje silne, jak tytany — żeby ich podkopać i obalić, trzeba mi twojej piersi natchnionej! — Dziewico, poświęcona Odynowi, ty wejdiesz w progę moje, ty będziesz towarzyszką moich trudów, i dzieci nasze kończyć będą dzieło moje — a ono się przeciągnie w późne wieki wieków!

Tu ojciec twój umilkł i, stopniami, ogarniał ją potęgą wzroku i milczenia swego — Ona, stojąc na skale, spojiera na szarą nieokończoność morza, z rozpuszczonym włosom, z zamglonemi

¹⁾ Rozbicie t. j.: rozbójnicza, łupieżcza wyprawa.

²⁾ Konchowych t. j.: w formie muszli czyli konch.

³⁾ Błędy t. j.: błakanie się, włóczęga po nieznamych, dalekich krajach.

oczyma, bezsilna, szalona miłością. — Już Odyna pawęg jej nie zasłoni, porzuci stopy ołtarza i pójdzie z obcym na dalekie brzegi.

«Hermesie, dawniej wojownicy nasze nie śmieli spojrzeć na czło moje. — Tyś się zjawiał, jak bohater, zstępujący z Walhalli, tyś rzekł «Grimhildo» i patrz, ja muszę być niewolnicą twoją». —

«Nie znam ojczyzny twojej, wrogów twoich nie znam, kraj, do którego mnie ciągniesz, nigdy we śnie nawet nie ukazał się przede mną, a pójdę, pójdę, nieszczęśliwa — zhańbiona pośród dziewic — przekłeta gniewem Odyna — tylko pozwól raz jeszcze mi zasiąść na świętym glazie i odpiewać pieśń ostatnią!»

.....
Czy pamiętasz wyspę Chiarę, na której wzrosliście, ty i siostra twoja, boska Ełsino? — Czy pamiętasz wyprawę ojca, kiedy na maszty zarzucał żagle, nie trójkątne, greckie, ale barbarzyńskie, podłużne, sam w dackim kołpaku, z toporem Cymbrów w dłoni, z zatoki wymykał się nocą i puszczał na manowce archipelagu?

Wszystkie myśli Jugurthy i Mitrydata odżywały w jego duszy — ku dzikim plemionom latały nieustannie chęci jego i prace. — To gdzie błota meockie¹⁾, gdzie pustynie i wiatronogie rumaki, to gdzie Syrty w głębiach Afryki i jadem zaprawione strzały, błąkał się na przemian, szukając nieprzyjaciół nieprzyjacielowi swemu — dlonie królów dzikich ściskając, ucząc się ich mowy, broń ich zatykając na piersi swojej, sypiąc im dary i rozżarzając ich chucie obietnicą rozkoszy i łupów.

Wtedy matce twojej boleśnie schodziły dnie i nocy. Ale niewolnik żaden, obcy żaden, nie wyczytał cierpienia z jej rysów; usta jej nie drżały, kiedy rozkazywała.

Czasem tylko, wzięwszy was oboje za ręce, wiodła przez długie portyki w głąb palacu. Tam, w framudze, nabijanej mchem i konchami, stal wojownik z glazu.

Dzikosć nieśmiertelna marszczy mu skronie; — w ręce trzyma czaszkę zabitego wroga; a u stóp Jego bryły lodu wykute z paryjskiego marmuru.

Przed nim schyla głowę matka twoja i duma nad ubiegłą²⁾ Ojczyzną: «Irydionie mój, Sigurdzie mój, ty ziemi srebrnej nie

¹⁾ Błota meockie (*Palus meotis*) jest to morze Azowskie.

²⁾ Ubiegłą t. j. utraconą, oddaloną.

obaczysz nigdy, ni dziada twego, króla mężów. — Patrz: — oto Bóg mój święty — natchnienie moje straszne, to pan Walhalli, aserwalczony Odyn». — I córkę przyciskając do piersi: «Gdzie śniecie, Ełsinoe, mów, gdzie Hernes tej chwili; — słyszysz wiatrów szumy i fal żalobne jęki. — Okręt jego pośród wód nieskończonych, nachylony, odarty z żagłów, lub może na bezbożne wyrzucony brzegi... ale nie — on zwycięży burze, on odejmie się dżakim, i wróci do nas z chwałą pół-Boga».

A kiedy róg przywołującego odezwał się od morza, kiedy śnieżny zagrzmiał wśród gajów cytrynowych, kiedy nocną rosą obwisły, spiekły słońcem i dżdżami szerniony rzucił się Hernes w objęcia żony i oko jego czarne, namiętne, blaskiem nadziei pałało — wtedy nigdy bywały dni pogodne i szczęśliwe na Chiarze, zapominała kapłanka o gorzkich przeczuciach, a wy biegaliście swobodnie, rozkosznie po trawnikach wśród kwiatów, po nadbrzeżach wśród muszli, po salach marmurowych wśród trójnogów i kadzidel, odpoczywając na łonie matki, na ojca kolanach; a on, co wieczór, błogosławiąc wasze głowy, do snu pochylone: «Pamiętajcie, powtarzał, nienawidzieć Romy. — Dorósłszy, niech każdy z was ściga ją przekleństwem swoim — Ty żelazem i ogniem — Ty natchnieniem i niewiasty zdradą».

Taki ród twój, taka przeszłość twoja, potomku Filipomena, wnuku króla mężów, senny Irydionie! — A teraz ojciec twój porzucił dom przodków na Chiarze i z urną Grymhildy plynie ku Rzymowi. — On stracił tę, którą kochał — osiadł w gębie pośród wrogów i przynajmniej pełnem sercem nienawidzić będzie, a dzień przepowiedziany, dzień zniszczenia, nadsięgnie tymczasem! —

Z pierwszej części.

Sala w palacu Irydiona w Rzymie. — Z obu stron rzędy kolumn, ginące w głębi — pośrodku fontanna i kadzidła, pałace się w trójnogach — Irydion pod posagiem ojca swego — Niewolniki zapalają światła w lampach z alabastru.

634) Pierwszy niewolnik. Syn Amfiocha oparł głowę o nogi umarłego —

Drugi niewolnik. O zimne stopy z marmuru i zasnął —

Trzeci niewolnik. A tymczasem w Gineceum siostra Jego, pani nasza, mdleje i płacze —

Czwarty niewolnik. Przez Polluxa, słyszałem z ust pewnych, że porwą ją dziś wieczorem murzyny Heliogabala.

Pierwszy niewolnik. Pokój Jemu — wychodźmy, bracia, wychodźmy. — (*przechodzą*)

Irydion. Przesunęli się, jak cienie, szanując spokój ducha mego. — O Ojczy, dla nich i dla wszystkich dotąd we śnie leżę — ty jeden wiesz, że ja czuwam. (*wstaje i idzie do tarczy bronzowej, na której pugiinał zawieszony*) Zmierzech zapada, godzina już bliska. — Oni przyjdą zaraz — w podobną godzinę stary Brutus musiał własnych synów zabijać. — (*uderza o tarczę*) Elsinoe — Elsinoe —!

O! idźcie ku mnie, jak widmo nieszczęścia — wieniec cyprysowy włożyła na skronie — matka Jej niegdyś tak stąpała pod gniewem Odyna. —

Elsinoe (*wchodząc*). Czy już przybyli służalcy, czy już zaszedł rydwan przekłętogo?

Irydion. Nie jeszcze — ale chciałem raz ostatni cię natchnąć duchem ojca mego —

Elsinoe. O Bracie...

Irydion. Wiesz sama, że Cezar nalega w szale — że senat przewał cię już Boską i posągi twoje stawiać rozkazał po świątyniach miasta — wiesz sama, żeś nie siostra moja, żeś ty nie jasnowłosa Elsinoe, nadzieja domu rodzinnego, pieszczota serca mego — tyś ofiarą, naznaczoną za cierpienia wielu i za hańbę ojców twoich!

Elsinoe. Tak — uczyliście mnie tego od dzieciństwa i gotowa jestem. — Ale jeszcze nie dzisiaj, nie jutro — trochę później, aż sił nabiorę, aż nasłucham się nauk Masinissy i rozkazów twoich — aż do dna puhar waszej trucizny wypiję!

Irydion. Wybrana, gotuj się do losów twoich. — Spieszno nam po drodze, na której stąpamy. —

Elsinoe. Przypomnij sobie, kiedyśmy igrali na trawnikach Chiary, jam cię tak kochała, o bracie, jam zawsze skronie twoje różami wieńczyła i mirtem — Oh! zmiłuj się nade mną! —

Irydion. Niewiasto, ty mnie kusisz do litości — daremno, daremno!

Elsinoe. Na co prób i żalów tyle. — Zdarzało się za dawnych czasów, że można było śmiercią odkupić się ludziom i Bogom — patrz, tam błyszczą twój sztylet, Irydionie — przyspieszmy sobie nicosć, Irydionie!

Irydion. Bluźnisz myślom ojca mego. — Trzeba żyć i cierpieć, by wielki Duch Amfilocha rozradował się pośród cieniów — O siostrze, dawniej dla zbawienia narodów dosyć było życia jednego człowieka — dziś inne czasy — dziś cześć poświęcić trzeba! (*Obejmuje ją ramieniem*) Dziś w różę się uwieńczył, w uśmiechy się wyrostyło — o biedna, złóż tu głowę skazaną — ostatni raz w domu ojcowskim brat cię przyściska do łona. — Żegnaj mi w całej urodzie świętości dziewiczey — już ja ciebie nie ujrzę młodą — nigdy, nigdy już! — On cie przepusuje technieniem zatrutem, on... ale on zginie, czy ty rozumiesz, siostrze? on zginie wraz z całym państwem swoim!

Elsinoe. Teraz na twojej piersi, o bracie, a za chwil kilka na czyjej?

Irydion. Te filary drżą na podstawach swoich, płamy jakieś czarne biegają między nimi. — Bogi, nie dajcie mi upaść u wejścia do areny — Masiniso, przybywaj! —

Głos z za filarów. Kto się waha, ten urodził się do słów, nie do czynów. — Śmiechem go witać i śmiechem go żegnać będę. — (*wchodzi Masinissa*) Posłanniki Cezara już idą ku twojemu pałacowi. —

Irydion. Ty, na którego czele napisano słowo — potęga — ty, co stoisz nad grobem tak wyniosły, jak za dni twojej młodości, natchnij mnie siłą w tej wyrocznej chwili!

Masinissa. Gdzie dziewicę wybrane — gdzie wieniec z kwiatów dla oblubienicy Cezara? (*zrzuca cyprysy z głowey Elsinoi*) Dziś zaczyna się dzieło nasze!

Elsinoe. Biada, biada sierocie!

Irydion. Nie daj nigdy Cezarowi zasnąć na piersi twojej — niechaj wszędzie słyszy pretoryanów, wołających do broni, patrycyuszów, knajujących spiski, lud cały, walący do bram

palacowych — a to czynić będziesz powoli, dniem po dniu kroplą po kropli, aż go szaleem otoczysz i wyssiesz całe życie z serca Jego. — Teraz powstań — zbliż głowę (*kładzie ręce na jej włosach*): Poczęta w pragnieniu zemsty, wzrosła w nadziei zemsty, przeznaczona niesławie i zagubie, poświęcam cię Bogom Manom Amfilocha Greka!

Elsinoe. Głosy Erebu odzywają się zewsząd — o matko moja! Chór niewiast (*otaczając ją*). Czemu drżą członki twoje pod śnieżną zasłoną, pod wstęgami z purpury, którymi obwiązujęm ci piersi? — czemu blednie pod wieńcem, który spleliśmy dla ozdoby czoła twojego?

Irydion. Patrz — mdleje nieszczęśliwa!

Masinissa. Nie — ona żyć zaczyna, jako żyć jej trzeba. — Czy widzisz, jak te usta spienione pracują?

Elsinoe. Rzucam próg ojcowski, Bogów domowych nie wynoszę z sobą, wieniec mój święty, nieskażony, cisnęłam między popioły rodzinnego ogniska. — Ojciec mnie skazał, brat mnie skazał. — O, ja nie wrócę nigdy, ja idę na mękę i długą żalobę!

Matko! do Odyna w prośby za córą twoją! — Spiesz się, matko — nie proś o długie życie. — Natchnienia, tylko natchnienia! Dzieci śmiertelnych piersi moja nigdy nie wyda, ale przyszłość poczynać się będzie w mem łonie!

Roma zaufa miłości mojej — Roma zaśnie w objęciach moich!

Irydion. Stare gnębiciele świata — zdziercy Hellady — syny fałszu i wiarołomstwa, poświęciłem wam nietkniętą dziewicę. — Niesmiertelne Bogi, gdziekolwiek jesteście, wysłuchajcie prośbę moją — niech ona będzie przedostatnią ofiarą, wydaną na pastwę Rzymowi, a ja, z tyłu nieszczęśliwych, wybranych po wszystkich stronach ziemi, wydartych groźbą i mękami, zapomnianych po mękach i zgonie, niechaj będę ostatnią!

Masinissa. Sigurdzie!

Irydion. Nie nazywaj mnie takim imieniem — lub daj mi Królów morza, otocz mnie ludem dziada mojego, a z purpury Cezarów nici jednej nie zostanie! — Ale droga moja

wytknięta wśród ciemności — Gdziekolwiek wyteję ramiona, tam zapory twarde, jak żelazo, ruchome, jak węże, i wśród nich czołgam się bez bytu, bez życia!

Masinissa. W nędzach i miernościach ludzkich niechaj będzie twoja nadzieja i wiara, bo Los postawił cię u bram walącego się miasta — otoczył cię wiekiem przesilenia i zgrzybiałości, którego sam częścią nie jesteś — Na skargi będzie czas kiedyś, później, kiedyś... kiedyś...

Irydion. Ah! hańba tym Nazareńczykom, co wołą ginąć, jak bydło, niżli bić się, jak męże — oni, oni to mnie wstrzymują!

Masinissa. Aleksyan, syn Mammel, codzień do nich zstępuje i naradza się z pierwszymi kapłanymi. — Jeśli go nie uprzędzisz, on szaleć przeważy, on zmiecie Heliogabala, on swoje państwo nazarzańskie uczyni i Rzym trwać będzie w późne wieki wieków!

Irydion. Nie — przez Thora! Ja mu przyrzekam, że nie będzie Cezarem!

Masinissa. W katakumbach los Rzymu się rozstrzygnie. — Idź — znamię ich na twoich piersiach, woda ich na twojem czole, niech tajemnice ich w twoich ustach będą. — Zaszczepiaj zemstę w imieniu Boga, nie zemszczonego dotąd. — Gdzie Jego ołtarze, gdzie Jego chwala na powierzchni ziemi? — A kiedy będziesz ich wiódł i ubrajał, kiedy w ich ręce kłaść będziesz zakazane miecze, o, wtedy, synu mój, Duch mój będzie z tobą! (*zbliża się i opiera się na jego ramieniu*)

Czy pamiętasz noc, w której Ojciec twój umierając wołał: «Masiniso, powierzam ci syna i myśl moją». — Ja wtedy, nachyliwszy się nad nim, jak teraz nachyłam się nad tobą: «O Hermesie, tam, wśród cieniów, do których zstępujesz, zapytaj się o Masinisse, a one ci odpowiedzą: on nigdy, nie opuszcza, komu przyrzekł towarzyszyć do końca! «O Hermesie, duchy nasze trójcą połączone i nie ich rozzerwać nie zdoła». —

Irydion. To się działo o podobnej godzinie — tylko, że Elsinoe była przy mnie i płakała w moich objęciach! —

Masinissa. Dziś to samo powtarzam. Wierz i ufaj do końca — razem na ziemi — razem przed zgonem i po zgonie Rzymu — o dziecie moje wybrane, nie rozłączym się nigdy, nigdy...

Irydion. Z twojej wyschłej piersi nurty siły płyną. — Daj rękę, starcze. — Tak, razem przed zgonem i po zgonie Rzymu! *(pada na krzesło przed postygiem)* —

Część pałacu Cezarów — szczyt wieży, otoczony kolumnadą. — Hellogabal, Elsinoe.

Elsinoe *(odchodząc)*. Powierzam cię Bogom i sile jego! — Hellogabal. Ty okrutna! —

(Irydion wchodzi, Elsinoe zatrzymuje się)

Elsinoe. Księżyc wschodzi — wrą ogień i kipi trucizna! *(znika)*

Hellogabal. O ratuj mnie — lub, jeśli nie możesz ocalić, nie zwodź, nie udawaj, wyznaj od razu, a ja ciało moje białe przebiję tą złotą klingą. *(zdejmuje pugiuał z filaru)* Czy widziałeś kiedy takie szmaragdy?

Irydion. Skąd boskiemu Cezarowi przyszło dzisiaj myśleć o zawczesnym zgonie?

Hellogabal. Cyt, przyjacielu! — mylisz się, jeśli sądzisz, że Cezar nie zdola się zabić — A z tego puharu jeśli wypiję Elizejskie pola? *(bierze czarę z Trójnoga)* Sto nurków przepadało w morzu, nim jeden tę perłę wydosłał — nie-zrównana!

Irydion. Z tej czary pić będziemy zdrowie Słońca, ale pod innym niebem, wśród lnych ludzi. —

Hellogabal. Spójrzij mi w oczy. — Czy ty nie kłamiesz? ah! odwróć oczy. — Bogi w nich szczerym ogniem zapisały, że matka twoja czarownica była. — Przystąp bliżej filarów — trzymaj się kraty — mów, co widziałś w dole? —

Irydion. W głębi dziedzińca iskry się od drogich kamieni, gdyby jasmolite dno czarnej przepaści! —

Hellogabal. Sam, sam wybierałem topazy, beryle i ostre kanty chrysolitów i krwawe onyksy. — Dzień jeden i noc całą brukowali ten podworec, a ja nie zasnąłem, nie odśpedem, aż skończyli — wtedy ich wszystkich stracić kazalem! —

Irydion. Kogo? —

Hellogabal. Podle niewolniki! — co się pytasz o nich? — Oni poprzedzili pana swego. — Czyż w Rzymie kto powinien wiedzieć, że się Cezar do śmierci gotuje? — było ich stu tylko i chłopiąt dwoje! — Ah! ja nie oddam w ręce ludu śnieżnych członków moich — ja tu głowę moją świętą rozbiję — niech po dyamentach krew moja spływa do Erebu! —

Irydion. Cóż grozi tak nieodzwonne?

Hellogabal. Aleksyan! — przebrzydłe imię — Aleksyan! oby zginął przed czasem. — Aleksyan! potrójnej Hekacie głowę jego poświęcam — on, on, Aleksyan, czarne waży myśli i gotuje zdradę. —

Irydion. Opatrzne oko moje wyciężone nad nim i nad matką jego.

Hellogabal. Nie przerywaj mi — nie broń go, jeśli mile ci powietrze, którem oddychasz — słuchaj — na to, byś słuchał, przyjąć ci kazalem. — Szpiegi mi donieśli, że z Ulpianem się naradza, że od kilku dni bleńszym się wydaje, że w zadumaniu to odwija, to przygłaszcza pukle — a ten Ulpianus, co przyleciał z Antiochii, ha! czy wiesz, co on zamysła?

Irydion. Słyszałem często o nim, jako o zawołanym prawniku. —

Hellogabal. Ty go chwalisz? — o Bogi nieśmiertelne! — a ja ci mówię, że bez tego człowieka od lat trzydziestu żaden spisek się nie obszedł. — Domicyanus Ulpianus. — Słodki napozór w mowie, ale stoik nieublagany, zawsze gotów zabić panującego, lub jeśli się nie uda, samego siebie — istny spisek chodzący, jedzący, pijący — żywe przekleństwo dla jakiegokolwiek rządu — miecz Damoklesa nad głową moją — I ty mi go chwalić będziesz! — prawnik zawołany! Jupiter! Nie tylko jego, jabym samo prawo zamordował! — Mówże, co robić?

Irydion. Nie rozpaczać, kiedy jeszcze cicho i spokojnie, a jeśli przyjdzie do niebezpieczeństwa, na mnie polegać! —

Hellogabal. A jeśli już odzywają się wróżby mojego po-grzebu? — jeśli przeciw Bogom siostry twojej inne, silniejsze się podnoszą? *(list rozwija)* Patrz — Symmach Niger opisyje mi straszne znaki, co się objawiły nad Dunajem —

O wschodzącem słońcu, otoczone świętym orszakiem Bacchusa, wśród głów, bluszczem umajonych, wśród rąk, potrzęsających tyrami¹⁾, widmo Aleksandra Macedońskiego stanęło na szerokim błoniu. — Zbroja lśniła się na piersiach jego, ta sama, którą nosił, kiedy, zmiótszy Daryusza, szedł podbijać Indye. — Helm złoty gorzał na pochylonej głowie. — Za nim stąpali wodzowie, poległi od dawna. — Ludy Moesyji i Traacy bili przechodzącym głębokie poklony i, cisnąc się za nimi, doszły aż do brzegów morza. — Tam w powietrzu rozwiwały się umarłych cienie! (*opiera się o kolumnę*) Podaj mi Falernu. — (*bierze puhar*) Tak, Aleksander Severus z rąk Macedończyka weźmie państwo i życie moje! *Di! avertite omen!* —

Irydion. Alboż wyszło ci z pamięci, że syn wielkiego Septymiusa²⁾ niegdyś ukochał matkę swoją? Alboż zapomniałeś, że dusza Macedończyka żyła w boskich piersiach jego? A teraz, kiedy bohater, co był opiekuńczym duchem ojca twego, z grobu powstaje, by chwałę ci zwiastować, ty biedniejszy i potrzeba ci wina — pociech — ręki przyjaciela, byś nie zemlał i na ziemię nie runął. — Hańba ci, synu Karakalli!

Heliogabal. Nie — nie — on Aleksandrowi, on wschodzącemu słońcu się uśmiechał blademi ustami — mnie twarz każda, głos kaźden, lud, senat, pretoryanie, Rzym cały śmiercią grozi. — Ja czuję, że mnie razem, zgodnie, krok za krokiem odrywacie od słodkiej matki ziemi, i wszyscy, ilu was jest, wleciecie do piekła!

Irydion. Bądź lepszych myśl. — Czyż w odwiecznej walce między człowiekiem a miastem, człowiek nigdy wygrać nie zdola?

Heliogabal. Co mówisz!

Irydion. O losach waszych! Zginęliście jedni od miecza, drudzy od trucizny, inni z rąk własnych, wszyscy wśród hańby i przerażenia, zdradzeni przez powierników — przekłęci od nieprzyjaciół. — Dlaczego jedynym trybem zawsze

¹⁾ Tyrry, święte laski, oplecione bluszczem i winem.

²⁾ Synem Septymiusza był Karakalla, który głosił, iż w niego się wcielił duch Aleksandra Wielkiego.

dziać się mają sprawy ludzkie? Rzym dotychczas knuł spiski, mordował Cezara — niech Cezar stanie się spiskowym, niech Cezar uderzy na wroga! —

Heliogabal. Kto? jak? widzę potęgę na czole twojem, ale jej nie pojmuję! —

Irydion. Czyż to pałace, świątynie, cyrki, czy ten zamek, trzy razy spalony, z starym Bogiem swoim nigdy upaść nie mają? Czy nie słyzałeś o miastach wschodu piękniejszych i ogromniejszych, co niegdyś były cudem dla ludzi, pieczętą dla Bogów? a dziś tumany piasku przechadzają się po nich i na zwalonych arkadach samotne skowyczą hyeny! Czyż Hierozolima z rojami wściekłych obrońców oparła się wszystko niszczącym losom? a jednak miała Boga samotnego i silnego, jak Fatum! — Idź i zapytaj się pustyni, z czego powstały! — A te wzgórza, osadzone marmurami i granitem, czyż to nieśmiertelne Bogi? Patrz na nie i zrozumiej słowa moje. — Oto prawdziwy Aleksyan, oto wróg twój mściwy, rozciągnięty u nóg twoich, ale nadymający się dniami i nocą, by obalić ciebie. — Jeśli go nie ubieżyysz, biada ci, nieszczęśliwe dziecie, w ramionach Olbrzyma. (*chwytą go za rękę*) Wnieć silną wolę w sobie — ten świat, który ci wskazuje, wyzwij do boju! Stań się, czem kilku było na ziemi, Niszczycielem — a te gmachy, pianie życiem tysięcy, te wille, rozigrane w promieniach słońca, te trofea, te wszystkie pamiątki i rozkosze ludzi oddamy, w puściznie po ludziach, skorpionom i węzom!

Heliogabal. Teraz przejrzałem! Nieraz to samo czulem, pragnąłem. — Ha! jaka chwała dla Mitry, kiedy Jowisz kapitolński piasek gryźć będzie — Ale czyje ramię podejmie się czynu? kto powstanie na święty zamek i na wieczne miasto? —

Irydion. Syn kapłanki i Amfilocha Greka. —

Heliogabal. Czy myślisz, że jaki żołnierz pójdzie za tobą lub za mną w tak ostatecznej chwili? A senatory, a rycerze, a lud wreszcie cały! Bój się nieśmiertelnych — co tobie się stało, co ty zamysłasz, Irydionie? —

Irydion. Z natchnienia Bogów Cezara ocali!

Heliogabal. Strach mnie ogarnia. — Geniusz miasta zwyciężył wszystkich — jaźbym się miał targnąć na niego! — Irydion. Żyć więc w trwodze, dopóki nie skonaś w mękach! — Heliogabal. Dopełnij złecenia Bogów, potężny śmiertelniku — purpurą cię oblecze — zdejmę sandały z nóg własnych i do twoich je przywiążę, jeno bądź mi ku pomocy, nie opuszczaj mnie, wywab mnie od śmierci! — Irydion. Zbawić cię tylko mogę rozpadzeniem Senatu, wycięciem pretoryanów i przeniesieniem stolicy! — Heliogabal. Senat rozegnać, to jeszcze, to jeszcze potrafiam — ale reszty dokonać? — Irydion. Dawniej Katylinie, późniejszymi laty Neronowi, nie brakło na pożarnikach. — Łatwiej rozrzucić w perzynę to, co żyje dzisiaj, niż zbudować w głazy to, co ma żyć jutro. — Zresztą ci, co się zostaną na zgłiszczach, zwać się jeszcze będą Rzymianami. — Długo jeszcze kilka pałaców, rozpadłych na chaty, zwać się będą Rzymem. — Zostawić zgrzybiałym dzieciom to imię drogie — ale siły żywotnej, ale siły pochłaniającej już nie będzie w tych miejscach. — Cezarze, w dniu wielkiego morderstwa ja sam ludzi ci dostawię i stanę przy boku twoim. —

*Ogród Cezarów na pałacowskim wzgórzu. — Pod posągami
Diany Elsinoe i Irydion. —*

Elsinoe. Dalej iść nie sposób, za długoby mi wracać było. — Lecz ty nie opuszczaj mnie jeszcze. — Irydion. Spieszno mi także — ostatnia czerwień słonecznych promieni już umiera na szczytach Amfiteatru, a nim wrócić do siebie, muszę zamiejskich pretoryanów odwiedzić. — Elsinoe. Nie proszę o długie godziny — błagam o jedną chwilę tylko. *(kładzie głowę na podstawie posągu)* Spójrzaj na twarz niepokalanej — patrz obwiała ją tunika zmierzchu — o, jaby mi mogła była kochać, jak ona, kiedy wśród cichej nocy, oparta na łuku złotym, spuszczała się przez fale błękitu, by marzyć nad sennym Endymionem! — a teraz pójdź, zapytaj się ludzi, na co wysłała siostra twoja? «Mie-dzy Poppeą i Messalina, odpowiedzą ci, postawiono Jej ołtarze». —

Irydion. Kto się poświęcił dla dobra ludzi, powinien o ich sądzie zapomnieć. — Czy wiesz, kto jest Bogiem Nazaarenów? Ten, co dla zbawienia braci sam przystał na hańbę Krzyża! — O Elsinoe, i nam podobne dostały się Losy! — Elsinoe. Ty już cudze wiary przejmujesz! szukasz pociechy u tych, którymi pogardzili ludzie! Ale ty znasz Aleksandra, wiesz, jak go wychowała Mammea, słyszałeś o nim przepowiednie starców, że zrówna kiedyś boskiemu Aureliuszowi! — Wczoraj w przysienku Dejaniry napotkałam Jego. — Zatrzymał się i spojrział — pierwszy wzrok był niepewny, drżący — drugi już mocniejszy, wyrazistszy — wreszcie odwrócił się w milczeniu pogardy. — Irydion. Oni wszyscy żyjący w tem mieście przeznaczeni zgubie. — Elsinoe. Precz, precz, ja nie żądałam zemsty — odwołaj, odwołaj! — Irydion. Biedna, uspokój się. — Nieszczęśliwa, jakże ci teraz — w nagłej błałości zdałaś się omdlewać przed chwilą? — Elsinoe. Lepiej mi, lepiej — daruj — nie do takich żalów pozwalał mnie Bogi — idź — ja wrócę, kędy mnie Furje czekają — ja pójdę stopy wikłać z gadem, co niustannie płąsa naokoło — Tam zawsze stała starość w nagrodę upodlenia i męki — tam konwulsyja wstrętu — ale cicho, cicho — ty nie znasz tajemnic dziewczęcego łona! — Irydion. Ah! ty, coś niedawno płonęła życiem tak promiennym, nimfo ruchu i piękności, gdzieżeś się podziała? Tę łzę, co spływa po twarzy mojej, wylałam dla ciebie. — Lecz teraz oddał się — pamiętaj na wyroki Odyna i dotrwaj do końca. — Elsinoe. O bracie! — Irydion. Pogardzonemu szalów przysparzaj, doniszczaj rozum Jego i życie. — *Vale!* — Elsinoe. Niechaj cienie Amfilocha i Grimhildy będą naokoło ciebie — *vale!*

Sala Amfilocha w nocy. — Irydion wchodzi z Masinissą — za nimi przetożony niewolników. —

Irydion. Czegóż chciał, Piladzie? — Pilades. Ani słowa nie przemówił — jedno zasiadł i postanowił

czekać na ciebie. — Myśmy zwykłym obyczajem domu twojego dali mu chleba, mięsa i wina. —

Irydion. Niech wejdzie. —

(wychodzi Püades)

Masinissa. Strzeż się tego człowieka. —

Irydion. Czemu? —

Masinissa. Ten człowiek przychodzi cię zabić — masz! (miecz mu podaje)

Irydion. Jeśli prawdziwe twoje przecucie, szkoda tej kartagaskiej stali. — Tym puhaem, z którego pijał Amfiloch, roztrzaskam mu głowę. (wychodzi Gładgator) Czego chcesz, niewolniku? —

Gładgator. Przez chwilę być sam na sam z tobą. —

Irydion. To mój powiernik — mów śmiało przed nim. —

Gładgator. Pan rzekł do mnie: «Miało darcia się z tygrysem zamorduj Greka, a będziesz wolnym». Lecz ten, który mnie przysłał, sto razy gorszym jest od ciebie. (rzuca sztylet na posadzkę) Niechaj przepadnie niewola! —

Irydion. Kto cię przysłał?

Gładgator. Człowiek nowy, podlec i tchórz, okrutnik i lichwiarz. —

Irydion. Ha! to pewno Rzymianie! —

Gładgator. Zgadłeś — Aetius Rupilius. —

Irydion. Nadworny błazen nadwornego błazna! (kładąc puhar)

Wiedziałem o tem — patrz — czaszka twoja rozpaść się miała na odciski tej rzeźby korynckiej! —

Gładgator. O synu Amfilocha, nie przeląknę cię. — Roślęjszym i dzikszym parłem stopą piersi na piasku Areny — Ale godny byłem — jeść mi dali w pałacu twoim — spragniony byłem — dali mi w pałacu twoim — i, czekając na ciebie, słyszałem braci gładgatorów, którzy imię twoje błogosławili. — Teraz bądź zdrów, ja zginę jutro pod klami tygrysa. —

Irydion. Nie — ty żyć będziesz i zemścisz się niewoli twojej na panach twoich. —

Masinissa. Pochłaniamy stopniami cudze wole i siły — rośniemy, Sigurdzie, ale dopóki Nazaret nie wrócony na naszą

wiarę, dopóty nie zdołamy walczyć wstępny i zwycięskim bojem! —

Irydion. Starzec-Bóg, przed którym oni zginają kolana i myśli, ku czarnym sklepieniom długo trzymał wzniesione ramiona, zwywał ducha i wpoił tego ducha w skronie moje rękoma drżącymi, z których sączyła się woda tajemnicy — Grono białych, wynędzniałych braci śpiewało, powtarzając imię moje nowe: «Hieronim, Hieronim» — a ich głos ciągnął się, jak pogrzeb nadpowietrzny, niewidomy — w tej pieśni jednak były słowa nadziei!

Masinissa. I znam ich już zawiesiles na piersiach? —

Irydion. Zawiesilem. —

Masinissa. Przycisnąłeś do ust w pokorze? —

Irydion. Przycisnąłem. —

Masinissa. Dobrze — teraz ich serca się rozdziela! —

Irydion. Już zaczęły się mieszać — W starych, w tych, którzy odbyli męczeństwo, i niebo, jak twierdzą, roztwarte nad sobą widzieli, napróżno chciałem rozniecić iskrę zapalu — odpowiadali mi zawsze te same słowa — jak strumień, co zawsze o jedne rozbija się żwiry: «Przebaczenie — Zapomnienie — Miłość zabójcom» — ale młodzi, świeżo namaszczeni, żołnierze, niewolniki, barbarzyńcy, pielgrzymi, co odwiedzili pustynie Egiptu, coś dzielniejszego czują. — Ich wzrok się pomieni na wzmiankę obelg i męczarni. — Ich serca przynajmniej czegoś pragną na świecie. — Zrazu błogosławią zlemu, co ich gniecie, ale wreszcie, kiedy krew zagra im po żyłach, chcącym niechającym wyrwyam przekleństwo. —

Masinissa. Na to, byś wcielił królestwo nie tej ziemi w namiętności ziemi, trzeba ci niewiasty. — Oni ubóstwili córę dzieciństwa i wczesnej starości; z lupów cielesnych rozkoszy wydumali parę tajemniczą, oni przed niewolnicą męża schyliłi czoła. — Z tyłu dziewic, które tam wędnieją w modlitwach i postach, jedną wybierz i rzuc im ponad dusze. — Uczyn ją zwierciadłem myśli twoich — niech je odbija i ciska naokół bez pojęcia, bez czucia — ale siłą, co w piersiach męża góruje, porwana i zniszczona! —

Irydion. Znam jedną — wszyscy darzą ją imieniem blo-

ślawionej i świętej przed czasem, a ona lubi mi rozpowiadać niebiosa...

Masinissa. Tknąłem i odrzękła mi struna — nieprawdaż?

Oko jej czarne, jak węgiel, błyszczące, jak żary — ród Metellów kończy się na niej? —

Irydion. Wiesz — po co się pytasz?

Masinissa. Pamiętaj chwalić jej Boga, każdą ranę Jego chwalić, z każdym gwoździem, co przebił Jego, żalostnie się pieścić. — Ona się kocha w tem ciele rozkrzyżowanym, w tych rysach, które sobie wymarzyła pięknymi, gasnącymi w zwycięstwie miłości. — Ona ich nie widziała, kiedy konały ze wstrętem bólu, w milczeniu osłabienia, zmasane krwią, z wichrem, gwizdającym wśród włosów! — Słuchaj, przeprowadź Jej myśl od niego do siebie — on daleki, on był kiedyś na ziemi, on nie wróci nigdy. — Ty żyjesz i jesteś przy niej — Ty będziesz Jej Bogiem! Alma Venus i Eros, sprzyjajcie! —

Irydion. Ah! kto zbada tajnie Jej bytu, kto schwyli źródła Jej życia? — Ona żyje ciemnościami w tych puszczach podziemnych, widoma i niepojęta, nacechowana boleścią i z niej wyludząca urodę. — Sam Fidaszby jej kształtów wszechmocnem nie zatrzymał dłużej — ona całą piekność swoją uniesie z sobą razem w ostatniem westchnieniu! Przeciwno niej ja słaby jestem! —

Masinissa. Czego się wahasz i wątpisz? Ona twoją być musi — nie dla marnej rozkoszy, ale że rozum mój, że dzieło nasze żąda jej zguby, jak zapytanie odpowiedzi i dźwięk dźwięku następnego — Kiedy jej głowa opadnie na łono twoje, kiedy pierś jej zadrży, jak pierś każdej niewolnicy, i dusza niebieska zapomni siebie samej w ciałach pożarach — wtedy w katakumbach znajdziesz wiernych służalców, o synu! — wtedy duch mój będzie z tobą i zemsta stanie się ciałem (odchodzi)

Irydion. Masinisso!

Masinissa. Czego żądasz?

Irydion. Błagam cię — powiedz mi, jak przyjaciel — nie — daj wyrok, jak sędzia — Od czasu, w którym śmiałem się dziecinnie, w którym niewiadomie, wesoło, trącałem o kry-

wdy i hańbę pokolenia mego, aż po dziś dzień, każde słowo, sprawę, wszystkie chęci moje odwołał, przelicz — rozumiesz?

Masinissa. Czemu wzrok twój tak zmętniał i głos twój taki rozdarty, zbląkany?

Irydion. Wszak co świętem i lubem było dla drugich, było zawsze świętokradztwem dla mnie? Wszak dzikiej cnoty, ślubowanej Furiom, dochowałem wiernie? Dotąd niema na mnie ani skazy litości, ani plamy żalu? —

Masinissa. Ale też niema czynu, syna ręki twojej. — Dopóki to dziecię w powiciu nicości, dopóty sam jeszcze nieznanym i słabym — w tym samym dniu, o tej samej chwili, staniesz się ty przez dzieło twoje i dzieło twe przez siebie samego!

Irydion. Ah! w tych piersiach coś niepotrzebnego zostawiły Bogi — czuję jad, co podchodzi mi skronie i do ocz się tłoczy. — Niewiasty ten jad nazywają łzami! — Powiedz! wszak ja kiedyś miałem być człowiekiem?

Masinissa. I jesteś nim właśnie w tej chwili nikczemności. — Ty nie wiesz, że każdy z was zdołałby zostać wszechmocnym myślą własną, nieublaganą, żartarą — ale Wróg przewidział i zawiesił w łonie waszem serce — bojaźń, uludę, podłość, którą tulicie, jak niewolniki, którzy przystali na hańbę. — Tem on was rozdwoił i rozrzucił nisko i daleko. — Tem on panuje na długo i żaden go nie strąci, choć każdy mógł go strącić!

Irydion. O kim mówisz? Kto mnie nędznym i nieszczęśliwym uczynił? Jednego tylko znam zabójcę wszystkich chwił moich — Rzym się nazywa.

Masinissa. Jest inny Rzym, który zagać nie może! On nie na siedmiu wzgórzach, on na gwiazd milionach oparł stopy swojej! On nie ród ludzki, marny jeden, ale plemion Anielskich wielkich i urodziwych krocie znękał. — Z was wszystkich on ma tylko blaźnów, z nich męczenników i w każdej chwili, jaką wy w omamieniu chwalicie, oni w mądrości i piękności swojej o pomstę wołają!

Irydion. Co ty mi zwiastujesz, ty straszny, niezglębiony?

Masinissa. Walkę!

Irydion. Gdzie? Kiedy?

Masinissa. Po zgonie Rzymu! — Wszędzie, kędy twój duch zdoła czuć i myśleć!

Irydion. Bez końca, bez końca więc?...

Masinissa. Ja sam cię do niej powiodę — Na padole obłąkanych wygrywaj tymczasem dzieje swoje, zatrute przez wroga! Przeciw niemu i jego służalcem obrócisz kiedyś czoło w pełni rozumu!

Irydion. A zwycięstwo, czy będzie zwycięstwo? Czy kiedy zdejmę tu, czy na jakiej gwiazdce, ciężką zbroję moją? Czy kiedy opuszczę głowę bez oczekiwania, bez niebezpieczeństwa, wolny, ukochany, kochający, szczęśliwy?

Masinissa. Nie pytaj się przed czasem! — Idź naprzód, panuj zwierzęciu w sobie, naucz się być samotnym na ziemi, jako on jest na szczytach świata; naucz się cierpieć, jak cierpią dachy potężniejsze od ciebie! — Bo, nim dojdiesz tego, na co wyrość możesz, ogień cię przetrawi razy tysiąc, konanie cię przetrworzy razy tysiąc, gniew Jego cię odepchnie razy tysiąc. — Będziesz, jak fala, rzucana pod obłoki i strącana w przepaście — tylko, że ona martwa, ślepa, głucha, a w tobie nieśmiertelne czucie.

Irydion. Jakibądź nieprzyjaciel mój, przed nim nie unieję ducha. — Noc późna — wróisz jutro rano — jutro pomówimy jeszcze. — Idź teraz! — Prawda, prawda! nie miałem litości nad siostrą, miałbym jej, nieznaną żalować?

Masinissa. Pamiętaj na słowa moje; bo miną kiedyś narody tej ziemi, ale mój rozum nie przemienie. *(odchodzi)*

Irydion *(rzucając chlamydę)*. Idź — ty mi ciężysz — *(rzuca pierścień)* precz — ty mnie palisz — chciałbym włosy zmieść ze skroni — one mną nie są — one dolegają mi. — Gdzie ja? Irydionie, pokaż mi się! Męczarnio, co żyjesz w głębi lona tego, wynijdź — kto ty jesteś, niech ujrze, raz niech się dowiem! *(zdejmuje sztylet z nad tarczą)* Powiedz mi, ogniku nocny, modra klingo, czy ty zdolasz wysać mnie z piersi moich? — ale słyszysz, na zawsze! — Nie, nie, tyś także złudzeniem! — Katon gdzieś się obudził i tam już inny Cezar stał nad nim, trząsając mieczem i kajdany! *(rzuca sztylet i depce)* Klamco, coś zwiódł tyle dusz cierpiących marną obietnicą nicości — ja uragam się

tobie — ja, czy tu, czy tam, niewolnik! ja nie spocznę nigdzie — leż w kurzawie, żmijo fałszu! — *(obciera czoło)* Nieznośnie temu, który zaginąć nie zdoła — który kona wiecznie, a nie skona nigdy! *(stąpa po sali)* Jaka pustynia milczenia i spoczynku. — Jeden ja zalegam nieuspioną myślą. — Noc mi wieniec z gorączek i trosk na czoło złożyła. — Dzięki wam za taką purpurę, Bogi piekielnel! *(staje przy posągu)* Ojcie! kiedy spojrzę na rysy twoje, zda mi się, że słyszę obietnicę świętą. — Nieszczęśliwa Hellado! ty mnie przyćmisz do lona. — Tryumfator pędzi — u kół rydwanu jego skrepowane Rzymiany — ich czoła pękają za osi gorzących obrotom! Ha! nie dbam o męki nieskończone, byleby dzień ten, jeden dzień taki, czoło mi w laury okwiecił! *(klęka)* Ale czyż i ja mam zgładzić także? Ojcie, daruj jej — ona nie cierpi, jak my wszyscy, bo ma swoją wiarę i przyszłość nieskończoną. — Dumnych mordować — nędznych tysiące zepchnąć do Erebu — skazaną dobić — ah! to w losach moich wyrztem było — ale szczęśliwą znievažić, ale ufającą odwać od nadziei, ale promienną zniszczyć! *(porwa się)* Syn Amfilocho gnany jędzami, jak niegdyś Orestes! — *(lampe bierze)* Idźmy zasnąć — błogosławieństwo Larów nad tym domem spoczywa. — — To miasto, to ojczyzna — bóg w niem i lubo — gwiazda pomyślności, znać, świeciła nad kolebką naszą! *(wychodzi)*

Z drugiej części.

Katakomby — w środku ciemnicy zawieszona lampa. — Dwa Sarkofagi w głębi — od każdego rozchodzą się ulice, ginące woddali. — Ściany zasnułe nadgrobkami, ułożonymi w piętra. —

635) Irydion. Chwała Panu w niebieskiej! *(składa miecz, wlecznie i zbroję u wejścia)* Broń ziemskich gwałtów niech drzenie u progów mieszkań Jego!

Wiktor. Czekalem na ciebie, Hieronimie — sługi twoje dziś z rana przynieśli ciało brata, ściętego pod mauzoleum Cecylii Metelli. — Tam zgromadzeni wierni z ich rąk je ode-

brali — pogrzeb jego przejdzie tędy za chwilę — dzięki ci, synu! —

Irydion. Uczyniłem powinność moją. — Teraz przybywam od przysionka Cezarów — Na pobladłych rysach dworzan myśl strachu się zataczała — pretoryanie zamiejscy burzy się zaczynają przeciwko Imperatorowi. —

Wiktor. Powierzchnia ziemi odmienia się w swoich psychach, jak barwy morza za lada powiewem — ale to nie powinno mieszać spokojności grobów! Módlmy się w cieniu palmy męczenniczej, zerwanej przez Atanadora!

Irydion. Ojcze, dozwól słów kilka jeszcze. — Wszak w twoim ręku przyszłość nasza, wszak jednym skinieniem możesz tysiące nas rzucić na szalę, a gdzie one zaważą, tam będzie zwycięstwo!

Wiktor. W niewidzialnym królestwie walczyć mogę przeciw księżęciu świata modłami i ofiarą, a jeśli wszyscy połączycie się ze mną w obliczu Pana, obiecuję wam zwycięstwo!

Irydion. Ja mówię teraz o bliższych zapasach, o przedszym tryumfie! Ojcze, cierpimy, jak ludzie, spodziewamy się, jak ludzie, i posady nam ziemskiej potrzeba. — Dotąd potęga nienawistnych ścisła nas zewsząd, tak, żeśmy woleli umierać, niż kłaniać się rozpucie lub czcić kłamstwo na ziemi. — Lecz dzisiaj to, co gubi narody, stanęło u bram tego miasta — zgrzybiała starość i duma bez granic. — Hellogabal sił nie ma do utrzymywania swoich, Aleksander do ustalenia nowych rządów, a resztę sił doniszczą w zbliżającym się starciu — pomiędzy nimi obuma. Czyż każdy, co uwierzył w Chrystusa, nie radby krzyż wyrwać z wnętrzości ziemi i zatknąć na Forum romanum? — Ojcze, widzę chmurę zgrozy na czole twojem. — Daruj, że palam miłością ku braciom uciśnionym — daruj, że śmiało ci ogłosić, że nadeszła pora ugodzić w samo serce pogaństwa i Romy!

Wiktor. Z litością słuchałem słów twoich! Naprawdę wódę chrztu wylałem na głowę twoją! Naprawdę tłómaczyłem ci świat ducha. Tyś go nie pojął, nie zruciliś starego

człowieka. Tyś w żelazie i ogniu położył nadzieję doczesnego zbawienia. — Ciężkie winy twoje! *(słychać pieśni pogrzebowe)* Czy słyszysz te hymny, płynące wśród grobów, jak ostatnie szuny burzy, w której Jedyny skronie opuścił i skonał? — Czyż On wzywał na pomoc Aniołów, czyż On wołał o pomoc ojca? —

Irydion. A więc nędza i poniżenie naszym działem na zawsze?

Wiktor. Mylisz się w hardości twojej, kiedy chwilę czasu nazywasz wiecznością! — Zaprawdę ci mówię, że w tych cmentarzach śpią goście tylko — że nie tylko na progach niebieskich, ale i na płaszczyznach bólu, Miłość przemoże nareszcie. — Zaprawdę, zaprawdę, ludy poklon jej oddadzą, i nie będzie Cezara, któryby przed nią nie uderzył czołem. — Czy znasz tę postać? *(wskazuje rzeźbę na sarkofagu)*

Irydion. Lutnia Helleńska, Ojców moich czworodźwicznicy struny. — To Lykaonśki Orfeusz! —

Wiktor. Jako on, podług waszych pamiętek, dzięki rozpieścił zwierzęta, tak Jezus dusze milionów spoi brzmieniem żyjącego słowa — Patrząc na tę lutnię ziemską, pojmił roje duchów, pracujące nad światem, i dźwięk, u stóp krzyża poczęty, rozlegający się już pomiędzy narodami. — On żyje sobą samym i sił nie czerpa na ziemi! *(znak krzyża kreśli nad czołem)* Uwierz i nie grzesz więcej! — Ostrzegłem cię teraz, jak ojciec, rozżalony błędami syna — później, jeśli winę powtórzysz, napomnę cię, jak pasterz trzody, ukaram, jako sędzia ludu!

Chór w pobliżu. Z głębi przepaści wołamy do ciebie, Panie! —
Duszę zamordowanego weź na lono twoje! —
Daj jej odpoczynek w chwale twojej! —
Ona odlatując przebaczyła katom! —

(Wchodzi orszak, męczennik na marach, głowa ścięta na pierśiach spoczywa — męże w czarnych sukniach z pochodniami — za nimi niewiasty w białych szatach).

Irydion. Ja dzieckiem tylko być zdołam przy Tobie na chwilę, znikomą, jak fala, co nie wróci nigdy. — Za okręgiem twoich

spojrzeń we krwi ja broczyć będę — trawa nie porośnie,
gdzie mój koń przeleci!

Kornelia. Błuznisz!

Irydion. Nie — ja przezuwam tryumf Boga twego!

Kornelia. Czyż on takiego zwycięstwa nauczał? Czyż nie odpaścił wszystkim? Czyż słabych nie ubłogosławił dla ich słabości? Czyż niewiniątkom nie obiecał królestwa niebios dlatego, że drobne i ciche? —

Irydion. Taki był początek — ale dziś, siostrzo, słabi w siłę wyrosli, niewiniątka stali się mężami!

Kornelia. Miłosierdzia, miłosierdzia wolam nad nim, o Panie! Ty mu nie dasz przepaść w oczach moich. — Ah! co ja mówię? gdzie jestem? Wszak ślubowałam ci, Panie, całe serce moje. — Jakże tu ponuro — pierwszy raz strach umarłych mnie napada — kto tu jest z nami? (*obiera się*)

Irydion. Oprzyj się na mnie!

Kornelia. Tak, tak, ty się nie odejmiesz mojej potędze. — Łaska uwiśni twą duszę. — Ja wiem, żeś się urodziła, żeby ciebie zbawić!

Irydion. Ani ty, ani nikt na ziemi, nie wydrze z piersi moich pragnienia, które je rozdziela. — Gdyby sam Bóg nie wolał na nas, gdyby pomoc świętych nam obiecaną nie była, sam jeden jeszczebym dzieło rozpoczął. — Ostatni raz może mówię do ciebie. — Znasz dzieje Matki mojej, ale ukryte przed tobą wielkie myśli Ojca mego. — Pij kroplami ze mnie gorycz, która mnie pożera. — Słuchaj!

Kornelia. Ty ostatni raz — ty do mnie mówisz?

Irydion. Słuchaj! (*Siada u stóp sarkofagu — ona wyżej opiera się na tym samym grobie*) W trzynastą rocznicę śmierci Grinhildy on nagle zawołał mnie do siebie z rana. — Już od dni kilku bładość złowieszczą kaziła mu lica. «Synu, rzekł, niech zastawią biesiadę w sali Delfickiego Apollina. — Ostatni raz dzisiaj położym się u jednego stołu. — Bóg Matki twojej mnie ściga, nim wejdzie jutrzejsze słońce, opuszczę tę ziemię». — Strach mnie ogarnął. — Szedłem jego wypełnić rozkazy. — On dzień cały strawił ze starcem Maurytańskich pustyni. — Głosy ich rozchodzili się, jak ostatni

szczęk dogorywającej bitwy — stało się cicho — wyszli oba i spalali w sali festynów!

Kornelia. Dreszcz, jak łuska gadu, przesuwają się po mnie! — Irydion. Siostrę moją przycisnął do łona i odpychał potem

z wolna i rzekł: «Co brat ci rozkaże, czynić będziesz dla miłości mojej». — Do placzącej słowa już więcej nie przemówił, ale kilka kropel wina rozlał w ofierze i legł i mirtami uwiędzonym puhaem pił zdrowie wielkich mężów. — Wyzwoleniec czytał mu Fedona — stu niewolnikom wejść kazał i darował im wolność, a kiedy mu zdziwowali: «Jako wasze pęta skruszyłem, pamiętajcie drugim, o ile wam sił stanie, zrywać łańcuchy. — Czyńcie kiedyś, co wam mój syn powie». — I wstał pogodny, jak wieczór, co z wolna nocą się obwija, a jeszcze purpury słońca nie zatracił! (*chwila milczenia*)

Wtedy w najdalszej komnacie pałacu zaczęła się ta noc ostatnia, w której zawiązały się losy moje — Wokół nas jaśniały płomienie trójnogów. — Masinissa rzucał w nie kadzidla — głowa Amfilocha leżała na łonie przyjaciela i stopniami schodziło z niej życie — ale powaga zawsze była jedna, niezachwiana. — Żal przerwanych zamysłów w głębi ducha leżał spętany. — Boleść nadaremno się wysilała. — Jedynym jej znakiem była wgarda na ustach — on umierał tak, jak żył Bogi!

Kornelia. Widzę, widzę go — ale gdzie anioł stróż jego w tej chwili?

Irydion. W tej chwili on tworzył przyszłość, której niegdyś pragnął dla siebie, którą teraz mnie zapisywał. — Nie uchylił czoła, nie stracił wiary w zlej godzinie — w dobrej nie przebacysz, nie zaprzestaniesz, ale przejdiesz po zwłokach zruczonego, by stojących obalać. — Nie miej smutku ani słabości, bo, jako książę na niebie, tak dzieje narodów na ziemi wzrastają, by maleć. — Dziś Roma u stóp widnokregu, blisko nizin śmierci. — Tak nauczał, a z milczenia nocy stopniami budziło się życie — a co chwila Bóg mściciel bardziej ciężał nad nim!

Wreszcie przysiągłem przed jego świętem obliczem. — On dłoń trzymał na czole mojem — przysiągłem rozkoszy

- nie mieć — przywiązania nie znać — litości nie słuchać — ale żyć, by niszczyć, dopóki duch mój się z ojca duchem nie połączy!
- Kornelia. Zgubiony — ah! Panie! a jednak ogień wiekuisty, ogień Cherubów w oczach mu jaśnieje!
- Irydion. Uwierz. — Ty się nie domyślasz, co mnie czeka jutro. — Uwierz — ja wozem ludu twego. — Uwierz, a Jowisz z Kapitola runie, by nie powstać więcej. (*słychać króci*) To Wiktor, to niewierny! — Zostań. — Ja wróczę za chwilę. (*wchodzi w ciemne przejście*)
- Kornelia (*przysłęka*). Serce biedne, nie moje, nieznane serce, ty, co bijesz tak rozdzierająco, mój się do Chrystusa. — Panie — Panie, odpowiedz słudze twojej!
- Od krzyża nigdy oczu nie spuściła ku śmiertelnym twarzom — a teraz, o Panie, dwoje oczu utkwilo mi w pamięć — Jego oczy, Jego, Panie!
- I jako prorok, i jako święty, i jako Archanioł, on staje przede mną i mówi, a ja go słucham, Panie! — i chciała-bym skonać. (*głową zniża między ręce*) Zmiluj się nade mną!
- Irydion. Czego się lekasz?
- Kornelia. Czy nie widzisz, jak ciemno, czy nie czujesz zimna — tak, jakgdyby wszyscy umarli, a nas dwoje tylko zostało — potępionych dwoje? — Oni, reszta, wszyscy w niebiesiech!
- Irydion. Godzina, którą ci opowiedziałam, za twarda na serce twoje!
- Kornelia. Mylisz się. — Wzdychałam do palmy męczęńskiej, a miałabym drzeć przed zwycięstwem Pana mojego! nie, — nie. — Tylko coś rozprzegło się w duszy mojej, coś mi w głowie się usuwa, coś w sercu pęka, Hieronimie. —
- Irydion. Niewiasta czynów nie potrzebuje, jedną cichą modlitwą zbawiona być może. — Jeśli się nie poczuwa do mocy, niechaj idzie precz ode mnie. — Tu rozdziela się drogi nasze — będziesz spokojna, jak wprzód — obaczym się kiedyś, ale nie na ziemi. —
- Kornelia. Prawdę wyrzekłeś — stopy, unieście duszę daleko, daleko! (*usiłuje powstać — Irydion rękę jej podaje*) Ah! przybiłeś mnie na nowo — nie mogę —
- Irydion. Biedna!
- Kornelia. Coś nieśmiertelnego opasało mnie, niewidzialnych ramion dwoje!
- Irydion. Ostatni raz mówię ci: Uciekaj. —
- Kornelia. Nie. — Dopókiś w błędzie śmiertelnym nie wyznał ducha, dopótyś bratem moim w obliczu Ojca Niebieskiego. —
- Irydion. Świadczyć się wami, kości umarłych, i tobą, matko ziemi. — Chciałem ją, ją jedną ocalić! (*przechadza się po ciemnicy*) Tak ojciec mój niegdyś zabił duszę niewinną kapłanki. — Siła dzikiego Fatum zewsząd mnie opasuje. — (*zbliża się do niej*) Kornelio, Kornelio!
- Kornelia. Modlę się za ciebie, uklęknij tu przy mnie, zbądź pychy, powtarzaj słowa moje...
- Irydion. Jutro, pojutrze zacnie się moja modlitwa — głośna, siostrzo, wśród jęków nieprzyjaciół!
- Głos w pobliżu. Hieronimie, do bronii! —
- Irydion. Przybywam —
- Kornelia. To on — to Symeon! —
- Irydion. A tam dalej tysiąc podobnych jemu drży z niecierpliwości i czekają na mnie (*zrywa jej welon*) pryszni, obłono duszy mojej! (*poryna ją w objęcia*) Usta, zostawcie na tem bladem czoło obietnicę lepszego losu! —
- Kornelia. Ah! wraz z tobą na wieki potępiona jestem! (*mdleje*)
- Głos. Spieszaj, spieszaj!
- Irydion. (*biorąc hełm i oręż, potem wraca i nachyla się nad nią*) Nie, ty nie umarłaś! (*przyciska ją do piersi*) Obudź się na twardym pancerzu męża, obudź się, Kornelio! Masinisso! bądź mi przekłętym, jeśli jej zguby nie odkupisz mi zwycięstwem!
- Kornelia. Kto woła?
- Irydion. Ten, o którym powiedziano, że przyjdzie i pokona dumnych!
- Kornelia. Widzę nareszcie, widzę ciebie. — Ty raczyłeś dotknąć się oblubienicy twojej! — Długo czekałam...
- Irydion. Podnieś głowę — rozedrzyj wzrokiem te sklepienia. — Tam wybrani śpiewają hymn tryumfu. — Zmartwychwstań! —
- Kornelia. O Panie! Chwała bitew naokoło twarzy twojej —

ploniesz cały blaskami żelaza. — Panie, gdzie rany twoje?
Niech je obleje Izami!

Irydion (*podnosi ją*). Jutro, niewiasto, spełnią się przepowiednie o królestwie Krzyża.

Kornelia. O, nie rozpraszaj się wśród ciemności — oni mówili, że przyjdiesz, a teraz ty mnie nie weźmiesz z sobą! — Ty zapomnisz o służebnicy twojej!

Irydion. Biedna! powstań — nie płacz — nie rozpaczaj!

Kornelia. Daj mi zginąć w chwale twojej! ja już umarlam, o Panie! —

Irydion (*porwuje ją z ziemi*). Dni kilka jeszcze, niewiasto. — Tymczasem wołaj na braci swoich: «do broni, do broni!» (*odchodzi*)

Kornelia. Słyszycie ostatnie słowa jego? — On zstąpił drugi raz na ziemię i tą razą miecz w jego prawicy polyska. — Do broni! kości umarłych, żyjący kapłanie, ludu boży, odpowiedźcie! On tak kazał. — Za mną: do broni, do broni! (*uciekła*)

* * *

Inna strona katakumb. — Symeon z Koryntu — obok krucyfiks, księga i trupia głowa.

Symeon. W dniu jednym świat posiadać, nie ten nędzny, kędy błyszczy złoto i stęka żelazo, ale ten ogromny, ten świat dusz wszystkich, i panować im w imieniu twojem, o Boże! Ah! gdyby morze jasności, ta myśl, przede mną rozciągnięta — ku niej płynę w potokach cierpienia i poniżenia, coraz olbrzymiej rozpychając zasepione fale. — O Chrystusiel podbiję ci wszystko, co zowie się ciałem. — Tam w dole będą pustynie, skały, miasta, stamtąd szumią wołania królów i kupców, a duch mój, odbicie twoego na ziemi, zawieszony w górze, jednością potęgi ich ścisła. — Każę im milczeć lub modlić się, drzeć lub radować się — myśleć lub zasnąć!

Przestronne lochy. — Cenofaty po ścianach. — Mogiły rozsypane tu i ówdzie. — Zgromadzenie chrześcijan przy pochodniach.

Chór młodzieńców. Nieszczęśliwy ten, co urodzon z niewiasty. — Dni jego blahe i znikome — od krzyża ramion

odwiązać, od cierniów skroni odchylić nie zdola. — Ciemności siostrami jego i grobem!

Chór starców. Święty, Święty, Święty, słuszne sądy twoje! Ty przez łaskę ojców wynosisz przyszłe pokolenia. — Na stosach kości naszych zieloność wiosny i szkarłat potęgi rozwiędziesz synom naszym —

Chór młodzieńców. Ześlij nam pocieszyciela — niech on stanie na wysokościach, niech karki wyniosłych stopom swoim podściela w równiny. — (*wchodzi Symeon i Irydion*) Witajcie!

Irydion. Pioruny gorzące Pana niechaj będą ze mną i z wami! — Z krzywd waszych stało się moje natchnienie — w lasce Jedynego, Potrójnego, wszczęła się otucha moja — a waszą wołą, moja posetniona siła niechaj wre i woła o pomstę do Boga!

Słuchajcie mnie — miasto rozdzieliło się tej nocy — Syn wszeteczństwa zachwał się na tronie — Pretoryanie odwróciły serca od niego. — Lud, jak morze niepewne, któremu wiatru się podda, dotąd kołysze się i milczy — ale wnet nań spadną ciężkie wichrów skrzydła, runą weń grady pomieszanych chęci. — Patrzcie! widome ciemności gromadzą się nad stolicą, która morduje proroków i świętych. — W całej Azji powstają legiony. — Nad Renem burzą się Allemany — Cezar i Aleksander zabierają się do ostatniej rozprawy. — Ten wzywa Mitrę, tamten Statora — a kłótni zwycięży, zwycięży z przekleństwem Chrystusowi na ustach!

Oto znak wam dany, hasło obiecanie — patrzcie, a ujrzycie. — Chciejcie, a będziecie wolnymi!

Chór starców. Kto ci dał władzę i na czole twojem wyrzył słowo boże? Gdzie Wiktor, Ojciec wiernych, pasterz namaszczony? Czy on powie o tobie: «On jest Ten, którego Pan wzbudził?»

Symeon (*wstępując na drugą mogiłę*). Ja mu świadczę! (*wznosi Krzyż*) Płynięcie, lzy moje, roztwórzcie się, rany piersi moich! — Oto Pan nad wszystkie pychy, Bóg i zwycięzca, przybity do progów śmiertelnych. — Wy, którzy

nie macie serca, stojcie na miejscu, jak glazy, porzucone na ścieżce. — Ja nie dla was mówię. — Wy, co nie pragniecie, by Hierozolima wyszła z toni czasów, starzejcie się i milczcie. — Ja nie do was mówię!

Tych tylko wzywam, dla których On hańbę znosił, pośmiewisko wytrzymał, aż słońce od mąk Jego przesłoniło się nocą! Od nocy tej strasliwiej kto się upomniał o obelgi Syna człowieka? Nikt go nie odział, nikt nie napoił. — Wszystkie narody ziemi jedne po drugich ukrzyżowały go na nowo!

Chór młodzieńców. Przekleństwo czcicielom Molocha!

Irydion. Nie wypuszczajcie chwili, która nadlatuje. — Nie patrzcie na nią, jak na skrzydła, co mijają i giną w oddali, jak na błyskawicę, co błysnie i zamrze w błysnięciu! Ale wszyscy razem, zgodnie, wyciągnijcie ramiona — objąć ją — przycisnąć do serc waszych, o bracia! — Z niej, drobnej dzisiaj, z niej, co nie powróci nigdy, wydobyć iskry życia — bo zaprawdę wam ogłaszam, że w niej długie wieki drzemią. — Jeśli je obudzicie, staną się waszymi!

Chór starców. Ogień modlitwy gaśnie w lonie naszym — mgła tajemnicza zsuwa się nad nami — Panie, od pokus zwodziciela wybaw nas, Panie!

Irydion. To słabość — Przez kajany ojców waszych, odrzućcie ją — przez stopy Nerona, odrzućcie ją — przez ofiary cyrku, zaklinam was, bądźcie silnymi!

Chór młodzieńców. Głos twój, jak dźwięk trąby grzmiącej, pędzi nas ku płaszczyznom ziemi — ale drżą nam piersi, włosy powstają na głowie! O Symeonie z Koryntu, odezwij się — mów, czy nie widzisz czego?

Symeon. Widzę wzrokiem Jana, który przed laty patrzył na Hierozolimę wybranych — On w grobie śpi wśród nachylonych Aniołów i powstanie dzisiaj lub jutro — wtedy się usunę — a teraz ja prorokuję, ja wołam!

Chór (przyklekają wszyscy). Chrystusie, Chrystusie, wrą nam serca, bo zmartwychwstać chcemy! Nie opuszczaj nas w chwili niepewności! — Daj nam objawienie sądów Twoich!

Irydion. Czy się jeszcze pytacie, ludzie małej wiary? Wzniescie oczy. — Oto pan wasz kona — oto jeszcze rozwarł usta i ostatnie wolanie: «Czemu opuściłeś mnie, Ojczel-Bracia, czy my go jeszcze i dzisiaj opuścim?»

Chór. Nie — Nie —

Irydion. Ha! (odwraca się)

Symeon. Bledniejusz?

Irydion. Tam — gdzie zakracają się sklepienia — tam na samej granicy światła i ciemności —

Jeden z chóru. Ktoś nas podchodzi lekkimi stopy. —

(*Wbiega Metella*)

Symeon. Witaj, Dziewico, posłubiona wiekuistej miłości —

Chór. Skąd do nas idziesz tak późno, sama, z rozpuszczonym włosom?

(*Metella zatrzymuje się przy mogile Irydiona*)

Symeon (*do Irydiona*). Przemawiaj dalej!

Irydion (*obracać się do Kornelii*). Czy mnie poznajesz, czy moje słowa pamiętasz?

Jeden z tłumu. Słyszeliście ten krzyk świętej?

Drudzy. Straszno, straszno stało się o tej godzinie sercom naszym —

Irydion. Milczcie, teraz ona mówić zaczyna!

Kornelia. Objawiłeś się i wyrzekłeś straszne słowo — Otdąd biegnę i wołam — dni i nocy mijają, ja biegnę i wołam — (*odwracając się do ludu*) Do broni, do broni!

Irydion. Przez ciebie, Masiniso, zwyciężam! (*do ludu*) Dusza niewiasty przedęj od was wszystkich zrozumiała tajemnicę niebios. — Zmyjcie hańbę od was wszystkich zrozumiela tajemnicę (*kładzie dłoń na włosach Kornelii*) Stań się żywym głosem chwały przyobiecanej! — Rozedrzyj zasłonę czasu przed oczyma ludu!

Kornelia. W gromy zbrojnego widziałam. — Szedł, zdobywając, by zdobywać dalej — i nieśmiertelną stałam się w obliczu jego!

Chór starców. Czyś miała widzenie i dotąd spoglądasz na jego mdlejące ostatki? Odpowiedz nam, odpowiedź!

Kornelia. W gromy zbrojnego widzę — Idzie i zdobywa — Nic mu się nie oprze — Strzała jego cięciwy ziemię od-

mierzy w przelocie — Strachem otoczył się, jak zwojami królewskiego płaszczaka, i śmierć biała posuwa się za nim! (ucieką).

Jeden z chóru. Wśród głów i pochodni jej włosy podskakują i toną jak fala —

Chór. Gdzie lecisz?

Kornelia. Gdzie światło nie dojdzie, niech mój głos doleci; do bron!

Wszyscy. Do bron, do bron!

.....

Chór młodzieńców. Hieronimie, dotrzyмай obietnicy — Wola Jedynego objawia się nam —

Irydion. Skarby moje waszymi. — Krew moja waszą do do ostatniej kropli — przysięgnijcie tylko krzyż ten zatknąć na szczytach Kapitolu! —

Chór Starców. Biada wam — biada! —

Chór młodzieńców. W imieniu Chrystusa, przysiegamy! —

Irydion. I wprzód nie odpoczniecie, nie pomodlicie się Jemu ani ciała Jego pożywać będziecie!

Chór. Nie — nie — nie!

Chór starców. Uciekajcie, bezbożni — łamią się filary — ziemia się rozstępuje —

Irydion. Pod nami tak Rzym padać będzie —

Inni. Strzeżcie waszych pochodni —

Symeon. Idźcie za mną. — Ten, którego niosę, na rozhuzydanych falach stapał bezpiecznie —

Inni. Ognia, ognia!

Chór barbarzyńców. Rwijmy się za pasy z tłumem. —

Syony lodów nie zgina tu marnie wśród podrzutów siarczystej, niecierplanej ziemi!

Inni. Wtył, nazad, tu ognie buchnęły!

Irydion. W tę stronę, ku naszym cmentarzom, ku Eloimowi! — Ah, trwoga pomieszała rozumy wasze!

Symeon. Odparła mnie opoka i jednym rzutem runąłem do stóp twoich —

Irydion. Oprzyj się na mnie — ten glaz dotąd nie zadrzał ni razu —

Symeon. Gdzie ci, którzy szli za mną?

Irydion. Zniknęli. — Nocy takiej nie widziałem nigdy — z tyśiącą pochodni ledwo gdzie jeszcze tli się gwiazda jaka —

Symeon. Zgasła ta, na którąś patrzył. — Ah! i tamta i tamta! Pomieszane głosy. Opuść nam winy nasze — w godzinę śmierci błagamy cię, Panie!

Symeon. Wyciągnij ramie — zawieś pochodnię nad tym morzem cieniów —

Irydion. Daremno —

Symeon. Słyszalesz loskot, co przydusił głos starców?

Irydion. Tam odzywają się żyjący — do mnie!

Symeon. Ale ci, którzy Pana tu błagali przed chwilą?

Irydion. Pan już o nich pamięta teraz — do mnie, do mnie!

Chór barbarzyńców. Błądziliśmy naprzemian w ciemnościach i w ogniu — zewsząd odegnali nas pioruny, ale serca nasze biją tak zimno, jak były przed burzą!

Irydion. Przytknijcie wasze pochodnie. — Ja was wyprawdę. Ja pamiętam drogę —

Symeon. Ot, głuche gwary się ozwały. — To bracia nasi, co się przedarli ku Eloimowi — Za nimi!

Głos w oddaleniu. Pał się, ziemio, na dzień ostatni świata —

Irydion. Słyszeliście?

Chór. Nie traćmy czasu — naprzód!

Irydion. Uciekajcie!

Głos (bliżej). Do bron, do bron!

Chór. To ojciec złudzeń, który cię woła na zgubę twoją!

Irydion. To ona!

Symeon. Nie puszczę ciebie —

Irydion (odpychając go). A kto ich wywiedzie, jeśli ja nie wrócę! (idzie naprzód) Ojcie! wzywam ciebie, niech się

plómiennie Erebu ukorzą przede mną!

Głos w pobliżu. I wieniec mój będzie z gwiazd nieśmiertelnych przy boku twoim —

Irydion. Chrystusie, Boże jej niebios, ocal nieszczęśliwą! —

.....

(Nadchodzą słupy ognia, wśród nich Masinissa)

Chór podziemnych głosów. Patrz! staliśmy się jak lampy cichej świątyni, o my gorący, o my nieszczęśliwi, ofiary mąk tyłu, od wieków tyłu!

Masinissa. Przyjdzie chwila, w której cała ziemia na pastwę oddana wam będzie — ale na dzisiaj tu koniec drogi waszej — Nie pójdziecie dalej!

Chór. Zwycięstwo! Do czasu, do czasu tylko żyjem rozpaczą i nocą! I zapytają się duchy niebieskie: «Gdzie ziemia, siostra nasza?» i zapyta się ten, który ją zbawił: «Gdzie obłubienica moja?» a my wytrząśniem pod ich gwiazdy Jej umarłe popioły!

Masinissa. Zwolna, z cicha, dzieci moje! — Ta chwila w nieśmiertelności waszej, ale tysiąc tysięcy ludzkich pokoleń od niej przegradza was jeszcze!

Wprzód muszą siły swoje sterać — każdą wiare krwią popierać i ogłosić ją fałszem — każde zaprzeczenie błotem zarzucić i ubóstwić je wreszcie! — aż doważy się szalać ich mierności i dumy, aż siwizna głupstwem się stanie, a siła szaleństwem!

Chór. I zginą!

Masinissa. Myśl ich osiądziem — w niej światy tworzyć będziem coraz dalsze od prawdy — tak iskrę, którą wzięli z górnych przestrzeni, zamęczym w ich duszach. — Uwieńczym ich skronie ognikami wiedzy. — Znikome berła powierzmy ich dłońom. — Wyniesiem ich na samodzielców ziemi!

Chór. I zginą!

Masinissa. *(przechadza się wśród ogniów)*. Wiaro, nadziejo, miłości! Trójco, która miałaś trwać na wieki, rozerwałem cię dzisiaj w sercach dzieci najukochońszych, błogosławieństwa Twego! Nie! — Ty niemi nie zaludniłś spustoszałych przestrzeni, kędy wrzały niegdyś roje szczęśliwych i pięknych — Ty już nigdy takich nie dostaniesz synów! — Sama zgasilaś słońca, które były chwałą twoją!

Chór. Niechaj trony nasze wiecznie sterczą próżne i martwe — niechaj pieśni pochwalne u ich stóp konają!

Masinissa. Tej nocy naszych następców poczęła się zguba. — Jako my niegdyś, tak i oni odpadną od niego!

Chór. I przyjdą jeśó chleb nasz i mieszkać w ciemnym domu naszym!

Masinissa. Wrogu! ty wiesz, że ich duch obłąkany od pierw-

szej wiosny ziemi — Odtąd dnia nie będzie, żeby się nie klóćili o przymioty i imiona Twoje!

W imieniu twojem będą zabijać i palić — W imieniu twojem gnść i milczeć — W imieniu twojem uciskać — W Imieniu twojem powstawać i burzyć! Ukrzyżowan będziesz zarówno w ich mądrości i niewiadomstwie, w ich rachubach i szalach, zarówno w sennej pokorze ich modlitw i w bluźnierstwach ich dumy!

Na szczytach niebios ten puhar goryczy pić będziesz, dopóki ich nie przekniesz na wieki. — Na szczytach niebios, wśród potęg twoich, doznasz, co to piekło nasze!

Chór. Chwała nam i Temu, co dotąd jaśnieje w ogniu odrzucenia, jak pałał niegdyś tęczami siły! Chwała nam — chwała nam!

Masinissa. On skazę piorunów zakrył dłońią na czole. — Na dniu przepaści on myśl krzepił na dzień ostatni światła! Chwała Jemu. — A teraz owioncie mnie, ciemności — teraz w milczeniu skonajcie, bracia moi!

Część trzecia.

Składa się z pięciu scen otwarzających zamęt wywołany przez zbuntowanych pretoryanów i poczynione przez Irydiona przygotowania do wybuchu, mającego obalić tron Cezarów i zagrzebać w gruzach Rzym cały. Irydiona plany paraliżuje powstrzymanie się chrześcijan od udziału w walce za sprawą biskupa Wiktora. Kornelia, wyzwolona z mocy złego ducha, umiera pogodzona z Kościołem, przebacząc Irydionowi. Pretoryanie choć zamordowali Hellogabala, lecz wynieśli na tron cezarów Sewera. Elsinoe odbiera sobie życie. Poparcie gladiatorów i niewolników jedynie nie pozwala Irydionowi wykonać planu spalenia i zniszczenia Romy. Nowy władca Rzymu z łatwością pokonywa porozprasane gromadki spiskowych.

Z czwartej części.

Sala Amfilocha. — Ciało Elsinoi na wzniesionem łożu, w białych szatach, osypane cyprysu gałązkami. — Obok woda lustralna. — Ołtarz pośrodku sali. — Chór dziewięć płaczek. — Pilades — wchodzi Irydion, za nim Gladyatorowie i niewolnicy.

636) Irydion. Gdzie Masinissa?
Pilades. Nie widziałem go od chwili, w której ty, po raz ostatni, widziałeś go, Panie —

Irydion. Masiniso!

Chór. Masiniso!

Irydion. Dwa razy sklepienia odpowiedziały za niego. *(siada pod posągami ojca)*

Pilades. Starzec zdradził, Panie!

Irydion. Nie mów tego — *(hwarz zakrywa rękoma)* on, przyjaciel Amfilocha, on, przed którym groby pękają, kiedy je zaklinie potęgą słowa! — nie — nie — on wróci — on nie opuści Sigurda. — *(wstaje)* Zgromadziłem was w chwili, kiedy znużone kohorty Rzymian odstupują od walki, byście wyrządzili cześć ostatnią zwłokom siostry mojej. — Ona pierwsza padła ofiarą naszej świętej sprawy — Kto mnie poważa, niechaj Jej pamięć szanuje — kto nienawidzi Romy, niechaj Jej wdzięcznym będzie — kto przysiągł zginać ze mną, niechaj błogosławi Jej cieniem! —

(Ulpianus wchodzi — za nim niosą orły cesarskie).

Ulpianus. Jako ty niedawno do nas, tak ja dzisiaj, wrogu, do ciebie przychodzę w poselstwie —

Irydion. Jako wy mnie wtedy, tak ja dzisiaj wam odpowiem — «do bronil».

Ulpianus. Ale jednakowe słowa nie jednakowy skutek wywróżą — nam przyniosły zwycięstwo...

Irydion. Zwycięstwo! — Czy już zaszedł rydwan na *via sacra*? czy już posąg Fortuny trzyma wieniec nad głową Tryumfatora? Czy kto już spędził Alboina w Wimalalu? czy Scypion ustąpił z Awentynu? Ostatniej nocy, powiedz mi, kto kościół Faustyny, kto bazylikę Emiliusa w popioły rozwił przed waszemi oczyma?

Ulpianus. Widziałem skazanych, którzy szli na śmierć wrzeszcząc i poklaskując. — I wy tak czynicie! Tymczasem Aleksander, jak dziecię, swawoląc z pomyślnymi losy, ofiaruje ci pokój i przebaczenie zbrodni...

Irydion. Może żelzonego majestatu?

Ulpianus. Czyż jej nie popelniliście?

Irydion. Majestat wasz od wczoraj się poczyna, a zbrodnia moja stara, jako serce wolnych — Dalej!

Ulpianus. Imperator żąda, byś stolicę opuścił na zawsze i wrócił do Chiary. — Wprzódy jednak przysiężesz mi

na wierność przy dymiących trzewach i co do jednego wydasz wspomników twoich. — Jeśli zgodzisz się na te warunki, on, który cię może okuć w kajdany i rozbić na krzyżu, poda ci rękę w chwili pożegnania i zapomni...

Irydion. Głośniejszy, mężu konsularny! *(odwraca się do swoich)* Czy słyszycie, ludzie moi? Cezar wróci mi swoje względy, bylebym was, spętanych jak bydłęta, rzucił pod różgi liktorów! Cóż mam począć, ludzie moi? Wszak prawda, zdajmy się na łaskę Cezara — wszak miło czołem rozbić się o stopy Jego!

Nieśmiertelne Bogi, wy, które o nas nie dbającz drzemiecie na wierzchołkach Olimpu, rozśmiejcie się przynajmniej w chwili, kiedy syn Mamei hańbę przysłała mi w darze przez usta prawnika swego! *(wstaje i zbliża się do Ulpiana)* Prędję skorpion usiadzie, jak niewinny motyl, na dłoni Cezara, prędję piorun Zeusa prosić się go będzie: «Daj, daj tę chmurę rozderzeć», niżli ja broń złożyć i wydam braci moich!

Ulpianus. Nie nalegam na ciebie, dopelniam tylko zlecenia tego, który mnie przysłał. — Owszem, bądź ślepy do końca i z garstką złoczyńców dni jeszcze kilka zżyjmy się na wielkiem łonie Romy — walcz za pamięć i sławę pana, którego obrałeś sobie na ziemi, a kiedy, na czele swoich, zasnuwać się będziesz w ciemności Tartaru, jeszcze na brzegach Styksu wołaj: «Niech żyje Syryjczyk!» A trójgłowy Cerber wtórować ci będzie!

Irydion. Takżes prawdy doszedł, znawco serc ludzkich? — Robak, co wил się po ziemi, proch, co z koturnów moich zlatywał, dłużej mi się ostały w pamięci, niż jego wspomnienie. — Zapytaj się ich, czy którykolwiek odpowie, że znał Syryjczyka!

Część chóru. Irydyonowi służyliśmy tylko!

Inni. Sigurdowi tylko!

Ulpianus. A umarla?

Irydion. Sam ją poświęciłem, ale nie groźbom przemocy, nie obietnicom podłości! Nie obrażaj śpiącej, która się już nigdy nie przebudzi! — Ona czystsza była pod tchnieniem tyrana, niż wszystkie wasze matki i córki!

Ulpianus. Za kogo więc się bijesz i przeciwko komu?

Irydion. Długie to dzieje, starcze!

Ulpianus. Aleksander Severus łaskawym był zawsze na ciebie —

Irydion. On też drobną cząstką tylko nienawiści mojej —

Ulpianus. Mów więc, kto wrogiem twoim?

Irydion. Powiedzcie głuchemu i ślepemu, powiedzcie, o bracia, kto was odpędził od bitej drogi człowieczego rodu i przymusił stapać ścieżkami ciemności? — Kto od kolebki wycisnął wam na czołach znamię pragnienia i głodu? — kto w latach późniejszych nie dal wam ukochać niewiasty i zasiąść w świetle domowego ogniska?

Chór. Roma!

Irydion. Kto, sam śmiertelny, w nędzy i poniżeniu śmiertelnych położył najśodsze nadzieje? — kto pochwalił syna Mitrydata, kiedy rękę podnosił na starego ojca? — kto zdrajców południa i zdrajców północy zaprosił na festyny swoje? — kto czarę niedoli świata wychylił aż do dna?

Chór. Roma!

Irydion. I nektarem z lez i nektarem z krwi upił się, jako Bóg piekiel?

Chór. Roma — Roma!

Irydion. Słyszałeś? wiesz teraz, czem jestem?

Ulpianus. Szaleńcem! To miasto od pierwszych dni swoich żyło uśmiechami bogów. — Ono było drugim Fatum świata! — Czy nie wiesz, że Fortuna, jak niewolnica, niosąc ostatki strzaskanego koła, szła za wozem Jego tryumfalnym? Czy nie wiesz, że słabi padli twarzą na ziemię, że co było upartych i wściekłych, zniknęło z powierzchni ziemi? A ty się porwałeś, szczipły siłą, mierny zasobami, niedojrzały wiekiem, by zniszczyć Boga, którego pioruny grzmiały nad urną Hannibala i nad mogiłami Cymbrów!

Stąd widzę miejsce, na którem głowa twoja padnie pod cięciem Liktora!

Irydion. Wprzód jeszcze pocisk Cymbra utknie w sercu twojem, topór Cheruska rozetnie pancierz Arystomacha, wprzód jeszcze Lucyzusowi Tubero niezłomnej obietnicy dotrzymam!

Chór. Wprzód jeszcze za każdą krzywdę naszą czaszkę krwi wychylim — A potem, — potem przyjdą nasi dziedzice i z podziemnych dolin zagrzewać ich będziemy!

Ulpianus. Bezpotomni jesteście, ostatni z rodu waszego! — Tylko szal i kara wasza jeden kamień węgielny przyrzuci tym wzgórzom —

Irydion. I na nim będzie napis pogrzebowy Romy!

Ulpianus. Słaby śmiertelniku! ty nie przemienisz tego, co mądrze i święcie opatrzyli nieśmiertelne wyroki! I komuż berło oddać miały, jeśli nie miastu wytrwałości i czynów? Może przedajnej Afryce, może rozwiązłej Seleucyi lub igrającej, śpiewającej Helladzie? Nie — tam potęga się urodziła, gdzie lutnia nie brzmiała nigdy, gdzie na czole, zamiast wianka mirtu, sprzągały się twardej między blachy, a w duszach mężów nie było rytmu, ni swawoli — jedno była wola, jako otchłań wrzącej siły, i nad nią rozsądku powaga, niezachwianego opieka rozumu!

Irydion. Słyszeliście męczennicy narodów o rozsądku waszym! — Geniusz Romy z tem slowem na czole stanął u progów Attala i skrzydlaty usiadł przy stopach starca, pochlebiał i ludził, aż z pod grzybiałej ręki wyrwał zapisy Pergamu!

Z tem slowem na czole podniósł się wśród Istmijskich igrzysk, prosił o posłuchanie i chwalił synów Grecyli! Z tem slowem on po wszystkie czasy uwodził słabych i dusze ludzkie zabijał! —

A kiedy kto uwierzył jemu, — kiedy nieszczęśliwy przystal na pęta i wyrzekł się domu, ojczyzny, sławy za życia i chwały po zgonie, — on wtedy śmiejąc się wolał: «Rozsądny jeste!» i nogą spychał go z Tarpejskiej skały!

Prawdę wyrzekł — nie — nigdy Hellada takim nie spodiła się rozumem! — Jej życie nie było rachubą, Jej nadzieje nie spoczęły na kłamstwach! — Syn Latony zamieszkał w niej i opromienił ją dokoła — Na piersiach Zeusa, w cieniu puklerza Pallady, leżało Jej czoło upojone myślami, a morze, a lądy wiosenne, stóp Jej były zakochanem podnożem! Zemsta, zemsta za nią!

Ulpianus. Pojrzyj na ramiona naszej potęgi — wśród groków ich pędu sława Aten, imię Sparty i Koryntu jak

brzęki pszczoł giną w oddali. — One coraz sięgać będą dalej — od wschodu na zachód, one spocząć nie mogą, aż światu całemu stanie się na imię — Roma!

Irydion. Ah! ty myślisz tę starą otchłań na nowo bluszczem uzienić po brzegach, by koście ofiar i lupy kościolów i miecze, wydarte zdradą, niewidziane spoczywały na dnie! Ty sądzisz, że ród bez czci i ducha przywrócisz do sił straconych i rozeszlesz po świecie laurawe! Ty i Cezar twój błogo marzycie — jak starcy, czekający na dzień odmłodnienia, a dzień ten będzie śmiercią waszą —

Ulpianus. Darmo wołasz, bluźnierco! — niewzruszona opoka, na której zgrzytasz, nie słyszy ciebie!

Odrzuciłeś więc miłosierdzie pana twego?

Irydion. Kto panem moim? na ziemi nie znalazłem go — Za stosem, jak stada drapieżnych ptaków, krążą geniusze śmierci — one mi powiedzą, czyj poddany jestem! Ale tu miałem wrogów tylko i braci kilku, co mi wierni służyli — i jedną chwilę boską — krótką, jak szczęk mieczów, co prysną od razu, ale świętą, świętą na wieki!

Nikt z was jej nie podzielił, towarzysze! Ona mną, ja nią byłem cały — pochodnia zemsty gorzała w tym ręku — Miasto poświęcone u stóp moich leżało, tułąc się coraz ciszej pod zawoje nocy. Ah! Nemezis — *(opiera się na posagu Amfilocha).*

Ulpianus. Zbladłeś!

Irydion. Całej krwi waszej zabrakło licom moim!

Ulpianus. Wróżbą ostrzegły cię Bogi. — Ja raz ostatni z urzędu mojego przypominam ci, że wyrok zapada nad tobą. — Czas jeszcze przebłagać Cezara — Roma przebacza pokornym!

Irydion. Takąż naukę z słów moich wyciągnął? Nie odchodź — zatrzymaj się jeszcze!

Euforion, podaj mi poświęconą czare! —

Amfilocha śnieżną pianę Lesbijską wylewam na stopy twoje — przyjm pierwiosni zgonu mojego — Pijcie teraz, bracia, jak męże Leonidasa przed śmiertelnym świtem! Pijcie i bądźcie wolni od złej myśli. *(Zbliża się do ołtarza palącego się między posagiem a ciałem)*

Znak opiekuńczy państwa, błogosławiony wróżbą Augurów i Westalek pieniem, znak od senatu powierzony Cezarowi, tobie, Ojczy, poświęcam i tobie Hellado, matko! Ulpianus. Nie dopuście zbrodni — wstrzymajcie świętokradcę —

Jeśli jest tu jaki obywatel rzymski, niech głosu mego wysłucha! — Życie wam darowanym będzie, przysięgam na Statora i Kwirynta! Stój, zuchwalcze — w tym pierścieniu zapisane imię tajemnicze Romy!

Irydion. Słyszeliście, bracia! *(rzuca pierścień do zgłiszczów)*

Chór. Euge! Euge! Rzymianin toż zarzucił na lica, pierś jego wzdęła się żalem i nie śmie spojrzeć na oblicza nasze!

Irydion. Nim usta moje zavrą się na wieki, ostatnią wolę moją opowiedzieć chcę. — Słuchajcie mnie i przeklinajcie miasto!

Chór. Patrzcie! odbłyskli to żaru, czy promień, zesłany od Bogów, tak wspaniale osrebrzył mu lica?

Irydion. Błada zwycięzcom! — Jako nas chcieli spodlić, tak im podłość narzuconą będzie — i dziecię urodzone w Rzymie i starzec konający w Rzymie i mąż dojrzały, jedno miano będą nosili! — Niewolnik!

Chór. Niewolnik!

Irydion. O Fatum przedwieczne! z nad głowy Bogów wtedy ty podniesiesz stopy i zejdziesz ku dolnym przestworom i niżej jeszcze, ku siedmiu wzgórzom, i będziesz jęzą ich skonu — by one, co wszystko zniszczyły, umierały w obliczu Ciebie, któryś wszystko stworzył!

Chór. Ród ich przepadnie, język ich niech zatracon będzie — Irydion. Ale niech sława o nich żyje w późne wieki — niech powieść o ucisku będzie ich nagrobkiem! — Niech go ludzie potomni czytają i przeklinają po wszystkie dni swoje aż do końca świata!

Chór. Świata!

Podwórzec na wzgórzu przed pałacem Irydiona — Niewolnicy, Gładyatory, żołnierze z pochodniami. — Dymiący stos Elsyno i z boku.

Kilkku. Gdzie bieżysz, Pilades?

Pilades. Do lochów, gdzie cyprysy i sosny. — Pan tak rozkazał!

Inni. Zatrzymajcie go — wyrwijcie mu pochodnię!

Pilades. W tył — nie zbliżać się do mnie — rozstąpić się — Czy nie poznajecie mnie, bracia?

Pomieszane głosy. Rzuć pochodnię — stój na miejscu, jeśli nie chcesz zginąć —

Inni. Tam w dali już leżą orły Arystomacha —

Inni. Z tej strony Tubero się wdziera.

Irydion *(wchodząc)*. Mylicie się ludzie moi. — Tubero przeżył już wszystkie dni swoje! *(wstępuje na podstawę obelisku)*

Coż to znaczy? topory, puklerze na ziemi — Sami w nieładzie stoicie, jakbyście nie wiedzieli, co czynić — Bracia, raz ostatni wołam was do boju, a potem sen i wieczne milczenie! *(chwilę cichości)*

Coż to znaczy? patrzycie ku mnie wzrokiem bojaźliwych — opuszczenie ramiona — przelatujące polski błędna od bladeści liców waszych? — Do bronii!

Jeden z żołnierzy. Wodzu, біłem się od zmroku aż do zachodu miesiąca —

Drugi. Kto ostał się przy nas? jedni leżą bez ducha — drudzy konają w torturach — inni sobie poradzili lepiej — przeszli do Cezara!

Inni. Patrz na rany nasze — ledwo ustać możemy —

Inny. Arystomachus poł żelazca w piersiach mi załamał — Daj wody — wody trochę!

Irydion. Ognia, ognia tylko ci dać mogę!

Wszyscy. Ty okrutny — ty bezbożny!

Irydion. Diomedesie, tyś rodem z Koryntu. — Czy chcesz unieść się przed tymi, którzy Ojczyznę ci wydali? I ty, Lastenes, i ty, Glaucus, i ty, piękny Eutellu!

Chór głosów. Żle, źle nam — mdło i posepnie — co z naszych mąk umarłej ojczyźnie?

Irydion. Chwała, bluźnierce!

Chór. Życia! życia! nie chwały —

Chleba! chleba! nie chwały!

Irydion. Nędzni! słyszałem wasze przysięgi — widziałem wasze zbroczone oręży — byliście dzielnymi kiedyś! — Lecz

teraz, nad grobem, przyszedł na was koniec wspólny ludziom — Nie rozpacz — nie wściekłość — nie zaślepienie — ale hańba podłości!

Chór. Cezar kochał cię niegdyś — podaj nas i siebie do łaski Cezara — czas jeszcze, o Irydionie!

Irydion. I wy myślicie żyć długo po przebaczeniu Romy? — Ja wiem, że niesława nie skróci dni waszych — ale poszła was na wygnanie, kędy piasek zeżre wam stopy, a słońce głowy na węgiel rozsypie; ale poić was będą trucizną na biesiadach świątecznych; ale oskarżać codziennie o nowe zbrodnie! — Kto wejdzie w służbę, tego krew zawczasu wrogom przedana będzie. — Kto zostanie w mieście, ten skona, budując teatru ludowi, i wszyscy zginiecie, jako na was przystało, podle niewolniki!

Jeden z żołnierzy. Co ty nam złorzeczysz, ty, któryś nas zdradził?

Drugi. Obiecałeś zwycięstwo — dotrzyмай!

Irydion. Pilades! pchnij tego, który cię trzyma i idź dalej. — Żołnierze. Głowa twoja skazana!

Drugi. Bracia, zanieśmy ją Cezarowi. —

Irydion. Odrzuciłem tarczę — mierzcie — ale zanadto drżą wam ręce, byście trafili — Ah! biedny mój Pilades!

Pilades. Los twój gorzej mnie boli, synu Amfilocha *(pada trafiony i umiera)*.

Chór. Czy widzisz te orły złote, tę purpurę cesarską? czy słyszysz trąbę legionów?

Irydion *(zeskakuje z podstawy obelisku)*. Każdy z tych mieczów gardło jedno przetnie — ty, nędzny, przejrzyj się w kłindze Sigurda. — ale ani kroku bliżej! — Zdrajco, nie garnij się pod żelazo Tuberona — precz mi z drogi! Ułóżcie ręce do prośby — kolana w bruk wgniećcie — módlcie się do Rzymian! *(przechodzi wśród nich i wstępuje na stos Elsinoi)*

Chór. Synu nieszczęścia, niech krew poległych płynie przed tobą — niech przekleństwa żyjących grzmią za tobą na ciemnych brzegach Styksu!

Irydion. Ojcie, umieram, syt goryczy i krótkich dni moich! Ojcie, ty nie przebaczysz podłym! *(powstaje Masinissa)*

obok stosu) I ty przybyłeś nareszcie — ustap się, człowieku! To nie twoja godzina jeszcze — to moja! Tam idź, idź — tam Cezar ci przebaczył!

Masinissa. Za mną, synu!

Irydion. Nie znam ciebie —

Masinissa. Strzegłem cię wśród walki — ale tyś mnie nie widział — wspierałem w rozpacz — ale tyś mnie nie widział! — Teraz przychodzę cię zbawić!

Irydion. Gin wraz ze mną, jeśliś cnotliwy!

Masinissa. A jeśliś nieśmiertelny? *(poryca go w objęcia)*

Irydion. Czemuś jesteś?

Masinissa. Bogiem! *(zapada z nim)*

.....

Szczył góry — Rzyna w mglistej oddali — z drugiej strony morze. — Masinissa, Irydion oparty na jego ramieniu.

Irydion. O ty, którą kochałem dla mąk twoich, Hellado, Hellado, czy byłaś tylko cieniem? Chmuro miłości mojej, czy ty odchodzisz na wieki? Wróg twój, jak wprzódy, stoi niewzruszony i marmury wyszczerza przed słońcem, jak białe kły tygrysa! — Po co mnie byc tutaj? gorączka pali głębie czoła mego — myśli toczą mi duszę, jak robaki trupa! *(zsuwa się na murawę)*

Masinissa. Odśwież siły w mgle poranka — pij chłodne powietrze i światło —

Irydion. Jak ogniwo do ogniwa, do mojej dłoń twoją spiąłeś i przywlokłeś mnie, ale człowiek raz tylko żyje — ten ras przyszedł dla mnie — ja skonałem wczoraj —

Masinissa. Synu! zawód twój nie skończył się jeszcze!

Irydion. Nie dręcz mnie. — Ojciec mój umarł w twoich ramionach — siostra skonała w pałacu Cezarów — Ja u stóp twoich dogorywam. — Czyż nie dosyć tobie? *(podnosi się narpół)* Niewinna, którą ci poświęciłem, rozplynęła się w powietrzu na żalonne jęki — głos jej drga w uszach moich — krzyż jej widzę na błękitach! Ah! gdyby jej Bóg żył nad wszystkimi bogi — gdyby on był jedyną prawdą świata!

Masinissa. Cóżbyś wtedy uczynił?

Irydion. Umierając z tem prysniętem żelazem w dłoniach, wezwałbym jego!

Masinissa. Ojczy, któryś jest w niebiesiech, daj długich dni Romie! przebacz tym, którzy mnie zdradzili! — Zbaw tych, którzy po wszystkie czasy nekali rodziną ziemię moją!

Irydion. Nie — «Ojczy, któryś jest w niebiesiech, ukochaj Helladę, jak ja ją kochałem!» — Opowiedz mi w ostatniej godzinie, Masinisso, ty, który mnie zwiodeł, ty, któryś mi obiecał tyle, ty, na którego Ionie głowa moja w dzieciństwie zasypiała — ty, który w tej chwili stoisz nademną, jakbyś światu rozkazywał, o, mów, patrz, mieszają się myśli Irydiona, prędzej, mów prędzej, czy Chrystus jest panem nieba i ziemi?

Masinissa. Sam wyrzekłeś!

Irydion. A więc świadczysz Jemu?

Masinissa. Jak wróg nieśmiertelny nieśmiertelnemu wrogowi! Dzisiaj on władnie starem niebem i zgrzybiałą ziemią — ale są przestwory, kiedy imię Jego zmazane, jako moje starte w niebiesiech. — Są światy nieskończonej młodości, pracujące w bolach i w odmie, słońca bez blasku, przyszłe bogi w okowach, morze nie nazwane dotąd, wezbrane wiecznie ku szczęśliwym brzegom! — A on już ustal, już zasiadł na tronie i rzekł: «Jestem» i opuścił skronie!

Nie zaprzeczam Go — widzę Go — czy moje, ranne Jego blaskiem, odwracają się ku ciemnościom, ku nadziejom moim! — Z nich będzie zwycięstwo! — Wybieraj —

Irydion. Statek żelaznego cierpienia czerni się na czole twojem — ale wśród tych zamrszczków pokaż mi nadzieję — Nie — nie — ty z toni wieków nie podniesiesz się nigdy! Tyś zwiódł mnie i zgubił!

Masinissa. Nie opuszczaj mnie, jako ciebie opuścili nikczemni. *(poryca go z ziemi)* Stań nad przepaścią — wejrzyj ku miastu nienawici twojej! Czy wiesz, kto je wyrwie z rąk braci twoich, kiedy, według przepowiedni Grimhildy, przyjdą rozorać Italię na bruzdy krwi i zagony popiołów? Czy wiesz, kto zlatującą purpurę Cezarów podchwyci w powietrzu? Nazaareńczyk! — I w nim zdrada senatu i w nim

okrucieństwo ludu żyć będzie niestartą spuścizną — Włosy jego białe i serce nieublagane, jak u pierwszego z Katonów — mowa tylko czasem niewieścia i słodka — U stóp jego zdziennieją mężę północy i On drugi raz ubóstwi Romę przed narodami świata!

Irydion. Ah! żądałem bez miary, pracowałem bez wytchnienia, by niszczyć, tak, jak inni żądają bez miary, pracują bez wytchnienia, by kochać i błogosławić przy zgonie temu, co kochali za życia! — Ah! a teraz ty konającemu zwiastujesz nieśmiertelność Romy!

Masinissa. Nie rozpaczaj — bo przyjdzie czas, w którym cień krzyża spieką się wyda narodowi i on darmo wyczęży ramiona, by raz jeszcze odchodzących przytulić do łona. — Jedni po drugich powstaną i rzekną: «Nie służyliśmy wyczej!» — Wtedy u wszystkich bram miasta słyszane będą skargi i narzekania — wtedy geniusz Romy znów twarz zakryje i płacz jego nieskończonym będzie — bo na Forum same prochy zostaną — bo na Cyрку same gruzy tylko — bo na Kapitolu sama hańba tylko! — I przechadzać się będę po tych błoniach, wśród trzód odzickich i białych pasterszy, ostatnich mieszkańców Romy — i walka moja na ziemi zbliży się do końca!

Irydion. Znow serce mi bije. — Ah! dzień ten czy daleki jeszcze?

Masinissa. Sam ledwo go przeczuwam!

Irydion. O Amfilochu, więc sen twój był tylko marzeniem — tylko cieniem, odbitym od późnej przyszłości — i, jak za wczesną igraszkę, rozbili go losy! (*do Masinissy*) Odejdź! — Ni tobie, ni Bogu żadnemu nie oddam duszy mojej — na tej skale, patrząc w oczy Romy, umrę, jako żyłem w samotności ducha!

Masinissa. O synu słuchaj mnie!

Bładość liców twoich odrzucę nazad śmierci — Ognisko siły na nowo w sercu twojem rozpalę — Dam ci niepamięć przeszłości — dam ci niewiedzę przyszłości!

Irydion. Precz ode mnie!

Masinissa. Dam ci żądź tysiąc i sił tysiące. — Umarłych piękności wskrzeszę ci kształty — każda, nim się roze-

mdleje, spali się w twoich uściskach — i Helena Trojańska i Idalska Venus i Ptolomeów córka —

W przejrzystej fali, w ogniu promienia, w czarnej, twardej ziemi, jeszcze będą tchnienia rozkoszy dla ciebie!

Irydion. Nie kuś mnie!

Masinissa. W dalekich stronach wydzielę ci plemię, posłuszne w progach pałacu, dzikie w dniu bitwy. — Wśród czarów pochebstwa ukochasz siebie, jako Helladę kochałeś. — Zgrozą króla i miłością króla upoję cię, synu! Aż przyjdzie, aż znów mój znak położę na tobie i rzeknę: «Czas wrócić do walki!»

Irydion. Nie kuś mnie! albo rozłam w gruzy sklepienia, których kamień każdy przeoknałem — Ha! jesteś potężny, choć raz wynijdź w pole! —

Masinissa. Na dzisiaj próżna prośba twoja!

Irydion. A więc tobie na dzisiaj nie być panem moim!

Masinissa. Słuchaj, słuchaj mnie jeszcze!

Irydion. Słaby geniuszu, w twoich skarbach niema nic dla Irydiona! — Umierając gardzę nim i tobą!

Masinissa. A jeśli wieki zniszczą dla ciebie?

Irydion. Co?

Masinissa. Jeśli cię wyrwę z pośród pędzących fal czasu i złożę na miękkim brzegu, uspię cię na lonie nicości i zapomnienia — aż do chwili, w której te wieże rozrzuć i wbiję do ziemi? — Jeśli wtedy obudzę cię takim, jakim dzisiaj jesteś?

Irydion. W Rzymie, po latach wielu?

Masinissa. Tak, by dopełniła się jedyna żądza twoja, byś deptał ruiny i popioły!

Irydion. Ale nie, kiedy płomienie wrzeć będą — nie, kiedy bracia matki mojej zatrabują w rogi swoje na siedmiu wzgórzach.

Masinissa. Kiedyż więc?

Irydion. Kiedy na Forum będą prochy tylko!

Kiedy na Cyрку będą koście tylko!

Kiedy na Kapitolu będzie hańba tylko!

Masinissa. Ale wtedy, synu...

Irydion. Będę twoim —

Dokończenie.

637) O myśli moja, ty przetrwałaś wieki! Ty senną byłaś w dniu Alaryka i w dniu wielkiego Atylli — Ni brzęk korony cesarskiej o twarde czoło Karla, ni Rieuzi, trybun ludu, nie obudził ciebie! I święte pany Watykanu jeden po drugim przesunęli się przed tobą, jak cienie przed cieniem! Ale dzisiaj ty powstaniesz, o myśli moja!

Dzisiaj w Kampanii rzymskiej słońce wrzało nad pustynią i posepnie teraz u brzegów pustyni zachodzi. — Nad płożonym piasków, nad sitowiem bagnisk, nad samotnymi sosnami wzgórzów, nad cyprysami dolin, już kołują cienie. — Gwiazda wieczorna, dawnych ludzi bogini, żalobnie się wznosi i z nią kilka łez rosy tu i ówdzie pada. — Tylko na morzu jeszcze w krwawych polyskach gra kipiąca piana. —

W powietrzu skwar i milczenie — chmury żadnej, żadnego powiewu; a głębie się wzruszyły i pełnymi bałwanami, piersią purpurową, jęknęły ku niebu — Ten, który zamieszkał w otchłani, ten, który obiecał, stanął na wirach fal i stopą, czarniejszą od nocy, gniół niewolnicie swoje. —

Od jego postaci luna wzbija się, jakby drugie słońce zaczęło. — Od jego ramion stacza się mgła na dalekie wody. — On idzie samotny i, jak przed wiekami, z nieśmiertelną starością na czole. —

A kiedy dosięgł lądu, odetchnęło morze i w zmierzchu znikane usnęły bałwany. — On szedł dalej. — Górom Sannickim ślad swój zostawił na szczycie i zstąpił ku brzegom jeziora. — Tam w półdnie jego czarów, o Synu Zemsty! budzić się zaczęło życie twoje. —

Waż, co strzegł stóp twoich, zadrgnął i zdał się przeczuwać powrót pana swego. — Wzmogło się światło lusk bladawych — roztoczył sploty i na marmury łoża z nich spłynęły się iskry. — Wspiął się w górę i czeka teraz, jak gorejąca pochodnia. A w jej blaskach jaśnieją czarne głązy i spiekłe rysy twoje!

Zrazu polysk czucia tłał ci na czole, jak ognek nocny nad grobem — ale od progów jaskini glosy uroczyste, witając cię po imieniu, wnoszą pieśń życia twego i za każdym ich ustaniem jedną siłą zmartwychwstajesz więcej. — I dana ci wiedza

lat, zbiegłych od chwili zaśnięcia twego. — Gdyby dzieje dnia jednego, ujrzałeś wszystkie meki Rzymu i tryumfy Krzyża.

Wszystkie, wszystkie, naokoło ciebie, wrą ognistymi barwy — I kopyt tenty i chrzęsty pancerzy i brzęki dzwonów i odgłosy hymnów przelatują nad tobą, jak przeleciały nad snem twoim. —

Umarłe biskupy ciągną się długimi rzędy — przed każdym idzie król jeden i na plecach swoich roztwartą, świętą księgę niesie. — Na siedmiu wzgórzach, z dołu w górę i z góry na dół, ciągle jednemu kołem idą i wracają. — Jednym anioły wieńce kołyszą w powietrzu — drudzy samotni, z znakiem zbawienia w rękę, z mieczem wojny u boku i czarą trucizny w lewicy!

A im bliżej obudzenia twego, tętno mniej orszaku, tem głuchsze stapania, tem bielsze głowy panów Rzymu i bardziej drżące ich dłonie. — Wtedy ponad wszystkie śpiewające glosy wznosił się jeden, pelen sił i rozkazów — głos, który nie dochodził niebios, ale któremu ziemia odgrzmiewa w wnętrzościach swoich, i ten głos zawolał: «O Synu!»

Wtedy na szybach jeziora, na darni brzegów, na sklepieniu jaskini, błysnęło — i piorun powtórnego życia uderzył cię w łono i, jakoś był młody i jakoś był piękny przed laty, powstałeś na łożu! — I gorzej oczy twoje spotkały za pierwszym spojrzeniem bladą twarz Cyntyi, na szczytach Łatyńskich — i odparł: «Jestem!» a on skinął dłonią i prowadzi ciebie. — Stapań — Stapań — powtarzają echa — jedno po czarnych wąwozach, jak dwie czarne chmury, żęglują wasze postacie.

Stanąłeś w Kampanii rzymskiej — Przed twoim wzrokiem ona nie ma czem zakryć hańby swojej — gwiazdy migają, jak tysiąc złotych wspomnień i uragań. — Czarne wodociągi idąc ku miastu, nie znachodząc miasta, stanęły — opadły z nich głązy leżą pogrzebnymi stosy — Tam powój się rozwekł, przysypan kurzawą — tam radzą ptaki nocne i jęczą!

Pojrzał syn wieków i uradował się w sprawiedliwości zemsty swojej. — Każda ruina była mu nagrodą; i niziny, wdowy amfiteatrów, i wzgórza, świątyń sieroty — Z lekkich stóp swoich otrząsał proch i perzynę tam, gdzie cyrk Karakalli, tam, gdzie mauzoleum Cecylii, żony Krassusa. — I ulicą grobów starodawnych wiódł go straszny przewodnik do bram Rzymu. — One same się roztworzą — nie słychać zgryznięcia zawiasów. —

Weszli. — Straże nagle usnęły oparte na broniach. — Oni przeszli, jak cienie!

I wśród długich, samotnych kaplic ciasna im droga się wije. —

O nocy jedyna, ostatnia! O nocy miłości mojej, coś słonecznego w twoich blaskach jaśnieje! — Nad każdą ruiną zasłone cieniów rozzdzierasz — i truchlejąca, naga, wydajesz wrogowi. — Twój księżyc, nędzne domy i nędznych, rzadkich mieszkańców, wytyka szyderstwa promieniami!

W krużganku bazyliki stoi dwóch starców w purpurowych płaszczach. — Żegnają ich zakonnicy imieniem ksiąg Kościoła i ojców — Na ich twarzach wryte ubóstwo myśli — Wsiadli do powozu — czarne, schorzałe konie ich ciągną — i z tyłu sługa z latarnią, jaką trzyma wdowa nad dzieckiem, konającym z głodu, i na ramach u okien i na listwach u dołu ostatek pozłoty! Minęły zwolna jęczące koła, siwe głowy wychylone zniknęły. «To następcy Cezarów, to rydwan kapitolifskiej Fortuny», rzekł przewodnik, a syn Grecyi pojrzał i klasnął w dłonie. —

A teraz strumą pochyłością, sadzonymi schody, wstąpili na puste dziedzińce — Pośrodku posąg Aureliusza na koniu, z wyciągniętą dłonią w próżniach powietrza. — Cezar bez poddanych — Tryumfator bez pieśni — a z tyłu czarne tło murów Kapitolu!

Obok skały Tarpejskiej, ułamkiem miecza, wracający na ziemię po latach tyłu, zostawił znak swój na czole najlepszego z Cezarów — I dźwięk greckiego żelaza o spież rzymską rozległ się, jak dzwonu uderzenie pogrzebne, ostatnie! i z nad szczytów zamku odparł żalony krzyk sowy i z odległych ulic odparło skowyczenie psa, błędzącego po innych ruinach!

A przez *Via sacra*, przez drogę zwycięstw, stopniami ze żwiru i błota zeszli ku Forum. — Łuk Septymia Severa, aż po piersi, i świątyni ostatnie kolumny, aż po szyję, zakopane w ziemię, wystają jak głowy potępieńców. — Inne nie tak zagrzezły, stoją wysoko, samotnie, wysmukłością szkieletów. —

Ich kapitele, kwiaty, ich liście akantu, co tak białe, tak nieznosnie tobie świeciły przed wiekami, dziś, jak zbrudzone włosy na czole włóczęgi; dziś, na pół pęknięte marmury ich kibici idą w proch, jak fontanna w kropie. — I nie mogłeś nic poznać, nie nazwać w godzinie tryumfu twego!

Tam, pod resztą portyku, dwóch nędzarzy śpi pod lachmanami płaszcza jednego — W księżycowej bladeści ich twarzy, jak dwa glazy grobowe — jaszczurki ślizgają wśród ich ramion splecionych — a teraz, jak liście jesienne przed wiatrem, uciekły przed tobą. —

Powitałeś ostatki ludu rzymskiego na Forum! — Przechodząc, trąciłeś ich nogą — oni się nie przebudzili!

Przewodnik wskazał ku ulicy drzew zgrzybiałych. — Tam cień Palatynu leżał na ziemi, tam bogów pochwartowane ciała się walały i bohaterów rozpadłe piersi z jaspisu, z porfiru. — Tam bramą Tytusa, pękniętą, zlepioną, jak ogromna rana, przeszli znów na jasne miejsca, puste i strokane. — Tu wydało się temu, który zmartwychwstał, że Koluśm dotąd stoi cało, ale starzec głosił jeszcze się rozśmiał — i wziął go za rękę!

Na milczącej arenie, na piasku srebrnym, wśród arkad, przemienionych w dzikie skały, z bluszczami i wierzecholków, szszeliniami w łonie, tyś podziękował losom za spodłą Romę! —

Tu miał być koniec pielgrzymki twojej — stąd miałeś pójść, kędy miliony — — —

I wszystko, coś widział nigdyś, wszystko, czego częścią bywałeś, wróciło ci na pamięć. — Tam był tron Cezarów! — Ozwwały się w myśli twojej trąby, piszczałki, poklaski, przekleństwa. — Słonica tylko niema, niema purpurowej obłony, co powijała na wierzecholkach Cyrku — Księżyc blade świeci nad tłumem wskrzeszonych, przechodzących, niknących. —

Z nich wszystkich został się głos hymnu, słyszanego nigdyś — To «nigdyś» było wczoraj — tu wczoraj — skonał Nazareńczycy! — Ich twarze były pogodne, jak wieczór letni — I otóż na miejscu, na którym padli, krzyż czarny stoi dzisiaj, drewniany, cichy, na środku areny — Od jego spokojnych cieniów odwrócił przewodnik ponure oblicze. —

Ale w tobie dziwne uczucie się budzi — nie litość nad Romą — bo jej żaloba ledwo za jej zbrodnie staje — nie strach obranego losu — ty zanadto cierpiałeś, byś mógł się lękać — nie żal matki ziemi — boś miłości życia wśród smu wiekuiestego zapomniał — ale jakieś wspomnienie twarzy dzwiczwej — jakiś smutek nad tym krzyżem, którym dawniej pogardziłeś, boś go daremnie chciał zaostrzyć w żelazca!

chatach ubożego i po zniszczonych pałacach wygnańców — poznasz ją po jękach aniołów moich, przelatujących w nocy.

«Idź i zamieszkać wśród braci, których ci daję! — Tam powrotna próba twoja — po drugi raz miłość twoją ujrzyś przebitą, konającą, a sam nie będziesz mógł skonać — i męki tysięcy cwoć wcielią się w jedno serce twoje!»

«Idź i ufaj imieniowi mojemu! — Nie proś o chwałę twoją, ale o dobro tych, których ci powierzam — Bądź spokojny na dumę i ucisk i natrząsanie się niesprawiedliwych — oni przemina, ale ty i słowo moje nie przemienicie!»

«A po długim męczeństwie zorzę rozwiędę nad wami — udam się do was, czem aniołów moich obdarzyłem przed wiekami — szczęściem — i tem, co obiecałem ludziom na szczycie Golgoty — wolnością!»

«Idź i czyn! choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich — choć zwątpisz o braci twojej — choćbyś miał o mnie samym rozpaczać! — Czyn cię ciągle i bez wytchnienia! A przeżyjesz marnych, szczęśliwych i świętych, a zmartwychwstaniesz nie ze snu, jako wprzód było, ale z pracy wieków — i staniesz się wolnym Synem Niebios!»

I weszło słońce nad ostatkami Romy — i nie było komu powiedzieć gdzie się podziały ślady myśli mojej — ale ja wiem, że ona trwa i że ona żyje!

G) Modlitewnik.

Pisany dla p. Bobrowej w ostatnich latach, przed ostatecznym zerwaniem z nią stosunków, a więc zapewne w roku 1836 lub następnym, jest wcalewie odbiciem kryjących się w głębi, owładniętej pesymizmem, duszy poety, uczuć i wierzeń chrześcijańskich, słabnących i wznagających się narzeczaniem.

Podajemy tu najważniejsze i najpiękniejsze ustępy.

Litania.

638) Gdybym straciła wszystkie uludy i pociechy, jeszcze-bym Tobie ufała, Panie!

Gdyby ludzie, co mnie winni przywiązanie i opiekę, powstali na mnie, jeszczebym Tobie ufała, Panie!

Gdyby świat mnie odrzucił i szarpał, jeszczebym Tobie ufała, Panie!

Gdyby serca, którym zawierzyłam, mnie oszukały i zdradziły, jeszczebym Tobie ufała, Panie!

Gdybym przytulku w żadnej duszy znaleźć nie mogła, jeszczebym Tobie ufała, Panie!

Gdybyś spuścił na mnie złość ludzką i boleść serca i boleści ciała, jeszczebym Tobie ufała, Panie!

Gdyby dzieci moje zapomniały o miłości mojej, jeszczebym Tobie ufała, Panie!

Gdyby ci, których mieniłam szlachetnymi, spodlili się, jeszczebym Tobie ufała, Panie!

Gdybyś dom mi odjął i piękność i dobra moje ziemskie, jeszczebym Tobie ufała, Panie!

Gdybym żyć musiała samotna, opuszczona, bez dźwięku jednego wesela, bez słowa jednego litości, jeszczebym Tobie ufała, Panie!

Gdybym konała bez ręki, coby mi ostatni raz moją ścisnęła — bez pożegnania niczyjego — jeszczebym Tobie ufała, Panie!

Boś ty miłością pierwszą, Jedyną, najwyższą — bo wszystkie miłości serc na ziemi są tylko strumykami, płynącymi od morza jasności Twojej, bo Ty mnie zbawisz, kiedy dni moje się przeliczą, i pocieszysz stroskany duch mój, któryś zesłał w to ciało moje na znikomą chwilę — bo Ty nie opuścisz dzieła rąk Twoich, myśli Twojej, córki Twojej, tu płaczącej i jęczącej ku Tobie. — Amen.

Z modlitwy za siebie.

639) Samotnie mi na tych padolach — często wysycha mi dusza i lży żadnej niema w oku mojem.

I nadzieją, zda się, gaśnie we mnie i wiara w potęgę Twoją przemaga nad wiarą w miłosierdzie Twoje.

O, oddal ode mnie strach sądów Twoich! — Niech cię zawsze kocham i coraz goręcej niech wyciągam ramiona ku Tobie — W miłości Twojej niechaj będzie otucha moja — nie bojaźń w przemocę Twojej!

Wszak ja myślą Twoją serdeczną, którąś ukochał przed

laty i którą kochać będziesz zawsze — dlategoś mnie obdarzył wolnością.

Gwiazdy i ślepe skały, i martwe siły natury poczęły się w rozumie Twoim — w konieczności mądrości Twojej — ale ja poczęłam się w sercu Twojem — na chwilę znikomą oderwałam się od niego — poszłam na pielgrzymkę — i w nieutulonym żalu wdycham do rodzicielskiego domu.

Żal mój, o Panie, to niezrozumiane marzenia moje; to wyrywanie się duszy mojej ku wszystkiemu, co piękne; to walka moja z przeszkodami, które mnie dziela od Ciebie; to przykrości, nieszczęścia i smutki ziemskie.

Żal mój, o Panie, to tajemnica, która zewsząd mnie otacza; to zwątpienie, które mnie czasem dręczy; to niespokojność, która mi nigdy spocząć nie daje; to niecierpliwość, która mnie odrywa od tego, co zrozumiałam, ku temu, co nie pojmuję.

Kwiat nie marzy, nie płacze — rośnie i rozkwita bez nadziei, umiera bez rozpaczki. — Żadna myśl mu nie przyjdzie, bo on cząstką nieustanną Rozumu Twego. — Tyś go stworzył, ale Tyś się nie rozmiłował w nim.

Mnie dałeś *być przez siebie samą*, na podobieństwo Twoje — mnie ukochałeś sercem Twojem — nie chciałeś, bym żyła bez wiedzy, że żyję.

Dziwnie przez mękę Swoją wyszlachetniłeś mnie, Panie!

I dlatego ku Tobie dążę bez wytchnienia — poczuwam się, że jestem częścią Twoją i sobą zarazem.

Żeś mnie wyrwał z Siebie, jako kwiat wyrwał, ale żeś mi dał życie i kształt własny na wieki.

Modlitwa w chwili zwątpienia.

640) Strach mnie ogarnia, o Panie!
Coraz ciemniej wokół mnie.

Zmierch jakiś nieskończony otoczył mnie.

Jako bywają dni na początku zimy, mroczne, słotne, strasne: takimi dzisiaj wszystkie myśli moje.

Wspomnę o przeszłości i smutno mi jest.

Pomyślę o jutrze i smutniej mi jeszcze.

Dzieci wbiegną do pokoju, rzucając się w moje objęcia: a ja ich nie czuję.

Ich uściski jakoby nie były dla mnie.

Ich uśmiechy jakoby nie były dla mnie.

Z miejsca ruszyć się nie mogę. — Leżę godziny całe, a w sercu mojem coraz głębsza pustynia.

Ku niebu spojrzę i ciężkie chmury widzę i ból ściśnie mi duszę.

W oddali białość śniegów oczy mi razi.

Zimno mi, czarno, nieznosnie, o Panie!

Żeby choć jedna iskierka otuchy — choć jedno kolniecie nadziei!

Szum wichru jeden tylko rozmawia ze mną.

Świsty jego rozdzierają mi serce.

Zda mi się, jakoby jęczeli ci, których znalazłam kiedyś, zda mi się, jakoby na świecie całym był tylko płacz jeden wielki.

Tulę się w zwoje płaszcza mego i nie mogę zasnąć.

Czolo wciskam w wezłowie, by nic nie widzieć, nie nie słyszeć: a nie mogę zapomnieć.

Kroki ludzi dolegają mi — glosy ludzi dolegają mi — twarze ludzi męczą mnie!

Com kiedy widziała świetnego i pięknego, nie chce wrócić mi na pamięć.

Com zaznała gorzkiego, gromadzi się wokół mnie.

Wszystko, co lubiłam, obmierza mi, Panie.

Strun ledwo dotknąć się mogę — ich dźwięki rozdzierają mnie.

Pieśni, które kochałam, uciekają z pod palców moich.

Gdzież jestem? gdzież mijają chwile życia mego?

Czy to ziemią nazywa się, Panie?

Czy ja — to stworzenie rąk Twoich, Panie?

Czy ci, którzy mnie przesładują, to także syny Twoje, bracia moi?

Czy przestwór ten, taki szary, taki martwy, to niebo, Panie?

Czy świat ten, taki nieczuły, lekkomyślny, to świat miłości Twojej?

Czy lata, które przeżyłam, były snem, Panie?

Czy boleści, których doznałam, były jawem, Panie?

Czyż ja w tej chwili już umarłam, Panie, i pokutuję za winy moje?

Czyż pokuta długo trwać będzie, Panie?

Czyż światło nie zabłyśnie nad tą, która wyszła ze światłości stoku, z łona Twego?

Ciało moje i dusza moja wołają o litość do Ciebie.

Dusza w ciele tem mojem rozciągnięta, jak na łożu boleści.

Konają oboje, a umrzeć nie mogą!

Z ich powiązania, z ich wspólnych uczuć dawniej, została się tylko Jedność Cierpienia.

Zda mi się czasem, że jako mgła rozplywają się kształty moje.

I że to, co myślało we mnie, zasypia na wieki!

Zda mi się czasem, że w ogniu palą się ręce moje, że gorączka dziwna krąży pod moimi skroniami.

I że to, co czuło we mnie, dzięki hasać zaczyna. — Gdzież Ja się podziewam wtedy, o Panie?

Świat inny od tego, w którym mi żyć kazaleś, objawia się mnie.

Straszne Jego postacie i głosy — nie — nie — Tyś nigdy takich nie stworzył.

Tyś stworzył piękne kształty i szczęśliwe Duchy.

Tyś stworzył męczenników, idących wśród prób ku chwale Twojej.

Aleś potępionych nie pomyślał nigdy.

Ale tam, gdzie Ty panujesz, niema wiekuiestej męki.

W obliczu miłości Twojej gdzież na wieki wieków utrzyma się ból ciała lub Ducha?

O Panie, Panie, kiedy szaleństwo rozum mój rozdziera, ja bluźnię Tobie!

Kiedy wśród nocy drzę wszystkimi członkami przed wrogiem Twoim, ja bluźnię Tobie!

Kiedy marzę o płomieniach piekiel, ja bluźnię Tobie; kiedy od Twego lica, od niebios Twoich, lękam się, bym nie poszła na wygnanie wieczne: ja bluźnię Tobie!

Wtedy ja książęciu świata — ja Duchowi Złego hold składam — o, daruj mi, Panie!

Daruj, daruj mi, o miłości moja!

Z Modlitwy (Przebudziwszy się w nocy).

Urywek.

641) Daj mi zasnąć na podobieństwo braci moich! — I innym, co przechadzają się w tej chwili, w milczeniu rozpaczy, co stali się żyjącymi grobami, co nie mają przytulku przed własnymi myślami, daj na chwilę wychnąć, ochłonąć w miłosierdziu Twojem!

Proszę Cię za nimi, Panie, i za sobą!

Ah! są straszne chwile, Panie, za silne na stworzenia Twoje! — Zdaje im się wtedy, że wszystko wymarło w ich duszach — że nadziei niema nigdzie, nigdzie, Panie!

Wtedy wstają wśród nocy i błądzą — szczęśliwi jeszcze, kiedy im iza do ocz przyjdzie, kiedy kamień serca się roztopi. — Ale ci, którzy zestarzelisi się boleścią, płakać już nie mogą. — Im wiecznie ciężko.

Wtedy wstają w nocy i błądzą — po czarnych ścieżkach, po gruzach ich długie przechadzki.

Księżyc już ich razi światłem swoim — nie usiądą nigdzie, bo nigdzie nie mogą spocząć.

Przed zamkniętymi kościołmi Twymi przechodząc, znak krzyża kreślą w marnem powietrzu i idą dalek.

Myśli ich wraz z niemi.

A myśli ich jako tęskne dźwięki, jako wiry burzliwe, jako plasek wrzący pustyni.

Ptaki nocne, oplecione szumami wichrów, gonią za niemi; z sitowia bagien, z pod galezi cyprysów, z nad piolunu dolin wznoszą się głosy, co im wspominają przeszłość, co im wrożą nieszczęście.

Wrócićby chcieli tam, gdzie byli kiedyś.

O Panie, zeszlisi im anioła stróża!

H) Noc letnia.

Napisana r. 1837, ogłoszona drukiem wraz z «Kusą» w Paryżu roku 1841. Podajemy tu ustępy, charakteryzujące artystm utworu i odtwarzające przeżycia twórcy, a mianowicie stosunki z panią Bobrową i wiążące się z tą miłością kolizye z zamiarami i pojęciami ojca poety.

642)

Jeżeli dotąd jedno dumne jeszcze
 Bije gdzie serce na tej smętnej ziemi,
 Za to samotne lub w walce z innymi,
 Że się natchnęło w myśli święte, wieszczę, —
 Za to potwarzają ścigane dokoła,
 Że nad sąd ludzi i praw ich zawziętość
 Przeniosło swoją nienawiść lub miłość,
 Nienawiść podłych — lub miłość anioła;
 Jeśli to serce, co wiele kochało,
 Jeśli to serce, co wiele cierpiało,
 Dzisiaj, na kształt głazu, ścięripło i zlodniało,
 Lecz wrakom tylko, na zewnątrz, bo skrycie
 Tli w jego wnętrzach nieśmiertelne życie,
 I żadna krzywda ludzka nie wyziębi
 Skry, spadłej z niebiosa, co wroć w jego głębi —
 Jeśli to serce w samotnej żałobie,
 Jak grób zamknięty, tak zamknięte w sobie,
 Na świat spogląda nie mićiwie, nie hardo,
 Lecz z przebaczenia anielską pogardą —
 — Gdziekolwiek jesteś, o serce mi znane,
 Serce niewieście i prześladowane!
 Gdziekolwiek jesteś — z bliżka czy z daleka,
 O serce dumne, o serce stroskane,
 Weź to, co przyjąć możesz od człowieka:
 Weź pieśń, po pieśni poznasz we mnie brata;
 Ta pieśń z innego — tak jak i ty świata! —
 Za to, żeś, Siostrzo, w fałszu nie uwierzyła,
 W bożyszcze złota i w marę próżności,
 Gdy świat ten zastąpił do grobu podłości,
 Za to, żeś z światem w ten grób nie zastąpiła
 O tej nikczemnej dziejów ludzkich dobie,
 W świętem współczuciu i w świętej miłości
 Tę pieśń mej duszy ja poświęcam Tobie!...

Varenna, 1840, 15 sierpnia.

I.

643)

Wiedziałem, kiedy ją wiedli; — w białych szatach, z wieńcem na głowie szła w przerażeniu. — Kościół stał, jako ciemny cementarz, przed jej oczyma. — Wszyscy się uśmiechali z radości, starzy i młodzi. — Dzieci, za aniołków przebrane, potrząsały kwiatami. — Sam biskup i powierne kapłany wesółym patrzyli wzrokiem, w sutych dalmatykach. — Lud się cisnął

sandroszcząc i chwając i życząc. — Ona jedna tylko milczała, a spuszczeni oczyma, oparta na rękę służebnic.

I w jej kibici coś znikającego, bezsilnego było. — I w jej zrzeceniach niejasno przebiegał promień duszy. — I z jej ust, nieco rozchyłonych, trudno się domyśleć, wyjdzie-li modlitwa czy skarga? — Idąc wzdłuż kaplic, podnosiła rękę i przeżegnać się chciała, pół-krzyżę tylko kreśliła w powietrzu; — przed obrazem Bogarodzicy skloniwszy głowę, znać przyklęknąć miała, lecz sił jej nie stało i szła dalej ku wielkiemu ołtarzowi, a wielki ołtarz stał w głębi, podobny do grobu.

Tam ojciec czekał na nią w kole krewnych i powinnych, z dumą w oku starem. — I słusze miał prawo do pychy, bo cudniejszem dzieckiem nikomu Bóg nie opromienił schyłku życia. — Ona dotąd była, jak najmlsna gwiazda, nad jego zstępującą drogą; dziś tylko pierwszy raz w życiu zamglona — lecz on nie zważał na chwilowe zaćmienie, bo w tej dobiejącej godzinie wszystkie jego marzenia dopełnić się miały. — Rzekł więc do otaczających: «Patrzcie, jak niewinna drży w niewiadomości szczęścia swego!» — i sięgnął wzrokiem tak, jak kościół długi, by ujrzeć, ażali nie przybywa pan młody — siwe brwi zmarszczył, nie dostrzegłszy go nigdzie.

Ale wnet znów miał spokojne i pogodne czoło. — O! złudzenia starców, jak posągi ryte z glazu, pośród ich dusz stoją — chyba śmierć je rozłamie, lecz nie strąci ich żadna przestroga na ziemi! Kto młody, ten malowne sny widzi w powietrzu. — Tęcze nad nim się krzyżują i znikają, wiara, na przemian, precz idzie w zwątpienie. — U bliższych grobu twardsza nadzieja i żądze, przewane rzeczywistości imieniem. — Między prawdą a nimi stanęła opoka doświadczenia — siedzą na niewruszonej, a strumienie życia, morza fal grających, pędzą tymczasem i mijają w dole!

Tam zwichnięte stery, poszarpane żagle, opadłe wieńce i serc spalonych popioły, wiecznym wichrem gnane, tłoczą się i giną w oddali! Tam gwiazd dżdże nieustannie z głuchym gasną szumem, a wszędzie modre szydzą piany, i w nieskończoność garnie się rozbitcie. — Lecz im nic do tego — sami wrośli w skałę i domy budują nad huczącą głębią — każda fala, co przelewa się w drugą, wydaje się im ołtarzem szczęścia i po-

koju — potem córom i synom ludzkim każą ślubować na wierność przed nim! — Ha! nim ci domówią przysięgi, już ołtarz pod drugim widnokregiem płynie!

Teraz oblubieniec wpadł do kościoła, rzeźki i hoży, z drugą pysznie ubranych, sam w narodowym stroju — lecz naród jego nie był starca narodem. — Tłum rozigina się na prawo i lewo, niskiem witaając go czolem; — ledwo raczył niektórym się odklonić i, dzwoniąc o marmury posuwającymi krokami, stanął przy narzezonej, kłęczącej już teraz. — Ona nie zdołała powstać. — Ojcu jej znikomie usta na ramieniu złożył, potem rozmawiali przyciszonym głosem, starzec z królewską powagą, młodzieniec hasając rękoma. — Zwolna zbliżył się tymczasem biskup i zwolna zapalono gromnice na ołtarzu. — Wielkie w tej wielkiej świątyni stało się milczenie — na wieki rąk dwoje, dusz dwoje, połączyć się mają. — Dreszcz uroczysty rozbiegł się po wzdach!

O szyby różnobarwnych okien rozplnił się promień za chodzącego słońca. — Zdało się przez chwilę, że tam krwi potok płynie i pluska, aż zniżył się i skonał wśród zmierzchu, lecz ostatnim blaskiem drasnął głowę człowieka, stojącego samotnie w przybocznej kaplicy. — Przy nim leży na pomniku posąg rycerza, on, jak drugi posąg, niewzruszony, przykuł się wzrokiem do ołtarza, kędy biskup przemawia do oblubienicy. — Co w jego duchu się dzieje, mrok na jego twarzy zataił — jednak, kiedy chwilowa luna, co zgasa już teraz, przepływała po niej, każdy co k'niemu zwrócone miał przypadkiem oczy, dostrzegł wyraz niesłychanej walki na tem czole wzniosłem — nikt jednak ni modlitwy, ni westchnienia nie usłyszał, ni jęku. — Wargi ściśnione i bolesne, kształtem uśmiechu zakrzywiona na nich — to jedno błysnęło i znów utonęło w cieniu.

Tymczasem rozwidła się po niebie noc tak przejrzysta i cicha, że każdy, co ją widział, uczał w piersiach dreszcz rozkoszy, w duszy szczęścia przeczuć. — Jej cienia owionęły pola i gaje — jej gwiazdy weszły nad górami, jak duchów, w błękitne ukrytych, płonące zrzence. — Ziemia w przepasce z ciemności wonią kwiatów tylko i westchnieniem wód odwiedzająca się im

watydlowie za złote spojżenia. — Właśnie takiej nocy trzeba dla tak świetnych ślubów — od niej pocznie się długa wiosna oboju szczęśliwym. — Czegóż im więcej można życzyć na ziemi? — On wzięty u króla, pan wielu służebnych — ona, śliczniejsza od aniołów, wniosła w dom męża ziemię obszerne posiadanie. — Matki nie znalazł, któreby jej nie zazdrościła, młodzieńca, któryby mu nie zlorzczył; a ojciec stary dopiął myśli swojej — odtąd mu dni płynąć będą wśród uśmiechów córki i potęgi zięcia — a drobne wnuczeta, jak kwiaty, wyrosną mu na ścieżce przed grobem.

Sute też na zamku wyprawili wesele — niewielu książąt na takie mogłoby się zdobyć. — Wysoko, nad całą krainą, bezcki smolne i kagańce świecą z murów — na podwórcach tak jasno, jak we dnie, okna komnat otwarte, w komnatach szum harf gdy zabrzmi, trąby gdy zagrzmią, stóp tańczących szum wzbija się i leci, porwane koła kręcą się, płażą, szaleją. — On sam obchodzi świetlice i zagrzewa gości. — Łza w jego oku nabrzmiwa, łza, co, z trudów życia wydobywszy się, pod koniec dziękuje Bogu za tyle dni, co szły w krwi i pocie, kiedy w tym ostatnim można o nich wszystkich zapomnieć: — Wyszędł na przystanki i z ganku sypanął ludowi pełne misy srebra — wrócił i dyamenty przyszpila napotkanym dziewczom do łona. — Giermki, co za nim idą, garbiąc się pod ciężarem bogatego sprzętu, podają mu naprzemian szable i złote łańcuchy, strusie kity i tureckie handzary — on, na pamiątkę tego dnia, nimi gości darzy. — Czasem też stanie, weźmie z rąk pacholęcia spory kielich i usta małmazają odwilży — potem idzie dalej, łaskawym ukłonem witaając, łaskawym wzrokiem błogosławiąc wszystkim.

Teraz wszedł do środkowych gmachów, do wybitej przez wszystkie piętra sali, kędy gaj przyniesionych krzewów ściany oplatał w dole, w górze zaś, stropami złotem, gzymsami z marmuru, wily się sklepienia i na nich herby ojców jaśniały nieskażone, święte. — Stanął u wejścia i pojrzał, szukając dziecka swego — ale jej nie ujrzał wśród krążących par ani odkrył w tłumie patrzących. — Pan młody tylko pisał od jednego pań ku drugim, naprzemian znikomym z tą i ową połączony tańcem. — Po drugi raz w tym dniu ściągnęło się czoło szczęśliwego starca drgnieniem gniewu czy smutku — skinał na

zgrają — roztąpili się wszyscy — on przeszedł wśród nich i kroczył ku pomarańczowym drzewom, kędy pustkami stały w framugach siedzenia, lamowemi zasłane makaty. — Tam szukał córki chwil kilka jeszcze, aż zatrzymał się od razu, jakby nagłym uderzony bolem. — Siedziała ona z oczyma spuszczone mi ku wiązce róż, leżącej na kolanie, i odrywała ich listki, marząc o czem innym — wreszcie same ciernie w ręku się jej zostały.

Starzec cicho przystąpił i przewiódł na sobie, że łagodnym rzekł głosem: «Biedna matka twoja jakżeby dziś szczęśliwą była! — Za co Bóg nie dozwolił jej tego dnia doczekać?» — Drżąc, podniosła głowę, drżąc, ścisnęła mimowolnie ostatki róż w dłoni — potem nazad w pomieszczeniu przypiąć je chciała do sukni; przyczepiły się ostre gałzki do rąbka i sterczały krwią jej palców zadrażnionych świeże. — «Czemu płaczesz, zapytał starzec, jedynaczkę moją? — Wspomnienie matki nie mogło do tyła cię wzruszyć, boś jej nie widziała nigdy; w dniu twego na świat przyścia ona odeszła do ojców. — Ah! tyś się skaleczyła córko!» — I wziął jej dlonie i wyjmował z nich drobne ostrza kolców. — Ona mu odparła: «O! nie to mnie boli, ojciec» — potem zaraz dodała: «Owszem to, nie co innego, ojciec!» — i zamilkła — lży jedne po drugich spadały jej z lica. — On oparł się na jej ramieniu: «Widzisz, jaki stary jestem, drżą pod mną kolana — prowadź mnie!» — i szedł z nią zamyślony, gotując się do mówienia, lecz słowa nie mówiąc. — Naokoło nich wszędzie woniały kwiaty i muzyka brzmiała.

644) Wśród fontann i pomarańczowych drzew kryte sklepieniem wschody prowadzą do zamku — przez granitowe koronki ostrołuków padają na nie wzorem krat srebrnych promienie księżycy. — On, również pewny swego, czy na wypukłościach światła, czy na ciemności wylomach, pędzi, wspina się, coraz wyżej się podnosi — wreszcie stanął na równi z zamkowym krążankiem. Tu pióra z czapki zerwał i wychylił z pod sklepienia głowę. — Pusto wszędzie — z lewej strony słychać pieśni i wrzaski — poznał, że od nich grzmiały ściany sali godowej — na prawo milczenie, na prawo długi rząd okien, od księżycy tylko roziskrzonych, lecz w końcu krążanka, tam, gdzie się zaczyna baszta zachodnia, przez drzwi szklanne, rozwarłe, pro-

mień lampy się wymyka — i niby jęk czasem stamtąd się odzywa, ale taki nieujęty, gdy mimo przelatuje, że go raczej żądzą ducha uchwycić można, niż słuchem. — On go schwylił i wyskoczył z cieniów przejścia krytego, podobny zmartwychwstającym — i szedł, prosząc się kroków własnych, by milczały, szedł, opierając się o filary i poręcze, wszystkim ciałem podany naprzód. — Lecz nim doszedł rozemknionych podwoi, kiedy już widział zasłonę, co, z nad nich się wyrwywając, śnieżnie w powietrzu igrała, kiedy uczył, że za taką cienką oponą śmierć i życie, powiązawszy dlonie, na niego czekają, stanął i położył rękę na sercu — bo mu się zdało, że serce z piersi wypada — palce spotkały się z zimnem żelazem sztyletu — ścisnął je, ścisnął i przystąpił z boku i przyłożył czoło do szyby drzwi gotyckich. — Dziwna, że nie pękło czoło!

Zrazu ujrzał tylko plamy czarne i iskry ogniste, co mu się z głębi mózgu własnego sypnęły — potem rozwidniać się zaczęło stopniami. — To obicie lazurowe wystąpi i znów mgłą zajdzie — to błysnie lampa srebrna i zniknie. — Ogromne zwierciadło o ramach złotych staje przed jego wzrokiem — naszyjniiki, łańcuchy, manele rozrucone mignęły — przejrzał teraz — nie już nie drży, nie się nie krzyżuje. — Pod wiązaniem makat purpurowych na łożu siedzi obłubienica, sama jedna. — Snać chór swatek, odchodząc, poobrzucał ją kwiatami, bo pełno ich na jej włosach, na jej piersiach, a nogi, na kobiercu złożone, pod liściami róż toną. — Czasem westchnie, jak owi nieprzytomni sobie, co już nie myślą o doznanych bolach — czują je tylko — sami stali się bolem. Wtedy kwiat jakiś osuwa się z nad jej łona i pada na ziemię — a jako fiołki, mirty i lilie spływają po jej śnieżnej sukni, tak za każdym westchnieniem lży płyną zwolna po jej białem licu.

Drzwi oddalone skrzypnęły — mimowolnie odskoczyły jej ramiona — wyciągnęła szyję, jak lania obudzona psów dopadających graniem. — Słucha, czeka, płonie. — I znów bliżej coś się ruszyło. — Zerwała się, uciekla w głąb komnaty, — czepia się zasłon obicia, koło siebie je obwija i znów z pod nich się wymyka, — bieży dalej, wreszcie padła na kolana, krzyżując: «Ty!» — Na więcej sił jej nie stało, w tem jednym słowie ostatnią nadzieję zamknęła i niewzruszoną na tem samem miejscu, w tej samej

postawie została. — Nie już nie słychać — przypadły gdzieś kroki i głosy, co przed chwilą brzmiały. — Wtem nagle pękło milczenie. — Ten, którego wezwała, stanął przed nią i poderwał ją z ziemi; lecz nie przycisnął do serca, rzekł tylko: «Jestem!»

Ożyła i dziwnym uśmiechem zakwitła: «Wiedziałam, wiedziałam, że mi się w wyrocznej godzinie ukażesz! Lecz tyś może mnie przeklął w sercu? — Wiem — ah, słuchaj, bo oni się nie śpieszą, nie nadchodzą jeszcze, słuchaj mnie! — Kiedy mnie wiodli do kościoła, szukałam cię wszędzie oczyma; kiedyś klękałam przed ołtarzem, szukałam cię myślą nakoło, bo oczy nie służyły, Izami na dół ciągnięto — na zamku podczas tańców, kiedy mi wszyscy wieszowali, słuchałam, czy twój głos ponad inne ucie zagrzmi — i teraz jeszcze, kiedy każda chwila niesła mi konanie, a mogła zgubę przynieść, nie opuściła mnie wiara. — W odrętwieniu siedziałam, a duszy wzrok gonił za tobą po dalekich polach — czułam w sercu, że przebiegasz dolne ogrody — com czuła, ziściło się. Daj rękę, zbawiona jestem!» I, uginając się, jak wysmukła latorośl, śmiało oparła się na jego ramieniu.

Kto widział we śnie duszę, wydartą piekłu, porwaną do nieba? Kto czuł, co być Bogiem na chwilę, gdy piorun szczęścia w serce uderzył? Wódz dotąd szedł, myśląc, że spotka się z nie wierną — teraz, gdy ujrzał, gdy usłyszał kochającą, zapomniał o zemście i śmierci, potężnym i nieśmiertelnym się staje. — Młodość jego dopiero dzisiaj się zaczyna — jednym jej skrzydłem miłość, drugim będzie chwala. — Przez prochy ojców! on wróci do opuszczonych braci i za nim pójdzie ta, co, pewna ratunku, co, zwieszona na jego ramieniu, pasmo własnej przyszłości zdaje się oddawać mu w ręce! — Snujcie się, malowane chmury wyobraźni! — Piękne jesteście, bo was słońce życia ozlaca za chodem.

W gorączce, w omamieniu, zawołał głosem dźwięcznym, głosem uwodzeń: «Czemuś tę obrączkę włożyła? Czyż nie lepiej było wyzwolić się ucieczką do tych gór przed ślubem? — Lecz i teraz one cię zbawią, bo ja w nich panem!»

« — Pytasz się o przeszłość, Boże! Boże! kiedy nam tak mało terażniejszości zostało! Czy ty nie rozumiesz mnie? Czy ty wątpisz jeszcze o mnie? Wszak ci przysięgam, że lud twój będzie ludem moim, a Bóg twój Bogiem moim — dotrzymam!

Lecz wprzód trzeba mi było pożegnać się z ojcem — Nie przyrywaj — kiedy nie ufasz, słuchaj do końca — dobądź miecza tylko — gdyby nadeszli, rzucę się w twoje objęcia! — Ah, ojciec przyszedł i prosił i błagał! — Ty wiesz, jak twardym głosem rozkazywać umie — lecz na mnie on rozkazów nie wywołał a piersi sędziwej, piorun przekleństwa Izami przesłonił i wzdychał i skarżył na jedyne dziecko, że go strąca do grobu. — Książę, sięg przyszyły, obiecywał przybrać imię nasze, prowadził służebnych pod zamek i wołał na ojca: «Oto będą twoi!» — Ojciec ukląkł przede mną i dłoń moją położył na siwych włosach — krew rozrywała mu skronie — widny był na jego czole konający sen życia całego, mara wielkości i panowania, wyciągająca ręce do mnie. Wtedy zdjęła mnie nieskończona siła: wyrzekłam słowo przystania, oddałam rękę nieznanemu, objętnemu, ah, niecierpiannemu, bo u mnie niecierpianny każdy, kto twoich oczu nie ma, twym głosem nie mówi, szabli twej nie nosi i twoją myślą nie oddycha! — Miasto córki, pan tego zamku dostał syna. — Tysiąc obcych rycerzy wsparło starą rodę naszego budowę. — Teraz odejść mogą — teraz ci powtarzam: lud twój ludem moim i Bóg twój Bogiem moim. — Lecz ten lud, Bóg ten, lecz ta wiara moja, wiesz-li, jak się dzisiaj zowie?» — Młodzieniec, zaokrąglając ramiona koło jej kibiści i patrząc w stronę krążanku: «Jak? Mów, jak?» zawołał. — Ona wtedy odparła głosem wyrzutów: «Nie wątp, że śmiercią! — Dopókim na ziemi, dopótom żona innego człowieka — odzyskać mnie możesz tylko w świecie duchów. — Lecz ścieżka doń niedługa, patrz, takiej samej dłuży, co żelazo twoje!»

«Niel... ty zostań, by przewodzić ludowi twojemu! — Ja w czyscu czekać będę na ciebie cierpliwa i tęskna. — Rzucaj tylko czasem tam, kędy mnie pochowają, pióro z helmu lub pierścien z koleczugi! — Grabarz spostrzeże się z rana i powie: Ktoś był tu w nocy, jeszcze ktoś pamięta o niej!» — I natężonym wzrokiem jaskrawo wglądała mu w oczy. — On jej przewrwał żelaznym dloni uscisłkiem: «Duszą własną, duszę twoją przed sąd Boga zawiodę!» — i dodał żalobniej: «Czem mogłem, póki mogłem, służyłem ludowi mojemu. — Sztandar jego zatknęłam na granicach zamków. — Teraz on przekroczy te granice. —

Gdybym dniem jednym dłużej przeżył, wiesz-li, czyjebym włosy białe musiał rozwiać wichrem burzy? — na czyich podwórcach zasiąść jako sędzia i niszczyiciel? — O, idźmy stąd razem, siostró — tam, kędy idziemy, przeciw starcom nie walczą młodzieńcy, tam niemasz zdrady i ucisku — tam i zemsty niemasz!

Boskie uniesienie twarzy jej owiało i rzuciła się w wodza objęcia — ni słowni, ni Izami już dziękować nie zdola, ale zdziera z palca złotą obrączkę wroga, idźcie ku ślubnym węzłom, na jednym z nich ją składa, potem odwróci się ku wodzowi: «Teraz tyś pan i mąż mój na wieki!» — i, spuszczaając oczy, wnet uklęka i modlić się zaczyna modłami umierających. — On ukląkł także — czasem wtórował jej słowom, czasem milczał w ponurej powadze. — Wtem obejrzy się ku otwartym na ganek podwojom i rzecze: «Już świtać zaczyna». — W tej chwili obudzonych ptasząt głosy odezwały się z okolicznych gajów. — Ona zbladła. — «Przyjź się na mojem ramieniu — spojrzec na świat choć raz jeszcze ze mną!» — Poszła za nim i stanęli oboje na progach krużanku.

Księżyc gdzieś za wzgórzem zamkowem kona — śniado błędzą jego ostatnie promienie po dolnych ogrodach — w powietrzu snują się wzywy, niby płaszcze królewskie, niby dziewięc zasłony, przetkane jutrenki czerwienią. — Wszystkie obrazy i obietnice życia raz jeszcze w tej przedostatniej chwili stanęły przed ich oczyma — w pobliżu zaraz szmer i błysk fontann, wdzięczne kształty filarów, kwiecien umajone krzewy. — Dalej na wzgórzu bielejąca ścieżka ucieczki i las gesty w dole — za lasem już otwarte pola — a dalej jeszcze, w odbłyśkach zorzy, wolnych wierzchołki gór. Z pośród ich szczytów wejść miała dla bohatera kiedyś gwiazda chwały, a teraz cały ten widno krąg będzie mu tylko zapomnienia grobem! On wlepił wzrok w góry, a śmiało żegna się z nimi — ona z schyloną głową cisnie się k'niemu, wzywając czy prędszego zgonu, czy spójżenia miłości. — Darmo świat, budząc się coraz żywiej, coraz im głośniej radził, by czasu nie porzucali dla wieczności — nikt nie wie, co w ich duszach się działo. — Ona coraz bardziej ciężała na ramieniu brata, a z włosami jej ranny powiew igrał.

Wtem głosy rozhadzane wzniosły zdrowie czyjeś w oddalonej sali. — On się wzdrygnął — ona może już nie słyszy. —

Potem syknęły się na krużganek gęstych stóp hałasy, i z ukosa błysnęły pochodnie. — «Boże, zawołał, wszak dasz braciom moim zwycięstwo!» — i uniósł zdreźwiałą w wnętrza ślubnej komnaty — Po murach zamku odbite, wzorem pilek skaczą wiwaty podchmielonej zgrał. — Znać pan młody śpieszy do żony z pierwszym dnia promieniem. — «Czy widzisz, krzyknęła, wyciągając ręce ku zwierciadłu, nie poznając już siebie samej, jaki piękny anioł mój!» — «Ah, piękny!» powtórzył wódz z głuchym jękiem i upadającą przycisnął do piersi, w drugiej ręce wznosił śmiertelne żelazo. — W tej chwili odgłos szybkich, lekkomyślnych kroków dochodził drzwi krużanku.

645) W komnacie, w której ojciec mieszkał, kędy dziad i pradziad mieszkali i umarli, siedział starzec na starożytnym ich łożu. — Ani racyół przysporzyły wygody sędziemu ciału, szat nie zwłókl, służgi gniewem odepchnął słowem, jedno łańcuch z medalem królewskim zrzucił z szyi, jedno szablę odpasal i oparł o stół dębowy. — Za łożem kaplica, wydrażona w ścianie z ołtarzem i szczerozłotą lampą. — On nie odwraca się ku niej, by zmówić, jak co dnia, paciierz przed zaśnięciem. — On wie, że nie zaśnie dzisiaj. Czasem tylko, oczy wzniosłszy, patrzy na przedok obraz, niewzruszonymi żrzeniami patrzące na niego, a gdy obieży ich koło, znów wzrok smętnie spuszcza na dół.

Wiecie-li, młodzieńcy, wy syny światła, kusiecie burzy, co się dzieje z duszą starców, gdy prysną ich rachuby, ostatnie ich miłości na ziemi? — O, nie, nigdy wam los tak gorzkiej nie podał trucizny. — Czas, jak niewolnik, niesie was na skrzydłach i przestrzeń skrzydłami rozrzyna — choć sto gwiazd zagasnie z tyłu, sto innych przed nim zapala się dalej. — «Naprzód w nieskończoność!» oto hasło wasze. — Lecz oni pozbawieni jutra — już im trumna w poprzek progów leży, a jedna tylko gwiazda tleje nad żrzenicą. — Oni modlą się do niej: — «Tyś słodka i pocziwa — nie uciekasz, jak księżyc w jeziorach młodości, ni pękasz, jak meteor ciepłych nocy letnich — Po długiej drodze dopierośny twoje dobre światło ujrzeli — o, bądź nam wierna, o, świeć nad domem naszym, byśmy jeszcze żyć mogli na ziemi!» — Wtem prawda zstąpi w ich dziedzińce, przesunie się, jak wąż ślizka, naga, wśród zamkowych murów i dojdzie

progu i siądzie na trumnie, wyrok zawodu śpiewając. — Na głos jej ostatni promień odrywa się z niebios i «noc wieczna» staje się na imię światła.

Patrzcie! Z babiego lata jednej śnieżnej pajęczyny nie zostało w ręku starca. — Czy słysycie, jak lzy córki zaczęły padać mu na duszę zarzewiem? Jak śmiech księcia, jej męża, brzmi przeciągle w jego uchu? Zerwał się z łoża i kroczy gwałtownymi krokami. — Darmo siedemdziesiąt zim przeciągnęło mu nad głową; on dumny dotąd, on nie odgadł tajemnicy życia! — Odmęt zgrozy, zemsty, wahań i postanowień wplótł mu serce na kolo męki. — Króla i zięcia i siebie przeklina — lecz nie pięknie serce, zanim wejdzie pierwszy promień słońca!

Wreszcie styrane ciało padło na krzesło o złoczonych poręczach i herbach. — Zniżyły się ramiona, opuściły nogi — oko odsłonięte, martwe, wlepilo się w przeciwną ścianę. — Choć nie rusza ustami, wciąż mu się zdaje, że własny głos słyszy — choć leży w odrętwieniu, wciąż mu się zdaje, że zamku przebiega komnaty, aż stanie w sali godowej i znów ujrzy młodzieńca, siedzącego wśród zgrai. — «Precz mi stąd, książę, przybyły z obcej zemicy! — Przdki moje, powstaniecie z grobów, otoczcie go rzędem! Czarny hetmanie, wytrąć mu puchar z dłoni, ty kardynałe rzymski, wymów nad nim klątwę rozrodu!» — I słyhać szelesty stóp umarłych, ciągnące od zamkowej kaplicy. — Rozwarły się na oścież ogromne podwoje — wchodzą wywołani. — Pan młody porywa się do szabli, a drugą ręką pije do umarłych. — Wtedy sam starzec szuka miecza, rzuca się ku mieczowi oddalonemu, wiszącemu na ścianie — prosi się Boga, by przedzi do miecza się dostać — na klęczkach się wlecze i pada i znów się wlecze, aż spotka kardynała w purpurze, zblakłej od wilgoci podziemiów. — Ten mu rękę zimną przyłoży do czoła i rzecze: «Co książę raz związał, tego człowiek nie rozwiąże na ziemi». — I zniknęły cienie — i rozwiła się sama biesiad — i znów on się widzi w własnej sypialni, na tem samym krześle. — Glucho, pusto, straszno. — W tej chwili druga uderzyła na zegarze wojewodów.

Tak obce książę zagrabiło zamek starożytny enego imienia. — Zwłoki teścia i żony uczcilo pogrzebem — ciało wy-

gnańca rzuciło gdzieś w nieświęconą ziemię. Potem wyprawiło towarzyszymo stypę w onej samej sali, kędy noc pierwszą ślubu przemarnowano z kielichem w ręku, z żartami na ustach. — A gdy zorza błysnęła, na rączych koniach udali się wszyscy na dwór króla południowego. — Król z serca rad był księżciu, że rozlegle imiona zagarnęło ślepym losu trafem. — Król dziękował losom, że ród odwieczny i potężny wygasł. — Lecz w górach pamiętają wodza, który spoczywa w nieświęconej ziemi. — Jego mogiła leży z tamtej strony zamku. — By nad nią krzyż pamięci zatknąć, wprzódzi zamek szturmem zdobyć trzeba. — Od gór, na zwiady wysłane, latają ku wieżom orły i krogulce. — Lada dzień za nimi sypną się zbrojne męże, a inny pieśń zwycięstwa ułoży. — Ja wam podałem pieśń zgon!

1) Pokusa.

Napisana prawdopodobnie w początkach r. 1838 w Wiedniu, ogłoszona r. 1841 w Paryżu wraz z «Nocą letnią», odtworza wrażenia i przeżycia poety z pobytu w Petersburgu tudzież nastrojów pesymistycznych przemagających w jego duszy w chwili twórczej.

Ach, mójno krwią i łzami pedzą życia fale
I na nurkach potoku słyhać wieczne żalo.
Z tyłu leża, przeleleli mgłą obwiazno, tonie,
Z przodu niecho dalekie krwawą łusą plonie,
A wokolo pływaczy tak zimno i ciemno,
Ze każdy woła, płynąc: «Przekleństwo nade mną!»

646)

Matko po sześćkroć zabita, matko nieszczęśliwa! Jednym smugiem zielonym, lanem jednym kłosów ty pamięć obwiążesz i oddat cierpieć, błądzić, kochać cię muszą syny twoje. — Za nimi grób od morza do morza, przed nimi, gdziekolwiek idą, zachodzące słońce, a idących przeklinają mocarze i kupcy!

Wzrostych na łonie śmierci nie rozumieją żyjący — podobną twarze ludzkie przed wzrokiem upiórów — na odgłos ich stapań płomień ognisk domowych pochylił się i glazy ogniska zamiecie — matka ukryje dziecko, żona uprowadzi męża, by nie podał dłoni przechodniowi — gwiazda im tylko wieczorna, gwiazda grobów uśmiecha się w górze!

Wszak święte było milczenie borów sosnowych? — A kiedy wiatr się podniósł, wszak wołał nad waszemi głowami szmerem tajemniczym, jak modły arcykapłana! — Boga waszego nie ma

tu już nigdzie — Tu szkielety z drewna, okute żelazem, podsycane parą, zaległy przestrzanie; — w powietrzu nie unoszą się orły, w zarosłach nie świągocą ptaki, rączego konia tu żaden z was nie osadzi na stepie i nie pojrzy z dumą, sam jeden śród świata!

Przechodząc więc, i wy im odwdzięczajcie się wzgardą! — Kiedy was zawiodą do miast bez świątyń i zamków, pod domy białe tynkiem, którym wygoda, prócz zielonych okiennic, skąpiła ozdoby, powiedzcie: «Umarli!»

Kiedy na brzegach morza stanicie śród Żydów, Ormianów i Greków, swarzących się o podłe zyski, a grzmot, co huczy nad falą, niesłyszany przemija — «Umarli!»

Kiedy naokoło snuć się będą niewiasty, ciała ubrane w suknie, a polot ich sukien, powiewem trącanych, duchowniejszy, niż dusza ich — «Umarli!»

Idźcie, płyńcie, jak szum nietkniętych borów! — Świat was nie pozna, bo wy z tłumem rodem — i, zmartwychwstając, po drodze rzucacie szmaty całunów, a on na spadziściach — on w purpurze potęgi schodzi do trumny!

I ujrzałem jakoby w cudownym widzeniu obraz, zmieniający się, jak długie życie, a znikomy, jako dzień jeden, co się pocznie rankiem, a prędko pod cienie wieczoru zaleci.

Ranek był dziwnie przejrzysty, wolen chmury wszelkiej. — Słońce wschodziło nad szeroką przestrzenią zieloności — przed domem na wzgórzu koń osiodłany rył murawę kopytem i rzał, chwytając w nozdrza powiew z doliny. — Obok stał młody, ledwo że młody pan jego, z iskrą światła w oku, równą dziennej jasności, z jedną nogą na strzemienu, z drugą jeszcze na miękkiej domowej murawie — z jedną ręką na grzywie szumiącej, z drugą w dłoni człowieka, z którym się żegnał, nie wiedząc na jak długo, jednak nie na zawsze.

I z serca ku sercu szły naprzemian jednego i drugiego słowa. Starszy, ten co stał i miał odejść pieszo, wzrok wbity trzymał w dalekie skały i bory za smugami zieloności. Tamten wzniezione miał oczy, całą pil błękit żrenicą i głos jego brzmiał, jak najpierwsze świeże struny dźwięki. — Starszy przemawiał

wolniej i surowiej, znać radził, przestrzegał i zaklinał — znać kochał mocno — znać wątpił nieco — a młodszy nie wątpił, przysiągł, rzucił się na szyję przyjaciela, wnet potem na siodło — I poleciał — poleciał, jak potok, z góry na dół, potem, jak strzała, po równinie. — Chmara sług sypnęła się z domu starożytnego i goni za panem.

Wtedy pozostały ukląkł i słyszałem to, co mi wiatr przyniósł z jego modlitwy: «Ojcze niebieski, dozwól tej duszy rozkwitającej nie zwiędnąć na ziemi! — Nie wódz jej na pokuszenie, wszelkiego poddaństwa ludzkiego odsuń od niej znamię! — niechaj Tobie służy tylko — Matce po sześćkroć zabitej, niechaj służy tylko!» —

Sam teraz, sam jeden śród miasta wielkiego został młodzieniec i musiał się bratać z ludźmi napotkanymi. — Na niebie już w ołowianą błachę zlepily się chmury. — Co chwila zmieniają się kształty ulic i komnat i osób, a on wszędzie pomiędzy niemi oko moje ciągnie za sobą. — Niesłychane cierpienie zakrył on spokojnym liców pozorem. Ciągłe za nim wije się rój złych myśli, wzorem czarnych owadów — a po drugiej stronie leci rój dobrych w błękitnawie iskry. — Pierwsze osiadają mu serce i toczą je krwawo, drugie krew spiekłą wypalą z serca i rany zabliznią — lecz nowe, coraz głębsze powstają. — Wszędzie niebezpieczeństwo i wszędzie męczarnia — niema komu się zwierzyć, dzieciom i niewiastom nawet klamać musi; uczy się kłamstwa, jak arcydzieła sztuki, i posiadał je — i stał się panem spojrzeń, sztuki i łez i ruchów swoich, aż jasność, równa dziennym promieniom, znikła z jego żrenicy. — Boże! i same szaty jego stały się kłamstwem; zrzucił dawne, w których latał po stepie, wziął na głowę czuby piór i chudy oręż przypasał do boku; tłum jął przed nim się cofać i koń go własny nie poznał, gdy wchodził na podwórcę pałacu swego — poglaskał mu grzywę, a on nie zarzał — chciał skoczyć nań, jak dawniej, a on dęba stanął. — Gniewem zdjęty, pchnął więc konia szpada; szlachetny rumak oderwał się od słupa, krwią bryzgnął i uciekł, grzmiąc podków loskotem. — Ślad długi iskier bruk osypał za nim i zagasił w zmierzchu. — Ach, już była nadeszła zmierzchu godzina! —

Teraz już ciemna noc była w onem wielkim mieście. — Mnożąc po ulicach ruszali się tłumy, wszystkie w stronę jedną, kiedy światło tysięcznych lamp wołało do zamku, brzmiało wrzawą muzyki i tańców. — Po wschodach miedzianych, wiodących w górne komnaty, wspinają się młodzi i starzy, męże i niewiasty, wszyscy śpiesznie, choćwie, jakby szli do nieba. — Powoli mijają godziny nocy, dłuższe, niż wszystkie poprzedzające dnia tego, a o którejś z nich ujrzał młodzieńca na owych wschodach, z daleko starszą już twarzą, na której ślady przysięg zrzęcznie się ukryły. — Cisnął się za nim orszak sług — rzucił im płaszcz swój i darł się wyżej strojny i wspaniały, gość, równy pysznym godom! — Lecz zaledwo wszedł i pojrzał na tysiące, płaszące w tych miejscach, na przepych rozwieszonych łupów, na oręż, prysłnięte i wprawione w skiepienia wzorem mozaiki, zbłądził od gniewu i zgryzł wargi do krwi — Ale tłumy lecące porwały go między siebie — tysiąc skrzypców, piszczałek i rogów pijanem powietrzem oblały mu głowę, woń kadzidel wkradła mu się do mózgu, jedwabne kobierce lubieżnie laskotały go w stopy, co chwila innej barwy światło grało mu w oczach — aż znękany, upojony siadł na uboczu i, pochylwszy skromnie, zamarzył się o licach niewieścich, o śnieżnej dłoni jakiejś. — Wtedy usłyszał, jak bila jedna, długa nocy godzina. —

Kiedy podniósł oczy, ujrzał przez rząd roztwarych podwoi w dalekiej świetlicy tron słonecznej jasności, górujący ponad morzem ruchomem tancerzy, a na nim siedział Jedynowładca życia i śmierci pod więzieniem z chorągwi. — Z jednej, rozdartej na szmaty, czasem kropla krwi padała, lecz nikt na nią nie zważał prócz młodzieńca. — Na ten widok wszystką siłą duszy odgnał wabiące mamidla i spojrzal wzrokiem czystym od pokus tak, jak w godzinie poranku. —

Wtem tłumy rozginać się zaczęły w prawo i na lewo — od tronu aż do młodzieńca wytknęła się szeroka ścieżka przez wszystkie komnaty. — I z tronu zstąpił pan zamku i szedł zwolna, jakby Bóg jaki, wśród padających na ziemię; — prosto szedł ku siedzeniu młodzieńca, na krok nie zбочyli, zbliżał się coraz bardziej, cudownie piękny i silny. — Tamten wstał i śmiało spojrzal mu w oczy — Pan życia i śmierci nie zmarszczył brwi, owszem rzekł ludzkiem głosem: «Chodź, przejdziem się razem —

i dziwi ci zamku przego pokażę!» — a kiedy młodzieńiec stał jak przykutny, on sam przystąpił, złożył pocałunek na jego czole i pociągnął za sobą. —

Z trumną matki, wijącą się przed oczyma, szedł młodzieńiec, a ramię jego drgało krwi kipiącej biciem na twardem ramieniu mocarza, który, srogim głosem grzącą ku rozstępującym się, dziwnie miłym i szlachetnym wciąją przemawiał do towarzysza. — Wspominał o przeszłości, wymówił nawet imię matki zabitej bez wzdygnięcia, jakby jej śmierć nie ciążyła na jego sumieniu; — nie zdał się na chwilę powątpiewać, że znika już z ziemi na zawsze, i wskazał młodzieńcowi inną przyszołość, ogromną, wrytą w księgach przeznaczenia — necił ku niej młode jego żądze, nie szcedził obietnic, a czasami udawał natchnienie, gdyby prorok Boga. — Od twarzy jego urodziwej, jak twarz Antychrysta, ku ziemi wzrok odwrócił nieszczęśny młodzian. — Każde słowo kusiciela kroplą jadu padało mu na serce i z niej robak się wylegał. — Tak przeszli razem długi szereg komnat śród ludzi czolem bijących o malakity posadzek. —

Na drugim końcu zamku nagle, na rozkaz pana, spiżowe bramy się rozwarły i tysiące, podźwignawszy głowę, chciały poza ich progi spojrzaly. «Oto skarbiec mój — rzekł mocarz — patrz i uwierz we mnie!» — A młodzieńcowi się wydalo, że stoi na brzegu kopalni, ciągnących się bez końca. — Blask, bijący z ich jarów i urwisk, pożerał żrenice; — toczyły się tam potoki płynnego złota i srebra, tęczą przeskakiwały nad nimi luki z ametystu. — Słychać było gwizdy podziemnych płomieni, trzęsły się wzgórze, rwaly się jaskinie, a świeże dyamentowie bryły lepily się z ich gruzów. — Czasem też odzywał się jakoby krzyk konających, jakoby szcęk kajdan z głębi — i przesuwały się postacie ludzkie po tych smugach jasności, jak czarne plamy księżycy. — Wtedy oko pana w górze rudym płonęło gniewem, postacie wznosily ręce i, tłukąc łańcuchami, przeciągle wołaly o jedną kroplę wody, o jedną chwilkę odetchnienia. — On nie raczył im odpowiadać, a co chwila jedne padały w ogień wewnętrzny kopalni, a drugie, równie okute i umierające, na ich miejsce wschodzily. — Zdało się młodzieńcowi, że rysy niektórych przedział gdzieś dawniej na powierzchni ziemi, lecz błyskawice przesłoniły mu ich twarze — szum topniejących kruszców zagłuszył

ich jęki — blask, równy pogodzie pustyni, wszystko zalał i pokrył — Wtedy bramy spiżowe zawarto, a pan życia i śmierci, odchodząc, rzekł: «O dwunastej bądz w sali tronowej — tam zasiądziesz do biesiady przy mnie!» —

Teraz, gdziekolwiek udał się młodzieniec, witały go tłumy okrzykiem. — Byli i tacy, którzy mu rękę całowali za to, że dotknęła się dłoni ich pana. — Pytali się, jakie pieśni lubi, i wnet muzyka je grała — przynosili mu słodkie w czarach przejrzystych napoje. — On dziwił się i gardził zrazu, potem spoznał dumnie i rozkazywać zaczął. —

W przesłicznej ostroni, wśród pachnących krzewów, na aksaminnych kobiercach spotkał pań zamecznych i hoźych dziewię grono. — Ledwie wszedł, one go otoczyły; każda go wita różnym uśmiechem, każda mu szepcze do ucha w przelocie i rzuca kwiatami na niego.

.....
 Wreszcie krzyknął w oblakaniu: — «Kocham!» — Porwał w objęcia cudzego rodu dziewięć, wrzące usta złożył na jej ustach, a ona go powlekła do sali tronowej. —

Tam pan życia i śmierci zasiadł był na nowo pod zdobytymi sztandary. — Uderzyła jakaś nocy godzina — dworzany stanęli wokół. — Zwinęła się w górę makata, kryjąca drzwi platynowe. — Herold zawałał na czekających za progiem, a weszli posłanniki królów wschodu i zachodu. — Długo w uroczystym stąpali przewodzie, a każdy składał u stóp tronu urnę szczerozłotą, napełnioną popiołami tych, którzy walcząc w świętej sprawie po różnych stronach świata polegli; — a kiedy przeszli wszyscy, wstąpił wódz zbrojny w księżących gronostajach i ostatnią urnę postawił na ziemi. — Młodzieniec ujrzał imię matki zabitej na jej wypukłości — stało mu się ciemno przed oczyma — nic nie widział przez chwilę, nawet kraśnej towarzyski — słyszał tylko zapytanie pana: — «Czy zaprawdę umarli i nie powstaną?» — i odpowiedź posłów wszystkich: — «Zaprawdę, nie powstaną nigdy!» — A wtedy przystąpili dworzanie i, po obu stronach sali, na słupach z czarnego granitu, rozstawwszy urny, płomień do ich wierzchów przytknęli. — Zapalili się prochy sinym ogniem, blade dymy powiły się w powietrze i poniosły woń śmierci. —

I zdało się młodzieńcowi, że wszystko, co widział o godzinie zmierzchu, snem było; zdało mu się, że to tłumy są świata panami, a król ich wszechmocny na zawsze. — Przez wszystkie zamku komnaty jeden stół się podniósł i stanął wśród urn płonących. — Dziewica prosiła oblubieńca, by zasiadł do biesiady; pan, schodząc z tronu, sam skinał na niego i miejsce mu wskazał — i wszyscy, którzy tam byli, gdy dwunasta biła, zasiadli do onego stołu. —

Prosto młodzieńcowi w oczy stał słup, dźwigający matki popioły. — Ile razy nań spoznał, puchar upuszczał na ziemię; lecz mu go nazad podawała narzeczona. — Jednak coraz groźniej i straszniej pasował się duch jego oblakany, usiłując powrócić do dawnych wiar i nadziei; ale wszystko, co go otaczało, grubą zasłoną ómiło mu poznanie. — Zatrute krążyły zdrowia — on na cześć pana wychylał je musiał — osłabły piersi, dreszcz rozwiązał członki; skronie zimnym potem złane, pochylały się; ludzie, urny, sklepienia pogmatwały się przed jego wzrokiem. — Głosy rozmów, dźwięki muzyki, słowa oblubienicy pomieszały się w okropny hałas, nieznosny młodejmu; — i tak minęły przedostatnie godziny.

On żył jeszcze, ale nędznem serca biciem, kiedy ostatnia uderzyła, jak grzmot, ponad jego głowę. — Rozemknął powieki — płomienie urn dogasały. — Pan życia i śmierci, nachylając się ku niemu, uśmiechnął się laskawie: — «Gościu biesiady mojej — rzekł — czas, byś mi przysiągł na służbę i wyrzekł się starożytnego imienia!» — i rzucił mu przez stół garść dyamentowych krzyżów, dodając: — «Noś to na pamiątkę moją!...» — Herold stanął przy młodzieńcu i rotę wyrzeknięcia się czytał z księgi czarnej, a konający powtarzał słowo po słowie, nie słysząc własnego głosu. — Głowa jego opadała na łono oblubienicy, usta jeszcze się ruszały, ale już bielmem zachodziły oczy — i wymówił tak wszystkie wyrazy aż do ostatniego. — Lecz zaledwo skończył, wstał pan życia i śmierci: «Slugo sług moich — zawałał — śmierć od powroza kata cię czeka, jeśli kiedyś złamiesz przysięgę...» — potem rozśmiał się gardłem całem. — Podniósł się nieszczęśliwy, a za pierwszym spojrzeniem spotkał urnę matki — lecz miasto jej nagrobku inne tam już słowo stało: «Hańba!» wyczytał młodzieniec. — «Hańba!» krzyknął, zrywając

się z miejsca ostatkiem sił — «Hańba!» odrzekły mu tysiące z tyłu, z przodów, z boków — «Hańba!» powtórzyły zamku sklepienia od sali tronowej po skarbcza kopalnie; — a jedni z pośród tłumu zaczęli nań wolać jego nowem, cudzoziemskim imieniem; — drudzy, skacząc naokoło, przypinali mu krzyże. — Inni kazali mu, by się im kłaniał; inni, by deptał po niedopalonych matki popiołach!

Tak przeszedł i zakończył się ów dzień jeden mojego wzdania!

O matko, po sześćkroć zabita, kiedy wstaniesz ze snu, kiedy znów zasiądziesz nad lanami zbóż, wśród zielonych borów od morza do morza, a, w chwili odmłodnienia, przypomnisz sobie długą zmorę śmierci, straszne widziadła męczeństwa — nie płacz, matko moja, nie płacz nad onymi, którzy polegli w imieniu twojem na rodzinnych lub zamorskich niwach! — Choć sępy i wilki rozdarły ich zwłoki, oni szczęśliwi. — Ani płacz nad tymi, którzy wśród katów w głuchych umarli podziemiach — choć im kaganiec więzień jedyną gwiazdą, choć im twarde słowo ucisku ostatniem na ziemi pożegnaniem było — oni szczęśliwi. — Ale uroń lże litości, o, uroń lże, matko moja, nad losem tych, których rozum blichtrami fałszu złudził morderce twoi, nie mogąc serc ich oderwać od ciebie przemocy rozkazem! — Oni, matko, oni więcej wycierpieli, niż reszta synów twoich. — Omylone nadzieje jak noże przeszły im piersi, w okręgu ich ducha odbyło się tysiąc walk nieznanych i krwawszych od bitew, co grzmiały w obliczu słońca chrzęstem stali i łoskotem dział. — Widmo twoje służyło im za cień własny; lśniąco oczy wrogów sprowadzały ich pochyłością lodu ku głębi zimna wiecznego, a na każdym urwisku, zatrzymując się, plakali za tobą — aż serce wyszło im z tęsknoty, aż wychudły im ręce i nogi w niewoli bezwidy-mych kajdan; — i stali się jako trupy żyjące, sami wśród nienawistnego ludu, sami w domach własnych, sami jedni na szerokiej ziemi. — Matko moja, ty nad dolą ich, ty nad męką mając wyrzeknij ciche słowo przepomnienia! —

III. Utwory z okresu równowagi duchowej (1839—1848).

J) Trzy myśli

pozostałe po ś. p. Henryku Ligienzie zmarłym w Morrealg 12 kwietnia 1840 roku.

Napisane prawdopodobnie w roku 1839, jako wyraz ustalającej się w duszy poety pogody, pod wpływem miłości szczęśliwej i nowych pojęć filozoficznych, ukazały się w Paryżu r. 1840, wcześniej więc, niż dawniej utworzona «Noc letnia». Na napisane dotychczasowego pesymizmu występuje, — w każdym z trzech obrazów, składających ten utwór, a poprzedzonych mottami, zaczerpniętymi z Ewangelii i Apokalipsy, — idea odrodzenia i wyzwolenia zarówno samego poety (Syn Cieniów), jak i całego narodu (Sen Cezary i Legenda), który za wściegłą służbę i wierność Chrystusowi i Kościołowi uzyska zmartwychwstanie.

Z przedmowy Wydawcy.

647) Regestra, listy do przyjaciół i instrukcye dla oficjalistów, pisać, pisałem — ale co innego ni umiem, ni chcę, ni potrzebuję; — a czemu dziś biorę się do pióra, ba, do druku, pokrótce opowiem.

Na wiosnę tego roku przypląnąłem z żoną i dziećmi do Sycylii, sam nie wiem, po co i na co — ale za co, to wiem. — Ja wiem i mój komisarz, pan Ordasowski, chociaż siedzi w Polsce. Święte przysłowie — «gdy czego zechce się kobiecie to i sam szatan nic nie wskóra». — Zachciało się żonie mojej do Włoch. — Z kraju mnie więc powlokła aż do Florency, — skąd chciałem powracać, — a z Florency do Rzymu, — skąd chciałem powracać, a z Rzymu do Neapolu, — skąd chciałem powracać: aż tu, patrzaj, dalibóg musiałem z nią popłynąć morzem, do Palermo! Przeprawa jaka taka, w nocy wiatr się zerwał; niech mu Pan Bóg nie pamięta, ale tak kołysał się ten okręt parowy, że aż wszystkie gwiazdy nieustanne nam dygały pokłony na niebie — ale co prawda, to prawda — nad rankiem cudne znów było powietrze. — Zatoka, gdyby tylko błękitna, ale to aż granatowa — góry, wypy zdają ci się pendzlem malowane na niebie — a samo Palermo, miasto duże i porządnie stawione — lud tylko galgański; skacze, biega, piszczy, wrzeszczy, żebrze, kradnie, zdziera, czy na ulicy, czy w gospodach, zwyczajnie Włochy, aż pfuj, do licha!

Lecz nie o tem mowa — podróży pisać nie myślę — niech moja żona, jeśli się podoba Jejmości, napisze. — Uczyla się języków, umie grać i śpiewać, czyta francuskie romanse Balzaków, Szatobriandów i wielu innych, którzy mnie nudzą — ona może pisać. — Ja chcę tylko po prostu powiedzieć, jakim się dostał do tych rękopismów, które dziś wydawac muszę.

O trzy mile włoskie (pół naszej ukraińskiej) od Palermo jest wioska Morreale, w której mówią, że tam kiedyś mieszkali królowie sycylijscy. — Gdyby nie katedra i cmentarz i parę pałaców, toby nie było na co patrzeć — niema nawet zajezdnego domu — brudno, pusto, ciasno. — Dalibóg-ci u nas lepiej! Żona moja koniecznie prosi się tam jechać. — Album bierze z sobą, chciała rysować widok — ja biorę dubeltówkę, bo mówili, że niebezpiecznie; najalem powóz, sadzam dzieci, pojechalismi. Niema co mówić — znać, że człowiek już za morze się dostał — wszędzie koło drogi wzgórze krągłe, jak głowy cukru, najeżone w kaktusy, w aloesy — kwiatów czerwonych, jakich nigdzie niema, krocie — cyprysów tyle, co dzid kozackich — a powietrze ma w sobie coś mydlanego, niby kapie ci do płuc, jak przedziwna oliwa, wyborne dla suchotników; szkoda, że od urodzenia, zawszy miałem piersi, jak mur.

Jedziemy więc bardzo powoli, bo wciąż pod górę. — Żona siada na przodzie patrzeć na dolinę, w miarę jak się odkrywała. Ja fajkę palę — pułkownik Wilcezek, któremu tej zimy spotkał w Liwurnie, wracającego z Orientu, dał mi dwa funty tytuniu — mówił, że sultan innego nie kurzy. — Nic smacniejszego nam w życiu nie palił.

Przyjeżdżamy wreszcie — musieliśmy stanąć w kawiarni, bo gospody niema. — Ledwośmy wysiedli, dwóch, trzech, czterech, dziesięciu obdartych, jak z pod ziemi, wysypało się hul-tajów — każdy krzyczy, że jest przewodnikiem, Ciceronem, jak to tam ich zowią; — musiałem ich sam rozganiać, bo żonę moją chwytały za suknie, wrzeszcząc «moro di fame», co znaczy, «umieram z głodu»; a potem «Complimentate me!» co znaczy «daj co», bo u Włochów komplement, to miedziank — a jeden z nich, mniej obszarpany, poznał, że my Polacy (okropny węch mają Włochy do cudzoziemców) i, wysunawszy się, rzekł do mnie, ja zaś po włosku niezłe rozumiem i gadam, choć nie lubię

tej komedii, z łacińskiego języka przerobionej; otóż ten Włoch prawi do mnie:

«Eccelenza (niema z czego się pysznić, bo wszystkich tak mianują), ja znam Polaków, ja zaraz poznał, że Signor z tą piękną Signorą po polsku mówi. — O, Polacy, to dobrzy panowie — niech im Madonna Santissima zdrowie daj!»

Zdziwiłem się niepomału i mówię: «Kiedys taki sprytny, to cię biorę na Cycerona»; a innych odpędziwszy, poszedłem zaraz z żoną i z dziećmi do katedry, pytając się po drodze Włocha, jakimby on sposobem znał język nasz?

A ten mi zaraz bajając zaczyna, że tu niedawno umarł na suchoty młody Polak, co, przyplłynawszy z Malty, mieszkał sześć miesięcy w Morreale, znać dla zdrowia; że go wszyscy znali, codzień widywali, kiedy w południe wychodził, opierając się na ramieniu służącego, z którym rozmawiał tym samym językiem, co ja z żoną; że ten służący nigdy słowa po włosku nie mógł się nauczyć; że tylko o swoim panu mówił: «Lienza, Lienza!» i płakał przed ludźmi, bo codzień pan gorzej się miał, chudł i bladł, aż nareszcie umarł; a służący go na cmentarzu pochował.

«Cóż to znaczyło to Lienza?» zapytałem się.

«A to było imię młodego pana» — odparł mi Włoch.

«Pleciesz — nigdy żaden Polak nie zwał się «Lienza» — to chyba Włoch, jak ty sam».

A hul-taj mój kiwnął głową i powtórzył, zaklinając się na bożka Bachusa, że to był Polak i że zwał się Enrico Lienza. «Prowadź na cmentarz, ty! — zawolałem. — Zobaczym — jeśli prawdę mówisz, piastra — jeśli kłamiesz, kijem, by, cię nauczyć nie mieszać Włochów z Polakami!»

A on przystał, pewny swego i wesół, jak chłop, co idzie do karczmy — lecz chciał bałamucić — wprzód katedrę nam pokazać.

«Na cmentarz!» — krzyknąłem, już zły, a chcąc skądinąd prawdy dociec, czy też może być, by leżał wśród samych Włochów sam jeden, biedny, szlachcie polski. — Jeśli tak, to warto nasamprzód pójść do niego — a ciekawości i antyki na potem!

Żonę więc pod rękę, córkę i syna naprzód i walę za Włochem — Włoch do klasztoru. — «Gdzie ty tam idziesz?» pytam. —

On mi mówi, że cmentarz w środku klasztoru. — «Kiedy tak, to idź!»

I prawda — prowadził nas, poganin, przez korytarze malowanych mnóstwo — chciał freski tłómaczyć — ja go ręką w plecy, ale delikatnie. — Co mi tam freski, kiedy o kilka kroków dalej Polak leży! — Aż tu weszliśmy w ogromny czworbok, bez dachu, otoczony rzędami kolumn — ładne kolumny, cienkie, jak grube trzcinny, dziwnie wyrabiane u spodu i góry w grona winne, ptasie dzioby, głowy ludzkie, a każda obwieziona mozaiką zieloną i złotą, gdyby pasem perskim.

Żona moja zaraz powiedziała, że to architektura po Maurach — nie w ciemni bity były te Maury, kiedy takie marmury stawiali.

W środku czworboku, na łące pełnej róż i cyprysów, kamień po kamieniu białym, pomniki, figle, posągi — aż w głowie się kręci. — Lecz to na potem wszystko; choć żona chciała oglądać, ja nie dałem i pcham Włocha przed się — a mój wierec pięta, skacząc przez groby i krzewy, bieży do kąta pod murem i krzyczy: «Eccolo!» i wyciąga rękę, mówiąc znów: «Complimentate me!»

Dalibóg, gdy się zbliżę, gdy spojrzę, znak święty krzyża uczynilem. Czym mógł się spodziewać?... Oto stał przede mną krzyż drewniany, niski, ledwo, że ostrugany, a na nim napis farbą czarną:

ZGON HENRYKA LIGENZY.
1840. ROKU, 12. KWIECIEŃNA.

«A co, nie Lienza, a co, nie piaster?» zawołał Włoch.

Ja mu trzy rzuciłem i, zdjąwszy furaczkę, mówilem Zdrowas Marya, a potem zacząłem przypominać Imości, że to niegdyś wielka familia była w Polsce, z osiem kartek w Niesieckim jest o niej; ileż to dygnitarzy i senatorów z tego gniazda wyszło — a teraz co? — pożał się Boże! — Ostatni, bo nie słyszałem, by inni jeszcze to imię nosili w kraju; a może są, którzy go noszą, ale nie wiem o nich. — Tak, zapewnie, ostatni z Ligenzów tu leży za morzem, na wyspie, wśród obcych, prawda, że pod ciepłym niebem i między kwiatami — ale co mu po tem niebie i kwiatach!

Syn mój starszy, Kazio (młodszy, Tadzio, został w domu z guwernantką) i moja Teodolincia (matka ją tak przezwiała,

choć ją ksiądz wyraźnie ochrzcił z wody i z ceremonii Barbara, Urszulą, oboje ukłękli i pacierz zmówili.

Tymczasem żonie mojej przyszło na myśl, by zaraz kamień uczciwy sprawić p. Ligenzie wśród tych magnatów włoskich, bo aż wstyd, że szlachcice polski tak nago śpi na obcej ziemi, z takim krótkim słowem, przez poczciwca służącego niezgrabnie napaćkanem — i zaraz też, bo dowcipna kobieta, zaczęła chodząc wzdłuż i wszerz, inny napis, zdaje mi się wierszami, układać.

A ja wołam: «Moja panno kochana, trzeba naprzód do wsi wrócić, tam o wszystko się dopytać, wywieździeć, z kamieniarzem się rozmówić — i dopiero wtedy pisać, a nie teraz, gdy jeszcze nie nie wiesz!»

Włochowi zatem obiecuję dobry komplement, jeśli mnie zaprowadzi do gospodarza, u którego mieszkał p. Ligenza. — Włoch zaraz idzie, słowo w słowo żyd faktor u nas. — Żonę z dziećmi zostawił na cmentarzu. — Tak Imość chciała, mówiąc, że będzie czytać na grobie włoskim jakiegos poetę Niemca.

Co niechlujnych i ponurych kątów w tym Morreale, to strach. — Wreszcie doszedłem do porządnego domu, na wzgórzu, z ogrodem, skąd widać miasto Palermo i całą zatokę — anim patrzył — gospodarz stał na progu i jadł melona — mój Cyceron mrugnął na niego. — Już to oni sobie zaraz tam na migi wszystko, co chcieli, powiedzieli. — Gospodarz jednak wyglądał na poczciwego i lebskiego ówika — z żalem prawie zaczął o panu Ligenzie:

«Signore, szkoda tego młodego pana. — Taki był cichy, spokojny, wspaniały! — Żył miernie, ale regularnie płacił za wszystko — grosza długu nie zostawił — prawda, że i grosza na pogrzeb także, ale ja i służący pochowaliśmy ciało. — Mówilem służącemu: Zostań z nami, wykieruję cię na Vetturyna — ale on nie chciał ani się po włosku nauczyć, ani tam zostać, gdzie pan na jego rękę skonał, i odplynął pierwszym statkiem — nie wiem, gdzie — podobno do Francyi — ale i on niedługo pożyje, bo po śmierci pana rozpił się z rozpaczą».

Wtedy się zapytał, czy nie zostawił p. Ligenza jakich papierów lub rzeczy.

Gospodarz, jakby sobie nagle coś przypomniał, wziął mnie

za rękę i przez wschody zawiódł do porządnej izby na drugim piętrze.

«Tu mieszkał — na tem łóżku umarł, patrząc się w morze i na «Concha d'oro» (tak przezwali sobie dolinę, w której leży Palermo), a przed śmiercią sam widziałem, jak puszczętował zwój papierów i zasuwiał potem w głąb tej szafy. — Służący pewno o nich zapomniał, bo gdy stąd ruszał, był jak waryat jaki».

To mówiąc, otworzył szafę. — Prawda, pod półką leżały papiery — wzięłem — ołówkiem na wierzchu napisano było: «Ostatni ślad myśli znikającej. — Jeśli kiedykolwiek wpadnie w ręce Polaka, niech czyni z nią, co mu się podoba — ja chciałbym, by ją wydrukował». I nic więcej, tylko te słowa i owe trzy ulamki, które w niniejszym tomiku wydaję...

a) Syn cieniów.

5. Tedy Aniol, któremu widział stojącego na morzu na ziemi, podniósł rękę swoją ku niebu.

6. I przysiął przez Żywiącego na wieki wieków, który stworzył niebo i to, co w nim jest, i ziemię i to, co na niej jest, i morze i to, co w niem jest, że czasu już nie będzie.

Odyseusze Sr. Jana, Roz. X.

648)

Syn cieniów patrzy w otchłań, w ziemię, na dół.
Moc go niezmana z cieni wyrzuciła,
Dzika wilczyca piersią wykarmiła —
I pod Tytanem stęknął ziemi padół.

Poszedł w pół senny i darł się po górach.
Zawisł; sse wilgoć na gór szczyty, w chmurach,
Aż mgła wisząca pęknie u skał szczytu
I światło spadło z krainy błękita.

Pojrzył syn cieniów w oddal, w górę, w niebo,
Wyciągnął ręce do wyżyn wszechświata —
Choć z ziemi rodem, już ziemią pomiata,
Nektar gwiazd mleczych ust jego potrzeba.

Ale nim wdziecie szaty człowieczeństwa,
Nim się rozbieże z powicia natury,
Musi z nią walczyć i znosić tortury
Olbrzymie, straszne, Tytanów męczeństwa.

Aż z starożytnej odnętu zawiei
Wyjdzie przemienion i «Jestem» zawoła;
Ludzka mu piękność wyjrzy wtedy z czoła.
W sercu zakwitnie kwiat błędnych nadziei.

Choć Boga tylko zna on gniewu panem,
Choć pozór dotąd mu prawdą jedyną,
I przeciw losom brata się z szatanem —
Ta doła płynie, bole te przemiana!

Przez długą pracę ludzkiego męczeństwa
Znów się rozbieże z szaty człowieczeństwa,
Myśl, która truje, krew własna, co krwawi,
Glinę mu z serca wyżę i przetrawi —

Cierniów koronę przywiąże do skroni
I łzę miłości nad bracią uroni,
Cierpiąc i wierząc w Ojca niebieskiego,
Jak duch nieszczęsny — lecz wolny od złego!

Aż znów się zbudzi odwieczna Tęsknota,
Dni zwątpień wróca, pokusa się zmoże,
Znów mu się wyda, że z niego sierota,
Rzucony oślep na zaguby morze.

Ale złe przejściem — tylko pyłem drogi —
Jeśli piorunem — to doczesnej burzy —
Jeżeli cierniem — to łodygi róży,
Której kwiat płonie tam, gdzie Bogów progii!

Ten, co dziś wąpi, co od wieków jęczy,
Gwiazd swych się dorwie i zamieszka z niemi,
Bo w gwiazdach nieba przetworzy krąg ziemi,
Wiążąc go z niebem innej wstęgą tęczy.

Stąpaj więc dalej, o synu światłości,
Stąpaj ku światom nieodkrytych stronie!
Wszystko, co żyje, świeci, dzwięczy, płonie,
Twojem na drogach twej nieśmiertelności!

Coś myślą pojął, dosięgniesz ramieniem —
Ujrzysz na oczy, coś przeczł natchnieniem —
Z strun twojej lutni rozpięrczniete dźwięki
Weźmiesz, jak perły widome, do ręki,
Gdy wróca kiedyś świeże i stwardniałe,
W życie wcielone, z próżni zmartwychwstałe,
Na wielki wieków dane tobie — tobie,
Coś marzył czasem, że twój koniec w grobie!

A hańbą ową nie dręcz się, pielgrzymie —
Gdziekolwiek idziesz, tam wrae anioł życia;
Twarz jego czasem w czarnym śmierci dymie,
Lecz jak kwiat róży, nim wyjdzie z ukrycia.
Jak uśmiech dziecka, nim błysnie z powicia!

Bądź znów, jak Tytan, wielki — silny — dumny! —
 Wszędzie kolebki — niema nigdzie trumny —
 I wszędzie niebo — niema nigdzie ziemi —
 I wszędzie Bogi — nad tobą i w tobie,
 Na każdym miejscu i o każdej dobie;
 Byleś — nie jesteś, lecz znów bądźziesz z niemi,
 Aż kiedyś ujrzysz, jak z lazurow łoża
 Jasność jasności, Bóg Bogów powstaje,
 I znów do niego wyciągniesz ramiona,
 I on cię porwie w inne — dalsze raje.

Znów za nim pójdziesz ty, anioł, ty, święty,
 Lecz on ci jeszcze będzie niepojęty —
 Choć w innym ciele, choć na skrzydłach gromu,
 Coraz to chyżej i wyżej niesiony,
 Ty tęsknisz dotąd — boś nie znalazł domu —
 I świat twój jeszcze nie jest nieskończony.

Choć wstąpi mleczne u stóp twoich płyna,
 Jak niedgły ziemskich oceanów fale,
 Ty na nie patrząc, nowe czujesz żale:
 Wiesz, że i one, jak tamte, przemina.
 Dotąd ci czegoś brak, synu światłości!
 Choć latasz wolny po światów przestworze,
 Cień twoich skrzydeł dotąd w nim się toczy,
 Mgła niepamięci dotąd čmi ci oczy,
 Ostatek bólu w twojem sercu gości,
 I jeszcze wołasz na Boga: «Ty — Boże!»
 Duch twój dopiero u progów wieczności.
 Aż przejrzysz Pana, jakoś ty przejrzany,
 I poznasz siebie — a w tej samej chwili
 Noc niepamięci w tobie się przesili —
 Wspomnisz nareszcie, żeś z Panem nad pany
 Duch ten sam, jeden na wielki i wszędzie,
 Co *jest* już teraz — ni był, ani będzie!

Bo pierwsze wszystkie kształty przemieniły —
 To sen twój miał, jak fal miliony —
 Ten sam ty byłeś, lecz nieprzebudzony,
 Boś śnił o falach, co w tobie płynęły;
 Teraz żyć poczujesz — boś uczył, żeś razem
 Potęgą marzeń i marzeń obrazem.
 W jednym wspomnieniu, po długim pogrzebie,
 Tyś znalazł się z sobą — tyś przypadł do siebie.
 I wszystkie dusze, co wierzyły tobie
 I przez ciąg wieków spać się kładły w grobie,
 Coraz to wyżej, z grobu, w grób, na zmiany,

Wschodząc i żyjąc, do ciebie wrócili.
 Tem są na końcu, czem w początku byli: —
 Świat jeden ducha, z twoim duchem złąny. —
 Lecz każda dusza na *ciebie* wyrosła
 I siebie samą w twoje łono wniosła,
 I wie o sobie — że się stała synem
 Równym ci, Ojczy, i wiecznie Jedynym.
 Bo w każdej Jeden Ty jesteś, o Panie!
 I w każdej wołasz «Ja», a oprócz Ciebie
 Nigdzie nic niema i nic nie powstanie!

Teraz myśl, Kochaj, stwarzaj wieczne niebo w niebie!

b) Sen-Cezary.

1. Chocbyśmy mówili językami ludzkimi i anielskimi, a miłosciłymi nie miał, stałem się jako miedź brząkająca albo cymbał brzmiący.
 2. I choćbyśmy miał proroctwo i wiedzielibyśmy wszystkie tajemnice i wszelką umiejętność i choćbyśmy miał wszystką wiarę, tak, żebyśmy góry przenosił, a miłosciłymi nie miał, nicem nie jest.
- List pierwszy Św. Pawła do Koryntyan, E. XIII.*

649)

I ujrzałem pośród narodów garstkę ludzi, ubranych w szaty żałobne, garstkę ludzi ujrzałem, noszącą sztandar, na którym napisane było: «Naród», ujrzałem ostatnie pokolenie wielkiego plemienia, idące zwolna, jakby za pogrzebem, idące także w nieskończoność — a gdziekolwiek spotkało się z drugimi tłumy, torujące sobie drogę ostatkami szabel. — Wielu z nich dźwigało szczytki łanuchów na nogach i dłoniach; byli bardzo bledzi i bardzo znużeni — nieśli dzieciątka konające w ramionach, inni w objęciach trzymali zemdlale niewiasty, podobne do umarłych aniołów. — Wielu z nich znaczyło ślady swoje krwią, z ran płynącą; i na ich piersiach głębokie rany widziałem — na ich czolach jakoby wieńce cierniowe — w ich ręku jakoby krzyże, zwiędłemi kwiaty oplecione, a milczeli tak, jak groby milczą — Bez krzyku walczyli — bez jęku padali — bez pieśni zwyciężali — bez narzekania szli dalej na nową bitwę i śmierć tę samą!.. Długom patrzył, czy też kto ich nie przywita miłosiernem słowem lub uściskiem bratnim. — Lecz nigdy i nigdzie nikt im ręki nie podał, nikt z drogi się nie usunął, by mogli ci umierający przejść w pokoju. Tłumy narodów, jak mury

czarne, stawały wprostek im — jak potoki czarne, płynęły przeciwko nim — jak stada drapieżnych ptaków, pastwiły się nad ich obalonymi ciałami.

I żał serce mi objął i lzy do ocz mi się cisną. Zrozumiałem katedry ponure jęki, owe podziemne akordy, bijące ku niebu — one grały pogrzebną pieśń ludu tego! — A głos z wnętrza dzwonnicy zaszumiał ku mnie: «Cezara, Cezara, oto lud, co schodzi z ziemi i nie powróci nigdy».

A gdy m spojrzal znowu, oni bili się otoczeni zewsząd i już bez nadziei — bo ów księżyc, jasny jak słońce, oblewał ich promieniami, a nad ich wrogami wisiała jakoby mgła, polyskami przetkana. — I było im bardzo ciężko i skwarno. — Wszystkie kule i cięcia prosto w nich trafiały, ich miecze, ich grotty, daremno błędząc w cieniach, wrogów zabijać nie mogli. I było im nieznośnie gorzko.

I kaźden z nich wznosił w górę dziecię swoje i rzekł «Leó do Boga, sieroto!» — A zdalo mi się, że na chwilę zbładł księżyc i z nad ich głów się odsunął — i przepaść jakaś lazuruwa wydrążyła się w niebie — i w nią wleciały owe wszystkie małeńkie, jak rój białych aniołków — Wlecieli i wskneli — i zamknęło się niebo i znów księżyc roziskrzył się krwawym blaskiem i walka na nowo się rozpoczęła na ziemi.

A umierających coraz mniej, umarłych coraz więcej widzę. Jednak żaden dotąd nie rzucił broni, nie klął, nie błagał przebaczenia — nie zdał się na hańbę niewoli! Słyszę głosy wołających tłumów: «Żyćcie i bądźcie naszymi slugi!» Umierający wstrząśli korony cierniowe na czołach i odpowiedzieli jednym, wielkim krzykiem, jak gdyby ostatniem wyzwaniem do boju.

I ujrzałem pośrodku katedry wielki otwór rozwarty, jakoby wstęp do podziemnych grobów, czekających na kogoś — i ogromny kamień leżał przy tym czarnym otworze, kamień ogromny, biały, jak alabaster, i długą taśmą krwi obrąbiony, krzyżem krwi pośrodku znaczony, a pod krzyżem było to słowo, także krwią napisane: *Naród*.

Wtem grzmot z organów uderzył — raz tylko — i rozwarły się bramy katedry — i głos mój rzekł do mnie: «Cezara, Cezara, patrz, bo to oni wchodzi!»

I szli polegli, szli umarli, szli jeden za drugim, sztandar swój niosąc, jak za życia dni, trzymając w objęciach pozabijane anioły swoje — trzymając w ręku pęknięte oręż; szli, jak mgły chodzą, bez szesteu, szli ze spuszczenem czołem, pełnem wspomnień bólu. — Dzieciątek ich tylko nie było z nimi — ale, jak tylko przestąpili próg katedry i zaczęli stapać w stronę wielkiego ołtarza, tam, kędy zdalo mi się, że widzę biały posąg Chrystusa, tam, kędy zdalo mi się, że marmurowych aniołków grono wychyla się ze sklepień — ot! muzyka stała się miękka i tkliwa, jak szczęścia wspomnienie — ot, jakieś wieńce nagle błysnęły w powietrzu i róż białych tysiące spadły na posadzkę — ot, tych aniołków grono motyliich skrzydeł opasało się tęczą i kaźden rączki wyciągnął, oderwał się od sklepienia, zawisł w powietrzu i, ważąc się w powietrzu, jasnymi oczętami zdał się szukać i poznawać, a poznawać, leciał ku nim, ku nadchodzącym i skrzydełkami wieńczył głowy ojców poległych i matek, uspiionych snem śmierci.

A lampy ciemniały coraz bardziej — mgły, zstępujące z sklepień, wiły się naksztalt całunów — gromnicę gasły jedna za drugą — tony owe miękkie i tklive cichły pod jękami organów. — A im ciemniej i huczniej się stawało, tem posąg Chrystusa, ów biały, wysoki, daleki, biały i rósł bardziej przede mną — aż cały kościół zanurzył się w mrok szary — aż przestrzeń cała przemieniła się w grzmot nieustanny, podobny do huku tręb archanielskich. — I postać owa wysoka, daleka nad wielkim ołtarzem, — jasna, blizką, żywa, zstępującą się wydała. — Ona jak słońce — oni wszyscy czarni i cały kościół czarny i drżący, jak drzewo w wietrze jesiennym. — A postać zstąpiła i stanęła nad samemi niewiasty i pojrzala ku mężom siedzącym — a wzrok jej była to jasność biała, jak diamentu.

Niewiasty się podniosły i, zaslanając oczy rękoma, westchnęły: «O Panie, oddaj nam dzieci nasze!» I męże, padłszy na ziemię, zawołali: «O Panie, oddaj nam Ojczyznę naszą!»

A postać zstąpiła jeszcze niżej i oni wszyscy, powstawszy, szli za nią, a ona wiodła ich ku rozwartym grobom nie tykając ziemi stopami, ale płynąc i unosząc się.

I pierwsza w grób zstąpiła, jak słońce, co zachodzi, w grób

ten czarny, mówiąc: «Odpocznijcie — kamień nad wami, jak nade mną, zasunięty będzie! — Alboż ja nie przy was? Czemu się wahacie?» I oni wszyscy zeszedli i zniknęli, wszyscy aż do ostatniego, idąc za postacią Chrystusa. — I widziałem, jak się podniósł ten głaz ogromny z napisem *Naród* i zapadł nad nimi. — I ostatni grzmot uderzył — i zgasła ostatnia gromnica.

A wśród ciemności usłyszałem jakoby chór duchów, śpiewający ostatnie pożegnanie im:

«Złóście dłonie na zimnej pościeli — złóście czoła na trumny wezgłowiach — niech ostygną rany wasze — niech odpoczną serca! — Zapomnijcie, aż przyjdzie na was i na ziemię waszą powtórnej wiosny godzina!»

«Ten sen będzie siłą wam; bo Pan czuwa na waszem trumny i czeka, aż chwile przeznaczone miną. A teraz pokój wam — teraz zaśnijcie głęboko!»

c) Legenda.

14. Zaprawdę, zaprawdę, powiadam Tobie: «Gdyś był młodym, cipa sowałeś się i chodzisz, kędys chciał; lecz gdy się zaszarzejasz, wyciągniesz ręce Twoje, a inny cię opasze i poprowadzi, gdzieś nie chciał».
 16. A Piotr, obróciwszy się, ujrzał onego ucznia, którego milował Jezus, pozostawiającego, który się też był położył przy wieczery na piersiach Jego, i rzekł: «Panie, który jest ten, co Cię wyda?».
 21. Tego ujrzawszy Piotr, rzekł Jemu: «Panie, a ten co?».
 22. Rzekł mu Jezus: «Jeślibym chciał, żebym on został, aż przyjdzie, co tobie do tego? Ty pójdz za mną».
- Evangelia według Św. Jana, Roz. XXI.*

650)

Zdało mi się, że w samą wigilią Bożego Narodzenia wychodzę z bram Rzymu i że idę przez Kampanię. — Pogańskie tam grzały się groby w promieniach słońca — ranek był — niebo czyste, jak zawsze, i pustynia smutna, jak od wieków.

Szedłem dzień cały, niesion ducha potęgą. — Stare wodociągi, póki mogły, szły za mną, lecz jam poszedł dalej. — Bluszcze, jak zielone żłoby Chrystusa, szumiały po świątyn ruinach. — Leciały nade mną białych ptaków stada — przede mną w dole pełzał gad błyszczący. — Huk morza zaczął wołać na mnie.

A kiedy stanął na ostatnim wzgórzu ziemi — kiedy ujrzał wody, słońce już zachodziło — a daleko na wodach stała

plama czarna, jakby żywa, coraz większa i lecąca ku mnie — wreszcie ogromna, gdy słońce zgasło, a zmierzch padać zaczął.

Wielki to i rozpłynął okręt, bez płócien i masztów — a wszystkie fale kołami rozbija na pianę — i z pośrodku jego bucha słup dymu, który leci nazad w nieskończoność.

Coraz to ciemniej! — On, jak widmo czarne toczy się w przestrzeni, grzmiąc — dwa ogniki nocne spadły przed nim w morze — Głos wiedzy z pokładu się odezwał: «Czy dziś ostatnia wigilia Bożego Narodzenia?»

Ja, w duchu przerażony, odparłem ze wzgórze: «Zaprawdę, dziś wigilia jest!» I wnet stanął okręt przy samych brzegach, biała para rozwiódła się nad nim, żuźle i iskry sypnęły się z jego boków — w świetle czerwonym zajaśniał pokład na znikomą chwilę.

Stały tam postaci w karmazynowych czapkach i w płaszczach bielejących — Usłyszałem nby zgrzyt łańcuchów — zdało mi się, że pada ciężki most, długi most, od okrętu rzucony do brzegów — po nim w ciemnościach widać się te postaci i dają ku mnie.

A gdy niedaleko już były, zapytały jednym głosem: «Kędy droga do Rzymu?»

Jam odparł: «Niema tu drogi — tu pustynia».

A oni odrzekli: «Prowadź nas zatem!» — A kiedy mi się wahał, znów się odezwali cichym i tęsknym głosem: «Myśmy ostatki szlachty polskiej. — Anioł pokazał się nam, anioł niepodobny tym, których oglądali ojce nasze, bo miał skrzydła bez blasku i welon żalobny na czole — lecz wiemy, że on z nieba zesłał — a on nas tu posłał. — Długośmy płynęli — wielkie tam były wichry i śloty na morzu — lecz dopełni się wola Pańska, jeśli dziś o północy stanem w bazylice Piotra».

A ja im na to: «Idźcie za mną, nieszczęśliwi ludzie!» — I nazad ku miastu od brzegów morza stapać zacząłem, drząc i modląc się, jakbym przechodził przez cmentarz, a z tyłu za mną wstawali umarli.

A gdy podszedł bliżej, obaczyłem jakoby mnóstwo pielgrzymów idących przez Kampanię z pochodniami w rękę. — Luna, koło nich rozpoznała, szła razem z nimi wśród dwóch

wielkich ścian ciemności, a w niej wysokie krzyże i obrazy świętych i różnych narodów sztandary w powietrzu.

W sam środek tych tłumów wwidłem hufiec mój — Wtedy ujrzał zasepione lica ich — tych, którzy szli za mną, i jakieś natchnienie w ich oczach, ale nie życia natchnienie — i szable, na których się opierali, jak tamte pielgrzymy na kosturach swoich.

A ledwom wszedł z nimi pod światło pochodni, zdało mi się, jakoby stanęły tłumy, pytając ich: «Co wy za jedni i skąd idziecie?»

Oni się zatrzymali i dziwny uśmiech rozbiegł się po ich ustach — a odrzekli zaraz: «Ażaj nikt nas nie poznał na świecie?»

Cichy szmer, szmer rosnaćy, rozległ się naokoło; zdało mi się, że wszystkie hufce pielgrzymów zawołały razem: «Znamy was — wyście ostatnie bohaterzy ziemi!»

Wtedy oni ciągnęli dalej: «Widzieliśmy anioła z czarną zasłoną na czole — on nam kazał śpieszyć do Rzymu — a wy, mówcie, czyście słyszeli głos jaki?»

Wzbił się wielki jęk tłumu, odpowiadający im: «Amen. — Ten sam anioł kazał nam domy porzucić — głos jego rósł nocą nad nami w powietrzu i nie dawał nam zasnąć. — Dni onych, mówił, Chrystus raz ostatni narodzi się u grobu Piotra, a odtąd rodzić się już ani umierać nie będzie na ziemi.»

I umilkło mnóstwo i stało, jakby własnemi przerażone słowy. Pierwsi Polacy ruszyli z miejsca, białe na ramiona zarzucający płaszcze. — Z wszystkich stron Kampanii coraz więcej tłoczy się pielgrzymów — już widne mury miasta — już słychać dźwięk dzwonów — a im bliżej, tem jaśniej, bo na bramach, na wieżach palą się wieńce świateł, i tem huczniej, bo tu i tam i jeszcze dalej jeden po drugim budzi się i grzmi każden kościół Rzymu.

Zdało mi się, że noc w dzień biała zmieniona — ulic, które z rana opuścił, nie poznaję wcale. Tam, gdzie gruzy tylko, tam, gdzie puszczek siada tylko, kołyszą się teraz snopy kwiatów i lampy płonące — i rzymski lud ciśnie się tłokiem, wołając: «Weselmy się, weselmy, bo Chrystus dzisiaj narodził się nam!»

A gdy ujrzeli szlachtę polską, wstępującą w bramy, i piel-

grzymów potok, płynący za nią, krzyżąc, skakali z radości — pytają się tylko: «Czemusicie tak ponurzy, goście? Jeśli was długa droga znużyła, odwilżcie usta sokiem pomarańcz! — Zrzućcie białe czapki i ciemne kapelusze — oto są myrtu gałązki — oto kamelie — skroniom je waszym rzucamy na wieńce!»

Ale w milczeniu i brew zmarszczywszy idą pośród nich Polacy, a idąc, mówią do mnie: «Gdzie bazylika Piotra? Nam śpieszno — nam tęskno — wszak już blizka północy godzina?»

A ja ich prowadzę przez Forum. — Zdało mi się, że amfiteatr Flaviana, — ten pusty, ten ciemny, ten stary, — jak ogrom światła stoi teraz, od stóp po olbrzymie szczyty kagańcami rozwieszon — każden listek bluszczu znać na nim — w jaskrawych szatach niewiasty i dzieci przechadzają się po piętach gmachu i, klaszcząc w dłonie, witają nas przechodzących.

I wszystkie łuki na Forum i wszystkie kolumny palą się, jaśniej — i na wzgórzu ścianą z złotych ogni wznosi się Kapitol; od wielkiej luny gwiazdy pomdlały na niebie.

Lud ciągle krzyczy: «Hosanna, Hosanna!» a pielgrzymy śpiewają psalmy pokutne. — Lud ciągle bieży i zawraca, brzdąka na gitarach, roztrzasa iskry w powietrzu — a samym środkiem morza tego my idziemy czarno — powoli — w ducha żalobie.

Z wszystkich ganków, z wszystkich dachów ulicy spadły na nas fiołki i różę.

Już dzwon Kapitolu brzmi daleko z tyłu — a przed nami dzwon świętego Piotra odezwał się w przestrzeniach — On jeden, sam bije teraz — głośnieji ponad wszystkie inne.

W stronę wolania tego śpieszym się — most na Tybrze przechodzim — domy na brzegach, jak ciche pożary — rzeka, jak wstęga z płomieni. — Zamek Anioła najeżon działami — co chwila jedno działo to błysnie to zagrzmi.

Zawracamy teraz — już wchodzim na dziedzińce Piotra; — kopuła w lamp szkarłatnych tysiące ubrana — krzyż na jej szczycie, jak dyament — z obu stron kolumny dziedzińca wydały mi się kręcące z ognia — fontanny pośrodku, jak tęcz płynących dwoje — i lud wielki obaczyłem, czekający tam — i bramy kościoła rozwarte — i wnątrz kościoła, jakoby nieskończoność płonącej jasności!

Póki mogli, szli Polacy i pielgrzymi, lecz na wschodach,

u stóp portyku, mnóstwo zewsząd zamknęło im drogę. — Sta-
nawszy, o przejście wołają — lecz coraz bardziej i z przodu
i z tyłu i z boków zgraje ciężą na nich.

I powstały głosy Rzymian: «Alboż my nie pierwsi — alboż
ten kościół nie nasz od wieków i na wieki?» A wśród pielgrzy-
mów inne słyhać głosy: «Dotąd szlachta polska torowała nam
drogę — czyż i ona teraz przed nami wejdzie do świątyni?»

I ujrzałem, jak Polacy wzniesli pałazę na znak, że się
bronić będą — szczerym ogniem zaświetniały ich klingi w jaśni
powietrza.

Lecz w tej samej chwili, na krużganku Bazyliki, wysoko
ponad ludem, ukazała się postać w purpurze, która rzekła,
a głos jej donośnym był bardzo: «Puszczajcie tych, którzy dla
wiary katolickiej niegdyś naród cudzy od śmierci zbawili, a póź-
niej za tęż wiarę poginęli sami! — Umarzy puścić naprzód! —
I wznosił rękę kardynał w prawo i na lewo, jakby tłumy roz-
dzielał — w dole rozdzieliły się tłumy — a on zobaczył i cofnął
się nazad do gmachu.

A jam poszedł zaraz z Polakami prosto przez wschody,
prosto przez portyk, w sam kościół, i przez kościół cały, aż
przed wielki ołtarz, aż przed lampy, co się palą na grobie
Piotra. Tu stanęli i, zdjąwszy karmazynowe czapki, białe płaszcze
rozklamrowali na piersiach — przyklekli i modlili się, naga
broni trzymając w rękę.

Wtedy ojciec, który jest na ziemi, uchwycił bladą ręką
za poręczę tronu i siadł na nim — a wzniesiono go zaraz w górę;
i trąby znowu grzmiały w kościele — kardynał idzie przy tronie. —
Lud zrywa się z ziemi — dzwon uderzać zaczyna — dwanaście
razy zdało mi się, że zadrzały sklepienia — koło wielkiego ol-
tarza chmura kudzideł się wznosi — w niej papież na wschody
wstępuje — a kardynał rzekł: «Chrystus się narodził!»

Zaraz z tłumy pielgrzymów wzbił się jęk żaloszny: «Wszak
nie sprawdzą się słowa anioła, że po raz ostatni?»

A lud rzymski krzyknął wściekle: «Kto śmie bluźnić w ko-
ściele Piotra?»

Jeden z szlachty polskiej wystąpił, wołając: «Oni nie blu-
żnią, a my się nie lękamy was — oni prawdę mówią — ja sam
i bracia moi widzieliśmy smutnego anioła».

A kardynał znów, jak księżę potęgi, ręką skinął i rzekł:
«Pokój ludziom dobrej woli, niech się modlą, bo msza się za-
częła — a czas krótki — a modlitw dziś potrzeba na ziemi i niebie».

I my wszyscy zaczęli się modlić w wielkim oczekiwaniu.
A ojciec nasz święty siedział przed nami na anieli.

Z kaplic znów wzniosły się głosy, gdyby chóry anielskie,
pełne niebieskiej rozkoszy. Część nocy upłynęła — przyszli biali
kapłani i podali ręce ojcu naszemu — on z tronu zstąpił i po-
szedł ku ołtarzowi i wziął kielich w ręce, bo pora świętej ofiary
nadhodzi — kardynał nalewa doń wina.

A w samą chwilę podniesienia, gdy wszyscy przypadli do
marmurów, usłyszano jakoby głos w powietrzu, który wymówił:
«Jestem!» A gdyśmy, drżąc, podnieśli głowy, ujrzeli wszyscy
wielką postać, opartą czolem na środkowej bramie, znikającą
z wolna, coraz bardziej mgłą, a ręce jej były krwawe i nogi
krwawe, lecz sama cała śnieżna — i, jak śnieg topniejąc, zniknęła.

Wtedy kardynał, gdy papież, trzymając jeszcze kielich
w rękę, wzdrzygał się, sam rzekł: «Ite, missa est!» a potem za-
wołał głosem ogromnym: «Czasy dopełniły się!» i, rozdarszy
purpurę na piersiach, rękę wyciągnął w stronę grobu Piotra,
mówiąc: «Obudź się i mów!»

Z każdej lampy nad grobem rzucił się język ognisty i wie-
niec płomieni rozkołysał się nad ciemnicą grobu — a z dna tej
ciemnicy podniosło się ciało, z rękoma ku sklepieniom — i, sto-
jąc po piersi zanurzone w grobie, krzyknęło: «Biała!»

A za tym krzykiem zdało się nam wszystkim, że skle-
pienia kopuły pierwszy raz się porysowały.

A kardynał rzekł: «Piotrze, czy poznasz mnie?»

A ciało odpowiedziało: «Głowa twoja ostatniej wieczery
spoczęła na piersi Pańskiej i tyś nigdy nie umarł na ziemi».

A kardynał odparł: «A teraz kazano mi, bym wśród ludzi
zamieszkał i ogarnął świat i przytuilił go do piersi, jako Pan głowę
moją ostatniego wieczora!»

¹⁾ Z tych słów wznosić należy że w postaci kardynała, wprowadził
poeta św. Jana ewangelistę którego zjawienie się ma zwiastować początek
nowej ery w rozwoju chrześcijaństwa, przekształcenie Kościoła przez ze-
szanie, obliczanego przez Chrystusa, Ducha św. który rozjaśni duszom ludz-
kim tajemnice wiary.

A ciało odparło: «Czyń, jako ci kazano jest!»

Wtedy kardynał skinął znowu jak księżę potęgi — a ciało powtórzyło: «Biada mi!» i zapadło z strasznym łoskotem, jakby w otchłań, nazad w grób swój i rwać się lepiej jeszcze w górze zaczęły sklepienia.

Nam wszystkim tak straszno się stało! — Jedna szlachta polska patrzy śmiałem okiem, oparta na szablach.

A papież w potrójnej koronie przykląkł na stopniach ołtarza i, jak posąg, niewzruszony klęczy.

Kardynał rzekł: «Wychodźcie wszyscy, i wy, i wy, i wy, i wy jeszcze, by żaden z was nie zginął pod gruzami tych murów!»

A ludy odrzekły zewsząd: «Prowadź nas Ty, któremuśmy się dzisiaj dostali w opiekę!»

I wznosił się krzyk trwogi, bo coraz huczniej pękaly sklepienia, bo wszędzie drżały kolumny i słupy, a lampy stukły się w wietrze wielkim i gasyły.

Wtedy kardynał: «Ojcie mój, czy tu się zostać chcesz?»

A starzec, rękę podnosząc i przytrzymując koronę, odparł głosem zbolalym: «Ja tu umrzeć chcę — zostaw mnie, synu!»

I lud wszystek usłyszał tę odpowiedź i krzyknął: «Uciekajmy!»

I pierwsi Rzymianie zaczęli się zrywać i uciekać.

I każdy huciec ruszył się z pod ołtarza swego z swoim sztandarem i jął uciekać.

Kardynał wtedy, przykleknąwszy, raz ostatni złożył usta na czołe starca i znak błogosławieństwa zostawił koło jego korony, gdyby wianek sinego światła w powietrzu, potem zstąpił i z przedziwną jasnością koło skroni szedł ku bramie kościoła. — Cały kościół giął się w podrzutach, jak ciało umierające, ale on wzniesioną dłoń zatrzymywał rozdarte sklepienia nad ludem i patrzył, aż wyjdzie ostatni z ludu.

A przechodząc, rzekł do szlachty polskiej: «Ludzie, idźcie za mną!»

Nic nie odpowiedzieli.

On jeszcze głowę odrócił i rzekł: «Idźcie za mną!»

Oni się nie ruszyli.

A gdy dochodził bramy, pędząc lud przed sobą, jako pasterz, raz ostatni jeszcze ręką skinął ku nim.

Lecz oni podnieśli tylko szable w górę, jakby na ich ostrzach wstrzymać chcieli spadające mury, i zawołali razem: «Nie opuścim starca tego. Samemu gorzko jest umierać — a kto z nim umrze, jeśli nie my? Wy idźcie wszyscy — my nie umiemy uciekać!»

Kardynał zatrzymał się na samym progu i rzucił im z daleka znak błogosławieństwa, wianek sinego światła także — i lęz miał tej chwili w oku, mówiąc: «Chwila jeszcze, a poгинiecie!»

Lecz oni szli już wtedy ku wielkiemu ołtarzowi podać ręce klęczącemu i umierającemu — szli w białych płaszczach i w polysku szabel — a owe cztery kręcone filary ołtarza pękły, jak ścięte drzewa, i runęły — i baldakin spżowy runął — i kopuła cała, jak zstępujący świat, bialo spadała na ziemię.

I wszystkie portyki i pałac Watykanu i kolumny dziedzińca lamały się, rwały, w proch się sypiały — i obie fontanny, jak dwa białe gołębie, przypadły do ziemi, konając, a lud uciekał coraz dalej, jak morze, wyparte z brzegów, i zdało mi się, że już ranek jest — że słońce dotąd nie wschodzi. — I widzę tylko gwiazdę jutrzeźki nad stosem gruzów tak wysokim, tak ogromnym, jak była niegdyś bazylika Piotra.

Wstępował na ten olbrzymi kopiec kardynał, a mnie się zdało, że poszedł za nim, niesion Duchą potęgą.

A gdy on doszedł szczytu, zasiadł, gdyby na tronie, i spojrzal na świat — a wnet szaty purpurowe opadły mu z ciała i przemienił się w postać białą, łagodnem światłem osrebrzoną — i księga była w ręku jego — i schylił głowę ku jej kartkom i uważnie czytał.

A twarz jego była jakby przepojona miłości wyrazem, a pełna pokoju.

Zbliżyłem się zatem do niego i rzekłem właśnie w chwili, gdy wschodziło słońce: «Panie, czy prawda, że ostatni raz wczoraj Chrystus²² narodził się w tym kościele, którego już dziś niema?»

A on z dziwnym uśmiechem, nie podnosząc ócz z nad księgi, odrzekł mi: «Odtąd Chrystus ani się rodzi ani umiera na ziemi, bo odtąd już na wieki wieków jest i będzie na ziemi!»

A ja, to słysząc, zbyłem trwogi wszelkiej i zapytałem się: «Panie, a ci, których przywiodłem wczoraj, czy na zawsze już leżą pod tymi gruzami, wszyscy umarli koło umarłego starca?»

A ów biały święty odrzekł mi: «Nie trwój się o nich! — Za to, że wyrządzili mi ostatnią przysługę, Pan odwdzięczy im — bo zachodzący, tak jak wschodzący, umarli, tak jak żywi, są z Pana; owszem, im lepiej będzie i synom synów ich».

A gdym zrozumiał, ucieszyłem się i Duch mój się przebudził.

K) Przedświt.

Naplanany w jesieni r. 1842, wykończony i ogłoszony w r. 1843 w Paryżu. Podajemy tu najważniejsze ustępy zarówno ze wstępu, rozwijającego system pojęć poety, — odnoszących się do rozwoju ludzkości i związanej z dalszymi kolejami przyszłości Polski, — jak też z szeregu lirycznych wynurzeń i ilustracji pojęć wstępu w wizerach i wywodach składających ten poemat.

A Jezus im odpowiedział: «Ojciec mój stał nad pracą i ja pracuję».

(Ew. św. Jana, R. V, w. 17).

651) Za dni Cezara, poprzędających wielki dzień Chrystusa, świat starożytny był doszedł do ostatnich wyników historii swojej: — w religii do zupełnego zwątpienia — w filozofii do zupełnego obalenia zasad politeizmu. Augur śmiał się z augura — a grecki sofista z samego siebie. Krytyka rozumu zniszczyła wszelką wiarę dawną, wszelkie życie, żyjące wśród ludów, a nie równie żywotnego lub żywotniejszego na to miejsce nie postawiła. Gdzie tylko spojrzeć w świecie ducha, ruiny, swawola, rozstrój — «quot capita, tot sensus». — Epikureizm, stoicyzm, platonizm, przechadzały się, jak mary, po owdwiałych piersiach ludzkości. Z tyłu wojen, proskrypcyi i rewolucyi wielkie znuzenie było się zostało w sercach — wszystkie wiary polityczne spełzły na niczem; i plebejanin Maryusz, i patrycyusz Sulla nie zdolali urzeczywistnić myśli swoich — choć niesłychanym krwi ludzkiej rozlewem, gwałtami, niesprawiedliwością, terroryzmem, starali się dawnego i znikającego porządku kształty raz jeszcze z przeszłości wywołać i żywą teraźniejszością uczy-

nić. — Śmierć tylko śmiercią wprowadzać można — jedno życie tylko nie broni się rzezią — nie wtłacza się na karki ludzkie jarzmem — ale żywotnie wstępuje w serce ludzkości, stawiając, a nie niszcząc, kochając, a nie każąc zabijać. Wszyscy ci wielcy, czy «zatraciciele», czy «odnowiciele», z ostatnich czasów Rzymu jedną cechą na sobie noszą — pragną nieznośną postać rzezy odmienić, ale nie wiedzą, ku czemu dąży historia świata. — Jedni trzymają się podania Grakków i chcą demokracji — drudzy wierzą jeszcze w «Bogi Many» Appiuszów, i marzą o arystokratycznej rzeczypośpolitej — Takim marzeniem obłąkany Brutus ojca własnego, największego ze śmiertelnych przed Napoleonem, zamorduje i nazwie to cnotą, a konając, zwątpi o sobie, o ojczyźnie i o bogach i krzyknie: «Cnota jest także złudzeniem!» — Dusza zabijającego się Brutusa, to najprawdziwszy obraz duszy świata całego naonczas. Słabość, niepewność, gorączkowa żądza czegoś lepszego i gorączkowe przerażenie po każdym czynie dokonanym, który do pożądanej przemiany nie doprowadził, oto są duszy takiej piętna — i z tych znamion łatwo rozpoznac, że świat ten bliżki dnia sądu i przeobrażenia swego.

A nie tylko umysłowy stan ten, bez wiary i daremnych tęsknot lub żalów, świadczy o tem. Inna jeszcze występuje tu cecha — nad wszystkie ważna — dowodna — niechybna — choć z wręcz przeciwnego stanowiska zarwana, choć zycząca się tylko materialnej strony ówczesnego człowieczeństwa; kiedy albowiem wszystko na polu ducha się rozprasza, skądinąd, wszystko na polu materialnych spraw i celów coraz bardziej się kupi, zrasta, ześrodkowyywa. Rzym, choć rozdarty sam w sobie i już własnej nie mający idei, zwycięzca, gromi, podbija wciąż — i staje się wreszcie człowiekiem jednym tylko, któremu na imię Juliusz Cezar — a człowiek ten ziemię nauczy jedności i wspólności. Napozór wojnami ją skaleczy, napozór bratu przeciw bratu, synowi przeciw ojcu krótki miecz do rąk włoży — przedzie Rubikon bezbożnik — powie: «jacta alea est». — Cywilnej wojny ohydę śmiało weźmie na czoło swoje — Galia o Egipt udery — Germanom pokaże błękit niebios greckich pod Farsalą — Greków za sobą porwie do Afryki — wszystko pomiesza, rozkrwawi, napelni świat szcękami broni, krzykiem boju, nienawiści krzykiem — a jednak wszystko, mimowoli, mimowiedzy, połączy, po-

brata; granit plemion, nie znających siebie, zetrze na piasek jeden, ten sam, gładki i równy, jednego, uniwersalnego państwa. I o nim żydzi myśleć będą, że on jest Mesyaszem — i ziemia o nim pomyśli na chwilę, że on jej Bogiem. — Lecz wiecie, że on był tylko poprzednikiem jej Boga. Na polu historycznego czynu on tym aniołem, któremu przykazano usuwać zapory z przed stóp idącego Pana. — On świat przywiódł do materialnej jedności, bez której żadne słowo życia rozjeść się nie może — on ziemię, znaną podówczas, zamienił w jeden wielki i szeroki gościniec.

.....
 «Discite historiam exemplo moniti!» — Lat dwa tysiące upływa, a te same znaki rozciągnęły się po falach czasu — ostatnie podrzuty Rzeczypospolitej rzymskiej odbiły się w strasznym, epileptycznym zadrgnięciu rewolucyj francuskiej. — Zerwały się cienie Maryusza, Sulli, Katyliny pod krwawą postacią Dantona, Saint-Justa, Robespiera — wrzescie dni Cezara przelaty w dni Napoleona. — A chrześcijański Cezar, wyższy całą ubiegłą epoką od poprzednika, przepelniony wiedzą siebie samego i celem, któremu kwoli duch boży, kierujący dziejami, go zesłał, rzekł, umierając na skałe wygnania: «Ode mnie liczyć się będzie nowej ery początek». W tem słowie zawarta prawda i jego i całej przyszłości. — Lecz nim ta prawda się rozwinię i dopełni, nim ze stanowiska napoleońskiego przejdzie świat do innego, całkowitego i świętszego przeobrażenia się, musi się sam wyczerpywać, jak wyczerpywał się starożytny, musi sam się zaprzeczać, jak zaprzeczał się starożytny. — Nie od dzisiaj, nie od wczoraj ruch ten postępowy w «niszczeniu», zawrót ten głęboki, w zastanawianiu się nad sobą samym, począty. — Od Grakków świat pogański nie spaoczał, aż usłyszał obietnicę Chrystusa — od Lutra nowożytny nie ma pokoju — cywilną ogromną wojną, i myśli i miecza, rozłamuje się coraz bardziej — i on też nie spocznie, aż dojdzie nie już do usłyszenia, ale do zrozumienia i dopełnienia obietnicy Chrystusa!

W okregach religijnych wszędzie rozbrat. — Kościół katolicki jakby snem od wieków trzech, od ostatniego soboru ujęty — schizma grecka w dziecinnym kształcie pierwotnego chrześcijaństwa na tysiąc kacerstw rozerwana — protestantyzm sam

siebie rozwiązujący i mówiący: «Consumatum est!» W okregach filozoficznej wiedzy pewność — ale «braku» tylko — dowód, ale krytyczny tylko, że przeszłość niezdołna potrzebom ludzkości zadosyć uczynić. — «Wąciękło-flegmatyczne», że tak powiem, zaprzeczenie filozofii niemieckiej, do najwyższego bezkształtu doszłe. Jednostronność «myśli» tknięta tą samą niemocą powstania czegoś żywego, jak wprzód jednostronność «materji», której się trzymał ród encyklopedystów francuskich. Stąd mniemań, teorii, przypuszczeń, systematów zagmatwany rój, brzęczący nad Europą!

Wszystkich wieków, co przeszły nad ludzkością, marzenia, nadzieje, szlachetne wiary i straszne bluźnierstwa, herezyje chrześcijańskie wszystkie, panteizm indyjski cały, dualizm perski, monoteizm hebrajski, idealność wyłączna i zmysłowość wyłączna; wskreszone razem i w tej mieszaninie wykształcone, oglądzone, jedne na drugie się zasuważające tak, iż trudne do rozpoznania — a wszystkie wołające do nieba o dzień sądu, o chwilę rozstrzygnięcia, same proszące się o śmierć, by się prędzej przemieniły i, nową iskrą życia pojednane, zmartwychwstały młodemi na powrót. — Oto obraz umysłowej sfery czasów naszych!

Anarchia to taka okropna, że koniecznie dąży do przesilenia — żądza taka wielka, a dotąd daremna, że wzywa koniecznie pomocy Ojca, który jest w niebiesiech. — Kiedyż ta pomoc odmówiona była? Kiedy Bóg opuścił historję, kiedy historję wzniosła ku niemu ręce i językiem wszystkich ludów ziemi krzyknęła: «Pokaż się nam, Paniel!»

Żądza nieskończona ciągnie za sobą wieczną tęsknotę i żal nieskończony — jak w osobniku, tak i w rodzie ludzkim zdarza się melancholia — ze zbiorowego człowieka także cieknie czasami pot krwawych udręceń na górach oliwnych historji. — Gdyby inaczej było, ducha ludzkiego, własną wolą wyrabiającego się, by nie było — gdzieżby się podzielała zasługa, którą on zasługiwa się w czasie? Czemuż ona, jeśli nie życiem tem jego w historji, jeśli nie tym ciągiem pracy, podzielonej na momenta śmierci i z mąrtwych z niej wstawania? A jakżeż się umiera, jeśli się nie wątpi? A jakżeż się zmartwychwstaje, jeśli się nie uwierzy? By nie umrzeć, na to Bogiem być trzeba — człowiekiem na to, by umierać. Gdy boży duch połączy się z naturą człowieka,

życie boże grób ludzki rozwała — Chrystus umarł i wstał z martwych.

I epoce, wszczętej w słowie Jego, tak samo uczynić potrzeba, nim zdola, czynem, treści całej tego słowa dorównać. — Otóż ojcowie nasi stali na tej pochyłości, co wiedzie do grobu — nas dalej już losy zaniósł i głębiej złożył — my w grobie — myślę się — my już za grobem!

Wszyscy wiecie to, bracia moi, żeśmy się urodzili na łonie śmierci — i od kolebki oczy wasze wzwyczajone poglądać na słońce zgonu, rozciągające się po ciele europejskiego świata. — Stąd ból wieczny, co toczy wam serca — stąd niepewność, co życiem waszem się stała. — Idziecie, a nie wiecie dokąd — i nie modlicie się już, jak za dawnych lat, jedno powtarzacie: «Zie nam jest». Lecz wszelki koniec mieści już w sobie następny początek — dzień zgonu tylko poprzedza godzinę przebudzeń. — Alboż wy nie wiecie, że to chrześcijańska wiara — a jakożby miała omyloną być, kiedy z Boga jest? Więc patrzcie uważnie, a znaki śmierci przemienią się wam nagle w znaki zmartwychwstania!

Chrystus objawił ludziom ideę ludzkości. — Przed Nim prawdziwych narodów, oprócz hebrajskiego, nie było: bo nie znano celu, do którego dążą narody, ku któremu ciągną, jak planety ku słońcu. — On to obiecał, że będzie na świecie kiedyś jedna tylko owczarnia i jeden pasterz; On to przykazał modlącym się do Ojca powtarzać te słowa: «Przyjdź Królestwo Twoje!» — I takim westchnieniem, od lat dwóch tysięcy, my wszyscy prosimy Boga o uwidomienie się ideału ludzkości na ziemi!

Lecz czemuż jest planetarna ludzkość? Oto całością i jednością wszystkich możliwości ducha człowieka, wyrażoną widomie na tej ziemi przez zgodę i miłość członków swoich, to jest «narodowości». Jako albowiem członki ciała ludzkiego są widomemi i rozmaitemi cząstkami niewidzialnego «Ja» ludzkiego, który je wszystkie spaja i im wszystkim panuje, tak samo narodowości widome muszą w różności swojej, a zarazem har-

monii, stać się kiedyś żywymi członkami powszechnej, że tak powiem, katolickiej ludzkości.

Świat już dzisiaj pojmuje, ku czemu garnie się historia; wie, że nią rządzi mądrość boża i że celem jej jest ludzkość, czyli cała powszechność, zgodna z wolą bożą, znająca i wypełniająca prawo, które Bóg jej nadał. Środkami zaś do tego celu, narzędziami, członkami żywymi, są «narodowości», w których odbiły się, jako w najwyższym swoim rozkwicie, wszystkich plemion ludzkich różnice. — Czem nuty w akordzie, tem one w człowieczeństwie: różnaitością i zgodą zarazem. — Bez nich niepodobna pomyśleć ludzkości, bo byłaby to wtedy jedność bez różnaitości, a zatem właściwie nie żadna jedność, tylko martwa jednostka! —

Państwa są utworu ludzkiego, są zbiorem przysypkowym cząstek. Jedne narodowości są kreacyi bożej i dlatego właśnie nie państwa bez narodowości, ale narodowości upaństwowione jedne tylko mogą być chrześcijańskimi, czyli należące do składu powszechnej ludzkości. — Już w średnich wiekach taki wysoki ideał byli pojęli papieże — i oni zapragnęli wszystkie stosunki polityczne uchrześcijanić w Europie. — Była jednak w ich myślenie ta niedokładność, że pojmowali raczej zwierzchnictwo Kościoła nad świeckim bytem, aniżeli pojednanie się zupełnie boskich rzeczy ze świeckimi, woli bożej z ludzką wolą. — Ich ideał też rozszarpał się. Kościół został na jednej stronie, polityka odbiegła na drugą — i od czasów reformy zupełnie pogańską się stała.

Trzy państwa, wzrosłe nie według praw bożych, oparte li tylko na interesie samolubnym, na dyplomacyi, słowem na tem, co zowie się polityką, rozdzierają narodowość żywą, czyli jednego ze członków widomych ludzkości. — Tym czynem polityka przesięga za własne granice. —

Dziecko, kto mówi, że to polityczna zbrodnia — zbrodnia to daleko głębsza, bo religijna, bo przekraczająca za sfery święcie i dotykająca okręgów bożych. — Państwo utworu ludzkiego, państwo, z gry chuci ludzkich powstałe, rozszarpać, byłoby to polityczną zbrodnią, ale narodowości świętą rozebrać i chcieć

zabić, kiedy bez niej obejść się nie może urzeczywistnienie idei ludzkości na ziemi, jest targnięciem się przeciwko prawdzie bożej, prawdzie wiecznej: jest świętokradztwem!

Trzeba było śmierci naszej; trzeba będzie naszego wkrzeszenia — na to, by słowo Syna człowieczego, wieczne słowo życia, rozlało się na okręgi społeczne świata. Właśnie przez naszą narodowość, umęczoną na krzyżu historii, objawi się w sumieniu Ducha ludzkiego, że sfera polityki musi się przemienić w sferę religijną — i że Kościół Boży na tej ziemi to nie tylko to lub owo miejsce, ten lub tamten obrządek, ale cały planeta i wszystkie, jakiegokolwiek być mogą, stosunki tak osobników jak narodów między sobą.

«Dominus est terra et plenitudo ejus orbis terrarum et universi, qui habitant in eo». (Psalm 24—1).

Oczywiście tu nastąpi w sumieniu ludzkim rozszerzenie obecności bożej. — Pan w całej sferze politycznej, kędy dotąd Go nie było, przytomnym się stanie, a narzędziem Jego Opatrzności do tego nikt inny, jedno naród polski.

Jedno z dwojga — albo święta przyszłość ludzkości przepada, albo warunkiem jej dopełnienia się jest życie Polski. — Słowo jedno, słowo chrystusowe, albo żadnych dalszych owoców nie wyda, albo gwałt, zadany temu świętemu słowu, dalej trwać nie może. — Taką jest prawda, ale prawda nie już interesu świeckiego, jedno bożego — przeto nazywamy ją religijną. — Ona musi ściślej jeszcze połączyć (*religare*) ziemię naszą z niebem!

Niechaj się o niej sumienie każdego Polaka przekona, niech pojmie myślą, co dotąd czuł sercem tylko, a zrozumie i wierzyć będzie, że tylko przez Polskę zdoła się zasłużyć na ziemi i zbawić duszę nieśmiertelną, bo tylko w Polsce i przez Polskę zacząć się opatrnie może nowy okres w dziejach świata. — Od tego zaś postępu zależy coraz wyższe dopełnienie się Objawienia chrystusowego w ludzkości. —

Data 17 marca 1843 roku.

652) Z ojców mych ziemi przez wroga wygnany,
 Deptać musiałem obcych ludzi lany
 I słyście zdala tych szatanów wycia,
 Co ziemię moją okuli w kajdany;
 Jak Dant — przez piekło przeszedłem za życia!

Zrazu jam ufał, że Bóg miłosierny
 Na pyszne pyszny, ale wiernym wierny.
 Zrazu jam ufał, że za dni niewiele
 Zlećą zestane anioły-mściciele
 I grób ten pięknie, co stoi śród świata,
 Przyparty ręką olbrzymiego kata.
 Lecz dni płynęły, upłynęły lata,
 Darmo brząsak walczył z ślepą nocy siłą.
 Nie weszło słońce nad Świętych mogiłą
 I coraz podłej na tej ziemi było!
 Więc duch mój upadł w tę próżnię zwątpienia,
 Gdzie światło wszelkie w noc wieczną się zmienia,
 Gdzie trupem gniją arecydziela męstwa,
 Gdzie gruzem leżą wiekowe zwycięstwa,
 I z dni tych wszystkich wybranej kolei
 Wyrasta napis: «Tu niema nadziei!»

Ach, żyłem, żyłem, w tej przepaści, długo,
 Miotan rozpaczą bezbrzeżną i wściekłą!
 I śmierć mi będzie tylko śmiercią drugą:
 Jak Dant — za życia, przeszedłem przez piekło!
 Lecz i mnie także zbiegła w pomoc Pani,
 Której się wzroku czarne duchy boją;
 I mnie też Anioł wybawił z otchłani,
 I ja też miałem Beatricze moją!

Pieśń tę więc zacznę, siostrzo, twem imieniem.
 O, bądź na wieki ze mną połączona
 Jednych pamiętek i uczuć pierścieniem!
 My tu skonany, lecz pieśń, co nie kona,
 Powróci kiedyś wierna mnie i tobie,
 By, jak stróż anioł, strzedz nas, śpiących w grobie!
 A może przyjdzie chwila, że, wkrzeszeni
 W czasie dusz wszystkich, nie już w ciał przestrzeni,
 Wstaniem, jej dźwięków znów spójni łańcuchem,
 I żyć będziemy w serc ludzkich pamięci
 Jak duch zbawiony ze zbawionym duchem,
 Oboje czysti, świetlani i święci!

653)

Czy pamiętasz nad Alp śniegim
 Rozwieszone Włoch błękity?
 Nad jeziora włoskim brzegiem
 Czy pamiętasz Alp granity?
 Tam — zdaleka — w niebo — przo-
 Pną się ostrza kryte lodem, [dem
 A tu bliżej, a tu niżej,
 Poza wzgórzem spływa wzgórze,
 Z winnic kąpią blaszcz i różę,
 Jednym rajem gór podnoże!
 W wieczór, zrana — zwierciadłana
 Fala pije niebios smug,
 Na wód dole — na skał czole —
 Jedna piękność — jeden Bóg!

Widzę jeszcze, widzę ciebie:
 Z harfą stoisz na mej łodzi,
 Gwiazd już kilka drży na niebie,
 Z nad Alp szczyta księżyc wscho-
 Widzę jeszcze, widzę ciebie: [dzi.
 Na twych strunach twoje dźwięki,
 Iskra natchnień skrzy ci z lica,
 Świątłokręgiem twoje skronie
 Rozanielił blask księżyc.
 W fal przezrocza, w sieć z pro-
 Zewsząd postać twa ujęta, [mieni
 Na błękitnem tle przestrzeni
 Ciała srebrna — wniebowzięta!

Módl się ze mną, moja siostrze!
 Módl się, klęknij tu w pokorze;
 Lecz patrz w górę śmiało — ostro!
 Jak sierota spojrzeć może!
 Wpatrz się w harfę tę bez końca,
 W której księżyc, gwiazdy, słońca
 Tkwią, jak szruby niewzruszone;
 A od dołu aż do szczytu
 Struny z światła i błękitu
 Drgają, w beżmiar naciągnięte!
 Po tych strunach Duch przelata,
 Na tych strunach Duch przegrywa
 I w tej pieśni sam spoczywa:
 Ta pieśń — zgodą, ciszą świata!

Nabijaną światłem drogą
 Łódka moja zwolna płynie;
 Jakże labo, jakże błogo
 Na szafirów tych głębinie!
 Za jeziora przezrocami
 Najaczężej wzgórze, skały,
 I ty ze mną i my sami,
 I tak piękny świat ten cały!

Nabijaną światłem drogą
 Coraz dalej łódź ma płynie;
 O! anieli czuć nie mogą,
 Co ja czuję w tej godzinie!
 Takem siły, takem dumny!
 Siostrze moja, mnie się zdaje
 Że w tej chwili ze snu trumny
 Nasza *Święta* gdzieś już wstaje!

Coraz dalej twarz miesiąca
 Nas prowadzi smugiem fal;
 Płynący, płynący, tak, bez końca
 W ciszę — w jasność — w błękit —
 [w dal!

Wód zwierciadła, gór widziadła
 Ziemia, niebo — jeden kraj!
 Rzeczywistość się pomatu
 W świat przemienia ideału,
 W sen ze srebra i kryształu.
 Daj mi teraz marzyć, daj!

Stuchaj! W dźwięków tych wszzech-
 Brak jednego dziś imienia! [zgodzie
 Patrz, w tych światłach wszeczpo-
 [godzie
 Brak jednego dziś promienia!
 Módl się ze mną, wymów imię
 Co wypadło z Lutni życia,
 Wskaż tę gwiazdę, która drzymie,
 Lecz nie zgasa w dniu rozbięcia!
 Wymów, wymów *Polski imię*,
 Mójśże słucha nas Duch boży
 I stracony dźwięk ten przyjmie,
 Znowo do pieśni świata włoży!

Gdym tak mówił, tyś ukłękła,
 Strunnym jękiem harfa jękla,
 Bo o struny, które wkoło
 Porozżalać blask miesiąca,
 Tyś oparła śnieżne czoło
 I tak klęczysz, wzdychająca!
 Z za tej kraty strun, twoje oko
 Patrzy mglisto i głęboko.

Na twych ustach słów już niema,
 Tylko jedno drzące tchnienie
 Całość duszy na nich trzyma.
 Módl się siostrze, módl westchnie-
 [nieniem;
 Bóg wie dobrze, że westchnienie
 Dział Ojczyzny twej imieniem!

O wy nicy, o wy ciemni
 I okrutni i निकезми,
 Wy, przewiedle w nicosć dusze,
 Bez ducha Faryzeusze.
 Wy, kuszący piorun boży
 Aż was w prochu tu położę,
 Wy, szpiegowie, i wy, katy
 Z wypranemi od krwi szaty,
 Wy, półśrodków sztucznych pany,
 Co kładzicie żar na rany,
 A gdy jęknie wam zmęcznik,
 Ogłaszacie mu, że zmiennik —
 Kłamecy wieczni, z prawem waszem,
 Czy z kupieckiem zysku szala,
 Czy z bagnietem i palaszem!
 Wy, bożyszca, którym pała
 Dym kadzidla dzieci trwogi —
 Ziemia waszym struta jadem,
 Wyście tylko ziemi gadem,
 Choć się macie za jej Bogi!

I, jak zemsty jedza wściekła,
 Gnał was biczem żmij do piekła,
 Starł wam z czoła czołowiczestwo,
 Bładych, krwawych, skutych w pęta
 Stał w wieków sądnem kole,
 By wydeptały na czoło
 Wam nagrobek ten: — «Zwierzę-
 [ta!» —

Ale w duchu jest pogarda,
 Co ma także swe paniczestwo,
 I, gdy gardzi, nadto harda,
 By znamiętnić się w przekleństwo!

Co zalewasz się tak łzami?
 Co tak patrzysz bezprzytomnie?
 Siostrze moja, wstań, chodź do mnie
 Prawda z Polską — Polska z nami!
 Nie klęcz więcej, spojrz wesoło —
 Skroń mi oprzej na ramieniu,
 Niechaj widzę twoje czoło,
 Przebóstwione w mem natchnieniu!

Nim ten księżyc, już ponury,
 Zstąpi całkiem za te góry,
 Nim te gwiazdy się dopalą,
 Nim powróci promień słońca
 I przeminie czar, co trąca
 Piersi moje nad tą falą:
 Niech ci wyższ cud obwieszczę
 Nad uciski, nad boleści!
 O Aniele mój niewieści,
 [kleństwo! Stuchaj jeszcze... stuchaj jeszcze!..

Znasz ty miłość, która nęci
 Wiecznie duszę w kraj pamięci?
 Czy po nocach ciebie woła

Rođowego krzyk anioła?
 I twym oczom patrzeć każe
 W dawno zmarłych żywe twarze?

Znasz zimowy step ten głuchy, O zgon Polski ich pytałem
Gdzie śpią w grobach ojców dachy? Ja, urodzon po jej zgonie.

Gdzie w powietrzu twarz księżycy,
Jak trupiego widmo lica,
I gwiazd niema — tylko ona
W środku niebios, niewzruszona.
W jej promieniach przestwór cały
Znicstwiony, skamieniały?
Kędy spojrzeć, na wsze strony,
Zaspy — śniegi — lody — szrony.
Strach, jak białe — pusto — marno!
Groby tylko z glazu ryte,
Żadnym śniegiem nie pokryte,
Śród tej bieli stoja czarno!

Nie, co znikło, nie umiera!
Jak zaklęte czarem bóstwo,
Przeszłość wraca w jawu kraje!
Patrz, grób kaźden się roztwiera
Umarłego ci oddaje! —
Antenatów blade mńdstwo,
Dawne króle, radne pany,
I rycerze i hetmany
Obwiązują cię dokola.

Cmentarz z lodu i z kamienia
W sejm — w zjazd — w Polskę się
[przemienia!]

Zgon się darmo wrył w te czola;
Choć wzrok próchnem — błękitnieje,
Znać w nim Wiarę i Nadzieję!
Patrz, z pod rdzawych tych szy-

[szaków,
Z pod tych koron i kołpaków
Bije dotąd iskra ducha,
Senatorska tli wspaniałość,
Lwi się szlachty stara śmiałość
I niewoli wgarda bucha!

Jam ich widział i szlochalem!
Na tej białej snów mej ziemi
Jam ich widział, i przed niemi
Tak, jak pada trup, padalem,
Na ich stopach kładłem skronie,
I podrywał ku nim dłonie;
Tam — Iżą — krzykiem — sercem
[całem

Za co życie w życia chwili
Z taką pychą roztrownili,
Że potomkom nie zostało
Ni potęgi, ni puścizny
Jedno, w zamian, ich ojczyzny
Rozebrane kraju ciało?
Co ich wiehrem takim gnało
Po dziejowej czasów fali,
Że, tak dbając o nas mało,
Krew nam i w tej krwi — śmierć dali?

Ledwom spytał, ich zbroicie
Zagrzegocą w głuchy dźwięk.
Z wszystkich piersi wypadł jęk.
Wszystkich zmarle te żrenice,
Z pod tych przyłbic, jak gramnice,
Płoną ku mnie; — razem, górą
Wszystkie wzbily się prawice,
Przesłoniły księżyc chmurą,
I tych bładych rąk sklepienie
Drży przysięgą potajemną,
Na słów moich zaprzeczenie.

Wtedy Hetman, co przy grobie
Oddalonym zwykłe trzyma
Na szablency ręce obie,
Żadnych petlic złotych nie ma,
Ni turkusów w buzdynie,
Jedno pancierz za ubranie,
A na rysiej z wierzchu skórze
Miasto haftów — kul przestrzały;
I na licu — blizny duże
I na czole — helm niecały.
On wódz zmarły, co tam zawsze
Na mnie oczy ma łaskawsze,
Choć z nich wszystkich najbuntniej-

[szy,
I z nich wszystkich najsmutniejszy;
Jak stał cichy i ponury,
Nagle czolo wzniosł do góry,
Wyprostował się ogromnie
I szedł, jęcząc, zwolna do mnie.
Jam znów przykląkł i wzywzł głowy
Usłyszałem głos grobowy:

«Ani z soli, ani z roli,
Ale z tego, co mnie boli,
Ja wyrosłem — i smąc, tuszę,
Że ból tylko tam, na świecie,
Kiedys pysznych w piekło zmiecie.
Komu dawa Pan katuzsze,
Obietnice temu składa.
Słowo Pańskie — żadna zdrada,
Ono musi zbawić duszę.
Jakie łady, jakie morza
Jam zbiegł niegdys — wiedzą lu-
Za dni moich ile już było; [dzie,
Jak się mogło, tak służyło
Szczereą chęcią, w krwawym tru-

Braci szlachcie. — Łaska boża
Nas wegniała w te bezdroża:
Niechaj będzie pochwalona!
Bo ojczyźnie mojej dała
Z piekielń ziemskich wyniszc lona,
Nie żyć w innych ludów modle,
Raczej umrzeć — jak żyć podle;
Za to panu wieczna chwała!

«Ty nie szukaj w ojcach winy,
Ty nie wdawaj się w szysterstwo,
Bo to potwarz i bluźnierstwo!
Ażaj ty wiesz, jak z godziny
Dni się snują, jak z dnia wieki?
Tylko zmarły — co w żalobie
Tęskni, czeka, marzy w grobie,
A nie żywy — wiedzieć może,
Co czas blizki, co daleki,
Co noc wieczna, a co zorze
I co boskiej znak opieki.

Noc minęła — lecz z jej cieni
Wiara w piersiach się została!
Ni tej wiary los już zmieni;
Naszą, naszą przyszłość cała!

Chciałbym objąć te błękity,
Tych wód brzegi, tych Alp szczyty,
Ten widnokrag objąć świata
I przycisnąć świat, jak brata.

«Gdyby niegdys ojce twoi,
Cudzoziemców świeckich chodem,
Weszli byli do podwoi
Tego gmachu, który stoi
Wkoło Polski, a dziś pada,
Bylibyście dziś, jak oni,
Kranem tylko, nie narodem,
Sklepem śpiącym pełnym broni —
Wyscie Duchem, co nią władai!
My nie mogli żyć w przeszłości,
Bo my znali się na gości
Innych wieków. — Wiecznie, wszę-
[dzie,

Przez rozwartę dziejów pole
Los nas pedził w wyższą dolę,
Ku tej Polsce, która będzie,
I przez ojców waszych życie
Porywani dotąd skrycie,
Mimo wiedzy — wy musicie
Ku Królestwu iść bożemu,
Co ma jaśnieć na tym świecie:
My służi tuncio po staremu,
Wy dziś smólała tam idziecie.

«Jedną spójują, w jednym du
Jak ogniwa na łańcuchu. [chu
Moj powiżał ojców z syny.
Ni ten łańcuch kieły pięknie;
Wszystkim razem dobrze, piękni!
I z krwi naszej, z naszej winy
Nim ten jeszcze wiek przemini
Wyjdzie Ludów Lud jędnym, ~
Błogosławicie ojców winie!»

Do moich piersi — bom szczęwy!
Wszystko moje, wszystko jęne!
Moje — ziemi, nieba niwy!
Z skal tych życia głos wdwig-
[knę,

Bo w mem sercu Słowo te!
Wszędzie cuda wszędzieiwy —
Ja roztopię się w przestwe!
Ja ci mówię — żem szczęwy!
Polska moja — Polska bo!

Dzięki wszystkim i wszystkiemu, I każdemu, kto jest żywy,
 W wielki wieków dzięki wszędzie: Tema świata wszechłemu
 Bogu — Duchom — ludziom — Wieczna, wieczne dziękowanie!
 [obie — I powietrza powiem: «Panie,
 I umarły dzięki w grobie, Dziękuję Tobie — bom szczęśliwy!»

..... I z stron wszystkich — wkoło,
 Czy pamiętasz? my widzieli — [wszędzie
 Gdzie? — ja nie wiem, nie po- Jak mgły w ogniu — w tęczach
 [wórtóre] [pary]

Ni na dole, ani w górze, Zewsząd stają boże mary
 Ni na wodach, ani w chmurze — Tego świata, który będzie!
 Lecz w bezdziejnej gdzieś topieli, Lecz już nie tak jasno-białe,
 Gdzieś w odwiecznych światłach Mniej olbrzymie i wspaniałe,
 [bieli, Ni znaczone krwią przeszłości,
 W próżni — kędy się przed nami Bohaterską krwią męczeństwa,
 Niewidzialne wskrós rozziarło, Tą boskością człowieczeństwa,
 Jak ocean się rozwarło W znak królewski — śród Ludz-
 Ponad czasu przepaściami. [kości.
 Oto nagie — tam ujrżeli, Patrzaj, patrzaj! Z chmur po-
 Jak się Polska, Polska tała [wodzi
 ednem widmem zmartwychwsta- [wodzi

[tem, Coraz więcej widm tych wchodzi,
 Ahanielsko wielkiem, białem Na ich skroniach róże wiosny —
 Żłani przyszłości wychylała Maj nadziei — maj żywota,
 I ją głębi dai tych stała, W ich spojrzeńcach cisza złota,
 Jazce widna — niby ciałem — Na ich ustach hymn radośny,
 Le już w wieczność przebóstwio- A pod niemi drży w przestworze
 Nierpierzna — nieskończona! [na Szafirowych światłach morze.

I blask słońca, tak jej lice!
 I z łękitu ma zrzecenie —
 A ją wzrokiem błyskawicę!
 Na jej czole z krwi korona,
 Wietr wspomnień purpurowy,
 Lecz ją przesyła wszystkie bole;
 I duchobóży na jej czole —
 Naoko już świat nowy!

.....
 A tam ją — tam wysoko —
 Tam dąco — tam głęboko —
 Za nią w czasie i w przestrzeni,
 Na tłać z światła — na tłać
 [z cieni, W jedną zorzę się rozbiłyśnie

I w powietrzny płasek z promieni, W lazurowym tym ogrócu;
 W karmazynu wieszak chmurze; I przez światła oceanu
 Archaniola opierścieni — Jeden życia dźwięk rozlany,
 Polskę moją — w jej purpurę! Pieśń wszechgrzmiąca — wszech-
 [jedyna

I przykłąky — i styszałem
 Głos, co woła w wiecznem niebie:
 «Jak im Syna niedgys dalem,
 Tak im, Polsko, daję Ciebie!
 Syn mój jeden był — i będzie,
 Lecz myśl Jego żyje w Tobie;
 Bądź więc prawdą, jak On, wszę-
 [dzie!

Ja Cię Córka moją robię.
 Gdyś do grobu zstępowała,
 Byłaś cząstką człowieczeństwa,
 Ale teraz, w dniu zwycięstwa,
 Ziemia Tobie powierzona,
 Imię twoje: Ludzkość cała,
 Byś ją wiodła czynu torem,
 Aż się staną jej plemonia
 Jednym Duchu arcytworem!
 Wzbij się w bezmiar nieskończony
 Nad ubiegłych lat padolem,
 Wtedy pójda te miliony
 Za planetę archanieli!»

.....
 I ujrzałem wszechświat cały
 Jak myśl jedną, która płonie
 Skier milionem w jednym tonie!
 Ach! widziałem bożej chwały
 Wszechprzitytonny kształt — bez
 [końca,

Komet — planet — wiry, kregi,
 Nad wstęgami gwiazd — gwiazd
 [wstęgi,
 Nad słońcami — jeszcze słońca!
 Wszędzie światów, tak jak kwia-
 [tów, Naszą wieczność już przeżyli!

Zrzuc więc smutek — zrzuc więc
 [trwogę, Już nam błysnął świt zwycięski!
 Daj mi rękę w jedną drogę!
 Wiem, co trudu na niej jeszcze
 I co bólu — i co klęski;
 Ale ufaj w czucie wiezszce:
 W tej ojęzycznej nieśmiertelna,
 Mimo działań niepodzielna,

Na tę ziemię ukochaną,
Na tę naszą — naszą ziemię
Przyjdzie nowych ludzi plemie —
Takich jeszcze nie widziano!

By pogodzić świata dzieje
Z wolą Pana ponad pany,
Duch im prawdy z nieba dany
I z ich starą krwią się zleje!

Gdzie nam dotąd śni się *światłość*,
Cząstek rozdział lub rozbitcie,
Tam już dla nich jedno Bóstwo,
Jedna miłość i wszechżycie!

Krwia się brzydzą — choćby
Duch już przez nich tylko stwarza;
I, gdy stworzy ziemię inną,
Niema na niej już zbrodniarza!

Niema także podrzędnicę,
Bo niewieście wkońcu serce
Po lat długich poniewierce.
Błysło z pęczka tajemnicy.

Dawne pany biorą sami
Swe za dłonie niewolnice,
By jak duchy Isf z duchami
I wstępować na stolice!

Tak śród przedświtów lepszego poranka
Marzył wygnaniec — marzyła wygnanka
Co czuli w sercu, rzucili w te słowa;
Lecz słowo tylko — to marna połowa
Arcydział życia; modlitwa jedyna,
Co godna Stwórcy, od hymnu się wzięcina,
Lecz nie zna myśli i czynów rozdziału;
Co głosem śpiewa, to wciela pomalu
W kształt dotykały — aż tak, jak Duch boży,
Świat rzeczywisty wokół siebie stworzy,
Równy pięknością światom Idealu!
Taką nam odtąd modlić się potrzeba;
Bo, póki lódka na marzeń jeziorze
Fale natchnienia w samotności porze,
Myśl tylko weszła, nie człowiek, do nieba!

Przemieniony ten planeta
Już zapominał, co kobieta —
Wie, co bracia i siostryce!

Duch twój nigdy już nie skona,
Polsko moja przemieniona!
Ponad ziemskich szum zawię
Tyś się wzbila w kraj idei!
Inni pomną bez nadziei
Śród otchłani lub w dolinie,
Lecz ty stoisz na wyżynie!
U stóp twoich czasu fala
Niech się pieni i przewala:
Wszystko przejdzie na potoku,
Wszystko zniknie na głębinie,
Co widome tylko oku,
Lecz Idea nie przemienie!

Ty nie jesteś mi już krajem,
Miejscem — domem — obyczajem,
Państwa skonem — albo zjawem,
Ale wiara — ale prawem!
Ten już odtąd Bogu kłamię,
Kto cię zdradzi — kto cię złamie;
Bo myśl Boga w twojem tonie
I los świata — w twym zakonie!

Cokolwiek będzie, cokolwiek się stanie,
Jakkolwiek pieśni nie pojma czyderce,
My już w niej całe wyśpiewali serce
I tu jest nasze ze *Słowcem* rozstanie!
Niech nuć jeszcze dzieciątka niewnie —
Harły już nigdy, nigdy nie nastroję!
Drogi przed nami otwarte są inne:
Zgińcie, me pieśni — wstańcie, *Czynny* moje!

Leć ty, Piękności, którą ukochałem,
Siostrzo jedyna w mojem życiu całem,
Ducha męskiego niewieści Aniele,
Czujaj nade mną — i zostań się przy mnie,
Aż zginie cząstka w trudów arcydziele —
Aż skonam zwrotką w poświęcenia hymnie!

L) Psalmi przyszłości.

Powstawały częściowo w latach: 1843 do 1848. Pierwsze trzy (Wiary, Nadziei i Miłości) wydane były r. 1845 w Paryżu, pod pseudonimem Spirydyona Prawdzickiego, a dwa ostatnie (Żalu i Dobrej woli) napisane później, ukazały się dopiero w drugim wydaniu (Paryż 1848). Podajemy tu ze wszystkich wybitniejsze ustepek, charakteryzujące pojęcia i arcyizm poety.

a) Z Psalmu Wiary.

29. A odpowiadając, *Jezus* rzekł im: «Błagdzie, nie będą świadomi pieśni ani mocy bezęj.
30. «Albowiem przy zmartwychwstaniu ani się śmieć, ani za mąż chodzić będą, ale będą jako aniołowie boży w niebie.
31. «A o powstaniu umarłych nie czytaliście, co wam powiadał o Boga, mówiącego:
32. «Jam jest Bóg Abrahama i Bóg Izaaków i Bóg Jakóbów? Bóg nie jestli Bogiem umarłych, ale żyjących».
33. *Św. Mateusz, Rozdział XXI.*
34. Pierwszy człowiek z ziemi ziemski, wtóry człowiek sam Pan z nieba.
35. Jak jest ten ziemski, tacy też i ziemscy, a jaki jest niebieski, tacy też będą niebiescy.
36. *Św. Paweł, List I-szy do Koryntian, Roz. XV.*

654)

Dusza i ciało — to tylko dwa skrzydła,
Którmi Czasu i Przesztrzeni siła
Duch mój rozcina w postępowym locie.
Gdy się zużyją przez chwil i prób krocie,
Opadać muszą — lecz on nie umiera,
Choć to się śmiercią nazywa u ludzi;
On zwiędle zruca, a świeże przybiera
I, w nie otulon, znów na jaw się budzi!
A to się zowie: narodzin godzina!
I Duch mój, wzięwszy skrzydła niezmeżone,

Niemi znów leci — lecz już w wyższą stronę!
 Tak coraz wyżej ku Panu się wspina.
 Ciała i dusze własne poza sobą
 Sypie, jak liście żółtkie i strząśnięte,
 Wciaga do siebie siły, im odjęte —
 On sam wciąż żyje ich zgonów żalobą!

Za nim — przeszłości zmierzchniące tonie,
 Przed nim — rozwarte wszechbezniarów blonie,
 Przed nim świat wszystkie, Czas, przestrzeń bez końca,
 Piętra z dróg mlecznych i dni z lat tysiąca;
 A dalej, wyżej, nad nimi — za nimi —
 Ten, co jest wszystkim i wszystko obleka,
 Duch tworzy gwiazdy, aniola, człowieka,
 Cel i początek i nieba i ziemi —
 Ten, który zawsze i wyżej i dalej
 Niedoścignięty nad wszystko się pali:
 Spokój — a jednak razem siła tchnąca —
 Blask najwyższego duchów, Ducha-Słowa!

K'niemu wciąż dążę — zrazu tam iść muszę
 Przez piekła trudu, przez czyszcze usługi,
 Aż zszczę wdziawać i ciała i dusze
 Bardziej promienne — i wstąpię w świat drugi,
 W świat, co od wieków zwan okręgiem nieba,
 I w nim letargów mi już nie potrzeba
 Ani przebudzę z grobu, by iść wyżej!
 Tam żywot wieczny, żywot nieustanny —
 Grób i kolebka konieczne są niżej,
 Na tych planetach, gdzie świt Ducha ranny,
 Gdzie człowiek Boga niemowlciem jeszcze
 I kwili tylko przeczcucia swe wieszczę;
 Lecz dla aniołów śmierci nigdzie nie ma!

Lecz szkołą Duchów są Ludzkości dzieje —
 Drogą do niebios planety koleje!
 Na nim to, na nim pójdą zasłużeni
 — A wszyscy razem — do innych przestrzeni,
 Gdy Syn Twój, sędzia, smartwychwstałszy księżą,
 Losy tej ziemi w dzień sądu rozwiąże
 I z nich anielstwo ludziom wyprośni!
 A do dnia tego wiodące tu wschody
 To w lasce Twojej poczęte narody! —
 Garść im powołań sypnąłes z wysoka —
 W każdym z nich żyje myśl jakaś głęboka,
 Co z piersi Twoich zesłaniem jest tchnieniem

I narodowi odtąd — przeznaczeniem,
 A są wybrane jedne przed innymi,
 By o twą piękność walczyły na ziemi
 I, krzyż lat wielu wlokąc krwawym śladem,
 Były wśród świata anielskim przykładem,
 Aż nie wywalczą straszną walką w grobie
 Wyższego w ludziach pojęcia o Tobie,
 Więcej miłości i więcej braterstwa
 W zamian za tkwiący w piersiach nóż morderstwa!

Takim jest naród Twój polski, o Boże!
 Kto cząstką jego, niech wie się Twej woli
 Cząstką na ziemi — i, choć go świat boli
 Tak, że aż zwatpić o nadziei może,
 Niech w tem cierpieniu wytrwa niesłuchanem.
 Boć on, zaprawdę, w Twego ducha chrzestony,
 Boć on, zaprawdę, Twym ziemskim kapłanem,
 Jeśli się cierniów nie wystydzi korony,
 Jeśli pojmuje, że kochasz bezmiernie
 Synów tych, których koronujesz w cierni;
 Bo cieriń w krwi maczan, to kwiat wiecznotrwały —
 I nim odmladzasz świat ludzkości cały! —

Chrystus wciąż w tobie mieszka, o Ludzkości,
 W twych piersiach żyje, w twoich losach gości,
 Krwιά twą — krew Jego i ciałem twem — ciało!
 Stanie się tobie, co Jemu się stało!
 On wcielił w Siebie wszystkie twe koleje,
 On ci objawił wszystkie twe nadzieje,
 Skądś zrodzona? — Z przeczystej dziewicy,
 Bo z myśli bożej w boże podobieństwo! —
 Ku czemu idziesz? — Ku Ojca stolicy, —
 Przez co przejść musisz? — Przez trud i męczeństwo!
 A kiedy Chrystus nad Taboru szczytem
 Już się otacza wieczności przedświtem,
 Czy ty nie widzisz, co ten znak ci wróży?
 Nim los twój ziemski w pełni się dokona,
 I ty, Ludzkości, bądźiesz przemieniona!
 Zostawisz w dole u stóp ciemnych wzgórz
 Wszystko, co zwozdi, i wszystko, co boli;
 Zostawisz w dole szatanstwo niewoli,
 Zostawisz w dole kłamstwa opętanie,
 Zostawisz w dole tajemnic zawilosość,
 A weźmiesz z sobą duchowe poznanie
 I serca wieczną, nieskończoną miłość
 I z temi dwoma świętymi potęgi,
 Jak Chrystus, w światła wzbijesz się okręgi!

Z czoła się twego grzech wszelki twój zetrze,
Jak pióra lekkie będą twe ramiona,
Rece pokładniesz na białe powietrze
I w niem się wazyć będziesz — spowietrzona! —

b) **Psalm Nadziel.**

16. A ja proszę bęć Ojca, a innego pocieszyciela da wam:
aby z wami mieszkał na wieki.
17. Onego Ducha prawdy, którego świat przyjąć nie może,
bo go nie widzi ani go zna. Lecz wy go znacie, gdyż
on was mieszka i w was będzie.
18. Nie zostawię was sierotami, — przyjdę do was.
Sic. Jan, Rozdział XIV.
19. I widziałem drugiego Anioła, leżącego przez północną
niebo, mającego Ewangelię wieczną, aby ją zwiastował
składajcy na steni i wszelkiemu narodowi i pokoleniu
i językowi i ludowi.
Objawienie Św. Jana, Rozdział XIV.

655)

Dość już długo — dość już długo
Brzmiał na strunach wieszczów żal!
Czas uderzyć w stronę drugą,
W czynów stal! —

Wszystkim ciało dał Jehowa —
Duszę wszystkim Chrystus dał,
A Duch święty żywot chowa,
By wraz ciału z duszą złął.

Ja wam mówię — niedaleki
Zbawiciela Objawiciel,
Niedaleki, nam przed wieki
Obiecany, Pocieszyciel!

Oto idzie już godzina!
Poznan będzie — Niepojęty!
Z Ojca weźmie, weźmie z Syna
I rozleje się Duch święty! —

A nie trony — ni korony
Pierwsze ujrzą Cię na niebie —
Lecz niewinnie umęczony,
Ten, o Duchu, ujrzy Ciebie!

Kto lat tysięcy stawiał,
Kościół broniąc od poddaństwa!
Milionową pierś wciąż krwawił,
Aż rozdeptał gad pogaństwa!

Kto śród ludów nie miał brata,
Ten, na czym już pogrzebie
Były wszystkie króle świata,
Ten, o, pierwszy ujrzy Ciebie!

Bo choć krwawy, choć zemdlony,
Wzrok utopion trzyna w niebie!
A kto patrzy w Ducha strony,
Ten, o Duchu, ujrzy Ciebie! —

Ni znył kupoń, ni dłoń kata
Przeciw prawdzie nie pomoże!
O, przyjdź prędzej, wiosno świata!
O, przyjdź prędzej, Duch-Boże!

Wszak my Duchy, Duchu Święty,
Wечно wstawaj z własny ch kości!
Wszak, jak Chrystus wniebowzięty,
Wniebowstąpił w Raj miłości? —

Wszak my jedni i ciż sami,
Tylko coraz wyżsi, Panie?
I garniemy się wiekami
W ostateczne Zmartwychwstanie?

Jawem życia — czy smem w grobie
Z wiosny w wiosnę — wciąż ku
[wiosnie —
Kwiat niebieski, duch nasz, rośnię,
Wszyscy rośnięm wciąż ku Tobie!

Kto opisie — kto opowie?
Bóg jest jeden — jeden — sam!
Przecież w Bogu dano nam,
Że my będziemy jak Bogowie!

Lecz wprzód ziemia ta stroskana
Pokój przyjąć musi wszędzie!
Wszak, kazana w imię Pana,
Ewangelią wieczną będzie? —

Wszak z planety, co się rozciął
Na odłamków tyle — tyle,
Będzie jeden świat i Kościół?
Daj nam, Duchu — daj tę chwilkę!

Chrystusowy uścisk bratni
Gdy okoli wszystką ziemię,
Wejście, wejście wiek ostatni,
I ostatnie ludzkie plemie.

Żegnaj, ziemo, z bolem, z żalem!
— Wszędzie święte zo świętami —
Nowe blyszcy Hieruzalem
Na padole starej ziemi!

Długa droga — trud był ślizki —
Krwí spłynęło i czes morze,
Lecz anielstwa czas już blizki —
— Pójdą — pójdą w Ciebie, Boże!

— Tak wam z krzyża, o plemiona,
Dziś proroczy polski naród.
Choć mówicie: «Ot, już kona!»
W nim przyszłości waszej zaród. —

Polsko, Polsko! Grób twój tylko
Był kołyską nowej zorzy,
Śród wieczności jedną chwilką
W której począł się dzień boży!

c) **Z Psalmu Miłości.**

1. Chciałbym mówić językami ludzkimi i anielskimi,
a miłością nie miał, stałem się jako miedź brzęcząca
albo cymbał brzęczący.
 2. I choćbym miał proroczo i widziałbym wszystkie tajemnice
i wszelką umiejętność i choćbym miał wszystkie
wiarę, tak, żebym góry przenosił, a miłością nie miał,
niezmi nie jest.
- Sic. Paweł. List 1-szy do Korintyan, Rozdz. XIII.*

656)

Przeciw pieku podnieść kord!
Bię szatanów czarny ród!
Marne wrzaski — próżne mowy —
Barbarzyńskich w świecie hord!

Czas już zredzeć z wieku chmurę!
Idącego Pana chwalmi!
Rzucac palmy — rzucac palmy —
Kwiaty na dół — pieśni w górę!

O! rzucajcie pieśni, kwiaty!
Oto idzie — idzie Pan,
A nie smętny, jak przed laty,
Wolny cierniów, gwoździ, ran! —

Przemieniony — z niebios szczytu,
Z nad Wszczęświata gwieździan,
[ścian,
Jak widnokrąg wszechbłkitu,
Ku nam splywa — splywa Pan!

O! ten błękit picie duszą,
A wam wszystko zbłękniecie!
Choć was męcza — choć was kusa —
Uwierzycie w mą nadzieję. —

Niech was darmo nie przestrasza,
Że dziś podłose górą wszędzie!
Z wiary waszej — wola wasza,
Z woli waszej — czyn wasz będzie!

Nie powruci stara kłęska —
Duchom — duchom tryumf dań!
Oto idzie moc zwycięska,
Panujący idzie Pan!

Dość już długo — dość już długo
Brzmiał na strunach wieszczów żal!
Czas uderzyć w stronę drugą,
W czynów stal! —

Dość już długo — dość już długo
Brzmiał na strunach wieszczów żal!
Czas uderzyć w stronę drugą,
W czynów stal! —

Przeciw pieku podnieść kord!
Bię szatanów czarny ród!
Marne wrzaski — próżne mowy —
Barbarzyńskich w świecie hord!

My do innych idziem lat,
Pronieść z niebios spadł już nowy!

Gdy z kolebki Duch się budzi,
Niemowłectwem wolnych ludzi
Gilotyna i grabież!
Dzieciom luby wściekły gniew;
I w wylaną bratnią krew
Wierzą, ciemne, w ślepej wierze!
Nie wolności dotąd człowiek,
To wolności wstało zwierze!
Lecz czas łuskom odpaść z po-
[wiek —
Czas już przejrzeć Boga wół,
Czas anielski podjąć trud,
Czas odrzucić wszelki brud
I tem samem znieść niewolę! —

Nie jest czynem rzecz dziecinną,
Nie jest czynem wyniszczenie. —
Jedna prawda boska, czynna,
To: przez miłość przemienienie!
Jeden tylko, jeden cud:
Z Szlachcią polską polski Lud!
Jak dwa chóry — jedno pień! —
Wszystko inne złud, złud,
Wszystko inne plam, plam!
I Ojczyzna tylko tam! —
Jeden tylko, jeden cud:
Z Szlachcią polską polski Lud,
Dusza żywa z żywym ciałem
Zespojone świętym szaleem.
Z tego ślubu jeden Duch,
Wielki naród polski sam,
Jedna wola, jeden ruch —
O! zbawienie tylko — tam! —

Kto chce iskier z czarta kuźni,
By przepalił czarta moc,
Ten świat w gorszą wpycha noc,
Ten mądrości wiecznej bliźni. —

Szata Polski nieskalana,
Przenajczystsza i świetlana,
Jak niewinność trudu trudów,
Jako odkup wszystkich Ludów

Dotąd w Polski grobie leży. —
Ten kto wznieśsie pierwszy rękę,
By śnieg zetrzeć z tej odzieży,
Kto przemieni w zbrodnią — mękę,
Kto przekuje w nóż kajdany,
A nie w szablę — ten przekłętý!
Tego strasza gna pokusa —
Ni mu rozwój światów znany,
Ni objawion mu Duch święty,
Ni pamiętan Duch Chrystusa!
On bez myśli, on bez serca —
W Boga skarbcach nie nie kupi —
On nieszczęśny i on głupi
Jak kat kaźden i morderca!

Gdy zstepują w świat genjusze,
Innym sprawę wiodą torem!
Nikt przez mordy i katusze
Nie był wieków Dyktatorem!
Raczej żyją niebezpiecznie,
Raczej w końcu giną sami,
Lecz zwycięstwo ich trwa wiecznie!
A z nich żaden się nie spłami
Terroryzmem, by do szaty
Purpurowej brał skarłatą
Z braci swoich zjętej głowy —
Ani Cezar stary w Rzymie,
Ani Francji Cezar nowy!
Kaźde krwawe w dziejach imie,
Ach, nosiła mierna dusza!
Słaby tylko rzeź wybiera,
Czy mu imie jest — Maryusza,
Czy mu imie Robespiera!

W poświęcenia świętej dumie
Poprowadzi Lud do bitwy,
Kto prowadzi Lud ten umie:
Szlachta Polski — Rusi — Litwy!
Pierś-że czyja kwitnie w blizny?
Kto się palił wciąż ofiarą
Na ołtarzach tej Ojczyzny?
Kto nad Ludu błędną marą,
Nad przepaścią ciemną jeszcze,
Skrzył się cały w żary wieszce?
Kto sam z władz swych się roz-
[bierał,

Narodowi pootwierał
Przyszłe, wielkie bytu niwy?
Ani kupcy, ni Żydowie,
Ani mieszczan też synowie —
Lecz ród szlachty niezszęśliwy! —
Ród, co nie znał z wrogiem miru,
Żniwem trupiem ścinan w boju
Lub zapędzan do Sybiru —
Oni tylko — dotąd oni,
Z Polską w sercu — z mieczem
[w dłoni —
Dniem i nocą bez pokoju!

Któż zachwycon zdarzeń ście-
Nie popełnił nigdy winy? [kiem,
Chyba jeden — ten Jedyny!
Co był Bogiem a Człowiekiem!
Jakiż naród — jakiż stan —
Wielkie jaki z czystem czołem
Krzyknąć może: «Jam Aniołem!
Jam nie zadał drugim ran!»

Lecz się grzechy macać winny,
Gdyż z grzesznika człowiek inny
Wylataje śród cierpienia —
Tak jak Feniks, co się zmienia —
Nieśmiertelny — śród płomienia!

Wszędzie, wszędzie na planecie
Braci moich rytu ślad!
Wy go słówni nie zmańecie,
Bo tchnie w dziejach boży ład;
Ich za Polskę — ściągł świat,
Ich za Polskę — męczył kat;
Nie od wczoraj — od lat wiele
Piers im palił skwary brzeg
Lud krył oczy wygnął śnieg
I więzła Cytadela! —

Na alpejskich skal wyżynie,
Po śródziemnych fal błękiecie,
Na italskim Appenninie,
Na hiszpańskich *Sierrow* szczycie,
Na germańskich niw równinie,
Po moskiewskich wszystkich lodach,
Na francuskim kaźdem pola,

Po wszechziemiach, po wszechwo-
Przyszłe, wielkie bytu niwy? [dach
Sieli przyszłej Polski siew:
Boże ziarna, własną krew —
— I wy syny tego bolu! —

Tam Lud święty Szlachta święta,
Nie kto inny, prowadził! —
A ją natchnienie widła siła —
Bez niej dzisiaj wamby pęta
Ducha żarły, a nie ciało —
Bo Lud martwy sam — to mało:
Ogrom leży, a bez czucia —
Jeszcze trzeba iskrzy z nieba,
A nie z ziemi, do rozkucia
Marzącego w śnie obryzma —
I bez Szlachty Ludu niema! —

Z życiem wiernie przechowanem
Ona stoi na mogile,
W której zmartwychwstańców tyle,
Ona Ludu dziś kaplanem!
Dzierży w rękę moc ofiary,
Grób nie lęka się, ni kary,
Bo zdeptała wasz świat stary,
Świat zawiści — mordu — ciemna,
W którym tylko moc ujemna,
Wie się ona przeznaczoną
Do nożenia tu korony;
Lecz jedyną tu koroną:
Wylać Ducha na miliony.
Ciałom wszystkim rozdać chleba,
Duszom wszystkim — myśli z nieba,
Nic nie spychać nigdy w dół,
Lecz do coraz wyższych kół
Iść przez drugich podnożenie —
Tak Bóg czyni we wszechświecie —
Bo cel światowy — szlachetnienie.

Wy, co wyższe zniżyć chcecie,
Patrzcie, patrzcie! — Od kamienia
Jak stopniami Pan przemienia
Duchy stworzeń. — Zrazu senny
Wszczętek życia, aż powoli
Wydobędzie się z niewoli!
— Walka trudna i trud boli! —
Lecz podnosi się kształt zmienny,

Wreszcie przywian Duch z daleka
Wdziwa na się pierś człowieka.
Głaz, kwiat, zwierzę śniły z cicha —
On ku niebu paie już głowę,
Do aniołów pieśnią wzdycha
Między gwiazdy eterowe!

Wszystko, wszystko, wiecznie,
[wszędzie]
Rwie się w górę z bożej myśli!
Z wiecznym Bogiem ten nie będzie,
Kto inaczej świat swój krył.
Kto nie szlachcił naród cały,
Lecz chce szlachę zredzić z wady!
Może chwilkę w gruzach siedzieć,
Braci schłopi lub obali,
Lecz nie wzniesie Ludu dalej,
Bo wszęchwiała prawem wbrew
Sennych zbudzi nie na ludzi —
Zbudzi sennych na zwierzęta;
Miasto światel wielkiej burzy,
Ujrzy ziemskiej dno kałużę
I w niej polską, piękną krew!
— To nie polskie będą święta!

Wiecznie stoi Przywłaszczyciel
Przed wszystkich oczyma.

Tem, że stoi, już kusiciel;
Chyba Boga niema!
Sprosniaszami hydnej dumy
Pomięśniam rozumy,
Rozwiązuję sam sumienia;
Przez ogrom cierpienia;
Sieje kłamstwo i ciemotę,
Zmieni zbrodnie — w cnotę.
Bohatyrów on przekaci
Na trupach ich braci,
On przytuczy dzieci małe
Wierzyć w mord, jak w chwałę!
Wezną sztylet mdle panienki,
Jak różę do ręki! —
Powie siostra: «Bracie, weź,
Bo zbawieniem rzęd!» —
Oszałeja jego szaleń,
Rozwściekną — wściekliwość!
Jak on, będą piekłem całym,
Nie niczem, ojczyzną!

Przecz tym złudom, o ma Święta!
Złej godziny tu są mary!
Ty zostaniesz niedotknięta,
Ty nie zbędziesz dawnej wiary,
Że ten tylko wigzy przetrnie,
Kto namaszczone cnoty znaniem,
Że na ziemi być Polakiem,
To żyć bosko i szlachetnie!

c) Z Psalmu Żalu.

... mają oczy, aby widzieli, a nie widzą; —
uszy mają, aby slyszeli, a nie słyszają ...
Ezechiel, XII, 2.
Bóg nie posłał Bóg Syna Swego na Świat, aby
sądził świat, ale aby świat był zbawionem
przezńoń.
Jan III, 17.

657) Psalm następny z następnego powodu:
Przeciw trzem poprzedzającym, a szczególnie trzeciemu,
zaraz po ich ukazaniu się, zatem na niemaly czas jeszcze przed bez-
bożnej pamięci miesiacem lutym 1846 r. — napisano pieśń w podob-
nym ich kształtowi kształcie. — Ta pieśń w rękopiśmie, jedna z przed-
ziwności języka polskiego, brzmiąca cudownymi dźwięki, a głębokiego
mystycyzmu piętnem naznaczona, wyobraźliczką niektórych dążeń
i myśli, krążących po widnokrągach umysłowej Epoki naszej. — Jeden
ją wybrzmiał z piersi swojej — ale po wielu piersiach drzemią za-
warte w niej technienia. — Nie sposób jej tu w całości wydać, bo

imię wieszczą, który ją wyspiewał, i wola jego o niej, — nieznanemi.
Pokrótce więc tylko treść w niej leżących zarzutów i pomysłów się
opisze. — Teć albowiem nie tylko są jednego wyłączną, rzeczywistą,
ale zarazem pewnej liczby drugich wspólną, idealną własnością. —
Kształtu się nie przywdzi — ideę tylko się podaje.

Pieśń owa w uroczych a ironicznych strofach zaczyna od zarzu-
cania «Psalmowi Miłości» przecząc zupełnie fałszywych i bojaźni,
niczem nie usprawiedliwionej, przed pewnemi, wypaśnemi mogocemi, kle-
skami — i zapowiada absolutnem twierdzeniem, że nigdy nie podoba-
nego na ziemi polskiej się nie zdarzy. — Dalej, szcążąc, utrzymuje,
że chyba upiory snuły się wieczorem po drodze zadumanego szlachcica
i plemion dawno zmarłych, po księżycu mgliły się kurhany — lub też
nad zasypiającym oczyma pobysk padł od czerwonych kotary firanek —
stańd krwi widzenie, stańd strach szlowszczy, bo «Któż gdzie i kiedy
nożem zagroził lub stanął ci sporem? — Próźne mary — wcale ni
mord ni rzecz — ale z wieńca kwietnianego nadpowietrznych duchów
obrywające się postaci, przelatujące w przestrzeniach — «A ty zląkł
się, syn szlachacki».

Po takowym wstępie Pieśń przechodzi do ocenienia stanowiska
całej szlachty polskiej; — przyznając, że jej niegdyś było ze sto ty-
sięcy, ma ją teraz za zupełnie już nie istniejącą i oświadcza, że wcale
i nigdzie «jej niema». — Ze w głębiach czasu gotuje się wichrowy
plomień, co wybuchnąwszy, zgasi i zdmucnie, jak świecę, wszelkiego
szlachty onej przypomocnika. — Przyjdą światła jakiegoś bożę, widzialne
śródn burz apokaliptycznych, palające i rzucają na lud i popchną
go — a stańd cudowne powstająd strachy i przerażenia, żywe jakoby
Śmierci, przechadzające się po ziemi — a w nich i z niemi będzie Duch!

«Słaby, mówisz, rzecz wybiera; a wiesz, co on, ten Duch, wy-
bierze?» — Po tem zapytaniu pieśń, jehowiczem wzbierając natchnie-
niem — głosi, że zapewne Duch on mfyody wybierze za środek wcie-
nienia się swego ludów zatracenie — z wichrow, komet i plomieni
okropne odmęty, w których króle drżą, matki ronią, ziemia się rozpa-
da i gruzy po gruzach tylko chłonie; — a z onych zwalisk wszyst-
kich korzysta Duch — którego definicya, że jest «wiecznym rewolucy-
onistą».

Nad tak w pył i popiół rozsypanym światem nowa zorza onosi
się w górę; a pod jej blaskami, w jakichś smętnych przestworach
zatracenia jęczy przetożłość historyczna kraju. — Nieskończona west-
chnienie słyhać z tej otchłani ojczystych dziejów; — ale ponad nią
wszęchwładny Duch «uciska, mrocy i błyska», aż stopniowymi uciskii
uzupełni nowego Boga i wiek absolutnie nowy.

Po takich przejściach kończy pieśń modlitwą gorącą i uroczystą
o rychle ziszczenie się dopiero co wyżej przytoczonych obrazów, z naj-
misterniejszą sztuką odmalowanych.

Na takiej treści wieszczby odpowiedzią następny «Psalm».

658)

Więc strach, mówisz, mówił ze mnie,
Gdym przeczuwał, że się w Ciemnie
Zasuwały, a nie w Zorzę,
I że Lud się zhaubi może?

Prawdę mówisz — pewnem męstwem
Ja się nigdy nie pochłubię;
Ja przed bliźnich drzę męczeństwem —
W otchłań spychać ja nie lubię; —
Gdzie brud ujrzą, wnet mi serce
Jakaś bojaźń chwyta boża,
Braćmi nie są mi morderce,
Szablę kocham — wstyd mi noża!

Jakbym zląkł się — na stolicy
Z gwiazd i tęcz Bogarodzicy,
Widnej w widzeń błyskawicy,
A mówiącej sprośne słowa!
— Samby zląkł się i Jehowa! —
Tak się lekam i truchleje,
Kiedy w polskie ma spaść dzieje
Mord i srom!..

Lepszy grom!
Zmartwychwstaje się z pod gromu,
Nie zmartwychwstaje z pod sromu!
Tys odważny — ja się boję
Kazirodzycych ran;
Bojaźń moją — męstwo twoje
Niech osądzi Pan!

Bodajbys, wieszczu, był wieszczyl prawdziwie!
Bodajbym, zdjety przerażenia dreszczem,
Był kłamcą tylko — ty natchmionym wieszczem —
I plam nie było na ojczystej niwie!
Bodajby Polska nierozdarta, cała,
Tak, jak się czuła dniami przed rzezią jeszcze,
Pieśni twe, wieszczu, uwielbiała wieszczę
A z moich marnych na gardło się śmiała!
Bodajbym nawet, zapozwan przed sądem
Za potwarz moją na Lud nieskalany,
Co żadnej hańby nie owrozdziiał trędem,
Usłyszał wyrok na śmierć lub kajdany —
I ty w tryumfie stał z harą twą złotą,
Uragający — i pytał: «A co to?» —
I mnie prowadził aż do rusztowania
Śród przekleństw gminu, co tobie się kłania
I milionowym dziękując poklaskiem,

Żeś odgadł światła wschód czysty — przed brzaskiem!
Salibyśmy oba — i szczęśliwi oba —
Ty chwałą własną — ja Polski zbawieniem;
Bo i mnie, wieszczu, wciąż śni się ta doba, —
Lecz wiem, że wściekłość nie jest zduchowieniem,
Lecz wiem, że wszelka zwycięstwa godzina
Bić w sercu Boga nad światem zaczyna,
Nim tu narodom na świecie uderzy!
Więc przed Nim stanąć narody wprzód muszą
Nie z rykiem zwierząt — lecz z anielską duszą;
Lud tylko święty Królestwu odzierzy!
Przemień go, przemień w Króla i kapłana —
Lecz zanim jeszcze nie przekróleszczony,
Nie kłękaj przed nim — nie kładź mu korony,
Lecz ufaj w szlachtę polską — i moc Pana! —

e) Z Psalmu Dobrej woli.

659)

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie,
Z skarbu wiecznego miłościwej łaski!
Tysiącoletnie dałeś panowanie,
Ubrane w śnieżne, przedchrześcijańskie blaski
Nadeuropejskiej cnoty — Twego Syna
Dałeś nam pierwszym w świeckie wpiód dzieje;
Z Polski ojczyzna w przeszłości jedyna
Co z piersi miłość, a nie rozród, sieje,
Co mieczem — tylko świat ewangeliczny,
Gardzi grabieżą, nie garnie zdobyczy,
Spaja się z braćmi — a dumnych roztrąca, —
Lecz i tych jeszcze w jawnem świetle słóca.
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o Panie, świętymi czyuami
Śród sądu tego samych wskrzęsić siebie!

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie,
Gdyśmy zastąpił z życia Kapitolu
W porzobiorowej doliny otchłanie,
Zmarłych żywymi trzymał na walk polu;
Choć nas nie było, przecieśmy bywali
Ponadgrobowo — choć w grobie złożeni —
Na bojowiska każdego przestrzeni,
Z orlem ze srebra i szablą ze stali.
Do serc, wsmętnionych w cierpienia czystowe,

Wlewałś bicie śród nicostwa nowe;
 Wiecznieś nas kapał w jakiejś dziwnej cnotcie.
 Wrzokomo z nas trupy — a Duchy wistocie. —
 Co elektrycznych nadzieimych strumieni,
 Wszystkiś zgromadził wokół naszych cieni,
 By nam powrotnie, wstające z mogiły,
 Na wstyd Europie, ciało uiszkrzyły.
 Teraz, gdy rozgzmiał się już sąd Twój w niebie
 Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami
 Daj nam, o Panie, świętymi czynami
 Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!

.....
 Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie:
 Przykład nieszczęsnej Twej Hierozolimy,
 W której tak długo było Twe kochanie,
 Aż się rozwiła w perzyny i dymy;
 Rozdarta w sobie — a zemsta z końca
 Przeciw ludzkości całej szalejąca.
 I ona kiedyś być miała królową
 Pogańskim katom, świecąca w koronie;
 Lecz, że wciąż śniła o tych katów zgonie,
 A dość Twych iskier nie miała w swem łonie,
 By nad nich podnieść się życiem na nowo,
 Odkrólewszczona — i stała się wdową,
 I dotąd płacze na Twojego Syna
 Za to, że plemień toporem nie ścina.
 Jedno krzyż wzięwszy w zmartwychwstałe dłonie
 Światy obala, gdzie tym krzyżem wionie.
 Teraz, gdy rozgzmiał się już sąd Twój w niebie
 Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
 Daj nam, o Panie, świętymi czynami
 Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!

.....
 Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!
 My nad otchłanią, na ciasnym przesmyku;
 Skrzydła nam rosną już na zmartwychwstanie,
 Usta rozwarte do wesela krzyku,
 Ku nam z błękitów, jakby z Twego łona,
 Złote jutrenki, jakby Twe ramiona,
 Śpieszą już na dół od nieba po ziemię,
 By zdjąć nam z czoła wiekowych klęsk brzemie. —
 Wszystko gotowe — wschód rozpromieniony —
 Anioły patrzą — a tam, z drugiej strony,
 Ciemność pod spadem bezgłębnym wybrzeża!
 I pnie się — wzdyma — rośnie, ku nam zmierza

Przepaść — śmierć wieczna, w której niema Ciebie,
 Co od początku złych i pysznych grzebie!
 A sama pychą, i złością, i swarem,
 I mełobójstwem onem, jak świat, starem,
 I kłamstw i bluźnierstw rozkipionym warem!

.....
 O Panie, Panie! Więc nie o nadzieję —
 — Jak kwiat się psypie; — więc nie o zgon wrogów —
 — Zgon ich na chmurach jutrzejszych już dnieje —
 Więc nie o przestęp cmentarzowych progów —
 — Przebycieć, Panie; — ani o broń władną —
 — Z wichrów nam spada; — ni o pomoc żadną —
 Zdarzeń otwarłeś już przed nami pole; —
 Lecz śród tych zdarzeń straszego wybuchu
 O czystą tylko błagamy Cię wolę
 Wewnątrz nas samych — Ojcze, Synu, Duchu!

.....
 Błagamy Ciebie, Ojcze, Synu, Duchu,
 Z prostotą dzieciąt, w niewieściej pokorze,
 Przed Tobą dzieci i niewiasty Boże,
 A światu męscy; — my, co się nie boim
 Od wieków walczycy przeciw wrogom Twoim!
 Błagamy Ciebie razem z naszą Panią,
 Co za nas Twego doprasza się słuchu,
 My, zawieszieni pomiędzy otchłanią
 A Twem królestwem, Ojcze, Synu, Duchu,
 Błagamy Ciebie z wrytem w ziemię czołem,
 Skronią już w wiosen Twych kapani dmuchu,
 Czasów przyśniętych otoczeni kołem
 I państw ginących — Ojcze, Synu, Duchu!
 Błagamy Ciebie, stwórz w nas serce czyste,
 Odnów w nas zmysły, z dusz wypłen kąkole
 Zdud świętokradzkich — i daj wiekiuste
 Śród dóbr Twych dobro — daj nam dobrą wolę!
 Teraz, gdy rozgzmiał się już sąd Twój w niebie
 Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
 Daj nam, o Panie, świętymi czynami
 Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!

Ł) Dzień dzisiejszy.

Utwór ten odbijający ścieranie się dążeń i przekonań społecznych i politycznych wśród społeczeństwa polskiego w kraju i na emigracyi, powstał zapewne w r. 1846, lecz poeta powstawał tu liryczne urwyki z lat dawniejszych. Ogłoszony był (wraz z «Ostatnima») jako utwór Stanisława Koźmiana, w Paryżu r. 1847. Podajemy tu piękniejsze i charakterystyczne ustępy.

Imk ich swiędzio w samym życia maju —
Czy w własnych domach — bez domu i kraju —
Czy na wygnaniu! — I milczeli długo —
Z dziwnym namiętnem nad zadaniem świata,
Co im chciał darmo ojezyny być drugą; —
Milczeli z dziwną bitością przez lata,
Aż wpadli w niemoć; — lecz w skoku godzinie
Dau im werek w przyszłość cudowny, proroczy —
I oną Świętą widzieli na oczy,
Co nie zginiała i nigdy nie zginie!

660)

Może ja zasnął — umarłem już może?
Dajcie mi pokój, przyjaciele moi!
Próżno mnie wskrzeszać — nic mi nie pomoże,
Nikt rany mojej, pod niebem, nie zgoi.

Jam bardzo smętny — jam bardzo zmęczony,
A jednak muszę pójść tą drogą ciemną,
Kędy z was żaden nie pójdzie dziś ze mną,
Zdejmcie mi z serca waszych uwag szpony!

Dajcie mym skrzydłom wybijając z tych ciśnień!
Już i tak długo byłem z wami razem.
Wy życia tylko rozbitym obrazem —
We mnie brzmią głosy nieznanym wam pieśni.

Na co czekacie? czegoż jeszcze chcecie?
Czy, żebym przystał, że dobrze na świecie?
Czy, żebym płakał, że umieram młody,
Lub też zapragnął pośród ludzkiej trzody

Zostać i starzec, zaprzędk się do pluga,
Wię się po ziemi, jak ucisku sługa,
Czuć tylko w nocy, w dzień działać inaczej?
Niech Bóg wszechmocny przebaczyć wam raczy!

Nie pójdę w starych ojezyny kościolach
Zasiąść do biesiad na braci popiołach
I katów zdrowie pić w Boga imieniu —
Wolę tu skonać w zgrozie i milczeniu.

Czemu patrzycie takim dziwu wzrokiem
Jakbym was urzekł szaleństwa urokiem?
Ja brat wasz — człowiek — ja na was spojieram
Z miłością brata — i cicho umieram.

I prawdę mówię, pod skrzydłami śmierci:
Kraj wam trzy sępy rozdarły na ćwierci,
A sprzedaj go nazad wolą nie umiecie!
— Z was niewolniki też dotąd na świecie. —

Darmo z natchnieniem czyn pogodzić chciałem,
Ciało w Mysł natchnąć i Mysł stworzyć Ciałem. —
Ah, nie czas jeszcze z lotnej marzeń wstęgi
Snać węzły życia i wieńce potęgi!

O, pójdźcie — pójdźcie przez rodzinne sioła,
Przez łąk zielenie i przez kłosów fale;
Tam w kłosie każdym szemrać ziemi żale,
Tam lilia polna o pomstę zawoła!

Szum tylko borów słychać tam w przestrzeni,
A w borach groby z zielska i kamieni,
A w każdym grobie męczennik spoczywa
I nad nim sosna hymn umarłych śpiewa. —

Na polach, wokół, najemne grabarze
Kopią w głąb ziemię — i broń poszczerbioną,
Obrazy świętych i stare ołtarze,
Na pył rozbiwszy, rzucają w jej łono,

By nie stał żaden przed oczyma ludzi
Pomnik dni dawnych — by ziemia ta cała
Nagim — bez krzyżów — cmentarzem się stała,
Gdzie z snu wiecznego mój lud się nie zbudzi. —

Ah, u bram miasta — patrzcie — tam, w dolinie,
Rota żołnierzy o brzusku godzinie
Strzelby nabija — i stoi — i czeka
Na wóz ten czarny, na tego człowieka,

Co zwolna będzie w śmiertelnej koszuli,
Skazan od sądzów, by poległ od kuli
Za to, że, wygnan, śmiał wrócić na lany,
Gdzie ojców rola i braci kajdany!

Starców i sierot lud za nim się tłoczy —
Słońce z za wzgórzów wznosić się zaczyna —
Dzwon z wieży słychać — to zgonu godzina; —
Lud podniósł w niebo obłąkane oczy.

On zstąpi z wozu — on w jaskrawe słońce
Spójrzy, jak orzeł, i słów kilka doda:
«Chleb ten był gorzki i zatruta woda,
Którąm żył tutaj — teraz na tę łakę

Upaść mam ciałem, jak niezulte brzemie.
Jedna myśl tylko mej duszy się śniła —
Tę myśl, jak ziarno, rzucam na tę ziemię;
Niech dziś się skryje — by jutro odżyła!

Gdzież jestem? Mówcie! — Co się z mną dzieje?
Ten obraz cały tak przysnął przede mną! —
Mgła mi śmiertelna jakaś w oczy wieje!
Lud — łaka — miasto, zapada w noc ciemną.

Głos szatana.

Ja jestem Rozum — ja jestem Konieczność!
Nie czas mi bratem, ale siostrą Wieczność; —
A choć mnie ludzie przezwali Szatanem,
Mój Duch świat stworzył! — i ja ziemi Panem!

Ostatni jesteś z wielkiego plemienia,
Ostatni jesteś z Bohatyków rodu —
Żyłeś bez domu — umrzesz bez imienia —
Zwiany jest z ziemi ślad twojego naroda. —

Matką ci mara upadłej swawoli,
A bracią twoją proch, co gnije w trumnie;
Życiem twem było — tylko konać dumnie
Lub siać lzy marne na nicestwa roli.

Śmiercią trza umrzeć! — Śmierć jest poświęceniem;
Gdy niepojęta — tylko wtedy kara,
A gdy ją pojmiesz, Rozumu ofiarą,
Przez zgubę cząstek całości zbawieniem. —

Tem bieży potok, że fale mijają —
Tem ogół stoi, że szczególni płyną —
Tem Ludzkość żyje, że narody giną —
I trwa tem Wszczęświat, że światy konają.

Lud twój się dostał drugiemu ludowi
Na krew i pokarm. — Ojędw tych puściznę
Wróg dziś przerobił na śmierć i zgniliznę;
On życie świata tą śmiercią odnowi.

Bo w piersi weźmie zagadkę przyszłości,
Którą rozwiązać nie wam było dano;
On ją rozetnie, depcąc wasze kości,
Śpijcie na wieki! — Wam Noc, jemu Rano! —

Lecz ty — odpowiedź! — na coś z umarłemi
Zawarł przymierze? Czemuś w blaskach słońca
Żyć nigdy nie chciał, lecz w czarnej zaciemni
Sny swe, jak lampy, rozstawiał bez końca!

Darmo się zżymasz, przegrałeś w tym boju.
Rozum na ciebie raz ostatni wola —
Przed koniecznością ognij wreszcie wola —
Zrzuc z duszy upór — a zaśniesz w pokoju!

Uznaj, że dobrze — i mądrze — i święcie,
Kłęknij przed zgodą, widomą w zamęcie,
Co sprzegła razem w okrąg nieskończony
Trumny pogrzebów i życia korony.

A w tem uznaniu schwyćisz wieczność wieczność całą,
Myśl twą pojednasz z naszej myśli chwałą —
I wtedy będzie darowano tobie,
Żeś wprzód nam bluźnił — płacząc gdzieś na grobie!

Głos umierającego.

Czemu bledniecie? — Obróćcie się ku mnie! —
Bracia, nie patrzcie w pośepną twarz jego!
On duchem wprowadzie — ale duchem Złego,
Fałsze więc prawi nadęto i szumnie.

Ah, gdzie mój Anioł — ten siostrzany — biały
Co miał przyjść po mnie? — Czemu nie przybywa?
Sam głos twój tylko pieśń zgonu mi śpiewa,
Lecz nie drzę, Duchu — boś nędzny — boś mały,

Boś jedną tylko Wszczężycia polowa.
Niedopelnienie — wieczna twoja doła!
— Z ust twoich płynie wiecznej śmierci słowo,
Bo wiesz, co przymus — a nie wiesz, co wola!

Żądza serc wielu może pod mogiłę
Zstąpić, jak anioł — i anielską siłę
Wlać w kość i popiół — nazad stworzyć naród; —
— Bóg w Wolę ludzi rzucił cudów zaród!

Byłe się nigdy w pychę nie spodliła,
 W cud się zolbrzymi, wciąż wzrastając czynem;
 Pycha — to kartów zbantowanych siła —
 Wawrzyn jej zwycięstw na krótko wawrzynem.

Taki dziś kwitnie na twych lubych czole;
 Ich tryumf głosisz w człowieczeństwa kole!
 Lecz wierzaj, Duchu: Ciało bez Idei
 Nie zwiastaj nigdy nic, prócz — Beznadziei!

Pogromcy wieków na dziejowej niwie,
 Tak, jak my walczymy, walczą nieszczęśliwie,
 Jak my, po grobach żyją, nie na słońcu —
 A czemuż — powiedź! — ich wygrana w końcu?

Czemuż przed niemi na wydarzeń polu
 Świat wreszcie zadurzy z niewymownej trwogi?
 Na niebie — z niebios pospadają Bogi,
 Na ziemi — Cezar spada z Kapitolu?

Bo wciąż się z tobą pasowali, Duchu,
 Gdyś na uciskówtrzymał ich łańcuchu; —
 Bo, wolni, w wolnych głębokościach woli
 Przysięgli wtedy, że i śmierć nie boli.

.....

Mnie smutek zabił, mnie gorzkie koleje,
 Mnie gwałt namiętych, nieskończonych marzeń,
 Mnie krok leniwy ognusiałych zdarzeń,
 Mnie te dni naszych wciąż tak podle dzieje!

Jam pił zanadto z krynic, mętnych łzami,
 Za dużo trumien przeszło mi przed wrzokiem.
 Wiek wołał: «Czekaj!» — rok ciągnąc za rukiem,
 Codziś świeżemi witał mnie trumnami.

Wszystko, com kochał, w ziemi pogrzebałem!
 Miłości moich krzyże tam po błoniach,
 Gdzie blade jeźdźce śpią przy śpiących koniach
 Z orłem na piersiach sennem, krwawem, białem;

Gdzie leżą w węgiel rozsypane chaty,
 A w bagnach rosną niezabudek kwiaty
 I czajka woła — jak wprzód — na dzieci,
 I słońce cicho nad równią świeci.

.....

661)

Chór.

Wszystko wokół — gdyby rajem —
 Wszystko wewnątrz — gdyby siłą —
 Tak nam dobrze — tak nam miło —
 Święty Boże, zmartwychwstajem!
 Pierś do piersi — do rąk ręce!
 Zesplątajmy się, jak wieńce,
 I rozwieiczmy się nad krajem!
 Coraz jaśniej przed oczyma —
 Jednym Duchem już się stajem —
 Tam, gdzie Miłość, Śmierci niema —
 Ah, Kochajmy się my wzajem! —

Głos w górze.

Będzie Polska w imię Pana!

(Sō)

Jeden z chóru.

Mgła przyszłości z serc nam zwiانا,
 Alleluja! — wraca życie;
 Ojców Duchy, czy słyszycie?

O wy, niegdys̄ bardziej z Bogiem
 Niżli Franki niżli Niemce —
 W każdym czynie czuciem błogiem
 Zbawiciele lub Rozjemce,
 Wy, zdobywce — lecz Uniami,
 Których ludzka krew nie płami —
 Wy, pogromce — lecz Tyranów,
 Schyzmatyków lub Poganów —
 Przez dziesięciu wieków burzę
 Europejskich bram wy stróże,
 Króle — Wodze i Rycerze,

Weszli z światem w Wszecchprzymierze
 Przeciw nocy, wiecznie ze dniem,
 Czy pod Moskwą — czy pod Wiedniem —
 Wy — jak w dziejach sny niebiańskie,
 Wy — godzące sprzeczne tory,
 Męczenniki wy chrześcijańskie
 I rzymskie Tryumfatory —
 O, natchnijcie nas w tej chwili!
 Wprzyszlć przeszłość — oto pora;
 Niech skra wasza, co w nas chora,
 W płomień zdrowia się rozsili!
 Z głębi ludu — szlachty ród,
 By wezwolwiecać w Ludzkość — Lud.
 Na to z bożej ja opieki

Wybierały los i wieki!
 Póki przodem, przed narodem,
 Poświęcenia stąpa chodem,
 Żadna rana, w pierś zadana,
 Jej nie zmoże; — nie pochowa
 Żadna otchłani Kurcuszowa —
 Z tych otchłani ona rodem!
 O Aniele, patrz, Aniele!
 My tu wszyscy jedną bracią!
 A kto ofiar spełni wiele,
 Ten na ofiar pała czele,
 I to — Arystokracyą!

M) Ostatni.

Ogłoszony w r. 1847 wraz z «Dniem Dzisiejszym» i w ostatecznej całości wykończony zapewne r. 1846, osnuty na myślą a raczej wizyi, która od r. 1832 ponawia się często w duszy poety, w chwilach przygnębienia i rozstroju, mieści ten utwór cały szereg dawniejszych wyrzuceń duszy cierpiącej i tęskniacej, powiązanych ze sobą przez watawki ostatecznego opracowania. Dajemy tu najwymowniejsze ustępy.

Z gór, gdzie dźwięgał strasznych krzyków brzmienie,
 Widzieli zdała obcą ziemię,
 Widzieli światło niemieckich przodków,
 Ku którym w dół, ciągnęło ich płomień —
 A sami do tych nie widać przostreści,
 Do godów życia nigdy nie nastęda
 I nawet może — zapomnieli będą!

Bełcniemy.

662)

Głos umierającego.

Ona mi świadczy — uderzcie w proch czołem!
 Ja wam zwiastuję, że Polska nie będzie
 Królestwem tylko lub Rzeczpospolitą,
 Lecz nad państw świeckich skóżeńne krawędzie
 Prawem miłości, różlewalnym uszędzie,
 Niedziela wieków, na jaw wydobytą.

Nagle, jak poseł, ukáže się Ona —
 I pośród mocarstw spodłonego grona
 Przerwą ją ludzie: «Mocarstwem-Aniołem».
 Ja wam zwiastuję, iż Polska kościołem
 Będzie na ziemi widomego Czynu.
 Przed nią pobledną, potępione społem,
 Królów nciski i wściekłości gminu
 I będzie — będzie — w tej Polsce i chwala,
 O którą szlachta w dziejach harcowała,
 I będzie — będzie — i wolność ludowa,
 Ludziom romańskim i germańskim nowa,
 Bo krwią rusztowań i rzezi nie błotna,
 A w wyższą dolę codzien wstępniej lotna;
 Aż w ruch bezprzerwny wraz i w spokój wielki
 Rozstrój i rozbrat pobrahan już wszelki,
 Aż religijnym stało się obrzędem
 W Bogu Ojczyzny polskiej sprawowanie —
 I Ludzkość poszła natchnień polskich pędem,
 Panu się wszystka dała na mieszkanie —
 I toć Ludzkości pierwsze Zmartwychwstanie!

663)

Życiam wiek cały przemarni w święzieniu,
 W nędzy — w chorobie — w ciemności — w milczeniu,
 Pamięci ziomków coraz niewidomszy,
 Tym co mnie znali, coraz nieznamjomszy,
 Od kochających coraz mniej kochany,
 Aż teraz pewno całkiem zapomniany!
 Za to pod czarnym pogrzeban sklepieniem,
 Żem, jak syn światła, niegdys ziemi śpiewał
 I pieśń, jak ziarno, w ludzkie serca wsiewał,
 By równem memu odkwitła natchnieniem!

Byłem ja dumny — lecz dumny z dumniegi;
 To nie poplaka na murawach ziemi, —
 Kto pognebiony — w tego bij — a wygrasz;
 Lecz, jeśli pysznie z pychą władców igrasz,
 Jeśli w nich patrzysz, jak w dzikie zwierzęta,
 Ponad kłótemi dan ci wzrok człowieka,
 Straszna ci zemsta od tych zwierząt czeka,
 I będziesz nosił — ty, człowiek — ich pęta.

Dni moje pierwsze to u losu wzięty,
 Że skorym biegiem przedko przeminęły,
 Jak bystre łodzie — jak orły lecące. —
 Lecz biedne, biedne — same nie wdziały,
 Dokąd tak lekko i chyżo leciały,
 Gdy jeszcze w górze świeciło im słońce,
 I każda chwila była wiosny kwiatem,
 I człowiek każdy — siostrą albo bratem,
 I świat, dziś głuchy — młodości mej światem!

Gdzie jest ten anioł, co groby odwala
 Po męki próbach i skonu godzinie,
 Gdy ranek trzeci zmartwychwstań nadpłynie?
 On Bogów tylko, nie ludzi, ocala!

Gdzie jest ten drugi anioł, który zdiera
Z bram mamertyńskich, wśród nocy, zawiasy
I święte Pańskie z rąk katów wydziera?
— Lecz ja nie święty — i dziś inne czasy! —
Twardsza dłoń wrogów, niżli śmierć — bo ima
Żywego jaszczę — i w trumnie go trzyma,
W której dla ducha Zmartwychwstania niema!

Duch twój albowiem, lotny gość Wszczęściwa,
On, co wprzód marzył pół-boże koleje,
Śród ścian więzienia tak osierociego,
Ze będzie szałak — ot, w pająku brata
I o dźwięk mowy ludzkiej błagał — kata!
Aż miną chwile — dni — miesiące — lata —
Zadne do ciebie nie zajrzą nadzieje
I duch twój wkońcu na nic znikczemnieje.

Heż ja razy sam z sobą walczyłem
I mrące myśli tchem woli caciłem,
By się nie poddać umysłowej śmierci! —
Lecz gdy raz rozpacz w dno mózgu się wwierci,
Strach, po tym gwoździu, jaka krew się leje,
Jak mózg stopniami zsycha i wędnieje!
Serce też — serce, do zgonu się skłania —
Nie pęka zaraz — kostnieje powoli,
Aż zbezsilnią w niem wszystkie kochania —
I z wszystkich bólów ten najbardziej boli! —

Jak obrzym, rwalem się za pas z nicością,
Z osamotnieniem — z brakiem życia — z czczością.
Krat się pytałem: «Mówcie, czy nie wiecie,
Co tam się dzieje na żyjących świecie?»
Lampę tę smętną brałem w sine ręce
I długom liczył popiołki jej kłota,
By czemś odmiennem rozerwać się w męce.
Nic nie pomogło — jakaś mgła i ślota
Codzieli mi ciemniej duszę zalewały
I świat, wewnętrzny mój, zagał mi cały!
I samem zostałem — bez natchnień — bez Ducha —
Skuty na zawsze do tego łańcucha,
Który te, wrosłe w kość moją, kajdany
Spaja z tym hakiem, wktym do tej ściany.

O, dawniej — dawniej — starce ostrzegali:
«Pójdiesz ty z harłą twą brzmącą, młodzieńcze,
W głuche przepaści, pod rygle ze stali,
Pieśń twa tam umrze i ty z nią, szaleńcze!

— Ludziom nie dzisiaj po dawkach wolności;
Darmo się zżymasz — im tylko potrzeba
Nienaruszonej handlu spokojności.

U nas mordują talkich, jak ty, gości; —
Zginie, kto świata nosi wieści z Nieba».
— Jam ich nie słuchał lub waśnił się z niemi,
Ha! — ja żyć chciałem, a nie gnąć na ziemi!
Więc gnć mi przyszło pod ziemią bez końca.
Światłość mi wzięta, wszystkim jaśniejąca,
I, odczłowieczon, ja spadł tak głęboko,
A Bóg na niebie został tak wysoko,
Że mnie i Boga nie dojrzy już oko.

Prawda, jam wskrzeszał prochy ojców stare,
By miękkie serca twardą pieśnią trumny
Przerzucić z podłej w wyższą życia wiare!
Prawda, ja byłem szalony i dumny!
Jam się nie rodził synem czasu mego,
Bo wiek mój wiekiem był przejścia i zlego.
A w tem złem przejściu osadzić go chcieli
Ci, którzy sądom bożych nie pojeśli:
Książęta ziemi i ziemi handlarze! —
I, jak świątynia niegdyś Salomona,
Nim gniew Chrystusa wygnął z niej kramarze,
Cała kupiectwem Żydów obłudniona —
Tak za dni moich stał gmach świata stary,
Bliżki upadku — pełny win — bez wiary!
A w nim dwa tylko dusz kupieckich stany,
Igrząc, walczyły o prym naprzemianym. —
Raz zysku chciwość — to znów wojen trwoga —
— I świat ten cały był Giełdą — bez Boga!
A jako szatan archanielskiej mocy,
Ponad tą Giełdą, od lodów północy,
Wzrastał już wtedy cień tego olbrzyma,
Który mnie dotąd w tych okowach trzyma.
A oni wszyscy — miasto dziarsko, razem
Uderzyć w tyłko ogniem i żelazem,
Z żelaza wroga kuli dróg koleje
I w parach wodnych pokładli nadzieje!
Bo się nie bali ni Boga — ni sromu,
Lecz śmiertelnego pola bitew gromu —
I dobrze było Mieszczanom tym w domu!
Zostali oni gdzie bruki, gdzie kramy
I tryumfalne nad targami bramy,
— A ja przepadłem, wśród moich, szkaradnie;
Tak, jak śmierć nagła, wróg mnie pojął — zdradnie.

— Myślę ostatniej nie zwierzył nikomu!
 Ja z kochanymi się nie pożegnałem!
 Nocą — bez śladu — cicho — pokryjomu —
 Kibitek wściekłym uwieźli mnie cwałem,
 I polskie tylko pamiętają gwiazdy
 Te pierwsze, tajne, me pośmiertne jazdy!

.....
 Bodaj to umrzeć u wstępu męczeństwa!
 — Lecz nie umiera się, gdy śmierć zbawieniem.
 W dniu szczęścia skonasz — zginięsz w dniu zwycięstwa —
 — Niezatrzałaś, gdy żyjesz cierpieniem!

Ah, gdzie rodzinne majowe obszary?
 Gdzie zbóż mych łany — gdzie mych łąk moczary?
 Gdzie bory sosen, szumiące nade mną
 Jakby modlitwą dziwną i tajemną?
 Gdzie są skowronków powietrzne gadulstwa?
 Gdzie stary kościół, kędy śpią ojcowie?
 Gdzie katolickie litanie pospółstwa?
 Gdzie lud, co Maryą królową swą zowie?

Boże! gdzież jestem? — Boże, cóż się stało?
 Toć w duszy mojej jest jeszcze zakątek,
 Gdzie nie zagasa gromnica pamiętek?
 Coś w mnie jeszcze ludzkiego zostało?
 Lat już dwadzieścia — nie wiem — Ty wiesz, Boże! —
 Jak martwy padłem na to śmierci łożu!
 Wszystko, co było — co jest — i co minie,
 W jednej się dla mnie ściemniło godzinie.
 Lecz teraz nagle pobladły ciemności
 I stróż mój anioł znów ze mną tu gości!
 Łzy mi się cisną — dawno nie płakałem —
 Dawnom nie marzył i nie nie kochałem.
 Daj mi wspominać — daj kochać, aniele!
 Co kaźden człowiek wziął na wieki w dziele.
 O to cię proszę: na chwilę znikną
 Duszę mą własną zostaw mi widomą!

.....
 Ah, pomnę nieraz, w noc jesienną, ciemną
 Głos matki zmarłej czy jakiego dziada
 Z grobu się zerwie, wzbije się nademną
 I przysłochę myślom moim rozpowiada.
 A z jego szmerem, przed oczyma memi
 Snują się tłumem obrazy, widzenia,

Ciągną zwycięzcy wieńcami długimi,
 Słyszczą milionów tryumfalne pienia,
 Przechodzą białe — świetlane postaci
 Siostr zmartwychwstałych — zmartwychwstałych braci —
 I wśród nich stąkam i czuję sam siebie
 W nieznanem jakimś, pogrzebowem niebie!

— A kto wie? — może nad Polski mogiłą
 Już się proroctwo snow mych dopełniło? —
 Mnie tam, ach, tylko — mnie, trupa, nie było
 Śród żywych dachów. — Ha, za temi kraty
 W czas — w przestrzeń sigam — głęboko — daleko,
 Wskróś przez te mury, jak przez trumny wieko,
 Czuję. — Tam wszędzie gwiazdy, wszędzie kwiaty —
 Świat już z wolnością w wieczne pobran swaty.
 Nad Alp wierzchołkiem i nad Tatrów szczytem
 Jednym się niebo rozpromienia świtem;
 Tam ludów złanych jedno bliższy morze,
 I nad niem świeci Słowian Słowo boże.
 Wiem — imię święte mej polskiej Ojczyzny
 Dziś już imieniem całej Słowiańszczyzny!
 — Tak duch zmartwychwstał z rozbiorów puścizny!

Dreszcz w moich piersiach dziwny nieskończenie,
 W każdej mi żyłe drga, jak luteń drgnienie.
 Krew moją słyszę, jakby się już cała
 W dźwięk idealny jakiś przedźwięczała.
 Lekko mi — lekko — prawie mi bez ciała —
 Już mi te ciężkie nie ciężą kajdany —
 We mnie — przede mną — jakaś światłość błoga.
 Wynieśmiertelniam się z pod ręki wroga —
 O, lochu mego przejrzyściej siancy!

.....
 O, jakżeż dziarskie te hufce — te konne,
 Co się na północ, jak skrzydlatą zgrają,
 Od jasnych onych tłumów odrywają!
 To jeźdźce moje litewskie — koronne!
 Tłum gdzieś zostaje z tyłu — już go niema —
 Bezmiar i oni tylko przed oczyma!

O, jakżeż pędzą! — Wciąż, jak błyskawice,
 Sadzą przez wzgórze — mijają padoly,
 Na północ pędzą — za wszystkie granice!
 Zbawienia mego witaście anioły!
 Od bieli lńciecie i od karmazynu —
 Skrzą wam z rąk szable, jak pioruny czynu!

I tak leciecie, o wy ptaki boże,
Moskiewskim stepem zwycięsko i dumnie.
.....

O ptaki moje, wy leciecie ku mnie.
.....

Widzę, przed każdym stajecie więzieniem
I, zeszkakując na chwilę ze siódła,

Straży anielskim każecie skinieniem,
By was w podziemne te groby powiodła.
— Słychać krzyk życia w umarłych mogile:
— Mar nazad z wami, ah, powraca tyle!
I znów was pędzi dech bożej wszechmocy
Dalej i dalej

Jak chwilki — dni, nocy!
Czy nocą czarną, czy o słońcu rozświcie,
Ręczę, bez folgi — widzę was — pędzicie.
Dobrze — ah, dobrze — jużście wlecieli
Ze czarnoziemia do śniegów mych bieli!
Prawdaż? — Widnokrag świata odmieniony
Mgła — mróz — śmierć wieczna — same lody — szrony.
Lecz, Bóg mi świadkiem, coś z czoła im tryska,
Co rozpromienia pustyni mgławiska.
A żwawo, moi! — a prędzej! — a do mnie!
Jezu Ty Chryste! — jakżeż jadą gromnie!
Jakżeż im w barwach narodowych pięknie!
Ratuj mnie, Boże, bo mi serce pełnie!
.....

Przez powietrza ciszę
Kaździe tam słowo wymówione słyszę. —
Pytają moi: «Czy męczą się jacy
W tych murach czarnych skazani Polacy
.....

A głos wśród ludu jakiś odpowiada:
«Tu jęczy tylko sprośny mord i zdrada.
Innych tam więźniów niema, jedno tacy,
Co matkę — ojca zabili lub brata».
Kłamstwo! ah! kłamstwo — nie wierzcie rodacy!
I znów głos moich ponad śnieg ten wzlata:
«Nie takich szukać my przyszli w te kraje; —
Polska jest świętą — świętym żywot daje,
Lecz matki, ojca lub brata morderca
Niech tu w moskiewskim dognije pogrzebie —

Bóg może zbawić takiego — lecz w niebie —
Polska na ziemi nie skłoni doń serca!»

Bracia, o bracia — zaczekajcie chwilę!
Ah, nie ściągajcie tak cugli ze wstrętem!
.....

Patrzcie — ja do was wyciągam ramiona!
Tędy — a do mnie — tu mych lochów strona —
Nie mogę pobiedz do was w mej bezsilie —
Ten łańcuch trzymaj — stójcie jeszcze chwilę!
Oto spróbuję — zwiędłe ręce moje
Sił mych ostatnich w żelaza te wpoję —
Będę je targał i kruszył potrosze —
Tylko wy stójcie, na Boga was proszę!
Błagam o chwilę — błagam o pół chwili!
Stójcie! — Ah, biada! — już się w bok zwrócili
I spięli konie; — czy nie posłyszycie?
Obywatele — ziomki! — dobrodzieje!
Ja tu — tu jestem, pod ziemią — tu skrycie!
Zawróćcie nazad! — Boże, co się dzieje?
Mgła mi już wszystko — wzrok mój już nie może
Tych ścian przebijać..
.....

Gdzież ja znów jestem? — Znow ta lampa łąca,
Znow za tą lampą noc lochów bez końca
Znow to obrydlive łożo,
I nic — nic więcej — a Ty — gdzieś Ty, Boże?
Nie wiem. — Wiem tylko, że tu głowę złożę; —
Jak pies, sam skończę — gorzej niż pies może.
Za co w wszechświecie mi być wdzięcznym komu?
.....

Ah, znenawidzam wszystko, w co ufalem!
A już ma wola nie włada mem ciałem
I oczom moim tak ciężą powieki...
.....

Na dalszą mękę — z tych ziemskich katuszy
Żywej nie pragnę żadnej wynieść duszy.
Miłości niema w świecie — ni za światem. —
Wszędzie szyderstwo, w którą pójdziesz stronę,
Jak nieskończoność, takie nieskończone!
Ni Bóg gdzie ojcem — ni anioł gdzie bratem!
Niebieskie, ziemskie — jeden zawód — włości; —
Ja się wyrzekam mej nieśmiertelności!
Ona ból tylko w bół drugi przemienia —

Mnie dość już złego — mnie dość już cierpienia! —
 Ja chcę nieości — bo chcę Wybawienia.
 Zapomnij o mnie, o Ty, Stworzycielu!
 Z przepiekielionych lat życia mych wleu
 Tę jedną prośbę wnosząc Ci przy zgonie!
 Niechaj nie będę tam, gdzie żywot plonie!
 Duch mój w wieczności niech bez śladu zginie,
 Jak pamięć moja w mej polskiej krainie!
 Ah, nawet w Polsce nie będą wiedzieli,
 Na jakiej konam śmiertelnej poscieli —
 Nie będą nawet, że mi raz ostatni
 Ręki nie ścisnął żaden uścisk bratni!

O Panie! O Panie!

Gdyś męczennicy Twej dał panowanie,
 Niech na tej ziemi, po raz pierwszy, ona
 Niepokonalna na ziemi — pokona!
 Czego nie mogły żadne świata pany,
 Szlachta — ni króle — ni lud — ni mieszczany —
 Przemienne tylko — a równe — Tyrany,
 Skoro tryumfu im błysły mamidla
 Niech ponad czas, w dół rwące, otchłanie
 Wyżej, niż pokus i pych wszystkich sidła,
 Wyżej, niż ślepe fał losów igranie
 Utrzyma w górze anielskie swe skrzydła!
 Daj jej na wieki wazachmiłości siłę!
 A jak zdeptała ciemność i mogiłę,
 Zwycięży, żyjąc, nietrwanie żywota!
 Nie — nie rozypie się, jak z krwi i błota
 Bryły państw wszystkich — bo w niej będzie enota
 I mądrość Twoja — a toć są okręgi
 Arcy-zwycięstwa i arcy-potęgi.
 Niech u narodów wszystkich się nazywa:
 Ta, która szczęściem narodów szczęśliwa!
 Więc nieśmiertelnie i władna i żywa! —
 Niech lśnią jej czołu słowiańskie korony,
 Niech w niej Twój Chrystus będzie uwielbiony
 Przez czyn na ziemi — przez królestwo boże!..
 — Coraz mi ciszej — toż i śmierć już może —
 I owszem, Panie..

Coś się miga — bieli..

W pierś mi się ulga nieskokocenna leje —
 Smętne w pamięci tają życia dzieje —
 Harfy! — gdzieś harfy! — widzę — ah, anieli!
 Harf takich ludzie nigdy nie słyszeli —

O dobrej — dobrej mówią tylko wieści!
 Coraz mniej smutku, coraz mniej boleści —
 O Polsko! — dusza już moja nie ranna —
 Gdzieści odpływa.. Hozanna! — Hozanna!

N) Niedokończony poemat.

Utwór ten pisany, częściami, w ciągu 12 lat (1836—1848), był przeznaczony, w pierwotnym zamiarze poety, na pierwszą część trylogii, której «Nieboska Komedia» miała być częścią środkową. Zmiany jednak, jakie zachodziły w ciągu tego czasu w pojęciach poety i jego nastroju duchowym, nie tylko nadały różnym częściom, przedzielonym kilkoletnimi odstępami, odrębne cechy w artyzmie, przekonaniami i zmieniających się planach ale uniemożliwiły powiązanie z «Nieboską», łącznością idei przewodniej i głównych postaci. Najważniejszą i najpiękniejszą część «Wstępu» p. t. «Sen» wydana została r. 1852 w Lesznie. Całość pozostawionego rękopisu, wyszła po śmierci poety r. 1860 w Paryżu. Podajemy tu ważniejsze ustępy, ze wstępnych scen i «Snu». Słaba w pomysłu i wykonaniu część pierwsza p. t. «Podziemia weneckie», nie posiada wydatniejszych myśli i artyzmem momentów.

Góry w okolicach Wenecyi — wschód słońca — na skale Aligier i Młodzieniec w stroju myśliwskim.

664) Młodzieniec. Patrz, przyjacielu, w jakiej purpurze
 Bóg dnia się zrywa! — Bodajby tak się rodził człowiekowi i kiedyś tak ziemi panować! Patrz, jak ta biedna, ostatnia gwiazdeczka umiera! — Mówią, że tkliwe serca tak zwykły końać przed światłem geniuszu. O słońce, bywaj, bywaj! Zajrzyj w te jary, kędy dotąd legną się ciemności, i mostami tęcz polącz brzegi tych białych potoków! — Tak mi świeżo — tak mi dobrze — tak bystro, ostro, tak daleko widzę — czuję, że dzisiaj nie chybię ni razu. — Gemza, co na tamtym wierzchołku mech gryzie, nie dożyje południa — o! trąbki naszych od góry jodeł się odezwały — chodźmy!

Aligier. Ja tu zostanę. —

Młodzieniec. Co tobie dzisiaj? Od kiedy słońce zaszło wczoraj, tyś do mnie nie przemówił słowa. Gdyśmy o północy zaczęli wdzierać się na skałę, w milczeniu stapałeś stroną przepaści, znakiem ręki tylko ostrzegając mnie o niebezpieczeństwie — a teraz, gdy łowy się rozpoczną, gdy od

grania psów zadrżą wszystkie kory sosen i ziemia i skały i duch w nas — ty się ociążasz, ty nie chcesz być z nami?

Aligier. Czy nie wiesz, że o tej godzinie zwykle modlił się do Pana? —

Młodzieniec. To poczekam.

Aligier. Czy nie wiesz, że w samotności zwykle modlił się do Pana?

Młodzieniec. To powiedz, kiedy chcesz, a wrócę po ciebie!

Aligier. Wieczorem zastaniesz mnie na tem samym miejscu.

Młodzieniec. Przez Boga żywego, człowiecze, chodź ze mną, proszę cię, chodź — bez ciebie nie będę umiał celować! —

Aż na tamten szczyt nagi dostać się musim — tam kryształy rosna i dzikie zawieszają się kozy — chodź! Strzelcy mówią, że stamtąd świat cały widać.

Aligier. I stąd można cały świat zobaczyć.

Młodzieniec. Jak?

Aligier. Zamknąwszy oczy i ukorzywszy ducha przed Panem.

Młodzieniec. Znowu zatrabili — bądź zdrow! Teraz z góry

na dół, potem znowu w górę, w górę, aż pod te obłoki. —

Aligier, serdecznie mi żal, że nie chcesz iść ze mną.

Aligier. Nie podawaj się tak naprzód — czepiaj się gałęzi — widzę przecież — widzę — tylko nie oglądaj się ku mnie — ostrożnie tam, koło wodospadu! —

Już on mnie nie słyszy. — Lotem ptaka leci, jak gdyby nie ciężał do ziemi. — Plocho, wsmukle, niedbale o pierwszej zorzy życia buja dziecię śmiertelne, podobne Duchom, które już nigdy o śmierci nie posłyszają — ale one znają tajemnice życia. Ono i o życiu nic nie wie. — Jak eter, z którego błękitny uwite, zrósć się może w bryłę ciemną lub w jasne słońce lub w nikłą parę, igraszkę powiewów, tak i ono wszystkim być może lub niczem — wybranym niebios lub ofiarą piekła.

(*Wznosi ręce*)

Ojcie niebieski, onych dni zaciemniły się Twoje drogi na tej kuli ziemskiej. — Twarz Twoja zakryła się obłokiem. — Znow Cię ludzie szukają i znaleźć nie mogą. — Ty wschodzisz — Ty wejdziesz. — Czemu oni patrzą w sam środek niebios? czemuż nie na widnokręgi? —

Ojcie niebieski, ta chwila przejścia, to straszny zmierzch oczom, to straszna pokusa myślom, to straszny ból sercom ich! — Jeśli jej nie skrócisz, to wielu z nich poginie.

(*Kłęką*)

Za tym Cię proszę, Panie, któregoś duszę mi powierzyl. — Wysłuchaj o niej świadectwa mego! — Ona bezustannie, sama o tem nie wiedząc, ku niebu Twemu się wydziera. Zaród wszelakiej piękności, iskra Twoja, pali się w jej głębiach, tylko że ciało, jako mgła wielka, obeszło ją zewsząd — przez mgłę Duch, którego strzegę, szuka Ciebie.

I nie przejrzał dotąd, że Ty nie tylko wysoko nad nim, nie tylko głęboko pod nim, ale też i wewnątrz niego samego przebywasz. — Daruj mu więc, Panie, że tęskni za Tobą!

I oto smętno mi aż do śmierci, Panie, bo pora jego niewinności przemija — bo serce mu wkrótce rozedrze walka dobrego i złego, jedyna, straszna matka cnoty. Wspomnijże i o mnie, Panie — zmiluj się nade mną, milując się nad nim.

(*Zniża czoło do samej ziemi*)

A nie proszę Cię, Ojcie niebieski, byś mu ujął co z trudów życia — wiem, że na wzór wszystkich wygnanych w świat, a przez świat wracających ku Tobie, on próbę fałszu przeżyć musi, gdy pokusy wybije godzina. — Stań się wola Twoja — chłostaj go gradem boleści — ponóż go śród ludzi — niech mu włożą kajdany na ręce — niech ciało jego wycierpi męczeństwo! — Jedno uskap mu hańby podłości, jedno zbaw go od nocy wiecznej Duchu! —

A na to dozwól mi, bym go ostrzedz mógł w tej przedostatniej chwili!

— Niech dzisiejsza noc mnie słucha, gdy ją zaklnę Twojem imieniem — niech wyziewy dolin i pary potoków zleczą się do mnie, a ja z nich stworzę wiotkie postaci, natchnę je myślą Snu, który jutrzejszej nie dożyje Zorzy! —

— Ale w nim będzie prawda wiekuista Twoja i prawda doczesna tej ziemi.

A ten, którego miluję, wspomni kiedyś o wiekuistej Twojej i za to Ty go zbawisz, o Panie!

Młodzieniec. Aligier, czy pamiętasz tę pierwszą chwilę naszego spotkania? — ona mi w oczach, gdyby terazniejsza. — Aligier. I mnie również, bo o tej chwili stałem się przyjacielem twoim. —

Młodzieniec. Ot, widzę ten stary budynek, w którego salach tysiąc równienników moich siedzi, a nauczyciele z katedr mówią do nas — widzę te, w węży załamane, wschody — i zakręt ten — i wschód ten sam kamienny, na którym mi się objawiłeś! — Nieprawdaż, harde było ze mnie chłopię, choć nie dorosłe i wątłe na siłach. — Szedłem właśnie z domu, przechodziłem wśród nich wszystkich z dumą na czole, świadom, że mnie nienawidzą — lecz czemu, nieświadam. Ścisnęli się kolem i coraz mi ciaśniej — krzyczą: «Panicz, Panicz!» jakby hańba być miało, że wskazać mogę, gdzie za ojczyznę gardło dał niejeden z Ojców moich i w jakim leży pochowan kościele. — Boże! w piersiach dziecinnych pierwszy raz wtedy piekło się urodziło — Poręczy żelaznych wtedy się uchwytyłem — oni ciągną mnie na dół za ręce, za nogi, za płaszcza zwoje. Bylbym może pod ich stopy runął, ale tyś się ukazał! — Schodziłeś z góry taki sam błądy, taki sam wysnułki, jak dzisiaj, tylko, że z okiem w płomieniach. Nikt cię nie znał — widywali cię tylko czasem i pamiętali wyraz twego czoła — Krzyknąłeś! — oni odpadli ode mnie, jak liście suche odpadli ode mnie. — Daj rękę, Aligier, ja nigdy tej chwili, nigdy nie zapomnę!

Aligier. O niej możesz, Henryku, ale słów, którym wtedy wyrzekł, pierwszych słów moich do ciebie, nigdy nie zapomnij!

Młodzieniec. Tak — czuję jeszcze twój uścisk — słyszę jeszcze głos twój: «Oni niesprawiedliwi. — Ty bądź więcej, niż sprawiedliwi, — przebac im w duchu i kochaj ich w czynach!» — Potem zesłaliśmy razem, a tyś, przechodząc wśród nich, spokojnym czasami powtarzał głosem; «Hańba wam!» —

Aligier. I od dnia tego nierozdzielni byliśmy. —

Młodzieniec. I będziem do śmierci — bo od dnia tego wiem, żeś wyższy ode mnie, i za to Kocham ciebie.

Aligier. Do śmierci, mówisz?

Młodzieniec. Tak —

Aligier. Ja umrę przed tobą! —

Młodzieniec. Nie szpec takim uczuciem tej cichej godziny! — Raczej całem okiem pijny to światło zlagodniałem — piersią całą to letnie powietrze, woniami róż dzikich natchnione — Patrz, te ostatnie promienie na śniegu gór, ta gwiazda, wschodząca nad szczytem skał, to uśmiech Boga nad nami — a ty ze mną, a ty przy mnie — czegoż więcej nam trzeba?

Aligier. Jeszcze raz ci mówię: ja umrę przed tobą. —

Młodzieniec. Niedobryś! — Przecież już ojciec mi umarł — i matka i siostra śpią w trumnie — i wielu z tych, młodych którymi wzrosłem, odeszło na wieki — groby ich marzą o mnie w biednej, dalekiej ojczyźnie. — Sam jeden żyję, ostatni z rodu mego — a tybys miał opuścić mnie także, pójść tam, gdzie lepiej, nie zostać się ze mną? — Nie — nie, Aligier!

Aligier! Zaród śmierci czuję w tych piersiach — ale czyż żywych tylko umiesz kochać, a umarłych nie? Duch mój wszak nie umrze w tobie, choć postać moja odleci. Z serca do serca przeskrzydła się myśl. — Czegom pragnął, o com się modlił, ty wykonasz — a pragnąłem, byś był mężem wśród ludzi — wśród duchów niebieskich aniołem. Kiedy już, na te góry, na to niebo, na ten wieczór patrząc, radbys czas w biegu zatrzymać i wolasz: «Piękny, piękny!» — Henryku, pomyśl, jakim cudem na tym świecie dusza, na którą patrząc, każdem wolać musi: «Ty piękna jesteś!» Braciom twoim dać szczęście takie! Bądź wśród nich arcydziałem!

Sen.

665) Zdalo się młodzieńcowi, że się postać Danta k'niemu odwróciła i rzekła: «Kędy wiekuista Miłość i Rozum i Wola, stamąd mnie posłano, bym ci pokazał piekło dni terazniejszych — zбайд więc trwogi wszelkiej i kędy idę, idź! —

I, jak słup bładawy, uniosła się postać w przestwór ciemny i po mglistych stąpała wyziewach, gdyby po falach nadpowietrznych. — Czasem z pod jej stóp wyrwał się nikły meteor, a stąd i zowad podnosiły się szare brzaski i przepływały i gasły w oddali; — a duszy młodzieńca stało się bardzo smętno, bo nie wiedziała, dokąd idzie, a szła w nieskończoność i czuła, że w nieskończoność zlego.

W miarę, jak młodzieniec za wieszczem się posuwał, rozstepowały się ściany, wykute w skale, coraz szersze chwytające przestrzenie, aż pobiegły każda w stronę swoją, na wschód i na zachód, póki dosięgł zdoła oko.

Pobiegły — cały przestwór, zda się, ogarnąć chcą — i rosną wszzer i rosną w górę, lgnąc do widnokregu kamieniem obiciem, sklepieniu niebios podścielając się kamieniem sklepieniem, aż stał się gmach ogromny, jak świat, granitowy, szary, bez błękitów i bez zieleności — A w tym świecie ujrzał młodzieniec jakoby marę słońca w wielkim oddaleniu, przybitą do pochylonych gzymsów i świecąca wечно ukosiłymi promieniami. — A blask ich wydawał się raczej jak choroba światła, niż jak samo światło. — I w tej śniałości przechadzały się tłumy nie zliczone, jakoby narody ziemi — i, jako huk mórz wielkich, gwar ich mowy tłukł w ściany świata tego i rozbił ją.

Dusza marząca, dusza młodzieńca zapytała: «Mistrzu, gdzie jesteś?» A on jej na to: «W świątyni, w której Ludzkość zamieszkała na dzisiaj, ale w której Boga nie ma». — I wstąpił zaraz między zgraje ludzi, przy wejściu siedzących. — Każden miał przed sobą dołek, własność swoją, długi i głęboki, jak trumna — i nosił na głowie lampę, którą, schyliwszy się, ten ciemny dołek oświecał, wybierając zeń rozmaitych rzemiosł narzędzia. — I każden z nich pracował rękoma, z ospiałym wzrokiem, jak u obłąkanych. — I ujrzał młodzieniec takich, co trzymali w palcach główkę od szpilki i mieli czolo wyżłobione zamarszczkami, jakby wszystkie lata nad zaokrągleniem główki tej przeżyli. — A ile razy godzina śmierci, bijąca w oddali, odezwała się na tem olbrzymim sklepieniu, ten i ów tu i owdzie spuszczał głowę i z jękiem w jamę swoją się staczał. — Wtedy ich odwiązane dusze widnemi się stawały — jak modre

obłoczki, w kształcie kół zębanych, stemplów, lewarów, wznosiły się i płynęły równoległe do ziemi, wszystkie w stronę żółtego odległego słońca.

A na widok wieszczca powstali ci ludzie, tłukąc lampy swoje i krzyżując: «Jeśliście Bogi lub czarty, — a wszystko nam jedno, — o których słyszeliśmy kiedyś, złota dajcie, złota!» I trzęśli się jak kościotrupy, z wyciągniętymi rękoma. — Zaploniła się blada postać Danta krwią gniewu i odparła im: «Opętane najeźniki!» — a oni poupadali na ziemię, jak martwe bryły przed Duchem.

I zaploniła się powtórnie postać, lecz jakoby krwią natchnienia, mówiąc: «Iżali mnie zrozumiecie, gdybym wam o przeszłości prorokował? — Kiedy ciało moje jeszcze z tamtej strony grobu w szczerym blasku słońca szło ku grobowi, byli także naówczas wyrobnicy na ziemi, a chorągwie ich cechów powiewały na krużgankach wież. — Szarlatem i wszelakim kamieniem drogim handlowali po jarmarkach miast — ale miecz tkwił, różaniec wisiał im u boku — ich ręka na wzburzonych falach umiała rudlować, na ładzie sypać niezdobyte szanice. — Srebro brali, a brud srebra zmywali krwią bitew! — Co wy dzisiaj z palcami jak wosk miękkimi poczniecie, wy, których usta nie zmówiły nigdy pacierza, wy, bez sił na ziemi i bez nadziei w niebo a laknący złota?» — A chłopie śliczne, jak anioł, ale zwiędłe przed czasem od pracy rąk, przyczłogało się — i, głowę kładąc na stopach widma, rzekło pocichu: «Zmilij się nad nami! Co w dzień zarobim, w wieczór pożywamy — a nazajutrz o świecie znów robić musim. — Nie mamy czasu modlić się do Boga, jedno robić, by zjeść co, a nie umrzeć — i, ledwo co zjadłszy, znów robić, by jeść — zmilij się nad nami! — A widmo stało się śniade, jako ten chłopiec, który mu włosami stopy obcierał i, wzniosłszy oczy w górę, westchnęło: «Przeszłość nie powróci, dziecię; — módl się o przyszłość do Ojca, który jest w niebiesiech!» A chłopie odeszło, szemrząc: «W niebiesiech — może, ale nie na ziemi». Tamci tymczasem zgryzali, tarzając się w kurzawie. — I cień Danta przeszedł śród nich, jak nawałnica, unosząc się dalej.

Wieszcz przechodził zadumany, nic nie odpowiadając, jakoby ze wstrętem. — Aż przyszedł do łoża białego, co stało na uboczu w wielkiej odległości od tych wszystkich innych. — Tam paliła się lampa na słupie marmurowym, pod krucyfiksem i w szacie żalobnej odwrócona klęczała niewiasta. — Cień wieszczka się zatrzymał i, stojąc, milczał, jakoby w smutku głębokim.

«Mistrzu, kto ona?» zapytał się młodzieniec. — A cień mu na to: «Przed laty jedną tylko kibić podobną tej widziałem, raz na ziemi — a potem raz drugi tam wysoko, tam w niebie. — Gdy twarz obróci, kto ona, poznamy». — I stał, nie przerywając modlitwy niewieście.

A młodzieniecowi się zdalo, że obok czarnej klęczącej widzi białą klęzącą, zupełnie taką samą, tylko, że miasto długich włosów skrzydła dwa miała anielskie, cicho w krzyż zwite i złożone niżej ramion. — A na tych skrzydłach głębokie rany i w każdej ranie gwóźdź sterzący, tak, że się skrzydła rozwiązać nie mogą. Po chwili obie te postacie zaszły jedna na drugą — i znów tylko czarna niewiasta klęczy. — Wtedy cień: «Oto skończyła modlitwę, bo jej śnieżna dusza zniknęła» i dodał, jakoby mimowolnie: «Beatryks».

Czarna Pani obróciła się i rzekła: «Ta, która to imię nosiła przed laty, nie oprócz rajy nie znała na ziemi, bo zgasiła w pierwszej wiosnie życia — nie oprócz rajy za ziemią, bo niebo zaraz ją wzięło do siebie. — Ale mnie nikt pierwszej drugą nie zapłacił wiosną. — To nie moje imię!» I, zalamawszy dłoń, stała z twarzą bez krwi, białą, jak alabaster.

A gdy ją wieszcz zaklął, tak mówić pocznie: «Urodziłam się w ziemi, mlekiem i miodem płynącej, którą zwa dziś ziemią mogił i krzyżów — zwa też i ziemią niedoli. — Tam, w górze, wyście słyszeli o mnie. — Lecz języków tysiąc zatrulo i rozszarpało imię moje, zanim doszło do was. — Zrazu zwali mnie rodzice: niewinna, śliczna, szczęśliwą — później nazwano mnie inaczej: niewolnicą!»

«Bo obyczajem świata mnie dzieckiem jeszcze, mnie bezmilosną, wydano czy sprzedano za męża — O, zapłaciec nade mną i nad temi wszystkimi siostry moimi, które, nic jeszcze nie wiedząc ni czując, idą bezwolnie ciało i ducha oddać tym,

co wszystko wiedzą i wszystko już czuli — ale którym wiedza nie przyniosła anielskiej jasności, jedno dała chytrność zgrybiłą szatanów!»

«Wszystko zniosłam — bo wszystko znieść można na tej smutnej ziemi, prócz jednego uczucia — pogardy! Kiedy ten sztylet wpadnie pomiędzy dusz dwoje, rękąjęścią w sercu jednej, ostrzem w sercu drugiej utopion, jakżeż im dalej iść razem po drodze życia? Im, co już tylko tem jednym, tem śmiertelnem skute są do siebie żelazem? — Jakżeż codzień ten sam chleb łamać, czekając, aż śmiereć wrzescie pobłogosławi, rozdzieli? — Kazalam sobie: nie — a musiałam — prosiłam się Boga, by nie — a musiałam pogardzić!» Tu umilkłszy, znów stała niewzruszona, z twarzą bez krwi, białą, jak alabaster.

A gdy ją wieszcz znów zaklął — jęcząc, odrzekła: «Bogu w dzień sądu, Bogu samemu nie odpowiem. — Jedna ja wiem, jedna pamiętam! — Jakby dziś, widzę ten pałac, tę ulicę lip rozwonionych i za gałęzi słońce zachodzące. Czuję się pod temi drzewami, przechadzam się, jakby w letargu. — Wszak mówili tych dni wszystkich, że się coś gotuje na ziemi naszej. W powietrzu śród zapachu sianożęci pływało jakieś przecucie, jak kiedy zaraza ma uderzyć, jak kiedy wielu ludzi ma powstać i walczyć i zginąć! — A mąż mój wysmukły i biały, jak niewiasta, przechadza się także i czeka na coś, na kogoś. Ach! czeka z uśmiechem nigdy niezapomnianym!»

«Z różnych stron do ogrodu wsuwają się ludzie — znam i tego i owego i wszystkich — to krewni, przyjaciele, sąsiedzi. — On im ścisła dłoń, coś obiecuje, przysięga. — Gdy słońce zaszło, prosi, by odpasali broń i siedli raz ostatni się naradzić. — Każden broń odpasal, usiadł na murawie. — On klasnął, znak dał — do syku węża podobny był gwizd jego. — Żołnierze zeszli, żołnierze, żołnierze...»

«Nie pytajcie mnie — jam imię tego człowieka nosiła — jam mu była przysięgała na wierność do grobu — ja go wam nie wydam, jak on wrogom braci swoich!...»

A teraz oto trzecie imię moje na ziemi: zhańbiona. — Wicież wy, za co, o ludzie? Za to, że rozpacz rozzerwała mi serce — a przyszedł dzień, w którym ukochaną zostałam; — za to, że w tym dniu uwierzyłam w Piękność i Dobroć i Rozum na ziemi —

za to, żem umarłą podniosła głowę, żem krzyknęła: O, jakże z trumny dobrze w niebo rość! — za to, żem święcie kochała! —

I tu, umiłszy, znów stała niewzruszona, z twarzą bez krwi, białą, jak alabaster. — A gdy ją wieszcz po raz trzeci zaklął, rzekła cicho: «Chodźcie za mną!» — i, zdjąwszy lampę z pod krucyfiksu, coraz bardziej się oddala od ludu niewiast leżących, widać się w jakąś przestroni podziemną, w lochy ciasne, a rozdołujące się żywotnie w miarę, jak ona rękę wyciąga i lampę podnosi. —

Wszędzie to same ściany, płaczące wilgocią — ciągle to samo sklepienie niskie i duszne. — Szelestu jej stapań nie słychać — żaden powiew nie łąca z jej lamp płomieniem. — Młodzieniec idzie, a coraz mu tęskniej i zwiedziej i słabiej; — niby to powietrze umyka się zewsząd, odpływa od niego, niby to ciężar jakiś niewidomy głowę mu przygniata — niby to w piersiach krew mu już stygnie; — i zdawało mu się, że sam krzyknął: «Nie pójdę dalej!» —

A czarna Pani, obróciwszy się, rzekła, lampę mu nad czołem trzymając: «Jednej godziny nie możesz wytrzymać, ty, z roku mężczyzn, ty silny i dzielny, tam, gdzie mijają i przemijają wszystkie lata moje — odejść więc w pokoju!»

A wieszcz smutno się odezwał: «Gdzież ten, który kochał ciebie?» — Ona, spuszcżając oczy, odrzekła: «Tam, gdzie go jego męskie losy zagnali — wyrwał mnie z samotności serca, a zostawił w ducha samotności — kochałam go, a opuścił mnie». I wskazała na kamień daleki, bielejący wśród tych ciemnic, mówiąc: «Tam już dusza moja, w własne skrzydła obwinęta, pochowana leży — a to Ja, na które patrzycie, to tylko ciało, co dotąd nie umiało skonać».

I z wielkiego smutku padła na kolana, wołając: «Ty, który wiesz, powiedz, czy z nami tak na wieki będzie?» — I pierwszy raz wtedy zapłakała.

A wieszcz, rękę położywszy jej na czole: «Wyście dotąd były jak lilije boże, co rosną, nic nie wiedząc o własnych barwach i woniach. — Oto idzie dzień, w którym się każda z was na myślącą różę przemieni. Wymkną się struny natchnienia z rąk mężczyzny i przejdą w dłonie wasze. — Oni, do stóp wam pochyleni, błagać was będą o jedną pieśń osłody — o jedno pro-

roctwo nadziei, o jeden obraz piękności — bo ich dola trudów nieznośnych i twardych czynów wtedy dołą będzie. — Lecż wch, zapatrzzone w Boga, nie spojrzycie na nich, nie usłuchacie ich placzu. Wtedy im serca pękają, jako wam od wieków». —

«Wyrzecż jeszcze jedno słowo do mnie!» rzekła czarna Pani, modąc się do wieszczki wzrokiem. — A on: «Tak będzie, a przyjdzie na was wtórej przemiany godzina — i znów podacie im ręce — i serca ich konające zżawicie miłością — i na zawsze staniecie się jako siostry ich, równe im na ziemi i w niebie». — A gdy czarna Pani coraz rzewniej płakała, dodał: «Odwołać duszę, a nie lękać się — bo gdyby co zagnąć mogło, przejdźby w sądach Pana olsnęła męska gwiazda chwały, niż wyszła napróżno lza nieszczęśliwej». —

A owo słońce było jakoby ze złota i ze sztucznych płomieni — a wystawa była z marmuru czarnego, wschodami wiodąca aż tam, gdzie górowały trony świecące. — Na nich siedzieli wybrani kupcy z wędrownych pokoleń wschodu, w długich szatach, z siwemi brodą, z purpurową przepaską na czole; — a pod ich nogami leżały ogromne wory, pełne brzęczącego kruszcu. —

I czasem z tych leżących podnożów wyrzywały się przerywane głosy, jakoby nalegania, prośby, wyrzuty. — I poznał młodzieniec, że w tych worach dusze kupców, ukryte i spleśnane, płaczą. — A w miarę, jak się nieszczęsne coraz bardziej skarżyły, wzrastał gniew siedzących — i gniotąc wory stopami, zagluszali jęki tych własnych dusz swoich.

A gdy się biedne uciszały, oni wolnym i chrapliwym głosem zaczęli radzić, wskazując czasem rękoma na odmet ludów, ciągnący ku nim z stron wszystkich. — A nad idącymi narody wisiały w przestworze ogromy mgieł czarnych, poprzerzynane pasami rudej jaśności; — i przejrzał młodzieniec, że to był kształt wszystkich dusz ludzkich, zgromadzonych razem i leczących zbiorowo nad ludźmi — niby krew ułtoniona, niby żużle roztopione, niby żar, dogorywający wśród wielkich ciemności.

Pod tą luną, jak pod piekłem nadpowietrznem, sły na rody na wzór gry huczącej, na wzór burzy, co grzmi. — Czasem wzbijał się krzyk padających, głuchy stęk duszonych i dep-

tanych. — Jeden z kupców z tronu wstał — skinął — i wnet obok wystawy, na dole, rozsunęły się ogromne glazy, rozwarły się lochy i rzędem z pod nich, niemo, posągowo, powstawać i iść zaczęli żołnierze z bronią w rękę, z bagnietami u luf — i potrojnym szeregiem stanęli z obojej strony wschodów marmurowych.

Coraz więcej huku, loskotów, jęków, nawoływań — kaźden ród, każde plemię, każda zgraja chce się pierwsza przecisnąć. — Ogromy zbite z tysiąca rąk, głów i piersi przewalają się, zniżają, podnoszą. — To błysnie krwawem światłem luna nad nimi, to znów szaro i sino i marnie w powietrzu. — Jak trąby morskie, jak walać potop wód i chmur, już dochodzą do stóp wystawy. — Żołnierze zagrzęgotali bronią i broń wymierzili ku mnóstwom. — Na chwilę więkka cisza nastanie — a inny kupiec wstał i zawolał: «To się targi rozpoczynają» — i dzwony bijące, raz jeszcze uderzywszy razem, oniemiały w przestrzeni.

Wtedy kupiec zapytał się ludzi o wypadki dnia zeszłego — a w miarę, jak mu z dołu głosy przelożonych nad ludami książąt i mędrców odpowiadały, donosząc o waśniach i rzeziach, o odkryciach i wynalazkach, stojący za nim wspólnie radzili i układali się — i znów wielka cisza nastąpiła. — Słychać tylko szepc głosów kupieckich w granitowym świecie. — Luna nadpowietrzna zbladła, wszystkie dusze ludzi razem pobladły od oczekiwania.

A po chwilach kilku kupiec mówca ogłosił, o ile się podniosły jedne, a zniżyły drugie ceny na ziemi. — Wtedy z mnóstwa nie odychającego wzniesie się nawalnica poklasków i złożeń, krzyku i płaczu. — Jedne zgraje wołają: «Z głodu pomrzemy!» — a drugie: «Niech żyją kupcy wszechmożni!» — Jedne płasają, wrzeszcząc: «My wygraliśmy wygrali!» a inne: «O kupcy, o Bogi nasze, zmiłujcie się nad nami!» — I znów zaczęły się swarzyć i bić i mordować — znów jedne ciała poszły w dół, a drugie w górę, deptając po tamtych.

Trupów wiele ujrzał młodzieniec, strатовanych przed wystawą; — a po trupach, porządkiem przechodząc, zaczęli żyjący wstępować na marmurowe wschody. — Pierwsi szli książęta z berlem w rękę, z mieczem u boku, otoczeni wielkimi urzędnikami narodów. — Sklepienie z żołnierskich bagnietów wzniosło

się nad ich głowami i strzegło ich od stóp wystawy po pół olbrzymich schodów; — a tam kupcy zstąpili ku nim i, ścisnąwszy im ręce, wiedli ich wyżej.

Za nimi wstępować zaczęli wszyscy przemysłni świata — rękodzielniki i wyrobniki — lichwiarze i kramarze; — jedni nieśli towary, drudzy wory spore, inni jeszcze papierów zapisanych zwoje. — W miarę, jak dochodzili połowy wschodów, musieli stać, a grmiący głos z góry pytał się o imię każdego z nich. — Oni odpowiadali nazwą rzemiosła lub towaru, lub rękodzielnici, albowiteż liczbą jaką — bo własnego, ludzkiego imienia żaden już nie miał na świecie.

A za nimi, z morza czarnego ludów, oto wydobyl się orszak zgarbionych i smętnych, trzymający w rękę, dźwigający na plecach dawne jakieś miecze, koleczugi i helmy. — W tej samej chwili młodzieniec usłyszał w powietrzu: «Patrz na starej szlachty ostatnich potomków!» — I obejrawszy się, ujrzał znów widmo za sobą.

Orszak wstępował po wschodach czarnych, aż doszedł ich połowy i tam na szerokim stopniu marmurowym zasiadł. — Kaźden z tych ludzi wtedy zacznie nożem i młotem pracować koło zbroi, którą przyniósł — tuc ją, rozrywać i łamać. — A widmo: «Patrz, jak wybierają damasceńskie złoto i perskie turkusy z ojcowskich tarcz — jak zamierzchle dyamenty odzierają od buzdyganów i szabel — by ślad ostatni starożytniej chwały ponieść kupcom na sprzedaż!» — A gdy tak skarżył cień Danta, oni odlamki rozbitych zbroic rzucali na dół — i powstał chrzęst wielki tyłu helmów, pancerzy i kordów, zlatujących po marmurze i roztrącających się.

A syny dzielnych wstąpi i szły wyżej, trzymając ku kupcom wyciągnięte dłonie, pełne proszku złotego i błyszczących klejnotów — a idąc, prosili się głosem uniżonym, by mogli wstąpić między książęta i handlarze. — Dano znak z góry, że wolno im — wtedy podkijęją i, wzniosłszy głos, zaczęła się targować o cenę kosztowności onych. — Ścięły się usta Danta i plusnęła z nich krew, a głosem grobowym zawolał: «Piekle dawnych ludzi nie bolało mnie tyle!»

I położył dłoń niedotknięwą na głowie młodzieńca, mówiąc:

«Pamiętaj!»... Ale w tej samej chwili zdał się znowu zniknąć i stopił się z przeźroczym przestrzeni — i nie było go. —

Od środka świata, z podziemiów przepaści, wzbił się teraz posepny, wściekły wrzask, który przeleciał ponad głowy narodom i rozbił się o wystawę. — Książęta i urzędniki na chwilę pobledli — ale kupcom twarz się nie odmieni — rozśmiaли się tylko, głaszcząc brody siwe.

Szły stamtąd olbrzymie postaci samym środkiem mnóstwa czarnego — szły na przebój i coraz bardziej rosły w oczach młodzieńca, aż poznał owych dwunastu poświęconych i ich wodza, trzynastego, który ich prowadził, sztylet w prawicy trzymając, a w lewicy czarę. —

A gdy zbliżał się do wystawy, twarz jego ponad głowami innych ludzi zdała się przyskać iskrami, nabiegać potęgą. — Przywiódł swoich aż na pierwszy wschód — tam kazal im posiąść i czekać. — Sam, nie pytając o żadne pozwolenie, a ręką odginając bagnety żołnierzy, wstąpił i w górę szedł — ogromny, niewstrzymany, potrząsając grzywą włosów, jak lew.

A jeden z kupców zeszedł k'niemu i wprowadził go aż na sam szczyt wystawy, w środek koła radnego. — W tej chwili zdało się młodzieńcowi, że nagle oczy olbrzyma pozbyły iskiei i że gniew czola jego mięknie. — Jednak, stanąwszy wśród kupców, krzyknął głosem, podobnym do grzmotu: «Od sponiewieranych, uciśnionych i nędznych raz ostatni przynoszę wam pozew; — równy podział wszystkim, albo zgon wam!» — I głowski temu odklasnęły zostawione na dole męczenniki — i głowski temu wtórowały zgraje niektóre — i głowski temu w oddali odkrzyknęła przepaść.

Olbrzym schylił się i obosieczny pugnał rzucił na posadzkę — potem jeszcze niżej się garbił i spuszczał, aż czolo jego zniknęło z oczu narodów — i, jak przelamany, siadł na jednym z tronów kupieckich i cichym głosem zapytał: «Mówcie prędko — za tę czarę krwi wiele dajecie dzisiaj?» —

A gdy mu kupcy oznajmili cenę, którą byli zaznaczyli, on odparł: «Nie dosyć za tę krew dzisiaj. — Alboż wy wiecie, co się dzieje w przepaści? Alboż wy śmieli kiedy wstąpić do niej?» — Teraz tam zgromadzeni wyją i czekając na powrót mój, piersi sobie kalecząc i rwąc włosy z wściekłości. — Dziś, po tylu już

zawodach, znów zawiedzeni, może się zbuntują — może już nie pochlebstwem, nie wymową, nie obietnicami, ale tym puginałem będę musiał ich spokoić. — A wy się tu ze mną targujcie! O kupcy i pany ziemi, czyż błogi ciąg dni waszych nie wart trochę więcej złota? — Kupcy mu na to: «Alboż nie codzień to samo nam mówisz? jednak, byś nie narzekał, krwi, którąś przyniósł, podwyższamy cenę.» — I, radząc między sobą, ofiarowali mu więcej. — Lecz on znów odparł: «Nie dosyć mi za tę krew dzisiaj!» — i, wnosząc czarę do góry, udał, że chce wstawać z tronu. —

Wtedy jeden z kupców, z przepaski purpurowej na czole, odpiął ogromny dyament i rzekł: «To gwóźdź z krzyża na Golgocie, co się tak przekryształił tej nocy, w której Bóg wasz skonał. — Nazajutrz zaraz z raną prapradziad mój oderwał go z drzewa. — Odtąd chowany go w rodzinie naszym. Mów, czy ci dość tego dyamentu za krew twoich braci dzisiaj?» —

Olbrzym spojrział — i wnet zniżył czarę — i krew z niej całą wylał na czarny marmur przed stopy kupcom, mówiąc: «Gwóźdź moim». Żyd rzucił mu dyament do próżnej czary, która w jęklivy oddzwoniła dźwięk.

I porwał się wódz poświęconych i brał się nazad ku narodom świata. — Zstepując, złorzeczył i groził, aż przybył do swoich, którzy się podnieśli, pytając: «A co? kiedyż?» On dumnym głosem im odparł: «Wy tylko za mną idźcie teraz — dzisiaj nie czas jeszcze — lecz przyjdzie godzina!» — I, pociągawszy ich za sobą, przerzynał się przez mnóstwo w stronę przepaści. —

Wtedy kupiec mówca oznajmił narodom, że wielki pokój i wszelka bezpieczność na ziemi — że każdemu godzi się wejść i zejść, handlować sprzedażą i kupnem. — Na tronach w górze zasiedli wszyscy kupcy i wszyscy książęta — u stóp ich orszak szlachty pokładł się na marmurze — głowy oparli o brzęczące wory, z których dusze kupieckie jęczały — w garściach ścisnęli zdarte ze zbroić klejnoty — i tak leżeli niewzruszeni, bezbronni, ze zmarszczonemi brwiami, z dużą lżą w oku. A ludzie wszelacy tłoczyli się wschodami nieustannie to w górę, to na dół, jak dwa nurty przeciwpływnie — i powstał gwar waśniących

się i godzących się; — a na dole mnóstwo, hucząc, sprzedawało i kupowało także. —

A były tam zgraje ponure i wołające, że chleb dzisiaj na zawsze stracili — ale nikt ich nie słuchał. — Stały tam całkie rzędy ludzi, jakoby chorych i trzęsących się od zimna, a żebrzących — ale nikt na nie nie spojrział. — Leżały tam gdzieś niedgzie ciała stratané, ustami jeszcze ruszające i szemrzące: «Ratunku!» — ale nikt im ręki nie podał. —

A gdy tak działo się na ziemi, owa luna dusz wszystkich, pluskając krwawymi polyski, coraz bardziej w przestrzeniach siniąca. — Naksztalt serc, co jedne po drugich pękają, gasły i przepadały wszystkie jej ogniska, światełka, promienie. — Wreszcie, czeplając się gzymsów granitowych, czarną kopułą dymu zawisała nad gmachu ścianami — i słońce ono żółte od niej się zaćmiło — i gmach ten niezmierny szczerzał widnokrzęźnie od postaw swych po szechytle swoje. — Kupey tylko jedni na tronach wśród tej nocy błyszczą. — I świat był jako Gielda jedna, ciemna — a oni jako króle świata.

I wszystkie te obrazy, zachodząc jedne na drugie, mieszać się i psuć zaczęły przed okiem młodzieńca. — Z mgły coraz posępniejszej i gęstszej znów wyrzało widmo z twarzą smętną, lecz pełną pokoyo — i młodzieniec usłyszał: «Odwróć się od tego piekła podłych!» — i chłód orzechwiąjący, jakby powiew nocnego wiatru, z tym głosem Danta przemknął mu po skroniach.

Cień Danta jeszcze raz skupił się w kształt i objawił całkiem wśród napływającego światła. — Lecz głos jego był inny, jakby już daleki, już wracający w chwale tam, skąd przybył. — «Dotąd na waszym świecie piekło tylko i czyściec — ale Duch Pana zamieszkał wam w piersiach — wyście jak przepaści — a w głębiach waszych tajnie ukryte błękitu. — Wiarą wzbudźcie je w jaźń — skrzydłem woli świętej wzniesiecie je w górę, wyniesiecie nazewnątrż; — przed sobą, nad sobą, wokół siebie rozwidnokrzęćcie je Miłości czynem! — Wtedy ono trzecie zacznie widomieć na ziemi — lecz babciećie plinie — żaden doń inny nie powiedzie tor — ni ślepy traf, ni przeznaczeń mus, ni swawoli dąs, ni żadnej puchy kłam! — A biada wiekom, jeśli gwałty niebożemi kusić się będą o dóbr bożych łup; — bo do tyła was

uszanaował Pan, Stwórca wasz, że wolno wam z Nim staczać bój i złem waszem zwyciężać Go; — lecz skorościé wygrali tak, wnet zwyciężony Wszechistny ucieka z was, a wam pozostaje wzamian wiekuisty brak, wiekuista śmierć, wiekuiste Nic. — Czuwajcie więc nad losami planety waszego!»

O) Resurrecturis.

Wiersz ten, ogłoszony drukiem r. 1852, powstał znacznie wcześniej, podobno r. 1846. Stanowi on treściwą syntezę przekonań, a głównie rad Wielebnie w życie i czynny tch zaleceń umożliwi «Mającym zmartwychwstać» ziszeczenie widzeń promiennej przyszłości, rozwijanych w powyższych utworach. Podajemy tu początek i najważniejszy ustęp.

666) Świat ten cmentarzem z łez, ze krwi i błota,
Świat ten, jak wieczna każdemu Golgota!
Darmo się duch miota,
Kiedy ból go znani;
Na burze żywota
Niema tu przystani!
Los z nas sztydzi w każdej chwili:
Dzielných strąca do otchłani —
Giną święci, giną mili,
Żyją niecierpiani!
Wszystko się płacze — i nierozgmatwanie.
Śmierć w pobliżu — a w oddali
Gdzieś na wieków późnej fali
Zmartwychwstanie.

O, poznaj sam siebie,
Nie żądam być panem,
Jak Pan, który w niebie!
Ni chciej, jak bydle, gnć nad pasy lanem!
Z tej strony grobu, przed zmartwychwstań wschodem,
Bądź ty w człowieku męką z niebios rodem,
Bądź arcydziełem nięgniętem woli,
Bądź cierpliwością, tą panią niedoli,
Co gmach swój stwarza z niczego — powoli!
Bądź tą przegraną, której cel daleki,
A która w końcu wygrywa na wieki!
Bądź spokojnością wśród burz niepokoyo,
W zamęcie miarą i strojem w rozstroju —

Bądź wiecznem piqknem w wiecznym zycia boju!
 Dla podlych tylko i Faryzeuszow
 Bądź grozbą, gniewem lub swiętem milczeniem, —
 I nie miej żadnych z obłudą sojuszów!
 Dla wszystkich innych bądź anielskim tchnieniem,
 Bądź tym pokarmem, który serca żywi,
 Bądź im lżą siostry, kiedy nieszczęśliwi,
 A głosem męskim, gdy się w meście chwieją.
 Tym, którzy z domu wygnani, bądź domem —
 Tym, co nadzieję stracili, nadzieją.
 A śpiącym trupio bądź przebudzeń gromem!
 W walce z tem piekłem świata, co się złości,
 Zawsze i wszędzie bądź siłą, co skłania,
 Nad śmierć silniejszą siłą ukochania —
 Bądź piekłem miłości!
 W ciągłej przykładu i słowa postaci
 Rozdawaj siebie samego twej braći!
 Maó ty się jeden przez czyni żyjące,
 A będą z ciebie jednego — tysiące!
 Bądź i w kajdanach niestrudzonym trudem —
 Niech ból cię kaźden, choć boli, nie boli!
 W jednej twej piersi bądź twym całym ludem —
 Bądź niebo z ziemią spajającym cudem —
 Świętością w niewoli!

IV. Utwory liryczne z lat od r. 1836 do 1858.

Odbijają one zmiany w nastroju duszy poety zachodzące w tych latach, pod wpływem kolejno budzących się uczuć dla p. Bobrowej, Delfiny Potockiej, a w końcu żony, Elżby, tudzież przekształcających się stopniowo przekonań i poglądów. Liryki te ukazały się na świat po śmierci poety.

P) Serce mi pęka...

667)

Serce mi pęka, światło się unyka
 Z przed oczu moich. Wszystko, co kochałem,
 Jak Bóg dalekie, lub jak chmura znika;
 Piersi jednak żyje i oddycha — szaleń,
 Choć ręka śmierci przytknięta do serca.
 Chyba czas przyjdzie, czas, uczuć morderca,
 Co wszystko zjedna, pogodzi, zabije,
 Na starych gruzach z róż świętych uwije
 Nową koronę, lub nauczy sztydzić
 Z utrud młodości i młodości pochowa;

A pierś ma wtedy, dawnych marzeń wdowa,
 Co czciła dawniej — będzie nienawidzi!

Iskra geniuszu na cóż mi się zdała?
 Tliła się tylko w głębiach mojej duszy.
 Dziś nie dojrzana, już tak wątła, mała,
 Że może jutro, wśród Ducha katuszy,
 Wymrze, jak perła długo nie poszona,
 Zniknie, jak kropła w południowym skwarze,
 Jako kwiat, w pączku nie rozwity, skona,
 I sam zostanę, jak stare ołtarze,
 Na których leżą węgle i popioły,
 Lecz Bogów nie ma, ni ofiar ni woni —
 Przechodząc obok, sztydzi lud wesoly,
 Starzec lub dziecię chyba lżą uroni.
 Gdybym nie kochał śmiertelnej piękności
 I ust nie złożył na widomem czole,
 Byłbym tą iskrą, spadła mi z wieczności,
 Pożar rozniecił na ziemskim padole!
 I duszę moją pozaludniał tłumem
 Żyjących myśli, z nich skłcił postaci
 Wspaniałe, wielkie! Boskich skrzydeł szumem
 Byłbym się wyniósł nad głowy współbraci:
 Dziś już za późno! Dusza jest jak ciało:
 Gdy się raz puje, a nadsputej części
 Od zdrowych siłą nie oderwiesz całą,
 Złe się rozbiegnie i wszędzie zagęści.
 Lecz ciało tylko, szczęśliwe, umiera,
 Ciało, przebrane, tylko cichną jęki;
 Duch nieśmiertelny sam siebie rozdziera!
 Niema dla niego ostatecznej męki!
 Ból, co w nim rośnie, ródć musi, jak życie,
 Krzawić się, bając, szumieć i rozlegać,
 Wekskać się gwałtem lub wdzierać się skrycie
 I, jak krew żyły, tak myśli obiegać.

Duch na dwie tonie ciągle się rozkłada:
 Z szczytów otchłani sam wola na siebie
 I sam, z jej głębi, smutno odpowiada;
 Rozdarty wczynie, myślą siedzi w niebie,
 A sercem w piekło coraz niżej spada;
 Z pochodnią w rękę na własnym pogrzebie!
 Bo złać się w jedno i zgodzić nie zdoła,
 Ani też całkiem rozpaść się na dwoje.
 Do wskazanego raz wepchnięty kola,

Sam z sobą toczy nieśmiertelne boje,
 Nie mogąc skonać; a co chwila kona
 Podwójnym bólem. Jedna jego strona
 Niszczy się jadem śmiertelnych miłości,
 A druga — żalem niebieskiej litości.
 Rozum, co w górze, choć, sądząc, przeklina,
 Równie samotny, jak przekłete serce;
 Wszędzie nieznośnie, bo wyrok i wina
 W każdej się życia zmieszały iskierce.
 Ah, życie wtedy sztychtem się zdaje!
 Ręce wnosimy ku widmu nicości —
 Ah, tam, wśród nocy, tam gdzieś leżą raje,
 Zwane grobami, kędy nasze kości
 Wraz z Duchem zasną! Nam się tylko marzy
 Nieznana dotąd wiecznej ciszy niwa;
 Sen nieprzespany i pokój cmentarzy!
 Równie to fałsze, jak dola szczęśliwa!
 Świat, jako wielki, jest przegranej polem,
 Świat, jako wielki, jest rozbita skałą,
 Trudem bez końca, wiekuistym bolem!
 Wszystko się dzieje i wszystko się stało!
 (1837).

R) Dla ciebiem wszystko...

668) Dla ciebiem wszystko straciła na ziemi,
 Dla ciebiem drobne porzuciła dzieci,
 Choć Bóg przykazał pozostać się z niemi —
 Teraz w ich stronę moje serce leci.
 Gdzie ich kolebka? gdzie sliższe wejrzenie?
 Gdzie jasne pąkle moich biednych dzieci?
 Choć głos twój dźwięczy i boskie natchnienie,
 On tyle szczęścia w sercu mi nie wznieci,
 Co sen ich niemy lub jedno westchnienie!
 Patrz! Ja być mogła tak czysta, tak święta!
 A teraz będę, na wieki, przeklęta!
 I dzieciom moim ojciec nie odpowie,
 Gdy się spytają: «Jak się matka zowie?»
 Tak gorzko, zimno, tak ciemno mi w duszy,
 Że czasem myślę, iż płacz mój poruszy
 Serce aniołów, Lecz nie — już godzina
 Śmierci nadciąga i wkrótce uderzy,
 Już ból konania w tych piersiach się wszczyna,
 Już palec Boga na tem czole leży!

Czy i ty zdradzisz tę, którą kochałeś,
 Tę, której nigdy żoną nie nazwałeś,
 A która była ci więcej, niż żona,
 Siostra, kochanka, niż wszystkie imiona,
 Którymi ludzie kochania przezwali?
 Bo ludzie nigdy kochania nie znali.
 Ja wiem, co miłość, co długa tęsknota,
 Co bój zacięty z myślą o kochanym,
 Co szczęście niebios, co piekiel zgrzyzota
 I brak łzy cichej w oku wypłakanem.
 Daj mi twą rękę, niech czuję, żeś bliżki!
 Tyś wielki, piękny, ty masz wzrok anioła,
 Gdy płama pychy nie kazi ci czola,
 A same prawdy zdobiją go polyski.
 Daj mi twą rękę! Słuchaj — w tych dolinach
 Ty mnie pochoważ przy Rzymu ruinach,
 A grób mój będzie otoczony wzgórzami,
 Zakryty zewsząd błuszcem i głogami —
 I ty wyrzycz na białym kamieniu
 Prośbę do Boga, by w cyprysów cieniu
 Ten kamień za mnie modlił się w milczeniu!
 (Rzym 1838).

S) Jak anioł spadły...

669) Jak anioł spadły, leżący w piękności,
 Lecz z kary bożej popiołem na czole,
 Italia drzemie wśród naddziadów kości,
 A lud spodlony, w czarodziejskiem kole
 Mórz zwierciadlanych i sklepień światłości,
 Jak proch pokuty, leży na jej czole.
 W kształtach już niema dawnej treści ducha.
 I rzymska hardość i chrześcijańska skrucha,
 Tą samą obie purpurą odziane,
 Skonały obie — a kształty strzaskane,
 Gdy słońce wschodzi z błękitnych mórz łona,
 Szemrzą na brzegach, westchnieniem Memnona,
 Skargą nieszczęścia, hymn dzikiej żaloby,
 Co wyszedł z grobów i powraca w groby,
 Bo mu serc dzielnych nie wtórują bicia,
 I w ziemi bogów — duch ludzki bez życia!

W Kampanii rzymskiej taki spokój wielki,
 Że człowiek każdy i że anioł wszelki,
 Przechodząc, duma nad dniami przeszłości.
 Tu żywych nie patrz — tu umarłych włości:
 Pałace dumnych, w żółty piasek wryte,
 Kościoły bogów, na szczątki rozbite,
 Zielonym bluszczu całunem obwite!
 Czas półwiertował posągi Cezarów,
 Czas zmienił Forum na błotnisty parów,
 Gdzie zasyły gruzów piętrzą się warstwy,
 Gdzie odkopane korynckie kolumny,
 Jak dusze, nawpół wychylone z trumny,
 Sterczą wysmakle nad Rzymu lochami

świętyni prochami.

(8 grudnia 1838).

T) Z nad wód.

(Początek i zakończenie).

670)

Z nad wód, gdzie nigdy nie zaszmują burze,
 Z dolin, gdzie nigdy nie widać różę,
 Tę, którą kocham, wywiódłem za rękę,
 Tę, którą kocham, powiodłem na mękę
 Do północnego i smutnego kraju,
 Gdzie bliedsze niebo i ciemniejsze chmury,
 Gdzie głębsze jary i olbrzymie góry,
 Porosłe bluszczem niedosłego maju.

Szedłem z nią razem dzień jeden i drugi,
 A z tych dni każdy był cierpieniem długi;
 Szedłem z nią razem po alpejskich śniegach,
 Wśród sosen wielkich, szumiących wichrami,
 Jakby się Bogu modliły hymnami,
 Szedłem z nią razem po przepaści brzegach,
 Kędy potoków rozzerwane fale
 Huczą pod ziemią, jak przekłętých żale.
 A ona do mnie ze smutkiem głębokim:
 „Patrz ty się w otchłań, czy nie dojrzyś okiem
 Grobu cichego tam na dnie, tam w dole,
 Gdziebym już mogła odpocząć, jak w domu,

I spać na wieki, nieznaną nikomu,
 Z żwirem pod głową i z żwirem na czole!

A ja ramieniem kibic obwiązałem
 Tej smutnej mojej, którą tak kochałem,
 I nad przepaścią w górę ją trzymałem;
 Ona, z rąk moich napół wychylona,
 Całkiem ponętą przepaści znęcona,
 Jakgdyby głosem tych fal urzecziona,
 Długo patrzała, z dziwną żądzą w oku,
 Na skał spadziłość i wiry potoku.
 A twarz jej była blada nad blademi,
 Jak te, na których już sen śmierci gości,
 Twarz najpiękniejsza, com widział na ziemi,
 Anielsko śmiała myśli spokojnemi,
 Co na nią spadły od strony Wieczności.

Aż w ciemnej nocy na brzegach jeziora
 Tę, którą kocham, porzucić musiałem,
 Tę, którą kocham, bez łez pożegnałem,
 Bo łzy już wszystkie nad nią wyplakałem. —
 Kiedyż to było? Ah, to było wczora —
 Albo przed laty — może przed wiekami —
 Bo czas się w Duchu nie liczy chwilami,
 Lecz serca pieśnią lub serca jękami!
 A odkąd święta moja porzucilem,
 Wszędzie znak śmierci wzywał mi z czoła
 I trumnę ciężką w piersiach tych nosilem:
 Własne me serce — bez mego Anioła.
 Aż ci, co niegdyś znali mnie na ziemi,
 Kiedy ja, dumny, walczyłem z dumnemi,
 Wszyscy mówili: «Czyż przed czasem zginie?
 Czyż znak boskiego już nad nim przekleństwa,
 Że jad tajemny w jego żyłach płynie
 I myśli jego tak blizkie szaleństwa?
 A jam ich słuchał i w duszy się śmiałem,
 Bo kiedy wrócę w oddalone strony,
 Gdzie moja smutna, święta pożegnałem,
 Ja wam powiadam: «Będę przemieniony —
 I wy powiecie, że z grobu powstałem».

Drezno, 18-go lipca (1839).

U) Oni mówili...

(skrótowe).

671)

Oni mówili. — Jam pilnie ich słuchał,
O stół zielony, gdzie lśniły się karty,
Jak posąg czelaka, wśród zwierząt, oparty —
Aż w sobie iskrę szyderstwa rozdmuchał:

«Waszą jest prawda, przeznaci panowie!
Dziś mi dopiero zaczyna dzień w głowie.
Lecz mi pozwólcie na jedno pytanie —
Co się też w końcu z naszym światem stanie?»

«Widzę w nim postęp — cuda — wynalazki.
Para, galvanizm, miedź, żelazo, ołów
Służą mu, nakształt spętanych aniołów —
Samo już światło maluje obrazki!

«Przytem wojsk dosyć i długów stokrocie,
Ogrom też szpiegów — policja wyborna —
A ludzkość sobie, jak dziecko pokorna,
Umiera z głodu lub pracuje w pocie!

«Gdzie stały niegdyś bitnych zamków wieże,
Dziś loch pod ziemią i blade warsztaty;
Tam jedwab kupcom wywija się w kwiaty,
Tam przędą sukno na wasze odzieże.

«Gdzie niegdyś szumne od hymnów kościoły,
Dziś giełdy, szumne od krzyków handlarzy,
Lub cytadele na miast wielkich straży,
Tych miast jedyne — lecz śmierci — anioły.

«Zgoda na wszystko. — Uciek z góry tłoczy,
W dole tam jęczą, zgrzytają miliony,
Pytając, z jakiej wejście Mściciel strony —
Nam nic do tego! — Alboż mamy oczy,

«By drugich widzieć? — Patrzejmy na siebie! —
Grą i przemysłem złota nabierajmy,
I ziemię całą, całą zużywajmy!
Bo, kto używa, ten tylko był w niebie!

«Przecie już rozum dawno się przekonał,
Że wiara w duszy to śmieszność i zgroza —
Bóg kar i nagród właśnie w tym dniu skonał,
W którym się zabił wielki Żyd, Spinoza,

«Którego nowa filozofia uczy,
Że całość światów jedynym jest Bogiem

I że Duch ludzki, za grobowym progiem,
W żadno się inne życie nie rozwnuczy.

«Z tej strony grobu jest wieczność jedyna,
Z tej tylko strony mogą żyć nadzieje —
Niech więc się złoto w kubek graczy leje —
I byt nasz przejdzie, jak tej gry godzina!

«Wiwat panowie! — Niech to potrwa tylko,
Niech to nie będzie jedną czasu chwilką,
Lecz całym czasem — a gdyby przypadkiem
W dom nasz się Nęcza wczeloga ukradkiem?...

«Gdybyśmy nagle u stóp giliotynty
Boso stanęli — lub w pustyniach śnieżnych
Żyć gdzie musieli wśród wilków drapieżnych —
Kto wie? — w kajdanach kopać kruszczu miny?»

«A jeśli trzeba bić się dniami i nocą,
Bez odpoczynku, o głodzie, o skwarze,
By strzał przez piersi wziąć od wroga w darze
I nie paść wtedy — lecz ostatnią mocą

«Ścisnąć karabin i pójść na bagnety?
Lub w sali radnej, wśród krzyków tysięcy
Płwać na przytknięte do serca sztylety,
Z śmiechem pogardy czekać sprawy końca?»

«Czy nie słyszycie, jakoby w oddali
Jęk konających na lądzie, na fali?...
Czy nie widzicie jakby kruków stada,
Co czarno lecą tam, gdzie człowiek pada?»

«Ot z głębin ziemi zagrzmi krzyk: «Do bron!»
I duch litości, jak w dniu bożej męki,
Na szczytach niebios lę — gwiazdę uroni,
By tam świeciła, skąd wzbiją się jęki.

«Bo nocą cichą, jak z nór ciemnych węże,
Z lochów podziemnych wyroją się męże —
I każdy w rękę nieść będzie pochodnię,
I każdy w oczach jakąś przyszłą zbrodnię.

«I stąd i zowąd i tam i w oddali
Rąk tysięcy razem, jakby jedna ręka
Gmach świata burzy i gmach świata pali!...
A szal mnie obłął i serce mi pękła!

«Krew wrząca wodzów i krew panów wielkich,
Krew biała kupców i krew ludzi wszelkich
Pada tam w ogień, jak olej rzucony,
I ogień bucha, jak ta krew, czerwony!

«Widzę dzieciątka, co się z matek ręką
W pożar stoczyły i zgasły bez jęku —
Widzę żołnierzy, co nigdy nie drżeli,
A teraz leżą, jak posągi, biele!

«I was też widzę, ciągnących w ohydzie
Wśród przekleństw ludu, o hańbie, o biedzie;
Darmo — zapóźno wołacie o Boga!
Bóg wasz wszechmocny, jedyny — to Trwoga!

«Dziś wam dopiero kochać się zachciało,
By wasza pamięć nie zginęła całkiem,
By kto się z wami choć chleba kawalkiem
Podzielił, mówiąc: «Bierzcie, choć tak mało!»

«Patrzcie! I siebie widzę z wami razem:
Te same pięta stopy nam związały,
Na śmierć tę samą za jednym rozkazem
Wiodą mnie — ale nie wiodą bez chwały!

«I grób mój tutaj nie będzie bez kwiatu,
Ni pamięć moja bez łez też nie będzie —
Jutro tu przyjdzie Siostra i usiedzie,
Gdzie dzisiaj stało rusztowanie brata.

«Anielska postać będzie tu plakata,
Serce anielskie tu mnie wołać będzie
Teraz i potem — na wieki i wszędzie,
Aż do mnie wróci — jak ja — zmartwychwstała!

«Bom w Piękność wierzył, bo byłem szczęśliwy!
Szczęście i wiara dały, że umieram
Nie, jak wy, podle — a was się wypieram!
Ot, w nieskończoność idę po me dziwiy,

«Po kwiaty moje, po moje natchnienia,
Gdzie wszystkie lutni dociągnięte tony,
Gdzie wszystkie duszy dopełnione brzmienia,
Tam, gdzie Duch jeden — gdzie duchów miliony...

«— I tak się z wami żegna tu poeta,
Ów słaby wietrzniak, to dziecię złudzenia.

Co z kwiatów tylko brał jady cierpienia
I nie chciał wierzyć — że to rzecz — kobieta!

«I tak się z wami żegna tu szaleniec,
Co patrząc w chmury, splatał pustny wieniec —
Bądźcie mi zdrowi, wygody czciciele,
Wy, świata prawdy cudni stwórzyciele!

(1839 r.)

W) Wierzę.

(Skrócone).

672) Wierzę w nadzieję, w miłość nieskończoną,
W dobroć i piękność — w straż duchów nademną —
W światło niebieskie i w wiosnę zieloną —
Lecz wierzę razem w potęgę podziemną,
Co morzem trucizn na świat ten wylana —
W żart losów wierzę i śmiechy szatana,
W nędgę, w ubóstwo i w ból i w chorobę,
W męczeństwo ciała i ducha żalobę,
W rozdział na wieki i samotne zgony,
— Świat złego także bywa nieskończony!
Darmo się zrymam — czy później, czy wcześniej
W jęk się przełamiam marzonych słów pieśni.
Bo los nas skazał, z odwiecznej rachuby,
Życiu co wiedzie — przez mękę — do zguby.
Miecz temu pęknięć, lutnia prysnąć musi,
Kto się o chwałę lub o cześć pokusi.
Bo, do wiecznego wtrącony więzienia,
Skąd nie zawrócą na świat jego pienia,
Mrzeć w więzach będzie, aż w tej czarnej nocy
Przeknie sam siebie i padnie bez mocy.
Lub, jeśli zdoła rozerwać kajdany,
To pójdzie błędzi ubogi — wygnany —
Po cudzych kracjach, samotny wśród świata,
Aż kiedyś wróci na rodzinną ziemię
Z wielkiej tęsknoty — i sam w ręce kata
Odda swą głowę, jak nieźnośne brzemię.
Bo na granicy moich zbóż i borów,
Moich chat wiejskich, mych szlacheckich dworów,
Moich rzek wartkich i stawów mych szklistych,
Wdźwigniętych mych wzgórzów i łuk mych kwiecistych,
Z czaszek mych braci, co polegli w boju
Lub w czarnych łochach poschli na szkielety,

Wzniesiona brama wiecznego pokoju
 Błyszczą z daleka skrzącymi bagnety.

.....
 Śpiewajże teraz, o poeto młody,
 Ty, synu światła — kochanku swobody!
 Ty, gwiazdą ducha na czole znaczony,
 Powstańże teraz i bądź mi natchniony!

Patrz na tę bramę — czy wiesz, co ci wróży?
 Tam cel twej drogi, tam koniec podróży,
 Bo jeśli w piersiach myśli tej nie zdusisz,
 Co wiecznych skrzydeł od ciebie wygląda
 I śpiewną prośbą twojej zguby żąda,
 W tej bramie kiedyś ty gardło dać musisz.

.....
 Strój ty więc lutnię — lecz na pieśń pogrzebu,
 I miecza chwytaj — na walkę daremną!
 Bo, skoro serce roztworzysz ku niebu
 I z serca wyjmiesz ową pieśń tajemną,
 Posłaną w skargę na ziemi tajemną,
 Z braci twych grobu do ojców twych Boga,
 Wnet — patrzaj! — zewsząd światło słońca znika,
 Nad głową twoją cień chmur się przemyka,
 Widnokrąg błednie i niebo trapięje,
 W górze sto wichrów zrywa się i śmieje,
 Śród cieniów krwawe z ziemi larwy wstają,
 O zdradę ciebie przed sąd pozywają,
 I z brzękiem kajdan twojej głowie łąją —
 Aż oczy twoje taka noc obróśnie,
 Aż koło ciebie stanie się tak czarno,
 Aż w sercu twojem tak gorzko — tak marno —
 Że, choć ty niegdyś śpiewałeś o wiosnie,
 Że, choć ty kochał, nie wspomniesz miłości —
 Że, choć ty wierzył, nie pojdziesz ty wiary —
 I, w tan porwany piekielnymi mary,
 Ty zwątpisz nawet o bogach piękności!
 Obaczysz tylko swoich braci zwłoki,
 Sine ich miecze i krwi ich potoki,
 Płynące zwolna — a na wzgórzach świata,
 Patrz, tam samotna stoi postać kata!
 Patrz, wzniosła topór, śród wichrów zawieja,
 I tym toporem wskazała na niebie
 Gasnące gwiazdy ostatnie nadziei!
 I, schodząc, stapa, jak olbrzym, do ciebie!
 Lecz ty nie kłękiesz, nie zadryżysz w tej chwili;
 Bracia ją twoi przed tobą przeżyli —

I wszyscy rzędem pogrzebowym, długim,
 W krew własną jeden opadli po drugim,
 A, gdy padali, nie znali co trwoga,
 I z wzgardą dumy patrzyli na wroga.

Ból śmierci mija — ta chwila przepłylnie.
 Dopiero teraz, na zawsze mi dzielnym,
 Ty z grobu wstanieś młody, nieśmiertelny,
 A proch twój tylko w grobie tym zaginie.
 I wdzięczność ludzi postawi twe imię
 W ducha ludzkiego ponadziemskim Rzymie;
 Gdzie tym, co legli z namiętej miłości
 Dla chwały świata, dla dobra ludzkości,
 Posagi stawia, od pory do pory,
 Na szczeblach wieków jasne, widne zdala,
 By czasu nigdzie nie wstrzymana fala
 Tam się wstrzymała, gdzie tryumfatory.
 I czas tam staje, niby patrzy słucha —
 I dziwną pieśnią, wieczności westchnieniem
 Oblewa, płacząc te posagi dacha,
 Nie marmurowym wykute kamieniem.

.....
 Śpiewaj więc teraz, o poeto młody,
 Ty, synu światła, kochanku swobody!
 Choć znakiem śmierci na czole znaczony,
 Powstańże teraz i bądź mi natchniony!

1840.

X) Gdybym dziś, jutro...

673)

Gdybym dziś, jutro, lub dnia z tych jakiego
 Nagle miał przenieść się do snu wiecznego...
 Chciałbym spokojnie, lekko, bez bóleści
 Rozsunąć do świata wiążące mnie, niecie,
 Zniknąć bez śladu i przepaść bez wieści,
 Jak łąza w potoku, jak mgła na błękitcie.
 Lecz nim spór chwili wyroczonej przemienie,
 Nim, skądem wyszedł, powrócę do Boga,
 Chciałbym być z tobą w ostatniej godzinie
 I cicho konać na twym ręk, droga.
 A gdy już zrzuć wszelkiej troski brzemię
 I ty me ciało bądźszes kładła w ziemię,
 Proszę cię, nie chcę dusznego sklepienia
 Klastycznych murów nieć nad mojem czołem —
 Dość mi już było na świecie więzienia!
 Śmierć niech łąk wolnych otoczy mnie kołem!
 Gdzie na zielonem i otwartem polu,

Pod niebios wiecznie błękitnym pierścieniem
 Złóż moją głowę senną, pełną bólu,
 I marmurowym przykryj ją kamieniem;
 A marmur ochłódź wonnych krzewów cienią!
 Zasiej tam, zasadź buszce, rozchodniki,
 Stalistine róże, podwójne gwioździki,
 Niezapominki i nieśmiertelniki,
 Italskie mirty, podalpejskie dalie,
 I borów naszych pamiętkę — konwale!
 Wszystkie, co kochasz i com ci przynosi!
 Za życia, kwiaty oddaj umarlemu!
 Pomnij, żem o nie, zasypiając, prosił,
 I rzucił je wieńcem na głowę śpiącemu!
 Niech, przyłożony tym ostatnim darem,
 Pohan coraz niżej tym kwiecica ciężarem,
 W wieczność zapadam, aż w niej się przetrworzę
 Na drobne listki, gałązki, kielichy...
 I z głębi grobu wyrosną — kwiat cichy,
 I serce wonne przed tobą rostworzę!
 Tak każdej wiosny, dez wonnych tysiącem,
 Będę wyzierał za śmierci okręgi
 I rdeł tam jeszcze przy tobie, pod słońcem,
 Stopy ci w miękkie obwiązując wstęgi.

1841.

Y) Im dalej idę...

674)

Im dalej idę, tem się okolica
 Młodości mojej bardziej rozsmętniwa;
 Z jej pogrzebnego wyzytam już lica,
 Jaki się koniec w losach mych ukrywa.

A zewsząd tłoczy się stek ludzi, zdarzeń,
 Co rwie mnie dalej, w dalszą przestrzeń bytu,
 Lecz we mnie samym wymiera świat marzeń,
 Schną lzy miłości, gasną skry zachwyty.

Bo gdzie tknę ręką, plazy napotykam
 Ruchome, chłodne — moich bliźnich dionie;
 Gdzie wzrokiem sięgnę, głęź dusz ich przenikam —
 A tam fałsz czyha lub żar złości pionię.

Wszyscy szlachetni! Tak brzydzą się złotem,
 Tacy gotowi poledz w świętej walce!

A kaźden miota na drugiego błotem
 I kaźden równy wiotką duszą — lalce!

Myślą, że maskę wdziawszy karnawału,
 Miedziane czoło cofną mi z przed oka —
 O, jest szal święty, co pada z wysoka —
 Lecz wyście tylko arlekinę szalu!

Nos bohateriski, z papieru lepony,
 Głos, grmiący męstwem, dopóki w przyłbicy,
 Płaszcz, wzorem togi przez pierś przerzucony,
 Oczy jarzące z dwóch dziur, jak knot świecy,

Lub błałość smętku, pędzlem bielmowana,
 Niewieścia słodycz na lipkim kartonie —
 Myśl jakaś wzniosta — szkoda, że udana —
 O cierniach ziemi i o wczesnym zgonie.

Skrzydła anielskie z dwóch złotych arkuszy,
 Do ramion spięte, szpilkami, wiszące —
 Wszystko to, pany i panie, mnie wzruszy
 Tyle, co mucha, brzęcząca na łące!

O, znam się na was, wiem, co komu siedzi
 Pod lewą pierśią, gdy o zuciu gada
 Lub nad ojczyzną umarłą lzy cędzi
 I z swych przede mną spisków się spowiada!

Gdyby w tej chwili, w tym samym pokoju,
 Gdzie tak rozprawiasz, drzwi się otworzyły
 I wszedł duch powstał, wołając: «Do boju!»
 Padłbyś na krzesło bład i bez siły.
 Lub też zmienacka, gdyby straż więzienia
 Przysłała cię pojmać i okuć w kajdany,
 Tobys przysięgał na Chrystusa rany,
 Żes syn niewoli — dziedzic poniżenia —
 I, w stotyżne gnać się tłómaczenia,
 Sto razy wrogów nazwał twemi pany!
 I nic to jeszcze: gdyby tylko trzeba
 Dla grobu tego, nad którym tak płaczesz,
 Zżymasz się, krzyczysz, sejmikujesz, skaczesz,
 Mniej leż umarłym, tylko trochę chleba
 Dać ich sierotom, by, porósłszy w siłę,
 W gmach życia ojców zmienili mogiłę
 I nad nią sztandar zmartwychwstań zatknęli —
 Ja ci powiadam, ty, z Bergamu rodem,
 Żebyś ty zemknął w łóżko do pościeli,
 Okrył się cały malowanym wrzodem,

Jęczał bez zmysłów, a trzosa, pełen srebra,
 Złożył tymczasem pod poduszką, w głowach,
 I strzegł go lepiej, niż strzegł Adam żebra!
 Bohys w malignie wciąż śpiewał o wdowach,
 Dzieciach, kalekach — a sam Bóg wszechmocny
 Nie mógłby spuścić na ciebie sen nocny
 Tak twardy, głuchy, by ktokolwiek z świata
 Z pod głów ci wyjął dla wdów tych dukata!
 Choćbyś i skonał, to jeszcze twa mara
 Trzoby ten z sobą uniosła do trumny,
 Połosec jednego nie dawsy talara!
 Widzisz — znam ciebie — tyś człowiek rozumny —
 Napis ci nawet wyrzyg na grobie:
 «Cny obywatel — dobry mąż — żył nie sobie;
 Co mógł z dóbr zebrać, poświęcał krajowi —
 Choćby swój nawet ostatni grosz wdowi.
 Po nim rodzina i ojczyzna płaczą —
 I lech tu przechodnie pacierz znowić raczą!»

Zwódcz ich za życia i zwódcz ich po śmierci —
 Lecz mnie nie przychodzi omniać kłamstwami!
 Jam twój duszę rozebrał na ćwierci;

I poetykiem odgadnień spojrzeniem,
 Straszem przeczuć — z gwiazd spadłem natchnieniem
 Kiedy się wdzieram w jamę twego serca,
 Widzę, żeś skąpiec, matacz i oszczerca!
 Zedrzyć twej maski nie myślę przed światem,
 Bom się nie rozdił mordercą, ni katem;
 Wolno ci puszczać, lecz na mojej drodze
 Ile cię razy spotkam — zbledniesz w trwodze!

Z) Ułamek

naśladowany z glosy św. Teresy.

(W wrywkach).

Napisany prawdopodobnie r. 1846, ogłoszony drukiem r. 1852.

675) Przed życiem czuję — nie przed śmiercią — trwogę,
 Bo takie światy widzę tam, przed sobą,
 Że mi ten ziemski grobową żalobą
 I tem umieram — że umrzeć nie mogę.
 Umrzeć lub cierpieć — a cierpieć bez miary,
 Bo mnie się z Tobą trza zlać w Twojem niebie,
 Lub, gdy nie można — żyć w piekle dla Ciebie!

Ślij mi więc męki, jak niebieskie dary!
 Im sroższe będą, tem mi więcej błogie —
 Ja przed spokojem tylko czuję trwogę
 I tem umieram, że umrzeć nie mogę.

Jednej ulgi na moje męczarnie,
 — A jedna tylko i «Śmierć» się nazywa —
 Śmierci dać sobie nie zdolam bezkarnie...
 O, bardzom Panie, bardzom nieszczęśliwa!
 Tę jedną szczęścia Tyś zamknął mi drogę!
 I tem umieram, że umrzeć nie mogę.

Czasem Cię tylko widuję w widzeniu,
 Lecz ty nie raczysz długo ze mną zostać,
 Wnet niknie bożo-człowiecza Twa postać
 I w gorszem jeszcze konam znicstwieciu.
 — Przed chwilą byłam w wieczności rozlana —
 — Nikt nie rozeznalby sługi od Pana —
 Ty, Bóg, Ty dla mnie stawałeś się mały,
 A ze mnie, malej, wyrastał Bóg cały!
 Tyś się zamykał w mem sercu, jak w grobie —
 — Jam się, jak bezmiar, szczyła ku Tobie!
 Przez nieskończoną Laski zezwolenie
 Stwórca przechodził na chwilę w stworzenie —
 Stworzenie w Stwórcę — przez jedno westchnienie.

Im bardziej tęsknię, tem kocham goręcej,
 Im więcej męki, tem miłości więcej
 W tem piekle bożem bożego kochania,
 Gdzie Twa obecność mnie nawet rozrania —
 Bo chwilą później Tyś znowu daleki
 I, nim powracasz, upływają wieki!
 Bez Boga mego — a z Boga wspomnieniem —
 Leżę na ziemi grobowym kamieniem,
 A pod tym głazem mej niewzruszoności
 Smutek przejada do szpiku me kości!
 Żądam bez miary — miłuję bez granic —
 Miłość i żądza nie zdaly się na nic —
 Zmieniom cała w jedno upragnienie,
 Lecz twojej woli w tych chwilach nie zmienię;
 Pan nieśmiertelny nie zstąpi do sługi,
 Aż kiedyś — kiedyś — znowu po raz drugi...
 I mimo Twoją, o Ty mój, przestrogę
 Ja tem umieram, że umrzeć nie mogę!
 Albo Ty myślisz, o Ty wieczny, żywy,
 Że Ciebie kocham za przyszłe nagrody,

Za obiecane w królestwie Twem gody,
 Za palny — harfy — i cuda — i dziwy —
 Za jakąkolwiek bądź w niebie zapłatę,
 Którąbys spłacił mi dni mych utratę?
 Ja kocham Ciebie — żeś był nieszczęśliwy,
 że przebolełaś tu wszystko, co boli,
 że zniosłaś wszystko, co tylko poniża,
 Ty, Bóg, w kajdanach cielesnej niewoli,
 Ty, Bóg, przez katów prowadzon do krzyża!
 Ja Ciebie kocham, że Cię o tej chwili
 Niebo odbiegło i ludzie zdradzili —
 Ja Ciebie kocham — żeś był przymuszony
 Wolać do Ojca: «O, Jam opuszczony!» —
 Ja Ciebie kocham za Twoje konanie
 I za śmierć więcej, niż za zmartwychwstanie!
 Bo mi się zdaje, że Ty zmartwychwstały
 Nie tyle biednej potrzebujesz sługi;
 Już wtedy służy Ci Twój wszechświat cały,
 Stopą powietrzne przelatujesz smugi...
 Lecz, kiedy konasz, mnie się wiecznie zdaje,
 że wracam duchem w widziane już kraje,
 że oglądałam już wprzód to wzgórze
 I krzyż ten, zbroczon w krwi Twojej purpurze,
 że Magdalena, ta święta, Twa miła,
 Co tam tak jęczy — to ja chyba była!
 Bo w sercu mojem jej serce mi płacze,
 Bo drżą mi w oczach wszystkie łzy jej oka
 I rozpacz moja tak straszna, głęboka,
 że być nie mogą dwie takie rozpacz!
 Nie — ona Ciebie więcej nie kochała! —
 Ja wiem, że ona wielka, a ja mała,
 Bom mniej czynami Tobie zasłużona —
 Lecz więcej Ciebie nie kochała ona!
 Jakżeż to będzie, mój Panie, mój Boże?
 Jakżeż rozdzielił sądem Salomona
 Tą jedną miłość między te dwa łona?
 — Bo dwóch miłości być takich nie może!

Nie — Ciebie więcej nie kochała ona!
 Raz tylko w życiu na gołgockim pyłe
 Leżała w płaczu, krwią Twoją zroszona —
 Raz jeden tylko, — a ja razy tyle...
 Bo co noc prawie dla mnie się odtwarza
 Kalwaryjskiego przytomność cmentarza!
 I z poza wieków upłynionych tyła
 Wraca ta do mnie zobecniona chwila,

W której, śród niebios i ziemi zaćmienia,
 Zmarł Wszechstworzyciel wobec wszechstworzenia;
 Aż padnie z zorzą pierwszy promień dzienny.
 Widuję w celi tej krzyż Twój męczennny
 I na tem drzewie oglądam Twe ciało,
 Ostatkiem światła jeszcze tłące biało,
 Gdy wszystko wokół, jak w grobie, szerniało.

Ty i ja, Panie — nikt więcej — my sami —
 Tak bliżcy siebie, a tak rozdzieleni —
 Bo ja tu w dole, pod Twemi stopami,
 A Ty nade mną, w tej strasznej przestrzeni,
 Do kłód tych z cedru przybity gwóźdźmi!
 Zrazu ja kłęczę w milczeniu — a cała
 Drgająca ciałem od mąk Twego ciała;
 Kolcuja w skroniach mi kolce Twych skroni,
 Rwą mnie w mych dłoniach żelaza Twych dłoni —
 W boku mnie szarpie boku Twego rana —
 I, choć tu-m w dole, takem z Tobą złana,
 Żem z Tobą w górze tam ukrzyżowana!

Ż) Oblężenie Wiednia w 1848 r.

676) Nad miastem chmury apokaliptyczne,
 W mieście waśń, ogień, gwałt, mordy uliczne,
 Wiedeń się trzęsie i tarza i żyma,
 Krzyczy «Ratunku, bo biada mi, biada!»
 A grzmot Wiedniowi z nieba odpowiada:
 «Na dziś, o Wiedniu, Sobieskiego niema!»

I noc się wzmaga — nie będzie już rana;
 Wiedeń zbladł, jęknął — i padł na kolana —
 Z nalogu patrzy obłędu oczyma
 W stronę łask polskich, w Kalenbergu stronę,
 Lecz w wichrach tylko słyszy powtórzone:
 «Na dziś, o Wiedniu, Sobieskiego niema!»

Thum, zgiełk, strach; ludu pienia się bałwany —
 Węgry, Włochowie, Słowianie, Ormianie;
 Wewnątrz i zewnątrz murów stronnictw parcie,
 Spoju tych pleniom sądne wszechzrodzanie,
 Szklanne bagnetów pryskających dźwięki,
 Gwizd bomb, brzęk siekier, świst kos, dzwonów jęku —

Druga odnętą ginąca Solima
 Za mord proroków, za obłąd swych grzechy!
 I wciąż wichrowe śpiewają oddachy:
 «Na dziś, o Wiedniu, Sobieskiego niema!»

Krew, krew, krew — płomień, płomień, płomień tylko!
 I z każdą coraz pewniejszy zgon chwilką,
 Zgon bez zmartwychwstań, ten, co wiecznie wnika
 Po niewdzięczności dniach w pierś niewdzięcznika.
 Perzyn zasłona naokół się wzdyma —
 Dzieci i starce, męże i niewiasty
 Pospołem leżą, jak skoszone chwasty;
 «Na dziś, o Wiedniu, Sobieskiego niema!»

Co innych zbawia, znieść tego nie może
 Ta, bez ojczyzny, niemiecka Sodoma!
 Wolność, jak pożar, w jej wnętrznościach gorze
 I od wolności pójdzie w dym, jak słoma.
 W gruz dom po domie — wśród min i dział huk
 Pałaców głązy sypią się do bruku,
 Gdzie tan był skocznik, fletów syk wesoly,
 Jutro pustynia i czarne popioły,
 Skończonych dziejów jutro będzie zima —
 Lody wieczności — bożych gniewów znamie!
 Żadnych już zbawców nie zbawi cię ramię —
 «Na dziś, o Wiedniu, Sobieskiego niema!»

(15 października 1848 r.).

Ż) Do Elizy.

677) Jam marzył niegdyś, żem na potęg szczycie,
 Jam czuł się w natchnieniu nieskończonych niebie,
 A jednak w niewecz przemarnim życie
 Dlatego tylko, żem nie kochał ciebie.

O, biada sercom, którym się wydaje,
 Że grzechu żary młodości płomieniem —
 Bo sperzynięją ich nieba i raje
 I gorzyc wieczna będzie im istnieniem!

O, biada sercom przenamiętym — zginą!
 Bo, choć i anioł zstąpi do ich doł,
 Przyszłość ich struta, przeszłość ich jest winą
 I samo szczęście anielskie je boli.

O, biada sercu mojemu, że żyło
 O cierpkim, szalu lżą zroszonym, chlebie!
 Mów mi, jedyna dziś duszy mej sito,
 Czemu ja dawniej nie kochałem ciebie?

Od twej urody szły jakby promienie —
 Czemiś, w postaci już wyaniałem,
 Świeciłaś oczom, jak świeci widzenie —
 Czemuż ja dawniej ciebie nie kochałem!

Wyższy od ziemskich mętów nawalnicy,
 Spokój preczysty na twem czole białem
 I przenajśłodsza zręczność w twej żrenicy —
 Czemuż ja dawniej ciebie nie kochałem!

Lecz kiedy słyszysz ujarzmionych dzieje,
 Wnet błyskawica mknie z ócz twych kryształów,
 Każden rys twarzy twej bogatyrścieje —
 Czemuż ja dawniej ciebie nie kochałem!

Znać, duch twój bolem nieskończonym ranny,
 Znać, dłońby twoja z świętym jęła szaleem
 Za miecz rycerskiej z Orleau Panny —
 Czemuż ja dawniej ciebie nie kochałem!

Hełm jejby przypadł do kręgu twych skroni,
 Oko twe błysło jej ócz światłem całem,
 Głos twój jej glosemby wołał: «Do bron!» —
 Czemuż ja dawniej ciebie nie kochałem!

I tak, jak ona, szłabyś aż do końca,
 Szłabyś, pod oszczerstw i krzywd ludzkich zwałem,
 Wciąż czysta, śmiała, ofiarna, milcząca —
 Czemuż ja dawniej ciebie nie kochałem!

O, bądź mi odtąd przewodniczką bytu!
 O, bądź mi odtąd piękną ideałem!
 Truciznym życia napil się do sytu,
 A za to tylko, że cię nie kochałem!

Skarb moich potęg mi się rozpadł na nic,
 Myśl się rozwiodła z natchnionym zapalem,
 Jam zgasł i przewiał od smętków bez granic —
 A za to tylko, że cię nie kochałem!

I nieraz patrząc rozpaczy oczyma
 W mą przeszłość, trupim leżącą powalem,
 Z której mi czynów nieśmiertelnych niema,
 A za to tylko, że cię nie kochałem!

O, spojrzij na mnie! — Tyś w górze — ja w dole —
Niech śmierć nie będzie na zawsze mym dziełem,
Dłonią mi z czoła zdejm żywota bole,
Bo już na wieki ja cię ukochałem!

Za to, żeś duszą, z światłości uwaną,
Ześ cała sercem, prawdą zamieszkałem,
Ześ przepadobną i niepokalaną,
Ach, już na wieki ja cię ukochałem!

Za to, żeś wzgardą na pyszne orężną,
A smętne kochasz czuciem wiecznotrwałem,
Ześ przeciw wrogom tchnieć boych ty mężną,
Ach, już na wieki ja cię ukochałem!

(W dzień św. Elżbiety, 19 listopada 1857).

Opracował BR. CHLEBOWSKI

LXXXI.

CIESZKOWSKI AUGUST

(1814—1894).

Urodził się 12 września 1814 r. «w wiedeńskiej rocznicy», co lubił przypominać, z ojca hr. Pawła i Zofii z Kiekich, których jedynym był synem, w Suchej na Podlasiu. O pierwszych latach brak nam zupełnie szczegółowych wiadomości. Chyba otoczenie, wśród którego upłynęły, mało stosunkowo od lat 90-ciu zmienione, powiedzieć nam może, że «sielskie, anielskie» być musiało dzieciństwo tego człowieka, który «patrzac na kwiaty doznawał rajskiego uczucia»; dzieje dalsze jego żywota domyślać się każą, że pod każdym względem dziwnie piękne było: dzięki harmonijnemu zestrojowi wpływów, bogactwu darów przyrodzonych i bujności ich rozwoju. Niezwykła to panować musiała atmosfera w tym dworze podlaskim, skoro w życiu duchowym młodego Augusta mogły trysnąć tak wcześniej potężne natchnienia, skoro wychowanie w tradycyjnej pobożności nie wykluczało u niego tej samodzielności zdania i swobody myślenia, bez której nie mógłby powstać plan poświęcenia się studjum nad filozofią niemiecką, tak powszechnie za bezbożną okrzykczaną.

Matka bardzo wcześniej odumarła Augusta (1818 r.). Ojcu więc wszystko miał do zawdzięczenia. Pan Paweł Cieszkowski, hodowca zamilowany a razem lubownik Włoch i ich sztuki; pełen energii administrator a przytem powiernik myśli genialnego syna, był zdolnym sprostać trudnemu zadaniu. To też nie tylko wychowaniem syna pokierować umiał najszcześliwiej, nie tylko od troski materyjalnej go zabezpieczył lecz zapewnił mu też swobodę potrzebną do wyłącznego poświęcenia się naukom; pierwszymi jego krokami kierował; postęp prac jego śledził, aż do samej śmierci u podeszłym wieku opatrzną otaczał go opieka.

Znamy piękny epizod z lat chłopcęcych Augusta Cieszkowskiego, chętnie przezeń wspomniany, epizod tem cenniejszy, że wprowadza w jego

życie postać Mickiewicza. W r. 1829 przybywa 15-letni August z ojcem do Karlsbadu, gdzie bawił podówczas twórca Wallenroda. Drząc z niecierpliwości, by poznać wielkiego poe'tę, którego dzieła najgłębsze na nim wywrzeć musiały wrażenie, wyrzeka się ojca i biegnie do mieszkania Mickiewicza, Puka do drzwi; słysząc odpowiedź, że można, przeraża się własną śmiałością; ale za późno się cofa. Whiega do pokoju; (jak zwykle w takich chwilach mało znaczący szczegół najślisniej go uderza: będzie całe życie pamiętał, że Mickiewicz palił fajkę). — I rzuca się na szyję Mickiewiczu, a z ust wyrywają mu się wiersze z «Wallenroda»:

«Do gdzie ma lecieć, po jakie rozkosze,
Kto poznał Boga wielkiego na niebie
I kochał męża wielkiego na ziemi?»

Koniec lat chłopiących przypada na sam czas powstania listopadowego. Wiemy, że ukończył gimnazjum w Warszawie na Lesznie, co nastąpiło może już po wybuchu. Z tych to czasów pochodzi pierwsza próba literacka młodego Augusta. Roku 1830 ogłoszono «Śpiew na nutę piosenki o maju», utwór jego pióra. Czas wojny przeżył on w Warszawie. Za węgły, by wstąpić do wojska, służył, jak mógł, sprawie narodowej. Pracował nad protokołami posiedzeń sejmiku. Brał też udział w zrywaniu szczerów na wałach Warszawy. Przed samem poddaniem opuścił stolicę i udał się do Krakowa. Tam też, zapewne tej samej jesieni 1831 r., rozpoczął studia uniwersyteckie.

Teraz brak nam ważnych danych chronologicznych. Jak długo młody Cieszkowski pozostał w Krakowie? Kiedy przeniósł się do Berlina, by oddać się studiom, które rozstrzygnąć miały o jego przyszłych losach? Nie wiemy. Są jednakże względy ka'zące przypuszczać, że nie później, jak na jesieni 1832 lub wiosną 1833 r. dostał się do Berlina¹⁾. I oto bardziej jeszcze, niż znać daty chronologiczne, pragnęlibyśmy wiedzieć coś o myślach i uczuciach młodzieńczego studenta, który znalazł się w najwybitniejszym może z ówczesnych środowisk umysłowych. — Nie pomylimy się chyba przypuszczając, że, jak wszystkich w owym czasie w Polsce, którzy myśleli głębiej i czuli goręcej, tak i Cieszkowskiego, gdy występował na uniwersytecie berlińskim, zaprzętało przedewszystkiem zagadnienie znaczenia dziejów i przyszłości przeznaczonych ludzkości. Wychowany w atmosferze wstrząśniętej jeszcze gromami wojen napoleońskich, uderzony dokonanymi świeżo w Europie przewrotami, a przedewszystkiem zapewne poruszony do głębi tragicznymi losami powstania listopadowego, na które patrzył z blizka, czy mógł młodzieńki marzyciel nie zagłębiać się w docie-

¹⁾ Mamy tutaj na myśli stronę manuskryptu dzieła «Ojciec-Nasz», dotycząca najwyraźniej ostatniego słowa Modlitwy Pańskiej, a datowaną: «1836 r.» Czytelnik w toku naszego opowiadania zrozumie jasno, że cztery lata to chyba minimum czasu, jaki między rozpoczęciem studiów w Berlinie a napisaniem owej strony musiał upłynąć.

kania, dokąd prowadzi ten wielki pochód rodu ludzkiego, którego ostatnie kroki poruszają w posadach Europę, którego jednym z ostatnich epizodów było ostateczne pogniębienie narodu polskiego i wymazanie go z pośród ludów żyjących?

Słotce idealizmu niemieckiego chyliło się już ku zachodowi, ale pełnym jeszcze jaśniało blaskiem. «Półbóg najnowszej filozofii», — jak go później nazwał Cieszkowski, — Hegel, zstąpił był właśnie do grobu, ale szkoła jego, nierozdwójona jeszcze, była jakby kolegium kapłańskim, poświęconem służbie tej wielkiej pamięci. To też młody Cieszkowski wkroczył z pewnością w krainę myśli Heglowej bez tych udręceń i trudności, które wielki człowiek współczesny, zdaje się, że zrozumieć wielkiego filozofa nie może. Filozofia Hegla była w powietrzu, musiał więc młody student doznać wszelkich słodyczy pracy wśród atmosfery sympatycznej, wymiany myśli, współności dążeń, którą w dzisiejszych czasach rozbitcia duchowego, wielu z nas zna tylko w przybliżeniu.

Z tem wszystkiem nauki prędko przestały dla niego być jednostronną tylko inicjatywą. Potężne instynkty wrodzone i doznane głębokie wrażenia nurtowały widocznie od początku tę bogatą naturę i oddziaływały silnie przeciw panującym kierunkom. Zimna jednostronność stanowiska wyłącznie teoretycznego, doprowadzona w filozofii Hegla do szczytu, prędko musiała zrazić syna narodu, który wszystkimi siłami rozkrwawionej duszy pragnął i wzywał zbawienia. Wymowna też jest bardzo rzeczą, że skrytykowała się zasadniczo rozbieżność między tym młodym Polakiem a szkołą Hegla w poglądzie na dzieje i w jaki wypowiedziała się sposób.

Jest niemy a przecie wymowny świadek walnej rozprawy, które się tu rozegrała. Egzemplarz wykładów Hegla o filozofii dziejów, który należał do Augusta Cieszkowskiego, — pokryty cały zakreśleniami. W filozofii historii Hegla brak Cieszkowskiemu przedewszystkiem — przyszości, — tego słowa, co tak czarownie ma brzmienie dla wszystkich pogłębnionych dobie obecnej. Następnie zgodzić się nie może, na owo martwe poprzestanie na sobie teorii, które, zdaniem jego, nie należy wcale do koniecznych wynalisków nauki Heglowej, chociaż było wybitnym rysem w osobistych poglądach mistrza. Tak dalece poznanie nie jest najwyższem przeznaczeniem ducha, że właśnie, gdy myśl dojrzeje, przekracza się sama i z siebie rodzi czyn. Oto wytyczne motywy «Prolegomenów do Historiozoofii», dziełka, które napisał Cieszkowski, jako student w Berlinie, pierwotnie po polsku. Kto wie, czy ono według pierwszego pomysłu autora, czem więcej być miało, jak sformułowaniu własnego zdania o filozofii dziejów Hegla. Lecz przeznaczenie czekało je wyższe.

Manuskrypt spisanych w Berlinie «Prolegomenów» wiezie młodzieńki autor do Stawisk, na wakacje. Pokazuje go i czyta ojcu. Następuje zdarzenie jedno z bardzo uroczystych, jakie dzieje świadomości ludzkiej mieć będą do zapisania, w każdym razie pamiętne

w rozwoju piśmiennictwa polskiego, w życiu Augusta Cieszkowskiego rozstrzygające. Ojciec, uradowany pierwszą filozoficzną pracą syna, wstępując z nim do kościoła parafialnego w Grębkowie, bo Bogu podziękować trzeba. I oto autor «Prolegomenów» odmówił dnia tego w owym kościółku podłaskim Modlitwę Pańską i wyszedł przejęty natchnieniem, które odłączyło go od końca życia przyswiecać miało, natchnieniem nie bardziej wzniosłem niż zachycenia innych naszych wieszczów, ni bardziej promiennem uczuciem, ale myślą dojrzałem, niewyczerpanie płodnym, niezrównanie bogatym w żywotne wynikiłości, natchnieniem nie tyle poety, ile prawdziwego mędrca i kierownika duchowego ludzkości. Oto wszystko, co, jako określenia syntetycznej epoki przeszłości, spekulatywnie wywydół, cokolwiek, jako absolutne przeznaczenie ludzkości, przewidział, ujrzał nagle doskonale wyrażone w siedmiu próbach pacierza, tego «testamentu Zbawiciela świata», a to ze wszystkimi cechami tego najwyższego zestroju woli, myśli i uczucia, który jest tylko duchowi religijnemu właściwy. Jeden tylko jest przedmiot tej przedwziewnej modlitwy, choć treść jej tak wszechstronna. Choć wyraz tak wielokrotny, jedna i ta sama idea przynosi zaspokojenie wszystkim potrzebom ducha. Bo niema tu formuły żadnej, tylko sama najwyższa forma życia sama się wypowiada. Modlitwa ludzkości o święcenie mienia Bożego, o nadejściu Jego Królestwa, o spełnieniu woli Bożej, o chlebie powszedni, ta sama za każdym razem myśl wyraża, tylko nadludzkim poczuciem Piękną, Prawdy i Dobra rozróżnioną w pojedyncze swoje żywioły i znaczenia, natchniona jest tą samą zbawczą ideą, której coraz pełniejszymi znowu wyrazami będą: odpuszczenie ludzkości jej win wiekowych, wyzwolenie jej z sidła pokusa, od panowania złego nieodłącznych, wreszcie jej wywabienie od samego złego.

Od owej pamiętnej godziny natchnienia wiosna zapanowała w duszy Augusta Cieszkowskiego, ale wiosna nie tylko czaru i upojenia, ale także wiosna niedomyślanej płodności i niewstrzymanego wzrostu. Ogrom pracy przyniosły następne lata, pracy nie tylko usilnej, lecz rozstrzelonej na pozór. Przeciż wprawne oko odkryje łatwo jedność ożywczej zasady, za którą sam autor zaręczył przed zgonem¹⁾. Jest ona w istocie swojej owem wiekopomnem słowem mądrości, które Hegel był wypowiedział, ale które Cieszkowski, człowiek innej krwi, innej tradycji i serca innego, wyrwał zwycięsko z wszelkich zacieknień i jedностronności Hegłowego stanowiska, na żywym duchu religii zaszczepił i w bujnej nivy życia wprowadził.

Na razie młodzieniec ze swem «proroczem światelkiem» w sercu powrócił na uniwersytet berliński. Na jak długo, nie wiemy, bo nawet roku owego natchnienia w kościele grębkowskim nie znamy. Tyle wiemy, że studia uniwersyteckie Cieszkowskiego trwać musiały lat

¹⁾ Na dwa dni przed śmiercią oświadczył wyraźnie synowi, że cokolwiek pisał, to gałązki jednego drzewa, którego pniem było «Ojciec-Nasz».

siedm. W lecie 1838 roku uzyskał bowiem stopień doktora filozofii w Heidelbergu. Oto co zapisał między innymi w swym manualiku: «Rok 1838 dość ważny dla mnie przez wystąpienie publiczne w świecie naukowym i przez podróż do Francji». «Ustalenie i rozszerzenie wielu znajomości w świecie naukowym». — Wystąpienie w świecie naukowym w owych czasach inny, jak za dni naszych, mieć musiało charakter. Życie intelektualne Europy nie wybujałe jeszcze w tak olbrzymim, lecz i bezkształtnym, jak dzisiaj, rozmiar, więcej w niejednym kierunku posiadało form organicznych. Pielegnowano je w kołach ciasnych mózgu, lecz dobranych, istniały prawdziwie rzeczywiste uczone i literatów, w których wszyscy oddziaływali na wszystkich. Wpływ życia duchowego na bieg spraw publicznych był też silniejszy, związek dziedziny politycznej z nauką wyraźniejszy, niż w naszych czasach specjalizacji, zwłaszcza we Francji, za mieszczańskich rządów Ludwika Filipa. — Piętno tych czasów noszą na sobie niewątpliwie pierwsze kroki Cieszkowskiego, jako publicysty, lecz silniej jeszcze odbijają jego ducha i wielkie zdobycze, jakie myśł jego już była dokonana. Nastąpił dla niego lata wędrowki, będące zarazem latami zdumiewającej prawdziwej twórczości. Dziesięć lat zajął ten okres jego żywota. Musiał to być okres największego szczęścia w jego życiu, bo nie tylko rozkwit jego myśli, lecz zarazem niezachwianej jeszcze wiary, że pełną zdoła świat współczesny torem zbawczych na wszystkich polach rozwiązań. Praca jego jest tak wielostronna w tym czasie i po tylu rozrzucała środowiskach, że trudno nawet dzieje tych lat po porządku opowiedzieć.

Rok 1838 zaznaczył się wydaniem rozprawy doktorskiej «De philosophiae ionicae ingenio, vi, loco», oraz owych napisanych od dawna po polsku, obecnie (wiosną 1838 r.) przerobionych na niemieckie «Prolegomena zur Historiosophie». W roku następnym wydaje Cieszkowski w Paryżu, gdzie bawił od jesieni 1838 r. chyba ku osłupieniu swych berlińskich przyjaciół, książkę z zakresu finansów: «Du crédit et de la circulation». Nie mniejsze, jak filozofów niemieckich, mogło zaś być zdziwienie i francuskich ekonomistów na widok dzieła, w którym autor do pojęć ekonomicznych z największą śmiałością stosował metodę filozoficzną i logiczne rozwiązanie trudności, z którymi walczyli, przynosił¹⁾.

¹⁾ Oto myśl Cieszkowskiego, — o ile podać ją można w streszczeniu: Pieniądz metaliczny porównać można do koidry, której używa kilka osób jedna po drugiej. Wystarcza ona póki nie przyjdzie chwila, w której wszyscy naraz uczują jej potrzebę. Bo pieniądz metaliczny nie pozostaje w żadnym rozumnym stosunku do wartości życiem ekonomicznym narodów objętych. Kryzys każda wydobyla na jaw tę dysproporcję. Każde przesilenie ekonomiczne zagnosis się przesileniem monetarnem. Ustanie to, gdy pieniądz przestanie być wartością jedną z pomiędzy wielu, a będzie wyrazem wprowadzenia, pod pewną miarą, w obieg — wszelkich istniejących wartości. Zatem pieniądzem przysłałości będzie — nie moneta, — lecz «bilet rentowy», nie będący w gruncie rzeczy niczem innym, jak listem zastaw-

Zimą r. 1838 na 39 i następnie lato spędził Cieszkowski w Paryżu a także bawił w tym czasie, jak się zdaje, w Anglii. Wiemy następnie na pewno, że w jesieni 1839 r. był w Medyolanie, a na Zielone Świątki 1840 r. w Wenecyi, i w tym samym roku powrócił do Warszawy, gdzie wkrótce po powrocie przyłożył rękę do założenia «Biblioteki Warszawskiej». W piśmie tem ogłosił szereg artykułów, które świadczą najlepiej o niesłychanej wszechstronności tego umysłu i o tem, jak bardzo poważnie i dosłownie autor «Prolegomenów» pojmował «filozofię praktyki». I tak po «Rzeczy o filozofii jodńskiej jako wstępie do historii filozofii» (1841 r.) następuje artykuł «O ochronach wiejskich», potem «Uwagi nad obecnym stanem finansów angielskich» (1842 r.) a w następnym roczniku (1843 r.): «Organizacya handlu drzewem i przemysłu leśnego».

Tymczasem, za rządów Mikołaja I-go, stan rzeczy w Królestwie Polskim był jak najmniej pomyślny dla pracy publicystycznej, takiej zwłaszcza, o jakiej marzył Cieszkowski. Podobno bezpodstawne aresztowanie wpłynęło na jego zamiar opuszczenia zaboru rosyjskiego. Dość, że ojciec, ze swej strony pełen obaw przed możliwą zawsze konfiskatą majątku, zakupuje dla syna dobra Dobrzyń w Prusach Królewskich, skąd August Cieszkowski datuje w 1842 r. nową rozprawę, tym razem ściśle filozoficzną: «Gott und Palingenie». Rozprawa ta zawiera w jednym, coprawda przeważnym, szczególnie, przeprowadzenie tego, co zapowiadały «Prolegomena». Filozoficzne określenie Boga i uzasadnienie idei nieśmiertelności opiera tu autor na istocie czynu, działalności z siebie występującej. Rozprawy tej niestety połowa tylko się zachowała, mianowicie «część pierwsza, krytyczna». Manuskrypt części drugiej spalił w Warszawie, w chwili obawy przed rewizją, nie kto inny, tylko Zygmunt Krasiński¹⁾.

Stosunki ze światem naukowym niemieckim nie doznały więc żadnego uszczerbku. Świadczy o tem wymownie powyższa rozprawa, a wymowniej jeszcze ta okoliczność, że w 1843 r. wystąpił Cieszkowski z nową myślą w Berlinie. Wraz z prof. Micheletem, sławnym później jako «ostatnim z hegelianów», założył Towarzystwo Filozoficzne. Kto przeniknął Cieszkowskiego, pozna od razu, że to znoucn cel był wyższy, i myśl przewodnia sięgała daleko. Wielkie odrodzenie świata

nym, posiadającym kurs nie «przymusowy», broń Boże, lecz legalny. — Notujemy tu, że w jesieni 1907 r. podczas groźnego, ówczesnego przesilenia poruszone w Niemczech myśli, by banki za wzajemnem porozumieniem przyjmowały wprost, zamiast gólowki, pewne papiery hipoteczne. Po latach 70-ciu za myślą Cieszkowskiego twarzą rzeczywistość przemówiła, jak się zdaje, sama! Poczekajmy, co przyniesie przyszłość.

¹⁾ Coś z treści owej części drugiej zachowało się zapewne w rękodziele dzisiaj bardzo pismie Micheleta «Über die Zukunft der Menschheit und die Unsterblichkeit der Seele» wyd. 1852 r. w Berlinie. Jest to dyalog filozoficzny, w którym Cieszkowski występuje jako «wschodni przyjaciel Teleofanczy» i naukę swą o nieśmiertelności duszy wyklada. Wywody jego zajmują stron przeszło 30. Dokument to zatem nie pozabawiony wartości.

które było całą treścią jego przekonań, wykwnąć mogło tylko z podniesienia świadomości ludzkiej na wyższy poziom, z ostatecznego zapanowania myśli samej nad sobą. Narzędziem tej odbudowy, organem tego ostatniego i najwyższego trudu filozofii miało być niewątpliwie Towarzystwo Filozoficzne.

Lecz autor dzieła «Du crédit et de la circulation» ciężyć musiał z natury rzeczy przedewszystkiem do Francyi, jedynej w tym czasie kraju, na łdzie stałym Europy, posiadającego urządzenia konstytucyjne. To też Cieszkowski myślał poważnie o postawieniu swej kandydatury do Izby francuskiej. Czemu to nie doszło do skutku, nie wiemy, ale tej przelotnej okoliczności zawdzięczamy jedno z najcenniejszych pism jego: «De la Pairie et de l'Aristocratie Moderne». Jak w piśmie «Du Crédit et de la Circulation» śmiało wkroczył z metodą filozoficzną w sferę ekonomii politycznej, tak tutaj z mistrzowską iście swobodą poddaje pojęcia polityczne pod wieczne prawidła myśli i, omawiając sprawę bieżącą, genialnie rozwija poglądy na potrzebę organicznego powiązania sił społecznych i harmonijnego ich działania, podając zarazem najdokładniej przemysłany projekt reformy Izby wyższej, któryby utworzyła z ciała prawodawczego o roli nieokreślonej żywy organ w ciele politycznym.

W roku 1845 miał Cieszkowski w brandenburskim Towarzystwie rolniczym wykład: «O poprawie doli robotników wiejskich», którego myślą przewodnią jest przyznanie robotnikowi udziału w dochodach, by tego «wolnego najmitę» wciągnąć w łączną organizację społeczną. — Rok zaś 1846 przynosi artykuł w «Bibliotece Warszawskiej»: «O romanis nowoczesnym». — Tymczasem z biegiem lat zaszły zmiany w zewnętrznych warunkach życia Cieszkowskiego. Wskutek niechęci młodego filozofa do zawiadywania rozleglejszemi dobrami, przorszy ojciec sprzedał był Dobrzyń a kupił niewielki, dogodnie, bo pod samym Poznaniem, położony majątek, Wierzenie. On sam za jednej ze swych bytności we Francyi, nabył posiadłość ziemską w Prowancyi i lubił tam przebywać¹⁾. Za pańską lub romantyczną poczytać by to można fantazję. Ale Cieszkowski skorzystał z tego po swojemu. Roku 1847 wybrany został delegatem departamentu Alp Niższych na Centralny Kongres Rolniczy i przedłożył tam raport o organizacyi kredytu ziemskiego. W rezultacie jemu i Wołowskiemu miała Francya do zawdzięczenia dojdzie do skutku tej organizacyi.

Lecz cała ta działalność młodego myśliciela w jego 10 latach wędrówki, choć sama w sobie bardzo wielostronnej i natężonej dowodzi pracy, przeciw zewnętrznej tylko była stroną jego usiłowań, życia jego zawierała tylko połowę. Wewnętrzna ośnów jego życia stanowiło, myśl jego zaprzatało przedewszystkiem dzieło, z którym imię jego najnierzeczwalniej pozostanie związane, a tem dziełem jest «Ojce-

¹⁾ Dla pamięci przyszłych biografów Cieszkowskiego zapisujemy tu, że kupno posiadłości w Champiercier nastąpiło w lecie 1846 r.

nasz». Zaczęte ono zostało, jak autor synowi wyjął przed śmiercią, w sam dzień, w którym ewangelista natchnienia w grębkowskim kościele dostąpił. W jakim porządku i w jakim czasie odstępach powstawały pojedyncze części, nie wiemy. Nie może też być naszym zadaniem na tem miejscu o chronologii jego tworzenia szeroko się rozwiódzić. Dla ogólnej orientacji wystarczyć dwie pewne daty, które posiadamy: rokiem 1836 datuje autor jedną z kart rękopisu, a dotyczy ona ostatniego słowa Modlitwy Pańskiej: Amen. Przypuszczać więc należy, że już w 1836 r. ukończył przynajmniej jakiś ogólny zarys dzieła. W roku 1848 wychodzi w Paryżu tom pierwszy, napisany za namową Zygmunta Krasińskiego, jako wstęp do rzeczy skreślonej poprzednio. Ten więc rok słusznie za rok zakończenia dzieła w jego dzisiejszej formie i ośnowie uważać możemy, w tem tylko zastrzegając, że przez całe życie autor powracał do niego i manuskrypt dodatkami wzbogacał.

Co przedwzyszkim uderza, gdy się zwąży, że jakkolwiek rzecz się miała z pisaniem pojedynczych części, dzieło powstawało około lat 15, to niezmierną potęgą koncepcji pierwotnej, która sprawiła, że od początku do końca dopatrzyć się nie można najmniejszego wahan, najmniejszego zbrocenia od wytkniętej drogi. W owym wstępie napisanym po dziele samem, żadnego nie znać przymusu, który tak bardzo byłby zrozumiałym w trzydziestokilkoletnim człowieku, mającym wziąć na swą odpowiedzialność myśli, rozwinięte w pierwszych latach studiów. Owszem, z największą swobodą i najgłębszem przekonaniem powraca on do tego, skąd wyszedł, do filozofii dziejów, i «Ojcie-Nasz» w pierwszym swoim tomie przedstawia się jakby tylko rozproszanie «Prolegomenów». Dowodzi to zarazem, że to dzieło, będące z jednej strony gwałtownym wylewem uczucia, będące tykrotnie jakoby natchnionym hymnem, lub apostrofą proroka, jest zarazem w pełnem znaczeniu tego słowa filozoficznym systemem, doskonałe świadomością prawideł myśli, panującym najzupełniej nad swą treścią, znającym uprawnienie i stanowisko swoje.

Jest to, правда, system ucznia Hegla, a powód to w dzisiejszych czasach do nieporozumień bez końca. Starajmy się z góry wykluczyć niektóre: niema tu już mowy o poszukiwaniu «religii w granicach czystego rozumu», bo dla następstwa Hegla, ani religia ani czysty rozum «granic» nie posiadają. Ani na zakrośne rozgraniczanie pewników wiedzy od idealnych postulatów praktycznego rozumu miejsca tu już nie ma. Bo oto «rekonstytucja, okres zwycięstwa i restauracji wiedzy objawi się wkrótce, aż wreszcie święte przymierze teoretycznego i praktycznego rozumu, wiary, filozofii i życia istotnie na jaw wystąpi i nad dalszemi dziejami ducha świata obejmie przewodnictwo»¹⁾.

Ani cienia tu niema frazeologii lub niejasności. Warunki tej rekonstytucji są dane; bo, odkąd myśli ludzka odkryła swoje własne zasadnicze prawa, zdolna ona każdemu zwaładnąc pojęciem, każde wnieść

¹⁾ «Gott und Palingenesis» str. 94.

na wyżyny prawdy i doskonałego zrozumienia, czy myśli teoretyczna, czy świadomość moralna, czy wreszcie Objawienie Boże jej go dostarczyło. Dla wszelkiej świadomości nadeszła chwila ostatecznego uświadomienia; skoro raz wiedza samej siebie istotę poznała, nie może już moralność pozostać na oderwanych wyżynach, lecz zrozumieć winna sama siebie, jako idea przewodnią rzeczywistych obowiązków; musi też treść Objawienia Bożego ze stanu niepojętej «tajemnicy» przejść w doskonałą formę oczywistej i panującej «prawdy». Jak Hegel zniósł słupy graniczne między wiedzą skończoną a absolutną, tak Cieszkowski nie waha się usunąć martwego rozdziału między «przydroną» a «objawioną» prawdą, a to tak na korzyść jak i na rzekomo niekorzyść «czystego rozumu». Stąd ta swoboda z jaką w rozmowach teoretycznych wplata religijny punkt widzenia, z jaką nawzajem myśli religijna ujmuje w karby teoretycznej dyalektyki.

Jak niewymowną radość czuć musiał ten człowiek w owych godzinach skupienia i ciszy, w których wysnuwał ze swej myśli niedomyślane bogactwa, przejęty poczuciem, że przez niego wstępuje ludzkość istotnie na nowy i ostateczny szczebel dojrzałości duchowej, że odzywa się jako «zwiastun świętych postanowień Bożych». A przekonanie to nadto było głębokie, świadomość uprawnienia swego nadto jasna, pewność swej własnej myśli nadto niezawodna, by mogła się łączyć z najmniejszą lekkomyślnością w zamiarach, z najlżejszem zniecierpliwieniem lub pochopnością do zarozumiałego narzucania się światu. Jak mało Cieszkowski oddawał się złudzeniom, co do tego, czego się mógł bezpośrednio po swoim dziele spodziewać, jaki był z drugiej strony niezachwiany w przekonaniu o wielkiem jego przeznaczeniu, tego dowodem najlepszym, — że go nie wydawał. Ciekawą byłoby nam wyraz rzeczą dowiedzieć się czegoś o jego pierwotnych pod tym względem zamiarach, o wypadkach czy objawach, które na jego postanowienie wpłynęły, ale tego odmówił nam losy. Dość, że musiał on wczesnie uczyć wątpliwość, czy «czas nadeszły» na ostateczne wyjawienie jego myśli, ale ten skwapliwiej starał się imać «kierowania działaniem ludzkości» na tych polach, gdzie mógł to czynić, nie dając zgorszenia, nie przyczyniając się do zachwiania uczciwych przekonań, nie narażając się na to, że obwieści prawdę takim, którzy jej znieść nie będą mogli. Zatem potężne dzieło spoczywać będzie nadal w manuskrypcie, a jego autor poświęci swą uwagę ochronkom wiejskim, czy poprawie doli robotników rolnych, czy reformie finansów, wedle okoliczności, nie zważa się też przed oddaniem się zupełnem pracy politycznej. Zaparcie się siebie obok pewności siebie, na które staćby nie było każdego! Zarazem poczucie umiarkowania w działaniu i odpowiedzialności swojej za wpływ wyarty, godne wielkiego nauczyciela narodu. — Tymczasem odmówiwszy sam sobie sposobności oddziaływania na szerokie sfery, znalazł Cieszkowski w kółku nauzaufianych przyjaciół ucznia i poplecznika, który mógł mu za wiele wystarczyć. Był nim Zygmunt Krasiński.

Wszedł w bliższe stosunki ze starszym od siebie o dwa lata autorem «Nieboskiej Komedyi» i «Irydiona», w Medyolanie na jesieni 1839 r. Spotkanie nie było przypadkowe. Krasziński znalazł «Prolegomena», poznał się na ich wartości i listownie znosił się z ich autorem. «Wpływ Cieszkowskiego i jego rozprawy na Kraszińskiego, był ogromny», pisze St. Tarnowski: «w tym nieustalonym rozczynie i fermentie, jakim były jego ówczesne pojęcia, ona, ta mała książeczka Cieszkowskiego, stała się tą wpuszczoną w rozczyn nitką, około której zaczęły skupiać się rozłączone atomy, i układać się w kryształy»¹⁾. To też «Przedświt» dostanie się Augustowi Cieszkowskiemu z dedykacją, która brzmi: «Temu, który natchnął, natchniony». Filozoficzną podstawą «Przedświtu» i «Psalmodj Przyszłości» będą «Prolegomena» i znane Kraszińskiemu z rękopisu «Ojczę-Nasz», one będą też źródłem «Traktatu o Trójcy». Postać Cieszkowskiego, według jego własnego świadectwa, wprowadzi Krasziński do «Niedokończonemu poematu», jako Prezesa, w podziemiach weneckich. A tak poeta Kraszińskiego wniesie pierwsza do literatury polskiej pierwsiastki, z myśli Cieszkowskiego zaczerpnięte. Lecz bezpośrednio jeszcze przyczynił się Krasziński do wyjścia na jaw filozoficznych poglądów przyjaciela. On to, jak już zaznaczyliśmy, namówił Cieszkowskiego, by do dzieła, którego wydawać nie chciał, napisał wstęp, mogący drogi mu wyróżnić i naród przygotować na jego przyjęcie. Jemu mamy do zawdzięczenia powstanie tomu pierwszego «Ojczę-Nasz», będącego doskonałszem rozwinięciem tego, co zawierały «Prolegomena», mistrzowskim pod względem treści i formy wykładem doskonale dojrzałego systemu filozofii dziejów, pierwszym dziełem filozoficznym o wielkim zakresie i nieśmiertelnej wartości, jakie w polskim języku zostało ogłoszone. Książka wyszła bezimiennie w Paryżu 1848 r.

Tymczasem wypadki polityczne nowy miały przed młodym filozofem otworzyć zawód. Już zdarzenia 1847 r. w Pruszech, gdzie król 3-go lutego pierwszy raz rozdział sejmu zwołał, wzbudziły w nim widocznie nadzieję, że rolę polityczną, której dla siebie pragnął, będzie mógł wśród swoich odegrać. W tym bowiem roku przyjął obywatelstwo pruskie. Oczekiwania nie zawiodły go tym razem. Nadeszła wkrótce rewolucja marcowa i zwołanie pierwszego sejmu pruskiego, do którego wybrany został posłem z powiatu poznańskiego, wiosną 1848 roku. — Zawsze te same przy każdym ważniejszym epizodzie jego żywota narzucają się pytania, na które dzisiaj odpowiedzi dać nie umiemy, co do których może z czasem jakie szczęśliwe odkrycie choć w części zapokoi nas zdoła. Jak się w myśli Cieszkowskiego miała nowa jego polityczna karyera do owego wielkiego religijno-filozoficznego posłannictwa, które uważał za najświetsze swoje powołanie? Czy sądził jeszcze, że osobistem usiłowaniem zdoła kiedyś zdobyć dla swych przekonań uznanie, a pracą polityczną za przygotowanie do tamtego

¹⁾ «Zygmunt Krasziński» str. 307.

zadania uważał, czy też już wówczas patrzył na swoje dzieło jako na posiew, który sejdzie — kiedyś, później, zapewne po jego śmierci, a on tymczasem odda się wypełnieniu tego, co będzie obowiązkiem i pożytkiem na chwilę obecną? Jakkolwiekbydź nie brał się do politycznej działalności, jak zniechęcony marzyciel, lecz z całym zapalem i z gorliwością największą. Przez lat trzynaście należał do najbardziej wpływowych i czynnych członków koła polskiego, do posłów znaczących nie tylko w kole, lecz i w szerszych sferach politycznych Berlina. Jego studia i publikacje, jego stosunki w świecie naukowym tłómaczą to dostatecznie. To też nie dziwne, że nawet tekę finansów ofiarowano mu raz, ze strony rządowej. Cieszkowski nie przyjął, ale, jak mawiał później, cieszył się, że nie chodziło o ministerium oświaty, bo tego nie byłby umiał odmówić. August Cieszkowski pruskim ministrem! Przepuszczenie, które dziś na krwawą zakrawa ironią.

Ufajmy, że niedługo przed wydaniem mów jego ze stenogramów izby pruskiej poznamy ton, w jakim odzywał się w tem otoczeniu człowiek pełen przeświadczenia, że świat jutrzejszy w sobie nosi, pod jaką miarą i formą wprowadzał w rozprawy o rzeczach bieżących swoje ideały, których z pewnością nie zapał się nigdy ani jednym słowem, ten wielki teoretyk «wymiaru czasów». Nie tutaj miejsce kusić się o opis trzynastoletniej pracy parlamentarnej i politycznej Cieszkowskiego. Wspomnijmy tylko, że zaraz po rozpoczęciu ery konstytucyjnej w Pruszech, zainicjował założenie Ligi Polskiej, mającej być organem zespolenia sił, do jawnej i legalnej pracy narodowej. Nigdy może bezpośrednią nie było danem autorowi «Prolegomenów» i «Ojczę-Nasz» zastosować w życiu tego, co tam przepowiadał i stwierdził przez to samo żywotności i płodności tych teorii. W 1852 r. z największą usilnością starał się o uzyskanie uniwersytetu dla Poznania, by znów 1858 powrócił do ulubionych swych myśli «O ochronach wiejskich», przyczem starał się pouczyć rząd pruski «O zadaniach państwa pod względem dobrobytu ludowego i kultury».

W r. 1857 Cieszkowski należał do założycieli Towarzystwa Przejaciół Nauk Poznańskiego, którego został pierwszym prezesem. W tym samym roku ożenił się z młodszą od siebie wiele swą siostrą stryjcą, Haliną. Odtąd dom jego w Berlinie stał się tem bardziej punktem zbornym tak dla Polaków, jak i dla wielu przedstawicieli niemieckiego życia politycznego i intelektualnego. Tymczasem lata pracy poselskiej przerwały się nagle i w sposób nieprzewidzianie tragicznie. W roku 1861 umarła mu młoda żona, osierocając dwóch synów. Przedziwnie piękny i najtłkwiwszy musiał być związek już przez czterdziestoletniego myśliciela z tą młodą małżonką, która wniosła w jego życie to, czego nie zaznał poprzednio, straciwszy matkę tak wczesnie, rodzinie ciepło i słodycz niewieści. To też śmierć jej, choć po tak krótkim pożyciu, zlamala Cieszkowskiego przedwcześnie, straty tej nie przeobraził nigdy. Musiała być to dotkliwsza, że zaraz w roku następnym utracił ojca, który do końca powiernikiem jego, a w sprawach

materyalnych opiekunem być nie przestał. Właśnie kończyła się kadencja sejmu. O ile nam wiadomo, Cieszkowski przy nowych wyborach już swej kandydatury nie postawił. Przedsięwzięciem on jeszcze niejedno, ale niewyczerpana płodność lat młodych, wzmieszona i zawsze czujna inicjatywa dawniejsza, choć nie wygasną do końca życia, doznają przecież jakiegos przytłumienia. Nie będzie już Cieszkowski tym samym, co dawniej, człowiekiem. Zresztą nie w nim to tylko zachodziły zmiany.

Po wiosnianych podmuchach 1848 r. robiło się znów coraz zimniej i coraz bardziej ponuro w Europie, i zbliżały się szybko czasy, w których głos mied miały już tylko armaty Kruppa, a powodzenie dyplomatyczne rachunki Bismarcka, i w których «prześcigły dalekowiedz Królestwa Bożego», wychowany bądź co bądź jeszcze wśród blasków idealizmu, czad się musiał coraz bardziej zabłąkanym z obczyzny przybysem. Nie ulega wątpliwości, że pod one lata pożegnać się musiał August Cieszkowski ostatecznie z nadzieją walczenia osobiście za swoje przekonania i dojść do przeświadczenia, że «czasy jeszcze nie nadeszły dla niego. Dozwolonym nam się wydaje ten wniosek z okoliczności, że teraz, po śmierci żony, wycofawszy się z życia politycznego, losy swego dzieła przyszłości zostawił, a sam przyszłości poświęcił uwagę. Osiadł prawie na stałe w Wenecji i pokosiem najważniejszym następnych lat kilkunastu miały być «Fontes Rerum Polonicarum» z tamtejszego archiwum czerpane.

Okres ten jego życia, choć odkryty żalobą zwichniętej egzystencji i osierocenia, a także smutkiem niejednej zawiedzionej nadziei, nie jest przecież pozbawiony uroku i poezji. Wśród ciszy wód weneckich, wśród jej tęjących światła, wśród czcigodnych jej murów, znaczonych na każdym kroku runicznymi znakami dziejów, szuka ukojenia i pokoju niestrudzony dotąd bojownik za lepsze dla świata jutro i swe orle spojrzenie, którem «tak żywo widzi jutrzennkę Bożego słońca», odwraca z pogodą ku przeszłości i oddaje się służbie historii, tej mistrzyni życia. — Musiało się w nim w one lata coraz silniej odzywać przekonanie, że jeśli wstąpiamy bojem nie zwyciężył, bo żaden wróg nawet nie stanął do walki, to «siła wypadków niebawmie stwierdzi», że słuszność była po jego stronie. Lecz nie robił rachunku zapaleńców, po zgorszeniu żadnym zbudowania ani korzyści dla siebie się nie spodziewał; przeciwnie, uważał za sprzymierzoną każdą siłę, która na jakimkolwiek polu coś tworzy, wydaje coś organicznego i istniejący stan rzeczy poprawia. Pod tym względem usiłowania jego na schyłku życia tem są wymowniejsze, że wszelkiej nadziei podbicia w niedalekiej przyszłości świata dla nowego zakonu, którego był zwiaśtnem, wyrzekł się najwidoczniej. A tak żywot Cieszkowskiego przedstawia widok, na który złożyć się mogły tylko: najgłębsza mądrość i najpełniejsze wyrzeczenie się siebie.

W żalobnym roku 1863 po raz ostatni uchyla zasłony z dzieła

swego życia. Udziela Towarzystwu Przyjaciół Nauk prawdziwego klejnotu z tajemnego swego skarbca, udziela może tylko dzięki temu, że chce go złożyć na świeżej mogile ukochanej żony; odczytuje na posiedzeniu Towarzystwa swoje «O drogach ducha», właściwy wstęp do «Ojce-Naszu» napisany równie dawno, jak dzieło, widocznie w ostatnich latach z pomocą żony wykończony. Niezwykłe wdziękiem swej prozy, znakomite jasną dojrzałością myśli, nieocenione to dziełko zawiera to właśnie, co autor «Ojce Naszu», nie wyjawiając jeszcze całej swojej myśli, mógł pragnąć wyjawić współczesnym. Owa ograniczna wzajemność i spójność, której w związku Myśli ze Słowem, a Uczucia z Tonem najwymowniejse przedstawiał przykłady, a która zasadnicza jest wszelkiego życia cechą, objawia się już i objawiać się musi coraz silniej w rzeczywistych stosunkach coraz widoczniejszym «religijno-obywatelskiem Sztuk i Nauk uspołecznieniem», coraz doskonalszem dojrzywaniem prawdziwej wolności. Tem bardziej nieuniknienie nastąpić to musi, że jest to już dzisiaj dalszego postępu i pomyślności społecznej nieodzownym warunkiem. Oto owa «siła wypadków», którą chce teoretycznie określić, z którą następnie wszelkimi sposobami chce współdziałać Cieszkowski, a która sama przybliży godzinę, gdzie objawienie absolutnego jej znaczenia, jej ostatecznych celów i religijnego jej dostojęstwa samo się narzuci i konieczną potrzebą się stanie.

«O Drogach Ducha» rzuca jasne światło na całą przeszłość swojego autora, a zawiera jakoby program na resztę jego życia. Nie ustając w poszukiwaniach archiwalnych powróci 1866 r. znnowu do zagadnień ekonomicznych i ogłosi w «Journal des Economistes» artykuł «Sur l'extinction progressive de l'agiotage sur les fonds publics». Wkrótce potem wystąpi, tym razem w ojęzycznie, z inicjatywą na wielką skalę z zakresu gospodarstwa krajowego. Założył pod Poznaniem własnym kosztem «Wyższą szkołę rolniczą imienia Haliny w Żabikowie», instytucję, która wszelkie miała dane rozwoju i powodzenia, lat ośm z najlepszym skutkiem spełniała swoje zadanie i upadła dopiero pod brutalną ręką rządu pruskiego (1878 r.).

Jak ciekawem by było wiedzieć, jakie wrażenie wywarły na tego mędra doniesione wypadki polityczne, których tymczasem był świadkiem. Jak sądził wojnę włoską i jej skutki, co myślał o zwycięskich kampaniach pruskich, zakończonych upadkiem cesarstwa francuskiego a zjednoczeniem Niemiec. Przypuszczamy, że mniej był zaskoczony od wielu innych, bo że wraz z autorem «Przedświtu» od dawna był zdania, że «skupiony razem duch giermański już się nie rozprzęże — włoski to samo». Jeden fakt znamy, a czyn to, który cechuje Augusta Cieszkowskiego. Otóż po pogromie Francji, gdy zanosiło się na zawarcie pokoju frankfurckiego, napisał list do Bismarcka, w którym mu przedstawiał, że nie należy okaleczać Francji i dawał powód do nieprzejmowanej na przyszłość nienawiści, przez zabór Alzacy i Lotaryngii, że Niemcy powinny raczej anektować Algier.

List Cieszkowskiego na nie się nie przydał, wiadomo; ale czy dzisiaj już rzeczywistość nie przemawia za czynnym zawsze poszukiwaczem drogi polepszenia, a przeciw owemu geniuszowi krwi i żelaza, ostatniemu, jaki może jeszcze na miano geniusza zasłużyć? Bo nie mówią już o krzywdzie, jaką pokutająca przez lat tyle myśl odwetu wyrządziła i Francji i Europie, czy możliwość odpowiedniego rosnącym wciąż siłom kolonialnego rozpostarcia, dana Niemcom, nie byłaby oszczędziła nam zawziętej ich z Anglią rywalizacji, która dziś zagraża pokojowi świata i pochłania corocznie niestychające sumy, na tyle celów potrzebniejsze? Czy nie byłaby nawet może na wewnątrz zneutralizowała instynktów haniebnego egoizmu narodowego, który stał się w Niemczech istnym zapamiętaniem i zatrutą atmosferą Europy?

Ostatnim wypadkiem, który poruszył bardzo Cieszkowskiego osobie i do działalności na szerszą skalę, choć czysto prywatnej natury, go pobudził, było zwołanie Soboru Watykańskiego. Okoliczności z góry wykluczały wprawdzie, by w rezultatach soboru zbliżenie jakiego do jego stanowiska miało się zarysować. Przecież sobór miał rozstrzygnąć pytania pełne doniosłości dla możliwych na przyszłość myśli postępów, i rozwiązanie ich stanowić musiało o duchu, jaki przez następne pokolenie w Kościele katolickim miał panować. Najbliżę oczywiście obchodziła filozofa kwestya zdolności rozumu do poznania Boga. Pewne ustępy sławnego «Syllabus», z 8 grudnia 1864, budziły obawę, by zdolność tej sobór nie zaprzeczył, a przez to samo nie odmówił filozofii prawa istnienia i «świętego przymierza wiary, filozofii i życia» — nie podkopał.

To że wszystkie nerwy duszy zadrgać musiały w Cieszkowskim i pchnąć go do Rzymu. Stosunków, nieraz zażyłych, w świecie duchowym miał wiele, musiał ich sobie wówczas jeszcze przyporządzić. Szczegółów żadnych pod tym względem nie mamy, ale tyle nam wiadomo, że w kołach znanych sobie ówczesnego soboru myśliciel polski nieustrudzenie nad tem pracował, by im przekonania swoje zaszcześcić. I pod tym względem wypadki poszły mu po myśl. Na pierwszym swem publicznem posiedzeniu Sobór Watykański uroczyście ogłosił, że rozum może dojść do poznania Boga. Zapytany o swoje wrażenie, przez jednego z uczestników posiedzenia¹⁾, Cieszkowski odrzekł z wzruszeniem: «Prawda przemówiała!»

W roku 1872 Cieszkowski opuścił Wenecję i powróciwszy do kraju osiadł w Poznaniu, gdzie synowie jego do gimnazjum uczęszczać mieli. Zamieszkał tam w opustoszałym święto klasztorze PP. Sercanek na Wildzie, wówczas jeszcze za miastem zupełnie leżącym. Od tej pory liczyć możemy okres starości jego, chociaż starość śladów na nim nie zostawiała. Za młodu wawy i często cierpiący, jak świadczy jego dzienniczek, u schyłku życia nigdy nie chorował, dziwnych swych

przywyczażeń nocnej pracy i przechadzek, a snu krótkiego, do końca nie zmienił, do śmierci jasnością i świeżością umysłu się cieszył. To też starość jego dzwna opromieniała pogodą. Była ona zresztą tem, czem być musiała po takim życiu. A zatem tajemniczem obcowaniem: mędrca ze swoją myślą, której się sam poświęcił, a od której w zamian nigdy niczego nie zażądał poza tem, czem była sama; którą dziś znał już tylko on jeden, bo powiernicy lat młodych pomarli; w której złożył całą wiarę, nadzieję i miłość swego serca, w której widział posiew świata nowego, lecz którą w ukryciu chował. Już tylko dla przyszłości. Nie myślał się targać na opatrnościowiy wymiar czasów, żejścia swojej siejby sam doczekać się nie pragnął, jak ów wyznawca, który nie chciał patrzeć na cud, bo on i tak wierzył!

I życie jego pozostało tem czem było poprzednio. Mało już czynnym, bo nastaly czasy, w których tacy, jak on, nie mieli sposobu działania, a przecież czynnym zawsze, zawsze do pomocy chętnym wpatrywaniem znaków czasów, znaków postępu i udoskonalenia w jakiegokolwiek dziedzinie. W podessłym już wieku zwałił go kongres elektrotechników do Paryża, jak do Wiednia kongres wychowawczy, po którym zakupił natychmiast pod Preszburgiem posiadłość, dla założenia tam kolonii wakacyjnej dla dzieci. W Poznaniu stałym był uczestnikiem obrad Towarzystwa rolniczego; nigdy też go nie brakło na posiedzeniach Towarzystwa Przyjaciół Nauk i na żadnem zebraniu, gdzie chodziło o sprawy publiczne. Nie był to już coprawda ten niewyczerpany inicjator pełen nowych zawsze i twórczych w każdym zakresie pomysłów. Raczej niewyczerpany znowu w cierpliwości obserwator, który patrzy i czeka, a któremu nie się poboczem, nie blahem nie wydaje. Nie stracił też nigdy zamiłowania do dzieł sztuki, jak do dzieł naukowych i literackich. Niemal zebrał rzeczy cennych, a z każdej podróży nowe przywoził jeszcze nabytki. Zawsze ta sama przyswierała mu myśl postępu, podniesienia życia. Więc obok obrazów będzie skupował w świecie narzędzia rolnicze i wyroby przemysłowe, które mu się wydawały zdolne i godne zastosowania w ojczyźnie. — Jednej z ulubionych swych społecznych idei: asocjacyi, doczekał się on już niezwykłych na każdym polu triumfów. Drugiej, równie mu drogiej i równie dawnej myśli, udziału robotnika w dochodach przedsiębiorstwa, był do końca niezrażonym niczem szermierzem.

Wyznać należy, że w tym ostatnim okresie jego życia nikt rozumieć Cieszkowskiego, nikt znać go prawdziwie nie mógł, bo oto od lat dziesiątek, to, w czem wypowiedział duszę, leżało ukryte i autorowi tylko przystępne; a przecież instynktowy jakiś szacunek otaczał postać jego czcigodną. Te uczucia społeczeństwa dla sędziwego mędrca znalazły swój wyraz w 50-letnim jubileuszu jego pracy literackiej, spóźnionym coprawda, o lat kilka, lecz w pięknych urządzonym okolicznościach, bo podczas zjazdu prawników i ekonomistów polskich, ostatniego, jeżeli się nie mylimy, zgromadzenia tego rodzaju, do jakiego dopuściły władze pruskie w Poznaniu, a w którego obradach

¹⁾ X. biskupa Likowskiego, ówczesnego «teologa» arcybiskupa Ledóchowskiego na soborze.

on żywy brał udział. Z dziwnym uczuciem słuchać musiał starzec tych holdów składanych jego zastępom, których wielkości nikt z obecnych nie zgłębił, ani się nawet nie mógł domyślać. A przecież jest właśnie coś rzetelnego w tem nieporozumieniu i w tej czci, oddanej przez pól na wiara.

Śmierć sama, którą mu zwiastowało jakieś przecucie, uszanowała dostojność tego wielkiego ducha. Ostatnia choroba wycieńczała tylko powoli organizm, przytomności umysłu ani na chwilę nie dotknęła. W ostatnich dniach przed zgonem zajęty był jeszcze żywo sprawami dziełcami. I tak, porwał się z oburzeniem na nowe wówczas, pruskie przepisy szkolne rugujące język polski. Z największą też pogodą myśli przystępował do ostatnich sakramentów. Na operacje, proponowaną przez lekarzy, zgodzić się nie chciał. Był chory dawno i podpadły na siłach, a on jeszcze miewał o tem, co przecież wyłącznie prawie myśl jego zaprzętać musiała. Lecz nadeszła przecież wreszcie godzina, która istotnie dla niego «życia najwyższym wykwitom» być miała. Dwa dni przed zgonem, czując się już bardzo słabym, przywołał syna i wtedy po raz pierwszy mówić mu zaczął o dziele, któremu był poświęcił się cały. Oddając mu pozostały manuskrypt, tłumaczył, dlaczego «Ojcie-Nasz» nie wydane dotąd. «Czasy jeszcze nie nadeszły. Nie chciałem, aby, co miało być kamieniem budowy, stało się kamieniem obrazu». — Te słowa to cała prawda jego żywota, to szczytny wyraz jego mądrości, nauki jego jakby doskonałe streszczenie.

Ostatniej noc proszony, by modlitw nadto nie przedłużał, odezwał się do otoczenia: «Dla was nie tylko modlitwa, dla mnie praca całego życia». Umarł we śnie w porannych godzinach dnia 12 marca 1894 r., ten prawdziwy «nauczyciel bieglej w Piśmie i świadomy Królestwa Bożego». Powiedział on gdzieś, że «śmierć dopiero przynosi istne uwielbienie». Wierzmy, że na nim samym to się sprawdzi.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

a) W pięć lat po jego zgonie 1899 r., wyszedł w Poznaniu z rękopisu tom drugi «Ojcie-Nasz» — «Wezwanie», pierwsza rzecz pióra Cieszkowskiego, jaka się od lat blisko 40-stu w Polsce pojawiła. W r. 1903, wyszedł tom trzeci: «Świętę się imię Twoje»; w 1906 czwarty: «Przyjdź Królestwo Twoje». Dalszy ciąg manuskryptu, nie bardzo już rozległy, obecnie nie wydany jeszcze. — W r. 1905 wyszło wydanie trzecie tomu pierwszego, «Wstępu», oraz «O drogach Ducha» pierwotnego, jak wiemy, wstępu do dzieła, połączonych w tom jeden z nieprzerwana paginacją, równocześnie «O drogach Ducha» w osobnej odbitce. W r. 1906, drukował też syn autora w Paryżu tłumaczenie owego podwójnego wstępu na język francuski, dokonane przez siebie, oraz p. W. Gasztowita: «Notre-Père», tome premier. Introduction.

Z innych dzieł Cieszkowskiego oczekiwało się «Du crédit et de la circulation» trzeciego wydania, dokonanego przez samego autora

i w stosunku do dwu poprzednich (drugie wyszło 1846 r.) bardzo jeszcze wzbogaconego, w Paryżu 1888 r. W r. 1908 wydał w Poznaniu syn autora po raz drugi «Prolegomena zur Historiosophie», a równocześnie dokonane przez siebie tłumaczenie ich na język polski: «Prolegomena do Historiozofii». W tymże roku wyszło w Paryżu drugie wydanie «De la Pairie et de l' Aristocratie Moderne».

b) **Ważniejsze prace o Cieszkowskim:** 1) F. Zieliński: «Uwagi nad dziełem A. C.: Du crédit etc.» (Bibl. Warsz. 1841, I; por. Bagniewski, tamże 1841, II). 2) K. Libelt: «Prolegomena do historiozofii». (Pisma pomniejszych, V, Poznań 1891) 3) F. K. (rupiński): «Historia filozofii w zarysie», napisana przez A. Schwelgera, pomnożona dodatkami o filozofii w Polsce. (Warszawa, 1863, str. 450—456). 4) L. Caro: «A. C.» (Odb. z «Czasu», Kraków, 1893). 5) P. Chmielowski: «A. C.» (Ateneum, 1894). 6) St. Tarnowski: «Z powodu półwiekowej rocznicy», (Przegl. Polski, 1894, I). 7) Tenże: «Przegląd prac naukowych A. C.» (Roczniki Tow. Przyj. Nauk Pozn., tom XX, Poznań, 1884). 8) «Jubileusz A. C.» (tamże). 9) Fr. Krupiński: «A. C.» (Tyg. ilustr., 1894). 10) L. Dębicki: «Z teki dziennikarskiej». Serya druga (Kraków, 1895). 11) R. Koppens: «Ojcie-Nasz, Cieszkowski» (Przegl. Powsz. 1896, III). 12) Ka. dr. Hoza-kowski: «A. Cieszkowski: Ojcie nasz, Wezwanie», t. II. Wyd. pośm. (Odb. z «Dzien. Pozn.» Poznań, 1900). 13) W. M. Kozłowski: «Album biograficzne zasłużonych Polaków i Polek», (Tom I, Warszawa 1901). 14) Ks. Skrzydlewski: «Kwestya socyalna w Ojcie-Naszu» (Przegl. Kościelny, 1902, I). 15) A. Zółtowski: «Graf August Cieszkowski's «Philosophie der Tats». Die Grundlagen seiner Lehre und der Aufbau seines Systems». (Poznań, 1904). 16) L. Dębicki: «Portrety i sylwetki». Serya II. Kraków 1906.

A) Modlitwa wstępna.

(Z tomu trzeciego dzieła «Ojcie-Nasz», 1903).

678) Str. 3—6. Boże Ludzkości! Boże Ojców Naszych! Boże przyszłości Naszej! Stwórcu — Słowie — Absolutny — Przenajwiększy Duchu!

Twojej to chwale, Twojemu uznaniu, Twoich postanowień spełnianiu poświęciłem myśli moje.

Oto czas nadszedł, iż nie dojrzanym dotąd blaskiem Imię Twoje zajaśnieje, — iż prawdziwie Panowanie Twoje w Ludzkości nastąpi — iż Wolę Twoją absolutnie i harmonijnie wypełnią ujrzysz, — iż nowe dary na nieszczęśliwą dotąd ziemię zlejesz, — iż wywyższon będziesz w czci ludów, i spójniejszym się węzłem z nimi i ich samych z Sobą połączysz, — iż nareszcie, uwol-

niewszy śwint od panującego w nim rozerwania, — zetrzesz ostatnie szczątki ciężającej nad ludzkością winy i ostatnie skutki upadku zagładzisz.

Tej reintegracji, — tego postępu, — tego pojednania ze wszystkich sił wzywamy. Boże sprawiedliwy i miłosierny zważ cierpienia nasze!

Zapał serce, — oświeć umysł, — zahartuj ducha ludzkości, bo chociaż sama dąży już do wielkiego celu, jednak bez Twego przyczynienia się, osiągnąć go nie zdoła.

Boże Duchu Święty, który wymierzasz czasy i ważysz czyny ludzkie, dozwoliles mi pojąć, iż wielka godzina nadchodzi, — iż nowy otwiera się zawód.

Że gotuje się ludzkość do nowego a wielkiego dzieła Objawienia — i woła o nowe Zbawienie.

A jeżeliś mnie wybrał Boże na Zwiastuna świętych postanowień Twoich, kieruj opatrnie słowy moimi, aby właściwe w duszy ludzkości uderzyły struny.

Przeżo! jeżeliś znalazł łaskę przed Tobą, ześlij na mnie Ducha Świętego, abym napisał wszystko, co się działo na świecie od początku, — co było napisane w Zakonie Twoim, aby ludzie drogę znaleźć mogli, — a którzyby chcieli żyć ostatnich czasów, aby żyli¹⁾.

Bo choć ja żywo widzę jutrenkę Twego Słońca, jednak gruba mgła jeszcze zakrywa ją przed oczyma moich współbraci.

A lękliwie lub schorowane oczy jeszcze ją bardziej przyćmić i zakryć pragną.

Lecz słodki blask mądrości Twojej utłagodzi ich drażliwość, a promienie Twoje przedrą wszelką zasłonę.

I nie dozwól, aby błąd lub zła wola wykrzywiały myśli, któremiś mnie natchnął, — śmien bowiem głośno wyznać o Panie, że je wprost od Ciebie mam.

Bo nim jeszcze pod ścisłe rozumowanie poddać je zdołalem, już mi stały one żywo w przeczuciu mojem, z natchnienia Twego.

O ścisłości rozumowań ludzie sądzić będą, — ale czystości uczu i zamiarów Ty jeden jesteś świadkiem.

¹⁾ IV. Eadr. XIV, 22.

Dlatego ja wiem, że je od Ciebie mam, bo jakżeby mogło wyplnąć dzieło szatańskie z anielskiej miłości?

Ty nie mogłeś dopuścić zdradniczego natchnienia. — Bo się nie naigrawasz nigdy z tego co jest najświętszem.

Niedozwoliłbyś pieklu tak jadawitej wyzionąć ironii, i tak szatańskiem wstrząsć się pośmiewiskiem.

Ani rozumem nie obdarzyłeś nas dlatego, aby nas prosto w przepaść wtrącał.

* * *

Lecz gdyby to miało być dziełem zatracenia, — wstrzymaj rączej usta i pióro moje, i niech padną ofiarą zuchwalstwa mojego.

Poświęć mnie samego sprawiedliwemu gniewowi Twojemu, lecz nie dozwól, abym miał spólników upadku.

Poświęć mnie na wieczną ekspiację zuchwalości myśli, któraby zamierzyła zwichnąć potok objawienia Twego i targnąć się na zamiary Twoje.

Jeżeli to tchnienie nie jest Ducha Twego wyziewem, — jeżeli ten ogień nie jest słońca Twój prawdy iskierką, o Panie oszczędź tej nowej próby ludzkości.

Niechaj nie podniosę zwodniczego głosu, niech nie doczekam chwili wydania na jaw tego, co się jeszcze w głębi myśli żarzy, — niechaj nie będę przyczyną zgorzienia. — Niech ja sam jeden poniosę wieczną karę świętokradztwa.

* * *

Lecz raczej daruj o Boże temu zakłębciu. — Ty wiesz, że ono nie do Ciebie, lecz do ludzi się odzywa, bo do Ciebie byłoby tylko bluźnierstwem, dla ludzi zaś jest mojej duszy zapisem.

Bo Ty wiesz, że ja wiem, że piszę pod natchnieniem Twojem, ale tego ludzie wiedzieć nie mogą. Więc muszę im zapisać rękojmiej na Duszy mojej!

Bo Ty wiesz, że ja wiem, iż wątpić o tem byłoby dla mnie grzechem, bo gdybym o tem wątpił, w cóżbym wierzyć zdołał?

Bo czuję w sobie źródło Wiary, Nadziei, Miłości. A źródła te w Tobie mają swój pierwszy i wspólny początek.

Dlatego nie sobie przypisuję odkrycie prawd Twoich, ale darom Twoim.

Jam je tylko z Nieba wiary na ziemię świadomości przeniósł. — Jam je tylko uziemił.

To com w ducha mego zdziśnięciem miganiem proroczego światelka przewidział, to później w księgach podwójnego Objawienia Twego jaśniej zrozumiałem.

A w pracach mędrców dawnych i tegoczesnych, i we własnych badaniach znalazłem świadome tegoż potwierdzenie i utwierdzenie.

Niech teraz sądzą ludzie, boś Ty już osądził.

Pojednania, — postępu, — Żywota w społeczności Ducha ze wszystkich sił wzywamy. O Boże sprawiedliwy i miłosierny wżać cierpienia nasze.

Zgodne świadectwa Uczucia i Wiedzy jeszcze siła wypadków stwierdzi. O Panie przybliź ten trzeci kamień probierczy!

Tyle świadectw, i tyle rękojmi, — tak mocny głos wewnętrzny, i tak silne dzisiejszej nędzy ludzkości spólcucie... oto były bodźce moje!

Egzaltacya Twoja, egzaltacya Ludzkości, egzaltacya całej Natury... oto są Cele moje.

Zapalenie serca, — oświecenie Wiedzy, — zahartowanie Woli, kierowanie działaniem ludzkości... oto będą środki moje. Bodźce święte... cele święte... środki także święte.

Pobłogosław im Boże.

B) Ojczę-Nasz. Wstęp.

(Tom pierwszy, wydanie trzecie 1905).

Wstęp.

679) *Str. 3—6.* Święty Boże! cóż się dzieje w świecie? Jakże uroczu, jakże obrzydliwie razem! Zewsząd prawda się wykluwa, a kłamstwo przemaga wszędy. — Stroi się świat jakby na gody, przy pogrzebowem lkanu głodzonych lub mordowanych narodów. — Morze Rozkoszy — i ocean Cierpienia; a przy rozkoszy nuda, — rozpacz przy cierpieniu! — Powołani, obsiedli rozpustne życia biesiady, — a niepowołanym przekazali zgrzytanie zębów na ziemi, — a w ziemi wspólnie grobowisko, — bo

mędrcy tego świata wyrzekli, że dla nich u stolu żywota nie stało już nakrycia. — W sprawach publicznych prywatna, — w prywatnych zakazała. — Próżność się święci, — a cnota próżnuje. — Świeckie ramię zwszetczczało, — duchowne zgrzybiało. — Bożego słowa kaźden używa, — albo nadużywa, — ale nikt w niem nie żyje, ni ono nie żyje w nikim. — Braterstwo ludzi i ludów się głosi, — a Kainowe zbrodnie przeszły od ludzi do ludów. Tu postęp występkiem, — ówdzie występki postępkami! Tu życie silne a nikczemne, — ówdzie konanie nikczemne a silne. — A to życie pozorne, bo już zarażone śmiercią; — a tamto śmierć pozorna, bo już zapłodniona życiem! —

Oto przed nami nieprzypuszczane cuda przemysłu, — oto niedomyślane skarby nauki, — oto rosnące wciąż ślady olbrzymiej a gorączkowej pracy; — oto zbytki, o jakich nigdy Sybarytom się nie śniło, — oto siły jakich nawet wyobraźnia bajecznym Tytanom przypisać nie śmiała! — A przy tem wszystkim Lud i Ludy lakną, — pragna, — i jęczą wzdychaniem niewymownem! — Na cóż się to wszystko zdało? do czegoż to prowadzi? — Cóż opatrzyła nauka uczonych, — cóż zarobiła praca robotników, — co zakupiło złoto bogaczy, — co wywalczyło bohaterstwo narodów, — cóż obnyły nareszcie lzy tylu pokoleń? — Święty Boże! cóż się dzieje w świecie! —

— Dzieje się po raz drugi, to co raz — dopiero odbyło się w historii, — ale co już więcej się nie powtórzy, póki ludzkość ludzkością; rodu ludzkiego wtóre Przesilenie. Świat stary umiera, — a nowy się rodzi; — świat trzeci nastaje! —

Byćżeż to może! — nasz świat pełen otuchy, — w żywotne soki bogaty, — w zasoby odwieczne uzbrojony, — w drogi swoje zadufany; — ów świat tak silny, że sił swoich chętnie nadużywać zdoła, — tak uczony, że już ani wierz, ani nawet wątpli, — tak uczciwy z rachuby, — o ile uczciwość popłaca; — tak pewien siebie, że aż obojętny, — miałżeby już ustępować przed nowym światem w tej właśnie chwili, kiedy się sam zabiera tak wygodnie u siebie się rozgościć? —

Pomnijcie na ostatek dni starego Rzymu, na jego wiekową potęgę i dzielność, — na legiony jego nieprzewycięzione, — na praw jego zwarte sklepienie, — na wszystko złoto przez niego zdobyte, na wszystko zboże spływające corocznie ze śpichlerzów

świata całego, by karmić jego obywateli, tych panów świata; na jego drogi i wodociągi, — na jego trudy i igrzyska — na Fortunę Rzymską wreszcie, której żadna ani przedtem ani potem nie sprostała; — i powiedziecie sami: — kiedy takie słońce zaszło, jakieżby zajęcie nie mogło?... Pomnijcie też na Baltazarowe biesiady i na przerywające je przestrogi! Pomnijcie nareszcie na wyraźne przestrogi Zbawiciela, — na dni Noego i «na dni Lotowe». Wszakże i wtenczas ludzie «jedli, pili, żenili się i za mąż wydawali... kupowali i sprzedawali, sadzili i budowali»... i ufali w siebie «aż do dnia onego, w którym Noe wszedł do Korabia»... albo Loth wyszedł z Sodom¹⁾. — Pomnijcie więc i czuwajcie!

Miałżeby świat nasz zasłużyć na los Rzymu, albo na los Gomorry? miałżeby znowu potop jaki, — potop krwi albo ciemnoty osromocić naszą ziemię? —

O nie! — Potopu już nie będzie «na skażenie ziemi»²⁾. Mogą być klęski, — mogą być powodzie, — jeśli je sami rozpuscicie; a wtedy, jako ślepe uragany, porwać mogą ludzi złej i dobrej woli, — lecz ani ludów ani ludzkości nie osiągną one. A zapobiedz im, — od was samych zależy. — Bo spojrzycie, — wszakże wykształca się już różnobarwna tęcza z ludzkości ów znak ostatniego i wiecznego przymierza, — znak Spokoju i Poczieszenia! — Patrząc, a domyślcie się dróg i środków pańskich!

Znaczenie Modlitwy Pańskiej.

680) *Str. 14—15.* I nie tylko w absolutnych stosunkach Religii, ale nawet w innych ograniczonych zakresach, posiada ludzkość niejedyn pomnik, acz niższego rzędu, który krytyka pochodnią swoją zaiste oświecić może, ale któremu nigdy fałszywym blaskiem uwłóczyć nie zdoła. — W prawodawstwie np. zabytki starorzynskiego prawa dwunastu tablic, — albo też ustawy Jerolimskie, ów średniowieczny wyraz społecznych wyobrażeń Rycerzy Krzyżowych, — albo nareszcie za dni naszych wielki Kodeks Napoleona, — nie sąż to oczywiste drogokazy wytykające nam, wraz z wielu innymi, tor wiekiuisty, po którym wędrowała ludzkość? A schodząc jeszcze głębiej w tajniki po-

¹⁾ Mat. XXIV, — Luk. XVII.

²⁾ Gen. IX, 11. — Isai. LII, 9.

tożnego życia ludów, — ileż to wiekowej lub wiekiuistej prawdy tkwi nieraz w jakiej pieśni gminnej, której autora nigdy krytyka nie odgadnie, acz kusi się ciągle o odkrywanie prawdziwych Homerów; — a w której przecież, dlatego właśnie, że ją lud sobie przyswoił, słusznie upatrujemy istny wyraz żywota tegoż ludu.

Takie to pomniki, takich słów kilka nawet, wystarczają do wynagrodzenia strat, o jakie historyczna pamięć ludzkości, równie zawodna w dziecinistwie ludzi jak ludów, przyprawić nas kiedykolwiek mogła. Są one wyrazami kolejnych pojęć i stanów ludzkości, — wykładnikami jej żywotnego postępu. — Dziękujmy przeto historycznej Opatrzności, iż pomimo zagmatwania wypadków i zdarzeń (którego rozwiązaniem zajmuje się właśnie krytyka), raczyła nam zaopatrzyć całą drogę dziejową takimi pomnikami, których krytyka nigdy ani obali, ani podkopie; pomnikami, które nam żyjący organizm całości w zamęcie szczegółów objąć i zrozumieć dozwalają.

Takim to górującym między pomnikami, pomnikiem, taką gwiazdą pierwszego rzędu, oświecającą pochod ludzkości, a osobnem, sobie tylko właściwem, błyszczącą blaskiem, jest Modlitwa Chrześcijańska, — ów od pokoleń do pokoleń przekazany: O j c z e N a s z.

Str. 22. Zatrzymajmy więc w uwadze następujący wypadek: Modlitwa Pańska jest szeregiem prośb społecznych, — a więc wyrazem dążeń i potrzeb całego społeczeństwa. — Nadaną nam została przez samego Zbawiciela, aby nam wskazać istotne cele ludzkości i dać nam zarazem rękojmię ich dostąpienia, — albowiem rzekł: «Proście, a będzie wam danem», stanowi ona przeto istne objawienie Boże, — atoli objawienie nie tego co jest, lecz tego co będzie; — ani też tego, do czego pojedynczy chrześcijanin, ale tego, do czego cała Ludzkość dąży; — a tem samem jest nadzwyczajnem Proroctwem, wyższem nad wszelkie zwyczajne prorocтва i właśnie tem ważniejszym, że nie w kształcie szczegółowego prorocтва, ale w kształcie powszechnego domagania się, w kształcie społecznej prośby, światu udzielonem.

Str. 26—28. Zaiste, przedziwne i arcydziwne jest to objawienie przyszłości świata, udzielone nam w formie modlitwy i przez modlitwę. Pod wszelką inną formą byłoby niedołącznem

świata całego, by karmić jego obywateli, tych panów świata; na jego drogi i wodociągi, — na jego trudy i igrzyska — na Fortunę Rzymską wreszcie, której żadna ani przedtem ani potem nie sprostała; — i powiedziecie sami: — kiedy takie słońce zaszło, jakieżby zajęć nie mogło?... Pomnijcie też na Baltazarowe biesiady i na przerywające je przestrogi! Pomnijcie nareszcie na wyraźne przestrogi Zbawiciela, — na dni Noego i «na dni Lotowe». Wszakci i wtenczas ludzie «jedli, pili, żenili się i za mąż wydawali... kupowali i sprzedawali, sadzili i budowali... i ufali w siebie «aż do dnia onego, w którym Noe wszedł do Korabia»... albo Loth wyszedł z Sodomy¹⁾. — Pomnijcie więc i czuwajcie!

Miałżeby świat nasz zasłużyć na los Rzymu, albo na los Gomorry? miałżeby znowu potop jaki, — potop krwi albo ciemnoty osromocić naszą ziemię? —

O nie! — Potopu już nie będzie «na skażenie ziemi»²⁾. Mogą być kłeski, — mogą być powodzie, — jeśli je sami rozpucicie; a wtedy, jako ślepe uragany, porwać mogą ludzi zlej i dobrej woli, — lecz ani ludów ani ludzkości nie osiągną one. A zapobiedz im, — od was samych zależy. — Bo spojrzycie, — wszakże wykształca się już różnobarwna tęcza ludzkości, ów znak ostatniego i wiecznego przymierza, — znak Spokoju i Pocięzienia! — Patrząc, a domyście się dróg i środków pańskich!..

Znaczenie Modlitwy Pańskiej.

680) *Str. 14—15.* I nie tylko w absolutnych stosunkach Religii, ale nawet w innych ograniczonych zakresach, posiada ludzkość niejeden pomnik, akc niższego rzędu, który krytyka pochodnią swoją zaiste oświecić może, ale któremu nigdy fałszywym blaskiem uwłóczyć nie zdoła. — W prawodawstwie np. zabytki starorzzymskiego prawa dwunastu tablic, — albo też ustawy Jerolimskie, ów średniowieczny wyraz społecznych wyobrażeń Rycerzy Krzyżowych, — albo nareszcie za dni naszych wielki Kodeks Napoleona, — nie sąż to oczywiste drogaskazy wytykające nam, wraz z wielu innymi, tor wiekuisty, po którym wędrowała ludzkość? A schodząc jeszcze głębiej w tajniki po-

¹⁾ Mat. XXIV, — Łuk. XVII.

²⁾ Gen. IX, 11. — Isai. LIV, 9.

toznego życia ludów, — ileż to wiekowej lub wiekuistej prawdy tkwi nieraz w jakiej pieśni gminnej, której autora nigdy krytyka nie odgadnie, acz kusi się ciągle o odkrywanie prawdziwych Homerów; — a w której przecież, dlatego właśnie, że ją lud sobie przyswoił, słusznie upatrujemy istny wyraz żywota tegoż ludu.

Takie to pomniki, takich słów kilka nawet, wystarczają do wynagrodzenia strat, o jakie historyczna pamięć ludzkości, równie zawodna w dzieciństwie ludzi jak ludów, przyprawić nas kiedykolwiek mogła. Są one wyrazami kolejnych pojęć i stanów ludzkości, — wykładnikami jej żywotnego postępu. — Dziękujemy przeto historycznej Opatrzności, iż pomimo zagmatwania wypadków i zdarzeń (którego rozwiązaniem zajmuje się właśnie krytyka), raczyła nam zaopatrzyć całą drogę dziejów takimi pomnikami, których krytyka nigdy ani obali, ani podkopie; pomnikami, które nam żyjący organizm całości w zamęcie szczegółów objąć i zrozumieć pozwalają.

Takim to górującym między pomnikami, pomnikiem, taką gwiazdą pierwszego rzędu, oświecającą pochód ludzkości, a osobnem, sobie tylko właściwem, błyszczącą blaskiem, jest Modlitwa Chrześcijańska, — ów od pokoleń do pokoleń przekazany: Ojcze-Nasz.

Str. 22. Zatrzymajmy więc w uwadze następujący wypa-dek: Modlitwa Pańska jest szeregim prośb społecznych, — a więc wyrazem dążeń i potrzeb całego społeczeństwa. — Nadaną nam została przez samego Zbawiciela, aby nam wskazać istotne cele ludzkości i dać nam zarazem rękojmię ich dostąpienia, — albowiem rzekł: «Proście, a będzie wam danem», stanowi ona przeto istne objawienie Boże, — atoli objawienie nie tego co jest, lecz tego co będzie; — ani też tego, do czego pojedynczy chrześcijanin, ale tego, do czego cała Ludzkość dąży; — a tem samem jest nadzwyczajnem Proroctwem, wyższem nad wszelkie zwy-czajne proroctwa i właśnie tem ważniejszym, że nie w kształcie szczegółowego proroctwa, ale w kształcie powszechnego doma-gania się, w kształcie społecznej prośby, światu udzielonem.

Str. 26—28. Zaiste, przedziwne i arcydzielne jest to obja-wienie przyszłości świata, udzielone nam w formie modlitwy i przez modlitwę. Pod wszelką inną formą byłoby niedołącznem

i niestosownem. Jakoż modlitwa jest istnym nerwem chrześcijańskiego życia, — «ścianą wiary», jak powiada Tertulian, ciągiem ducha nateżeniem; człowiek modlący się jest człowiekiem pragnienia, — dążenia. Gdyby nam był Zbawiciel odsonił przyszłość w kształcie jakiegobądź prorocstwa, jakiegokolwiek bezpośredniego przyrzeczenia, byłoby to objawienie pozostało obojętne przed nami, jakoby martwa litera, byłoby spokojnie leżało na jakiej karcie Pisma Świętego, aż do chwili swojego spełnienia; a ludzkość byłaby równie obojętne i biernie oczekiwała tegoż trafunkowego zdarzenia, owej martwo obiecaney okoliczności.

Lecz Chrystus lepiej uczynił. Zawarł nam to objawienie w istnej spuściźnie swojej, spuściźnie która miała łączyć ludzkość z Bogiem przez wszystkie ciąg wieków ery chrześcijańskiej, która miała towarzyszyć każdemu dnowi, każdej czynności człowieka; gdyż modlitwa, jak dobrze powiedział Sw. Klemens Aleksandryjski, jest naszym obcowaniem z Bogiem¹⁾. Zostawił ją nam w żywym, acz dotąd zakrytym Słowie Modlitwy, — w ostatecznym Testamencie swoim, a testament ten do serc naszych złożył. Zażądał więc Chrystus, abyśmy sami gorącą chęcią naszą do wskazanego celu dążyli, abyśmy ten cel codzień, co chwila nawet przed oczyma mieli, dopóki nie nadejdzie owa wielka chwila dostąpienia go własnym Czynem, własną Zasługą. Bo nie dość jest żądać i prosić, — trzeba jeszcze samemu dostąpić, — trzeba przez się spełnić. Albowiem dopełnieniem samej Modlitwy jest Praca (*orare est laborare*).

Przez zwyczajne tedy prorocstwo byłby nam Chrystus tylko objawił, że to a to będzie, bo się tak Bogu podobało, — że to a to kiedyś nastąpi, acz równem prawem mogłoby nie nastąpić. Przez modlitwę zaś objawił, że to a to być powinno, bo to jest ludzkości niezbędną potrzebą, bo w istocie naszej i przeznaczeniu naszym leży, dostąpić tego celu. Nie wskazał nam wcale jak się to stanie, bo ów sposób stania się do wolnej woli rodu ludzkiego należy, — ale wskazał, że się stanie, bo to jest istnym jego przeznaczeniem. O co więc w modlitwie prosić nam kazal, to też nam przyrzekł i do tego sam nas zaprosił, tego nam każe dostąpić... A jeślić nam zaręczył, iż o cokolwiek Ojca w imię Jego prosić będziemy, to nam udzielonem zostanie, — jakimżeż

¹⁾ Stromata Lib. VII.

nie przejął nas zaufaniem w dostąpienie prośb przez niego samego poleconych, dosłownie przez niego samego nauczonych! —

Modlitwa więc Pańska, ów powszechny a jedyny Pacierz całego Chrześcijaństwa przekazany, jest istnem Objawieniem przyszłości, lecz objawieniem najwyższego i najdoskonalszego rodzaju, nie biernem ale czynnym. Nie przypadkowem, ale istotnem, objawieniem własnego dążenia i Postępu ludzkości. A tem samym jest większem nad wszystkie Prorocstwa, większem nad wszelkie przyrzeczenia lub nauki, — bo jest żywym Zakonem, nastrojeniem ducha ludzkiego ku dostąpieniu, — objawiającą Siłą i Wezwaniem, — Celem i Środkiem od razu! —

Chrystus w erze przyszłej.

631) Str. 43—4. Ale zaprawdę, — odsłaniając tajemnice przyszłości naszej, nie przynosimy ludziom nic nowego, — nic zgoła, coby im Zbawiciel już od wieków nie przyrzekł i słowem Swojem nie zaręczył. — Owszem, z niego ciągle bierzemy, aby dawać o nim przepowiedziane świadectwa¹⁾. Kto nowości jakiej pragnie, niech się uda raczej do mrowiska nowatorów tegoczesnych, może mu oni zadosyć uczynią. Znajdzie on u nich tkaninę fałszu i prawdy, ale wkrótce uzna, że co fałszywe to nowe, z siebie tylko wysnuli, a co prawdziwe to stare, od Chrystusa przejęli. — My tymczasem jako wierzymy, tak też świadczymy, że Chrystus istny Syn Boży, przyniósł rodowi ludzkiemu w dobrem poselstwie swoim (Ewangelii) wraz z prawami i obowiązkami dla Ery Zmartwienia, obietnice i zaręczenia dla Ery Pocieszenia. I dlatego świadczymy wraz z Pawłem świętym, że to imię Jezusa Chrystusa wywyższone jest i będzie nad wszelkie imię «które się mianuje nie tylko w tym wieku, ale i w przyszłym»²⁾. — Świadczymy, że w Chrystusowej Ewangelii znajduje się wszystko, cokolwiek ludzkości było i jest potrzebą, a to w najprzeźwiewniejszej harmonii — i że sprzeczności lub niedostatki, jakie w niej upatrzono, pochodzą tylko z nierozróżnienia czasów. *Distingue tempora et concordabit scriptura*. — A sama ludzkość niebawem, świadcząc o Chrystusie, lepiej niż słowem, bo Czynem własnym dopełniając tego do czego ją powołał, powtórzy o Nowym Zakonie to, co On sam

¹⁾ Jan XIV.

²⁾ Ephes. I, 21.

wyrzekł o dawnym: «Nie mniemajcie, abyśmy przyszli rozwiązywać zakon, albo proroki, nie mamy rozwiązywać, ale owszem spełniać»).

Historyczne powołanie Słowian.

682) (*Str. 248—251*). Zaprawdę — że gospodarzył ów Ród darami Bożemi. Jedne zakopał w ziemię, — drugie przefrymował. — Zapomniał on już wiele, — a nie nauczył się dosyć. — Co większa, nie zdołał on pod tyłowicznem i tyloplemiennem jarzmem, ducha narodowego uchronić od skazy; — i nie dziw, — bo też nie tyle nie kazi co uciwła, — jak znowu nie bardziej nie uszlachetnia nad wolność... — Omdlała u niego wytrwałość, znużyła się pracowitość, znikło umiarkowanie, nadwerżyła się trzeźwość, — zabobon przyćmił wiarę, — a ucisk ducha publicznego zniweczył. — Nakoniec, udało się ciemierzcom, — a to najboleśniejsza, — tu spodił, — ówdzie rozbestwił niektórych!... — Ale Bóg wszystko-widzący świadkiem, że ani zgnilizna nie przeszła w krew narodu, ani wścieklizna jądra ludu nie dosięgła!...

O! nie wstyż się żalobnych losów twoich, — ani wypieraj się przeszłości twojej, — nieszczęsny, — do wolności zrodzony, a w niewolę wtrącony Rodzie! — Ty cierpisz tylko, — a inni się smocą. — Ani nazwiska twego, — od obcych przedrzeźnionego nie wyrzekaj się wcale. — Nazwano cię rodem Niewolników, — i słusznie; wszakże wszystkie twoje dzieci, — jeśli nie u obcych, to u swoich, są *Sclavi!*... — Dziękuj owszem tym, którzy nazwiska twego rodzimego u ciebie pożyczyli, — dla zamianowania u siebie Niewoli, — bo tem samem, mimo chęci i mimo wiedzy, pobratali cię ze wszystkimi Cierpiącymi i Pogrzebionymi, — w jakiejbądź Strefie i pod jakimkolwiek Zakonem!

Otóż pomnij, że już raz Niewolnicy zbawili świat; dziś przyszła kolej, — na niewolników ludowych. — Pomnij na słowa Prawdomównego: «Błogosławieni, którzy cierpią ucisk dla sprawiedliwości, albowiem ich jest Królestwo Niebieskie, — i błogosławieni, którzy się smęcą, albowiem będą pocieszeni»¹⁾. — I pomnij nadto na słowa króla Proroka: «Nędzni odziedziczą ziemię, — i pocieszą się w Wielkim Pokoju»²⁾.

Wielki Pokój, Pocieszenie, oto jest cel twój, — oto kres

¹⁾ Math. V, 17. ²⁾ Math. V, 10, 5. ³⁾ Psalm XXXVI, 11.

dażeń i cierpień twoich. — Pamiętaj o tem, a nie szukaj innego, choćby cię innym mamiono. — Nie daj się uwieść na pokuszenie w godzinę stanowczą. — Czyhają na cię potęgi piekielne, — ale ty się nie zaprzecz posłannictwa twego, — boś ty dziś ludem Bożym.

Ani pod smrotny znak niewoli, — ani pod splugawioną czapkę swawoli, — nie poddasz nigdy pogodnego czoła! Ani ci na myśl nie przyjdzie targnąć się na swobodę innych ludów, — choćby wczorajszych ciemierzców, — boś doświadczył ile droga, — i jak srogą jej utrata.

Owszem, wyrzekniesz się nie tylko złowrogiej, bo przez wrogów podsycanej między bratnimi ludami zawiści, ale nawet uczynisz ofiarę z odwiecznej, od ojców za niepomszczone krzywdy przekazanej, — a bezprawiem uprawnionej ku dotychczasowym ciemierzcom nienawiści. — Bo oto naród, który życiem i męką swoją na wiarę u braci zasłużył, który umarł dla zbawienia spogańszczonego znów świata, a który zamartwychpowstaje, — aby w niebo wstąpił, sam na świat przynosi Słowo Przebaczenia, — i darowanie uraz między narodami opowiada!

Jakże od wieków wierzył w zadosyćuczynienie dla pojedynczego człowieka, tak dziś uwierz, iż rodowe cierpienia i narodowe zasługi twoje policzone zostały. — Światnie mignęły ci już chwile, świetniejsze stokroć zająsnąja jeszcze. — Niewolniku między plemionami! dokonaj na własnym Ludzie wielkiego dzieła Wolności, — zaopatrz jego ciało i duszę, a zarazem podaj posiłą rękę niewolnikom po innych narodach, owym upodległoznym Stanom, które, golem prawem niby obdarzone, są jeszcze gołotą, bo im na chlebie powszednim zbywa jako dla duszy tak i dla ciała. — Patrz jak zdąrgnęły one w głębiach społeczeństwa, — patrz jak się budzą z odwiecznego letargu i domagają się czegoś, — a same czego nie wiedzą. — Patrz, jak złowrogiem natchnieniem nadstawiając ucha, pieszczą się z ohydną myślą wytepienia, które stałoby się tylko wyrokiem ich własnego potępienia. Ubież u nich posłów złego, — prześcignij z dobrą nowiną, opowiadaczy rabunku i rzezi, niewczesnych ognia i miecza zwiastunów!... — Przynieś im owszem oczekiwane słowo Pociechy i Pokoju, otwórz im wielki, już nie Zniszczenia, ale Czynu zawód. Odwróć ich, wpływem odwiecznej

praw i obyczajów twoich łagodności, od szatańskiego dzieła zatracenia, do którego smać się gotują. — Wskaż im cięższą i trudniejszą, — ale chwalebniejszą i Bogu miłszą drogę, — i postępuj na ich czele *per angusta ad augusta!*

A Przewodnikiem twoim obiecany Poczyszyciel, który cię — we wszelką prawdę wprowadzi! — a celem twoim: «Królestwo Boże i Sprawiedliwość Jego!»

Revolucja i Ewolucja.

683) *Str. 258—263.* Kiedy więc mówimy, iż dziś wystąpić trzeba z Wolą i Czynem, a nie tylko czekać na nowe Słowo zbawienia, jak przy pierwszej światła przemianie, — bo Słowo jest tylko przesłańcem Czynu, — nie rozumiemy już przez ów Czyn żadnej rewolucji, czy to politycznej, czy socjalnej, bo wszelka rewolucja, póki jest dopiero rewolucją, jest tylko wypadkiem ujemnym, zaprzecznym, — nie jest jeszcze stanowczym, ale dopiero znoszącym Czynem, — nie jest jeszcze twierdzącą Akcją, ale dopiero Reakcją. —

Otóż jak każdy organizm w żywotnej naturze wzrastać i przekształcać się może bez koniecznej choroby, jeśli tylko zewnętrzne przyczyny jej zarodu weń nie wniosą; — tak też i organizm ludzkości wkroczyć mógł zaiste w okres dojrzałego zdrowia, bez dalszych konwulsji, — bez zwykłych dotąd cierpień i rozdarcia. — I to właśnie zowie się ewolucją bez rewolucji. Lecz skoro tylko organiczny postęp dozna jakiegokolwiek tamy, — skoro normalna ewolucja przygłuszoną zostanie, — oczywiście, iż oddziaływa na tamę, — sprawia dopiero rewolucją w samym organizmie, — i rodzi boleść, której można było uniknąć!... — Takie oddziaływanie, to jeszcze nie działanie, to jeszcze stara sprawa! To dopiero koniec starego świata, ale jeszcze nie poród nowego. —

Wy wszyscy więc, którzy tylko niszczącej rewolucji pragniecie, wy sami przedłużacie świat upadający, a odwiekacie rozwinięcie się nowego! Działajcie więc, a nie oddziaływajcie!

Potrzeba zaiste orać i doprawiać rolę, — ale gdy rola po kilkakroć doprawiona i gdy czas siewu nastaje, trzeba myśleć o siewie pod karą nieurodzaju; — boć wiecie, że rolę przeprawić też można i że siew spóźniony mści się na siewcazu. —

Otóż właśnie po ostatnich, dość głębokich orkach, uległa się rola; — nie opóźniajcie więc planu upornym wytepianiem pozostałych chwaścików, ani pedantycznym rozkruszaniem bryłek dobrej naszej ziemi, ani też zbyt głębokiem zapuszczeniem leśmieszka, któryby jałowy tylko szczerek na wierzch wyprowadziwszy, pracę waszą udaremnił i następne lata ogłodził. —

Pomnijcie na to, że o samych niszczytelach rzecz można, — Zbawiciel o przynoszących zgorzenie powiedział: «Zgorzenia na świat przyjść muszą, — ale biada tym, przez których przychodzą zgorzenia!»¹⁾ — Dzięki Bogu już dość zgorzenia minęło. — Podajcież sobie zgodne ręce, ku polepszeniu! —

Wy cierpicie zaiste, cierpicie głód okropny, tak fizyczny jak moralny, — cierpicie ucisk, którego brzemień dziś się dopiero w całej brzydocie i bezwładności objawia; — lecz właśnie dlatego idźcie cierpliwie do dzieła, — bo godzina bliska. — Wszak wy już nie dzieci, żeby iść na przekór... Ufajcie i kochajcie: — już raz Miłość zbawiła świat. W imię tejże samej Miłości wzywamy was dzisiaj, opuście jałowe rewolucyjne zamysły, opuście wszelkie zaprzeczne uczucia zemsty i nienawiści, — lecz bądźcie gotowi do Dzieła Obietnicy, do Chrystusowego Czynu, który był dotąd tylko Słowem w was. — Co się stać ma, to się niechybnie stanie, — to już jest pojęciem, jawnem, — to więc minąć nie może, — to Słowo ciałem się staje. — Nie myślcie, aby to dzieło miało być prostą rewolucją, nie ubliżajcie mu do tego stopnia, — to jest daleko więcej, to jest Przemienienie, Zmartwychwstanie i Wniebowstąpienie Ludzkości.

Komuniści, demagodzy, utopiści wszelkiej barwy, którzy macie prawe przeczcucia i prawe domysły, ale uczucia i myśli zwichnięte, — i wy synowie umęczonego, rozkrzyżowanego narodu, — żywej i świętej ofiary, przez którą Bóg staje się Ludzkością, jako przez Jezusa Chrystusa Bóg stał się człowiekiem, nie rozrywajcież dalej świata niedojrzalymi zamysły, — lecz bądźcie dobrej myśli, ku zrozumieniu... i bądźcie dobrej woli, ku spełnieniu! —

Czyliżby więc minęły już wszystkie uragany społeczne, każdemu Przesileniu właściwe? — Czyliżby już przebyte być

¹⁾ Mat. XVIII, 7 — Luc. XVII, 1.

miały wszystkie boleści porodu? — Czyż istotnie już tylko buda-
wać, a nie zrzucać, już tylko tworzyć, a nie walczyć wypada? —

Spytajcie się znouu tych, którzy przy dawnem stoją, to
od nich także zależy. — *Caveant consules!*...

Niestety! znając ich zapamiętały upór, wątpimy; aczkol-
wiek z całej duszy pragniemy, — z całej duszy błagamy. —

Błagalśmy dopiero słabych, aby utajonych sił swoich nie
nadużywali, — błagamy znów przemożnych, aby nie naduży-
wali jawnej martwości swojej. —

Wy, którzy wstrzymujecie postęp ducha ludzkości, — na
miłość Boga przestańcie, — bo jak Bóg Bogiem, to wam się na
nie nie przyda. —

Czyż niedość już jęków wydała pierś ludzkości, czyż nie
dość łez oczy jej wyroniły? Coż wam z tego przyjdzie, że ich
trochę więcej jeszcze wyciśnięcie! —

A przemódz? nie przemożecie — przytłumić? nie przytłu-
miecie — wytepić? nie wytepicie! —

Ani działa ani bagnety, — ani rusztowania ani lochy pod-
ziemne, ani rada ani zdrada, — jak Bóg Bogiem, nic wam nie
pomozel.. bo to sprawa Boża. —

Cierpiąca dotąd Ludzkość, — i mocno cierpiąca, — ale dziś
cierpi mocniej niż kiedykolwiek, bo dochodzi właśnie do świa-
domości swego cierpienia i jego niestosowności.

Cierpiąca dotąd, lecz cieszyła się myślą, że cierpienie jest
jej nieuchronnym losem, — jej fatalnem tegoczesnem przezna-
czeniem, — że powinna cierpieć na ziemi, aby pocieszyć się
w niebie! — Cieszyła się więc już na tym świecie, ową nadzieją
innego świata, innego żywota. — Otóż dalsieście upaść tej nadziei,
a nie chcieć dać wnieść się innej; — dalsieście podkopać wiarę
zświatowego pocieszenia, nie pomyślwszy o żadnem światowem
pocieszeniu! —

Leżc oto rzeczywiste przeznaczenie Ludzkości na ziemi
objawia się jej w tej chwili, — przecucia i żądze tego prze-
znaczenia już od sporego czasu miotają jej Duchem; — kon-
wulsje ostatnich czasów są tylko wybuchami tychże; — aż oto,
nim zakosztuje Ludzkość owocu z drzewa Żywota, spożywa do
szczęścia owoc z drzewa świadomości!... — I otwierają się jej
oczy, — i widzi biedna, że jest nagą...

I myślicie może, że się ona zawstydzi? O nie! — nagość
Świętej męczennicy jest jej jasną chwałą... Kto inny się za nią
zawstydzi!...

O wstyd wam! o hańba wam! którzy czuwacie nad spo-
łeczniem ciałem, — jeśli ten widok obnażenia, ta świadomość
cierpienia Ludzkości nie wzbudzi w Was woli ratunku, — Czynu
wybawienia! — Hańba wam i ohyda, nie więcej, — zaiste do-
syć, — to ostateczna bo wieczna kara wasza — Reszty daruje
Ludzkość, — ale Sromu waszego z księgi żywota zmazać wam
nie zdoła. — Sam nawet Wszchemny przebaczyć może po-
pełniony czyn, ale niebyłym uczynić go nie zdoła. — Kara więc
wasza, krwią i łzami zapisana, paląc będzie na wieki w roczni-
kach świata, w tam wiecznem piekle sromoty, którego ognie
nigdy was nie strawi. — Drżycie więc, aby Ludzkość nie wy-
rzeka nad wami strasliwego przekleństwa: Hańba wam na
wieki! —

A chwała Bogu na wszech wysokościach, — a spokój na
ziemi Ludziom dobrej woli! —

Doczesność i Wieczność.

684) *Str. 287—291.* Największy błąd, jaki dotąd popełniono
w zwykłym pojęciu tych stosunków, tak względem po-
jedynczych ludzi, jako też względem zbiorowej ludzkości, tkwi
właśnie w ślepem trzymaniu się fałszywej sprzeczności, uchwy-
conej między pojęciami Doczesności i Wieczności. — Sprzeczność
ta jest zupełnie fałszywa, bo rzeczywiście pojęcia te nie są po-
jęciami jednego rzędu, a więc nie mogą z sobą stanowić żadnej
sprzeczności, — i my to sami sztucznie takową do nich wpro-
wadzamy niezwołanie, kiedy utrzymujemy je we wytrieb anty-
tezie. — Uznajemy bowiem, iż Doczesność ma się do Wieczności,
jak się ma część do całości, — czyli, że Wieczność jest tylko
pasmem różnych między sobą Doczesności, które ją tak właśnie
składają, jak pojedyncze ogniwa składają całkowity łańcuch. —

Jakoż świat ten i świat tamten, życie obecne i życie przy-
szłe, — oto są pojęcia jednego rzędu (*correlata*), odpowiadające
sobie i wyłączające się nawzajem, a tem samem zachodzące
z sobą i w siebie, oraz prawdziwą stanowić mogące sprzeczność; —
bo świat obecny nie jest przyszłym i odwrotnie, przyszły nie
jest teraźniejszym; a gdzie jeden nastaje, drugi ustać musi,

i odwrotnie; aczkolwiek dyalektyczna ta antyteza, dyalektycznie też w siebie przechodzi, — i jedna przeciwnica odwrotną swoją przeciwnicą się staje, jakżeśmy dopiero wytknęli. — Tu więc panuje istotna wyłączność, a tem samem wzajemna do siebie względność. —

Ale sam świat obecny nazywać wyłącznie Doczesnością, a sam świat przyszły wyłącznie Wiecznością, — w tem właśnie leży cały błąd, bo tu porównujemy pojęcie niższego rzędu z pojęciem wyższego, które wiele poza niego sięga, — a zatem żadną miarą porównać się z nim nie da, ponieważ go owszem samo w siebie zagarnia. — Jakoż, jeżeli Wieczność ma być prawdziwą, a nie pozorna, ani urojoną wiecznością, to obejmować w sobie musi równem prawem tak świat teraźniejszy, jak przyszły i przeszły, słowem, Wszeczeńświat i Wszeczeńświat, — inaczej nie byłaby wcale Wiecznością, ale tylko pewnym, ograniczonym wiekiem. — Wszelka wyłączna, wszelka ograniczona i od czasu zależna Wieczność, już tem samem byłaby doczesnością i zesłaby do rzędu cząstki swojej, skoroby jakikolwiek czas z siebie wyłączała, i oczywiście przez samo to wyłączenie przestawałaby być tem, czem się mianuje, t. j. wiecznością. — Cóżby to za chroma była wieczność, któraby gdzieś i kiedyś, czy to za śmierci człowieka, czy to po końcu świata, zaczynać się miała. — Taką przypuszczając wieczność, tem samem wcale jej nie dopuszczamy: bo skoro tylko pozwalamy jej gdzieśkolwiek się poczynać, tem samem ją jako nie wieczną uznajemy.

Pojęcie tego stosunku jest tak proste i naturalne, iż nie potrzebowalibyśmy tak długo nad nim zastanawiać się, gdyby nie nastąpienie od wieków zwichnięcie wyobrażeń przez przypuszczenie, iż na tym świecie panuje tylko Doczesność, a na tamtym znowu tylko Wieczność, jak gdyby podobna było przypuścić jakąś Wieczność, któraby wszędzie i zawsze nie panowała.

I w samej rzeczy, jeżeli świat dzisiejszy integralnie do wieczności nie należy i Wieczność dopiero po jego końcu rozpocząć się ma, toć sama wieczność już nie jest wiecznością, ponieważ ją własny nasz Czas wyłącza, ogranicza i waruje. — Czemżeż więc byłaby taka zawarowana Wieczność? Oto znowu niczem innym jedno pewną Doczesnością, ponieważ z pewnym czasem się zaczyna, od pewnego czasu zależy, a zatem oczy-

wiście i do pewnego czasu trwać będzie; — niemasz bowiem dostatecznej przyczyny, aby to co się z czasem, w czasie, i zależnie od czasu zaczęło, z czasem też i w czasie i do czasu skończyć się nie miało. — Doczesność tedy znosi podobną abstrakcyjną wieczność, zastępując ją, niżła ją do swojego rzędu i czyni ją sobie podobną. — A nawzajem taka abstrakcyjna wieczność znosi znowu wszelką doczesność i czyni ją owszem wcale niepodobną. — Bo jeżeli owa Wieczność ma trwać wiecznie, gdzież się podzieje Doczesność? Już ona nie znajduje ani czasu, ani miejsca dla siebie, jeżeli nie w łonie samej Wieczności? — Istnienie więc takowej doczesności, obok wieczności i niezależnie od niej, jest niepodobne; ona tylko we wieczności istnieć może. — A skoroż jest, lub była kiedyś jakąkolwiek Doczesność, (co wyznajemy obecnem życiem) toć już ową abstrakcyjnej wieczności nigdy nie było, ani być nie może, bo taż jest przez ową doczesność zawartą i wypartą.

Niemasz tu więc znowu ratunku dla takiej wieczności; albo musi ona wywietrzeć jak płonna abstrakcyja, albo też musi samem doczesnościami się spełnić i urzeczywistnić.

Z tego więc wypada, iż Świat i Zaświat, życie obecne i przyszłe, mają się do siebie, — wcale nie jak Doczesność do Wieczności, ale jak jedna Doczesność do innej Doczesności, których znowu całością i Spełnią jest absolutna Wieczność; czyli inaczej, że świat teraźniejszy, równie jak życie obecne, jest rzeczywiście pewną doczesnością, a świat przyszły, równie jak życie przyszłe, jest znowu inną, ale także pewną doczesnością, aczkolwiek doczesności te mogą być między sobą nader różne, a nawet dyalektycznie sobie przeciwne; które to przeciwiństwo właśnie przez dyalektyczne prawo postępu znosi się przez przejście z jednej w drugą, z idealnej w realną; lecz są to zakresy jednorzędne i wzajemnie od siebie zależne. — Wieczność zaś prawdziwa jest owych doczesności wszechnicą (Syntezą), górującą i panującą nad niemi Spełnią; — czyli wieczność obejmuje w sobie wszelkie możliwe i rzeczywiste doczesności i takowemi kolejno własny swój żywot wieczny rozwija i Spełnia; słowem, że sama wieczność z samych różnorodnych doczesności się składa, ale ich wcale z siebie nie wyłącza, ani też ona nie jest przez owe doczesności, do pewnego czasu wypartą. — Boć ona

już nie zależy od Czasu, jak owe pojedyncze Doczesności, ale czas właśnie od niej zależy. — Czas stanowi tylko wewnętrzne oddziały w łonie samej wieczności, — ale zewnątrz niej, czyli poza wiecznością, żadnego czasu nie masz, ani być nie może. —

C) Ojciec Nasz. Wezwanie.

(Tom drugi, 1899.)

Wstęp (O Miłości).

685) *Sfr. 1—5.* Miłości pełen Zbawiciel, miłości pełnym słowem zagał społeczną modlitwę naszą. —

Mógł się stać lepiej — albo tylko inaczej? Mógł jakkolwiek dogmatyczne słowo Wiary, chociażby najgłębsze, albo też prorocze słowo Nadziei, chociażby najdonioślejsze, doskonałe na czele Chrystusowego Testamentu zajaśnić?

Nie, — bo jedno jak drugie, aczkolwiek nie mniej wielobne i nawzajem do zbawienia niezbedne, pozostałoby przecież społecznie — mniej skutecznem.

Wszak wielki Apostoł Chrystusów, ten właśnie, któremu winniśmy w samym zaraniu drugiej Ery świata najpotężniejszy rozwój samej wiary i nadziei, nie wahał się już powiedzieć: «Terazci trwa wiara, nadzieja, miłość, — to troje, ale z tego trojga największą jest miłość»¹⁾.

Przyniósł i podniósł nam wiarę, w imię Boże, które święcił mamy; — przyniósł i podniósł nam nadzieję w Królestwo Boże, które nam przybliżył i szukać kazal; — rozwinął nam i skupił Zbawiciel cały szereg najżywniejszych i najbrzemiennejszych tajemnic Wiary w siedmiorgu Prośb pacierza, — zamknął i potwierdził je wszystkie wkońcu najdonioślejszem słowem nadziei Amen, — ale oparł je wszystkie od samego początku na najwyższem, a jednak nam najprzystępniejszym słowie Miłości, jak na warunku, bez którego wszelka wiara dziecize, — a wszelka nadzieja marnieje.

Obdarzył On nas wiarą i obdarzył nadzieją, — ale przedewszystkiem i nadewszystko zaszczepił w nas miłość, ową «związkę doskonałości»²⁾. — jak ją doskonale ten głęboki, po-

teżny i olbrzymi Pneumatolog mianuje, obok którego najzawołani z dzisiejszych badaczy ducha tak niesłychanie karleją — bez której sama wiara plonieje a nadzieja marnieje, przy której zaś i przez którą tak jedna jak druga szlachetnie kwitną i słodko owocują.

Zaprawdę, jeśli wiara już zbawia, a nadzieja jeszcze utwierdza, to miłość dopiero spełnia i dopełnia, wykonywa i dokonywa.

Ona poczęte i założone w duchu na jaw wyprowadza, do skutku doprowadza, ona w wolę zaszczepia, w życie społeczne przesadza, w obyczaj zakorzenia i w ustawiczny czyn wciela to wszystko, co wiara i nadzieja w głębi uczucia nam zasiały, a w rozliczne myśli i słowa wyhodowały — przez nią więc sama wiara owocuje, a nadzieja sama dojrzewa. — I dlatego znowu Apostoł Pański tę spójnię i kopułę wiary i nadziei już tak trafnie nazwaną nie tylko «związką doskonałości», ale dobitniej jeszcze, ściślej i wyraźniej mianuje «dopełnieniem Zakonu»³⁾.

Tak jest, — dopełnieniem, i to nie jednego tylko, ani też drugiego, ale wiecznego Zakonu. Bo od wszechwieków już i na wieki wieków ta «związka doskonałości» stanowiła, stanowi i stanowić będzie integralną funkcję w stopniowym, a ciągłym rozwoju ducha i dopełnieniu «woli Bożej, jako w niebie, tak i na ziemi».

Wszakże na zagadnienie biegłego w piśmie Faryzeusza usiłującego podchwycić Chrystusa, zadając Mu pytanie, jakie jest największe przykazanie w Zakonie, odpowiedział sam Zbawiciel podwójnem, z ksiąg Mojżeszowych zaczerpniętem, przykazaniem Miłości⁴⁾ i dodał wyraźnie, że «na tem dwójgu przykazaniu zawisł wszystek Zakon i Proroki»⁵⁾, a więc cała wiara i cała nadzieja przedchrześcijańskiego Objawienia. — A przecież to samo właśnie, co tu Zbawiciel wytknął jako sumę i wypadkową Starego Zakonu i Proroków, niczem innem nie jest, jeno stać się miało istnym zarodem i treścią nowego Objawienia.

I stało się rzeczywiście przykazaniem nowem⁶⁾, wyraźnie jako nowe w najuroczystszej chwili objawionem, kiedy już zbliżał się czas, aby syn człowieczy jako syn Boży uwielbiony został, —

¹⁾ Rom. XIII, 10.

²⁾ V. mos. VI, 5 i III, mos. XIX, 18.

³⁾ Math. XXII, 40.

⁴⁾ Joan. XIII, 34.

¹⁾ I Cor. XIII, 13. ²⁾ Colos. III, 14.

tak samo jak cały nowy Zakon stał się rzeczywiście nowym, choć nie rozwiązywał bynajmniej starego, ale go dopełniał.

A to przykazanie tak dalece znowu streszcza całą istotę Chrześcijaństwa, że gdybyśmy tę istotę w jednym a integralnym słowie zawrzeć musieli, nie wahałobyśmy się znowu powiedzieć: Chrześcijaństwo — to Miłość.

Albowiem sam Zbawiciel nam ją podał, społeczną, wzajemną Miłość jako stanowce i pewne *criterium* prawdziwych uczniów i wyznawców swoich ¹⁾. — A co przyszłe jeszcze wieki zwiastować nam o niej miały, to tradycja Chrześcijańska doskonale przeczuwała, skoro trzecią Hypostazę Bożą statecznie mianowała Miłością.

A jak od wszechwieków jest Miłość domaganym albo uznanym duchowego życia warunkiem, tak i nadal pozostanie po wszystkie wieki panującą w świecie Ducha siłą. Otóż co objawienie w Słowie od wieków i na wieki zapowiadało lub wypowiadało, to samo objawienie w Ciele, — którym jest Stworzenie całe w największych i najmniejszych przestworach Wszechświata, — od wieków nam i na wieki zaświadcza.

Bo czemuż jest w wielkiej mechanice fizycznego Wszechświata panująca Attrakcja, czemuż w świecie nieskończenie drobnych atomów Powinowactwo chemiczne, jeżeli nie tem samym właśnie co w Organicznem Życiu, w Organizmie Ducha jest Miłość?

I dlatego też boski Założyciel Chrześcijaństwa nie tylko do Modlitwy naszej, ale i do całego dzieła Swego nie przystąpił z żadną Dogmatyką ani Eschatologią, ale przedewszystkiem i nadeszysztoko odedwał się do uczucia i dobrej woli, a całe Objawienie swoje, całą naukę zbawienia, na miłości oparł. — Tak dalece nam ją uprzystępniał i userdecznił, iż cokolwiek Ojcowie lub Mędrcy Kościoła przez wieki Tradycji Chrześcijańskiej dla wiary i nadziei naszej z tej nauki wysnuli, to wszystko tkwi już bądź *explicite*, bądź *implicite* w miłosnych słowach i czynach, którymi «dobrą nowinę» zwiastował. — Bo czemuż cała Ewangelia, ta «dobra nowina», którą Apostołom swoim powiadać polecił, jeśli nie ustawicznym a różnolitem słowem Miłości ku Bogu, Ojcu naszemu, i bliźnim, braciom naszym?

¹⁾ Joan. XIII, 35

686) Str. 36—37. A więc choćby przez samolubstwo samo powinnyśmy ściagać Miłość, — gdyby ona właśnie przed jednym samolubstwem nie uciekała. Zresztą, *Omnia vincit amor, et nos cedamus amori* ¹⁾.

Zaprawdę miłość nie jest żadnym pożytkom kwoli, owszem sobie sama wystarcza, tak dalece, że Miłość jakichś zewnętrznych pożytków wypatrująca, już tem samym przestaby być miłością, a stałaby się raczej spekulacją. Ale właśnie dlatego tak przedziwnie Ojciec nasz umiarkował tej miłości wdrożone i przyrodzone skutki, że opróżnił z niej żywot sam w sobie coraz bardziej marniejsze, a przepelniony nią owszem, ustawicznie się rozwielbia. Nie dziw więc, jeśli miłość żadnych pożytków nie wypatruje, «rzeczy swoich nie szuka» ²⁾ — pocóżby ich szukać miała, skoro jej sama w sobie znajduje, skoro w nie sama bezpośrednio obfituje. I na cóżby miała wyglądać jakiejbądź odplaty, skoro w tem, co sama czyni, ma już zadośćuczynienie, — skoro się w sobie rozmaga, im więcej domaga, a w tem co daje, już bierze?

Któż tego nie doznał, choćby po części wobec Rodziców lub Działy, wobec Żony lub Kochanki, wobec Braci lub Przyjaciół, wobec Ojczyzny albo Kościoła? A jeśli tak jest, od najpowszedniejszych życia pierwotnego stosunków począwszy, — eo każdy uzna, cokolwiek kiedy kochał — (a któżby znowu kiedyskolwiek nie kochał?) — cóż dziwnego, że im ta miłość bardziej się wzmagą i wznosi, im jej cel i przedmiot coraz bardziej rośnie, a w życie publiczne wkraczając, Ojczyzno, Ludzkość ogarnia, tem też dzielniej wzrasta Duch, który się jej poświęca, tem większych a niedomyślanych przedtem dostępuje błogości, tem silniej żyje, a nie obumiera.

O pojęciu «Niebios».

687) Str. 407—408. Odtąd przeto nie będziemy poczytywali Nieba za jakiś przybytek bezziemny, ani też ziemi za jakiś przybytek ziemny, wskutek czego świat przestanie nam być bezbożnym, a Bóg bezświatowym. Lecz owszem uznamy połączenie Boga ze światem i przysposobienie świata Bogu, oraz ogarnięcie Ziemi przez Niebo i odziedziczenie Nieba przez Zi-

¹⁾ Per. Wirgilego: Ecolog. X. ²⁾ L. Cor. XIII, 5.

mie, albowiem będzie to Wniebowstąpienie Ziemi i nawzajem Zstąpienie Królestwa Niebieskiego na ziemię. A podniósłszy Duch: «zdolamy pojąć ze wszystkimi Świętymi, jaka jest długość i szerokość, jaka głębokość i wysokość».

Myriady wszelakich światów, bądź rodzących się dopiero z mglistego, nierozdzierzonego chaosu, bądź znowu gasnących i konających, asteroidów rojowiska, światów plejady i nieborodnych mgieł oceany, to Jego światnie, światle i światowe Ciało. A Duch Jego, który wszystkie te światy światów dzierży, który święci się w nich i uświęca je, który je pojmuje, przejmuje i obejmuje, — panuje nad nimi, bo «chwala Jego jest ponad niebiosami¹⁾».

A nie wdrygajcie się zawczasu. Wy na wpół dopiero rozumiejący, a przywykli do wyznawania Boga w wiekuistym oderwaniu od świata, — nie lękajcie się, by Wam tu Panteizm jakiś groził. Panteizm wszelki, jaki Wy sobie wystawiacie, a przed którym słusznie wdrygacie się, ubliżaby tylko Bogu, a nam Go owszem uwielbiać przychodzi. Panteizm głosi, że wszystko jest Bogiem, a my zaprawdę powiadamy Wam, że wszystko owszem do Boga należy i od Niego zależy, że się nie tylko do Niego odnosi, jako do Pana swego, ale też od Niego pochodzi, jako od Ojca swego, słowem, że się znajduje w Jego dziedzictwie, w posiadaniu materialnym i moralnym, jako w objęciu Ducha swego, że Wszczęświat jest więc tego Ducha tylko Własnością i Objawem, jak to już Psalmista doskonale wyraził, wiekuistym strojem Jego wiecznego ustroju, że przeto nie jest Nim Samym, lecz tylko poniekąd²⁾ chwalebne zawždy Ciałem, Przybytkiem i Świątynią Jego, słowem jest owym niebieskim Ojca naszego domem, w którym jest siła mieszkau na nas oczekujących, a przez pierworodnego Syna nam przygotowanych.

Między ubóstwieniem Wszczęświata, a wszechuświatnieniem Boga, t. j. między poczytaniem Wszczęświata za Bóstwo, a owszem przyznaniem i oddaniem go Bogu, jako Własność, Dziedzictwo i wiekuisty Przybytek, co wszyscy święci Pańscy wiekuście od początku wieków głosili, a co modlitwa nasza najdoskonalej wy-

¹⁾ Ps. 112, 4.

²⁾ Przy 1-ej Prośbie poznany pod jakim względem o Bożem cieleł mowa być może, a pod jakim już ta determinneya nie starczy.

raża, wołając do Ojca naszego, «Któryś jest w Niebiesiach», — słowem między potwornym Panteizmem, a uznaniem organicznego panowania i gospodarstwa Bożego we wszystkich światach, i przez wszystkie światy, nie slychana różnica, że ją tu w krótkości zaledwie przez przybliżone porównanie wyrazić zdolamy, taka właśnie, jaka zachodzi między wszelkim Ciałem a Duchem, albo też między abstrakcyjną substancją, a żywą, absolutną Osobą. — Przecież nikt z nas nie uzna Ciała swegojo, owego najprzedniejszego organizmu i arcydzieła Natury, za istną swoją osobę, bo wie, iż Ciało bez Ducha, który go dopiero czyni sobą, nie jest osobą, że po zbawione Ducha, trupem się staje.

D) Ojciec Nasz. Święci się imię Twoje.

(Tom trzeci, 1908).

Czem jest religia?

688) Str. 240—247. Lecz oprócz rzeszy żądającej Cudu i oprócz rzeszy żądającej Dowodu, jest jeszcze inna rzesza, z którą porozumieć nam się trzeba. — Ta rzesza właśnie niczego nie żąda, a przez to samo zdaje jej się, że ma wszelkie prawo za sobą. — Zdaje jej się, iż ubliżalaby sobie żądając czegośkolwiek, ufa że już wyrosła nad wszelkie tak «dziecinne» żądania. — Postuchajmy jej głosu:

— «A więc to trzecie objawienie Boże, to objawienie Objawienia ma stanowić nową Religję? — Winszujemy zaiste, lecz nie zazdrościmy, — bo co do nas, my zarówno o nowe jak o stare dbamy; — tylko zdaje nam się, iż ta nowa Religja, przysięwszy że jest nową¹⁾, trochę za późno przychodzi. Miejsce już dawno zajęte; nowatorów dość nadeszło, — i przeszło, — trzeba się było pospieszyć, dziś już po niewczasie. — Żart na stronę, świat dojrzeva, wie o co mu idzie, nie da się dalek na pasku swoich duchowych piastunek prowadzić, — obejdzie się bez Religji. — Spójrzycie na świat dzisiejszy, na ludy najdalej w cywilizacji posunięte i zastanówcie się szczerze, czy u nich jest choć odrobina rzeczywistej religji, — czy one się nie umieją

¹⁾ Czy nowa jest, wnet później zobaczymy.

bez niej prowadzi! — Dość więc tego balaństwa. Niech żyje Rozum i Prawo! (Budżet i Gwardya Narodowa). —

Na to odpowiadamy: Boże! przebac im, bo nie wiedzą co mówią! — A co najsmutniejsza, to że im się właśnie zdaje, że dopiero oni wiedzą co mówią, że dopiero oni doskonale stanowisko swoje i postęp ludzkości pojmują, że dopiero oni są prawnymi reprezentantami obecnego czasu, powiernikami jego potrzeb i nadziei, piastunami praw i godności człowieczeństwa! —

Są to na pozór tegie umysły (*esprits forts*) a w gruncie najjałowsze. Popisują się z tego, że w najoświecenijszych naradach religia wygłasza, i wykrzykuje, że przeciw wszystko tam najlepiej idzie. — Doprawdy? — Czy idzie, i jak idzie, — to właśnie pytanie. — Już im od dawna de Maistre, ten doleżny umysł, choć w odwrotnej ostateczności zawolał: *«Il n'y a plus de religion sur la terre, — le genre humain ne peut rester dans cet état!»* — Toć właśnie jest chorobą, toć właśnie jest głodem naszego czasu! — Miły Boże! oni powstają przeciw wszelkiej religii, — przeciw Religii samej, tej duszy wszechświata, temu nerwowi całego duchowego istnienia, tej spójni społeczeństwa! Oni powstają przeciw Religii, a nie widzą, że bez Religii byłiby sami prochami, (atomami), boć Religia dopiero jest absolutną Spójnią, — Skojarzeniem, — Związkiem, (*religio*), oni nie widzą, żeć Religia nie tylko nas z Bogiem łączy i kojarzy, aleć jeszcze nas samych z sobą i między sobą, w społeczeństwie spaja, — ba nawet każdego z nas z osobną w sobie samym jednoczy i uzgadnia; — że więc Religia jest, była i będzie zawsze żywotnym węzłem, istotnym Świata całego cementem. —

Lecz oni wrzekomem światłem zaślepieni, nie widzą tego, zgiełkiem spraw prywatnych zagłuszeni, nie słyszą tego. A jeślić usłyszą to co w tej chwili o nich mówimy, zdawać się im będzie, że to są stare oklepane słowa z kazalnicy, które już po tysiące razy obily się im o uszy, i w których im przeto już dawno się rozprawili; — a nie wiedzą, że właśnie dopiero przez nastąpienie Społeczeństwa Ducha Świętego i w tejże społeczności (*communitas*), sama religia, istną Religiją się stanie, prawdziwego znaczenia swego dostąpi, i w spójnej działalności swej stanie; — że łatwo dotąd zdawać się mogło twierdzić dobywać, której szkańce nie były skończone, która jeszcze istotnie utwierdzoną

lakiej spójni, a nie dbające o nią, nie tylko same próżnują, lecz i okolicznym niwom zaspami swemi grożą. — Zaraza obojętności i nijakości jest przynajmniej tyle niebezpieczną, jeśli nie więcej, ile zaraza zlego. —

O jakżeż bez porównania więcej cenimy Was, — Wy dzielne serca, które chorągwi człowieczeństwa zaprzysięgłszy wierność, i całą mocą swoją pokochawszy swobodę, zrymacie się przeciwko wszelkim kajdanom, nakładanym Wam w imię Religii! — Uczucie-Wasze jest szlachetne, tylko myśl Wasza błądzi, bo przypisujecie Religii to właśnie co nie jest jej skutkiem, co nie jest jej działalnością, a nie przypisujecie jej właśnie tego co Was samych ożywia. —

Religia jest i zawsze była związkiem, ale nigdy więzieniem, stanowi, ona węzły nie zaś kajdany. — Węzła, spójni, potrzebuje każde jestestwo, bez tego nie byłoby tum, czem jest, — rozpadłoby się. — Kajdanami zaś wszelki duch się brzdzi, w nich przestaje być tum, czem jest, — zapada się. — Kajdany są twarde i martwe, węzeł zaś elastyczny i żywy, jakoby spłot nerwowy. —

Otóż więc macie niewątpliwie znanie ku poznaniu, gdzie jest, a gdzie nie masz Religii. Skoro zobaczycie skojarzenie, spójność i spólność Ducha, tam z góry bądźcie pewni, jest Religia. Skoro owszem zobaczycie tylko kajdany, żelazne pęta, nalożone na ludzi w imię religii, — tam z góry bądźcie pewni, — Religii już niema. Tam niegodni służalcy nadużywają już tylko jej świętego imienia, Religia żywa odbiegła dawno od nich, wznosząc się do wyższych dziedzin i przeradzając się w nowy Żywoć, a oni zamiast pobożnego zagrzebania zwleczonemu trupa, którego duch już się doskonalej odrodził, niegodnie frymarczą jej martwymi zwłokami i poniewierają niemi, na zabobonne obracając je relikwie.

Nie, — nigdy, przynigdy, Religia nie była i nie będzie instytutem niewoli, — poddaństwem Ducha! Nigdy, przynigdy! — bo nawet w despotycznych religiach Wschodu, była ona schronieniem i przytulkiem Ducha, — pierwszym krokiem wyzwolenia z więzów Natury, a więc już szczeblem Wolności!

Lecz skoro tylko jakikolwiek żywioł religijny zaczął ciężce Duchowi ludzkiemu, zamiast go owszem unosić i ożywiać, skoro tylko duch ludzki istotnie religię swoją za okowę poczytał, nie zaś za żywotny nerw swój, wtenczas zaiste już się była sama

Religia przeżyła. A wtedy poruszał się żywy duch ludu i zadrgnęli trwogą hierofanci, ale cieszył się sam Bóg, — bo to był znak postępu ludzkości. Ciaśnie stanowisko wnet rozprzestrzeniło się, — nie starczące Objawienie dopełniało się, organizm Religii rozwijał się doskonale, — i wznosiła się chwała Bogu na wysokości, a radość na ziemi ludziom dobrej woli!

Niebaczn! nie bluźnijcie więc przeciw Religii, — nie czynicie, jakobyście chcieli wydobyc się z pod jej przemocy, bo ona nie jest żadną przemocą, lecz owszem mocą. — Zaprawdę żyjcie całą tą mocą, — żyjcie z niej i żywcie ją!

Wydobyc się niby z pod przemocy Religii wychodzi to dla ludzkości na takie samo absurdum, jakoby dla ciała wydobyc się z pod przemocy duszy. Religia jest duszą społeczeńskiego ciała, jego immanentnym związkiem, (jego Entelechią). — Bezduśne ciało rozpada się, — gnije i ginie, a raczej przeradza się znowu w ciało innej duszy, bo bez organicznej duszy i organicznego ciała być nie może. Tak też i bezreligijne społeczeństwo jest albo dogorywającym w konwulsjach skonu skazańcem (*moribund*), albo też rozpadającym się już trupem.

Lecz jak dusza niemowlęca nie przystoi dojrzałemu ciału, tak też dojrzała ludzkość dojrzałej wymaga duszy, — dojrzałej Religii. — Nie znście więc, ale wznście! — i żyjcie coraz pełniejszym, coraz silniejszym, coraz religijniejszym Życiem.

E) Ojciec Nasz. Przyjdź królestwo Twoje.

(Tom czwarty, 1906).

Duch żywy i martwe prawo.

689) *Str. 187—189.* Prawo publiczne, społeczne, wtenczas dopiero jest żywotne, skoro z ducha i w duchu narodowym wyrosło. — Kiedy zaś miasto w duchu, jest tylko na papierze lub pergaminie zapisane, — kiedy konstytucya Państwa nie stanowi jego życia, ale jest tylko «kartą», ustawą, — wtenczas jest tak wiotką, jak ów świstek, na którym spisana.

Prawo pisane jest tem doskonalsze, im się go mniej czytać potrzebuje¹⁾. — Powstanie prawa pisanego było jednym

¹⁾ Pierwotny tekst brzmiał: «jest więc na to tylko, aby go nie było». Autor skreślił te słowa, zastępując je temi, które podaliśmy w tekście (*Przyp. wyd.*).

z pierwszych postępów towarzystw, jego zaniechanie, obejście się bez niego, będzie jednym z ostatecznych. Prawo pisane (ustawa, *lex*) jest zawsze martwe i skrzące, jego sprawiedliwość jest tylko płoną i jałową. — Duch zaś żywego prawa wymaga. — Duch żywy jest panem martwego prawa.

Kiedy trybun Rzymski, w chwili użycia swojego *veto*, do którego zaiste stanowcze miał prawo, cofał się przed uroczystym błaganem Senatu i na święte zaklęcie, aby uszczerbku Rzeczypospolitej nie czynił, zaniechał tego prawa, dawał istny dowód, jak dalece godzien był toż prawo piastować. Żył wtedy Duch publiczny, który trybunowi pozwolił i nakazał zaniechać swego prawa. — Póki też w Polsce *liberum veto* jako prawo istniało, ale póki nikt go nie używał, a cóż dopiero nadużywał, póty można go było policzyć do «złotych klejnotów wolności». Czem się zaś stało, skoro Duch publiczny obumarł, — to niestety wiadomo!

«Jeżeli tedy duchem bywacie prowadzeni, nie jesteście pod prawem», powiedział Apostoł Narodów¹⁾.

A rozumie się to nie tak, aby wolno było nie wypełniać prawa, ale owszem, aby go ponad martwy przepis żywo dopełniać. — Bo pomnijmy zawsze na to, że nie przychodzimy rozwiązywać zakonu, ale go uzupełniać²⁾.

Duch przeto nie pozwala zostawać wstecz prawa, ale owszem zapędza wyżej i dalej, niż prawo; — bo Duch brzydzi się wszelkiem przeczeniem, ale kocha twierdzenie, bo pragnie sprawiedliwości obfitę.

Duch tedy nie znosi ustawy, ale wznosi się nad nią, aby tem spełniej dopełnić prawa.

Czciciele żywego Ducha dopełniają prawa, obfitując ponad ustawę, czciciele zaś martwej litery przestrzegają ścisłe ustawy, a nie postrzegają, iż martwią żywe prawo.

A wiadomo wam, że «litera zabija, ale Duch ożywia»³⁾. I wiadomo wam także, że: gdzie jest «Duch Pański, tam jest wolność»⁴⁾.

¹⁾ Galat. V, 18. ²⁾ Mat. V, 17. ³⁾ II. Cor. III, 6. ⁴⁾ II. Cor. III, 17.

Zakończenie tomu czwartego.

690) (Str. 220—221). Kiedy Zbawiciel świata wysyłał uczniów Swoich na opowiadanie dobrej nowiny o zbliżeniu się Królestwa Bożego i na założenie Swego Kościoła, który miał być jego zadatkim, nie przepisał im naprzód, jakimi formami i z jakich materyałów mają gmach średniowieczny wystawić, — ani też nie przepowiedział im losów tegoż Kościoła w świecie, bo konstytucya tego Kościoła przez szereg wieków sama się wykształciła i rozwinać miała. Poprzestał na objawieniu im jego zasad, jego celu i jego siły żywotnej. — Wskazał im opokę, na której stanąć miał ten Kościół, — przyrzekł im, że czuwać nad nim będzie i że będzie z nim, i odprawił ich z poleceniem rozkrzewiania go po wszystkich ludach, aż do kończyn ziemi.

Dziś zamiast pojedynczych ludzi, rozesłanych po świecie, idee się w świat rozsyłają. — To są nowe apostoły ludzkości, apostoły Ducha S-go, — apostoły niewidome do założenia widomego Królestwa, jako za dni Chrystusowych byli widomi Rozesłańcy do założenia niewidomego Królestwa.

Idźcie, idee, bierzmycie ludy Duchem S-tym, głoscie im dobrą nowinę o nadejściu Królestwa Bożego, — o Pocięzieniu! Głoscie im, iż On jest Bogiem i Panem i Królem wiekuiстым, — że świat to Jego Królestwo, — że wola Jego to nasze prawo, — że dary Jego to nasze własności, — że służba Jego to darów tych uprawa, — że kapłanstwo Jego to nasze urzędy, — że chwała Jego nasze święte zjednoczenie.

A niebawem usłyszymy głos «jako ludu wielkiego i jako głos wielu wód i jako głos mocnych gromów, mówiących Alleluja, iż ujął Królestwo Pan Bóg wszechmogący»¹⁾.

I ludzkość cała wraz z przelotnymi na stolicach Ludów upadną na oblicze swe i pokłonią się Bogu, mówiąc: «Dziękujemy Tobie, Panie Boże wszechmogący, — któryś jest, — i któryś był, — i który masz przyjść, żeś wziął moc swoją wielką i ująłś Królestwo»²⁾.

¹⁾ Apocalyp. XIX, 6. ²⁾ Apocalyp. XI, 17.

F) O Drogach Ducha.

(Ojciec-Nasz. Tom pierwszy, wyd. trzecie, 1905).

Myśl i Słowo.

691) Str. 343—345. Wszelkie tajniki Myśli są Słowu przystępne. Cokolwiek pomysłisz, bylebyś obmyślił, nie chybnie wysłowisz, a czegobyś zgola wyrazić nie umiał, bądź pewien, żeś sam nie zrozumiał, że ci się zaczęło w przeczcuciu lub zaroiło w domyśle, ale do Myśli jeszcze nie dojrzało. Bo Słowo jest wszelkiej Myśli nie tylko zwiastunem, ale i probierzem. Gdzie zbywa na niem, snąc i myśli nie starczy, a kędy myśl niedomaga, daremnie na brzmiać, ile że puste, silisz się wyrazić, jednego nie dobierzesz się słowa.

Wistocie tak niezbędna między Myślą a Słowem panuje wzajemność, że jedno bez drugiego nie byłoby nawet sobą. Wszakże, o ile wyrażoną w Słowie Myśl wysławia dopiero słowo, marnemu bez niej brzmieniu lub znakowi istotne nadając znaczenie, o tyle nawzajem wyrzeczcie onej Myśli ją samą urzeczywistnia, podnosząc ją właśnie ze stanu utajonej, bo założonej dopiero możliwości, do stanu ściśle oznaczonej, a na jaw wydobyciej, w sobie ujętej, a nam pojętej rzeczywistości. Na jedną więc, a odpowiednią wychodzi niedojrzałość, czy myśl niedosłowna, czy słowo niedomyślone; na jedną i tę samą zasię niedorzeczność, czy myśl bezsłowna, czy słowo bezmyślne.

Jak niemowle, póki wyraźnie nie przemówi, póty wyraźnie też nie myśli, jedno marzy i ledwo domyślać się poczyna, — tak i mędrzec, dopóki rojącej mu się myśli nie wysłowi, a bratnim duchom nie udzieli, dopóty snąc nie doszedł z nią samą do ładu, ale się raczej z nią jeszcze sam w duchu rozprawia. I nawzajem, dopóki rojąca się myśl nie przyoblecze się w słowo, dopóki się w pewien wyraz stanowczo nie wcieli, dopóty też pozostaje sama niewyraźna, a więc mglista, mętną i zamętną, o tyle nikomu nieudzielną, o ile w sobie niepochwytną, bodaj czemś więcej jedno urojeniem. W tym stanie wątpliwego jeszcze majaczenia, chociażby niepospolitą rokowała wzniosłość lub świetność, wygląda przeciw polującemu na nią duchowi jak owe nierozdzierzgnione w gwiazdy mgławiska na niebie, o których, mimo domyślnej dowodliwości, stanowczo nie wiadomo, ażali to są nam tylko niedojrzane, czy też w sobie niedojrzałe jeszcze świąty.

Podobnie, gdy w języku jakim zbywa nam na słowie, bądźmy przekonani, że onej istoty niewyraźnej ów język (lud, naród) dotychczas jak się należy nie pojął, nie opanował, — że nie zdał sobie z niej sprawy, choćby ją nawet i bezwiednie sprawiał. Dla innych może ona już wyraźnie świecić, a więc być jawą i jasną, dla niego zaś, póki niewyraźna, póty tajemnicą. Ilekroć owszem z zawartego wszechskarbcu Myśli nowy zabłyśnie mu klejnot, tylekroć właściwą nań oprawę w skarbcu rodzimego Słowa znajdzie na doręczniu. Złoży ją lub wywiąże ze swojskich pierwiastków, jak ona myśl złożyła się lub wywiązała; w potrzebie pożyczcy do czasu, lub przyswoi na własność z obcego narzecza, zwłaszcza jeśli sam wyrób myśli raczej napływowy niż rodzimy, lub słowo, choć obce, przecież powinowate.

Ugodź tedy byle w dojrzałą myśl, a na ściśle odpowiedniem słowie nigdy ci nie braknie; a nawzajem, uderz tylko byle w dorzeczne słowo, a myśl odpowiednia natychmiast zadrga i rozlegnie się. Bo zaledwie myśl się wyrzecze, jużci z utajonej we wnętrzu ducha możności staje się rzeczą jawną i spólną, rzeczą pospolitą. Toż słowo przeto, dopiero co samej myśli niezbędne, by stała się sobą, to słowo, któremu myśl zawdzięcza ściśle oznaczone, bo ograniczone w sobie jestestwo, a tem samem osobną właściwość i dzielność, — nadaje jej znowu powszechność i nieograniczoną udzielnność, nadaje jej nieskończoną płodność i pochopność do dalszych samej myśli wyrobów.

Zakończenie.

692) (Str. 392—394). Patrzcie tedy w Społeczne Życie, byle zdrowe, byle nie gnębione, ani w przyrodzonym rozwoju nadwzrężane, albo co lepsza, spróbujcie sami żyć tem życiem, o zwolennicy «ducha wiecznie przeczącego», — *vicite vitam*, jak mawiali Rzymianie, a to wam wymowniej nieraz, skuteczniej w każdym razie od naukowych wywodów dowiedzie, jak abstrakcyce nikną, a niedostatki się spełniają, jak swawola broń składa, a niewola przepada, przed obliczem prawdziwej, ile społeczno-religijnej Wolności.

W tem to Społecznem Życiu skupiają się wszelkie drogi Ducha, nie wyłączając się ani ubliżając sobie nawzajem; owszem,

każda z osobna właściwy sobie kierunek i szczytne przeznaczenie znajdując. I ogarnia w siebie toż Życie wszelkie Sztuki, Nauki i Instytucye społeczne, jako niezbędne żywioły własnego rozwoju, jako integralne funkcyje i spół-warunki własnego istnienia; a więc nie na to oczywiście, żeby im uwłaczać, albo żeby je przygnębiać, ale na to, żeby posłubić między sobą i rozwielbiać w sobie choć w prywatnie lub rozpuszcie marniało; a wpływem i ustawicznym spóldziałaniem tych potęg duchowych własną Wolność ustawicznie dźwigać, zasilać, rozwijać, uśzlachetniać.

A to spólne wszech funkcyi duchowych znaczenie i przeznaczenie, żadnej zgola nie upośledzające, każdej owszem właściwą cześć oddające, każdą nawet w specyalności własnej wielbiące, to swobodne z sobą związanie wszelkich dróg Ducha w stosunku do spólnego ogniska, to ich zjednoczenie rodzimą samego Ducha mocą, nie zaś żadną zewnętrzną przemocą, słowem ten przedziwny podział prac Ducha pod warunkiem ich udziału w Społecznym Życiu, bo inaczej nie byłby podziałem ale rozpadkiem, — nie nowina to żadna ani też wymaganie dopiero dzisiejsze. Wszakżeż już Paweł Śty, którego żaden podobno w duchowych rzeczach biegły, co do bystrości poglądu na istotę i objawy Ducha dotąd nie prześcignął, chcąc, aby nie tylko uczeni, ale wszyscy jak się należy o tych «duchowych rzeczach» wiedzieli¹⁾, przystępnemi dla prostaczków, a dla Mędrców przeciw zdumiewającym słowy powiada:

4. «Różności darów są, lecz tenże Duch».

5. «I są różności posług, ale tenże Pan».

6. «I są różności spraw, ale tenże Bóg, który sprawuje, wszystko we wszystkich».

7. «A każdemu bywa dane okazanie Ducha ku spólpożytkowi».

693) Str. 395. A wyłożywszy następnie, jak w zdrowym organizmie jeden członek bez drugiego zgola obejść się nie może, jak więc wszelkie spólczynniki Ducha same wiążą się z sobą, spólpowodują nawzajem i «staranie o sobie mają, — ażeby nie było rozerwanie w ciele», jedno owszem dopełnianie się

¹⁾ I Cor. XII, 4—20.

wszech funkcyi, urzędów i czynów; — kończy słowy, któreśmy za godło niniejszego pisma obrali: «Ubiegajcież się o co lepsze dary, a oto doskonalszą jeszcze drogę wam wskazuję».

Pierwsza część tego zdania natchnęła nam, cośmy dotąd rzekli, druga zaś temu, co dodać mamy, dalszy wątek poda.



LXXXII.

GASZYŃSKI KONSTANTY

(1809—1866).

Gaszyński urodz. 10 marca 1808 w Malejwsi, w województwie Mazowieckiem, z ojca Antoniego, byłego wicebrigadyera, później rady województwa, i matki Teofili Bzowskiej. Jako uczeń liceum Lindego, drukuje już swe utwory w «Rozmaitościach» Dmochowskiego, ogłasza osobno «Wiersz na zgon Staszica» (1826). Na ławie szkolnej zawarta serdeczna przyjaźń z Z. Krasieńskim, sycona wciąż przez stałą wymianę zdań, przez wzajemną o siebie troskę, przez osobiste stonunki, przez wspomnienia braterstwa uroczych lat wiosnianych, t. zw. «ery fajkowej», przetrwała aż do zgonu. Podczas pamiętnego zajęcia w uniwersytecie (1828) Gaszyński wyrzywa przyjaciela z rąk wzburzonego tłumu kolegów. W r. 1830 wydaje wraz z L. Zienkowiczem «Pamiętnik dla płci pięknej», zamieszcza utwory młodych poetów, mimo że poprzednio wydrwiwał w nie ogłoszonej dotyczą «Jaksiadzie»¹⁾ romantyków i Mickiewicza; sam Gaszyński próbuje teraz tworzyć na nutę pieśni ludowej. Ogłasza też, naśladując W. Scotta, romans «Dwaj Śreniawici», układa dla teatru cieszące się powodzeniem krotkowile («Waryat z potrzeby»). Po wybuchu powstania wstępuje w szeregi gwardyi akademickiej, uczestniczy w wydawnictwie «Dziennika gwardyi narodowej» (1—11 stycznia 1831), zamkniętego niebawem przez dyktatora. Po rozwiązaniu gwardyi odbywa kampanię jako porucznik saperów i wraz z korpusem Giełguda przechodzi granicę pruską. W czasie wojny utworzył kilka piosenek bojowych; z tych dwie były śpiewane przez kolegów («Wspomnienie o maju» i «Polska powstająca»), jak o tem świadczy L. Siemiński. Piękniejsze jednak były te, w których już drgał żal i wspomnienie; dostały się one do kraju i powszechnie były śpiewane, i im to właśnie Gaszyński zawdzięcza repu-

Opracował: ADAM ŻÓŁTOWSKI.

¹⁾ «Jaksinda» był to poemat żartobliwy, ośmieszający głośnego wówczas w kręgach literackich Warszawy rymotwórcę, Jaksę Marcinkowskiego

tacę poety bojowego. W Paryżu w r. 1838 ogłasza «Notatki oficera» i «Pieśni pielgrzyma». Zmuszony do opuszczenia Paryża (rząd francuski z niechęcią poglądał na wychodźców z stolicy), zamieszkał w Aix, zwiedzający wpiery Korsykę. Prowancya stała się dlań niebawem drugą ojczyzną. Bierze udział w «Gazette du Midi» i «Memorial d'Aix», gdzie umieszcza wiersze i artykuły, do których dostarczały treści pamiętki artystyczne i historyczne miasta. Po trzech latach współpracownictwa w «Memorial d'Aix» został naczelnym redaktorem pisma. Pobyt w Aix okrasilo mu jakies rzewne uczucie miłości, którego niejedną ślad pozostawia w poezji. W listach Krasiańskiego ukazuje się nazwisko pani Beaume w związku z *tendre attachement*. W r. 1844 został sekretarzem deputowanego Sieyësa i przeniesi się do Paryża, co lato wszakże odwiedzając Aix. W roku 1843, po latach trzynastu, Gaszyński spotyka się w Nicei z Krasiańskim, którego «Przedwój» przygotował do druku i pod swoim wydał imieniem. Pobyt w Paryżu pozwala mu drukować swoje pisma (Poezye, 1844; Dezzydery Boczek, 1846; Reszty pamiętników Macieja Rogowskiego, 1847). Załuje teraz lat, literaturze francuskiej oddanych, kiedy nosił drwa do lasu i sowy do Aten. W drugiej polowie r. 1847 spotyka się z Krasiańskim u wód, których bardzo potrzebuje w skutek ciężkiej choroby mleczą pacierzowego. Dzięki żywej pomocy Krasiańskiego, mógł zwiedzić teraz Włochy, do których tęsknił dawno. Stąd się zrodziły «Listy z podróży po Włoszech» (1853), ubogie w spostrzeżenia zresztą i suche, mimo miłości, którą zawsze żywił względem twórców sztuki plastycznej. Na ziemi niemieckiej powstał najpiękniejszy utwór Gaszyńskiego, «Sielanka młodości», echo uczucia młodzieńczego, zamykające w łańcuch późne ognia twórczości z najwcześniejszymi, jak «Ostatnie marzenie miłości» («Pamiętnik dla poci pięknej»). Po śmierci Krasiańskiego porządkuje jego rękopisy, pisze o nim wspomnienia, tłumaczy jego utwory i ogłasza «Wyjtki» z jego listów (1860). W r. 1860 odwiedza matkę i brata pod Częstochową po 30 latach rozłąki. Rok 1863 obudził jeszcze jego natchnienie («Kilka pieśni dla kraju» 1864). Zgasł w Aix, 8 października 1866, wśród wielkich cierpień.

Jeżeli imię Gaszyńskiego nie zatarło się w pamięci potomnych, zawdzięcza to on swej rzewnej «Sielance młodości», prototypowi «romansów wiosennych», a także — w wyższym może nawet stopniu — tej okoliczności, iż świecił odbitem światłem, padającym nań od Z. Krasiańskiego. Poezja jego bowiem nie posiada oryginalniejszych rysów. Organizację psychiczną poety określa łagodna uczuciowość i pogodna równowaga ducha, nacechowana wielką odpornością na wstrząszenia zewnętrzne. Była to natura, w najprzekrętszych okolicznościach zachowująca zdolność do odnajdywania w rzeczywistości «piersiastków», rzeźwiących ducha i pozwalających trwać. Po ogdnej kłesie (1851 r.) znajduję Gaszyński pociechę (jak wielu zresztą) w nadziei rychłego, tryumfalnego powrotu do ziemi ojczystej. A chociaż, niepewny dnia jutrzejszego, i za oceanem chce chleba szukać, starczy mu jednak

werwy do najrozmaitszych prac literackich. Przeznaczenie rzuciło go do Aix. W słonecznej przyrodzie Prowancji, w pomnikach jej poezji, sztuki, historii, w zawiązanych tam stosunkach przyjaznych, umiał znaleźć treść życia, pewną słodycz nawet. Gdy zdrowie jego zachwiała się do tego stopnia, że mu grzebił przypiecano rozpalonymi do czernowosci prejkami żelaznymi, miał przeżyć dość siły, by odbywać podróże, dość pogody, by zachwycać się krajobrazami i dziełami sztuki, sypać naokół żarcikami i tworzyć cudowniu skąpaną Sielankę (1855). Lecz ta równowaga miała swe strony odwrotne: uczucie, nigdy zbyt uje rozkołysane, wyobraźnia, wysoko szycbować nie zdolna, umysł, patrzący trzeźwo, z pobłażliwym uśmiechem, lecz nie głęboki. Wyobraźnia nie nadaje potoczystemu i często sentymentalnemu wierszowi poety cech barwności romantycznej, nie zdoledzie się również na pomysł lotniejszy, na koncepcje, zdolną ożywić rozleglejszą całość. «Kontuszowe pogadanki» (1850) — to zbiór anegdot, nie «obrazy z szlacheckiego życia», któreby choć w części «Pamiętniki Soplicy» przypomnieć mogły. «P. Dezzydery Boczek» to znów żmęreg luźnych scen. «Dzień 8-my września» (1845) ukazuje w akcesoryach «Romantyczności» widmo Polski i rozpada się na dialogi, kopiujące niewolniczo urągania «Nieboskiej» rozsądkowi, świadectwu zmysłów i t. p. Jako myśliciel, idzie Gaszyński za zdaniem ogółu (upadek powstania to skutek zdrady, ogładania się na obcą interwencyę) lub ulega biernie potężniejszemu umysłowi Krasiańskiego, przyjmując jego idee mesyjaniczne, przyjmuje myśli Cieszkowskiego o «trzeciej epoce» dziejów, epoce «Ducha», kiedy ziemia zamieni się w królestwo Boże, i z tego samego, co Krasiański, stanowiska ocenia chrólorodne prądy współczesności, ujawnione zwłaszcza w r. 1848. Chwólowo uczył zachwianie się wierzeń religijnych, lecz niebawem, moze zganyony przez Krasiańskiego, ze zgrozą o tej dobie wspominając, wskazuje krzyż, jako jedyną ostoję dla Polski. — Wskazane cechy umysłu i uosobienia położyły piękno swe na satyrze Gaszyńskiego: jest ona pobłażliwa i niegłęboka. W stronnicztwach na emigracyi dopatruje się tylko śmiesznych stron. Napiętnowawszy karciarstwo klas wyższych w satyrze «Gra i karciarze» (1857), kończy rzewnym błaganiem. Powstając na «Wysięgi konne w Warszawie» (1857), nowym obyczajom przeciwstawia dawne, szlacheckie.

«Serdeczność jedyną rymów mych zaletą», mówił o sobie. Serdeczność — to szczerosc i prostota. Więć dlatego we wspomnieniu jego o toczonych bojach blizszyż iza, ale też nieraz wiersz jego rozbrzni nutą energiczną, Tyreuszową niemal.

WIADOMOŚĆ BIBLIOGRAFICZNA.

I. Wydania zbiorowe. 1) Poezye, Paryż 1844. 2) Poezye wydanie drugie pomnożone, Paryż 1856. 3) a) Poezye, wyd. zupełne. b) Pisma prozaiczne, Lipsk 1868, 1874. Biblioteka pis. pol., t. 52 i 69.

Poza wyd. lipskiem, zostały poezye ze zbioru z r. 1844, usunięte przez poetę z wydania drugiego. Nie mieszczą się tu również utwory młodzieńcze, bądź osobno ogłoszone («Wiersz na zgon Staszica», Warszawa 1826; «Wiersz do Henryki Sontag», Warszawa 1830, «Waryat z potrzeby» Warszawa 1830), w nielicznych egzemplarzach wydana «Jaksiada», bądź drukowane w «Pamiętniku dla pięci pięknej» (1830) i «Rozmaitościach» (przy *Koresp. Warszawskim* 1826—29). Z pism prozaicznych nie weszły do lipskiego zbioru: a) Notatki oficera polskiego o obchodzeniu się rządu pruskiego z korpusem wojska polskiego... Paryż 1833. b) Dwaj Sreńiawici, romans historyczny... Warszawa 1830. c) Podróż po Korsyce, 1858.

II. W rękopisie pozostała praca «Zygmunt Krasziński i jego z nim stosunki».

Nadto zaginęły miały krotkowile, grywane w teatrze warszawskim w r. 1830.

III. Pisma francuskie: 1) *L'église cathédrale de St. Sauveur à Aix*, 1836. 2) *Nord et Midi, Souvenirs, Aix 1839*. 3) *Fragments des mémoires de M. Rogowski...* 1847. 4) *Deux élégies polonaises traduites* 1861. 5) *L'Aube Le Dernier, poèmes de Sig. Krasziński, précédés d'une introduction*, Paris 1863. 6) *Les cabinets et collections artistiques de la ville Aix*. Oprócz tego artykuły i wiersze w «*Gazette du Midi*», «*Mémorial d'Aix*», «*Revue des deux mondes*», «*Revue contemporaine*», «*Le Polonais*», «*Pologne pittoresque*», «*Pologne illustrée*», «*Souvenirs de la Pologne*».

O Gaszyńskim pisało: 1) Rozbiór «Reszty pamiętników» w «*Czasop. bibliot. Ossolińskich*» 1844, t. 2. 2) L. Siemiński: O «*Silance*» w «*Czasie*» 1865. 3) L. Siemiński: *Portrety III. Poznań 1868*. (Przegl. Pol. 1867). 4) H. B[e]geleisen) «*Zł. Przegląd*» t. II. Zob. także «*Listy Z. Kraszińskiego do K. Gaszyńskiego*» Lwów 1882 (w różnych miejscach). «*Wspomnienie Gauta*» druk w «*Mémor. d'Aix*» wyszło później osobno.

A) Mogiła Sułkowskiego w Egipcie (Aix, 1833).

(Poezye. Paryż, 1856, str. 79).

694) Pół wieku już dobiega, jak po matki zgonie
Polak walczy o byt jej. — Jesteż ziemia jaka,
Któraby polskich kości nie miała w swem łonie?
Coby się nie napila krwi lub łez Polaka?

Na afrykańskich brzegach wznosi się mogiła
Sułkowskiego, zbłąkana między obce groby;
Palma, wysmukła córka pustyni, zwiesiła
Nad nią włos swój zielony, jak sztandar żaloby!

Nad nią fontanny szmerzą srebrną pieśń pogrzebu,
Jak odaliski młode z zapłakaniem licem;
A wieżecy Kairu, rosące ku niebu
Z meczetów Mahometa, świecą jej księżycem!

Nad nią pielgrzym mekkański czasem chwilę bawi,
Czekając, aż Imami czas modlitw ogłoszą;
Nad nią lejące stada wdrownych żórawi,
Goście z północy, woń jej rodzinną przynoszą!

Wkolo niej puszczę dżika; czasem wichru fala
Zbudzi uragan, śpiący na katakomb łożu,
Lub zielona oaza ukaze się zdala,
Jak okręt, po piaskystem zeglującym morzu!

Lub trącające w niebo głowy kamiennemi,
Piramidy, to cudo dawnych świata cudów,
Jak oltrzymy, zbłąkane na Pigmów ziemi,
Głoszą zmarłym językiem dzieje zmarłych ludów!

B) Aix (1835).

(Poezye. Paryż, 1856, str. 38—9).

695) Aix, miasto o palacach, świecących herbami,
Gdzie biali penitenci, w kaptur skrywszy twarze,
Noszą w odkrytej trumnie zmarłych na cmentarze,
Aix, gdzie żywi w ulicach jeżdżą lektykami.

Aix, kędy kochankowie pod lubej oknami
Pałają uczne szmermele, albo przy gitarze
Nocą śpiewają piosnki... Aix, kędy ołtarze
Chrysta podparto rzymskich świątyni kolumnami.

Miasto dawnych pamiętek, przesądów i dmy!
Gdyś wśród upalów letnich twe place bez cienia
Są bez ruchu i życia, jak twój król z kamienia!);

Myslałbym, że twa ludność uctwaja od dżunaj,
Gdyby gdzieniegdzie z okna, przez żaluzji zwoje
Nie patrzyło miłośnicy czarnych oczu dwoje!

C) Jutro (1848).

(Tamże, str. 33).

696) Kędy panowie świata uctwaja ród wrzawy,
Spieszysz zgłodziła tłuszcza, szturmujecie wrota,

) Posag króla René d'Anjou. (Przyp. autora).

Już nie o miejsce prosząc u stołu żywota,
Lecz sama chce wyłącznie wszystkie zasiąść ławy!

Łatwo zgadnąć: przybyłże plac osiągnąć krwawy!
Wiek, co dufał li w przemoc, czcił tylko wór złota,
Niechaj się o to złoto z przemocą szamota!
I przegrana bez żalu, i tryumf bez sławy!

Lecz zwycięzcy na gruzach postawią gmach nowy?
Zaprawdę! niedołężność widna po ich dumie.
Zemsta potrafi burzyć, budować nie umie!

Oto blizkie ich jutro na niwie dziejowej;
Na trupach zwyciężonych zwycięzcy zmarnieli,
Bo w sercu ni Miłości, ni Boga nie mieli!

D) Do A(ugusta) C(ieszkowskiego) (1848).

(Tamże 34—5).

697) Kiedy jeszcze w Europie cisza była głucha,
Tyś przeczuł, że pod stopą gruntu chwiać się zaczyna,
I że z epoki Ojca i z epoki Syna
Świat przejdzie w trzeci okres — do epoki Ducha!

I pękło już ostatnie ogniwo łańcucha,
W szarżę dziejów jęczy pogrzebu godzina:
Tu — przastrach, bój i nędra, smutek i ruina,
Lecz z drugiej strony prątu — Spokój i Otucha!

Ziemia drży przy porodzie — z piekielnych czeluści
Wybiegli kusiele i mamia i nęca,
Choć użuczka ludzkości zmienić w chmę zwierzęcą!

Ale Ojciec Niebieski sierot nie opuści.
Patrzcie! już ku nam zdala, z łazurów przeczocy,
W promiennym majestacie — Poczyszyciel kroczy!

E) Sielanka młodości (1855).

(Tamże, str. 1—16).

698) Str. 3—4.

Panna była przedziśnią, z błękitnych jej oczek
Zaledwie, że piętnasty uśmiechał się roczek.
Panicz, równy jej wiekiem, byłwał nieustannie
W jej domu — i z rozkoszą siadywał przy pannie.
Znosił koszyczki, kwiatów i jagódek pełne,
Pomagał związać w kłębki włóczkę i bawełnę,

Nad rysowaniem wzorków strawił nieraz dzionek,
Grywał z nią w gotowalnię, w mrużka i w pierścionek;
Przyjadnił się z jej bratem, grzecznie gał z matką,
A pannie tysiąc frasek opowiadał gładko.

Lecz często, kiedy czułem osmielen wejrzeniem,
Chciał wyznać, jakim dla niej rozgorzał płomieniem,
Wnet mieszał się, głos tracił i słów mu nie stało:
Tak pod szkolnym mundurkiem biedne serce drżało!
Raz przecie postanowił, bądź co bądź wypadnie,
Oświadczenie miłości wyrazić jej ładnie,
Lecz zamiast arcydzieła, co tak długo składał,
Rumieniąc się, oświadczył... że deszcz będzie padał!

Panna miała dla niego zawsze wzrocek słodki,
Gdy on przy niej — to ciągle piosnki i chichotki,
A kiedy przez czas jakiś nie widać panicza,
To jej coś jakby smutek wyglądał z oblicza;
Siadała przy króśienkach, nie mówiąc i słówka,
I skarżyła się mamie, że ją boli główka!

Tak żyli blisko siebie, jak na cichej łące,
Skryste w cieniu, dwa drobne fioletki woniace,
A wokół nich krążyły w domu szepców roje,
Że się panicz i panna kochali oboje!

Razu pewnego wśród milej z paniczem pogadanki o pogodzie
o jasminie, co uschnął w wasonie, o zwycięskiej walce kota Filusia
i o jasminie, co uschnął w wasonie, o zwycięskiej walce kota Filusia
panna strzelała lalkę «dla młodej krewniaczki», a na warkocz ucieła
własnych włosów, nim do dowiedzenia panicza, że to «szkoda i myśl
rakka». Matka na chwile odwołała pannę, panicz skorzystał ze sposobu
ucalował i ukrył plecionkę... Zamieszanie obojga L., przebaczenie, i
znegli gadać «o słońcu, pogodzie i o ślicznym jasminie, co uschnął w wasonie,
dzie», lecz «o lalki warkoczu nie było już mowy». Młodzieniec czuł się
szczęśliwszym nad zdobywcę swą światła.

Str. 8.

699) Panicz był rad i wesół i humor miał złoty,
Cały dzień sypał farty i broił pustoty,
Uśmiechał się, przymilał — jakby chciał do łona
Wszystkich ludzi przycisnąć w braterskie ramiona!
Panna uradowana miała wzrocek słodki,
Po całym domu brzmiały piosnki i chichotki,
Aż matka powtórzyła raz drugi i trzeci:
«Jakże się też to dzisiaj rozigrwały dzieci!»

Panicz był studentem w szkole i musiał odjechać; i gdy w stolicy
trwonił czas naprzemiennie nad książką i w marzeniach, do domu rodziców
panny zawiał znowu z daleka, niezmiany. Niemoty był, ale bogaty, i — rodzice
z radością oddali mu córkę..

700) Str. 11.

IV.

Czy panna, kornej córki pełniąc obowiązek,
Przyzwoliła bez gwałtu na ten nagły związek?
Czy w białych, ślubnych szatach pod mirtowym wiankiem
Poplakała choć chwilkę za młodym kochankiem?
Trudno wiedzieć, bo paniec po tych burz przebyciu
Już jej nigdzie i nigdy nie napotkał w życiu!
Znikła, gdzieś aż w dalekie uwieziona Tatry,
Zgasła, jak droga perła w czarze Kleopatry!

Widmo nieszczęścia zajrzało w oczy młodzieńcowi. Po nocach układał najszlachetniejsze plany: rzucił szkołę, iśé pieczo w nieznaną stronę, wyrwać ulubioną z rąk tyrana, osiedlić się z nią w puszczę... to znówu nawiedzały go myśli samobójcze... Ale wiara, zatrudnienia codzienne spędzały szal noc bezsenności, a czas niósł ukojenie, «smieniałaj rozpacze w smutek, a smutek w wspomnienie». W rok później «nawiedził paniec dworu sąsiedzkiego szlany». Tam miał słuchać powiadań, jak córka szczęśliwa, jak wielkie ma zieleń trąty: «szlachetny, jeszcze dawano do picia po kropelce wszystką prozę życia». Przypadek niegdyś rana dziś wydał się młodzieńcowi pustynią: «...nie ma tam już nic, co mogłoby go pomścić daleko... daleko!»

VI.

Str. 15—16.

Wszystko to już dzieje!... W dalszych, długich latach
Paniec stapał częściej po cierniach, niż w kwiatkach.
W jednej odtań miłość, namiętna lub czuła,
Zpoła go szczęściem, smutkami zaraża!
I ponaś serc niewieściach balsamy i jady,
Anielskie poświęcenia i piekielne zdrady,
Bó na ścieżce żywota w ciągłym niepokoju
Pił do syta z cierpkiego doświadczenia zdroju.

Przecież dotąd w panicza poranionem lonie
Niewygasły wspominek młodych uczuć płonie!
Burza światowych wichrów dotąd nie rozwiłała
Tej woni, którą niegdyś duszę mu zalała
Pierwsza miłość niewinna, cicha i milcząca,
Święta, jak przed ołtarzem lampa gorejąca!

Dziś samotny wędrowiec, po szerokim świecie,
Gdy go boleśń duchowa lub cielesna gniecie,
Szukając ulgi mękom, o! ileż to razy
Wywołuje pamięcią przeszłości obrazy,
I marzy, jak mu było hoźo i radośnie
W niepowrotnej, w różanej, w złotej życia wiosnie!
Jak po szkolnych mrozach powracał z uciechą
Na wiejski wypoczynek pod rodzinną strzechą,

Jak konno pędził w pola, z fuzijką po borach;
Jak jeździł po pokrewnych i sąsiedzkich dworach.
Jaki czuł zachwyty, urok i raj nieustanny
Gdy rumieniąc się patrzył w modre oczka panny!
Gdy, niezago już więcej nie pragnąc od losów,
Tułił do ust i serca plecienkę z jej włosów,
Gdy żył blisko siebie, jak na cichej łące,
Skryte w cieniu, dwa drobne fiołki wionące.

F) Epilog (Baden, 1855).

(Tamże, str. 184).

702)

Na błoniu ojczystem, o kiedyś... przed laty
Bez troski młodzieniec codziennie rwał kwiaty
I w wianki je zwiłaj wionące;
Codziennie szum borów i ptaszak wilenia
Płynęły mu w piersi, a z dźwięków tych brzmienia
Wysnuwał piosenek tysiące!

Lecz wkrótce młodzieńca, poetę-żołnierza,
Los poniósł daleko na obce wybrzeża
Z kosaturem pielgrzyma u ręki,
I odtąd w tęsknocie, w żalobie i trwodze
Mniej kwiatów na wianki już zbierał po drodze,
Mniej często snuł z piersi piosenki!

I z każdym mu rokiem mniej woni i słońca.
Wiosniane dni krótkie, a zimy bez końca,
I codzień mu smutniej, boleśniej!...
Więc z krań dalekich, z tej niwy ciernistej,
Posyła dziś w darze ku ziemi ojczystej
Niewiele i kwiatów i pieśni!

O! czarne me kwiatki, piosenki żalobne,
Śród łąz hodowane sieroty me drobne,
Wy, którem wykarmił krwią własną,
Na skrzydłach jaskółczych polecicie w tę stronę
Gdzie oczy śpiewała wciąż patrzą tęsknione,
Dopóki pod łzami nie zgasną!

G) Pan Dezydery Boczko i sługa jego Pafnucy,

obrazek z pierwszych lat emigracyjnego życia (Wyd. drugie, Paryż 1860).

P. Dezydery Boczko, jeden z naczelników powstania, chętnie uczęszcza na zebrania emigracyjne, gdzie najpilniej poszukiwano zdrajców sprawy

i radzono o zbawieniu Polski, «ale gdy obywatel Krepowiecki zaczął deklamować cieniutkim głosem w imieniu uciemiężonych dwadzieścia milionów knjotków, a eks-hrabia jednooki Gurowski, przed swoim wyjazdem do Petersburga, wystąpił z argumentem, że, póty u nas rewolucja się nie uda, dopóki ulice Warszawy nie będą wybrukowane czaszkami szlachty polskiej», p. Boczek, ceniący wlecie klejnot herbowny i wąsatych antenatów, przestraszył się i poszedł na ulicy Taranne zaniechał; zwiódzwszy po kolei wszystkie stronnictwa, zabił się wreszcie do Centralizacji. Nim się to jednak stało, przebył wiele zmartwień przejść musiał. Opuscił go poddaniek Pafuency, a trybunały francuskie nie śpieszyły zapobiedz tej krzywdzie oczywistej.

702) Str. 11—12. Oj, źle się dzieje! sądny dzień, Gospanie! i jeżeli sejm się nie zbierze i sądny dzień, to nas nasze fagasy i oficjaliści na latarniach paryskich wywieszają co do nogi, bo nie już u nich świętego niema, kiedy nie umieją szanować ludzi, co przecież piastowali urzęda w powiecie i nie wyszli sroce z pod ogona!

Miał i pocieche p. Boczek. Portret jego miano umieścić między wizerunkami sławnych ludzi w Polsce, zażądano od niego biografii. Dwie libry spisał, wywodząc, jak fatalnym ciosem dla sprawy była okoliczność, iż o dzień jeden spóźnił się do Warszawy i kto inny został posłem. W złym humorze powtarzał z dumą, iż przeciw pozostawił ślad po sobie w kronikach ojczystych... Lecz znowu powinęła mu się noga. Wpisał się był do nowo-zawijanej konfederacji, a nieszczeniłem na konfederatów krzywo spojrziała ambasada rosyjska — i p. Boczek otrzymał rozkaz opuszczenia stolicy. Zgorzkniały osiadł w małej mieścinie i przez czas jakiś słyszeć nie chciał o żadnych towarzystwach emigracyjnych.

703) Str. 30—31. Polacy, osiedleni w miasteczku, zawiązani byli w Towarzystwo pod nazwą Gminy. Na tygodniowych posiedzeniach, prezydowanych przez każdego z kolei, sekretarz spisywał protokół, a mówcy, nie zawsze zgodnie, ale za to krzykliwie radząc o losach świata, sarkali niepomału, że nowo przybyli ziomek nie tylko nie uczęszczał na sesje, ale nawet nie chciał składać braterskiego podatku na opłacenie kosztów biura i korespondencyj.

Gmina przez długi czas czekała cierpliwie na poprawę grzesznika, lecz gdy ani ustne ani piśmienne napomnienia nie skutkowały, zwołano nadzwyczajne posiedzenie dla wymiaru sprawiedliwości. Najznakomitszy mówca podniósł głos oskarżenia na wyrodnego syna ojczyzny, który z naganną obojętnością odsuwał się od ogólnej sprawy. Hucznie

oklaski potwierdziły zdanie oratora, jeden tylko z obecnych, stary wiarus z czasów Księstwa Warszawskiego, zrobił uwagę, że nie przystoi obrońcom wolności używać despotycznych środków i tyranizować cudze sumienie. Lecz słowa te zagłuszono krzykiem i śmiechem i przyjęto zredagowany przez prezesa wyrok, który brzmiał: że obywatel Dezydery Boczek ma być wymazany z listy emigrantów i uznany za niegodnego noszenia nazwy Polaka ¹⁾.

Trybunał, nie posiadając na swe rozkazy władzy wykonawczej, musiał poprzestać na piśmiennym przesłaniu delikwentowi wydanej na niego sentencji.

Różne też koleje przechodził i Pafuency. Ale gdy p. Dezydery autor traktuje z pobłażaniem pewnym, w Pafuency dopatrzuje się tylko naganyh cech. Pafuency woli «radzić o zbawieniu ojczyzny», niż buty naczelnika chędożyć, odkąd się dowiedział, że jest obywatelem równym swemu panu. Gdy przycisnęła go bieda, chwycił się różnych sposobów życia, aż wypłynął, zdobyl grusza. Pafuenciu się przezwal, z demokracji przedzierzgał się w zwolennika arystokracji i Czartoryskiego i pragnął wobec Francuzów uchodzić za potomka znakomitego i magnackiego rodu, za co mu się dostają przydomki awanturnika i szarlatana.

¹⁾ Według zapewnienia autora fakt autentyczny (*Przyp. Wyd.*).



~~F. 11 59~~

Opracował: A. DROGOSZEWSKI.

Czyt. Naukowa

Nr III
Nr inw. C. N. 432





